DIUNA
Frank Herbert
DIUNA
Frank Herbert

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Arrakis, zwana Diuną, to jedyne we wszechświecie źródło melanżu — substancji przedłużającej życie, umożliwiającej odbywanie podróży kosmicznych i przewidywanie przyszłości. Z rozkazu Padyszacha Imperatora Szaddama IV rządzący Diuną Harkonnenowie opuszczają planetę, swe największe źródło dochodów. Diunę otrzymują w lenno Atrydzi, ich zaciekli wrogowie. Zwycięstwo księcia Leto Atrydy jest jednak pozorne — przejęcie planety ukartowano. W odpowiedzi na atak połączonych sił Imperium i Harkonnenów dziedzic rodu Atrydów, Paul —końcowe ogniwo planu eugenicznego Bene Gesserit — staje na czele rdzennych mieszkańców Diuny i wyciąga rękę po imperialny tron.

Nagroda Nebula 1965.
Nagroda Hugo 1966.

- Frank Herbert
  -
  - KSIĘGA PIERWSZA
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
    -
  - KSIĘGA DRUGA

- KSIĘGA TRZECIA
- DODATKI
  - DODATEK I: Ekologia Diuny
  - DODATEK II: Religia Diuny
  - DODATEK III: Raport o motywach i celach Bene Gesserit
  - DODATEK IV: Almanak en-Aszraf
  - Terminologia Imperium

Frank Herbert
Diuna

Ludziom, których trudy wynoszą ponad idee w królestwo „tworzywa rzeczywistości” — ekologom krain bezwodnych, obojętne gdzie i kiedy działają, niniejszy przyczynek futurologiczny w pokorze i z podziwem dla ich pracy poświęcam.

KSIĘGA PIERWSZA
Diuna

Początek to czas dla podjęcia najbardziej pedantycznych starań, by wszystko znajdowało się na swoim miejscu. O tym wie każda siostra Bene Gesserit. Rozpoczynając studia nad życiem Muad'Diba postaraj się więc najpierw umieścić go w czasie: urodził się w 57 roku Padyszacha Imperatora Szaddama IV. A szczególnie postaraj się osadzić Muad'Diba w miejscu: planeta Arrakis. Niechaj nie zwiedzie cię to, że urodził się na Kaladanie i tam przeżył pierwsze piętnaście lat. Arrakis, planeta zwana Diuną, pozostanie jego miejscem po wsze czasy.

z „Księgi o Muad'Dibie" pióra księżniczki Irulan

W tygodniu poprzedzającym ich wyjazd na Arrakis, gdy ledwie już mogli wytrzymać szaleństwo całej tej końcowej bieganiny, stara kobieta przybyła z wizytą do matki chłopca Paula. Ciepła noc otulała Zamek Kaladański i ta starożytna kupa kamienia, od dwudziestu sześciu pokoleń służąca za dom rodowi Atrydów, tonęła w aurze wystygłej łaźni, jaką otaczała się na zmianę pogody.

Staruchę wprowadzono bocznym wejściem przez sklepiony korytarz obok sypialni Paula, pozwalając jej zajrzeć na chwilę do leżącego w łóżku chłopca. W półświetle dryfowej lampy, przyciemnionej i spuszczonej nisko nad podłogę, rozbudzony chłopiec zobaczył w drzwiach masywną postać kobiety stojącej o krok przed jego matką. Postać wiedźmowatej zjawy — włosy jak zmierzwiona pajęczyna kryły jej rysy w ciemności, oczy migotały jak klejnoty.

— Czy nie za mały na swój wiek, Jessiko? — spytała. Jej głos skrzypiał i brzęczał niczym rozstrojona baliseta.

— Jak wiadomo, Atrydzi późno zaczynają rosnąć, Wasza Wielebność — odpowiedział delikatny kontralt matki Paula.

— Tak mówią, tak mówią — zaskrzypiała stara. — Jednak ma już

piętnaście lat.

— Tak, Wasza Wielebność.

— Nie śpi i słucha — powiedziała stara. — Mały chytry gałgan. — Zachichotała. — Ale tron wymaga chytrości. I jeśli on rzeczywiście jest Kwisatz Haderach… hmmm…

Pośród cieni wokół łóżka Paul mrużył powieki w najcieńsze szparki. Wydawało mu się, że dwa bystre owale — źrenice staruchy — zaglądając mu do oczu rozszerzają się i świecą.

— Śpij dobrze, mały chytrusku — powiedziała stara. — Musisz zebrać wszystkie siły na jutrzejsze spotkanie z gom dżabbar.

I wypchnąwszy jego matkę zniknęła za drzwiami zamykając je solidnym trzaśnięciem.

Paul leżał zachodząc w głowę, co to takiego gom dżabbar. W całym zamieszaniu przeprowadzki stara była największym dziwem, jaki oglądał.

Wasza Wielebność.

I to, że do matki mówiła „Jessiko", jak do zwykłej służebnej dziewki, a nie do tej, którą była — damy Bene Gesserit, książęcej konkubiny, matki książęcego syna. Może ten gom dżabbar ma jakiś związek z Arrakis, o czym powinienem wiedzieć, zanim tam pojedziemy? — zastanawiał się. Przesylabizował dziwne słowa: gom dżabbar… kwisatz haderach. Ileż jeszcze musi się nauczyć! Arrakis będzie tak zupełnie inna niż Kaladan, że aż kręciło mu się w głowie od nawału nowych faktów.

Arrakis — Diuna — Pustynna Planeta.

Thufir Hawat, mistrz assassinów ojca to wyjaśnił: ich śmiertelny wróg, Harkonnenowie, dostali planetę w pseudolenno i siedzieli na niej przez osiemdziesiąt lat na mocy układu z kompanią KHOAM, wydobywając geriatryczną przyprawę melanż. Teraz Harkonnenowie opuszczali Arrakis, oddaną w całkowite lenno rodowi Atrydów; było to bezsprzeczne zwycięstwo księcia Leto. Jednakże, mówił Hawat, z tej przyczyny zagraża im śmiertelne niebezpieczeństwo, ponieważ książę Leto cieszy się popularnością wśród wyższych rodów Landsraadu. Popularny człowiek wzbudza zawiść potężnych — powiedział Hawat.

Arrakis — Diuna — Pustynna Planeta.

Zapadł w sen, który go przeniósł do arrakańskiej jaskini; dookoła w mdłym świetle kul świętojańskich snuł się tłum milczących postaci. Było tam uroczyście jak w katedrze, a on wsłuchiwał się w cichy szmer spadających kropli wody: kap… kap… kap… Nawet śniąc Paul wiedział, że gdy się obudzi, będzie wszystko pamiętał. Nigdy nie zapominał snów-przepowiedni.

Sen rozwiał się. Na wpół rozbudzony, świadom ciepła własnego łóżka Paul rozmyślał… rozmyślał. Ten świat Zamku Kaladańskiego,

bez zabaw, bez rówieśników… może i nie warto żegnać go zżalem. Jego nauczyciel doktor Yueh napomknął, że na Arrakis nie przestrzegano zbyt rygorystycznie klasowego faufreluches. Na planecie znaleźli schronienie ludzie pustyni, nie potrzebujący kaidów ani baszarów nad sobą: ludzie — lotne piaski, zwani Fremenami, pomijani we wszystkich rejestrach Cenzusu Imperialnego.

Arrakis — Diuna — Pustynna Planeta.

Odczuwając niepokój wewnętrzny Paul zdecydował się na jedno z ćwiczeń koncentracyjno-relaksacyjnych, jakich nauczyła go matka. Trzy pośpieszne oddechy wyzwoliły reakcję: porwał go swobodny strumień świadomości… teraz świadoma koncentracja… zwiększyć przepustowość aorty… uniknąć mechanizmu podświadomej dekoncentracji… być świadomym świadomie… wzbogacona krew tłoczy się do przeciążonych obszarów ciała… sam instynkt nie wystarczy do pokonania progów pożywienia — bezpieczeństwa — wolności… świadomość zwierzęcia nie sięga poza daną chwilę ani idei, że jego ofiary mogą wyginąć… zwierzę niszczy, nie tworzy… jego popędy trzymają się progu doznań zmysłowych i unikają percepcji… istota ludzka potrzebuje siatki percepcyjnej, przez którą patrzy na swój wszechświat… kierowana wolą koncentracja świadoma, oto co tworzy ową siatkę… obieg impulsów nerwowych i krwinek daje ciału integralność zgodną z najgłębszą świadomością potrzeb komórki… wszystkie rzeczo-komórko-istoty są nietrwałe… trzeba osiągnąć trwałość obiegu świadomości…

Jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze wałkowała się ta lekcja w swobodnym strumieniu świadomości Paula. Wyczuwając przez zamknięte powieki, że żółte promienie świtu dotknęły parapetu okiennego, otworzył oczy i zapatrzony w znajomy ornament światłocieni na suficie sypialni przysłuchiwał się na nowo podjętej krzątaninie i hałasom na zamku. Otworzyły się drzwi od korytarza i zajrzała matka — czarna wstążka przytrzymywała jej miedzianobrązowe włosy, niewzruszone zielone oczy w owalnej twarzy patrzyły z powagą.

— Nie śpisz — powiedziała. — Wyspałeś się?

— Tak.

Obserwując jej wysoką postać zauważył oznaki napięcia w ramionach, kiedy wybierała mu ubranie z szafy. Ktoś inny by to przeoczył, ale ona wyćwiczyła go w Metodzie Bene Gesserit — w najdrobniejszych niuansach postrzegania. Odwróciła się do niego trzymając półurzędową marynarkę w rękach. Tę z czerwonym jastrzębiem Atrydów nad kieszenią na piersi.

— Pośpiesz się — powiedziała. — Matka Wielebna czeka.

— Śniła mi się kiedyś — powiedział Paul. — Kto to jest?

— Była moją nauczycielką w szkole Bene Gesserit. Obecnie jest

Prawdomówczynią Imperatora. I… — zawahała się — Paul, musisz jej opowiedzieć swoje sny.

— Opowiem. Czy to dzięki niej mamy Arrakis?

— Nie mamy Arrakis!

Jessika strzepnęła pyłek ze spodni, powiesiła je obok marynarki na wieszaku przy jego łóżku.

— Nie każ czekać na siebie Matce Wielebnej.

Paul usiadł i rękami objął kolana.

— Co to jest gom dżabbar?

Po raz wtóry dzięki naukom matki dostrzegł jej właściwie niedostrzegalne wahanie, nieposłuszeństwo nerwów, które odczytał jako strach. Jessika podeszła do okna, odsunęła story, zapatrzyła się na szczyt Sjubi za nadrzecznymi sadami.

— Dowiesz się… już wkrótce. — Zdumiał go lęk w jej głosie. Nie odwracając się Jessika powiedziała: — Matka Wielebna oczekuje cię w moim saloniku. Pośpiesz się, proszę.

Matka Wielebna Gaius Helen Mohiam siedziała na wyścielanym krześle obserwując zbliżanie się matki z synem. Okna znajdujące się z jej prawej i z jej lewej strony wychodziły na południowe zakole rzeki i zielone pola uprawne włości Atrydów, lecz Matki Wielebnej nie interesowały krajobrazy. Tego ranka odczuwała swoje lata jako coś więcej niż tylko drobną dokuczliwość. Winiła za to podróż i kontakty z tą obmierzłą Gildią Planetarną z jej sekretami. Ale czekające ją tutaj zadanie wymagało osobistej interwencji Bene Gesserit Jasnowidzącej. Nawet prawdomówczyni Padyszacha Imperatora nie mogła uchylić się od odpowiedzialności, kiedy wzywały obowiązki. Piekło by pochłonęło tę diablicę Jessikę! — pomyślała Matka Wielebna. — Gdybyż to urodziła nam córkę, jak miała nakazane.

Jessika zatrzymała się trzy kroki przed krzesłem składając lekki dyg — ledwie muśnięcie rąbka sukni lewą dłonią. Paul wykonał oszczędny ukłon, którego nauczył się od swego mistrza tańca na wypadek, gdy nie jest się pewnym pozycji drugiej osoby. Subtelności powitania Paula nie uszły uwagi Matki Wielebnej.

— Jest ostrożny, Jessiko — powiedziała.

Palce Jessiki dotknęły ramienia Paula, zacisnęły się na nim. Przez moment czuł w nich pulsowanie strachu. Opanowała się w mgnieniu oka.

— Tak go nauczono, Matko Wielebna.

Czego ona się boi? — nie mógł zrozumieć Paul.

Stara kobieta zmierzyła go krótkim, gestaltycznym błyskiem oka: owal twarzy Jessiki, ale kości masywne… włosy — krucza czerń księcia, za to brwi po dziadku ze strony matki, którego imienia nie wolno wspominać, jak również i ten cienki, dumny nos; kształt zielonych, hardo spoglądających oczu: jak u Starego Księcia,

nieżyjącego dziadka ze strony ojca. Tak, był kiedyś mężczyzna doceniający potęgę brawury, nawet w śmierci — pomyślała Matka Wielebna.

— Nauka to jedno — powiedziała — a pierwiastek pierwotny drugie. Zobaczymy.

Starcze oczy rzuciły twarde spojrzenie na Jessikę.

— Zostaw nas samych. Zalecam duchowe medytacje.

Jessika zdjęła dłoń z ramienia Paula.

— Wasza Wielebność, ja…

— Jessika, wiesz, że to musi się stać.

Paul, zaintrygowany, podniósł oczy na matkę.

— Tak… oczywiście — powiedziała.

Z kolei obrócił spojrzenie na Matkę Wielebną. Grzeczność i wyraźny strach matki przed tą staruchą nakazywały ostrożność. Gniewał go jednak lęk, który wyczuwał w matce.

— Paul… — Jessika odetchnęła głęboko — próba, do jakiej za chwilę przystąpisz… jest dla mnie ważna.

— Próba? — popatrzył na nią.

— Pamiętaj, że jesteś synem księcia — powiedziała. Odwróciła się gwałtownie i wymaszerowała z pokoju wielkimi krokami, z suchym szelestem sukni. Zatrzasnęły się za nią drzwi.

Tłumiąc gniew Paul stanął twarzą w twarz ze starą kobietą.

— Czyż odprawia się jaśnie panią Jessikę jak służebną dziewkę?

Uśmiech zadrgał w kącikach pomarszczonych ze starości ust.

— Jaśnie pani Jessika była, chłopcze, moją służebną dziewką w szkole przez czternaście lat. — Pokiwała głową. — I to w dodatku dobrą. A teraz podejdź tu!

Rozkaz był jak cięcie biczem. Posłuchał, zanim zdał sobie z tego sprawę. Używa na mnie Głosu — pomyślał. Zatrzymał się na skinienie starej, stając przy jej kolanach.

— Widzisz to? — zapytała.

Z fałd togi dobyła zielony metalowy sześcian o boku około piętnastu centymetrów. Odwróciła go i Paul zauważył, że nie ma on jednej ściany, tylko otwór — czarny i dziwnie straszny. Ani odrobina światła nie przenikała owej ziejącej czerni.

— Włóż prawą rękę do pudełka — powiedziała.

Strach przeszył Paula. Zaczął się cofać, ale usłyszał głos starej:

— To tak się słucha matki?

Zajrzał w ptasio bystre źrenice. Powolutku, pod wpływem wewnętrznego nakazu, któremu nie był w stanie się przeciwstawić, włożył dłoń do pudełka. Najpierw poczuł chłód, kiedy czerń zamknęła się na jego dłoni, następnie gładki metal pod palcami i mrowienie, jakby dłoń mu zdrętwiała. Rysy starej kobiety przybrały drapieżny wyraz. Podniosła prawą rękę znad skrzynki, zatrzymując ją przy szyi

Paula. Dostrzegł w niej błysk metalu i począł odwracać się w tym kierunku.

— Nie ruszaj się! — warknęła.

Znowu używa Głosu! Skoncentrował się ponownie na jej twarzy.

— Trzymam przy twej szyi gom dżabbar — powiedziała. — Gom dżabbar, czyli wróg ostateczny. To igła z kroplą trucizny na czubku. Aaaach! Nie ruszaj się, bo poczujesz jej działanie.

Paul próbował przełknąć bez śliny. Nie mógł odwrócić uwagi od pomarszczonej, starczej twarzy, błyszczących oczu, bladych dziąseł nad srebrzystymi zębami z metalu, połyskującymi przy każdym słowie.

— Syn księcia musi się znać na truciznach — powiedziała. — To znak naszych czasów, hę? Piżmin do zatruwania nam napojów, aumas do zatruwania nam jedzenia. Trucizny natychmiastowe i powolne, i wszystkie pośrednie między nimi. Oto nie znana ci trucizna: gom dżabbar. Zabija wyłącznie zwierzęta.

Duma przemogła w Paulu strach.

— Ośmielasz się sugerować, że książęcy syn jest zwierzęciem? — zapytał.

— Sugeruję, powiedzmy, że możesz być człowiekiem — powiedziała. — Spokojnie! Ostrzegam, byś nie próbował się wyrywać. Stara jestem, lecz moja ręka zdąży ci wsadzić tę igłę w szyję, nim uciekniesz.

— Kim jesteś? — wyszeptał. — Jak zwiodłaś moją matkę, że zostawiła mnie z tobą samego? Czy przysłali cię Harkonnenowie?

— Harkonnenowie? Co też ty wygadujesz! A teraz bądź cicho.

Suchy palec dotknął jego szyi i Paul opanował odruch, by odskoczyć.

— Dobrze — powiedziała. — Przeszedłeś pierwszą próbę. A oto jak wygląda reszta: jeśli wyjmiesz rękę z pudełka, umrzesz. To jedyna zasada. Trzymaj rękę w środku, a będziesz żył. Jeśli ją zabierzesz, umrzesz.

Paul zaczerpnął tchu, by uspokoić drżenie.

— Gdy krzyknę, służba dopadnie cię w parę sekund i ty umrzesz.

— Służba nie przejdzie przez drzwi, bo twoja matka stoi za nimi na straży. Możesz mi wierzyć. Ona przeszła tę próbę. Teraz twoja kolej. Czuj się zaszczycony. Nieczęsto stosujemy ją do dzieci płci męskiej.

Pod wpływem ciekawości strach zmniejszył się na tyle, że Paul zdołał nad nim zapanować. W głosie starej kobiety słyszał prawdę, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli matka stoi tam na straży, jeśli to naprawdę próba… Zresztą cokolwiek by to było, wiedział, że wpadł w pułapkę, którą stanowi ta dłoń przy jego szyi: gom dżabbar. Przywołał na pamięć responsorium litanii przeciwko strachowi z obrządku Bene Gesserit, której nauczyła go matka.

— „Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie. A kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja". Czując powracający spokój powiedział:

— Kończ z tym, starucho.

— Starucho! — warknęła. — Odwagi nie można ci odmówić. Dobrze, zobaczymy, zadufku.

Nachyliła się nisko, ściszając głos prawie do szeptu.

— Poczujesz ból tej dłoni w pudełku. Ból. Ale cofnij rękę, a dotknie twej szyi gom dżabbar, śmierć przyjdzie szybko jak opadnięcie katowskiego topora. Zabierzesz rękę, a gom dżabbar zabierze ciebie jak swego. Rozumiesz?

— Co jest w pudełku?

— Ból.

Poczuł silniejsze mrowienie w dłoni, zacisnął mocno wargi. Jak coś takiego może być próbą? — zastanawiał się. Do mrowienia dołączyło się swędzenie.

— Słyszałeś — powiedziała stara — o tym, że zwierzęta odgryzają sobie kończynę, by umknąć z potrzasku? To zwierzęca sztuczka. Człowiek wytrzyma sidła, zniesie ból, uda śmierć, by zabić myśliwego usuwając zagrożenie dla swego gatunku.

Mrowienie przeszło w ledwo odczuwalne szczypanie.

— Po co to robisz? — spytał.

— By ustalić, czy jesteś człowiekiem. Cicho bądź.

Paul zwinął lewą dłoń w pięść, gdy w drugiej nasiliło się pieczenie. Narastało po woli: fala ciepła za falą… fala za falą. Czuł, jak paznokcie wbijają mu się w dłoń wolnej ręki. Próbował rozprostować przypiekane palce, lecz nie mógł nimi poruszyć.

— Pali — wyszeptał.

— Cicho!

Pulsujący ból przenikał do ramienia. Pot wystąpił mu na czoło, każde włókno jego ciała krzyczało wniebogłosy, by zabrał rękę z tej płonącej czeluści… jednak… gom dżabbar. Nie odwracając głowy usiłował obrócić oczy na ową upiorną igłę znieruchomiałą przy jego szyi. Zachłystywał się powietrzem, chciał uspokoić oddech i nie mógł.

Ból!

Cały jego świat zniknął prócz konającej w męczarniach dłoni i starczej twarzy, wpatrzonej w niego z odległości paru centymetrów. Wargi mu tak wyschły, że miał trudności z ich rozdzieleniem.

Palę się! Palę się!

Wydawało mu się, że czuje, jak skóra zwija się i czernieje na konającej dłoni, ciało przepala się i odpada, obnażając gołe zwęglone kości.

Stop! Ból ustał jak za dotknięciem różdżki. Paul był zlany potem, prawa ręka mu dygotała.

— Dosyć — wymamrotała stara. — Kull Wahad! Żadna dziewczynka tyle nie wytrzymała. Chyba pragnęłam twej porażki.

Odchyliła się w tył zabierając gom dżabbar.

— Wyciągnij rękę ze skrzynki i spójrz na nią, młoda ludzka istoto.

Pokonując bolesne drżenie Paul utkwił oczy w bezświetlnej pustce, w której jego ręka wydawała się przebywać z własnej woli. Wspomnienie bólu paraliżowało wszelki ruch. Rozum mówił mu, że z pudełka wyjmie osmalony kikut.

— No, wyjmuj! — warknęła.

Wyszarpnął dłoń ze skrzynki i zagapił się na nią osłupiały. Nic. Ani śladu po męczarni. Podniósł dłoń, obrócił ją na drugą stronę, poruszył palcami.

— Nerwoból indukcyjny — powiedziała. — Nie mogę okaleczać wszystkich potencjalnych istot ludzkich dokoła. Ale są tacy, co dużo by dali za sekret tej skrzynki.

Ukryła pudełko w fałdach togi.

— Ale ból… — zaczął.

— Ból! — prychnęła wzgardliwie. — Człowiek potrafi zapanować nad każdym nerwem swego ciała.

Odczuł ból lewej dłoni, rozprostował zaciśnięte palce, spojrzał na cztery krwawe ślady po wbitych w ciało paznokciach. Opuścił rękę, popatrzył na starą kobietę.

— Zrobiłaś to kiedyś mojej matce?

— Przesiewałeś kiedyś piasek przez sito? — odpowiedziała pytaniem.

Pod wpływem szoku wywołanego tym nie związanym z tematem pytaniem umysł Paula osiągnął stan wyższej świadomości. Piasek przez sito.

Paul skinął głową.

— My Bene Gesserit przesiewamy ludzi, by wyłowić człowieka — powiedziała.

Podniósł prawą rękę przywołując wspomnienie katuszy.

— I to wszystko, co w tym jest, ból?

— Obserwowałam cię w bólu, chłopcze. Ból jest zaledwie osią próby. Matka opowiadała ci o naszych metodach obserwacji. Widzę w tobie znamiona jej nauki. Nasz test to moment krytyczny plus obserwacja.

Jej ton to potwierdzał, więc powiedział:

— To prawda!

Wlepiła w niego spojrzenie. On wyczuwa, prawdę! Czyżby był tym jedynym? Czyżby naprawdę miał nim być? Opanowała podniecenie upominając samą siebie: nadzieja przesłania jasność

widzenia.

— Wiesz, kiedy ludzie wierzą w to, co mówią? — powiedziała.

— Wiem. — W jego głosie pobrzmiewały echa nabytej w wielokrotnych próbach pewności. Słysząc je powiedziała:

— Może i jesteś Kwisatz Haderach. Siądź, mały bracie, tu, u moich stóp.

— Wolę stać.

— Twoja matka siedziała kiedyś u moich stóp.

— Nie jestem swoją matką.

— Nienawidzisz nas troszeczkę, co? — Spojrzawszy w stronę drzwi zawołała: — Jessika!

W rozwartych drzwiach stanęła Jessika obrzucając pokój surowym spojrzeniem. Złagodniała na widok Paula. Zdobyła się na słaby uśmiech.

— Jessiko, czy ty kiedykolwiek przestałaś mnie nienawidzić? — zapytała stara kobieta.

Kocham cię i nienawidzę zarazem — powiedziała Jessika. — Nienawidzę za cierpienia, których nigdy nie zapomnę. Kocham za…

— Wystarczy goły fakt — powiedziała stara cieplejszym głosem — Możesz już wejść, tylko się nie odzywaj. Zamknij drzwi i pilnuj, by nikt nam nie przeszkadzał.

Jessika weszła do pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Mój syn żyje — pomyślała. — Mój syn żyje i jest… człowiekiem. Wiedziałam, że jest… ale on żyje. Teraz mogę żyć dalej. — Pod plecami czuła dotyk drzwi, twardy i rzeczywisty. Wszystko w tym pokoju było dotykalne i wyczuwalne zmysłami. — Mój syn żyje.

Paul spojrzał na matkę. Mówiła prawdę. Pragnął umknąć i w samotności przemyśleć to, czego doświadczył, jednak wiedział, że nie może odejść, dopóki go nie odprawią. Starucha zyskała nad nim władzę. Matka przeszła taką samą próbę. W tym wszystkim musiało kryć się jakieś straszne przeznaczenie… ból i strach są straszne. Rozumiał straszne przeznaczenia. Parły na przekór wszystkiemu. Stanowiły swoją własną konieczność. Paul uświadamiał sobie, że dostał się w tryby strasznego przeznaczenia. Jeszcze nie wiedział jakiego.

— Pewnego dnia, chłopcze — powiedziała stara — może i ty będziesz musiał tak stać za drzwiami. Nie jest to takie proste.

Paul spuścił oczy na dłoń, która poznała ból, potem podniósł je na Matkę Wielebną. W brzmieniu jej głosu było teraz coś, czego nie spotkał w żadnym ze znanych mu głosów. Słowa miały jasne kontury. Były ostre. Odnosił wrażenie, że o cokolwiek by ją zapytał, usłyszy odpowiedź, która wyniesie go ponad jego cielesną powłokę ku czemuś wyższemu.

— Po co poddajesz ludzi próbie człowieczeństwa?

— By ich uwolnić.

— Uwolnić?

— Kiedyś ludzie scedowali myślenie na maszyny z nadzieją, że dzięki temu będą wolni. Ale umożliwili tylko innym ludziom i ich maszynom ujarzmienie siebie.

— „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu człowieka” — zacytował Paul.

— Wprost z Dżihad Kamerdyńskiej i Biblii Protestancko-Katolickiej — powiedziała. — Lecz to, co głosi B.P.K., winno brzmieć: „Nie będziesz czynił machin udających umysł człowieka”. Czy studiowałeś u mentata w twej służbie?

— Studiowałem u Thufira Hawata.

— Wielka Rewolta zmusiła tym umysły istot ludzkich do rozwoju. Powstały szkoły rozwijające talenty człowieka.

— Szkoły Bene Gesserit?

Przytaknęła.

— Z owych starożytnych szkół pozostały do dziś dwie najważniejsze: Bene Gesserit i Gildia Planetarna. Gildia, jak sądzimy, kładzie nacisk na prawie czystą matematykę. Bene Gesserit zajmuje się innymi sprawami.

— Polityką.

— Kull Wahad — zawołała stara. Rzuciła surowe spojrzenie na Jessikę.

— Ja mu nie mówiłam, Wasza Wielebność — powiedziała Jessika.

Matka Wielebna ponownie skupiła uwagę na Paulu.

— Wpadłeś na to nie mając prawie żadnych poszlak — zauważyła. — Rzeczywiście polityką. Pierwszymi szkołami Bene Gesserit kierowali ci, którzy dojrzeli potrzebę stałej ciągłości w sprawach ludzkich. Zrozumieli, że takiej ciągłości nie będzie bez oddzielenia rasy ludzkiej od rasy zwierzęcej — w celach rozrodczych.

Nagle słowa starej utraciły dla Paula swą szczególną ostrość. Obraziły w nim to coś, co jego matka nazywała instynktem prawości. Nie żeby go Matka Wielebna okłamywała. Było jasne, że ona wierzy w swoje słowa. Chodziło o rzecz istotniejszą, związaną z jego straszliwym przeznaczeniem. Powiedział:

— A matka mówiła mi, że wiele absolwentek szkół Bene Gesserit nie zna swojego pochodzenia.

— Zapisy linii genetycznych zawsze zostają w naszych rejestrach — powiedziała. — Twoja matka wie, że pochodzi albo od Bene Gesserit, albo też jej ród sam z siebie był do przyjęcia.

— Dlaczego więc nie może znać swoich rodziców?

— Niektóre znają… Wiele nie zna. Mogłyśmy, na przykład, planować skrzyżowanie jej z bliskim krewnym, by uzyskać dominantę pewnej cechy genetycznej. Powodów jest wiele.

Znów Paul odczuł obrazę prawości.

— Sporo na siebie bierzecie — rzekł.

Matka Wielebna zagapiła się na niego w zamyśleniu: czyżby usłyszała krytycyzm w jego głosie?

— Dźwigamy ciężkie brzemię — powiedziała.

Paul czuł, że coraz bardziej wychodzi z szoku wywołanego próbą. Spojrzał prosto w jej taksujące oczy i powiedział:

— Twierdzisz, że mogę być Kwisatz Haderach. Co to jest, człowieczy gom dżabbar?

— Paul — powiedziała Jessika — nie wolno ci przemawiać takim tonem do…

— Ja to załatwię, Jessiko — przerwała stara. — Otóż, chłopcze, czy słyszałeś o serum prawdomówczyni?

— Zażywacie je, by rozwinąć dar wykrywania kłamstwa. Wiem to od matki.

— Widziałeś kiedyś trans prawdy?

Pokręcił głową.

— Nie.

— Serum jest niebezpieczne — powiedziała — ale daje szósty zmysł. Kiedy dar serum spłynie na prawdomówczynię, może ona zobaczyć wiele miejsc w swej pamięci, w pamięci swego ciała. Widzimy tyle dróg przeszłości… lecz są to jedynie drogi kobiece. — Nuta smutku zagościła w jej głosie. — Ale jest miejsce, którego nie może zobaczyć żadna prawdomówczyni. Odpycha nas ono, przeraża. Mówi się, że pewnego dnia pojawi się mężczyzna i odnajdzie w darze serum swoje wewnętrzne widzenie. Zobaczy to, czego my nie możemy — zarówno kobiecą, jak i męską przeszłość.

— Wasz Kwisatz Haderach?

— Tak, ten, który jest w wielu miejscach naraz: Kwisatz Haderach. Wielu mężczyzn zażyło serum, bardzo wielu, ale żadnemu się to nie udało.

— Zażyli i zawiedli, wszyscy?

— Och, nie! — Potrząsnęła głową. — Zażyli i umarli.

Próbować zrozumieć Muad'Diba bez zrozumienia jego śmiertelnych wrogów Harkonnenów to próbować zobaczyć Prawdę nie znając Kłamstwa. Jest to próba ujrzenia Światła bez poznania Ciemności. To niemożliwe.

z „Księgi o Muad'Dibie" pióra księżniczki Irulan

Częściowo skryty w cieniu globus plastyczny wirował popychany migocącą od pierścieni pulchną dłonią. Globus tkwił na zmiennokształtnym stojaku pod jedną ze ścian pozbawionego okien pokoju, którego pozostałe ściany stanowiły różnobarwną mozaikę rulonów, taśm oraz szpul. Pokój rozjaśniało światło ze złotych kul wiszących w przenośnych polach dryfowych.

Pośrodku pokoju stało elipsoidalne biurko o zielonkawo-różowym blacie ze skamieniałego drzewa elakka. Otaczały je stałokształtne fotele dryfowe, z których dwa były zajęte. W jednym siedział ciemnowłosy młodzieniec lat około szesnastu, o okrągłej twarzy i ponurym spojrzeniu. W drugim smukły, niewysoki mężczyzna o zniewieściałych rysach. Zarówno młodzieniec, jak i mężczyzna gapili się na globus i na prawie schowanego za nim właściciela dłoni. Spod globusa dobiegł chichot. Chichoty przeszły w basowy głos, który zahuczał:

— Oto i ona, Piter, największa pułapka w historii ludzkości. I książę w nią wpadnie. Czyż nie jest wspaniałe to, co robię ja, baron Vladimir Harkonnen?

— Zapewne, baronie — powiedział mężczyzna słodkim tenorem o melodyjnym brzmieniu.

Pulchna dłoń spoczęła na globusie wstrzymując jego obrót. Teraz wszystkie oczy w pokoju skupiły się na nieruchomej powierzchni i spostrzegły, że jest to rodzaj globusa robionego dla bogatych kolekcjonerów lub gubernatorów planet Imperium. Nosił znamię imperialnego rękodzieła. Linie południków i równoleżników sporządzone z cieniutkiego jak włos platynowego drutu. Czapy polarne wyłożone najczystszymi mlecznymi diamentami. Pulchna dłoń przesunęła się wodząc po detalach powierzchni.

— Proszę was, obserwujcie — zahuczał bas. — Obserwujcie uważnie, Piter i ty też, mój kochany Feydzie-Rautho, od sześćdziesiątego stopnia szerokości północnej po siedemdziesiąty południowej — jakie rozkoszne zmarszczki. A ich barwa — czyż nie przywodzi wam na myśl słodkich karmelków? I nigdzie nie ujrzycie błękitu jezior, ani rzek, ani mórz. A te urocze czapy polarne — jakże malusieńkie. Czyż ktoś mógłby się pomylić co do tego miejsca? Arrakis! Zaiste unikalna. Unikalne tło dla unikalnego zwycięstwa.

Uśmiech zaigrał na ustach Pitera.

— I pomyśleć, baronie, Padyszach Imperator wierzy, że oddał księciu twą przyprawową planetę.

— Bezsensowna uwaga — zahuczał baron. — Mówisz to po to, by skonfundować małoletniego Feyda-Rauthę, a nie widzę potrzeby konfundowania mojego bratanka.

Młodzieniec o markotnej twarzy poprawił się w fotelu, wygładził fałdę na swych czarnych trykotach. Wyprostował się usłyszawszy

dyskretne pukanie do drzwi za swoimi plecami. Piter odkleił się od fotela, podszedł do drzwi i uchylił je na tyle tylko, by przez szparę przejąć tuleję pocztową. Zamknął drzwi, rozwinął rulon i przebiegł go wzrokiem. Zachichotał. Raz i drugi.

— No i co? — zapytał baron.

— Głupiec odpowiedział nam, baronie!

— A kiedy to Atryda przepuścił okazję do wielkopańskiego gestu? Co pisze?

— Jest w najwyższym stopniu ordynarny, baronie. Zwraca się do ciebie per „Harkonnen", żadnych „Sire et cher cousin", żadnych tytułów, nic.

— To dobre nazwisko — odburknął baron, którego głos zdradzał niecierpliwość. — Więc co pisze drogi Leto?

— Pisze: Odrzucam propozycję spotkania. Wielokroć doznałem twojej zdrady, co dla nikogo nie jest tajemnicą.

— I? — ponaglił baron.

— Pisze: Są jeszcze w Imperium wyznawcy sztuki kanly. Podpisał: Leto, książę na Arrakis.

Piter wybuchnął śmiechem.

— Na Arrakis! O rany! A to ci heca.

— Cicho bądź, Piter — powiedział baron i śmiech umilkł jak uciął.

— A więc kanly? — spytał baron. — Wendeta, hę? I używa tego pięknego, starego, obrosłego w tak bogatą tradycję słowa, by nie było wątpliwości, o co mu chodzi.

— Wyciągnąłeś dłoń do zgody — powiedział Piter. — Formalności stało się zadość.

— Za dużo mówisz jak na mentata, Piter — powiedział baron. I pomyślał: Muszę się szybko pozbyć tego człowieka. Jak na swoją użyteczność, żyje już za długo. Spojrzał przez pokój na swego mentata assassina dostrzegając cechę przez większość ludzi zauważaną od pierwszego wejrzenia oczy — ocienione szczeliny błękitu w błękicie, oczy zupełnie pozbawione białka.

Uśmiech przykleił się do twarzy Pitera. Przypominała maskę z grymasem pod owymi oczami jak dziury.

— Ależ, baronie! Świat nie widział piękniejszej zemsty. Nie można przymykać oczu na plan najbardziej wyrafinowanej intrygi: zmusić Leto do zamiany Kaladanu na Diunę. I to bez żadnego wyboru, bo tak rozkazuje Imperator. Ależ z ciebie żartowniś, baronie!

Głos barona był zimny.

— Gęba ci się nie zamyka, Piter.

— Ale jestem szczęśliwy, baronie. Podczas gdy ty… ty jesteś po prostu zazdrosny.

— Piter!

— Aha, baronie! Czyż to nie godne ubolewania, że sam nie byłeś w stanie wymyślić tej wybornej intrygi?

— Któregoś dnia każę cię udusić, Piter.

— Ależ niewątpliwie, baronie. *Enfin!* Ale dobry uczynek nigdy nie pójdzie na marne, hę?

— Naćpałeś się werity czy semuty, Piter?

— Prawda bez strachu zaskakuje barona — powiedział Piter. Jego ściągnięta twarz przypominała karykaturalną maskę zamyślenia. — Ach, ach! Ale widzisz, baronie, ja jako mentat wiem, kiedy wyślesz do mnie kata. Będziesz zwlekał tak długo, dopóki jestem przydatny. Wcześniejszy ruch byłby marnotrawstwem, a ja jestem jeszcze bardzo pożyteczny. Wiem, czego się nauczyłeś na tej cudownej planecie Diunie — nie marnować niczego. Nieprawdaż, baronie?

Baron nie spuszczał z Pitera wzroku. Feyd-Rautha wiercił się w fotelu. Zwaśnieni durnie! — myślał. — Stryj nie potrafi otworzyć ust do swego mentata, żeby nie wywołać awantury. Czy im się wydaje, że nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko wysłuchiwać ich kłótni?

— Feyd — powiedział baron — zapraszając cię tu przykazałem ci, żebyś słuchał i uczył się. Czy uczysz się?

— Tak, stryju. — Jego głos był przezornie służalczy.

— Czasami Piter mnie zadziwia — powiedział baron. — Ja sprawiam ból z konieczności, ale on… przysięgam, że znajduje w tym prawdziwą przyjemność. Jeśli o mnie chodzi, lituję się nad nieszczęsnym księciem Leto. Niebawem doktor Yueh wystąpi przeciw niemu i to będzie koniec wszystkich Atrydów. Ale Leto na pewno zrozumie, kto wydał polecenie uległemu doktorowi i świadomość tego będzie dla niego nie do zniesienia.

— Więc dlaczego nie poleciłeś doktorowi cicho i sprawnie wsunąć mu chandżar między żebra? — zapytał Piter. — Mówisz o litości, a…

— Książę musi wiedzieć, że gotuję mu zgubę — powiedział baron. — I muszą się o tym dowiedzieć pozostałe rody wysokie. Ta wiadomość sparaliżuje je na trochę. Zyskam większy margines manewru. Konieczność jest oczywista, jednak nie musi mi się podobać.

— Margines manewru — zaśmiał się szyderczo Piter. — Już spoczywa na tobie wzrok Imperatora, baronie. Zbyt śmiało sobie poczynasz. Pewnego dnia Imperator przyśle tu na Giedi Prime jeden czy dwa legiony sardaukarów i taki będzie koniec barona Vladimira Harkonnena.

— Chciałbyś tego dożyć, Piter, nieprawdaż? — spytał baron. — Z rozkoszą patrzyłbyś, jak korpus sardaukarów łupi moje miasta i plądruje ten zamek. Sprawiłoby ci to prawdziwą radość.

— Czyżby baron tego nie wiedział? — wysyczał Piter.

— Ty powinieneś być baszarem korpusu — powiedział baron. —

Za bardzo kochasz krew i ból. Chyba zbyt pochopnie przyrzekłem ci łupy z Arrakis.

Piter zrobił pięć osobliwie drobnych kroczków na środek pokoju, stając tuż za plecami Feyda-Rauthy. Zapanowała sztywna atmosfera napięcia, a młodzieniec zerknął niespokojnie na Pitera.

— Nie igraj z Piterem, baronie — powiedział mentat. — Przyrzekłeś mi lady Jessikę. Przyrzekłeś mi.

— Na co, Piter? — zapytał baron. — Na ból?

Piter wpatrywał się w niego przedłużając ciszę. Feyd-Rautha odsunął się z dryfowym fotelem na bok.

— Stryju, czy muszę tu siedzieć? Powiedziałeś, że…

— Mój kochanieńki Feyd-Rautha się niecierpliwi — powiedział baron.

Przesunął się wśród cieni za globusem. I ponownie skierował swą uwagę na mentata.

— A dziecko, książątko Paul, mój drogi Piterze?

— Pułapka go złapie dla ciebie, baronie — zamruczał Piter.

— Nie o to pytam — powiedział baron. — Pomnisz, że przepowiedziałeś, iż czarownica Bene Gesserit urodzi księciu córkę. Pomyliłeś się, co, mentacie?

— Nieczęsto się mylę, baronie — rzekł Piter i po raz pierwszy w głosie jego przyczaił się strach. — Przyznaj: nieczęsto się mylę. I sam wiesz, że te Bene Gesserit rodzą przeważnie córki. Nawet małżonka Imperatora wydała na świat same dziewczyny.

— Stryju — odezwał się Feyd-Rautha — powiedziałeś, że tutaj będzie coś ważnego, co ja…

— Posłuchaj mego bratanka — powiedział baron. — Ma aspiracje do panowania nad moją baronią, a nie potrafi panować nad sobą.

Baron poruszył się za globusem — cień wśród cieni.

— No więc, Feydzie-Rautho Harkonnen, wezwałem cię tutaj mając nadzieję, że nauczysz się nieco mądrości. Czy obserwowałeś naszego poczciwego mentata? Powinieneś się czegoś nauczyć z tej wymiany zdań.

— Ale, stryju…

— Najsprawniejszy mentat, ten nasz Piter, nie uważasz, Feyd?

— Tak, ale…

— Ach! Zaiste ale! Ale zjada za dużo przyprawy, je ją jak cukierki. Spójrz na jego oczy! Jakby przybył prosto z arrakańskiego obozu pracy. Sprawny ten Piter, ale jednak uczuciowy i skory do wybuchów porywczości. Sprawny, ale jednak może się mylić.

Głos Pitera brzmiał cicho i posępnie:

— Czy wezwałeś mnie tutaj, baronie, by zdyskredytować moją sprawność?

— Zdyskredytować twoją sprawność? Znasz mnie chyba lepiej,

Piter. Chciałbym jedynie, aby mój bratanek zrozumiał ograniczenia mentata.

— Czy już szkolisz mego następcę?

— Zastąpić ciebie? Ależ, Piter, gdzież znalazłbym drugiego mentata z twoją przebiegłością i jadem?

— W tym samym miejscu, gdzie mnie znalazłeś, baronie.

— Może i powinienem, skoro już o tym mówimy. — Baron zamyślił się. — Naprawdę robisz ostatnio wrażenie niezrównoważonego. A ileż przyprawy zjadasz!

— Czy moje przyjemności są zbyt kosztowne, baronie? Czy masz coś przeciwko nim?

— Mój drogi Piter, twoje przyjemności są tym, co cię ze mną wiąże. Jakże mógłbym się im sprzeciwiać? Ja tylko chciałbym, aby mój bratanek to w tobie zauważył.

— Więc jestem na scenie — powiedział Piter. — Mam zatańczyć? Mam zaprezentować swoje rozmaite umiejętności dostojnemu Feydowi-Rau…

— Właśnie — przerwał baron. — Jesteś na scenie. A teraz bądź cicho.

Zerknął na Feyda-Rauthę odnotowując kształt ust bratanka, pełne i wydatne wargi, genetyczne znamię Harkonnenów, teraz lekko wykrzywione grymasem rozbawienia.

— To jest mentat, Feyd. Został wyszkolony i uwarunkowany do pełnienia określonych obowiązków. Nie da się jednak przeoczyć faktu, że jest to opakowane ludzkim ciałem. Poważna wada. Czasami myślę, że starożytni protoplasci ze swymi myślącymi machinami mieli słuszną ideę.

— To były zabawki w porównaniu ze mną — warknął Piter. — Ty sam, baronie, dałbyś radę ich machinom.

— Być może — powiedział baron. — No dobrze… — Odetchnął głęboko, beknął. — Teraz, Piter, przedstaw mojemu bratankowi w ogólnym zarysie istotne elementy naszej kampanii przeciwko rodowi Atrydów. Bądź tak uprzejmy i pokaż, co potrafisz jako mentat.

— Baronie, ostrzegałem cię przed powierzaniem komuś tak młodemu tych informacji. Moje obserwacje…

— Ja będę o tym decydował — rzekł baron. — Daję ci polecenie, mentacie. Zaprezentuj jedną ze swych różnorodnych umiejętności.

— No więc dobrze — powiedział Piter. Wyprostował się przyjmując dziwnie godną postawę, niczym maskę, lecz tym razem okrywającą całe ciało.

— Za parę standardowych dni cały dwór księcia Leto zaokrętuje się na galeon Gildii Planetarnej udający się na Arrakis. Gildia wysadzi ich raczej w mieście Arrakin niż w naszym mieście Kartago. Mentat księcia, Thufir Hawat, dojdzie do słusznego wniosku, że Arrakin jest

łatwiejsze do obrony.

— Słuchaj uważnie, Feyd — odezwał się baron. — Obserwuj plany wewnątrz planów w planach.

Feyd-Rautha skinął głową, myśląc: To już lepiej. Stary potwór dopuszcza mnie w końcu do sekretów. Rzeczywiście chyba zamierza uczynić mnie swoim dziedzicem.

— Istnieje kilka rozbieżnych możliwości — powiedział Piter. — Ja twierdzę, że ród Atrydów uda się na Arrakis. Nie możemy jednak zignorować ewentualności, że książę zawarł z Gildią kontrakt na wywiezienie go w bezpieczne miejsce poza System. Inni w podobnych okolicznościach zostawali rodami renegackimi, zabierali rodzinne arsenały atomowe i tarcze i uciekali poza Imperium.

— Książę jest na to zbyt dumnym człowiekiem — powiedział baron.

— To jest ewentualność — odparł Piter. — Jednak ostateczny rezultat byłby dla nas ten sam.

— Nie, nie byłby! — warknął baron. — On musi umrzeć, a jego linia wygasnąć.

— Prawdopodobieństwo tego jest znikome — powiedział Piter. — Kiedy ród ma się sprzeniewierzyć, czynione są pewne przygotowania. Książę sprawia wrażenie, jakby niczego takiego nie robił.

— Tak — westchnął baron. — Jedź dalej, Piter.

— W Arrakin — ciągnął Piter — książę z rodziną zajmą rezydencję, do niedawna dom hrabiego i hrabini Fenring.

— Ambasadora u przemytników — zachichotał baron.

— Ambasadora u kogo? — zapytał Feyd-Rautha.

— Twój stryj żartuje — powiedział Piter. — Nazywa hrabiego Fenringa ambasadorem u przemytników, wskazując na udział Imperatora w przemytniczych operacjach na Arrakis.

Feyd-Rautha obrócił na stryja zaintrygowane spojrzenie.

— Dlaczego?

— Nie bądź tępy, Feyd — warknął baron. — Jak może być inaczej, dopóki Gildia znajduje się praktycznie poza imperialną kontrolą? Jakże inaczej poruszaliby się szpiedzy i assassini?

Wargi Feyda-Rauthy wydały bezdźwięczne „Oooch”.

— W rezydencji zorganizowaliśmy dywersję — powiedział Piter. — Będzie zamach na życie dziedzica Atrydów, zamach, który może się powieść.

— Piter — zagrzmiał baron — chcesz powiedzieć…

— Chcę powiedzieć, że wypadki się zdarzają — rzekł Piter. — A zamach musi wyglądać poważnie.

— Och, ale chłopiec ma takie słodkie młode ciało — powiedział baron. — Oczywiście, jest potencjalnie bardziej niebezpieczny od ojca… po tym wyszkoleniu przez matkę czarownicę. Przeklęta kobieta.

W porządku, dalej, Piter.

— Hawat odgadnie, że podstawiliśmy mu naszego agenta — podjął Piter. — Rzucającym się w oczy podejrzanym jest doktor Yueh, istotnie nasz agent. Ale Hawat przeprowadził śledztwo i odkrył, że nasz doktor jest absolwentem Akademii Suk z uwarunkowaniem imperialnym — rzekomo wystarczająco bezpiecznym, by pielęgnować samego Imperatora. Wielką wagę przywiązuje się do uwarunkowania imperialnego. Zakłada się, że najwyższego uwarunkowania nie da się usunąć bez uśmiercenia osobnika. Jednakże, jak to ktoś kiedyś zauważył, mając odpowiednią dźwignię, można podnieść planetę. Znaleźliśmy dźwignię, która podniosła doktora.

— Jak? — zapytał Feyd-Rautha. Ten temat go zafascynował. Wszyscy wiedzieli, że uwarunkowania imperialnego złamać się nie da.

— Innym razem — powiedział baron. — Dalej, Piter.

— W miejsce Yuego — rzekł Piter — postawiliśmy na drodze Hawata wyjątkowo interesującego podejrzanego. Sama zuchwałość podejrzenia zwróci na nią uwagę Hawata.

— Na nią? — spytał Feyd-Rautha.

— Lady Jessikę we własnej osobie — powiedział baron.

— Czyż to nie wspaniałe? — zapytał Piter. — Hawat będzie miał mózg tak przepełniony tą perspektywą, że nadwątli to funkcjonowanie mentata. Może nawet próbować ją zabić.

Piter zmarszczył czoło i dodał:

— Ale nie sądzę, aby mu się to udało.

— Nie chcesz, aby mu się udało, co? — zapytał baron.

— Nie rozpraszaj mnie — odparł Piter. — Podczas gdy Hawat zajmie się lady Jessiką, jeszcze bardziej odwrócimy jego uwagę buntami w kilku garnizonach i tym podobnymi rzeczami. Bunty zostaną stłumione. Książę musi wierzyć, że się nieźle zabezpieczył. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, damy znak Yuemu, wtargniemy naszymi głównymi siłami… hm…

— Dalej, powiedz mu wszystko — odezwał się baron.

— Wtargniemy wzmocnieni dwoma legionami sardaukarów przebranych w barwy Harkonnenów.

— Sardaukarzy! — sapnął Feyd-Rautha. Jego myśli pobiegły ku strasznym oddziałom imperialnym, bezlitosnym zabójcom, żołnierzom-fanatykom Padyszacha Imperatora.

— Widzisz, jak ci ufam, Feyd — powiedział baron. — Jeśli najmniejsza wzmianka o tym kiedykolwiek dotrze do jakiegoś wysokiego rodu, wtedy Landsraad może się zjednoczyć przeciwko rodowi imperialnemu i powstanie chaos.

— Sedno sprawy — powiedział Piter — tkwi w tym: skoro używa się rodu Harkonnenów do odwalania brudnej roboty Imperium, zdobywamy faktyczną przewagę. Niebezpieczna to przewaga, co

prawda, lecz umiejętnie wykorzystana przysporzy rodowi Harkonnenów większych bogactw, niźli posiada jakikolwiek inny ród w Imperium.

— Nie masz pojęcia, o jak wielkie tu chodzi bogactwo — powiedział baron. — Nawet w najśmielszych wyobrażeniach. Przede wszystkim, będziemy mieli nie kwestionowany mandat do zarządu kompanii KHOAM.

Feyd-Rautha kiwnął głową. Chodziło o bogactwo. KHOAM stanowiła klucz do bogactwa; z racji mandatu każdy szlachetny ród ciągnął z kas kompanii, ile się dało. Mandaty KHOAM — były one rzeczywistym potwierdzeniem politycznego znaczenia w Imperium, przemijającego wraz z utratą liczby głosów w Landsraadzie.

— Książę Leto — mówił Piter — może szukać schronienia u garstki fremeńskiej hołoty na obrzeżach pustyni. Bądź też może podjąć próbę wysłania rodziny w tę złudną kryjówkę. Lecz tę drogę blokuje mu jeden z agentów Jego Wysokości, ekolog planety. Może go pamiętasz, Kynes.

— Feyd go pamięta — powiedział baron. — Kończ z tym.

— Jakoś nie piejesz z radości, baronie — powiedział Piter.

— Kończ z tym, rozkazuję ci! — ryknął baron.

Piter wzruszył ramionami.

— Jeżeli sprawy potoczą się zgodnie z planem — powiedział — ród Harkonnen otrzyma Arrakis w zastępcze lenno w czasie standardowego roku. Twój stryj dostanie na to lenno dyspensę. Jego osobisty przedstawiciel będzie rządził Arrakis.

— Dalsze zyski — powiedział Feyd-Rautha.

— Istotnie — potwierdził baron. I pomyślał: tego wymaga sprawiedliwość. To my ujarzmiliśmy Arrakis… prócz garstki fremeńskich kundli kryjących się na skraju pustyni… i grupki nieszkodliwych przemytników przypisanych do planety prawie tak mocno jak tubylcza siła robocza.

— I wysokie rody będą wiedziały, że to baron zniszczył Atrydów — powiedział Piter. — Tak, będą wiedziały.

— Będą wiedziały — wyszeptał baron.

— Najpiękniejsze z tego wszystkiego — ciągnął Piter — jest to, że książę też będzie wiedział. Wie już teraz. Już przeczuwa pułapkę.

— To prawda, że książę wie — powiedział baron i jego głos zabrzmiał nutą smutku. — Nie mógł nie wiedzieć… tym większa szkoda.

Baron wyszedł spoza globusa Arrakis. Kiedy wynurzył się z cieni, jego postać, wypasiona i tłusta, ukazała się w całej okazałości. Nieznaczne wypukłości pod fałdami ciemnej szaty zdradzały, że cały ten tłuszcz dźwigają głównie przenośne dryfy nałożone jak uprząż na jego ciało. W rzeczywistości ważył ze dwieście standardowych

kilogramów, ale jego stopy uniosłyby z tego nie więcej niż pięćdziesiąt.

— Jestem głodny — zahuczał baron i potarł upierścienioną dłonią swe wydatne wargi, oczami ukrytymi w fałdach tłuszczu spoglądając z góry na Feyda-Rauthę.

— Poślij po jedzenie, mój kochany. Zjemy przed spoczynkiem.

Tak rzekła św. Alia-od-Noża: „Matka Wielebna musi łączyć uwodzicielskie sztuczki kurtyzany z niepokalanym majestatem dziewicy bogini, utrzymując te przymioty w harmonii dopóty, dopóki dopiszą jej siły młodości. Jako że gdy młodość i uroda przeminą, odkryje ona, iż miejsce pośrodku, kiedyś zajęte przez harmonię, stało się krynicą sprytu i zaradności."

z „Muad'Dib, przypisy o rodzinie" księżniczki Irulan

— A więc, Jessiko, co masz na swoje usprawiedliwienie? — spytała Matka Wielebna. Na Zamku Kaladańskim dzień próby Paula chylił się ku zachodowi. Dwie kobiety pozostały same w saloniku, gdy on czekał obok w dźwiękoszczelnej Komnacie Medytacji. Jessika stała na wprost południowych okien. Niewidzącymi oczami spoglądała na gęstniejące kolory wieczoru załąką i rzeką. Słyszała nie słysząc pytania Matki Wielebnej. Kiedyś odbyła się inna próba — jakże wiele lat temu. Chuda jak patyk dziewczynka o włosach koloru miedzi, z ciałem rozdartym wichrami dojrzewania, weszła do studia Matki Wielebnej Gaius Helen Mohiam, Cenzorki Przełożonej Akademii Bene Gesserit na Wallach IX. Jessika spojrzała w dół na swoją prawą dłoń, rozprostowała palce, ożyła w niej pamięć bólu, trwogi, gniewu.

— Biedny Paul — wyszeptała.

— Pytałam o coś, Jessiko!

Głos starej kobiety był oschły, władczy.

— Co? Och… — Jessika otrząsnęła się ze wspomnień przeszłości i odwróciła twarzą do Matki Wielebnej, siedzącej plecami do kamiennej ściany między dwoma zachodnimi oknami.

— Co mam ci powiedzieć?

— Co masz mi powiedzieć? Co masz mi powiedzieć? — starczy głos rozbrzmiewał tonem szyderczego przedrzeźniania.

— No i urodziłam syna! — wybuchnęła Jessika. I zrozumiała, że celowo sprowokowano ją do tego wybuchu.

— Przykazano ci rodzić Atrydom same córki.

— To znaczyło dla niego bardzo wiele — broniła się Jessika.

— A ty w swej pysze pomyślałaś, że wydasz na świat Kwisatz Haderach!

— Przeczuwałam taką możliwość.

— Myślałaś jedynie o tym, że książę pragnie syna — warknęła stara. — A jego pragnienia się tutaj nie liczą. Można było wydać córkę Atrydów za dziedzica Harkonnenów i załatać dziurę. Beznadziejnie pokomplikowałaś sprawy. Możemy teraz stracić oba drzewa genealogiczne.

— Nie jesteście nieomylne — powiedziała Jessika. Skrzyżowała wzrok z nieruchomym spojrzeniem starych oczu. Po chwili stara kobieta zamruczała:

— Co się stało, to się nie odstanie.

— Ślubowałam nigdy nie żałować swej decyzji — powiedziała Jessika.

— Jakżeż szlachetnie — zadrwiła Matka Wielebna. — Nic nie żałować. Inaczej zaśpiewasz jako zbieg z ceną wyznaczoną na swą głowę, kiedy wszystkie dłonie podniosą się przeciwko tobie i będą nastawać na życie twoje i twojego syna.

Jessika pobladła.

— Czy nie ma innego wyjścia?

— Innego wyjścia? I to pyta Bene Gesserit?

— Pytam jedynie, co widzisz w przyszłości przy pomocy swych nadzwyczajnych talentów.

— Widzę w przyszłości to, co widziałam w przeszłości. Wiesz, jak świat się toczy. Rodzaj ludzki świadom jest swej śmiertelności i lęka się, by jego dziedziczność nie uległa stagnacji. Ma to we krwi — ów pęd do krzyżowania linii genetycznych bez żadnego planu. Imperium, kompania KHOAM, wszystkie rody wysokie jak unoszone na falach patyki.

— KHOAM — mruknęła Jessika. — Przypuszczam, że ustalono już nowy rozdział łupów z Arrakis.

— Czymże jest KHOAM, jak nie wiatrowskazem zaledwie naszych czasów. Imperator ze swoimi przyjaciółmi dysponują obecnie pięćdziesięcioma dziewięcioma, przecinek sześćdziesiąt pięć procentami głosów zarządzających. Niewątpliwie liczą się zyski i gdy pozostali zwęszą takie same korzyści, należy się spodziewać, że liczba jego głosów wzrośnie. To jest mechanizm historii, dziewczyno.

— To jest niewątpliwie to, czego mi teraz potrzeba — powiedziała Jessika. — Wykładu z historii.

— Nie podkpiwaj, dziewczyno! Wiesz równie dobrze jak ja, jakie siły nas otaczają. Mamy cywilizację na bazie trójkąta: dwór imperialny we wzajemnej przeciwwadze z rodami wysokimi Landsraadu, a pomiędzy nimi Gildia ze swoim przeklętym monopolem na

komunikację międzygwiezdną. W polityce trójkąt jest najmniej stabilną konstrukcją. Byłoby i tak nie najlepiej, nawet bez kłopotów z feudalną kulturą handlową, która odwraca się od większości nauk.

— Patyki niesione przez fale — powiedziała Jessika z goryczą. — A ten patyk tutaj to jest książę Leto, a ten drugi to jego syn, a tamten to…

— Och, zamknij się, dziewczyno. Wdałaś się w to wiedząc, na jak cienkiej tańczysz linie.

— „Jestem Bene Gesserit; istnieję, aby służyć" — zacytowała Jessika.

— Prawda — powiedziała stara kobieta. — A teraz możemy liczyć jedynie na uniknięcie powszechnej pożogi i ocalenie tego, co się da, z kluczowych linii genealogicznych.

Jessika przymknęła oczy czując łzy cisnące jej się pod powieki. Przezwyciężyła wewnętrzne rozdygotanie, drżenie, nierównomierny oddech, oszalały puls, potnienie dłoni.

Po chwili odezwała się:

— Zapłacę za swój błąd.

— I twój syn zapłaci z tobą.

— Będę go chronić, jak tylko potrafię.

— Chronić! — warknęła stara kobieta. — Dobrze wiesz, czym to grozi! Jeśli za bardzo będziesz chroniła swego syna, Jessiko, to nie będzie miał nawet tyle siły, by wypełnić jakiekolwiek przeznaczenie.

Jessika odwróciła się, spojrzała za okno na zapadające ciemności.

— Czy jest aż tak okropna, owa planeta Arrakis?

— Wystarczająco, choć niezupełnie. Missionaria Protectiva nieco ją zmiękczyła. Matka Wielebna dźwignęła się z krzesła, wygładziła fałdę togi.

— Wezwij chłopca. Niedługo muszę jechać.

— Naprawdę musisz?

Głos starej kobiety złagodniał.

— Jessika, dziecko, chciałabym zająć twoje miejsce i wziąć twoje cierpienia na siebie. Ale każda z nas musi iść w swoją stronę.

— Wiem.

— Jesteś mi tak droga jak własna córka, ale nie mogę dopuścić, by kolidowało to z obowiązkiem.

— Rozumiem… konieczność.

— Jessiko, obie wiemy, co zrobiłaś i dlaczego to zrobiłaś. Ale życzliwość zmusza mnie do wyznania, że mała jest szansa, aby twój chłopiec był Integralnością Bene Gesserit. Nie możesz pozwolić sobie na zbyt wielkie nadzieje.

Jessika starła łzy z kącików oczu. W tym geście był gniew.

— Sprawiłaś, że znowu czuję się jak mała dziewczynka recytująca swą pierwszą lekcję.

Z trudem wydusiła z siebie słowa:

— „Istoty ludzkie nie mogą nigdy poddać się zwierzętom”. — Wstrząsnął nią tłumiony szloch, dodała cicho: — Jestem taka samotna.

— To powinna być jedna z prób — powiedziała stara kobieta. — Ludzie są prawie zawsze samotni. Wezwij teraz chłopca. Miał długi, straszny dzień. Lecz miał też i czas na przemyślenia i zapamiętanie, a ja muszę go jeszcze wypytać o te jego sny.

Jessika kiwnęła głową, podeszła do drzwi Komnaty Medytacji, otworzyła je.

— Paul, wejdź już, proszę.

Paul wyłonił się z zawziętą opieszałością. Patrzył na swoją matkę jak na obcą osobę. Posłał przyczajone spojrzenie Matce Wielebnej, ale tym razem skłonił głowę jak równy równemu. Słyszał, jak matka zamyka drzwi za jego plecami.

— Młodzieńcze — powiedziała stara — wróćmy do sprawy twych snów.

— Czego chcesz?

— Co noc masz sny?

— Nie takie, które by warto zachować w pamięci. Potrafię zapamiętać każdy sen, ale jeden jest tego wart, a inny nie.

— Jak je rozróżniasz?

— Po prostu wiem.

Stara popatrzyła się na Jessikę i ponownie na Paula.

— Co ci się śniło ostatniej nocy? Czy warto było to zapamiętać?

— Tak. — Paul zamknął oczy. — Śniła mi się jaskinia… i woda… i dziewczyna w jaskini, bardzo chuda z ogromnymi oczami. Oczy jej są całe błękitne, nie ma w nich białek. Mówię do niej, opowiadam jej o tobie, o spotkaniu z Matką Wielebną na Kaladanie.

Paul otworzył oczy.

— A to, co opowiadasz tej obcej dziewczynie o spotkaniu ze mną, czy to się dzisiaj wydarzyło?

Paul zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Tak. Mówię dziewczynie, że przybyłaś i wycisnęłaś na mnie piętno obcości.

— Piętno obcości — wyszeptała stara i ponownie jej spojrzenie powędrowało od Paula do Jessiki i z powrotem do chłopca.

— Powiedz mi teraz szczerze, Paul, czy często śnią ci się rzeczy, które potem zdarzają się dokładnie tak, jak ci się śniły.

— Tak. A ta dziewczyna śniła mi się już przedtem.

— Och? Znasz ją?

— Poznam.

— Opowiedz mi o niej.

Paul znowu zamknął oczy.

— Siedzimy w jakimś zakątku ukrytym wśród skał. Już prawie

noc, ale jest gorąco i widzę łachy piasku za szczeliną w skałach. My… czekamy na coś… na to, bym poszedł spotkać się z jakimiś ludźmi. Ona jest przestraszona, lecz stara się to ukryć przede mną, a ja jestem podekscytowany. I ona mówi: opowiedz mi o wodach swojej planety, Usul.

Paul otworzył oczy.

— Czy to nie dziwne? Moją planetą jest Kaladan. Nigdy nie słyszałem nawet o planecie Usul.

— Czy jest coś jeszcze w tym śnie, Paul? — ponagliła go Jessika.

— Tak. Ale może to mnie ona nazywała Usulem — rzekł Paul. — Właśnie mi to przyszło do głowy.

Jeszcze raz przymknął oczy.

— Prosi mnie, bym jej opowiedział o wodach. A ja biorę ją za rękę i mówię, że powiem jej wiersz. I recytuję jej wiersz, ale muszę tłumaczyć niektóre słowa, jak plaża i przybój, i morszczyn, i mewy.

— Jaki wiersz? — spytała Matka Wielebna.

Paul otworzył oczy.

— Zwyczajny, jeden z lirycznych trenów Gurneya Hallecka na smutną godzinę.

Za plecami Paula Jessika zaczęła deklamować:

Wciąż widzę nad plażą ogniska słony dym
I cienie pod sosnami —
Skamieniałe —
Mewy śpią na grzędzie ziemi,
Biel na zieleni…
Wiatr idzie przez rzędy drzew
Cienie kołysze.
Wzbijają się mewy,
Mkną
I krzyczą w niebiosach.
A ja wiatr słyszę
Plażą wiejący z ukosa
I przybój,
I widzę, że nasz ogień
Spopielił morszczyn.

— To właśnie ten — powiedział Paul.

Stara kobieta wpatrywała się w Paula dłuższą chwilę.

— Młody człowieku, jako Cenzorka Bene Gesserit poszukuję Kwisatz Haderach, mężczyzny, który rzeczywiście może zostać jednym z nas. Twoja matka widzi taką możliwość w tobie, ale ona patrzy oczyma matki. Możliwość widzę i ja, ale nic ponadto.

Umilkła i Paul zrozumiał, że chce, aby przemówił. Przeczekał ją.

Niebawem powiedziała:

— Zresztą jak sobie chcesz. Są w tobie głębie, za to ręczę.

— Czy mogę już odejść?

— Nie chcesz wysłuchać, co Matka Wielebna ma ci do powiedzenia o Kwisatz Haderach? — spytała Jessika.

— Powiedziała, że ci, co ubiegali się o to, pomarli.

— Ale mogę ci udzielić paru wskazówek, gdzie szukać przyczyn ich porażki — odezwała się Matka Wielebna.

Mówi o wskazówkach — pomyślał Paul. — Niczego naprawdę nie wie. I powiedział:

— Więc udziel mi wskazówek.

— I zgiń, przepadnij dla mnie — kwaśny uśmiech pojawił się w siatce zmarszczek na starczej twarzy.

— Niech ci będzie: „Kto się poddaje, ten panuje".

Zdumiał się, że mówi o tak podstawowych sprawach, jak dialektyka znaczenia. Czy ona myśli, że matka go niczego nie nauczyła?

— To jest wskazówka? — spytał.

— Nie jesteśmy tu po to, by igrać ze słowami i ich znaczeniem — powiedziała stara. — Wierzba poddaje się wiatrom i wiedzie jej się dobrze, aż pewnego dnia zmienia się w ścianę wierzb odporną na wiatry. To jest przeznaczenie wierzby.

Paul wybałuszył na nią oczy. Powiedziała „przeznaczenie" i poczuł, że go to słowo poraziło, powtórnie napiętnowało strasznym przeznaczeniem. Nagle ogarnął go gniew: nadęta stara wiedźma z gębą pełną frazesów.

— Uważasz, że mogę być tym Kwisatz Haderach — powiedział. — Mówisz o mnie, lecz nie rzekłaś ani słowa o tym, co zrobić dla ratowania mojego ojca. Słyszałem twoją rozmowę z matką. Mówisz o nim tak, jakby był martwy. Otóż nie jest!

— Gdyby można było cokolwiek dla niego zrobić, zrobilibyśmy z pewnością — warknęła stara. — Może uda się coś zrobić dla ciebie. Wątpliwe, lecz niewykluczone. Ale dla twojego ojca — nic. Gdybyś się nauczył przyjmować to jako fakt, opanowałbyś prawdziwą lekcję Bene Gesserit.

Paul dostrzegł, jak słowa te wstrząsnęły matką. Utkwił w starej pełne nienawiści spojrzenie. Jak mogła powiedzieć coś takiego o jego ojcu? Skąd miała taką pewność? Kipiał ze złości.

Matka Wielebna spojrzała na Jessikę.

— Uczyłaś go metody, widziałam oznaki tej nauki. Na twoim miejscu zrobiłabym to samo i niech diabli wezmą reguły.

Jessika skinęła głową.

— Teraz nalegam — powiedziała stara — byś zignorowała formalny porządek szkolenia. Jego własne bezpieczeństwo wymaga

Głosu. Ma już dobre początki, ale obie wiemy, jak wiele potrzebuje… i to rozpaczliwie.

Podeszła do Paula, popatrzyła na niego z góry.

— Żegnaj, młoda ludzka istoto. Mam nadzieję, że ci się uda. A jeśli nie, cóż, jeszcze nam się kiedyś powiedzie.

Podniosła oczy na Jessikę. Mrugnęły porozumiewawczo do siebie. Po czym stara kobieta wypłynęła z pokoju w szeleście togi rzuciwszy za siebie ostatnie spojrzenie. Pozbyła się już z myśli i pokoju, i jego lokatorów. Lecz Jessice mignęła w przelocie twarz Matki Wielebnej. Na pomarszczonych policzkach lśniły łzy. Te łzy odbierały odwagę bardziej niż jakiekolwiek słowo czy znak, jaki wymieniły tego dnia między sobą.

Przeczytaliście, że Maud'Dib nie miał na Kaladanie towarzyszy zabaw wśród rówieśników. Zbyt wiele groziło mu niebezpieczeństw. Za to miał Muad'Dib wspaniałych towarzyszy wśród nauczycieli. Był tam Gurney Halleck, trubadur-wojownik. Będziecie mieli okazję zaśpiewać sobie kilka piosenek Gurneya w trakcie lektury tej książki. Był tam Thufir Hawat, stary mentat, mistrz assassinów, budzący strach w sercu samego Padyszacha Imperatora. Był tam Duncan Idaho, mistrz miecza klanu Ginaz; był doktor Wellington Yueh, imię czarne w historii zdrady, lecz świetlane w nauce; i lady Jessika wprowadzająca syna w metodę Bene Gesserit, no i oczywiście książę Leto, którego ojcowskie zalety długo pozostawały nie dostrzeżone.

z „Historii dzieciństwa Muad'Diba" pióra księżniczki Irulan

Thufir Hawat wsunął się do sali treningowej zamku Kaladan i bezgłośnie zamknął za sobą drzwi. Chwilę stał nieruchomo — czuł się stary, znużony i połamany. Bolała go blizna na lewej nodze, rozpłatanej kiedyś w służbie Starego Księcia. To już trzy pokolenia — pomyślał. Spojrzał przez wielki pokój zalany jasnością południa płynącą ze świetlików w suficie, zobaczył chłopca siedzącego tyłem do drzwi, zatopionego w rozłożonych na stole mapach i papierach. Ile

razy mam powtarzać temu chłopakowi, żeby nigdy nie rozsiadał się plecami do drzwi? Odchrząknął. Paul trwał pochylony studiując dalej swoje papiery. Cień chmury przesunął się po świetlikach. Hawat odchrząknął ponownie. Paul wyprostował się i nie odwracając głowy powiedział:

— Wiem. Siedzę plecami do drzwi.

Hawat skrył uśmiech, przemaszerował przez salę. Paul podniósł oczy na posiwiałego, starego mężczyznę, który zatrzymał się przy rogu stołu. Oczy Hawata były dwiema sadzawkami czujności na ciemnej, pokrytej głębokimi bruzdami twarzy.

— Słyszałem cię, jak szedłeś korytarzem — powiedział Paul. — I słyszałem, jak otwierałeś drzwi.

— Takie dźwięki można naśladować.

— Zauważyłbym różnicę.

Pewnie tak — pomyślał Hawat. — Ta jego matka czarownica kształci go gruntownie, to widać. Ciekawe, co na to jej nieoceniona szkoła? Może dlatego właśnie przysłali starą cenzorkę — by dyscypliną nauczyć naszą jaśnie panią Jessikę moresu.

Hawat wysunął krzesło na wprost Paula, siadł twarzą w kierunku drzwi. Zrobił to ostentacyjnie, po czym odchylił głowę do tyłu i objął spojrzeniem salę. Po wysłaniu większości sprzętów na Arrakis uderzyła go nagle jej dziwaczność i obcość. Został stół treningowy i fechtunkowe zwierciadło z zamarłymi pryzmatami, przy nim ćwiczebny manekin, cały wywatowany i w łatach, wyglądający jak starożytny piechur, pokiereszowany i okaleczony na wojnach. To ja tam stoję — pomyślał Hawat.

— O czym tak myślisz, Thufir? — spytał Paul.

Hawat spojrzał na chłopca.

— Myślałem o tym, że wkrótce nikogo z nas tu nie będzie i że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczymy tego pokoju.

— I to cię smuci?

— Smuci? Nonsens? Smutek jest w rozstaniu z przyjaciółmi. Miejsce to tylko miejsce. — Obrzucił wzrokiem mapy na stole. — Zaś Arrakis to po prostu jeszcze jedno miejsce.

— Ojciec polecił ci wysondować mnie?

Hawat spochmurniał. Chłopak był niesłychanie spostrzegawczy. Kiwnął głową.

— Uważasz, że byłoby ładniej z jego strony, gdyby pofatygował się osobiście, ale wiesz przecież, jak jest zajęty. Wpadnie później.

— Przeglądam materiały o huraganach na Arrakis.

— Huragany. Ach tak.

— Wyglądają na nieliche.

— „Nieliche” to za mało powiedziane. Owe huragany rozpędzają się po sześciu czy siedmiu tysiącach kilometrów równiny, karmiąc się

wszystkim, co przydaje impetu — siłą Coriolisa, innymi huraganami, wszystkim, cokolwiek ma w sobie choćby gram energii. Potrafią rozhulać się do siedmiuset kilometrów na godzinę, zabierając po drodze wszystko, co się sypie — piasek, pył, wszystko. Potrafią wytrawić ciało do kości, a kości rozsiekać na igły.

— Dlaczego nie mają tam regulacji pogody?

— Arrakis ma specyficzne problemy, koszty są tam wyższe, a więc utrzymanie i tak dalej. Gildia żąda potwornej sumy za nadzór satelitarny, zaś ród twojego ojca nie jest z tych wielkich i bogatych, chłopcze. Wiesz przecież.

— Czy widziałeś kiedyś Fremenów?

Umysł chłopaka miota się dziś na wszystkie strony — pomyślał Hawat.

— Jak ciebie widzę — powiedział. — Niewiele się różnią od mieszkańców niecek i grabenów. Wszyscy noszą owe obszerne, powiewające szaty. I śmierdzą pod niebiosa w każdej zamkniętej przestrzeni. To z powodu tych strojów — nazywają je filtrfrakami — które odzyskują wodę wydalaną przez ciało.

Paul przełknął ślinę, nagle świadom wilgoci w ustach i przypomniał mu się sen o pragnieniu. Ogarnęło go uczucie pustki na myśl o ludziach, którzy tak łakną wody, że zamykają obieg wilgoci własnego ciała.

— Tam woda jest bezcenna — powiedział.

Hawat skinął głową. Może właśnie to robię — myślał — może i daję mu do zrozumienia, jak groźnym przeciwnikiem może być ta planeta. To szaleństwo pchać się na nią nie pamiętając o tej przestrodze.

Paul podniósł oczy na świetlik i uświadomił sobie, że zaczęło padać. Ujrzał, jak szare metaszkło coraz bardziej zachodzi wilgocią.

— Woda — powiedział.

— Zobaczysz, co znaczy woda — powiedział Hawat. — Jako syn księcia nigdy nie zaznasz jej braku, ale zobaczysz męki pragnienia wszędzie wokół siebie.

Paul zwilżył językiem wargi cofając się myślą o tydzień do owego przedpołudnia próby przed Matką Wielebną. Ona też powiedziała coś o usychaniu z pragnienia.

„Poznasz żałobne równiny” — mówiła — „pustkowia, które są jałowe, jałową pustkę, gdzie nie ma nic prócz przyprawy i czerwi pustyni. Namaścisz oczodoły, by osłabić blask słońca. Schronieniem ci będzie każda dziura z dala od wiatru i obcych oczu. Będziesz podróżował na własnych dwóch nogach bez statku, bez pojazdu, bez wierzchowca”. Paula bardziej usidlił jej ton — monotonnie rozkołysany — niż słowa. „Kiedy zamieszkasz na Arrakis” — mówiła — „cała, ziemia będzie pusta. Księżyce będą ci przyjaciółmi, słońce

wrogiem”. I poczuł, jak opuściwszy posterunek przy drzwiach matka staje u jego boku. Patrzy na Matkę Wielebną i pyta: „Nie widzisz żadnej nadziei, Wasza Wielebność?” „Dla ojca nie”. — I stara gestem ucisza Jessikę spoglądając z góry na Paula. „Wyryj to sobie w pamięci, chłopcze: świat wspiera się na czterech filarach…” — Podniosła cztery palce z wielkimi knykciami. — „Na naukach mądrych, na sprawiedliwości wielkich, na modlitwach prawych i waleczności dzielnych. Ale to wszystko jest niczym…” — zwinęła palce w pięść — „bez władcy znającego sztukę władania. Przyjmij to jako naukę tradycji, w jakiej zostałeś wychowany”.

Tydzień minął od tamtego przedpołudnia z Matką Wielebną. Jej słowa dopiero zaczynały w pełni docierać do Paula. Siedząc teraz w sali treningowej z Thufirem Hawatem poczuł bolesne ukłucie strachu. Spojrzał przez stół na zmarszczone brwi mentata.

— Gdzież to tym razem bujałeś w obłokach? — zapytał Hawat.

— Widziałeś Matkę Wielebną?

— Tę jędzę prawdomówczynię z Imperium? — Oczy Hawata ożywiły się ciekawością. — Widziałem.

— Ona… — Paul zawahał się, stwierdzając, że nie potrafi opowiedzieć Hawatowi o swojej próbie. Zahamowania tkwiły w nim głęboko.

— Tak? Co ona?

Paul odetchnął dwukrotnie pełną piersią.

— Ona powiedziała pewną rzecz.

Zamknął oczy przywołując słowa, a kiedy zaczął mówić, nieświadomie przybrał ton głosu starej kobiety:

— „Ty, Paul Atryda, potomek królów, syn księcia, musisz nauczyć się władać. Jest to coś, czego nie nauczył się żaden z twoich przodków”. — Paul otworzył oczy. — To mnie rozzłościło i powiedziałem, że mój ojciec włada całą planetą. A ona na to: „On ją traci”. I wtedy ja powiedziałem, że ojciec dostaje bogatszą planetę. A ona: „Ją też straci”. I chciałem biec, i ostrzec ojca, ale ona powiedziała, że już został ostrzeżony — przez ciebie, matkę, przez wielu ludzi.

— To prawda — mruknął Hawat.

— Więc dlaczego wyjeżdżamy? — zapytał Paul.

— Bo tak każe Imperator. I ponieważ jest nadzieja wbrew temu, co ta jędza-donosicielka powiedziała. Co jeszcze wytrysnęło z owej antycznej krynicy mądrości?

Paul spuścił oczy na swą prawą dłoń zwiniętą w pięść pod stołem. Siłą woli zmusił mięśnie do powolnego rozluźnienia. Ona jakoś ma mnie w garści — pomyślał. — Ale jak?

— Zapytała mnie, co to znaczy władać — rzekł Paul. — Więc jej powiedziałem, że to znaczy rozkazywać. A ona odparła, że muszę się

czegoś oduczyć.

Tutaj trafiła bez pudła — pomyślał Hawat. Skinął głową Paulowi, by mówił dalej.

— Powiedziała, że władca musi nauczyć się przekonywać, a nie zmuszać. Że musi wyłożyć na stół swój najbielszy obrus, by przyciągnąć najlepszych ludzi.

— A jak ona sobie wyobraża, że twój ojciec przyciągnął takich ludzi jak Duncan i Gurney? — zapytał Hawat.

Paul wzruszył ramionami.

— Następnie dodała, że władca musi się nauczyć języka swojego świata, odmiennego dla każdej planety. Sądziłem więc, że chudzi jej o to, że na Arrakis nie mówią galach, lecz ona powiedziała, że chodzi o coś zupełnie innego. Powiedziała, że chodzi jej o język kamieni i tego, co rośnie, język, jakiego nie słyszy się uszami. A ja jej wyjaśniłem, że to właśnie doktor Yueh nazywa tajemnicą życia.

Hawat roześmiał się bezgłośnie.

— Jak ona to przełknęła?

— Wyglądała na wściekłą. Powiedziała, że tajemnica życia nie jest problemem do rozwiązania, lecz rzeczywistością do przeżycia. Strzeliłem jej więc pierwszym prawem mentata: „Nie można zrozumieć procesu przez zatrzymanie go. Zrozumienie musi podążać z biegiem procesu, musi przyłączyć się i płynąć razem z nim". Wydaje się, że tym ją usatysfakcjonowałem.

Chyba już mu przechodzi — pomyślał Hawat — ale ta stara jędza nastraszyła go nie na żarty. Po co to zrobiła?

— Thufir — zapytał Paul — czy Arrakis będzie taka zła, jak ona mówi?

— Nic nie może być aż tak złe — powiedział Hawat i uśmiechnął się na siłę. — Weźmy na przykład tych Fremenów, pariasów pustyni. Na podstawie wstępnej, szacunkowej analizy mogę ci powiedzieć, że jest ich dużo, dużo więcej, niż podejrzewa Imperium. Ludzie żyją tam, chłopcze, całe mnóstwo ludzi i… — Hawat przytknął żylasty palec do oka — oni wściekle nienawidzą Harkonnenów. Tylko o tym ani mru mru, chłopcze. Mówię ci to tylko jako pomocnik ojca.

— Ojciec mówił mi o Salusa Secundus. Wiesz, Thufir, to wyglądało na Arrakis… może nie aż tak źle, ale bardzo podobnie.

— Niewiele w istocie wiemy o dzisiejszej Salusa Secundus — powiedział Hawat. — Jedynie jaka była dawno temu… z grubsza. Lecz z tego, co wiadomo, masz rację.

— Czy Fremeni nam pomogą?

— Niewykluczone. — Hawat wstał. — Lecę dziś na Arrakis. Tymczasem uważaj na siebie przez wzgląd na starego człowieka, który ma do ciebie słabość, dobrze? Przejdź tu na drugą stronę jak grzeczny chłopiec i siądź twarzą do drzwi. Nie myślę, żeby ci coś groziło na

zamku, tylko chciałbym, abyś nabrał tego nawyku.

Paul wstał z krzesła, obszedł stół dokoła.

— Dzisiaj wyjeżdżasz?

— Dziś to dziś, a jutro ty pójdziesz w moje ślady. Następnym razem spotkamy się już na ziemi twego nowego świata.

Złapał prawą rękę Paula za biceps.

— Rękę do noża mamy zawsze wolną, no nie? I tarczę na maksimum.

Puścił rękę Paula, klepnął go w ramię, zakręcił się na pięcie i szybkim krokiem pomaszerował w stronę drzwi.

— Thufir! — krzyknął Paul.

Hawat odwrócił się w otwartych drzwiach.

— Nie siadaj tyłem do żadnych drzwi — powiedział Paul.

Uśmiech rozlał się na pomarszczonej, starej twarzy.

— Tego nie zrobię, chłopcze. Możesz mi wierzyć.

I wyszedł delikatnie zamykając za sobą drzwi. Paul siadł tam, gdzie przedtem siedział Hawat i uporządkował swoje papiery. Jeszcze tylko jeden dzień — pomyślał. Rozejrzał się po sali. — Wyprowadzamy się. Znienacka myśl o wyjeździe nabrała kształtów realnych jak nigdy dotąd. Przypomniał sobie coś jeszcze, co stara mówiła o świecie jako sumie wielu rzeczy: ludzi, ziemi, tego, co rośnie, księżyców, przypływów, słońc — tej nieznanej sumie zwanej naturą, będącej podsumowaniem bez żadnego poczucia teraźniejszości. I zamyślił się: Co to jest „teraźniejszość”?

Drzwi naprzeciwko Paula otworzyły się z hukiem i wtoczył się przez nie brzydki wielkolud, poprzedzany naręczem oręża.

— Co widzę, Gurney Halleck — zawołał Paul — awansowałeś na zbrojmistrza?

Halleck zamknął drzwi obcasem.

— Wolałbyś, bym przyszedł pobawić się z tobą, wiem.

Zlustrował pokój dostrzegając, że byli już w nim ludzie Hawata, przeczesali wszystko i upewnili się, że jest bezpieczny dla syna księcia. Wszędzie wokoło dostrzegał ledwo uchwytne zakodowane znaki. Paul obserwował, jak zataczający się brzydal z ładunkiem broni wprawia się ponownie w ruch biorąc kierunek na stół treningowy, dostrzegł przewieszoną przez ramię Gurneya dziewięciostrunową balisetę z piórkiem wetkniętym między struny na końcu gryfa. Halleck rzucił broń na stół treningowy i ułożył ją w szeregach: rapiery, sztylety, chandżary, głuszaki na zwolnione kule, pasy tarczowe. Biegnąca przez całą brodę blizna po krwawinie skręciła się, kiedy już odwrócony wyszczerzył zęby z końca sali.

— Więc dla mnie nie masz nawet „dzień dobry”, młode diablę? A na jaki znowu odcisk nadepnąłeś staremu Hawatowi? Minął mnie w korytarzu jak człowiek biegnący na pogrzeb swego wroga.

Paul uśmiechnął się szeroko. Ze wszystkich ludzi swego ojca najbardziej lubił Gurneya Hallecka. Znał nastroje, żarty i humory tego olbrzyma, którego uważał bardziej za swego przyjaciela, niż za wynajęty rapier.

Halleck przerzucił do przodu balisetę, zaczął ją stroić.

— Nie chcesz gadać, nie gadaj — powiedział.

Paul wstał, wyszedł na środek pokoju, wykrzyknął:

— Cóż to, Gurney, przychodzimy w czas walki i zabieramy się do muzykowania?

— Dzisiaj mamy, widzę, dzień zwracania się bez szacunku do starszych — powiedział Halleck. Spróbował strunę instrumentu, kiwnął głową.

— Gdzie Duncan Idaho? — spytał Paul. — Miał mnie uczyć władania bronią.

— Duncan odjechał wiodąc drugi rzut na Arrakis — powiedział Halleck. — Z wszystkiego ostał ci się jedynie nieszczęsny Gurney wracający prosto z pola walki, który rwie się do muzyki.

Trącił następną strunę, nastawił ucha, uśmiechnął się. — Zresztą rada postanowiła, że tak nędznego wojaka jak ty najlepiej będzie nauczyć muzykowania, aby nie zmarnował sobie życia do reszty.

— No to zaśpiewaj mi pieśń — powiedział Paul. — Chcę zobaczyć, jak się tego nie powinno robić.

— Cha, cha, cha — Gurney wybuchnął śmiechem i machnął „Piękne Galatki", tylko piórko migało jak rozmazana plama na strunach, kiedy śpiewał:

Aaach, piękne Galatki
Dadzą za szmatki,
Za wodę zaś Arrakanki!
Lecz nasze ślicznoty
Dają z ochoty,
Bo lubią to Kaladanki!

— Nieźle jak na tak kiepską do instrumentu rękę — powiedział Paul — ale jeśli moja matka usłyszy, jakie wyśpiewujesz na zamku świństwa, udekoruje twoimi uszami zewnętrzny mur.

Gurney pociągnął się za lewe ucho.

— Dekoracja z nich też kiepska, okropnie się zszargały od podsłuchiwania przy dziurkach od klucza, jak pewien znajomy mi chłopak ćwiczy jakieś dziwne przyśpiewki na swojej balisecie.

— Zapomniałeś już, widzę, jak to miło, gdy ktoś ci nasypie piasku do łóżka — powiedział Paul. Ściągnął ze stołu pas tarczowy zapinając go jednym ruchem na biodrach. — A więc stawaj do walki!

Oczy Hallecka rozszerzyły się w udanym zdziwieniu.

— A więc to tak! To twoja wredna dłoń dokonała owego czynu! Broń się dziś, młody panie, broń się. — Porwał rapier, wywinął nim w powietrzu. — Jestem demonem zemsty!

Paul podniósł bliźniaczy rapier, zgiął w dłoniach klingę, stanął w aguile z jedną nogą wysuniętą do przodu. Przybrał pełną namaszczenia pozę komicznie parodiując doktora Yuego.

— Ale gamonia przysyła mi ojciec do białej broni — zadeklamował Paul. — Gamoniowaty Gurney Halleck zapomniał podstawowych zasad walki z uzbrojonym i chronionym tarczą przeciwnikiem.

Paul trzasnął wyłącznikiem siły w pasie, poczuł świerzbienie gęsiej skóry na czole i wzdłuż pleców od pola ochronnego, usłyszał charakterystyczne zmatowienie przefiltrowanych przez tarczę zewnętrznych odgłosów.

— Walcząc z tarczą poruszamy się szybko w obronie, powoli w natarciu — powiedział. — Natarcie ma na celu wyłącznie sprowokowanie przeciwnika do zrobienia fałszywego kroku, wystawienie go na śmiertelny cios. Tarcza odwraca szybkie pchnięcie, przyjmuje powolny chandżar!

Paul prztyknął klingą, wykonał błyskawiczną fintę i uciekł rapierem do tyłu sposobiąc się do zwolnionego pchnięcia tak mierzonego w czasie, by zwiodło ślepy system obronny tarczy. Halleck obserwował akcję, w ostatniej chwili zrobił ćwierć obrotu, przepuszczając stępiony koniec rapiera koło swej piersi.

— Szybkość znakomita — powiedział. — Lecz byłeś szeroko otwarty na sparowanie pchlim sztychem do dołu.

Paul odstąpił do tyłu, zmarkotniały.

— Powinienem sprać ci tyłek za takie roztrzepanie — powiedział Halleck. Wziął ze stołu goły chandżar i podniósł go do góry.

— Coś takiego w dłoni przeciwnika może ci utoczyć krwi. Jesteś pojętnym uczniem jak żaden, lecz ostrzegałem cię, abyś nawet w zabawie nie dopuścił człowieka ze śmiercią w dłoni za zasłonę.

— Chyba nie jestem dziś w odpowiednim nastroju — powiedział Paul.

— W nastroju? — Głos Hallecka zdradzał wściekłość nawet przez filtr tarczy. — Co ma do tego nastrój? Walczysz, kiedy zachodzi konieczność, bez względu na nastroje. Nastrój można mieć do przejażdżki na koniu, do dziewczyny czy gry na balisecie. Ale nie do walki.

— Bardzo mi przykro, Gurney.

— Za mało ci przykro!

Halleck ożywił swoją tarczę, pochylił się z chandżarem w wysuniętej do przodu lewej ręce i z rapierem wysoko uniesionym w prawej.

— Teraz, powiadam ci, broń się naprawdę!

Dając ogromnego susa w bok i drugiego przed siebie, zaatakował z furią. Paul cofnął się, parując. Słyszał trzaski pola, kiedy krawędzie tarcz starły się i odepchnęły nawzajem, czuł mrowienie naelektryzowanej od tego zetknięcia skóry. Co opętało Gurneya — zadawał sobie pytanie. — On tego nie udaje!

Paul zrobił ruch lewą ręką, z pochwy u nadgarstka spuścił sztylet do swej dłoni.

— Zorientowałeś się, że potrzebna ci ekstra klinga, co? — mruknął Gurney.

Czyżby zdrada? — zdumiał się Paul. — To niepodobne do Gurneya! Walczyli dokoła sali — pchnięcie i parada, zwód i kontrriposta. Wewnątrz ochronnych bąbli powietrze stęchło od oddechów, nie była go w stanie wymienić powolna cyrkulacja wzdłuż brzegów tarcz. Po każdym zetknięciu się tarcz coraz, silniej czuć było ozon. Paul nadal się cofał, ale teraz kierował swój odwrót na stół treningowy. Jeśli zdołam obrócić go przy stole, pokażę mu sztuczkę — pomyślał. — Jeszcze krok, Gurney.

Gurney zrobił krok. Paul sparował zasłoną usuwającą w dół, dojrzał, jak rapier Hallecka zawadza o krawędź stołu. Zszedł z linii ćwierćobrotem, zadał górne pchnięcie rapierem i podjechał sztyletem do szyi Hallecka. Zatrzymał ostrze na centymetr od żyły szyjnej.

— Tego szukasz? — wyszeptał.

— Popatrz w dół, chłopcze — wysapał Gurney.

Paul usłuchał, zobaczył wsunięty pod brzeg stołu chandżar Hallecka, niemal przytknięty czubkiem do swego krocza.

— Razem byśmy poszli do nieba — powiedział Halleck. — Ale przyznam, że nieco lepiej walczyłeś, gdy zostałeś przyciśnięty. Zdaje się, że tym razem nastrój ci nieco dopisał. — I wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

— Ale na mnie napadłeś — powiedział Paul. — Czy rzeczywiście ciąłbyś do krwi?

Halleck cofnął chandżar, wyprostował się.

— Gdybyś walczył choć odrobinę poniżej swych możliwości. Zrobiłbym ci niezłą krechę, długo byś ją pamiętał. Nie pozwolę, by mój ulubiony adept padł z ręki pierwszego harkonneńskiegołazęgi, jaki stanie mu na drodze.

Paul wyłączył tarczę, oparł się o stół dla złapania oddechu.

— Należała mi się, Gurney. Lecz ojciec by się pogniewał, gdybyś mnie zranił. Ja nie pozwolę z kolei, by ciebie karano za moje potknięcia.

— Jeśli o to chodzi — powiedział Halleck — było ono i moim potknięciem. I nie martw się niepotrzebnie o jedną czy dwie blizny zarobione podczas treningu. Ciesz się, że masz ich tak mało. A co to

twego ojca, to książę ukarze mnie, jeśli mi się nie uda zrobić z ciebie rębacza pierwszej klasy. I to by już było moje potknięcie, gdybym nie wyjaśnił sprawy owego nastroju, w jaki nagle popadłeś.

Paul wyprostował się, z powrotem włożył sztylet do pochwy nad nadgarstkiem.

— To, co tutaj robimy, to niezupełnie są żarty — powiedział Halleck.

Paul skinął głową. Zadziwiła go nietypowa dla Gurneya grobowa mina, głębia jego śmiertelnej powagi. Spojrzał na krwawinową bliznę koloru buraka przecinającą brodę mężczyzny i przypomniał sobie, jak to Gurney zarobił ją od Bestii Rabbana w niewolniczych sztolniach Harkonnenów na Giedi Prime. I poczuł nagły wstyd, że choć przez chwilę zwątpił w Gurneya. Po czym przyszło mu na myśl, że powstaniu blizny Hallecka towarzyszył ból — być może ból równie wielki, jak ten, który zadawała mu Matka Wielebna. Odsunął od siebie ową myśl, przejmowała chłodem ich świat.

— Chyba jednak miałem nadzieję, że sobie pożartujemy — powiedział. — Wszystko dokoła jest ostatnio takie poważne.

Halleck odwrócił się, aby ukryć wzruszenie. Piekły go od czegoś oczy. Ból wzbierał w nim jak wrzód, i to było wszystko, co mu pozostało po jakimś utraconym wczoraj, z którego odarł go czas.

Jakże wcześnie ten dzieciak musi stać się mężczyzną — pomyślał Halleck. — Jakże wcześnie musi odcyfrować ową formułę w głębi własnego umysłu, ów cyrograf brutalnej przestrogi, po to, by zgłosić ten nieunikniony fakt w nieuniknionych słowach: „Melduję się jako najbliższy krewny”.

Halleck powiedział nie odwracając się:

— Wyczuwałem w tobie chęć do zabawy, chłopcze, i niczego goręcej nie pragnąłem, jak przyłączyć się do niej. Ale zabawa się skończyła. Jutro wyruszamy na Arrakis. Arrakis jest naprawdę. Harkonnenowie są naprawdę.

Paul dotknął czoła klingą trzymanego pionowo rapiera. Halleck odwrócił się; dostrzegł salut, przyjął go kiwnięciem głowy. Ręką wskazał ćwiczebny manekin.

— Popracujemy teraz nad twoim refleksem. Chcę widzieć, jak dajesz tej kukle do wiwatu. Będę nią sterował z tego miejsca, skąd całą akcję będę miał jak na dłoni. I ostrzegam, że dzisiaj wypróbuję nowe riposty. Takiego ostrzeżenia nie spodziewaj się od prawdziwego przeciwnika.

Paul wspiął się na palce, przeciągnął dla rozluźnienia mięśni. Nagłe uświadomienie sobie, że wkroczył w życie pełne gwałtownych zmian, wprawiło go w nastrój uroczystej powagi. Podszedł do manekina, klepnął sztychem rapiera wyłącznik na piersi kukły, poczuł parcie jej ochronnego pola na rapier.

— *En garde!* — zawołał Halleck i manekin ruszył do ataku. Paul uruchomił swoją tarczę, sparował i zaripostował. Halleck przyglądał się manipulując urządzeniem sterującym. Jego duch jakby rozdzielił się na dwie części: jedną wyczuloną na potrzeby walki szkoleniowej i drugą kołującą jak uprzykrzona mucha. Jestem jak dobrze wyprowadzone drzewo owocowe — myślał. — Uginam się od dobrze prowadzonych uczuć i zdolności, zaszczepionych na mnie co do jednego i wszystkie one czekają, żeby ktoś inny je zebrał. — Z jakiegoś powodu przypomniała mu się młodsza siostra, jej twarz elfa stanęła mu przed oczami. Ale teraz ona już nie żyła… zmarła w burdelu dla żołdactwa Harkonnenów. Lubiła bratki… a może to były stokrotki? Nie pamiętał. Martwiło go to, że nie pamięta.

Paul zablokował powolne pchnięcie manekina, wzniósł lewą rękę w *entretisser*. Co za sprytny mały diabeł! — pomyślał Halleck, teraz całkowicie pochłonięty przeplatanką ruchów ręki Paula. — Ćwiczył i uczył się na własną rękę. To nie jest w stylu Duncana, i ja go też na pewno tego nie nauczyłem.

Ta myśl jedynie pogłębiła smutek Hallecka. Zaraziłem się nastrojem — stwierdził. I zaczął się zastanawiać nad Paulem, czy chłopak kiedykolwiek pośród nocy nie nasłuchiwał z przerażeniem czyjegoś łkania w poduszkę.

Gdyby życzenia były jak ryby, wszyscy stawialiby sieci — wyszeptał. Było to powiedzenie jego matki i sięgał po nie zawsze wtedy, gdy ogarniał go mrok jutra. Po czym przyszło mu na myśl, że cóż to jest za dziwaczne powiedzenie do zabrania na planetę, która nigdy nie widziała mórz ani ryb.

YUEH (yü e), Wellington (wel-ing-tun), Stdrd 10082–10191; doktor medycyny z Akademii Suk (rok ukończenia: Stdrd 10112); żona: Wanna Marcus B.G. (Stdrd 10092–10186?); znany przede wszystkim jako zdrajca księcia Leto Atrydy (porównaj: Bibliografia Aneks VII p.t. „Warunkowanie imperialne” oraz „Zdrada, Wielka”).

z „Malej Encyklopedii Muad’Diba” opracowanej przez księżniczkę Irulan

Chociaż Paul słyszał, jak doktor Yueh wchodzi do sali, w jego krokach wyczuwając chłodne wyrachowanie, dalej leżał twarzą w dół,

rozciągnięty na stole po odejściu masażysty. Czuł się cudownie wypoczęty po treningu z Gurneyem Halleckiem.

— To widać, że ci dobrze — odezwał się Yueh powolnym, piskliwym głosem.

Paul uniósł głowę, spojrzał na sztywną postać stojącą w odległości kilku kroków, jednym rzutem oka objął wymiętą szatę, kanciastą bryłę głowy z purpurowymi wargami i obwisłym wąsem, wytatuowany na czole romb uwarunkowania imperialnego, długie czarne włosy ujęte nad lewym ramieniem w srebrny pierścień Akademii Suk.

— Ucieszy cię pewnie wiadomość, że nie mamy dziś czasu na normalne zajęcia — powiedział Yueh. — Twój ojciec będzie tu niebawem.

Paul siadł.

— Za to załatwiłem dla ciebie przeglądarkę księgofilmów i parę lekcji w czasie drogi na Arrakis.

— Och.

Paul zaczął wciągać na siebie ubranie. Perspektywa wizyty ojca wprawiła go w stan podniecenia. Spędzili razem tak niewiele czasu, od kiedy Imperator nakazał przejąć w lenno Arrakis.

Yueh zbliżył się do załamanego w kształcie litery L stolika, myśląc: Jakże ten chłopiec rozrósł się w przeciągu tych ostatnich paru miesięcy. Cóż za marnotrawstwo! Och, cóż za bolesne marnotrawstwo. I sam siebie upomniał: Nie wolno mi się załamać. To, co robię, robię po to, aby mieć pewność, że moja Wanna nie będzie dłużej cierpiała w łapach harkonneńskich bestii.

Paul dołączył do niego przy stoliku, dopinając bluzę.

— Co będę studiował w drodze?

— Ooooch, lądowe formy życia na Arrakis. Wygląda na to, że planeta stała się łaskawsza dla pewnych stworzeń lądowych. Nie wiadomo jakim cudem. Po przybyciu muszę poszukać ekologa planetarnego, niejakiego doktora Kynesa, i zaofiarować mu swoją pomoc w badaniach.

Yueh pomyślał: Co ja wygaduję? Bawię się w hipokrytę nawet przed sobą samym.

— Będzie coś o Fremenach? — zapytał Paul.

— Fremenach? — Yueh zabębnił palcami po stole, zauważył, że Paul przypatruje się jego nerwowemu tikowi, schował rękę.

— Może masz coś o całej populacji Arrakis — powiedział Paul.

— Tak, owszem — odparł Yueh. — Ludność dzieli się na dwie główne warstwy: Fremenów, oni stanowią jedną grupę, i pozostałych, czyli mieszkańców grabenu, niecki i panwi. Mówiono mi, że mieszane małżeństwa zdarzają się między nimi. Kobiety z osad grabenu i panwi wolą mężów Fremenów: ich mężczyźni wolą za żony Fremenki. Mają tam porzekadło: „Blichtr płynie z miast, mądrość z pustyni”.

— Czy masz ich na zdjęciach?

— Postaram się coś dla ciebie znaleźć. Najciekawszą cechą, oczywiście, są ich oczy, całkowicie błękitne, bez białek.

— Mutacja?

— Nie, to się wiąże z nasyceniem krwi melanżem.

— Fremeni muszą być dzielni, skoro żyją na skraju pustyni.

— Wszystko na to wskazuje — powiedział Yueh. — Oni układają ody do swych noży. Ich kobiety są równie szalone jak mężczyźni. Nawet dzieci Fremenów są gwałtowne i niebezpieczne. Przypuszczam, że nie będzie ci wolno zadawać się z nimi.

Paul nie spuszczał oczu z Yuego, odkrywając w tych paru migawkach o Fremenach wyzierającą ze słów potęgę, która przykuła całą jego uwagę. Cóż za sojusznicy do pozyskania!

— A czerwie? — zapytał.

— Co?

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o czerwiach pustyni.

— Aaaach, niewątpliwie. Mam księgofilm z małym osobnikiem, zaledwie sto dziesięć metrów długości i dwadzieścia dwa metry średnicy. Sfilmowano go w północnych szerokościach geograficznych. Wiarygodni świadkowie donoszą o czerwiach długości ponad czterystu metrów, a są powody, by wierzyć w istnienie jeszcze większych.

Paul zerknął na rozłożoną na stole mapę północnych szerokości Arrakis w rzucie stożkowym.

— Pas pustyni i południowe regiony podbiegunowe zaznaczono jako bezludne. Czerwie?

— I samumy.

— Lecz każde miejsce można przystosować dla ludzi.

— Jeśli to ekonomicznie wykonalne — powiedział Yueh. — Arrakis ma mnóstwo kosztownych zagrożeń.

Przygładził obwisłe wąsy.

— Zaraz tu będzie twój ojciec. Nim odejdę, chcę ci dać upominek, coś, na co natknąłem się przy pakowaniu.

Położył na stole czarny prostokąt nie większy od koniuszka kciuka Paula. Paul spojrzał na przedmiot. Widząc, że chłopiec po niego nie sięga, Yueh pomyślał: jakiż on ostrożny.

— To bardzo stara Biblia Protestancko-Katolicka, sporządzona dla podróżujących w kosmosie. Żaden księgofilm; prawdziwy druk, na papierze włókiennym. Ma własny powiększalnik i instalację ładunku elektrostatycznego. — Wziął Biblię do ręki: zademonstrował. — Ładunek utrzymuje książkę w pozycji zamkniętej, przeciwdziałając sprężynie rozwieracza okładek. Naciskasz krawędź — o, tak — i wybrane przez ciebie stronice odpychając się wzajemnie otwierają książkę.

— Jakie to maleńkie.

— Ale ma tysiąc osiemset stron. Przy czytaniu naciskasz krawędź — tak i tak — i ładunek przechodzi do przodu, strona po stronie. Nigdy nie dotykaj palcami samych stronic. Splot włókien jest zbyt delikatny.

Zamknął książeczkę, wręczył ją Paulowi.

— Spróbuj.

Przyglądając się, jak Paul manipuluje regulacją stronic, Yueh pomyślał: robię to dla spokoju własnego sumienia. Daruję mu religijne moratorium, zanim go zdradzę. Żebym mógł sobie powiedzieć, że on odszedł tam, dokąd ja pójść nie mogę.

— Musiano ją zrobić jeszcze przed księgofilmami — powiedział Paul.

— Ma swoje lata. Niech to pozostanie naszą tajemnicą, co? Twoi rodzice mogliby uważać, że jest zbyt drogocenna dla kogoś tak młodego.

I Yueh pomyślał: jego matka niewątpliwie zastanowiłaby się nad moimi motywami.

— Cóż… — Paul zamknął książkę, trzymając ją w dłoni. — Jeżeli jest tak cenna…

— Potraktuj to jako kaprys starego człowieka — powiedział Yueh. — Dano mi ją, kiedy byłem bardzo młody. — Muszę złowić go zarówno na ducha, jak i na zachłanność — pomyślał.

— Otwórz ją na czterysta sześćdziesiątej siódmej stronie Kalimy, na słowach: „Z wody powstaje wszelkie życie". Miejsce jest zaznaczone lekką rysą na krawędzi okładki.

Paul pomacał okładkę wykrywając dwie rysy, w tym jedną płytszą. Nacisnął ją i książeczka otworzyła mu się w dłoni, powiększalnik najechał na swoje miejsce.

— Przeczytaj na głos — powiedział Yueh.

Paul zwilżył wargi i zaczął czytać:

— „Zastanówcie się nad faktem, że głuchy nie słyszy. A zatem jakaż to głuchota jest udziałem nas wszystkich? Jakich brakuje nam zmysłów, że nie widzimy i nie słyszymy innego świata, który nas otacza. Cóż jest takiego wokół nas, że nie…"

— Zamilcz! — wycharczał Yueh.

Paul przerwał wpatrując się w niego ze zdumieniem. Yueh zamknął powieki starając się odzyskać panowanie nad sobą. — Jakiż zły duch rozchylił książkę na ulubionym wersecie mojej Wanny? — Otworzył oczy i napotkał wlepione w siebie spojrzenie Paula.

— Przepraszam — powiedział. — To był ulubiony werset… mojej… zmarłej żony. Chciałem, żebyś przeczytał zupełnie inny. Ten budzi… bolesne wspomnienia.

— Są dwie rysy — powiedział Paul.

Naturalnie — pomyślał Yueh. — Wanna zaznaczyła swój ulubiony

passus. Jego palce są wrażliwsze od moich i odnalazły jej znaki. Ślepy przypadek, nic więcej.

— Możliwe, że książka cię zainteresuje — powiedział. — Jest w niej sporo historycznej prawdy, jak również zdrowej etyki filozoficznej.

Paul popatrzył z góry na książeczkę — co za maleństwo. A jednak mieściła w sobie tajemnicę… — coś się stało, kiedy z niej czytał. Poczuł, jak coś targnęło jego strasznym przeznaczeniem.

— Lada chwila przyjdzie tu twój ojciec — powiedział Yueh. — Odłóż Biblię, sięgaj po nią w wolnej chwili.

Paul dotknął krawędzi okładek tak, jak pokazywał mu Yueh. Książka zamknęła się. Wsunął ją pod bluzę. Po tym, jak Yueh na niego ryknął, obawiał się przez moment, że doktor zażąda oddania książki.

— Dziękuję ci za twój dar, doktorze Yueh — powiedział oficjalnym tonem. — Będzie on naszą tajemnicą. Jeżeli jest coś, czego pragniesz ode mnie, jakiś podarunek czy przysługa, proszę, nie wahaj się tego wymienić.

— Ja… nie potrzebuję niczego — odparł Yueh. Po co tu stoję znęcając się nad samym sobą? — myślał. I torturując tego nieszczęsnego chłopca… chociaż on jeszcze o niczym nie wie. Oooch! Przeklęte harkonneńskie bestie! Dlaczego właśnie mnie wybrały na swego złego ducha?

Jak podejść do studiów nad ojcem Muad'Diba? Człowiekiem nadzwyczajnej serdeczności, a zarazem zaskakująco oziębłym był książę Leto Atryda. Jednakże wiele faktów otwiera drogę do tego księcia: bezgraniczna miłość do jego pani Bene Gesserit; marzenia, jakie roił w imieniu swego syna: oddanie, z jakim służyli mu ludzie. Oto on — mężczyzna usidlony przez los, samotna postać, której blask przygasł, przesłonięty chwałą syna. Atoli trzeba postawić pytanie: Czymże jest syn, jak nie przedłużeniem ojca?

z „Muad'Dib, uwagi o rodzinie"
pióra księżniczki Irulan

Paul śledził wkroczenie ojca do sali treningowej, patrzył, jak straż przyboczna rozstawia się za drzwiami. Jeden z ludzi zamknął drzwi.

Paul jak zawsze wyczuwał w ojcu kwintesencję obecności, kogoś całkowicie obecnego tu, gdzie jest. Książę był wysoki, cerę miał

oliwkową. Ostrość rysów jego pociągłej twarzy łagodziły jedynie ciemnoszare oczy. Nosił czarny polowy mundur z czerwonym jastrzębiem herbowym na piersi. Jego wąską talię opinał posrebrzany pas tarczy, pokryty patyną od częstego używania.

— Bardzo jesteś zajęty, synu?

Doszedłszy do stołu w kształcie L rzucił okiem na rozłożone tam papiery, omiótł pokój spojrzeniem i zatrzymał je na Paulu. Był zmęczony, wyczerpany ciągłym ukrywaniem tego zmęczenia. Muszę wykorzystać każdą okazję, by odpocząć w czasie podróży na Arrakis — pomyślał. — Tam nie będzie już takiej okazji.

— Nie bardzo — powiedział Paul. — Wszystko jest takie… — wzruszył ramionami.

— Tak. Więc jutro odlatujemy. Dobrze będzie urządzić się już w nowym domu i zostawić za sobą cały ten kram.

Paul kiwnął głową, znienacka przytłoczony wspomnieniem słów Matki Wielebnej: „…dla ojca — nic".

— Ojcze — powiedział — czy Arrakis jest tak groźna, jak wszyscy mówią?

Książę zmusił się do niedbałego gestu, przysiadł na skraju stołu, uśmiechnął się. W jego umyśle powstał gotowy schemat rozmowy — coś, co mogłoby posłużyć zagrzaniu ludzi przed bitwą. Schemat zamarł, nim został ubrany w słowa, pod wpływem myśli: to jest mój syn.

— Jest groźna — przyznał.

— Hawat mówi, że mamy plany wobec Fremenów — powiedział Paul. Dlaczego nie powtórzę mu, co mówiła stara? — nie mógł pojąć. — W jaki sposób zamknęła mi usta?

Książę zauważył przygnębienie syna i powiedział:

— Hawat jak zwykle widzi tylko główną szansę. A to nie wszystko. Ja widzę również Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles — kompanię KHOAM. Dając mi Arrakis Jego Wysokość jest zmuszony dać nam mandat do zarządu KHOAM… korzyść nie bez znaczenia.

— KHOAM kontroluje przyprawę — powiedział Paul.

— Zaś Arrakis z jej przyprawą jest naszą bramą do KHOAM — mówił dalej książę. — KHOAM to coś więcej niż melanż.

— Czy ostrzegała cię Matka Wielebna? — nie wytrzymał Paul. Zacisnął śliskie od potu dłonie w pięści. Od wysiłku, jakiego potrzebował, by zadać to pytanie.

— Hawat opowiadał, że nastraszyła cię ostrzegając przed Arrakis — rzekł książę. — Nie pozwól, by kobiece lęki zamąciły ci w głowie. Nie ma kobiety, która by chciała narazić na niebezpieczeństwo swoich bliskich. A w tych przestrogach widzę dłoń twej matki. Potraktuj je jako przejaw jej miłości do nas.

— Czy ona wie o Fremenach?

— Tak, i o wielu innych sprawach.

— O czym jeszcze?

Prawda mogłaby okazać się gorsza, niż on sobie wyobraża — pomyślał książę — ale nawet groźne fakty są cenne dla kogoś, kogo nauczono sobie z nimi radzić. I to jest właśnie ta dziedzina, w której niczego nie oszczędzono memu synowi: jak radzić sobie z niebezpiecznymi faktami. Trzeba to jednak złagodzić, jest młody.

— Niewiele produktów omija KHOAM — powiedział. — Dłużyca, osły, konie, krowy, tarcica, obornik, rekiny, skóry wielorybie — najpospolitsze i najbardziej egzotyczne… nawet nasz skromny ryż pundi z Kaladanu. Gildia przewiezie jak leci dzieła sztuki z Ekaz, maszyny z Richesse i z Ix. Wszystko zaś blednie przy melanżu. Za garść przyprawy kupisz dom na Tupile. Jej się nie da wyprodukować, ją się musi wydobywać na Arrakis. Jest unikalna i ma autentyczne właściwości leku geriatrycznego.

— I teraz my nią dysponujemy?

— Do pewnego stopnia. Lecz ważne jest, by brać pod uwagę wszystkie rody zależne od dochodów KHOAM. Nie zapominaj o astronomicznej skali tych zysków płynących z obrotu tylko jednym towarem — przyprawą. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby z jakiegoś powodu spadło wydobycie przyprawy.

— Ktokolwiek zgromadził zapasy melanżu, byłby wygrany. Wszyscy inni pozostają na lodzie.

Książę pozwolił sobie na moment ponurej satysfakcji spoglądając na syna — doceniał przenikliwość i naukową rzetelność jego spostrzeżenia. Potwierdził skinieniem głowy.

— Harkonnenowie gromadzą zapasy od ponad dwudziestu lat.

— Chodzi im o zmniejszenie wydobycia przyprawy i zrzucenie winy na ciebie.

— Chcą, aby imię Atrydów stało się niepopularne — powiedział książę. — Pomyśl o rodach Landsraadu, które mnie w pewnej mierze uważają za swego przywódcę, nieoficjalnego rzecznika. Pomyśl, jak by one zareagowały, gdyby się okazało, że jestem odpowiedzialny za poważny spadek ich dochodów. Ostatecznie bliższa koszula ciału i do diabła z Wielką Konwencją! Nie pozwolimy, by ktoś nas rujnował! — Nieprzyjemny uśmiech wykrzywił wargi księcia. — Odwróciliby się tyłem bez względu na to, jak by mnie wykańczano.

— Nawet gdyby zaatakowano nas bronią jądrową?

— Po co aż taki skandal. Po cóż otwarcie gwałcić Konwencję. Lecz poza tym prawie wszystkie chwyty dozwolone… może nawet pył radioaktywny i lekkie zatrucie gleby.

— Więc dlaczego się w to pakujemy?

— Paul! — książę z dezaprobatą spojrzał na syna. — Pierwszy

krok do ominięcia pułapki to uświadomić sobie, gdzie ona jest. To przypomina pojedynek, synu, tylko na większą skalę: finta wewnątrz finty w fincie… pozornie bez końca. Trzeba to rozwikłać. Wiedząc, że Harkonnenowie gromadzą zapasy melanżu, stawiamy kolejne pytanie: kto jeszcze to robi? Odpowiedź daje listę naszych wrogów.

— Kto?

— O niektórych rodach wiemy, że są nam nieprzyjazne, niektóre uważamy za przyjazne. Nie musimy brać ich pod uwagę w tej chwili, ponieważ jest ktoś inny nieporównanie ważniejszy: nasz ukochany Padyszach Imperator.

Paul próbował przełknąć nagłą suchość w ustach.

— Nie mógłbyś zwołać Landsraadu, ujawnić…

— Ujawnić swojemu przeciwnikowi, że wiemy, w której ręce ma nóż? Ależ, Paul, teraz, my ten nóż widzimy. Kto wie, gdzie może następnie zostać przerzucony? Przedkładając to Landsraadowi wywołamy jedno wielkie zamieszanie. Imperator zaprzeczy. Któż by mu zadał kłam? Zyskalibyśmy jedynie trochę czasu ryzykując chaos. A skąd by wyszedł następny atak?

— Wszystkie rody mogłyby zacząć gromadzić zapasy przyprawy.

— Przeciwnicy wcześniej wystartowali, mają za dużą przewagę, by ich prześcignąć.

— Imperator — powiedział Paul. — To znaczy sardaukarzy.

— Przebrani w mundury Harkonnenów, rzecz jasna — dodał książę. — Ale fanatyczni żołnierze tym niemniej.

— Co mogą nam pomóc Fremeni przeciwko sardaukarom?

— Hawat mówił ci o Salusa Secundus?

— Więziennej planecie Imperatora? Nie.

— A jeżeli jest ona czymś więcej niż więzieniem Imperatora, Paul? Istnieje takie nigdy nie postawione głośno pytanie dotyczące Korpusu Imperialnego Sardaukarów: skąd oni się biorą?

— Z więziennej planety?

— Skądś pochodzą.

— A owe posiłkowe zaciągi wymagane przez Imperatora od…

— W to właśnie mamy wierzyć, że sardaukarzy są po prostu rekrutami Imperatora, od młodych lat szkolonymi do perfekcji. Słyszy się sporadyczne plotki o szkoleniowych kadrach Imperatora, lecz równowaga naszej cywilizacji się nie zmienia: po jednej stronie siły militarne wyższych rodów Landsraadu, sardaukarzy i ich posiłkowe zaciągi po drugiej. I ich posiłkowe zaciągi, Paul. Sardaukarzy są sardaukarami.

— Ale wszystkie doniesienia o Salusa Secundus mówią, że planeta jest piekłem!

— Niewątpliwie jest. Lecz gdybyś zamierzał wychować ludzi twardych, mocnych, zaciekłych, to jakie warunki środowiska

naturalnego byś im stworzył?

— Jak można zyskać lojalność takich ludzi?

— Są na to wypróbowane sposoby: wygrywanie ich oczywistej świadomości, że są lepsi, mistycyzm tajnego przymierza, duch wspólnie dzielonej niedoli. To się da zrobić. To się dało zrobić na wielu planetach w wielu okresach.

Paul przytaknął ruchem głowy, ani na moment nie odrywając wzroku od twarzy ojca. Czuł, że zanosi się na jakąś rewelację.

— Weźmy Arrakis — mówił książę — jeśli wyjść poza miasta i osady garnizonowe, jest ona nie mniej strasznym miejscem od Salusa Secundus.

Paulowi rozszerzyły się źrenice.

— Fremeni!

— Mamy tam potencjalny korpus równie silny i straszliwy jak sardaukarzy. Trzeba będzie cierpliwości, by ich potajemnie wykorzystać oraz majątku na odpowiednie ich wyposażenie. Ale Fremeni tam są i jest tam przyprawowe bogactwo. Rozumiesz teraz, dlaczego pakujemy się w Arrakis wiedząc, że jest ona pułapką?

— Czy Harkonnenowie nie wiedzą o Fremenach?

— Harkonnenowie naigrawali się z Fremenów, polowali na nich dla sportu, nigdy nie zadając sobie trudu, by ich chociażby policzyć. Znamy politykę Harkonnenów wobec ludności planet: jak najmniej łożyć na jej utrzymanie.

Metaliczne nitki w godle jastrzębia na piersi ojca Paula zalśniły, kiedy książę zmieniał pozycję.

— Teraz rozumiesz?

— Obecnie prowadzimy negocjacje z Fremenami — powiedział Paul.

— Wysłałem misję pod dowództwem Duncana Idaho — potwierdził książę. — Dumny i bezwzględny człowiek ten Duncan, ale rozmiłowany w prawdzie. Myślę, że Fremeni będą go podziwiać. Przy odrobinie szczęścia może i nas osądzą według niego: Duncan bez skazy.

— Duncan bez skazy — powtórzył Paul — i Gurney waleczny.

— Trafnie ich nazywasz — powiedział książę. Zaś Paul pomyślał: Gurney jest jednym z tych, których miała na myśli Matka Wielebna, mówiąc o „waleczności dzielnych", on jest obrońcą światów.

— Gurney mówił, że byłeś dzisiaj dobry w fechtunku — rzekł książę.

— Mnie powiedział co innego.

Książę roześmiał się na całe gardło.

— Domyślam się, że Gurney jest skąpy w pochwałach. Mówi, że posiadasz finezyjne wyczucie różnicy — to jego własne słowa — pomiędzy ostrzem a sztychem.

— Gurney uważa, że nie ma artyzmu w zabiciu sztychem, że należy to zrobić ostrzem klingi.

— Gurney jest romantykiem — mruknął książę. To gadanie syna o zabijaniu nagle go zdenerwowało. — Wolałbym, żebyś nigdy nie musiał zabijać… ale gdy zaistnieje potrzeba, zrób to, jak się da — sztychem czy ostrzem, wszystko jedno.

Popatrzył w górę na świetlik, o który dzwonił deszcz. Idąc za spojrzeniem ojca Paul pomyślał o mokrych niebiosach nad głową, rzeczy według wszelkich danych nigdy nie spotykanej na Arrakis i ta refleksja o niebiosach wywiodła go duchem w przestrzeń poza nimi.

— Czy statki Gildii rzeczywiście są ogromne?

Książę przyjrzał się synowi.

— Pierwszy raz opuścisz planetę — powiedział. — Tak, są duże. Polecimy galeonem, bo droga daleka. Galeon jest rzeczywiście ogromny. Wszystkie nasze fregaty i pojazdy dadzą się wcisnąć w maleńki zakamarek ładowni; będziemy zaledwie drobnym podpunktem w manifeście statku.

— I nie będziemy mogli opuścić naszych fregat?

— To wchodzi w cenę płaconą za gwarancje Gildii. Obok nas mogłyby leżeć statki Harkonnenów i nic nam by nie groziło z ich strony. Harkonnenowie nie są tacy głupi, by narażać swoje przywileje przewozowe.

— Będę obserwował nasze ekrany i spróbuję wypatrzyć Gildianina.

— Nie wypatrzysz. Gildianina nie widzieli nawet jego właśni agenci. Gildia strzeże swego odosobnienia równie zazdrośnie jak monopolu. Nie rób niczego, co by zaszkodziło naszym przywilejom przewozowym, Paul.

— Myślisz, że oni chowają się, ponieważ ulegli mutacji i już nie wyglądają jak ludzie?

— Kto wie? — książę wzruszył ramionami. — Tej zagadki chyba nie rozwiążemy. Mamy bardziej palące problemy, wśród nich ciebie.

— Mnie?

— Matka chciała, abym to ja ci o tym powiedział, synu. Widzisz… ty prawdopodobnie posiadasz zdolności mentata.

Paul wytrzeszczył oczy na ojca, nie mogąc przez moment wydobyć głosu.

— Mentata? Ja? Ale ja…

— Hawat to potwierdza, synu. To prawda.

— Ale ja sądziłem, że szkolenie mentata musi się zaczynać w okresie niemowlęcym i nie wolno mu o tym powiedzieć, gdyż mogłoby to powstrzymać początkowe…

Urwał, bo wszystko co do tej pory przeżył, ześrodkowało się w jednej błyskawicznej kalkulacji.

— Tak — powiedział.

— Przychodzi dzień — rzekł książę — kiedy potencjalny mentat musi się dowiedzieć, co się dzieje. To już się dalej nie może dziać bez niego. Mentat musi współuczestniczyć w podjęciu decyzji, czy iść dalej, czy dać sobie spokój ze szkoleniem. Jedni są w stanie iść dalej, inni nie. Jedynie potencjalny mentat może znaleźć w sobie właściwą odpowiedź.

Paul potarł brodę. Wszystkie dodatkowe nauki Hawata i matki — mnemonika, koncentracja świadomości, opanowanie mięśni, wyostrzenie zmysłów, języki i niuanse głosów — to wszystko zaskoczyło w nowego rodzajuświadomość wewnątrz jego umysłu.

— Pewnego dnia zostaniesz księciem, synu — powiedział jego ojciec. — Książę mentat — to byłoby wspaniałe. Czy możesz się zdecydować teraz… czy potrzeba ci trochę czasu?

W odpowiedzi Paula nie było wahania.

— Będę się dalej szkolił.

— Zaiste wspaniale — wyszeptał książę i Paul zobaczył uśmiech dumy na obliczu ojca. Wstrząsnął nim ten uśmiech. Ze szczupłej twarzy księcia wyjrzała szczerząca zęby czaszka. Paul zamknął oczy czując, jak budzi się w nim ponownie jego straszne przeznaczenie. Może bycie mentatem jest straszliwym przeznaczeniem — pomyślał. Lecz nawet kiedy się uczepił tej myśli, jego nowa świadomość zaprzeczyła temu.

> *Z pojawieniem się lady Jessiki na Arrakis w pełni zaowocował system Bene Gesserit rozsiewania za pośrednictwem Missionaria Protectiva mitotwórczych ziaren. Od dawna doceniano mądrość w omotaniu znanego wszechświata siatką proroctw mającą chronić personel Bene Gesserit, ale nigdy nie widzieliśmy condicio-ut-extremis z idealniejszym połączeniem osoby i przygotowanego gruntu. Prorocze legendy przyjęły się na Arrakis do tego stopnia, że przyswojono je z etykietami (łącznie z Matką Wielebną, suplikacjami i responsem oraz większością Szari-a z panoplia propheticus). Uważa się też teraz powszechnie, że utajone zdolności lady Jessiki zostały skandalicznie nie docenione.*
>
> *z „Analizy: Kryzys Arrakański”*

pióra księżniczki Irulan (Obieg prywatny: numer katalogu B.G.: AR-81088587)

Wszędzie wokół lady Jessiki — zwalony w rogach ogromnego arrakińskiego westybulu, spiętrzony na dziedzińcu — zalegał spakowany dorobek ich życia: pudła, kufry, kartony, skrzynie, niektóre częściowo rozpakowane. Słyszała, jak tragarze z miejscowej spedycji Gildii składają u wejścia kolejny ładunek.

Jessika stała pośrodku westybulu. Powolutku zaczęła się obracać w miejscu, wodząc wzrokiem po ocienionych rzeźbieniach u góry, po pęknięciach i głębokich wnękach okiennych dokoła. Swym anachronicznym ogromem pomieszczenie przypominało jej refektarz żeński w szkole Bene Gesserit. Tylko że w szkole sprawiało to przytulne wrażenie. Tutaj nic jeno zimny kamień. Jakiś architekt sięgnął do bardzo odległej historii po te ścienne przypory i mroczne draperie, pomyślała. Dwa piętra ponad nią wznosiły się sklepienia sufitu z olbrzymimi belami rozporowymi, które — była pewna — zostały przywiezione na Arrakis z przestrzeni kosmicznej za monstrualną cenę. Żadna planeta tego systemu nie zrodziła drzew na wyrobienie takich belek, chyba że były one imitacją drewna. Nie wydawało jej się to prawdopodobne. Znajdowała się w rządowej rezydencji z okresu Starego Imperium. Wtedy koszty nie miały większego znaczenia. Wszystko to zostało wzniesione przed Harkonnenami i ich nową metropolią Kartagin — tandetnym i jarmarcznym miastem za Ziemią Skalistą, jakieś dwieście kilometrów na północny wschód. Mądrze postąpił Leto wybierając to miejsce na siedzibę swego rządu. Nazwa Arrakin miała dobre, wypełnione tradycją brzmienie. I miasto było mniejsze, łatwiejsze do zaprowadzenia porządku i obrony.

Ponownie rozległ się łoskot wyładowywanych w bramie skrzyń. Jessika westchnęła. Na prawo od niej stał oparty o pudło portret ojca księcia. Poszarpany sznurek pakowy zwisał z niego niczym ozdoba. Kawałek tego sznurka ciągle jeszcze tkwił w zaciśniętej dłoni Jessiki. Obok malowidła leżała czarna głowa byka zamocowana na wypolerowanej desce. Głowa tworzyła ciemną wyspę w morzu papierowych opakowań. Leżała deską do podłogi i lśniące nozdrza byka sterczały ku sufitowi, jakby zwierzę miało za chwilę ryknąć i rzucić wyzwanie w tę rozlegającą się echem salę. Jessika zastanawiała się, pod wpływem jakiego nakazu odpakowała najpierw te dwie rzeczy — głowę i malowidło. Wiedziała, że w jej działaniu było coś symbolicznego. Od dnia, w którym nabywcy księcia zabrali ją ze szkoły, nigdy jeszcze nie czuła się tak wystraszona i niepewna siebie.

Głowa i malowidło.

Oba przedmioty potęgowały w niej uczucie zagubienia. Zadrżała podnosząc oczy na wysoko umieszczone okna szczelinowe. Nadal było wczesne popołudnie i w tych szerokościach geograficznych niebo wydawało się czarne i zimne, o ileż ciemniejsze od ciepłego błękitu nad Kaladanem. Przeszył ją dreszcz nostalgii. Jakże daleko od Kaladanu.

— Jesteś!

Głos należał do księcia Leto. Odwróciła się błyskawicznie i ujrzała, jak przekracza łukowe przejście z sali jadalnej. Jego czarny mundur polowy z czerwonym jastrzębiem na piersi sprawiał wrażenie zakurzonego i wymiętego.

— A już myślałem, że się zgubiłaś w tej szkaradnej siedzibie — powiedział.

— Zimno tu — odparła. Patrzyła na jego wysoką postać, na ciemną cerę, przywodzącą jej na myśl gaje oliwne i złote promienie słońca na lazurowej toni. Szarość jego oczu przypominała dym ogniska, ale twarz była drapieżna: wąska, pełna ostrych kątów i powierzchni. Pierś jej ścisnął nagły strach przed nim. Stał się brutalny i bezwzględny, od kiedy zdecydował się usłuchać rozkazu Imperatora.

— Całe miasto jest odpychająco zimne — dodała.

— To brudna, zapiaszczona mała garnizonowa mieścina — zgodził się. — Ale zmienimy ją. — Rozejrzał się po sali. — To są pomieszczenia publiczne dla oficjalnych uroczystości. Dopiero co oglądałem apartamenty mieszkalne w południowym skrzydle. Są o wiele milsze.

Podszedł bliżej i dotknął jej ramienia, napawając się jej majestatycznym wyglądem. I po raz któryś z kolei zastanowił się nad tajemnicą jej pochodzenia — może jakiś ród renegacki? Jakaś czarna owca w rodzinie królewskiej? Wygląd miała bardziej królewski niż własne potomstwo Imperatora. Pod naciskiem jego spojrzenia na wpół odwróciła się od niego, ukazując profil. Zdał sobie sprawę, że jej uroda nie skupiła się w żadnym określonym szczególe. Owalna twarz pod kopułą włosów koloru wypolerowanego brązu. Szeroko rozstawione oczy, zielone i przejrzyste jak poranne niebo nad Kaladanem. Nos mały, usta szerokie i pełne. Zgrabna choć szczupła — jej okrągłości niknęły przy wysokiej, smukłej figurze. Przypomniał sobie, że zatrudnione w szkole siostry przezywały ją chudzielcem, jak mu powiedzieli jego agenci handlowi. Ale ten jej obraz był przesadnym uproszczeniem. Jessika ponownie wniosła królewskie piękno do rodu Atrydów. Cieszył się, że Paul ją uwielbia.

— Gdzie Paul? — zapytał.

— Ma lekcję z Yuem gdzieś w budynku.

— Pewnie w południowym skrzydle — powiedział. — Wydawało

mi się, że słyszę głos Yuego, ale nie miałem czasu tam zajrzeć.

Zerknął na nią spod oka, z wahaniem.

— Właściwie wpadłem tutaj tylko po to, by zawiesić klucz od Zamku Kaladańskiego w sali jadalnej.

Zaparło jej dech, o mało nie wyciągnęła rąk do niego. Zawieszenie klucza — w czynności tej była ostateczność. Lecz ani pora, ani miejsce nie sprzyjały dodawaniu sobie wzajemnie otuchy.

— Widziałam naszą flagę na dachu, jak wchodziliśmy — powiedziała.

Rzucił okiem na portret swego ojca.

— Gdzie zamierzałaś to powiesić?

— Gdzieś tutaj.

— Nie.

Słowo zabrzmiało sucho i nieodwołalnie i zrozumiała, że tylko uciekając się do podstępu mogła mu to wyperswadować, bo otwarty spór niczego tu nie da. Mimo to musiała próbować, choćby akt ten miał jej tylko przypomnieć, że księcia nie oszuka.

— Panie mój — odezwała się — gdybyś tylko…

— Odpowiedź niezmiennie brzmi: nie. Aż wstyd, jak ci prawie we wszystkim ustępuję, ale w tej sprawie nie ustąpię. Wracam właśnie z jadalni, gdzie są…

— Panie mój! Błagam.

— Wybór jest pomiędzy twoją niestrawnością a moją dumą rodową, moja droga — powiedział. — Będą wisiały w jadalni.

Westchnęła.

— Tak, mój panie.

— Możesz wrócić do zwyczaju jadania w swoich pokojach, kiedy to będzie możliwe. Oczekuję cię na przynależnym ci miejscu jedynie przy oficjalnych okazjach.

— Dziękuję, mój panie.

— I daj spokój z całą tą oziębłością i oficjalnym tonem! Bądź wdzięczna, że się z tobą nigdy nie ożeniłem. Wtedy siedzenie ze mną za stołem przy każdym posiłku byłoby twoim obowiązkiem.

Twarz jej pozostała nieruchoma, skłoniła głowę.

— Hawat umieścił już nasz własny wykrywacz trucizny nad stołem w jadalni — powiedział. — W twoim pokoju znajduje się przenośny.

— Przewidywałeś ten… konflikt — powiedziała.

— Moja droga, myślę też o twojej wygodzie. Nająłem służbę. Miejscowi, ale Hawat dobrał ich starannie — wszyscy są Fremenami. Wystarczą do czasu, kiedy będziemy mogli zwolnić naszych ludzi z innych obowiązków.

— Czy komukolwiek stąd można ufać?

— Każdemu, kto nienawidzi Harkonnenów. Może nawet zechcesz

zatrzymać na stałe ochmistrzynię, nazywa się Szadout Mapes.

— Szadout — powtórzyła Jessika. — Fremeński tytuł?

— Powiedziano mi, że to znaczy „czerpiąca ze studni”; ma to raczej ważne tutaj podteksty. Może nie zrobić na tobie wrażenia typowej służącej, ale Hawat wyraża się o niej z uznaniem na podstawie raportów Duncana. Obaj są przekonani, że ona pragnie u nas służyć, dokładniej: pragnie służyć tobie.

— Mnie?

— Fremeni dowiedzieli się, że jesteś Bene Gesserit — powiedział. — Tutaj krążą legendy o Bene Gesserit.

Missionaria Protectiva — pomyślała Jessika. — Nie ominą żadnego miejsca.

— Czy to znaczy, że Duncanowi się powiodło? — spytała. — Czy Fremeni zostaną naszymi sojusznikami?

— To jeszcze nic pewnego — powiedział. — Duncan uważa, że chcą się nam trochę przypatrzeć. Obiecali jednakże wstrzymać się od nalotów na nasze pograniczne osady na czas obecnego rozejmu. Ma to większe znaczenie, niż mogłoby się wydawać. Hawat mówi, że Fremeni byli jak cierń wbity głęboko w bok Harkonnenów, że rozmiary ich najazdów stanowiły pilnie strzeżoną tajemnicę. Imperator nie piałby z zachwytu na wieść o wojskowej niewydolności Harkonnenów.

— Ochmistrzyni Fremenka — zadumała się Jessika, wracając do tematu Szadout Mapes. — Całe oczy będzie miała błękitne.

— Nie daj się zwieść wyglądem tych ludzi — powiedział książę. — Tkwi w nich głęboko siła i zdrowa żywotność. Myślę, że mają wszystko, czego nam trzeba.

— To niebezpieczna gra — powiedziała.

— Nie roztrząsajmy tego na nowo — uciął.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— To pewne, że kości zostały rzucone.

Zaaplikowała sobie skrócony obrzęd uspokojenia — dwa głębokie oddechy, rytualny namysł. Po chwili spytała:

— Czy jakiś pokój mam zatrzymać specjalnie dla ciebie?

— Któregoś dnia musisz mnie nauczyć, jak to się robi — powiedział. — W jaki sposób odsuwasz na bok troski i zabierasz się do zajęć praktycznych. To musi być coś z Bene Gesserit.

— To coś kobiecego — powiedziała.

Uśmiechnął się.

— A więc przydzielamy pokoje: nie zapomnij o obszernym gabinecie dla mnie tuż przy sypialni. Tutaj będzie więcej papierkowej roboty niż na Kaladanie. Pokój na wartownię, oczywiście. To by było wszystko. Nie martw się o bezpieczeństwo rezydencji. Ludzie Hawata przeczesali ją skrupulatnie.

— Nie wątpię.

Rzucił okiem na zegarek.

— I mogłabyś dopilnować, aby wszystkie nasze chronometry przestawiono na miejscowy czas arrakański. Wyznaczyłem technika do tego zajęcia. Zjawi się lada chwila.

Odgarnął jej pasmo włosów z czoła.

— Muszę już wracać na lądowisko. Za moment spodziewamy się drugiego promu z resztą personelu.

— Nie mógłby ich przyjąć Hawat, panie mój? Wydaje się, że jesteś bardzo zmęczony.

— Zacny Thufir jest jeszcze bardziej zapracowany niż ja. Wiem, że ta planeta jest dotknięta plagą intryg harkonneńskich. Poza tym muszę wyperswadować niektórym wyszkolonym poszukiwaczom chęć odjazdu. Mają opcję, rozumiesz, przy zmianie lenna, zaś ten planetolog ustanowiony przez Imperatora i Landsraad na Sędziego Zmiany nie da się kupić. Zezwala im optować. Około ośmiuset wyszkolonych najemników czeka na odlot promem kosmicznym, a na orbicie czeka towarowiec Gildii.

— Panie mój… — urwała z wahaniem.

— Tak?

Nie da się odciągnąć od prób zapewnienia nam bezpieczeństwa na tej planecie — pomyślała. — A ja nie jestem w stanie użyć wobec niego swoich sztuczek.

— O której godzinie życzysz sobie, żeby podano obiad? — spytała.

Nie to chciała powiedzieć — pomyślał. — Ach, moja Jessiko, żebyśmy tak znaleźli się gdzieś indziej, gdziekolwiek, byle z dala od tego straszliwego miejsca — sami, tylko we dwoje, bez żadnych zmartwień.

— Zjem w oficerskiej mesie na lądowisku — odparł. — Nie spodziewaj się mnie dziś wcześniej niż dopiero bardzo późnym wieczorem. I… och, wkrótce przyślę samochód strażniczy po Paula. Chcę, by wziął udział w naszej radzie strategicznej.

Odchrząknął, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, po czym obrócił się znienacka na pięcie i pomaszerował do wyjścia, skąd dochodziły odgłosy zwalania kolejnych skrzyń. Raz jeszcze doleciały stamtąd jego słowa, wypowiedziane tonem władczym i lekceważącym, jakim zawsze zwracał się do służby, kiedy się spieszył:

— Lady Jessika jest w Wielkiej Sali. Idź do niej natychmiast.

Usłyszała trzaśniecie drzwi wyjściowych.

Jessika odwróciła się, stając naprzeciwko portretu ojca Leto. Namalował go sławny artysta Albe, gdy Stary Książę był w średnim wieku. Sportretowany został w kostiumie matadora z purpurową peleryną przerzuconą przez lewe ramię. Twarz miał młodą, niewiele

starszą od obecnej twarzy Leto, z tymi samymi drapieżnymi rysami, z tym samym spojrzeniem szarych oczu. Zacisnęła pięści u boków spoglądając z furią na obraz.

— Zgiń, przepadnij! Zgiń, przepadnij! Zgiń, przepadnij! — wyszeptała.

— Jakie są twoje rozkazy, szlachetnie urodzona?

Głos był kobiecy, cienki i metaliczny. Jessika odwróciła się i zmierzyła wzrokiem żylastą, siwowłosą kobietę w bezkształtnej, workowatej sukni koloru poddańczego brązu. Zauważyła, że kobieta jest pomarszczona i wyschnięta, jak wszyscy w tłumie witających ich tego ranka w drodze z lądowiska. Jessika pomyślała, że wszyscy tubylcy, jakich tu zobaczyła, sprawiają wrażenie zagłodzonych i wysuszonych jak śliwki. A mimo to Leto uważał, że są silni i żywotni. No i te oczy, jakżeby nie — ów nalot najgłębszego, najciemniejszego błękitu bez śladu białka — sekretne i tajemnicze. Jessika zmusiła się do odwrócenia wzroku. Kobieta sztywno skłoniła głowę.

— Nazywają mnie Szadout Mapes, szlachetnie urodzona. Czekam na twoje rozkazy.

— Możesz się do mnie zwracać „moja pani” — powiedziała Jessika. — Nie jestem szlachetnie urodzona. Jestem konkubiną przypisaną księciu Leto.

Znów ten dziwny skłon głowy, po którym kobieta przeszyła Jessikę chytrym, badawczym spojrzeniem.

— A więc ma żonę?

— Nie ma i nigdy nie miał. Ja jestem jedyną… towarzyszką księcia, matką jego prawowitego dziedzica.

Mówiąc to Jessika śmiała się w duchu z dumy kryjącej się za jej słowami. Co to powiedział święty Augustyn? — spytała samą siebie. „Umysł rozkazuje ciału i ono jest posłuszne. Umysł rozkazuje sobie samemu i natrafia na opór”. Tak, ostatnio opór jest coraz silniejszy. Chciałabym zaszyć się w mysiej dziurze.

Przedziwny krzyk rozległ się na drodze pod murami budynku.

— Suu-suu-suuk! Suu-suu-suuk! — Po czym: — Ikut-ej! Ikut-ej! — I znowu: — Suu-suu-suuk!

— Co to jest? — zapytała Jessika. — Słyszałam to kilka razy dziś rano, kiedy przejeżdżaliśmy ulicami.

— To po prostu sprzedawca wody, moja pani. Ale ty nie masz potrzeby interesować się takimi jak oni. Masz tu cysternę mieszczącą pięćdziesiąt tysięcy litrów wody i pilnujemy, by była ona zawsze pełna.

Spuściła oczy na swoją suknię.

— No proszę, spójrz tylko, moja pani, nawet nie muszę tutaj nosić swego filtrfraka. — Zachichotała. — A przecież żyję!

Jessika wahała się — chciała wypytać tę Fremenkę, potrzebując

informacji, które by stanowiły jakieś wskazówki. Lecz zaprowadzenie porządku na zamku było pilniejsze. Zmieszała się na myśl o tym, że woda stanowi główny miernik bogactwa.

— Mąż mówił mi o twym przydomku, Szadout. Rozpoznałam to słowo. Jest bardzo stare.

— Więc znasz stare języki? — spytała Mapes i czekała w dziwnym napięciu.

— Języki to pierwsza lekcja Bene Gesserit — powiedziała Jessika. — Znam Bhotani Dżib i Chakobsa, i wszystkie języki łowców.

Mapes kiwnęła głową.

— Tak jak głosi legenda.

Po co ja gram tę komedię? — zadawała sobie pytanie Jessika. Lecz zawiłe i zniewalające były ścieżki Bene Gesserit.

— Znam Mroczne Sprawy i drogi Wielkiej Macierzy — powiedziała Jessika. Dostrzegała coraz czytelniejsze sygnały w reakcjach i postawie Mapes, zdradzające ją drobne znaki.

— Miseces predżia — odezwała się w języku Chakobsa. — Andral t're pera! Trada cik buscakri miseces perakri…

Mapes zrobiła krok w tył, jakby gotując się do ucieczki.

— Wiem o wielu sprawach — powiedziała Jessika. — Wiem, że zrodziłaś dzieci i że straciłaś ukochane osoby, że ukryłaś się w trwodze, że przelałaś krew i że ją jeszcze przelejesz. Wiem wiele rzeczy.

Mapes powiedziała cichym głosem:

— Nie chciałam cię obrazić, moja pani.

— Mówisz o legendach i poszukujesz odpowiedzi — powiedziała Jessika. — Strzeż się odpowiedzi, jakie możesz znaleźć. Wiem, że przyszłaś z bronią w zanadrzu, gotowa przelać krew.

— Moja pani, ja…

— Być może nawet moją — ciągnęła Jessika — lecz czyniąc to sprowadziłabyś więcej nieszczęścia, niż potrafisz sobie wyobrazić w swych najczarniejszych obawach. Są rzeczy gorsze od śmierci, nawet od śmierci całego ludu.

— Moja pani! — błagała Mapes. Wydawało się, że za chwilę padnie na kolana. — Broń przesłano jako dar dla ciebie, gdybyś się okazała Tą Jedyną.

— I jako narzędzie mej śmierci, gdyby się okazało inaczej — dodała Jessika. Czekała pozornie rozluźniona, co czyniło wyszkolone Bene Gesserit tak straszliwymi w walce. Teraz zobaczymy, jaka będzie decyzja — pomyślała.

Z wolna Mapes sięgnęła za dekolt sukni i wyciągnęła ciemną pochwę. Wystawała z niej czarna rękojeść z głębokimi żłobieniami na palce. Ująwszy pochwę jedną dłonią, a rękojeść drugą, dobyła nóż i uniosła w górę mlecznobiałe ostrze. Wydawało się, że świeci ono i

migoce własnym światłem. Dwusieczna jak chandżar klinga miała pewnie dwadzieścia centymetrów długości.

— A to znasz, moja pani? — zapytała Mapes.

To mogło być — jak wiedziała Jessika — tylko jedno, legendarny krysnóż Arrakis, ostrze, które nigdy nie opuściło planety, znane jedynie z pogłosek i fantastycznych plotek.

— To jest krysnóż.

— Nie wymawiaj tego tak niefrasobliwie — powiedziała Mapes. — Czy znasz sens tego słowa?

W tym pytaniu jest haczyk — pomyślała Jessika. — To jest powód, dla którego ta Fremenka przyjęła u mnie służbę — aby zadać to jedno pytanie. Moja odpowiedź może popchnąć na drogę przelewu krwi… albo… albo co? Ona żąda ode mnie odpowiedzi: co znaczy ten nóż. Ona nazywa się Szadout w języku Chakobsa. Nóż to w Chakobsa „śmierci stworzyciel". Zaczyna się denerwować. Muszę już odpowiedzieć. Zwłoka jest równie niebezpieczna jak niewłaściwa odpowiedź.

— To jest stworzyciel.

— Ejjiiii! — zaskowytała Mapes. W jej głosie był żal i jednocześnie uniesienie. Dygotała tak silnie, że ostrze noża rzucało ogniste błyski na cały pokój. Jessika czekała w bezruchu. Zamierzała powiedzieć, że nóż jest stworzycielem śmierci, a następnie dorzucić starożytne słowo, lecz wszystkie zmysły ostrzegały ją teraz, jej cała dogłębnie wytrenowana czujność, wydobywająca znaczenia z najbardziej zdawkowego drgnienia mięśni.

Słowem — kluczem był… stworzyciel. Stworzyciel? Stworzyciel. Ciągle jeszcze Mapes trzymała nóż, jakby go miała za chwilę użyć.

— Sądziłaś — powiedziała Jessika — że ja, znająca tajemnice Wielkiej Macierzy, nie poznałabym stworzyciela?

Mapes opuściła nóż.

— Moja pani, kiedy obcuje się z proroctwem tak długi czas, chwila objawienia jest szokiem.

Jessika pomyślała o proroctwie — o Szari-a i całej panoplia propheticus, o jakiejś Bene Gesserit z Missionaria Protectiva zrzuconej tu całe stulecia temu, zapewne dawno już zmarłej, która jednak osiągnęła swój cel: zaszczepiła tym ludziom mit dla ochrony sióstr Bene Gesserit, gdyby pewnego dnia któraś znalazła się w opałach. Cóż, ten dzień nadszedł. Mapes wsunęła nóż z powrotem do pochwy.

— To jest nietrwałe ostrze, moja pani. Noś je przy sobie. Wystarczy, że będzie dłużej niż tydzień z dala od ciała, a zacznie się rozpadać. On jest twój, ten ząb shai-hu-luda, na całe twoje życie.

Jessika wyciągnęła rękę, zaryzykowała zagranie:

— Mapes, schowałaś bezkrwawe ostrze.

Mapes zaparło dech, upuściła nóż w pochwie na dłoń Jessiki i

rozerwała brązowy stanik zawodząc:

— Bierz wodę mojego życia!

Jessika wyjęła nóż z pochwy. Ależ lśnił! Skierowała czubek klingi w stronę Mapes i zauważyła, jak kobietę ogarnia strach większy niż strach przed śmiercią. Czyżby trucizna w sztychu? — pomyślała. Odchyliła sztych do góry, ostrzem klingi delikatnie drasnęła Mapes nad lewą piersią. Wypłynęła gęsta krew, która prawie natychmiast zakrzepła. Ultraszybka koagulacja — pomyślała Jessika. — Mutacja zatrzymująca wilgotność? Wsunęła ostrze do pochwy.

— Zapnij sukienkę, Mapes — powiedziała.

Mapes usłuchała drżąc na całym ciele. Pozbawione białka oczy wlepione były w Jessikę.

— Nasza jesteś — wymamrotała. — Jesteś Tą Jedyną.

Rozległ się łoskot towarzyszący kolejnemu wyładunkowi przy bramie. Mapes szybko porwała tkwiący w pochwie nóż i wsunęła go Jessice za stanik.

— Każdego, kto ujrzy ten nóż, trzeba oczyścić lub zabić! — warknęła. — Wiesz o tym, moja pani!

Teraz wiem — pomyślała Jessika.

Tragarze odjechali nie wchodząc do Wielkiej Sali. Mapes uspokoiła się.

— Nie oczyszczeni, którzy widzieli krysnóż, nie mogą żywi opuścić Arrakis, Nigdy o tym nie zapomnij, moja pani. Powierzono ci krysnóż. — Odetchnęła głęboko. — Teraz sprawa musi się toczyć własnym torem. Nie można tego przyśpieszyć.

Spojrzała na spiętrzone stosy skrzyń i zwalone na kupę wokół nich rzeczy. — A mamy tu sporo roboty dla zabicia czasu.

Jessika biła się z myślami. Sprawa musi się toczyć własnym torem. Była to formuła typowa dla zaklęć magicznych Missionaria Protectiva — „Nadejście Matki Wielebnej wolność wam niosącej”. Ale ja nie jestem Matką Wielebną — pomyślała Jessika. I zaraz potem: Wielka Macierzy! I tę tu wsadzili! To dopiero musi być upiorne miejsce!

Mapes zapytała zdawkowym tonem:

— Od czego każesz mi zacząć, moja pani?

Instynkt ostrzegł Jessikę, by podtrzymała ów obojętny ton. Powiedziała:

— Tam stoi portret Starego Księcia, trzeba go zawiesić na bocznej ścianie w jadalni. Łeb byka musi pójść na ścianę z drugiej strony naprzeciwko malowidła.

Mapes podeszła do głowy byka.

— Ależ to zwierzę musiało być wielkie, żeby nosić taki łeb — powiedziała. Nachyliła się. — Będę musiała to najpierw oczyścić, nieprawdaż, moja pani?

— Nie.

— Przecież rogi lepią mu się od brudu.

— To nie brud, Mapes. To krew ojca naszego księcia. Te rogi zostały spryskane przezroczystym utrwalaczem w parę godzin po tym, jak owo zwierzę zabiło Starego Księcia.

Mapes podniosła się.

— Ach tak! — powiedziała.

— To tylko krew — rzekła Jessika. — I do tego stara. Weź sobie teraz kogoś do pomocy przy zawieszaniu. Te paskudztwa są ciężkie.

— Myślałaś, że krew robi na mnie wrażenie? — spytała Mapes. — Pochodzę z pustyni i widziałam wiele krwi.

— To… to widać — powiedziała Jessika.

— W tym trochę swojej własnej — dodała Mapes. — Więcej, niż upuściłaś mi swym lekkim draśnięciem.

— Wolałabyś, żebym cięła głębiej?

— Ach, nie! I tak wody ciała ledwo starcza, żeby nią jeszcze szafować na powietrzu. Zrobiłaś to, co należało.

I Jessika uważając na słowa i sposób wyrażania się podchwyciła znaczenia ukryte w kreśleniu „woda ciała". Znów odczuła przygnębienie na myśl o tym, czym jest woda na Arrakis.

— Gdzie mam porozwieszać na ścianach sali jadalnej te cacka, moja pani? — zapytała Mapes.

Wciąż praktyczna, ta Mapes — pomyślała Jessika.

— Zrób, jak uważasz, Mapes — odpowiedziała. — To prawie bez różnicy.

— Jak sobie życzysz, moja pani.

Mapes schyliła się i zaczęła odwijać głowę z papierów i sznurków.

— Zabiło się Starego Księcia, co? — zamruczała.

— Czy mam wezwać ci tragarza do pomocy? — zapytała Jessika.

— Dam sobie radę, moja pani.

Tak, da sobie radę — pomyślała Jessika. — To tkwi w tym fremeńskim stworzeniu: instynkt radzenia sobie. Poczuła chłód pochwy krysnoża pod stanikiem, wyobraziła sobie długi łańcuch knowań Bene Gesserit, do którego zostało tutaj dołączone kolejne ogniwo. Dzięki owym knowaniom przetrwała w krytycznej chwili. „Nie można tego przyśpieszyć" — powiedziała Mapes. A jednak wyczuwało się tu jakieś tempo na złamanie karku, które napełniało Jessikę złym przeczuciem. I ani wszystkie przygotowania Missionaria Protectiva, ani dokonana przez nie dowierzającego niczemu Hawata inspekcja tej zwieńczonej blankami kamiennej budowli nie mogły rozwiać tego przeczucia.

— Kiedy to pozawieszasz, zacznij rozpakowywać skrzynie — powiedziała Jessika. — Któryś z tragarzy przy bramie ma wszystkie klucze i wie, gdzie mają iść rzeczy. Weź od niego klucze i listę. Gdyby

powstały jakieś wątpliwości, będę w południowym skrzydle.

— Jak sobie życzysz, moja pani.

Odchodząc Jessika pomyślała: Hawat może uważać, że ta rezydencja jest bezpieczna, ale w tym domu jest coś złego. Czuję to.

Ogarnęła ją nagła potrzeba zobaczenia się z synem. Ruszyła w kierunku sklepionego wyjścia na korytarz prowadzący do sali jadalnej i skrzydeł mieszkalnych. Szła coraz szybciej, prawie już biegła. Mapes przerwała zdzieranie opakowania z głowy byka i spojrzała na plecy odchodzącej postaci.

— To ONA z całą pewnością — wymruczała. — Biedactwo.

„Yueh! Yueh! Yueh!” — brzmi refren. — „Milion śmierci za mało byto dla Yuego!”

z „Historii dzieciństwa Muad’Diba” pióra księżniczki Irulan

Drzwi stały otworem i Jessika przestąpiła je, wkraczając do pokoju o żółtych ścianach. Z lewej strony ciągnęła się niska, obita czarną skórą ława, przy niej dwa puste regały; pękate boki wiszącej flaszki na wodę obrastał kurz. Pod prawą ścianą, przy drugich drzwiach, stało więcej regałów, oraz biurko z Kaladanu i trzy krzesła. Pod oknami dokładnie na wprost Jessiki stał odwrócony do niej plecami doktor Yueh, zapatrzony na świat za szybą. Po cichutku Jessika zrobiła następny krok w głąb pokoju. Zauważyła, że Yueh ma wymiętą marynarkę z białą smugą na lewym łokciu, jakby doktor oparł się o kredę. Od tyłu wyglądał jak bezcielesny pajac w za dużej czarnej odzieży, zawieszona w powietrzu karykatura czekająca na poruszenie sznurkami przez animatora. Życie było jedynie w kanciastej głowie o długich, hebanowych włosach ujętych na ramieniu w srebrny pierścień Akademii Suk — obracającej się nieznacznie w ślad za jakimiś poruszeniami na dworze. Ponownie rozejrzała się po pokoju nie znajdując śladu syna. Wiedziała jednak, że zamknięte drzwi z prawej strony prowadzą do niewielkiej sypialni, na którą Paul wyraził ochotę.

— Dzień dobry, doktorze Yueh — powiedziała. — Gdzie jest Paul?

Yueh skinął głową jakby pod adresem kogoś za oknem i nie odwracając się powiedział nieobecnym tonem:

— Twój syn był zmęczony, Jessiko. Odesłałem go do sąsiedniego pokoju, by odpoczął.

Nagle zesztywniał, odwrócił się raptownie, wąsy opadły mu na

purpurowe wargi.

— Wybacz, moją pani! Myślami byłem bardzo daleko… ja… nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak poufale.

Uśmiechnęła się, wyciągając prawą dłoń. Przez chwilę obawiała się, że on może uklęknąć.

— Daj spokój, Wellington.

— Żeby tak się odezwać do ciebie… ja…

— Znamy się już sześć lat — powiedziała. — Najwyższy czas, by w cztery oczy dać sobie spokój z etykietą minionego okresu.

Yueh zdobył się na wątły uśmiech. Wygląda na to, że mi się udało. Teraz ona będzie uważała, że wszystko, cokolwiek jest w moim zachowaniu niezwykłego, wynika z zakłopotania. Nie będzie doszukiwać się głębszych motywów, skoro już zna odpowiedź.

— Zdaje się, że bujałem w obłokach — powiedział. — Obawiam się, że kiedy tylko… robi mi się ciebie szczególnie żal, myślę o tobie jako o… no, Jessice.

— Żal ci mnie? Dlaczego u licha?

Yueh wzruszył ramionami. Dawno temu zdał sobie sprawę, że w przeciwieństwie do jego Wanny Jessika nie była obdarzona całkowitym prawdomówstwem. Mimo to zawsze w obecności Jessiki trzymał się prawdy, jeśli tylko się dało. Tak było bezpieczniej.

— Widziałaś tę planetę, moja… Jessiko. — Zająknął się przy imieniu, ale brnął dalej. — Jakże jałowa po Kaladanie. I ci ludzie! Te mieszczki, które mijaliśmy po drodze, zawodzące pod swymi zasłonami. Jak one na nas patrzyły!

Złożyła ręce na piersiach wyczuwając tam krysnóż, ostrze wytoczone, jeśli wierzyć pogłoskom, z zęba czerwia pustyni.

— Po prostu dlatego, że jesteśmy dla nich obcy — inni ludzie, inne obyczaje. Znali jedynie Harkonnenów. — Ominęła go spojrzeniem wyglądając przez okno. — Co tam wypatrzyłeś na dworze?

— Ludzi.

Jessika przeszła przez pokój stając u jego boku, spojrzała na lewo w stronę fasady budynku, tam gdzie gapił się Yueh. Zobaczyła dwadzieścia drzew palmowych rosnących w rzędzie, a pod nimi wymiecioną do czysta gołą ziemię. Tarczowy parkan odgradzał je od drogi, którą przechodzili ludzie w burnusach. Pomiędzy sobą a ludźmi Jessika wyłowiła ledwo uchwytne migotanie w powietrzu — od tarczy domowej — i zaczęła studiować tłum przechodniów zastanawiając się, dlaczego tak zainteresowali Yuego. Pojawiła się prawidłowość i Jessika aż przycisnęła dłoń do policzka: spojrzenia, jakimi przechodnie mierzyli drzewa palmowe! Zobaczyła w nich zawiść, trochę nienawiści… a nawet uczucie nadziei. Wszyscy wlepiali w owe drzewa oczy z tym samym wyrazem.

— Wiesz, co oni myślą? — zapytał Yueh.

— Uprawiasz czytanie w myślach?

— W ich myślach — powiedział. — Oni spoglądają na te drzewa i myślą: „Tam jest nas stu”. To właśnie myślą.

Obróciła ku niemu zaintrygowaną twarz.

— Dlaczego?

— To są daktylowce — powiedział. — Jedna palma daktylowa potrzebuje czterdzieści litrów wody dziennie. A człowiek zaledwie osiem. Przeto palma równa się pięciu ludziom. Tam jest dwadzieścia palm — stu ludzi.

— Lecz niektórzy z tych ludzi spoglądają na drzewa z nadzieją.

— Oni mają jedynie nadzieję, że spadnie trochę daktyli, tyle że to nie sezon.

— Spoglądamy na tę planetę zbyt krytycznym okiem — powiedziała. — Ona jest naszym niebezpieczeństwem, lecz i nadzieją zarazem. Na przyprawie możemy się wzbogacić. Z pełną kiesą możemy urządzić ten świat, jak nam się spodoba.

I zaśmiała się w duchu sama z siebie: Kogo ja usiłuję przekonać? Śmiech przedarł się przez krąg jej myśli, kruchy, niewesoły.

— Ale bezpieczeństwa się nie kupi — powiedziała.

Yueh odwrócił się od niej, by nie widziała jego twarzy.

Gdyby tylko można było nienawidzić tych ludzi, zamiast ich kochać! Swoim zachowaniem Jessika pod wieloma względami przypominała mu Wannę. Jednak owa myśl narzucała swoje własne rygory umacniając go w dążeniu do wyznaczonego celu. Kręte są drogi okrucieństwa Harkonnenów. Może Wanna żyje. On musi się przekonać.

— Nie martw się o nas, Wellington — powiedziała Jessika. — To nasza sprawa, nie twoja.

Ona myśli, że ja się martwię o nią! Mruganiem powstrzymał łzy. I martwię się, oczywiście. Ale ja muszę stanąć przed szatańskim baronem po wykonaniu zadania i wykorzystać swoją jedyną szansę uderzenia wtedy, gdy jest najsłabszy — w momencie jego triumfu! — Westchnął.

— Nie obudzę Paula, jeśli do niego zajrzę? — spytała.

— Bynajmniej. Dałem mu środek uspokajający.

— Dobrze znosi zmianę?

— Jest tylko nieco osłabiony. I podekscytowany, ale któryż piętnastolatek by nie był w tej sytuacji. — Podszedł do drzwi, otworzył je. — Tutaj jest.

Podążywszy za nim Jessika zajrzała w półmrok sypialni. Na wąskim łóżku polowym Paul leżał z jedną ręką schowaną pod cienkim przykryciem, drugą odrzucił za głowę. Listewki żaluzji w oknie przyłóżku tkały kanwę cieni na jego twarzy i kocu. Jessika zapatrzyła

się na syna, na owal twarzy jakże podobny do jej własnego. Ale włosy miał po księciu — koloru węgla i niesforne. Długie rzęsy zakrywały żółtawozielone oczy. Jessika uśmiechnęła się czując, jak opuszczają ją obawy. Znienacka uderzyło ją dziedziczne piętno w rysach twarzy syna — matczyny kształt oczu i rysunek twarzy, ale ostre linie ojca wyzierały z tego rysunku jak wyłaniająca się z dzieciństwa dojrzałość. Pomyślała o rysach chłopca jako przecudownym efekcie wyklarowania przypadkowych kombinacji — nieskończonych łańcuchów zbiegów okoliczności spotykających się w tym ogniwie. Pod wpływem owej myśli zapragnęła uklęknąć przy łóżku i wziąć syna w ramiona, powstrzymała ją tylko obecność Yuego. Cofnęła się, zamknęła cicho drzwi.

Yueh dawno już wrócił pod okno nie mogąc znieść widoku spojrzenia, jakim Jessika mierzyła syna. Dlaczego Wanna nie dała mi dzieci? — zadawał sobie pytanie. — Jako lekarz wiem, że nie istniała żadna fizyczna przyczyna. Czyżby dla jakichś racji Bene Gesserit? Może wyznaczono jej inne zadanie? Jakież to znowu zadanie? Kochała mnie, to pewne.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może jest on fragmentem o wiele zawilszego i bardziej skomplikowanego układu, niż potrafi ogarnąć swoim umysłem. Jessika stanęła przy nim.

— Ileż cudownej beztroski we śnie dziecka — odezwała się.

Odpowiedział machinalnie:

— Gdyby jeszcze dorośli potrafili się tak zapomnieć.

— Gdyby…

— Gdzie my to zaprzepaszczamy? — wyszemrał.

Spojrzała na niego pochwyciwszy zastanawiające brzmienie jego głosu, ale duchem była wciąż przy Paulu, rozmyślając nad nowymi rygorami jego nauczania tutaj, nad zmianami w jego obecnym życiu — jakże różnymi odżycia, jakie kiedyś dla niego zamyślali.

— My rzeczywiście coś zaprzepaszczamy — powiedziała.

Wyjrzała w prawo na skarpę z garbami sfatygowanych przez wiatr szarozielonych krzaków — zakurzone liście i wyschnięte, szponiaste gałęzie. Zanadto ciemne niebo zawisło nad skarpą jak kleks, a mleczny blask słońca Arrakis nadawał krajobrazowi srebrzystej poświaty — jak światło ukrytego pod jej stanikiem krysnoża.

— Niebo jest takie ciemne — powiedziała.

— Częściowo z braku wilgoci.

— Woda! — fuknęła. — Wszystko, co tutaj zaczniesz, skończy się na braku wody!

— Jest to największa tajemnica Arrakis — powiedział.

— Dlaczego tutaj jest tak mało wody? Są przecież skały wulkaniczne. Jest kilkanaście źródeł energii, które mogę wymienić.

Jest lód polarny. Mówi się, że nie można wiercić na pustyni — huragany i piachopływy niszczą instalacje szybciej, niż się je i montuje, o ile wcześniej jeszcze nie dopadną cię czerwie. Nigdy nie natrafiono tam na ślad wody, tak czy owak. Lecz tajemnica, Wellington, prawdziwa tajemnica, to studnie wywiercone w tutejszych basenach i nieckach. Czytałeś o nich?

— Na początku strumyczek i na tym koniec.

— Lecz, Wellington, to jest dopiero tajemnica. Była woda. Woda wysycha. I nigdy już nie ma tam wody. Jednakże drugie wiercenie tuż obok daje ten sam efekt: strumyczek, który się urywa. Czy nigdy to nikogo nie zaciekawiło?

— To jest ciekawe — powiedział. — Podejrzewasz jakieś procesy życiowe? Czy nie wyszłoby to w próbkach rdzenia?

— Co by wyszło? Obca substancja roślinna… albo zwierzęca? Kto by ją rozpoznał?

Odwróciła się ponownie do skarpy.

— Woda zostaje zatrzymana. Coś zatyka jej ujście. To podejrzewam.

— Może przyczyna jest znana — powiedział. — Harkonnenowie pozamykali dostęp do wielu źródeł informacji na temat Arrakis. Może mieli powód, aby to ukryć.

— Jaki powód? — zapytała. — A poza tym jest wilgoć w atmosferze. Bardzo niewiele, na pewno, ale trochę jest. To główne źródło tutejszej wody, zbieranej w oddzielaczu wiatru i osadniki. Skąd się bierze ta wilgoć?

— Z czap polarnych?

— Zimne powietrze absorbuje niewiele wilgoci, Wellington. Jest tu za kurtyną Harkonnenów wiele spraw, które aż się proszą bliższego zbadania i nie wszystkie wiążą się bezpośrednio z przyprawą.

— Rzeczywiście jesteśmy za kurtyną Harkonnenów — powiedział. — Może by…

Urwał, spostrzegłszy raptowną intensywność, z jaką patrzyła na niego.

— Czy coś się stało?

— Sposób w jaki mówisz „Harkonnenowie” — powiedziała. — Nawet w głosie mojego księcia nie ma tyle jadu, kiedy wymawia on to znienawidzone imię. Nie wiedziałam, że masz osobiste powody, by ich nienawidzić, Wellington.

Wielka Macierzy! Obudziłem w niej podejrzenia! — pomyślał. — Teraz muszę użyć wszelkich wybiegów, jakich nauczyła mnie Wanna. Mam tylko jedno wyjście: powiedzieć jak najwięcej prawdy.

— Nie wiedziałaś, że moja żona, moja Wanna — wzruszył ramionami, niezdolny mówić z powodu nagłego skurczu w gardle.

— Oni…

Słowa uwięzły mu w krtani. Wpadł w popłoch, zacisnął mocno powieki, nic prawie nie czując prócz agonii w piersi, dopóki jakaś dłoń nie dotknęła delikatnie jego ramienia.

— Wybacz mi — powiedziała Jessika. — Nie miałam zamiaru otwierać starych ran.

I pomyślała: A to bydlaki! Jego żoną była Bene Gesserit — widać to w nim jak na dłoni. I oczywiście Harkonnenowie ją zamordowali. Oto kolejna nieszczęsna ofiara złączona cheremem nienawiści z Atrydami.

— Przepraszam — powiedział. — Nie mogę o tym mówić.

Otworzył oczy zdając się na wewnętrzną świadomość rozpaczy. To przynajmniej była prawda. Jessika wodziła po nim spojrzeniem zatrzymując je na wystających kościach policzkowych, na ciemnych cekinach skośnych oczu jak migdały, na kremowej cerze, na sznureczkach wąsów zwisających nad purpurowymi wargami niczym portal, na wąskim podbródku. Zauważyła, że bruzdy na czole i policzkach świadczyły tyleż o wieku co o troskach. Ogarnął ją głęboki afekt do niego.

— Żałuję, że cię sprowadziliśmy, Wellington, w to niebezpieczne miejsce — powiedziała.

— Przyjechałem z własnej woli — odparł. I to także była prawda.

— Ale cała ta planeta jest pułapką Harkonnenów. Musisz o tym wiedzieć.

— Trzeba czegoś więcej niż pułapki, by schwytać księcia Leto — powiedział. I to także była prawda.

— Może powinnam bardziej w niego wierzyć — rzekła. — Jest genialnym taktykiem.

— Zostaliśmy wyrwani z korzeniami. Dlatego czujemy się niepewnie.

— A jakże łatwo jest zabić wykorzenioną roślinę — powiedziała. — Szczególnie kiedy się wsadzi ją we wrogą glebę.

— Czy na pewno ta gleba jest wroga?

— Były rozruchy na tle wody, gdy się rozniosło, jak wiele ludzi książę tu sprowadza — powiedziała. — Ustały dopiero wtedy, kiedy miejscowi dowiedzieli się, że instalujemy nowe oddzielacze wiatru i skraplacze, by przejęły to brzemię.

— Wody jest tu tylko tyle, żeby utrzymać ludzi przy życiu — powiedział. — Oni wiedzą, że jeśli ich przybędzie, a nie zwiększy się ilość wody do picia, jej cena pójdzie w górę i najbiedniejsi poumierają. Ale książę rozwiązał ten problem. Rozruchy wcale nie muszą świadczyć o trwałej wrogości do niego.

— I straże — powiedziała. — Wszędzie straże. I tarcze. Gdzie spojrzeć, wszędzie widać tę mgiełkę. Inaczej żyliśmy na Kaladanie.

— Dajmy tej planecie szansę — powiedział.

Lecz Jessika ponownie skierowała kamienne spojrzenie za okno.

— Czuję śmierć w tym zamku — rzekła. — Hawat wyprawił tutaj przodem swych agentów w sile batalionu. Tamci gwardziści na zewnątrz to jego ludzie. Tragarze to jego ludzie. Ze skarbca bez żadnych wyjaśnień pobiera się wielkie sumy. A to oznacza tylko jedno: łapówki w wysokich sferach. — Potrząsnęła głową. — Dokąd kroczy Thufir Hawat, tam idzie śmierć i zdrada.

— Oczerniasz go.

— Oczerniam? Ja go wychwalam. Śmierć i zdrada, to teraz nasza jedyna nadzieja. Ja po prostu nie mam złudzeń co do metod Thufira.

— Powinnaś… mieć pełne ręce roboty. Nie zostawić sobie ani chwili na takie niezdrowe…

— Roboty! A co innego zabiera mi prawie wszystkie chwile, Wellington? Jestem sekretarką księcia, mam tyle roboty, że codziennie dowiaduję się, co nowego będzie mi spędzać sen z powiek, a jemu nawet nie przyjdzie do głowy, że wiem o tym. — Zacisnęła wargi i powiedziała bezbarwnym głosem: — Czasami zastanawiam się, na ile moje handlowe wykształcenie zaważyło, że jego wybór padł na mnie.

— Jak mam to rozumieć?

Uderzył go jej cyniczny ton, gorycz, jakiej nigdy przed nim nie ujawniła.

— Nie sądzisz, Wellington, że związana miłością sekretarka jest o niebo pewniejsza.

— To jest poroniony pomysł, Jessiko.

Reprymenda sama przyszła mu na usta. Uczucia księcia do jego konkubiny nie budziły wątpliwości. Wystarczyło tylko spojrzeć, jak wodzi za nią oczami.

Westchnęła.

— Masz rację. Poroniony.

Ponownie objęła się ramionami przyciskając do ciała pochwę z krysnożem i myśląc o związanej z nim nie zakończonej sprawie.

— Wkrótce poleje się obficie krew — powiedziała. — Harkonnenowie nie spoczną, dopóki nie legną w grobie, albo oni, albo mój książę. Baron nie może zapomnieć, że Leto jest spokrewniony z królewskim rodem — nieważne jak daleko — podczas gdy godności Harkonnenów pochodzą z kiesy KHOAM. Ale zadra, która tkwi w nim głęboko do dziś, to świadomość, że po bitwie pod Corrin jeden z Atrydów skazał Harkonnena na banicję za tchórzostwo.

— Dawna wendeta — mruknął Yueh. I poczuł chwilowy przypływ zapiekłej nienawiści. Wpadł w sidła tamtej dawnej wendety, która zabiła jego Wannę, czy — co gorsza — wydała ją na tortury Harkonnenów do czasu, aż jej mąż spełni ich żądania. Dawna wendeta omotała go, a ci ludzie byli częścią tej morderczej gry. Na ironię zakrawało, że taka śmierć mogłaby rozkwitać tutaj na Arrakis,

jedynym we wszechświecie źródle życiodajnego melanżu, dawcy zdrowia.

— O czym myślisz? — spytała.

— Myślę, że za przyprawę dają już na wolnym rynku sześćset dwadzieścia tysięcy solaris za dekagram. Za takie bogactwo można mieć wiele rzeczy.

— Czy i ty nie jesteś wolny od chciwości, Wellington?

— To nie chciwość.

— A co?

Wzruszył ramionami.

— Banał. — Spojrzał na nią. — Pamiętasz smak swej pierwszej przyprawy?

— Smakowała jak cynamon.

— Lecz nigdy dwa razy tak samo — powiedział. — Ona jest jak życie, za każdym razem, kiedy jej kosztujesz, ukazuje inną twarz. Niektórzy utrzymują, że przyprawa wywołuje smakowy odruch warunkowy. Przekonując się, że to mu dobrze robi, ciało przyjmuje smak jako przyjemny — z lekka euforyczny. I tak, jak życia, nigdy nie uda się przyprawy wiernie zsyntetyzować.

— Myślę, że mądrzej byśmy zrobili uchodząc jako renegaci poza granice Imperium — powiedziała.

Zorientował się, że go nie słucha, zastanowił się głęboko nad jej słowami. Tak, dlaczego nie zmusiła księcia, by tak zrobił? Może go zmusić dosłownie do wszystkiego. Zaczął mówić szybko, ponieważ była w tym prawda i okazja do zmiany tematu:

— Czy uznasz to za zuchwałość z mojej strony… Jessiko, jeśli zadam ci osobiste pytanie?

Przytuliła się do wystającego parapetu przeszyta niewytłumaczalnym niepokojem.

— Oczywiście, że nie. Jesteś… moim przyjacielem.

— Dlaczego nie zmusiłaś księcia, by cię poślubił?

Odwróciła się, z podniesioną głową, z ogniem w oczach.

— Zmusić go do poślubienia mnie? Ale…

— Nie powinienem był pytać — powiedział.

— Nie. — Wzruszyła ramionami. — Istnieją po temu ważne racje polityczne: dopóki mój książę jest wolny, co poniektóre z wysokich rodów mogą nadal liczyć na koligację. Poza tym… — westchnęła. — Motywowanie ludzi, naginanie ich do swojej woli wytwarza w nas cyniczny stosunek do człowieczeństwa. Poniża ono wszystko, czego dotknie. Gdybym go zmusiła do tego… to jakby nie on to zrobił.

— Coś takiego mogłaby powiedzieć moja Wanna — wyszeptał. I to także była prawda. Zakrył dłonią usta, przełykając nerwowo. Nigdy nie był bliżej wyznania, wyspowiadania się przed nią ze swojej potajemnej roli.

Jessika odezwała się, niwecząc ów moment.

— Poza tym, Wellington, książę to w istocie dwóch ludzi. Jednego z nich bardzo kocham. Jest uroczy, dowcipny, delikatny… czuły — ma to wszystko, czego może kobieta zapragnąć. Lecz tamten drugi mężczyzna jest zimny, gruboskórny, władczy, egoistyczny — ostry i okrutny jak zimowy wiatr. To człowiek ukształtowany przez ojca. — Twarz jej się wykrzywiła. — Szkoda, że ten staruch nie zmarł, gdy narodził się mój książę!

W ciszy, jaka zapadła między nimi, dał się słyszeć szmer story muskanej powiewem wentylatora.

Po chwili odetchnęła pełną piersią i powiedziała:

— Leto ma rację, te pokoje są milsze od tamtych w pozostałej części domu.

Odwróciwszy się omiotła spojrzeniem pomieszczenie.

— Gdybyś nie miał nic przeciwko temu, Wellington, chcę jeszcze raz obejść to skrzydło, zanim wyznaczę kwatery.

Kiwnął głową.

— Ależ oczywiście.

I pomyślał: Gdybyż tylko istniał jakiś sposób, by nie wykonać tego, co muszę uczynić.

Jessika opuściła ramiona, wyszła na korytarz i przystanęła na moment bijąc się z myślami. Przez cały czas naszej rozmowy on coś ukrywał, coś w sobie dusił. By nie zranić moich uczuć, zapewne. To dobry człowiek. Ponownie opadły ją wątpliwości i mało nie zawróciła, by w konfrontacji z Yuem wydrzeć z niego to, co zataił. Ale bym go jedynie zawstydziła, przestraszyłby się widząc, jak łatwo go rozszyfrować. Powinnam pokładać więcej ufności w swoich przyjaciołach.

Wielu podkreśla szybkość, z jaką Muad'Dib przyswoił sobie wymogi Arrakis. Bene Gesserit znają oczywiście źródła tej szybkości. Innym możemy powiedzieć, że Muad'Dib uczył się prędko, ponieważ najpierw przeszedł szkolenie, jak się uczyć. A najpierwszą ze wszystkich otrzymał lekcję podstawowej wiary, że może się nauczyć. Szokuje odkrycie, jak wielu ludzi nie wierzy, że mogą się nauczyć, a o ile więcej uważa, że nauka jest trudna. Muad'Dib wiedział, że każde zdarzenie niesie jakąś lekcję.

z „Człowieczeństwo Muad'Diba" pióra księżniczki

Paul leżał na łóżku i udawał, że śpi. Z łatwością schował w dłoni tabletkę nasenną Yuego udając, że ją popija. Pohamował śmiech. Nawet matka uwierzyła, że śpi. Pragnął zerwać się i wyprosić u niej pozwolenie na wędrówkę po pałacu, ale zdawał sobie sprawę, że ona się nie zgodzi. Wszystko było jeszcze w zbytniej rozsypce. Nie. Tak jest najlepiej. Wymykając się bez pytania nie złamię zakazów, no i zostanę w budynku, gdzie jest bezpiecznie.

Słyszał rozmowę matki i Yuego w drugim pokoju. Ich słowa docierały niewyraźnie — coś o przyprawie… o Harkonnenach. Głosy wznosiły się i opadały. Uwagę Paula zaprzątnęło rzeźbione wezgłowie łóżka — przytwierdzona do ściany imitacja wezgłowia kryła układ sterowania urządzeniami w pokoju. W drewnie przedstawiono rybę wyskakującą ponad wypukłe, brązowe fale. Wiedział, że kiedy naciśnie jedyne widoczne oko ryby, zapalą się dryfowe lampy w pokoju. Przekręcenie jednej z fal regulowało wentylację. Innej — temperaturę.

Paul po cichutku siadł na łóżku. Z lewej strony pod ścianą stał wysoki regał. Można go było odsunąć na bok i wtedy ukazywała się szafa z szufladami z jednej strony. Klamka drzwi na korytarz imitowała drążek ornitoptera. Pokój urządzono jakby z zamiarem oczarowania Paula.

Pokój i ta planeta. Przypomniał sobie księgofilm, który pokazał mu Yueh — „Arrakis: Ośrodek Doświadczalny Botaniki Pustyni Jego Imperatorskiej Mości". Księgofilm był stary, sprzed odkrycia przyprawy. W pamięci Paula przemknęły nazwy, każda ze swym obrazem odciśniętym mnemotechnicznym rytmem księgi: saguaro, ośli rzep, palma daktylowa, werbena piaskowa, nocna świeca, kaktus baryłkowaty, *Jucca brevifolia, Cotinus coggygria, Covillea mexicana*… lis, *Vulpes macrotis,* jastrząb pustynny, skoczek pustynny…

Nazwy i obrazy, nazwy i obrazy z ziemskiej przeszłości człowieka — a wiele nigdzie indziej już nie spotykanych we wszechświecie, tylko tutaj, na Arrakis. Trzeba się uczyć o tylu nowych rzeczach — o przyprawie. I o czerwiach pustyni.

W sąsiednim pokoju trzasnęły drzwi. Paul usłyszał kroki matki oddalające się w głąb korytarza. Wiedział, że doktor Yueh znajdzie sobie coś do czytania i zostanie w przyległym pokoju. Nadszedł już moment, by wyruszyć na eskapadę. Paul wykradł się z łóżka i skierował kroki do regału otwierającego się na szafę. Przystanął słysząc szmer za plecami, odwrócił się. Rzeźbione wezgłowie łóżka opadło na miejsce, z którego się podniósł. Paul zamarł i bezruch ocalił mu życie. Spoza wezgłowia wysunął się maleńki grot-gończak,

najwyżej pięciocentymetrowej długości. Paul rozpoznał to w mgnieniu oka — pospolitą, skrytobójczą broń, o której uczono od maleńkości każde dziecko krwi królewskiej. Drapieżna, metalowa drzazga, sterowana z bliska czyjąś ręką i okiem. Potrafiła zaryć się w ruchomym ciele i po nitkach nerwów utorować sobie drogę do najbliższego z żywotnych narządów. Gończak uniósłszy się przejechał bokiem przez pokój tam i z powrotem. Paul uzmysłowił sobie, co wie na jego temat, ograniczenia grota-gończaka: kompresja pola dryfowego zakłóca widzenie oka przekaźnika. Skoro nic prócz nikłego oświetlenia pokoju nie odzwierciedla mu celu, operator będzie kierował się ruchem — jakimkolwiek.

Tarcza leżała na łóżku. Lance laserowe strącały gończaki, ale były kosztowne i notorycznie się psuły, a poza tym zawsze istniała groźba wybuchu fajerwerku, gdyby wiązka laserowa przecięła aktywną tarczę. Atrydzi wierzyli w osobiste tarcze i przytomność umysłu. Zastygły w katatonicznym prawie bezruchu Paul wiedział, że teraz jedynie przytomność umysłu pozostała mu, żeby stawić czoło niebezpieczeństwu.

Grot-gończak wzniósł się o dalsze pół metra. Kołysał się tam i z powrotem w smugach światła, przeszukując pokój na wszystkie strony.

Muszę próbować go złapać — pomyślał Paul. — Będzie śliski na spodzie od pola dryfowego. Muszę go mocno chwycić.

Gończak opadł pół metra, zjechał na lewo i zawróciwszy okrążył łóżko. Dobiegało od niego ciche buczenie. Kto tym draństwem steruje? — głowił się Paul. — Musi być niedaleko. Mógłbym krzyknąć na Yuego, ale to go dopadnie, jak tylko otworzy drzwi.

Za jego plecami zaskrzypiały drzwi od korytarza. Ktoś w nie zapukał. Otworzyły się. Grot-gończak śmignął mu koło głowy w kierunku ruchu. Prawa ręka Paula wystrzeliła do przodu i w dół, chwytając śmiercionośne narzędzie. Gończak buczał i skręcał się w rozpaczliwie zaciśniętej na nim dłoni. Paul zamachnął się i z gwałtownego półobrotu trzasnął nosem drzazgi w metalową płytę drzwi. Usłyszał chrupnięcie zmiażdżonego na czubku oka i gończak zamarł w jego dłoni. Mimo to dla pewności nie popuścił chwytu. Podniósł wzrok i napotkał czysty błękit otwartego spojrzenia Szadout Mapes.

— Twój ojciec przysyła po ciebie — powiedziała. — W sieni czekają ludzie z eskorty.

Paul kiwnął głową skupiając wzrok i uwagę na obcej kobiecie w służebnym brązie workowatej sukni. Spoglądała teraz na przedmiot zaciśnięty w jego dłoni.

— Słyszałam o czymś takim — powiedziała. — Zabiłby mnie, prawda?

Musiał przełknąć, nim zdołał przemówić.

— To ja… byłem celem.

— Ale szło na mnie.

— Bo się ruszałaś.

Zastanawiał się: Kim jest to stworzenie?

— Zatem uratowałeś mi życie — powiedziała.

— Uratowałem życie nam obojgu.

— Wygląda na to, że mogłeś mnie zostawić na pastwę tego czegoś, a sam uciec.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Szadout Mapes, ochmistrzyni.

— Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

— Twoja matka mi powiedziała. Spotkałam ją przy schodach do magicznego pokoju w końcu korytarza. — Wskazała na prawo. — Ludzie twojego ojca nadal czekają.

To będą ludzie Hawata — pomyślał. — Musimy znaleźć operatora tego urządzenia.

— Idź do ludzi mojego ojca. Powiedz im, że złapałem grotagończaka w budynku i żeby się rozeszli na poszukiwanie operatora. Każ im natychmiast otoczyć pałac i teren. Będą wiedzieli, jak się do tego zabrać. To musi być ktoś obcy. — Zadumał się: A może to ona? Ale był przekonany, że nie. Gończakiem ktoś kierował, gdy wchodziła.

— Zanim zrobię, co każesz, młodzieńcze — powiedziała Mapes — musimy wyrównać nasze rachunki. Złożyłeś na mnie brzemię wody, a nie za bardzo mam ochotę je dźwigać. Lecz my, Fremeni, spłacamy długi i wdzięczności, i nikczemności. I wiadomo nam, że wśród was jest zdrajca. Nie wiemy kto, ale że istnieje, za to dajemy głowę. Jego to zapewne ręka prowadziła ten krajak ciała.

Paul przyjął to w milczeniu: „zdrajca”. Nim zdążył się odezwać, nieznajoma kobieta odwróciła się i pobiegła z powrotem do wyjścia. Przyszło mu na myśl, by ją przywołać, ale było w niej coś takiego, co mu mówiło, że ją tym urazi. Powiedziała, co było jej wiadome, i teraz zamierzała zrobić, co „kazał”. Lada chwila dom zaroi się ludźmi Hawata. Wrócił pamięcią do innych fragmentów owej dziwnej rozmowy: „magiczny pokój”. Spojrzał w lewo we wskazanym przez nią kierunku. „My, Fremeni”. A więc to była Fremenka. Zatrzymał się na mrugnięcie mnemotechnicznej migawki, rejestrującej w jego pamięci obraz jej twarzy: pomarszczone jak śliwka, ciemnobrązowe rysy, błękitne w błękicie oczy bez odrobiny białka. Dołączył imię: Szadout Mapes.

Nadal ściskając strzaskany gończak zawrócił w głąb pokoju, lewą ręką zgarnął pas tarczowy z łóżka, owinął go wokół bioder i dopiął już w biegu, w drodze z pokoju i dalej korytarzem w lewo. Powiedziała, że gdzieś tutaj jest jego matka… schody… „magiczny pokój”.

Cóż takiego podtrzymywało lady Jessikę w godzinie próby? Zastanówcie się głęboko nad aforyzmem Bene Gesserit, a może zrozumiecie: „Każda przebyta do końca droga prowadzi dokładnie donikąd. Wdrap się na górę tylko tyle, by sprawdzić, że jest górą. Nie zobaczysz góry z jej szczytu”

z „Maud’Dib: uwagi o rodzinie”
pióra księżniczki Irulan

W końcu południowego skrzydła Jessika natknęła się na metalowe schody wznoszące się spiralą do owalnych drzwi. Zerknęła za siebie na korytarz i ponownie na drzwi. Owalne? — zdumiała się. Co za dziwny kształt drzwi domowych. Za oknami pod spiralą schodów widziała ogromne białe słońce Arrakis chylące się ku wieczorowi. Długie cienie przeszywały korytarz. Zwróciła uwagę na schody. Ostre boczne światło wydobyło grudki wyschniętej ziemi na ażurowym metalu stopni. Jessika położyła dłoń na poręczy, zaczęła wchodzić. Poręcz była chłodna pod dotykiem przesuwającej się dłoni. Stanęła pod drzwiami, ujrzała, że nie mają klamki, zaś tam, gdzie powinna się znajdować, widniało lekkie wklęśnięcie.

Przecież nie zamek papilarny — powiedziała sama do siebie. Zamek papilarny musi być nastrojony do kształtu i linii dłoni jednego osobnika. Jednak wyglądało to na zamek papilarny. Istniały zaś sposoby otworzenia każdego zamka papilarnego — nauczono ją tego w szkole. Jessika obejrzała się dla pewności, że nikt jej nie obserwuje, przycisnęła dłoń do wgłębienia w drzwiach, odwróciła się i ujrzała Mapes u stóp schodów.

— Ludzie w Wielkiej Sali mówią, że książę przysyła ich po młodego panicza Paula — powiedziała Mapes. — Mają książęcy sygnet i gwardzista ich zidentyfikował.

Spojrzała na drzwi i z powrotem na Jessikę. Ostrożna ta Mapes — pomyślała Jessika. — Dobry to znak.

— Jest w piątym pokoju licząc od tego końca korytarza, taka mała sypialnia — powiedziała. — Gdybyś miała kłopot z obudzeniem go, wezwij z sąsiedniego pokoju doktora Yuego. Paul może potrzebować czegoś na przebudzenie.

Ponownie Mapes rzuciła przenikliwe spojrzenie na owalne drzwi i Jessice wydało się, że wyczytała w jej oczach odrazę. Nim zdążyła zapytać o drzwi i co kryły, Mapes zawróciła i w pośpiechu odeszła korytarzem.

Hawat poręczył za ten dom — pomyślała Jessika. — Nie może tu

być nic szczególnie okropnego. Pchnęła drzwi. Otworzyły się do wewnątrz na małe pomieszczenie z drugimi owalnymi drzwiami naprzeciwko. Drugie drzwi miały jako klamkę obręcz koła. Śluza powietrzna! — pojęła Jessika. Spojrzała w dół i zobaczyła podpórkę do drzwi, która upadła na podłogę maleńkiego pokoiku. Podpórka nosiła własnoręczny znak Hawata. Drzwi podparto i zostawiono otwarte. Ktoś pewnie przypadkowo zwalił podpórkę nie zdając sobie sprawy, że drzwi zewnętrzne zamkną się na zatrzask papilarny. Przestąpiła krawędź wchodząc do małego korytarzyka. Po co w domu śluza powietrzna? — nie mogła zrozumieć. I nagle przyszły jej na myśl egzotyczne stworzenia pozamykane w sztucznych klimatach. Sztuczny klimat! To miałoby sens na Arrakis, gdzie najbardziej sucholubne porosty spoza planety wymagały nawadniania.

Drzwi za jej plecami zaczęły się zamykać. Złapała je i zablokowała otwarte drążkiem zostawionym przez Hawata. Ponownie stanęła przed wewnętrznymi drzwiami z obręczą ryglującą — teraz zauważyła zatartą inskrypcję wyrytą w metalu ponad kołem. Rozpoznając słowa w języku galach, odczytała:

„Człowieku! Oto cudowna cząstka bożego świata; zatem stań przed nią i naucz się miłować doskonałość Najwyższego Przyjaciela Twego”.

Jessika naparła na koło. Obróciło się w lewo i wewnętrzne drzwi uchyliły się. Łagodny powiew musnął jej policzek, poruszył włosami. Poczuła zmianę w powietrzu, jego bogatszy aromat. Otworzyła drzwi na oścież zapuszczając przez nie spojrzenie w gąszcz zieloności zalanej żółtym, blaskiem. Żółte słońce? — zdziwiła się. I po chwili: Szkło filtracyjne! Przestąpiła próg i drzwi zatrzasnęły się za nią.

— Oranżeria mokrej planety — wyszeptała. Zewsząd otaczały ją doniczkowe rośliny i nisko przycięte drzewa. Poznała mimozę, kwitnącą pigwę, sondagi, zielono ukwieconą pleniscentę, akarso w zielone i białe pasy… róże…

Nawet róże!

Nachyliła się nad gigantycznym różowym kwiatem wdychając jego woń, po chwili wyprostowała się i przyjrzała pomieszczeniu. Pochwyciła miarowy szmer. Rozdzieliła gąszcz zachodzących na siebie liści i skierowała spojrzenie na środek pokoju. Ujrzała niziutką fontannę, małą, z kanelurą na cokole. Regularny szmer pochodził od snującego się i rozszczepiającego łuku wody, która spadała do metalowej misy z głuchym odgłosem galopady. Jessika poddała się krótkiemu ćwiczeniu na wyostrzenie zmysłów i rozpoczęła metodyczny obchód po obwodzie pokoju. Na oko miał on około dziesięciu metrów kwadratowych. Z jego położenia ponad szczytem korytarza oraz po subtelnych różnicach w konstrukcji zorientowała się, że został dobudowany na dachu tego skrzydła długo po tym, jak

wzniesiono oryginalną budowlę. Przystanęła na południowych obrzeżach pokoju przed szeroką taflą szkła filtracyjnego, rozglądając się wokoło. Cała powierzchnia użytkowa w tym pokoju była zapchana egzotycznymi roślinami z wilgotnego klimatu. Coś zaszeleściło w zieleni. Jessika zastygła w napięciu, lecz zaraz spostrzegła prosty zegarowy serwok o ramionach z rur i węża. Jedno ramię uniosło się, wyrzuciło drobniutko rozpylony strumień wody, która okryła mgłą jej policzki. Ramię złożyło się, a ona spojrzała, co zostało zroszone: to była paproć drzewiasta. Wszędzie woda w tym pomieszczeniu — na planecie, gdzie woda jest najcenniejszą esencją życia. Marnotrawstwo wody tak rażące, że w Jessice zamarło serce. Wyjrzała na pożółcone filtrem słońce. Uczepiło się nisko nad szczerbatym horyzontem ponad ścianami urwisk tworzącymi fragment olbrzymiego skalnego wypiętrzenia znanego jako Mur Zaporowy.

Szkło filtracyjne — pomyślała. — Aby przemienić białe słońce w coś łagodniejszego i bliższego. Któż mógł wybudować takie pomieszczenie? Leto? To do niego podobne, taka niespodzianka jako podarunek dla mnie — tylko że nie było na to czasu. I miał na głowie poważniejsze sprawy. Przypomniały jej się doniesienia, że wiele arrakańskich domów izolowano śluzami powietrznymi w drzwiach i oknach dla zachowania i odzyskiwania wilgoci wnętrzy. Leto powiedział, że zignorowanie takich środków ostrożności w ich domu jest świadomą deklaracją potęgi i bogactwa, bowiem ich drzwi i okna zabezpieczono jedynie przed wszechobecnym pyłem. Lecz ten pokój deklarował coś o wiele bardziej znaczącego niż brak wodnych uszczelnień drzwi wejściowych. Oceniała, że to pomieszczenie rekreacyjne zużywało ilość wody wystarczającą do utrzymania tysiąca osób na Arrakis — być może więcej. Jessika przeszła wzdłuż okna, nie odrywając oczu od wnętrza oranżerii. Dzięki zmianie pozycji dostrzegła przy fontannie metaliczny blat na wysokości stołu, a na nim mignął jej biały notatnik i stylograf, częściowo przesłonięte zwisającym wachlarzowatym liściem. Podeszła do stolika, zauważając na nim inskrypcje Hawata, zapoznała się z treścią zapisanej kartki.

Do lady Jessiki:

Oby to miejsce dało ci tyle szczęścia, ile mnie dawało. Proszę, pozwól, aby ten pokój przekazał lekcję, jakiej nauczyłyśmy się od tych samych nauczycieli: bliskość pożądanej rzeczy kusi człowieka, by uległ słabościom. Na drodze tej czyha zguba.

Z najlepszymi życzeniami

Margot lady Fenring

Jessika pokiwała głową przypominając sobie, że Leto wymieniał hrabiego Fenringa jako poprzedniego namiestnika Imperatora na Arrakis. Lecz natychmiastowej uwagi wymagała zaszyfrowana w liście informacja, której sposób ułożenia mówił, że jej autorka też jest Bene Gesserit. Przelotna myśl napełniła Jessikę goryczą: hrabia poślubił swoją panią. Owa myśl kołatała się jeszcze w jej głowie, gdy już Jessika pochylała się szukając ukrytej wiadomości. Musiała tu być. Pozostawiony na widoku list zawierał kodowy zwrot, jaki każda Bene Gesserit nie związana zakazem szkoły miała obowiązek przekazać drugiej Bene Gesserit, kiedy wymagały tego okoliczności. „Na drodze tej czyha zguba". Jessika zmacała spód listu, przejechała dłonią po powierzchni kartki w poszukiwaniu kropek kodu. Nic. Przebiegła badawczymi palcami brzeg notatnika. Nic. Odłożyła list tak, jak go znalazła, odczuwając naglącą presję. Coś w pozycji listu? — zastanowiła się. Ale Hawat przeszukiwał ten pokój i niewątpliwie poruszył list. Spojrzała na liść ponad kartką. Liść? Przesunęła palcem po spodzie liścia, wzdłuż krawędzi, po szypułce. Jest tutaj! Palce odnalazły delikatne punkciki szyfru, przebiegły tekst jednym pociągnięciem:

„Twój syn i książę są o krok od zguby. Jakąś sypialnię urządzono tak, by skusiła twego syna. H naszpikował ją śmiercionośnymi pułapkami przeznaczonymi do wykrycia, zostawiając jedną, która może ujść uwadze".

Jessika powstrzymała odruch, by natychmiast biec do Paula; należało zapoznać się z treścią przesłania do końca. Jej palce śmigały po kropkach:

„Nie orientuję się dokładnie w charakterze zagrożenia, ale wiąże się to jakoś z łóżkiem. Groźba dla twego księcia ma związek ze zdradą któregoś z zaufanych towarzyszy lub adiutantów. H zamierza zrobić z ciebie podarunek dla jakiegoś sługusa. O ile wiem, ta oranżeria jest bezpieczna. Wybacz, że nie jestem w stanie powiedzieć więcej. Moje źródła informacji są skąpe, jako że mój hrabia nie zaprzedał się H. Muszę kończyć. MF".

Jessika odepchnęła liść od siebie, obróciła się, by gnać z powrotem do Paula. W tym momencie otworzyły się z trzaskiem drzwi śluzy powietrznej. Wpadł przez próg Paul ściskając coś w prawej dłoni, zatrzasnął drzwi za sobą. Ujrzawszy matkę przedarł się do niej pomiędzy liśćmi, rzucił okiem na fontannę, włożył dłoń z zaciśniętym w niej przedmiotem pod strugę wody.

— Paul! — Złapała go za ramię nie spuszczając oczu z jego ręki. — Co to?

Mówił obojętnie, ale w jego tonie wyczuła wysiłek:

— Grot-gończak. Złapałem go w swoim pokoju i zgniotłem mu

nos, ale ostrożność nie zawadzi. Woda powinna go załatwić.

— Zanurz go! — rozkazała.

Usłuchał. Po chwili powiedziała:

— Zabierz rękę. Zostaw to w wodzie.

Wyciągnął dłoń i otrząsając z niej wodę spoglądał na nieruchomy kawałek metalu w fontannie. Jessika odłamała łodygę rośliny i szturchnęła nią morderczy oścień. Był martwy. Upuściłałodygę do wody, popatrzyła na Paula. Mierzył wzrokiem pokój z przenikliwą natarczywością, w której rozpoznała Metodę Bene Gesserit.

— W tym pomieszczeniu można wszystko ukryć — powiedział.

— Mam powody uważać, że jest bezpieczne — odparła.

— Mój pokój też miał być bezpieczny. Hawat powiedział…

— To był grot-gończak — przypomniała mu. — To zaś oznacza, że wewnątrz budynku musiał być ktoś, kto nim sterował. Wiązka prowadząca grot ma ograniczony zasięg. Mogli tę zabawkę przeszmuglować tutaj po inspekcji Hawata.

Ale myślała o wiadomości z liścia: „… zdrada któregoś z zaufanych towarzyszy lub adiutantów”. Nie Hawat przecież. Och, z pewnością nie Hawat.

— Ludzie Hawata właśnie przeszukują dom — powiedział. — Ten gończak omal nie trafił starej kobiety, która przyszła mnie obudzić.

— Szadout Mapes — powiedziała Jessika przypominając sobie spotkanie na schodach. — Ojciec wzywa cię na…

— Z tym możemy zaczekać — przerwał jej Paul. — Dlaczego uważasz, że ten pokój jest bezpieczny?

Wskazała na list i opowiedziała mu o nim. Odprężył się z lekka. Lecz Jessiki nie opuściło wewnętrzne napięcie. Grot-gończak! Matko Miłosierna! Tylko swemu wyszkoleniu zawdzięczała to, że nie dostała napadu histerii. Paul powiedział jakby chodziło o zwykłą rzecz:

— To oczywiście Harkonnenowie. Musimy skończyć z nimi.

Rozległo się pukanie do drzwi śluzy powietrznej — ktoś wystukał hasło korpusu Hawata.

— Wejść — zawołał Paul.

Drzwi stanęły otworem i do środka zajrzał wysoki mężczyzna w mundurze Atrydów z insygniami Hawata na czapce.

— O, jesteś, Sire — rzekł. — Ochmistrzyni powiedziała, że tu będziesz.

Rozejrzał się po pokoju.

— W piwnicy była kamienna pryzma, a w niej nakryliśmy człowieka. Miał konsolę gończaka.

— Chcę być przy przesłuchaniu — powiedziała Jessika.

— Przykro mi, o pani. Uszkodziliśmy go w trakcie wyciągania. Umarł.

— Nie ma po czym go zidentyfikować?

— Jeszcze nic nie znaleźliśmy, o pani.

— Czy to był ktoś miejscowy? — zapytał Paul. Jessika skinęła głową doceniając bystrość pytania.

— Wyglądał na miejscowego — powiedział człowiek Hawata. — Wydaje się, że wsadzili go do tej pryzmy z górą miesiąc temu i zostawili, by czekał w niej na nasze przybycie. Kamień i zaprawa w miejscu, gdzie przedostał się do piwnicy, były nie naruszone, kiedy badaliśmy wczoraj dom. Ręczę za to swą reputacją.

— Nikt nie kwestionuje twej sumienności.

— Ja ją kwestionuję, o pani. Powinniśmy użyć sond akustycznych tam na dole.

— Rozumiem, że właśnie teraz to robicie — powiedział Paul.

— Tak, Sire.

— Przekaż mojemu ojcu, że się spóźnimy.

— Tak jest, Sire. — Zerknął na Jessikę. — Jest rozkaz Hawata, by w takich okolicznościach jak te otoczyć młodego pana strażą w bezpiecznym miejscu. — Ponownie rozejrzał się po pokoju. — Co to za pomieszczenie?

— Mam powody uważać, że jest bezpieczne — powiedziała. — Sprawdziliśmy je oboje, Hawat i ja.

— Postawię tu zatem wartę pod drzwiami, pani, póki nie przeczeszemy pałacu jeszcze raz.

Skłonił się, zasalutował Paulowi i wycofał się tyłem zatrzaskując za sobą drzwi. Paul przerwał nagłą ciszę:

— Nie lepiej, żebyśmy później sami przeszukali dom? Twoje oczy potrafią zobaczyć rzeczy, które umkną innym.

— To skrzydło było jedynym miejscem, którego nie zbadałam — powiedziała. — Odłożyłam to na później, ponieważ…

— Ponieważ Hawat zajął się nim osobiście — dokończył.

Spojrzała mu w twarz.

— Nie ufasz Hawatowi? — spytała.

— Ufam, ale on się starzeje… jest przepracowany. Moglibyśmy ulżyć mu trochę.

— To by go tylko upokorzyło i zmniejszyło jego sprawność — powiedziała. — Mucha się nie dostanie do tego skrzydła, jak on o tym usłyszy. Będzie mu wstyd, że…

— Musimy poczynić własne kroki — powiedział Paul.

— Hawat służy z honorem już trzeciemu pokoleniu Atrydów — odparła. — Zasługuje na wszelki szacunek i zaufanie, na jakie nas stać… po wielekroć.

— Kiedy ojcu nie podoba się coś, co robisz, mówi „Bene Gesserit!", jakby to było przekleństwo.

— A co takiego nie podoba się we mnie twemu ojcu?

— Kiedy się z nim spierasz.

— Nie jesteś swoim ojcem, Paul.

I Paul pomyślał: Zmartwię ją, ale muszę jej powiedzieć, co ta baba Mapes naplotła o zdrajcy wśród nas.

— Co ty ukrywasz? — spytała Jessika. — To do ciebie niepodobne, Paul.

Wzruszył ramionami i zrelacjonował rozmowę z Mapes. A Jessika pomyślała o liściu z informacją. Nagle podjęła decyzję; pokazała liść Paulowi i zakomunikowała mu treść ostrzeżenia.

— Ojciec musi się natychmiast o tym dowiedzieć — powiedział. — Zakoduję wiadomość i wyślę mu radiogram.

— Nie. Zaczekasz, aż będziesz z nim w cztery oczy. O tym musi wiedzieć jak najmniej osób.

— Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy ufać nikomu?

— Jest jeszcze inna możliwość. Tu może chodzić tylko o to, by ta wiadomość do nas dotarła. Ludzie, którzy nam ją przekazali, może i wierzą w jej prawdziwość, ale kto wie, czy dotarcie do nas nie było jedynym zadaniem tej informacji.

Wyraz ponurej zawziętości nie schodził z twarzy Paula.

— By zasiać nieufność i podejrzliwość w naszych szeregach i osłabić nas w ten sposób — powiedział.

— Musisz zawiadomić, ojca na osobności i naświetlić mu sprawę pod tym kątem.

— Rozumiem.

Odwróciła się do tafli szkła filtracyjnego, zapatrzyła się w stronę południowo-zachodnią, gdzie zapadało słońce Arrakis — żółta kula tuż nad skalnymi urwiskami. Paul odwrócił się wraz z nią.

— Ja też nie myślę, że to Hawat. Czyżby Yueh?

— Nie jest ani adiutantem, ani towarzyszem — powiedziała. — I mogę cię zapewnić, że nienawidzi Harkonnenów równie zawzięcie jak my.

Paul skierował swą uwagę ku urwiskom. I na pewno nie Gurney… ani Duncan. Może któryś z podadiutantów? Wykluczone. Wszyscy oni pochodzą z rodzin od pokoleń nam wiernych — i nie bez powodów.

Jessika potarła czoło, była zmęczona. Ileż tutaj niebezpieczeństw! Zatopiła spojrzenie w przefiltrowany na żółto pejzaż; zaczęła go studiować. Poza książęcymi włościami rozciągał się ogrodzony wysokim parkanem teren składowiska, na nim rzędy przyprawowych silosów, a wokół nich szczudłonożne wieże strażnicze rozstawiły się jak chmara najeżonych pająków. Ogarniała wzrokiem przynajmniej dwadzieścia składowisk z silosami ciągnącymi się po urwiska Muru Zaporowego — silos za silosem jakby kuśtykały przez basen. Przefiltrowane słońce z wolna zapadło się pod horyzont. Wyprysły gwiazdy. Zauważyła jedną jasną gwiazdę tak nisko nad horyzontem, że migotała w wyraźnym, regularnym rytmie — mrugające światełko:

mig — mig — mig — mig — mig…

Paul poruszył się przy niej w mrocznym pokoju. Lecz Jessika skoncentrowała się na tej pojedynczej gwieździe uświadamiając sobie, że jest ona zbyt nisko, że to światło musi dochodzić ze ścian Muru Zaporowego. Ktoś sygnalizuje. Spróbowała odczytać wiadomość, ale był to kod, jakiego się nigdy nie uczyła. Inne światełka rozbłysły w dole na równinie pod urwiskami: maleńkie żółtości rozsiane na tle granatowej nocy. I w lewo od nich jedno światło rozjarzyło się jaśniej i na uboczu, zaczęło mrugać urwiskom bardzo szybko: mignięcie, migotanie, mig! I zgasło. Fałszywa gwiazda w urwisku odmrugała natychmiast.

Sygnały… Napełniły ją one złym przeczuciem. Dlaczego użyto świateł do sygnalizacji przez basen? — postawiła sobie pytanie. Dlaczego nie korzystali z sieci łączności? Odpowiedź nasuwała się sama: sieć telekomunikacyjna była już z pewnością na podsłuchu agentów księcia Leto. Sygnały świetlne mogły oznaczać tylko jedno: że wiadomości przesyłali sobie jego wrogowie — agenci Harkonnenów.

Za plecami usłyszeli pukanie do drzwi i głos człowieka Hawata:

— Wszystko w porządku, Sire… pani. Czas wyprawić młodego pana do ojca.

> *Mówi się, że książę Leto zamknął oczy na groźby Arrakis, że zrobił nierozważny krok w przepaść. Czyż nie bliższe prawdy będzie, jeśli powiemy, że żyjąc tak długo w obliczu najwyższego zagrożenia, nie docenił zmiany w jego natężeniu? A może świadomie poświęcił siebie, aby jego synowi przypadło lepsze życie? Wszystkie fakty wskazują, że książę był człowiekiem, którego niełatwo wywieść w pole.*
>
> *z „Muad'Dib, komentarze o rodzinie" pióra księżniczki Irulan*

Książę Leto Atryda wsparł się o parapet wieży kontrolnej lądowiska pod Arrakin. Pierwszy księżyc nocy — płaska, srebrna moneta — wisiał już całkiem wysoko ponad południowym horyzontem. Pod nim zębate ściany Muru Zaporowego połyskiwały za mgiełką pyłu jak spękany lukier. Z lewej strony jarzyły się we mgle światła Arrakin — żółć… biel… granat. Pomyślał o obwieszczeniach opatrzonych jego podpisem i rozlepionych teraz po wszystkich

zaludnionych miejscach planety:

„Nasz Najjaśniejszy Padyszach Imperator nakazał mi wziąć we władanie tę planetę i położyć kres wszelkim waśniom". Ich ceremonialna formuła przepełniła go uczuciem osamotnienia. Kto się nabrał na ten dęty legalizm? Na pewno nie Fremeni. Ani rody niskie mające w swych rękach handel wewnętrzny Arrakis… i będące prawie co do jednego ludźmi Harkonnenów.

Targnęli się na życie mojego syna!

Trudno mu było opanować wściekłość. Zobaczył światła jadącego pojazdu zbliżające się do lądowiska od strony Arrakin. Miał nadzieję, że był to transporter gwardii i wojska przywożący Paula. Zwłoka była irytująca, chociaż wiedział, że wynikła z ostrożności porucznika w służbie Hawata.

Targnęli się na życie mojego syna!

Potrząsnął głową, by opędzić się od złych myśli, obejrzał się na lądowisko, gdzie pięć z jego własnych fregat tkwiło na obwodzie niczym strażnicy z monolitu. Lepsza ostrożna zwłoka niż… To był dobry porucznik, przypomniał sobie. Człowiek wyznaczony do awansu, całkowicie oddany. „Nasz Najjaśniejszy Padyszach Imperator…"

Gdyby tylko mieszkańcy tego podupadłego garnizonowego miasta zobaczyli prywatny list Imperatora do swego „Szlachetnie Urodzonego Księcia" — pogardliwe aluzje do zakwefionych mężczyzn i kobiet… ale czegóż więcej można oczekiwać od dzikusów, których najgorętszym marzeniem jest żyć poza bezpiecznym ładem faufreluches? Książę czuł w tym momencie, że jego własnym najgorętszym marzeniem jest położenie kresu wszystkim różnicom klasowym i żeby zapomnieć na zawsze o morderczym ładzie. Spojrzał w górę ponad pyłem na nieruchome gwiazdy i pomyślał: Wokół jednego z owych maleńkich światełek krąży Kaladan… lecz ja nigdy więcej nie zobaczę swojego domu.

Z tęsknoty za Kaladanem poczuł nagły ból w piersi. Czuł, że ból nie wziął się z niego samego, że dosięgnął go z Kaladanu. Nie mógł zmusić się do nazwania tej wyschniętej, jałowej ziemi swoim domem i wątpił, by kiedykolwiek był w stanie. Muszę maskować swoje uczucia — pomyślał. — Dla dobra chłopaka. Jeśli kiedykolwiek ma mieć dom, musi to być tutaj. Ja mogę uważać Arrakis za piekło, do którego dostałem się przed śmiercią, lecz on musi odszukać tutaj coś, w czym znajdzie natchnienie. Coś musi być tutaj!

Ogarnęła go fala litości nad samym sobą, wzgardzonej i odrzuconej natychmiast i przyłapał się na tym, że z jakiegoś powodu czepia się jego pamięci dwuwiersz z kasydy przytaczanej często przez Gurneya Hallecka:

W pierś łapię oddech Czasu,
za którym opadł piach…

No tak, Gurney znajdzie tutaj sporo opadającego piachu, pomyślał książę. Centralne pustkowie za tymi oszkliwionymi księżycem urwiskami było pustynią: naga skała, wydmy i tumany pyłu — nie zbadane pustkowie z grupkami Fremenów tu i ówdzie, na skraju, a może i rozsianymi po tej pustyni. Jeśli cokolwiek miało zapewnić przyszłość Atrydom, mogli to zrobić właśnie Fremeni. Pod warunkiem, że Harkonnenowie nie zarazili ich swoimi krwawymi intrygami.

Targnęli się na życie mojego syna!

Zgrzytliwy, metaliczny łoskot wprawił wieżę w wibrację, zatrząsł balustradą pod rękami księcia. Przeciwpodmuchowe osłony zapadły przed nim odcinając widok.

Prom przybywa — pomyślał. Pora zejść i zabrać się do roboty. Zawrócił ku schodom za swoimi plecami, ruszył na dół do wielkiej sali przylotów, starając się odzyskać spokój podczas schodzenia i przygotować twarz na nadchodzące spotkanie.

Targnęli się na życie mojego syna!

Ludzie tłoczyli się już z lądowiska do środka, kiedy dotarł do nakrytej żółtą kopułą hali. Niosąc zarzucone na ramiona marynarskie worki pokrzykiwali i dokazywali jak uczniowie wracający z kolonii.

— Hej! Wyczuwasz to pod swoimi platfusami? To ci dopiero ciążenie, brachu!

— Ile tu mają stałej grawitacyjnej? Czuje się wagę.

— Dziewięć dziesiątych G, jak stoi w księgach.

Bezładny gwar słów wypełnił ogromną salę.

— Przyjrzałeś się dobrze tej dziurze podczas lądowania? Gdzie leży cały ten szmal, jaki miał na nas czekać?

— Harkonneny zwinęły go ze sobą!

— Ja pod gorący prysznic i buch do łóżka!

— Nie słyszałeś, idioto? Tutaj nie ma pryszniców. Szorujesz dupę piaskiem!

— Hej! Mordy w kubeł! Książę!

Książę wyszedł z klatki schodowej na ucichłą nagle salę. Gurney Halleck kroczył przy skraju tłumu; na jednym ramieniu niósł torbę, w drugiej ręce ściskał gryf swej dziewięciostrunowej balisety. Miał długopalce dłonie z wielkimi kciukami, zdolne do drobnych ruchów, którymi dobywał tak delikatną muzykę z balisety. Książę obserwował Hallecka podziwiając zwalistego brzydala, zauważył lustrzane refleksy źrenic, a w nich błysk barbarzyńskiego zrozumienia. Oto człowiek, który żył poza faufreluches, przestrzegając ich jednocześnie w każdym przykazaniu. Jak to go Paul nazwał? „Gurney Waleczny”. Kosmyki

jasnych cienkich włosów snuły się po wyłysiałej miejscami głowie. Szerokie usta wykrzywił w wesołym uśmiechu, a blizna po chlaśnięciu krwawinowym biczem ruszała się, jakby żyła własnym życiem. Z całej jego postaci biła niedbała, niedźwiedzia siła. Podszedł do księcia, schylił się w ukłonie.

— Gurney — powiedział książę.

— Mój panie — Gurney wyciągnął baliście w kierunku ludzi na sali. — To już reszta. Wolałbym przybyć z pierwszym rzutem, ale…

— Zostało dla ciebie jeszcze trochę Harkonnenów — powiedział książę. — Chodź ze mną na stronę, to pogadamy.

— Rozkazuj, mój panie.

Przenieśli się do alkowy koło sprzedającego wodę automatu ze szczeliną na monety, podczas gdy ludzie kręcili się nerwowo po ogromnej poczekalni. Halleck cisnął torbę w kąt, nie wypuszczając z ręki balisety.

— Ilu ludzi możesz dać Hawatowi? — zapytał książę.

— Czy Thufir jest w tarapatach, Sire?

— Stracił zaledwie dwóch agentów, ale jego straż przednia wspaniale rozpracowała całą tutejszą siatkę Harkonnenów. Jeśli będziemy działać szybko, zapewnimy sobie niejakie bezpieczeństwo, tak potrzebną nam chwilę wytchnienia. On chce tylu ludzi, ilu tylko możesz zwolnić — ludzi, którzy nie zawahają się popracować i nożem.

— Mogę mu dać trzy setki moich najlepszych — powiedział Halleck. — Gdzie mam ich odesłać?

— Do głównej bramy. Czeka tam agent Hawata, który ich przejmie.

— Mam się tym zająć natychmiast, Sire?

— Za chwilę. Mamy jeszcze jeden kłopot. Komendant lądowiska pod jakimś pretekstem zatrzyma tu prom do świtu. Galeon Gildii, którym przybyliście, leci dalej w swoich interesach, zaś prom ma spotkać się z towarowcem zabierającym stąd ładunek przyprawy.

— Naszej przyprawy, panie?

— Naszej przyprawy. Ale prom zabierze również niektórych poszukiwaczy przyprawy starego reżimu. Optowali za wyjazdem przy zmianie lenna, a Sędzia Zmiany im nie zabrania. To cenni pracownicy, Gurney, jest ich około ośmiuset. Do odlotu promu musisz namówić część z nich, by zaciągnęli się do nas.

— Jak mocno namawiać, Sire?

— Zależy mi na ich dobrowolnej współpracy, Gurney. Ci ludzie posiadają niezbędne nam doświadczenie i umiejętności. Fakt, że odlatują, sugeruje, iż nie są częścią machiny Harkonnenów. Hawat jest przekonany, że w grupie będzie paru podstawionych łotrów, ale on widzi assassinów w każdym cieniu.

— W swoim życiu Thufir wypatrzył kilka wielce obiecujących

cieni, panie.

— Są i takie, których nie wypatrzył. Ale moim zdaniem podrzucenie takich kukułczych jaj w ten tłum odjeżdżających to za dużo jak na wyobraźnię Harkonnenów.

— Możliwe, Sire. Gdzie są ci ludzie?

— Piętro niżej, w poczekalni na dole. Proponuję, abyś zszedł na dół i zagrał ze dwie chwytające za serce melodie, po czym ich przyciśniesz. Możesz oferować kierownicze stanowiska dla posiadających kwalifikacje. Zaproponuj płace wyższe o dwadzieścia procent niż dostawali u Harkonnenów.

— Tylko dwadzieścia, Sire? Znam siatkę płac Harkonnenów. A w oczach ludzi z końcową odprawą w kieszeniach, i gorączką podróży w sercach… no cóż, Sire… dwadzieścia procent to raczej słaba pokusa do pozostania.

Leto powiedział ze zniecierpliwieniem:

— Więc sam decyduj o każdym przypadku z osobna. Pamiętaj tylko, że skarbiec nie jest bez dna. Tam, gdzie zdołasz, trzymaj się dwudziestu procent. Zależy nam szczególnie na melanżerach, przepatrywaczach pogody, diunidach — na wszystkich obytych z otwartymi piaskami.

— Rozumiem, Sire. „Przybędą spragnieni gwałtu: chmarą nadlecą jako wschodni wiatr i będą zbierać, co piach więzi".

— Bardzo wzruszający cytat — powiedział książę. — Przekaż swój oddział adiutantowi. Niech przeprowadzi krótkie przeszkolenie z reżimu wody, po czym zakwateruje ludzi na noc w barakach przy lądowisku. I nie zapomnij o ludziach dla Hawata.

— Trzy setki najlepszych, Sire. — Gurney podniósł swój marynarski worek. — Gdzie mam się meldować po wykonaniu zadań?

— Zająłem pokój konferencyjny na górze. Odbędziemy tam naradę sztabową. Chcę ustalić nowy system rozmieszczenia sił na planecie, poczynając od rozlokowania brygad pancernych.

Halleck zatrzymał się w pół obrotu, spojrzał Leto w oczy.

— Spodziewasz się tego rodzaju kłopotu, Sire? Myślałem, że jest tutaj Sędzia Zmiany.

— I otwartej walki i podchodów — powiedział książę. — Popłynie tu rzeka krwi, zanim będziemy to mieli za sobą.

— „A woda, którą czerpiesz z rzeki, w krew się przemieni na jałowej ziemi" — wyrecytował Halleck.

Książę westchnął.

— Wracaj jak najprędzej, Gurney.

— Doskonale, panie. — Pręga po biczu zafalowała od szerokiego uśmiechu. — „Syćcie oczy, bom jak dziki osioł pustyni kroczący do swej pracy".

Odwrócił się, wymaszerował na środek sali, przystanął, by wydać

rozkazy, pospiesznie przecisnął się przez tłum ludzi. Leto pokręcił za nim głową. Halleck nie przestawał go zdumiewać — głowa nabita pieśniami, sentencjami i kwiecistymi aforyzmami… a serce assassina, gdy przychodzi mieć do czynienia z Harkonnenami. Wkrótce Leto ruszył wolnym krokiem na ukos przez salę w stronę windy, przyjmując honory niedbałym machnięciem ręki. Zauważył człowieka z korpusu propagandy, zatrzymał się, przekazując mu wiadomość do podania ludziom przez radiowęzeł: ci, którzy przywieźli ze sobą kobiety, oczekiwali zapewnienia, że są one bezpieczne i gdzie je można znaleźć. Pozostali chcieliby wiedzieć, że tutejsza ludność okazuje się szczycić większą liczbą kobiet niż mężczyzn. Książę klepnął człowieka z propagandy po ramieniu, znak, że wiadomość ma bezwzględne pierwszeństwo i ma być nadana natychmiast, po czym ruszył dalej przez salę. Kiwał ludziom głową w ukłonie, uśmiechał się, wymienił uprzejmości z młodszym oficerem. Władza musi zawsze sprawiać wrażenie pewnej siebie — myślał. Dźwigać całe to brzemię zaufania na barkach, kiedy jest się w krytycznym położeniu, i nigdy tego po sobie nie pokazać. Wydał westchnienie ulgi, kiedy wchłonęła go winda i mógł odwrócić się, i stanąć twarzą do bezosobowych drzwi.

Targnęli się na życie mojego syna!

Ponad wyjściem na płytę lądowiska Arrakin widnieje toporny, jakby prymitywnym narzędziem ciosany napis, którego słowa Muad'Dib miał później powtarzać wiele razy. Zobaczył je owej pierwszej nocy na Arrakis, kiedy przywieziono go na książęce stanowisko dowodzenia, aby wziął udział w pierwszej naradzie pełnego sztabu swego ojca. Słowa zawierały prośbę do tych, co opuszczają Arrakis, lecz zapadły mrocznym ciężarem w serce chłopca, który dopiero co umknął spod skrzydeł śmierci. Brzmiały: „O wy, którzy wiecie, jak tutaj cierpimy, nie zapomnijcie o nas w waszych modlitwach".

z „Krótkiej historii Muad'Diba"
piorą księżniczki Irulan

— Cała teoria sztuki wojennej sprowadza się do obliczenia ryzyka — powiedział książę — lecz kiedy przychodzi do ryzykowania własną rodziną, element kalkulacji rozmywa się w… innych sprawach.

Wiedział, że nie panuje nad swym gniewem tak dobrze, jak powinien, odwrócił się i wielkimi krokami przemierzył długość ogromnego stołu tam i z powrotem. Książę i Paul znajdowali się sami w sali konferencyjnej lądowiska. Był to pokój z głuchym pogłosem, wyposażony jedynie w długi stół, trójnożne antyczne krzesła stojące wokół niego, tablicę na mapy oraz projektor w drugim końcu pokoju. Paul siedział przy stole pod tablicą. Opowiedział ojcu przygodę z grotem-gończakiem i przekazał informacje o grożącej mu zdradzie.

Książę zatrzymał się naprzeciwko Paula, walnął w stół:

— Hawat mówił mi, że dom jest bezpieczny!

Paul odezwał się niepewnie:

— Ja też byłem zły… z początku. I obwiniałem Hawata. Lecz ten atak wyszedł spoza pałacu. Był prosty, sprytny i bezpośredni. I powiódłby się, gdyby nie wyszkolenie, jakie przeszedłem pod kierunkiem twoim i wielu innych, łącznie z Hawatem.

— Bronisz go? — zapytał książę.

— Tak.

— On się starzeje. Ot co. Powinien…

— Jest mądry z ogromnym doświadczeniem — powiedział Paul. — Ile pomyłek Hawata możesz wymienić?

— To ja powinienem go bronić — powiedział książę. — Nie ty.

Paul uśmiechnął się. Leto przysiadł u szczytu stołu, objął syna ramieniem.

— Ostatnio… wydoroślałeś, synu.

Zabrał rękę. Odpowiedział uśmiechem na uśmiech syna.

— Cieszy mnie to. Hawat sam się ukarze. Większy będzie jego gniew na siebie samego z tego powodu niż gniew nas obu razem wzięty.

Paul spojrzał na pociemniałe okna za tablicą map, zatopił wzrok w czerni nocy. Światło sali odbijało się od balustrady balkonu za oknami. Dostrzegł ruch i rozpoznał sylwetkę strażnika w mundurze Atrydów. Przeniósł spojrzenie na białą ścianę za plecami ojca, następnie w dół ku błyszczącej powierzchni stołu, zauważając na niej swoje własne dłonie zaciśnięte w pięści.

Drzwi naprzeciwko księcia rozwarły się gwałtownie. Wkroczył przez nie Thufir Hawat starzej wyglądający i bardziej jakby żylasty niż zwykle. Przeszedł całą długość stołu, zatrzymał się na baczność twarzą w twarz z Leto.

— Panie mój — odezwał się mówiąc do jakiegoś punktu ponad głową Leto — dowiedziałem się właśnie, jak cię zawiodłem. Zachodzi konieczność złożenia przeze mnie rezyg…

— Och, siadaj i przestań się wygłupiać — przerwał mu książę. Wskazał krzesło naprzeciwko Paula. — Jeżeli się pomyliłeś, to przeceniając Harkonnenów. Ich prostackie umysły wyjechały z prostacką zagrywką. Nie braliśmy pod uwagę prostackich zagrywek. Syn mój zadał sobie wiele trudu, by mi dowieść, że wyszedł z tego głównie dzięki twoim naukom. Tutaj mnie nie zawiodłeś.

Poklepał oparcie wolnego krzesła.

— Siadaj, mówię!

Hawat osunął się na krzesło.

— Ale…

— Nie chcę więcej o tym słyszeć — powiedział książę. — Incydent należy do przeszłości. Mamy pilniejsze sprawy. Gdzie reszta?

— Prosiłem ich, by zaczekali za drzwiami, kiedy ja…

— Zawołaj ich.

Hawat popatrzył Leto prosto w oczy.

— Sire, ja…

— Ja wiem, kto jest moim prawdziwym przyjacielem, Thufir — powiedział książę. — Zawołaj ludzi.

Hawat przełknął ślinę.

— Tak jest, mój panie.

Obróciwszy się w krześle zawołał w stronę otwartych drzwi:

— Gurney, wprowadź ich.

Halleck wprowadził do pokoju korowód ludzi, na przedzie

oficerowie sztabowi z ponurą powagą na twarzach, za nimi młodsi asystenci i eksperci tryskający zapałem. Krótkotrwałe odgłosy szurania rozeszły się echem po sali, kiedy ludzie zajmowali miejsca. Delikatny aromat stymulacyjnej rachag unosił się nad stołem.

— Jest kawa, jeśli ktoś ma ochotę — powiedział książę. Popatrując po swoich ludziach pomyślał: Dobra z nich ekipa. Ten rodzaj wojny mógł bardziej człowieka wykończyć.

Czekał, aż przyniesiono z sąsiedniego pokoju i podano kawę, dostrzegając na niektórych twarzach oznaki zmęczenia. Wkrótce przywdział swą maskę spokoju i kompetencji, powstał i zastukał w blat knykciami dla przywołania uwagi.

— A więc, panowie — powiedział — nasza cywilizacja popadła zdaje się tak dalece w nałóg inwazji, że nawet nie możemy wykonać prostego rozkazu Imperium, żeby się nie napatoczyć na stare zwyczaje.

Rozległy się zduszone śmiechy dokoła stołu i Paul zdał sobie sprawę, że jego ojciec powiedział dokładnie właściwą rzecz dokładnie właściwym tonem, aby poprawić nastrój na sali. Nawet ślad znużenia w jego głosie był na miejscu.

— Myślę, że najpierw powinniśmy się dowiedzieć, czy Thufir może cokolwiek dorzucić do swego raportu o Fremenach. Thufir?

Hawat podniósł oczy.

— Mam pewne ekonomiczne sprawy do przestudiowania po moim ogólnym raporcie, Sire, ale mogę już powiedzieć, że Fremeni zaczynają coraz bardziej wyglądać na takich sojuszników, jakich potrzebujemy. Chcą nabrać pewności, że mogą nam zaufać, lecz wydają się postępować szczerze. Przysłali nam podarunek — filtrfraki ich własnego wyrobu… mapy pewnych rejonów pustyni, na których pozostały punkty oporu Harkonnenów… — Spojrzał wzdłuż stołu. — Doniesienia ich wywiadu okazały się absolutnie wiarygodne i pomogły nam znacznie w naszych stosunkach z Sędzią Zmiany. Przysłali również nieco drobiazgów — biżuterię dla lady Jessiki, przyprawę, alkohole, słodycze, leki. Moi ludzie to teraz przetrząsają. Wydaje się, że nie ma żadnego podstępu.

— Podobają ci się oni, Thufir? — zapytał ktoś z końca stołu. Hawat obrócił się twarzą do pytającego.

— Duncan Idaho twierdzi, że należy tych ludzi podziwiać.

Paul zerknął na ojca, potem znowu na Hawata i zaryzykował pytanie:

— Masz jakąś informację, ilu jest Fremenów?

Hawat spojrzał na Paula.

— Na podstawie przetwórstwa żywności i innych dowodów Idaho oblicza kompleks jaskiń, w którym przebywał, na ogółem jakieś dziesięć tysięcy ludzi. Ich przywódca powiedział, że ma pod sobą sicz

składającą się z dwóch tysięcy ognisk domowych. Mamy powody przypuszczać, że takich siczowych społeczności jest sporo. Wygląda na to, że wszystkie składają hołd komuś, kto zwie się Liet.

— To coś nowego — powiedział Leto.

— Może tu się mylę, Sire. Są pewne poszlaki, że ów Liet mógłby się okazać miejscowym bóstwem.

Ktoś inny, z dalszego miejsca, odchrząknął i zapytał:

— Czy to pewne, że prowadzą interesy z przemytnikami?

— W czasie pobytu Idaho w siczy wyruszyła stamtąd karawana przemytników obładowana przyprawą. Używali jucznych zwierząt i wskazywali, że mają przed sobą osiemnastodniową wędrówkę.

— Przemytnicy jakby podwoili swoje operacje w tym niespokojnym okresie — powiedział książę. — Trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Nie powinniśmy zbytnio przejmować się startami nie posiadających koncesji fregat z naszej planety, zawsze tak było. Ale całkowicie stracić je z oczu byłoby niedobrze.

— Masz jakiś plan, Sire? — zapytał Hawat.

Książę popatrzył na Hallecka.

— Gurney, chcę, abyś powiódł delegację — poselstwo, jeśli wolisz, w celu nawiązania kontaktów z tymi romantycznymi biznesmenami. Powiesz im, że przymknę oczy na ich działalność, dopóki składać mi będą książęcą dziesięcinę. Nasz Hawat szacuje, że przekupstwo i dodatkowe oddziały wojowników kosztowały ich cztery razy tyle.

— Co będzie, jeśli Imperator to wyniucha? — zapytał Halleck. — Jest bardzo zazdrosny o swoje zyski z KHOAM, mój panie.

Leto uśmiechnął się.

— Całą dziesięcinę złożymy otwarcie w banku na konto Szaddama IV, a odejmiemy ją legalnie z sumy płaconej przez nas na utrzymanie pomocniczych zaciągów wojskowych. Niech Harkonnenowie spróbują to ugryźć! I przy okazji oskubiemy paru miejscowych, którzy wzbogacili się w systemie Harkonnenów. Koniec z łapówkami!

Halleck wykrzywił usta w uśmiechu.

— Ach, mój panie, jaki piękny cios poniżej pasa. Chciałbym zobaczyć oblicze barona, kiedy się o tym dowie.

Książę zwrócił się do Hawata.

— Thufir, masz te księgi rachunkowe, o których mówiłeś, że możesz je kupić?

— Tak, mój panie. Są szczegółowo badane nawet w tej chwili. Wszelako przerzuciłem je i mogę podać pierwszą przybliżoną ocenę.

— Więc podaj.

— Harkonnenowie wyciągali stąd dziesięć miliardów solaris co trzysta trzydzieści dni standardowych.

Zduszone westchnienie obiegło stół. Nawet zdradzający pewne znudzenie młodsi asystenci wyprostowali się i wymienili spojrzenia szeroko otwartych oczu. Halleck zamruczał:

— „Albowiem będą czerpać z obfitości mórz i bogactwa, jakie piasek kryje".

— Widzicie, panowie — powiedział Leto. — Czy jest tu ktoś na tyle naiwny, by wierzył, że Harkonnenowie grzecznie spakowali swoje manatki i odeszli tylko dlatego, że tak przykazał Imperator?

Nastąpiło ogólne kręcenie głowami, szmer potakiwań.

— Wszystko musimy brać z mieczem w dłoni — powiedział Leto. — Dobry moment na sprawozdanie o sprzęcie — zwrócił się do Hawata. — Ile nam zostawili piachogąsieników, żniwiarek, przetwórni przyprawy i czego tam jeszcze?

— Pełny inwentarz, jak stoi wypisane w imperialnym remanencie zbilansowanym przez Sędziego Zmiany, mój panie.

Hawat skinął na asystenta, ten podał mu prospekt, który Hawat otworzył przed sobą na stole.

— Zapomnieli dodać, że mniej niż połowa gąsieników jest na chodzie, że zaledwie około jedna trzecia ma zgarniarki na dolot do przyprawowych piasków — że wszystko, co nam Harkonnenowie zostawili, lada chwila runie i rozleci się na kawałki. Będziemy mieli szczęście, jeśli uruchomimy połowę sprzętu, a jeszcze większe, jeśli czwarta część urządzeń popracuje chociaż pół roku.

— Prawie tak, jak przypuszczaliśmy — powiedział Leto. — Jak się przedstawia dokładne zestawienie podstawowego sprzętu?

Hawat spojrzał w swój prospekt.

— Około dziewięciuset trzydziestu żniwnych kombajnów gotowych ruszyć za parę dni. Około sześciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu ornitopterów do poszukiwań, zwiadu i obserwacji pogody… zgarniarek nieco poniżej tysiąca.

— Czy nie byłoby taniej — powiedział Halleck — wznowić negocjacje z Gildią co do zezwolenia na wprowadzenie na orbitę fregaty w charakterze satelity meteorologicznego?

Książę spojrzał na Hawata.

— Nic nowego w tej sprawie, co, Thufir?

— Na razie musimy szukać innych rozwiązań — powiedział Hawat. — Agent Gildii niczego z nami tak naprawdę nie negocjował. Dawał jedynie do zrozumienia — jak mentat mentatowi — że cena jest poza naszym zasięgiem i pozostanie taka bez względu na to, jak wysoko zajdziemy. Naszym zadaniem jest dowiedzieć się dlaczego, zanim ponownie go zaczepimy.

Jeden z asystentów Hallecka w głębi sali wykręcił się na krześle i warknął:

— I to ma być sprawiedliwość!

— Sprawiedliwość? — książę zmierzył go wzrokiem. — Kto szuka sprawiedliwości? Zaprowadzimy naszą własną sprawiedliwość. Zaprowadzimy ją tutaj na Arrakis — zwyciężając albo ginąc. Czy żałujesz, sir, że związałeś z nami swój los?

Mężczyzna wpatrywał się przez chwilę w księcia.

— Nie, Sire. Nie mogłeś nie przyjąć najbogatszego w naszym wszechświecie planetarnego źródła dochodu… a mnie nie pozostawało nic innego, jak pójść za tobą. Przepraszam za wybuch, ale… — Wzruszył ramionami. — Wszyscy chyba czasami odczuwamy rozgoryczenie.

— Rozgoryczenie to ja rozumiem — powiedział książę. — Ale przestańmy użalać się na sprawiedliwość, dopóki mamy ręce i możemy nimi władać. Czy ktoś jeszcze żywi rozgoryczenie? Jeśli tak, niech mówi. To jest przyjacielska narada, gdzie każdy może powiedzieć, co mu leży na sercu.

Halleck poruszył się.

— Sadzę, że to, co nas gryzie, Sire, to brak jakichkolwiek ochotników z innych wielkich rodów. Nazywają cię Leto Sprawiedliwym i przysięgają ci wieczną przyjaźń, byle tylko ich to nic nie kosztowało.

— Jeszcze nie wiedzą, kto wygra tę zmianę — powiedział książę. Większość rodów doszła do majątku dzięki unikaniu ryzyka. Nie można ich za to tak naprawdę winić, można nimi co najwyżej pogardzać. — Spojrzał na Hawata. — Mówiliśmy o sprzęcie. Czy zechciałbyś wyświetlić kilka maszyn, żeby ludzie zapoznali się z tymi urządzeniami?

Hawat kiwnął głową, dał znak asystentowi przy projektorze. Trójwymiarowe solido pojawiło się na powierzchni stołu w odległości około jednej trzeciej blatu od księcia. Niektórzy z dalszych miejsc powstawali, by lepiej widzieć. Paul wychylił się do przodu obserwując maszynę. Mierzona skalą maleńkich figurek ludzkich dokoła, miała ze sto dwadzieścia metrów długości i około czterdziestu szerokości. W ogólnych zarysach był to długi, insektowaty korpus poruszający się na układach niezależnych szerokich kół.

— To jest kombajn żniwny — wyjaśnił Hawat. — Wybraliśmy do projekcji taki w dobrym stanie. Jest to jeden zestaw linowłókowy przywieziony przez pierwszą ekipę ekologów imperialnych, ale wciąż jeszcze na chodzie… chociaż nie mam pojęcia jak… ani po co.

— Jeżeli to ten zwany „Starą Marią”, to należy on do muzeum — powiedział któryś z asystentów. — Myślę, że Harkonnenowie utrzymywali go jako rodzaj kary, miecza zawieszonego nad głowami robotników. Bądź grzeczny, bo przydzielimy cię na „Starą Marię”.

Dokoła rozległy się chichoty. Paul nie brał udziału w tej wesołości, jego uwagę zaprzątała projekcja i pytanie wypełniające

myśli. Wskazał obraz na stole i powiedział:

— Thufir, czy istnieją piaskowe czerwie tak wielkie, by mogły to połknąć w całości?

Nad stołem raptownie zapadła cisza. Książę zaklął pod nosem, ale po chwili pomyślał: Nie, oni muszą stawić czoło tutejszej rzeczywistości.

— W głębi pustyni żyją czerwie, które mogą wziąć cały ten kombajn na jeden ząb — powiedział Hawat. — Tutaj bliżej Muru Zaporowego, gdzie prowadzi się większość prac wydobywczych, jest też mnóstwo czerwi zdolnych uszkodzić taki kombajn i spokojnie go pożreć ot, tak sobie.

— Dlaczego nie stosuje się osłon? — zapytał Paul.

— Według doniesień Idaho — powiedział Hawat — w pustyni tarcze są niebezpieczne. Tarcza na ciało ludzkie zwabia wszystkie czerwie w promieniu setek kilometrów. Zdaje się, że dostają od niej amoku. Tak twierdzą Fremeni i nie ma powodu im nie wierzyć. Idaho nie widział żadnych śladów wyposażenia siczy w tarcze.

— W ogóle żadnych? — zapytał Paul.

— Byłoby ciężko ukryć taką rzecz w wyposażeniu kilku tysięcy ludzi — powiedział Hawat. — Idaho miał wolny wstęp do każdego zakamarka siczy. Nie zobaczył żadnej tarczy ani śladów ich użycia.

— To dziwne — rzekł książę.

— To pewne, że Harkonnenowie mieli tu mnóstwo tarcz — powiedział Hawat. — Mieli składy remontowe we wszystkich garnizonach wojskowych, a ich księgi rachunkowe wykazują duże wydatki na naprawy tarcz i części zamienne.

— Czy to możliwe, żeby Fremeni mieli sposób neutralizowania tarcz? — spytał Paul.

— Nie wydaje się to prawdopodobne — odparł Hawat. — Teoretycznie jest to możliwe, oczywiście — przeciwny ładunek elektrostatyczny o wymiarach hrabstwa ma rzekomo dokazać tej sztuki, ale nikt tego nigdy jeszcze nie był w stanie wypróbować.

— Słyszeliśmy już wcześniej o tym — powiedział Halleck. — Przemytnicy są w zażyłej komitywie z Fremenami i zdobyliby takie urządzenie, gdyby było osiągalne. I bez żadnych oporów znaleźliby na nie zbyt również poza planetą.

— Nie podoba mi się brak odpowiedzi w tak istotnej sprawie — rzekł Leto. — Thufir, chcę, abyś nadał bezwzględny priorytet rozwiązaniu tej zagadki.

— Już się tym zajmujemy, mój panie. — Odchrząknął. — Aha, Idaho powiedział jedną rzecz: powiedział, że nie można się pomylić, jeśli chodzi o stosunek Fremenów do tarcz. Powiedział, że najczęściej śmieją się z nich.

Książę zmarszczył brwi. Nagle stwierdził:

— Tematem dyskusji jest sprzęt do wydobywania przyprawy.

Hawat dał znak ręką asystentowi za projektorem: solido kombajnu żniwnego ustąpiło miejsca projekcji skrzydlatej machiny, przy której figurki ludzkie wyglądały jak mrówki.

— Zgarniarka — poinformował Hawat. — Właściwie jest to wielki ornitopter mający jedno zadanie: donieść kombajn na bogate w przyprawę piaski, a następnie ratować go, kiedy zjawi się czerw pustyni. One zjawiają się zawsze. Zbiór przyprawy odbywa się na zasadzie: dopaść, nachapać się i wiać, z czym się da.

— Pasuje jak ulał do moralności Harkonnenów — powiedział książę. Śmiech był raptowny i zbyt głośny. W soczewce projektora ornitopter zastąpił zgarniarkę.

— Te ornitoptery są dość konwencjonalne — mówił Hawat. — Zasadnicze modyfikacje dotyczyły zwiększenia zasięgu. Dodatkowych starań wymagało zabezpieczenie najważniejszych elementów przed piaskiem i pyłem. Zaledwie co trzydziesty ma osłonę — być może zmniejszono ciężar o wagę generatora tarczy, żeby uzyskać większy zasięg.

— Nie podoba mi się to pomniejszanie roli tarcz — zamruczał książę. A pomyślał: Czy to jest sekret Harkonnenów? Czy to znaczy, że nie będziemy mogli nawet uciec w osłoniętych fregatach, gdyby wszystko obróciło się na naszą niekorzyść? Potrząsając energicznie głową, by odegnać te myśli, powiedział głośno: — Przejdźmy do kosztów wydobycia. Ile wyniesie nasz zysk?

Hawat przerzucił dwie kartki w swoim zeszycie.

— Po wycenie remontów i sprzętu na chodzie dokonaliśmy wstępnej kalkulacji kosztów eksploatacyjnych. Za podstawę przyjęliśmy naturalnie fundusz pomniejszony o koszty amortyzacji dla zapewnienia wyraźnego marginesu bezpieczeństwa.

Przymknął oczy w mentackim półtransie i zaczął:

— Koszty konserwacji i płace za Harkonnenów nie przekraczały czternastu procent. Będziemy mogli mówić o szczęściu, gdy uzyskamy trzydzieści procent — na początek. Uwzględniając nowe inwestycje i czynniki wzrostu łącznie z odsetkami KHOAM i kosztami wojskowymi, nasz zysk skurczy się do bardzo wąskiej marży sześciu — siedmiu procent, dopóki nie zdołamy wymienić zużytego sprzętu. Potem będziemy w stanie podnieść marżę zysku do dwunastu — piętnastu procent jej właściwego poziomu. — Otworzył oczy. — Chyba, że mój pan życzy sobie przejąć metody Harkonnenów.

— Walczymy o solidną i trwałą bazę planetarną — powiedział książę. — Musimy zadowolić wysoki procent ludności, zwłaszcza Fremenów.

— Fremenów przede wszystkim — zgodził się Hawat.

— Nasze panowanie nad Kaladanem — mówił książę — opierało

się na potędze morskiej i powietrznej. Tu musimy zbudować coś, co pozwolę sobie nazwać potęgą pustynną. Może ona obejmować siły powietrzne, ale niewykluczone, że nie musi. Zwracam uwagę na brak tarcz w ornitopterach. — Pokręcił głową. — Harkonnenowie werbowali część swego kluczowego personelu poza planetą. My się nie odważymy pójść na to. Każda przybywająca grupa miałaby swój kontyngent prowokatorów.

— A więc będziemy się musieli zadowolić o wiele mniejszym zyskiem i skromniejszymi zbiorami — powiedział Hawat. — Nasza produkcja w pierwszych dwóch sezonach będzie niższa o jedną trzecią od średniej Harkonnenów.

— No i mamy dokładnie to — rzekł książę — czego mogliśmy się spodziewać. Musimy szybko ruszyć Fremenów. Chciałbym dysponować pięcioma pełnymi batalionami wojsk fremeńskich przed najbliższym bilansem KHOAM.

— To niewiele czasu, Sire — powiedział Hawat.

— Dobrze wiesz, że mamy niewiele czasu. Oni się tu pojawią przy najbliższej okazji, wraz z sardaukarami w harkonneńskich mundurach. Ilu ich, twoim zdaniem, zostanie wyekspediowanych, Thufir?

— Wszystkiego cztery do pięciu batalionów, Sire, Nie więcej, przy takich opłatach, jakie Gildia liczy za przewóz wojska.

— Zatem pięć batalionów Fremenów plus własne nasze siły powinny wystarczyć. Urządźmy przed Zgromadzeniem Landsraadu defiladę kilku pojmanych sardaukarów, a sprawy będą się miały zupełnie inaczej — bez względu na zyski.

— Dołożymy wszelkich starań, Sire.

Paul obrzucił ojca spojrzeniem i zatrzymał oczy na Hawacie, zdając sobie nagle sprawę z sędziwego wieku mentata, uprzytomniając sobie, że stary człowiek służy Atrydom od trzech pokoleń. Stary. Widać to było w łzawym blasku piwnych oczu, w policzkach pomarszczonych i ogorzałych od egzotycznych klimatów, w opadającym łuku ramion, w cienkiej kresce ust zabarwionych sokiem sapho na kolor żurawiny. Tak wiele zależy od jednego starego człowieka — pomyślał Paul.

— Znajdujemy się obecnie w stanie wojny assassinów — powiedział książę — ale nie doszła ona jeszcze do zenitu. Thufir, jak wygląda tutejsza organizacja Harkonnenów?

— Wyeliminowaliśmy dwustu pięćdziesięciu dziewięciu ich prowodyrów, mój panie. Pozostały nie więcej niż trzy komórki Harkonnenów — w sumie może ze stu ludzi.

— Te wyeliminowane przez ciebie sługusy Harkonnenów — zapytał książę — czy to klasa posiadaczy?

— Większość była dobrze sytuowana, mój panie, z warstwy przedsiębiorców.

— Chcę, byś sfałszował świadectwa hołdu opatrzone podpisem każdego z nich — powiedział książę. — Kopię złóż u Sędziego Zmiany. Zajmiemy legalistyczne stanowisko, że przebywali oni na fałszywym hołdzie. Skonfiskuj ich własność, zabierz wszystko, eksmituj rodziny. I dopilnuj, żeby Korona dostała swoje dziesięć procent. To musi być absolutnie zgodne z prawem.

Thufir uśmiechnął się odsłaniając zabarwione na czerwono zęby za karminowymi wargami.

— Krok godny twego przodka, mój panie. Wstyd mi, że pierwszy na to nie wpadłem.

Halleck spojrzał z dezaprobatą ponad stołem i przyłapał Paula z głębokim marsem na czole. Fałszywy krok — myślał Paul. — To tylko zmusi pozostałych do stawiania tym zacieklejszego oporu. Na poddaniu się niczego nie zyskują. Znał aktualnie obowiązującą konwencję, która nie chroniła własności, lecz tego rodzaju posunięcie zamiast doprowadzić do zwycięstwa, mogło ich równie dobrze zgubić.

— „Obcy byłem w obcej krainie" — zacytował Halleck. Paul wlepił w niego oczy rozpoznając werset z Biblii P. K., dumając: Czyżby również i Gurney chciał położyć kres podstępnym intrygom?

Książę spojrzał w ciemność za oknami i z powrotem na Hallecka.

— Gurney, ilu z tamtych piachmistrzów namówiłeś do pozostania z nami?

— Dwustu osiemdziesięciu sześciu, Sire. Myślę, że powinniśmy ich łapać i uważać się za szczęściarzy. Wszyscy reprezentują przydatne specjalności.

— Tylko tylu? — książę wydął wargi. — No cóż, przekaż dalej wiadomość do…

Przerwał mu hałas w drzwiach. Duncan Idaho przecisnął się przez wartę, szybkim krokiem doszedł do końca stołu i nachylił się do ucha księcia.

Leto odsunął go gestem.

— Mów głośno, Duncan. Widzisz, że obraduje tu sztab.

Paul przypatrywał się pilnie Idaho dostrzegając kocie ruchy, szybkość refleksu, cechy, które czyniły zeń tak niedościgłego nauczyciela fechtunku. Ciemna, krągła twarz Idaho odwróciła się do Paula, oczy mieszkańca jaskini nie dały znaku, że go zauważają, za to Paul zauważył podniecenie pod maską spokoju. Idaho spojrzał wzdłuż stołu.

— Wzięliśmy oddział harkonneńskich najemników przebranych za Fremenów. Sami Fremeni przysłali nam kuriera z ostrzeżeniem przed oszukańczą bandą. Podczas ataku okazało się jednak, że Harkonnenowie urządzili zasadzkę na kuriera Fremenów raniąc go ciężko. Zmarł, kiedy wieźliśmy go tutaj, by zajęli się nim nasi lekarze. Widziałem, w jakim stanie był ten człowiek, więc zatrzymałem się, by

zobaczyć, co mogę dla niego zrobić. Zaskoczyłem go, kiedy usiłował odrzucić coś daleko od siebie.

Idaho spuścił wzrok na Leto.

— Nóż, mój panie, któremu podobnego nigdy nie widziałeś.

— Krysnóż? — spytał ktoś.

— Nie ma co do tego żadnych wątpliwości — odparł Idaho. — Mlecznobiały i jarzący się jak gdyby własnym światłem.

Sięgnął pod bluzę, wydobył pochwę z wystającą z niej czarną, karbowaną rękojeścią.

— Zostaw to ostrze w pochwie!

Głos doleciał z otwartych drzwi w końcu sali, wibrujący i przenikliwy głos, który unieruchomił ich wszystkich z wytrzeszczonymi oczami. W progu stała wysoka, owinięta burnusem postać, odgrodzona skrzyżowanymi mieczami straży. Cienka, brązowa szata spowijała ją całkowicie, z wyjątkiem szpary między kapturem a czarną przesłoną, ukazującej zupełnie błękitne oczy — bez śladu białka.

— Pozwól mu wejść — wyszeptał Idaho.

— Przepuścić tego człowieka — powiedział książę. Po chwili wahania gwardziści opuścili miecze. Postać wpłynęła do sali, stając naprzeciwko księcia.

— To jest Stilgar, wódz siczy, w której przebywałem, przywódca tych, którzy ostrzegli nas przed zamaskowaną bandą — powiedział Idaho.

— Witaj, sir — rzekł Leto. — Dlaczegóż to nie powinniśmy dobywać z pochwy tego ostrza?

Stilgar spojrzał na Idaho.

— Ty przestrzegałeś wśród nas obyczajów czystości i honoru. Tobie pozwoliłbym patrzeć na ostrze należące do człowieka, któremu pośpieszyłeś z pomocą. — Omiótł wzrokiem resztę ludzi w pokoju. — Ale nie znam tych pozostałych. Czy dopuściłbyś, by zbrukali prawy oręż?

— Jestem książę Leto — powiedział książę. — Czy mnie pozwoliłbyś zobaczyć to ostrze?

— Pozwolę ci zasłużyć na prawo dobycia go z pochwy — powiedział Stilgar, a kiedy wokoło rozległ się szmer protestów, uniósł szczupłą dłoń poznaczoną ciemnymi żyłami.

— Przypominam, że to jest ostrze tego, który wam okazał swą przyjaźń.

W wyczekującej ciszy Paul wpatrywał się w tego człowieka, czuł bijącą od niego siłę. Miał przed sobą przywódcę — przywódcę Fremenów. Ktoś po przeciwnej stronie w pobliżu środka stołu zamruczał:

— Co to za jeden, by nam dyktował, jakie mamy prawa na

Arrakis?

— Mówią, że książę Leto Atryda panuje w zgodzie z poddanymi — rzekł Fremen. — Przeto powiem wam, jaki jest u nas obyczaj: na tych, którzy widzieli krysnóż, spada pewna odpowiedzialność. — Rzucił mroczne spojrzenie w stronę Idaho. — Są nasi. Nigdy nie wolno im opuścić Arrakis bez naszej zgody.

Halleck, a za nim wielu innych zaczęło się podnosić z gniewem na twarzach. Halleck powiedział:

— Książę Leto decyduje, czy…

— Chwileczkę — przerwał Leto i sama łagodność jego tonu ich powstrzymała. Ta sytuacja nie może się wymknąć spod kontroli — pomyślał. Zwrócił się do Fremena.

— Sir, poważam i szanuję osobistą godność każdego człowieka, który szanuje moją godność. Jestem rzeczywiście twoim dłużnikiem, a ja zawsze spłacam swoje długi. Jeśli wasz zwyczaj wymaga, by ten nóż nie opuścił tutaj pochwy, zatem tak ma być z mojego rozkazu. I jeśli jest jakikolwiek inny zwyczaj, pozwalający nam uhonorować tego człowieka poległego w naszej służbie, wystarczy, byś go tylko wymienił.

Fremen wlepił w księcia spojrzenie, następnie z wolna odsunął na bok swoją zasłonę, odkrywając wąski nos i pełne usta okolone połyskliwą czarną brodą. Niespiesznie nachylił się nad brzegiem stołu i splunął na politurę. Ludzie zaczęli zrywać się od stołu, gdy głos Idaho jak grzmot przetoczył się po sali:

— Stać!

W pełnej napięcia ciszy Idaho rzekł:

— Dziękujemy ci, Stilgarze, za dar wilgoci twego ciała. Przyjmujemy go w duchu, w jakim został złożony.

I Idaho splunął na stół księciu pod nosem, zaś na stronie powiedział:

— Nie zapominaj, jak cenna jest tutaj woda, Sire. To był dowód szacunku.

Leto osunął się z powrotem na swoje krzesło, dojrzał wpatrzone w siebie oczy Paula i ponury uśmiech na twarzy syna, wyczuwał powolne opadanie napięcia w miarę, jak zrozumienie docierało do jego ludzi za stołem. Fremen utkwił oczy w Idaho.

— Dobrze wypadłeś w mej siczy, Duncanie Idaho. Czy ślubowałeś hołd księciu?

— Pyta mnie, czybym się nie zaciągnął do niego, Sire — powiedział Idaho.

— Zaakceptowałby podwójny hołd? — spytał Leto.

— Chcesz, abym z nim poszedł, Sire?

— Chcę, abyś sam podjął w tej sprawie decyzję — powiedział Leto i nie udało mu się ukryć nacisku w głosie. Idaho przyjrzał się

bacznie Fremenowi.

— Wziąłbyś mnie pod takim warunkiem, Stilgarze? Czasami musiałbym wracać na służbę do mego księcia.

— Dobrze walczysz i zrobiłeś wszystko, co mogłeś, dla naszego przyjaciela — powiedział Stilgar. Popatrzył na Leto.

— Niechaj tak będzie: ten człowiek, Idaho, zatrzymuje krysnóż, który ma w dłoni, na znak swej przynależności do nas. Musi poddać się, oczywiście, oczyszczeniu i dopełnić rytuału, ale to da się zrobić. Będzie on i Fremenem, i żołnierzem Atrydów. Istnieje na to precedens: Liet służy dwóm panom.

— Duncan? — spytał Leto.

— Rozumiem, Sire — powiedział Idaho.

— A zatem postanowiono — powiedział książę.

— Twoja woda jest nasza, Duncanie Idaho — powiedział Stilgar. — Ciało naszego przyjaciela zostaje przy twoim księciu. Jego woda jest wodą Atrydów. To jest ślub między nami.

Leto westchnął, zerknął na Hawata, wymieniając spojrzenia ze starym menatem. Hawat kiwnął głową z wyrazem zadowolenia na twarzy.

— Będę czekał na dole — powiedział Stilgar — aż Idaho pożegna się ze swoimi przyjaciółmi. Turok — takie było imię naszego zmarłego przyjaciela. Pamiętajcie je, kiedy przyjdzie czas uwolnić jego duszę. Jesteście przyjaciółmi Turoka.

Stilgar zawrócił do wyjścia.

— Nie zostaniesz ani chwili? — zapytał Leto.

Fremen obejrzał się, niedbałym ruchem wtykając czarczaf, coś pod nim majstrując. Paulowi mignęła jakby cienka rurka, nim czarczaf opadł na swoje miejsce.

— Czy jest powód, bym został? — zapytał Fremen.

— Przyjmiemy cię z honorem — powiedział książę.

— Honor wymaga, bym się znalazł wkrótce gdzie indziej — powiedział Fremen. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na Idaho, zakręcił się i przemaszerował między strażami w drzwiach.

— Jeżeli inni Fremeni są do niego podobni, dobrze nam będzie ze sobą — powiedział Leto.

Idaho odezwał się bezbarwnym głosem:

— On jest niezłą próbką, Sire.

— Wiesz, co masz robić, Duncan?

— Jestem twoim ambasadorem wśród Fremenów, Sire.

— Wiele od ciebie zależy, Duncan. Będziemy potrzebowali pięciu batalionów tych ludzi, nim spadną na nas sardaukarzy.

— To nie będzie takie proste, Sire. Fremeni to raczej niezależne towarzystwo. — Idaho chwilę bił się z myślami. — I jeszcze jedno, Sire. Któryś z ogłuszonych przez nas najemników próbował odebrać to

ostrze naszemu zmarłemu fremeńskiemu przyjacielowi. Najemnik twierdzi, że Harkonnenowie wyznaczyli milion solaris w nagrodę dla każdego, kto dostarczy pojedynczy krysnóż.

Leto uniósł brodę w wyraźnym zaskoczeniu.

— Dlaczego tak im strasznie zależy na jednym z tych noży?

— Ostrze jest wytoczone z zęba czerwia pustyni, jest znamieniem Fremena, Sire. Mając je przy sobie błękitnooki człowiek mógłby przeniknąć do każdej siczy na tej ziemi. Mnie by zakwestionowano, chyba, żebym był znany. Nie wyglądam na Fremena. Ale…

— Piter de Vries — powiedział książę.

— Człowiek diabelskiej chytrości, mój panie — rzekł Hawat.

Idaho wsunął tkwiący w pochwie nóż pod bluzę.

— Strzeż tego noża — powiedział książę.

— Rozumiem, mój panie. — Poklepał umieszczony w pasie przekaźnik. — Zamelduję się jak najszybciej. Thufir ma mój kod wywoławczy. Używajcie języka walki.

Zasalutował, wykręcił się na pięcie i pośpieszył w ślad za Fremenem. Usłyszeli dudnienie jego oddalających się korytarzem kroków. Leto i Hawat popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Uśmiechali się.

— Mamy dużo roboty, Sire — powiedział Halleck.

— I ja cię od niej odrywam.

— Mam sprawozdanie o bazach wypadowych — powiedział Hawat. — Czy przedstawić je innym razem, Sire?

— Długo to potrwa?

— Nie, jak na wprowadzenie. Wśród Fremenów krążą pogłoski, że tutaj na Arrakis zbudowano ponad dwieście takich baz w czasach Stacji Doświadczalnych Botaniki Pustyni. Wszystkie podobno porzucono, ale mówi się,że przed opuszczeniem zostały zaplombowane.

— Ze sprzętem?

— Tak mi donosił Duncan.

— Gdzie są położone?

— Na to pytanie — rzekł Hawat — odpowiadają niezmiennie: Liet wie.

— Bóg wie — mruknął Leto.

— Może nie bóg, Sire — powiedział Hawat. — Słyszałeś to imię z ust Stilgara. Czy mógł on mieć na myśli konkretną osobę?

— Służy dwóm panom — powiedział Halleck. — To brzmi jak cytat religijny.

— A ty się na tym znasz — powiedział książę.

Halleck uśmiechnął się.

— Ten Sędzia Zmiany — rzekł Leto — ów Ekolog Imperialny, Kynes… nie wiedziałby, gdzie są te bazy?

— Sire — przestrzegł Hawat — ten Kynes jest urzędnikiem imperialnym.

— I znajduje się bardzo daleko od Imperatora — powiedział Leto. — Potrzebuję tych baz. Mogą być pełne materiałów i rozporządzając nimi moglibyśmy wyremontować nasze urządzenia wydobywcze.

— Sire! — powiedział Hawat, — Te bazy prawnie nadal stanowią własność Jego Królewskiej Mości.

— Tutejszy klimat jest wystarczająco surowy, by wszystko uległo zniszczeniu — powiedział książę. — Zawsze możemy zwalić na pogodę. Zabierz się do tego Kynesa i przynajmniej dowiedz się, czy bazy istnieją.

— Zarekwirować je byłoby niebezpiecznie — powiedział Hawat. — Duncan jedną sprawę stawiał jasno: bazy, czy też ich idea, mają dla Fremenów jakieś ukryte znaczenie. Zajmując bazy możemy ich zrazić.

Paul rozejrzał się po twarzach otaczających ich ludzi i zauważył napięcie, z jakim chłonęli każde słowo. Wyglądali na mocno zaniepokojonych stanowiskiem jego ojca.

— Usłuchaj go, ojcze — odezwał się Paul cichym głosem. — To prawda, co on mówi.

— Sire — rzekł Hawat — owe bazy mogłyby nam dostarczyć materiałów do wyremontowania każdej sztuki pozostawionego nam sprzętu, tyle że ze względów strategicznych mogą pozostawać poza naszym zasięgiem. Nie róbmy pochopnego kroku, dopóki się czegoś więcej nie dowiemy. Kynes posiada arbitrażowe pełnomocnictwa Imperium. Nie wolno nam o tym zapominać. I cieszy się szacunkiem Fremenów.

— Więc zrób to delikatnie — powiedział książę. — Chciałbym jedynie wiedzieć, czy te bazy istnieją.

— Jak sobie życzysz, Sire — Hawat opadł na oparcie krzesła, spuścił wzrok.

— No więc dobrze — powiedział książę. — Wiemy, co nas czeka, robota. Zostaliśmy do niej przeszkoleni. Mamy niejakie doświadczenie. Znamy wysokość zapłaty, zaś alternatywa jest dość jasna. Zadania dla., wszystkich zostały wyznaczone.

Spojrzał na Hallecka.

— Gurney, najpierw zajmij się tą aferą przemytniczą.

— „Udam się do nieposłusznych, co niegościnną zamieszkują ziemię” — zadeklamował Halleck.

— Któregoś dnia przyłapię tego człowieka na braku porzekadła i będzie wyglądał jak bez gaci — oświadczył książę.

Chichoty rozeszły się echem wokół stołu, ale Paul słyszał w nich przymus. Książę zwrócił się do Hawata:

— Załóż na tym piętrze jeszcze jedno stanowisko dowodzenia dla wywiadu i łączności, Thufir. Kiedy z tym skończysz, będę chciał się z

tobą zobaczyć.

Hawat wstał, rozglądając się po sali, jakby szukał wsparcia. Odwrócił się i wyprowadził procesję z pokoju. Pozostali pośpieszyli hurmą, szurając w bałaganie krzesłami i tworząc niewielkie zatory.

Skończyło się to bałaganem — pomyślał Paul wpatrując się w plecy wychodzących na końcu. Jak dotąd Sztab zawsze rozchodził się w pełnym werwy animuszu. To spotkanie jakby przeciekło między palcami, wyczerpując się we własnych niedomaganiach, a uwieńczyła je rozbieżność zdań. Po raz pierwszy Paul dopuścił do świadomości realną możliwość klęski, licząc się z nią nie ze strachu ani pod wpływem ostrzeżeń w rodzaju krakania starej Matki Wielebnej, lecz zmuszony do tego własną oceną sytuacji. Ojciec jest zdesperowany — przyznał w duchu. Sprawy nie toczą się po naszej myśli. Zaś Hawat — Paul przypomniał sobie zachowanie starego mentata w trakcie konferencji — drobne wahania, oznaki zaniepokojenia. Hawata coś gnębiło skrycie.

— Najlepiej pozostań tu na resztę nocy, synu — powiedział książę. — I tak niebawem wstanie świt. Zawiadomię matkę.

Podniósł się z wolna, ociężale.

— Zestaw sobie parę krzeseł i wyciągnij się na nich, by trochę rozprostować kości.

— Nie jestem bardzo zmęczony, sir.

— Jak sobie życzysz.

Książę założył ręce do tyłu, zaczął spacerować tam i z powrotem wzdłuż stołu. Jak zwierz w klatce — pomyślał Paul.

— Przedyskutujesz ewentualność zdrady z Hawatem? — spytał Paul.

Książę zatrzymał się naprzeciwko syna po drugiej stronie stołu, jego słowa były skierowane do ciemnych okien.

— Omawialiśmy tę ewentualność wiele razy.

— Tamta stara kobieta wyglądała na bardzo pewną swego — powiedział Paul. — I wiadomość, jaką matka…

— Podjęliśmy środki ostrożności — oświadczył książę. Rozejrzał się po sali i Paul dostrzegł panikę zaszczutego stworzenia w jego oczach. — Zostań tutaj. Chciałbym omówić z Thufirem parę spraw związanych ze stanowiskami dowodzenia.

Zakręcił się i wyszedł z pokoju lekko skinąwszy wartownikom w drzwiach. Paul wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą stał jego ojciec. Przestrzeń była już pusta, zanim książę wyszedł z pokoju. I przypomniało mu się ostrzeżenie starej: „…dla ojca — nic”.

Owego pierwszego dnia kiedy
Muad'Dib ze swą rodziną jechał ulicami
Arrakin, niektórzy ludzie na trasie

przejazdu przypomnieli sobie legendy i przepowiednię i podnieśli krzyk: „Mahdi!”. Lecz ich okrzyk był bardziej pytaniem, niż obwieszczeniem, gdyż jak dotąd mogli jedynie żywić nadzieję, że jest on tym zapowiedzianym Lisanem al-Gaibem, Głosem Spoza Świata. Uwagę ich przyciągnęła również matka, albowiem słyszeli o niej, że jest Bene Gesserit, a więc — co dla nich było oczywiste — drugim Lisanem al-Gaibem.

z „Krótkiej historii Muad’Diba”
pióra księżniczki Irulan

Thufira Hawata zastał książę w kącie pokoju, do którego drogę wskazał mu strażnik. Z przyległego pomieszczenia docierały odgłosy krzątaniny ludzi zakładających łącza telekomunikacyjne. Książę rozglądał się dokoła, gdy Hawat podnosił się od zawalonego papierami stołu. Była to mała izolatka o zielonych ścianach, w której prócz stołu znajdowały się jeszcze trzy dryfowe krzesła z pośpiesznie zdartymi z nich „H” Harkonnenów, co pozostawiło nie dobarwione łaty.

— Krzesła są zdobyczne, ale zupełnie bezpieczne — powiedział Hawat. — Gdzie jest Paul, Sire?

— Zostawiłem go w sali konferencyjnej. Mam nadzieję, że tam trochę odpocznie z dala od mojej absorbującej osoby.

Hawat kiwnął głową, powędrował pod drzwi przyległego pokoju i zamknął je, odcinając elektrostatyczne szumy i elektroniczne trzaski.

— Thufir — powiedział Leto — zapasy przyprawy Imperium i Harkonnenów nie dają mi spokoju.

— Mój panie?

Książę wydął wargi.

— Składy są narażone na zniszczenie. — Podniósł rękę, gdy Hawat chciał coś powiedzieć. — Nie bierz pod uwagę skarbu Imperatora. On by się po cichu ucieszył z tarapatów Harkonnenów. A czy baron może protestować, jeśli ulegnie zniszczeniu coś, do posiadania czego nie może się otwarcie przyznać?

Hawat pokręcił głową.

— Mamy mało ludzi na zbyciu, Sire.

— Weź część ludzi Idaho. A może jacyś Fremeni mieliby ochotę na wycieczkę poza planetę. Rajd na Giedi Prime — z takiej dywersji płyną taktyczne korzyści, Thufir.

— Twoja wola, mój panie. — Hawat odwrócił się, a książę,

widząc oznaki zdenerwowania u starego człowieka, pomyślał: Może podejrzewa, że mu nie ufam. Musi wiedzieć o moich prywatnych informacjach o zdrajcach. Tak, najlepiej od razu rozproszyć jego obawy.

— Thufir — rzekł — musimy omówić jeszcze jedną sprawę, jako że należysz do niewielu ludzi, których darzę całkowitym zaufaniem. Obaj wiemy, jak trzeba się mieć nieustannie na baczności, by nie dopuścić do infiltracji naszych sił przez zdrajców… ale mam dwa nowe doniesienia.

Hawat obrócił się, wlepił w niego spojrzenie. Leto zaś powtórzył przyniesione przez Paula historie. Wiadomości te, zamiast wprawić go w stan wytężonej koncentracji mentackiej, wzmogły jedynie podniecenie Hawata. Leto przyglądał się uważnie staremu człowiekowi.

— Ukrywasz coś, stary druhu — odezwał się po chwili. — Powinienem się był domyślić w trakcie narady, kiedy siedziałeś jak na szpilkach. Cóż to jest takie trefne, że nie mogłeś wygarnąć tego przed całym sztabem?

Zabarwione sapho wargi Hawata ściągnięte były w sztywną prostą linię, z biegnącymi ku niej drobniutkimi zmarszczkami. Nie straciły swej pomarszczonej sztywności, gdy powiedział:

— Panie mój, zupełnie nie wiem, jak to poruszyć.

— Wiele blizn nosimy jeden za drugiego, Thufir — powiedział książę. — Wiesz, że ze mną możesz poruszyć każdy temat.

Hawat nie spuszczał z niego oczu. Takiego go właśnie lubię najbardziej — myślał. — Oto jest człowiek honoru, godzien mej wierności i służby do ostatniej kropli krwi. Dlaczego muszę go zranić?

— No więc? — ponaglił Leto.

Hawat wzruszył ramionami.

— Chodzi o strzępek listu. Znaleziony przy kurierze Harkonnenów. List był przeznaczony dla agenta imieniem Pardee. Mamy wszelkie powody mniemać, że Pardee stał na czele tutejszego podziemia Harkonnenów. Ten list — on może mieć albo ogromne konsekwencje, albo żadnych zgoła. Zależy, jak go tłumaczyć.

— Co jest takiego drażliwego w liście?

— W strzępku listu, mój panie. Niekompletnym. Był na minimikrofilmie z dołączoną jak zwykle kapsułą niszczącą. Wstrzymaliśmy działanie kwasu na moment przed całkowitym wymazaniem tekstu, ocalając fragment zaledwie. Fragment ów jednakże jest wyjątkowo sugestywny.

— Tak?

Hawat potarł wargi.

— Mówi on: „…eto nigdy nie będzie podejrzewał, a kiedy spadnie na niego cios z ukochanej ręki, już samo to winno go zgubić”. List

opatrzony był własną pieczęcią barona, a jej autentyczność sprawdziłem.

— Twoje podejrzenia są oczywiste — powiedział książę i nagle głos jego zrobił się zimny.

— Prędzej uciąłbym sobie własne ręce, niż ciebie zranił — powiedział Hawat. — Panie mój, a co jeśli…

— Lady Jessika — rzekł Leto czując, jak ogarnia go wściekłość. — Nie mogłeś wydusić faktów z tego Pardee?

— Na nieszczęście Pardee'ego nie było już wśród żywych, kiedy przejęliśmy kuriera. Kurier nie wiedział, jestem pewny, co przewoził.

— Rozumiem.

Leto potrząsnął głową. Cóż za śliska sprawa — myślał. — Niemożliwe, by coś w tym było. Znam swoją kobietę.

— Mój panie, jeśli…

— Nie! — warknął książę. — W tym jest jakaś pomyłka, która…

— Nie wolno nam tego zlekceważyć, mój panie.

— Ona jest ze mną szesnaście lat! Okazji ku temu było bez liku, sam zresztą sprawdziłeś szkołę i tę kobietę!

Hawat powiedział z goryczą:

— Wiadomo o sprawach, które mi umknęły.

— To niemożliwe, mówię ci! Harkonnenowie chcą zniszczyć ród Atrydów łącznie z Paulem. Raz już próbowali. Czy kobieta byłaby zdolna spiskować przeciwko własnemu swemu synowi?

— Może ona nie spiskuje przeciwko własnemu synowi. A wczorajszy zamach mógł być sprytną mistyfikacją.

— Nie mógł być mistyfikacją.

— Sire, ona ma nie znać swego pochodzenia, ale gdyby tak je znała? I gdyby tak była sierotą, załóżmy, przez Atrydę?

— Zrobiłaby to już dawno temu. Trucizna w szklance… sztylet wśród nocy. Któż miał lepszą okazję?

— Harkonnenowie zamierzają cię zniszczyć, mój panie. A nie po prostu zabić. W kanly istnieje gama subtelnych rozróżnień. Ta może być dziełem sztuki wśród wendet.

Księciu opadły ramiona. Przymknął oczy, wyglądał jak stary, zmęczony człowiek. To niemożliwe — myślał. — Ta kobieta otworzyła dla mnie swoje serce.

— Gdzież lepszy sposób zniszczenia mnie nad rzucenie podejrzeń na kobietę, którą kocham? — zapytał.

— Brałem taką możliwość pod rozwagę — powiedział Hawat. — Mimo to…

Książę otworzył oczy i utkwił je w Hawacie myśląc: niech on będzie podejrzliwy. Podejrzliwość to jego fach, nie mój. Może gdy sprawię wrażenie, że w to wierzę, ktoś inny popełni nieostrożność.

— Co radzisz? — wyszeptał książę.

— Na razie stałą inwigilację, mój panie. Powinna być pod nadzorem o każdej porze dnia i nocy. Postaram się, by robiono to dyskretnie. Idaho byłby idealnym kandydatem do tej roboty. Może za jakiś tydzień ściągniemy go z powrotem. W oddziale Idaho szkolimy młodego człowieka, który go doskonale może zastąpić u Fremenów. To urodzony dyplomata.

— Nie narażaj na szwank naszego przyczółka u Fremenów.

— Rzecz jasna, Sire.

— A co z Paulem?

— Chyba moglibyśmy zaalarmować doktora Yuego.

Leto odwrócił się plecami do Hawata.

— Rób, jak uważasz.

— Zachowam ostrożność, mój panie.

Na to przynajmniej mogę liczyć — pomyślał Leto.

— Przejdę się. Gdybyś mnie potrzebował, będę na terenie. Straż ci…

— Mój panie, zanim odejdziesz, mam tu wycinek filmowy, z którym powinieneś się zapoznać. Pierwsza próba analizy fremeńskiej religii. Przypominasz sobie, że prosiłeś mnie o sprawozdanie na ten temat?

Książę przystanął i nie odwracając się powiedział:

— Nie możesz z tym zaczekać?

— Oczywiście, mój panie. Pytałeś jednak, co oni wykrzykiwali. To było „Mahdi!" Kierowali to określenie do młodego pana. Kiedy…

— Do Paula?

— Tak, mój panie. Mają tutaj legendę, przepowiednię, że objawi się im jakiś wódz, dziecko pewnej Bene Gesserit, aby poprowadzić ich ku prawdziwej wolności. Jeszcze jedna wersja znanego schematu mesjasza.

— Oni myślą, że Paul jest tym… tym…

— Mają jedynie nadzieję, mój panie.

Hawat wyciągnął kapsułę z wycinkiem filmu. Książę ją przyjął, wsadził do kieszeni.

— Później sobie to obejrzę.

— Oczywiście, mój panie.

— Teraz potrzebny mi jest czas do… namysłu.

— Tak, mój panie.

Książę głęboko odetchnął, westchnął i wyszedł z pokoju wielkimi krokami. Na korytarzu skręcił w prawo i zaczął iść powoli z rękami założonymi do tyłu, nie zwracając uwagi, gdzie się znajduje. Mijał korytarze i schody, balkony i sale; ludzie salutowali i odsuwali się na bok, robiąc mu przejście. Po pewnym czasie powrócił do sali konferencyjnej, którą zastał w ciemnościach, Paul zaś spał na stole narzucony płaszczem strażnika, z marynarskim workiem zamiast

poduszki. Książę po cichu przeszedł przez całą długość sali, na balkon wychodzący na lądowisko. W rogu balkonu wartownik wyprężył się na baczność, poznając księcia w nikłym odblasku świateł lądowiska.

— Spocznij — zamruczał książę. Oparł się o zimny metal balustrady. Spokój przedświtu ogarnął pustynny basen. Książę spojrzał w górę. Prosto nad głową gwiazdy tworzyły cekinową wstęgę, rozpostartą na tle niebieskawej czerni. Nisko nad południowym horyzontem drugi księżyc nocy wyzierał z leciutkiej mgiełki pyłu — niedowiarek księżyc, spoglądający nań cynicznym blaskiem. Książę zapatrzył się, jak księżyc nurkuje pod Mur Zaporowy srebrząc jego urwiska i w nagłym zagęszczeniu mroku poczuł ziąb. Zadrżał. Przeszył go gniew. Po raz ostatni Harkonnenowie mi brużdżą i judzą, i polują na mnie — pomyślał. — Gnoje o mentalności hycla. Tutaj stawię im czoło! I pomyślał z nutą smutku: Muszę panować okiem i szponem — jak jastrząb wśród pośledniejszego ptactwa. Jego dłoń nieświadomie musnęła emblemat jastrzębia na bluzie. Noc na wschodzie zrodziła smugę świetlnej szarości, a po niej perłową opalizację, która przyćmiła gwiazdy. Nadciągnął świt szerokim zamachem rozkołysanego dzwonu uderzając w horyzont. Była to scena takiej piękności, że książę zapomniał o bożym świecie. Są rzeczy niepowtarzalne — pomyślał. Nigdy nie wyobrażał sobie, że może być tutaj cokolwiek tak pięknego, jak ten zgruchotany, czerwony horyzont z purpurą i ochrą urwisk. Poza lądowiskiem, gdzie skąpa nocna rosa tchnęła życie w śpieszne nasiona Arrakis, ujrzał ogromne łany czerwonego kwiecia i przecinający je wyraźny trakt fioletu… jak ślad gigantycznych stóp.

— Piękny poranek, Sire — powiedział strażnik.

— Tak, piękny — kiwnął głową książę zastanawiając się: być może ta planeta potrafi zauroczyć. Być może potrafi stać się prawdziwym domem dla mego syna. Nagle zobaczył postacie ludzkie wkraczające na pola kwiatów, omiatające je dziwacznymi, przypominającymi kosy narzędziami — żeńcy rosy. Woda jest tak cenna tutaj, że nawet rosę trzeba zbierać. I potrafi też być ta planeta miejscem upiornym — pomyślał książę.

> *Chyba nie ma straszliwszego olśnienia nad to, w którym odkrywasz, iż twój ojciec jest człowiekiem w ludzkim ciele.*
>
> *z „Myśli zebranych Muad'Diba opracowanych przez księżniczkę Irulan*

— Paul, nienawidzę tego, co robię, ale nie mam wyjścia —

powiedział książę. Stał pod przenośnym wykrywaczem trucizny wniesionym do sali konferencyjnej na czas śniadania. Sensorowe macki urządzenia zwisały bezwładnie nad stołem, przywodząc Paulowi na myśl jakiegoś nieznanego owada, który właśnie zdechł przed chwilą. Uwagę księcia pochłaniało lądowisko za oknami i kłębiący się nad nim tuman pyłu na tle porannego nieba. Paul miał przed sobą przeglądarkę z krótkim wycinkiem filmu na temat religijnych praktyk Fremenów. Materiał zebrany przez jednego z ekspertów Hawata bulwersował Paula aluzjami do jego osoby.

„Mahdi!"

„Lisan al-Gaib!"

Zamykając oczy słyszał jeszcze okrzyki tłumów. A więc to na to czekają — pomyślał. I przyszły mu na pamięć słowa Matki Wielebnej: „Kwisatz Haderach". Na ich wspomnienie ożyły w nim emocje straszliwego przeznaczenia, mrocząc ten obcy świat poczuciem swojskości, której nie pojmował.

— Nienawidzę — powiedział książę.

— Co masz na myśli, sir?

Leto odwrócił się spoglądając z góry na syna.

— Bowiem Harkonnenowie zamierzają mnie zwieść rzucając podejrzenie na twoją matkę. Nie wiedzą, że prędzej bym podejrzewał samego siebie.

— Nie rozumiem, sir.

Leto ponownie spojrzał za okna. Białe słońce płonęło już całkiem wysoko w kwadrancie przedpołudnia. Mleczne światło wydobywało kipiel obłoków pyłu wsypującego się do ślepych kanionów, którymi ponacinany był Mur Zaporowy. Niespiesznie, cichym od hamowanego gniewu głosem, książę opowiedział Paulowi o tajemniczym liście.

— Równie dobrze mnie mógłbyś podejrzewać — powiedział Paul.

— Oni muszą uznać, że im się udało — rzekł, książę. — Muszą sądzić, że jestem taki głupi. I musi na to wyglądać. Nawet twoja matka nie powinna wiedzieć o mistyfikacji.

— Ależ sir! Dlaczego?

— Reakcja twojej matki nie może być udawana. Och, ona potrafi doskonale udawać… lecz zbyt wiele od tego zależy. Mam nadzieję wykurzyć zdrajcę z nory. Powinno im się wydawać, że zostałem kompletnie wyprowadzony w pole. Zadanie jej w ten sposób bólu jest konieczne, by ominęło ją większe cierpienie.

— Dlaczego mnie o tym mówisz, ojcze? Mogę się zdradzić.

— Na ciebie nie będą patrzeć pod tym kątem. Dotrzymasz tajemnicy. Musisz dotrzymać.

Przybliżył się do okien i mówił odwrócony tyłem.

— W ten sposób, gdyby mnie się coś stało, ty będziesz mógł jej powiedzieć prawdę: że nigdy w nią nie zwątpiłem, nawet na mgnienie

oka. Chciałbym, żeby ona o tym wiedziała.

W słowach ojca Paul wyczytał myśli o śmierci, powiedział pośpiesznie:

— Nic ci się nie stanie, sir. Oni…

— Cicho bądź, synu.

Paul nie spuszczał oczu z pleców ojca, dostrzegając zmęczenie w nachyleniu szyi, w linii ramion, w zwolnionych ruchach.

— Jesteś po prostu zmęczony, ojcze.

— Jestem zmęczony — zgodził się książę. — Jestem moralnie zmęczony. Pewnie dopadła mnie wreszcie melancholia degeneracji wielkich rodów. A byliśmy kiedyś tak mocnymi ludźmi.

Paul odezwał się z nagłym rozdrażnieniem:

— Nasz ród się nie zdegenerował.

— Nie? — książę odwrócił się twarzą do syna, ukazując ciemne kręgi pod chłodnymi oczami; na ustach miał cyniczny grymas.

— Powinienem był poślubić twą matkę, uczynić ją moją księżną. Ale… mój wolny stan daje jeszcze pewnym rodom nadzieję na możliwość koligacji ze mną przez ich córki na wydaniu. — Wzruszył ramionami — Więc ja…

— Matka mi to wytłumaczyła.

— Wódz niczym tak nie zdobywa serc, jak imponowaniem brawurą — powiedział książę. — Przeto obnoszę się z tą swoją brawurą.

— Jesteś dobrym przywódcą — zaprotestował Paul. — Dobrym władcą. Ludzie idą za tobą chętnie i z miłością.

— Mam jeden z najlepszych korpusów propagandy — powiedział książę. Znowu zatonął spojrzeniem w basenie. — Tu na Arrakis mamy większą szansę, niż mogłoby podejrzewać Imperium. A jednak czasami przychodzi mi do głowy; że lepiej byłoby uciec, zostać renegatem. Czasami chciałbym, byśmy pogrążyli się w anonimowości rzesz ludzkich, mniej wystawieni na…

— Ojcze!

— Tak, jestem zmęczony — powiedział książę. — Czy wiedziałeś, że osad przyprawy wykorzystujemy jako surowiec, i że mamy już własną fabrykę do produkcji podłoża filmów?

— Sir?

— Nie może nam zabraknąć folii podłożowej — powiedział książę. — Jakże tu bez niej zalewać wsie i miasta naszą informacją? Ludzie muszą się dowiedzieć, jak dobrze nimi rządzę. Skąd by wiedzieli, gdybyśmy im nie donosili?

— Powinieneś trochę odpocząć — powiedział Paul.

Ponownie książę stanął twarzą w twarz z synem.

— O mało nie zapomniałem wymienić jeszcze jednej zalety Arrakis. Tutaj we wszystkim jest przyprawa. Oddychasz nią i jesz ją

prawie we wszystkim. I dochodzę do wniosku, że daje ona pewną naturalną odporność na niektóre z najbardziej popularnych trucizn z Poradnika Assassina. Zaś konieczność liczenia każdej kropli wody sprawia, że cały przemysł spożywczy — hodowla drożdży, hydroponika, chemia spożywcza, wszystko — znajduje się pod najściślejszym nadzorem. Nie możemy wymordować znacznej części naszej populacji za pomocą trucizny — ani też nie można nas w ten sposób zaatakować. Arrakis czyni nas moralnymi i etycznymi.

Paul chciał coś powiedzieć, ale książę nie dopuścił go do głosu.

— Muszę się przed kimś wygadać, synu — rzekł z westchnieniem. Zerknął przez ramię na wypalony krajobraz, z którego zniknęły już teraz nawet i kwiaty stratowane przez żeńców rosy, zwarzone przedpołudniowym słońcem.

— Na Kaladanie władaliśmy przy pomocy potęg morskiej i powietrznej — powiedział książę. — Tutaj musimy dochrapać się potęgi pustynnej. Oto twoje dziedzictwo, Paul. Co z tobą będzie, jeśli mnie zabraknie? Nie, nie zostaniesz głową rodu renegatów, lecz partyzantem — uciekającym, ściganym.

Paul rozpaczliwie szukał słów, nie wiedząc, co powiedzieć. Nigdy nie widział swojego ojca aż tak przybitego.

— Kto chce utrzymać Arrakis — mówił książę — staje przed podjęciem decyzji, których ceną może się okazać własna godność.

Wskazał za okno na zielono-czarny sztandar Atrydów zwisający martwo z masztu na skraju lądowiska.

— Ten chlubny sztandar może stać się symbolem wielu strasznych rzeczy.

Paul przełknął suchość w ustach. W słowach ojca była beznadziejność, przeczucie nieuchronnego losu, które zostawiło ciężar pustki w piersi chłopca. Książę wyjął z kieszeni tabletkę przeciw zmęczeniu i połknął ją nie popijając.

— Siła i strach — powiedział. — Narzędzia dyplomacji. Muszę przykazać, by położono silniejszy nacisk na twoje szkolenie partyzanckie. W tym wycinku filmu — nazywają cię tam „Mahdi” — „Lisan al-Gaib” — to może stać się dla ciebie ostatnią deską ratunku.

Paul wpatrywał się w ojca dostrzegając, jak pod wpływem tabletki prostują się mu ramiona, ale w pamięci miał jego słowa pełne lęku i niepewności.

— Co zatrzymało ekologa? — wymamrotał książę. — Mówiłem Hawatowi, żeby przysłał go wcześnie.

Pewnego dnia ojciec mój, Padyszach Imperator, wziął mnie za rękę i wyczułam dzięki metodom, jakich nauczyła mnie matka, że coś go gnębi. Powiódł mnie

przez Salę Portretową pod ego-portret księcia Leto Atrydy. Zauważyłam silne podobieństwo między nimi — moim ojcem a tym mężczyzną na portrecie — obaj mieli pociągłe, arystokratyczne twarze o ostrych rysach, którym ton nadawało spojrzenie zimnych oczu.

„Córko-księżniczko" — powiedział mój ojciec — „żałuję, że nie byłaś starsza, kiedy nadeszła pora wyboru kobiety dla tego mężczyzny". Mój ojciec liczył wtedy siedemdziesiąt jeden lat i nie wyglądał starzej od człowieka na portrecie, ja zaś miałam lat zaledwie czternaście, ale pamiętam, jak zrozumiałem w tamtym momencie, że ojciec potajemnie pragnął mieć księcia za syna i czuł awersję do politycznych układów, które uczyniły ich wrogami.

z „W domu mojego ojca" pióra księżniczki Irulan

Pierwsze spotkanie z ludźmi, których przykazano mu zdradzić, wstrząsnęło doktorem Kynesem. Chlubił się tym, że jako uczony uważa legendy jedynie za interesujące przesłanki do zrozumienia kulturowych korzeni. Ale chłopak pasował jak ulał do starożytnej przepowiedni. Miał „oczy, które widziały" i wyczuwało się w nim „ukrytą prawość". Wyrocznia pozostawiła oczywiście pewną swobodę — co do kwestii, czy Bogini Matka przywiedzie Mesjasza ze sobą, czy zrodzi go na miejscu. Jednakowoż istniała zadziwiająca zgodność przepowiedni z osobami.

Spotkali się późnym rankiem pod budynkiem zarządu lądowiska Arrakin. Nie oznakowany ornitopter przycupnął opodal w pogotowiu startowym, brzęcząc cicho jak ospały owad. Z obnażonym mieczem stał przy nim gwardzista Atrydów w lekkiej dystorsji powietrza od okalającej go tarczy. Kynes uśmiechnął się szyderczo na widok konturów tarczy i pomyślał: tutaj Arrakis szykuje im niespodziankę. Planetolog podniósł rękę dając znak Fremenom ze swojej straży przybocznej, by pozostali w tyle. Sam pomaszerował prosto do wejścia budynku — ciemniejszego otworu w powleczonej plastikiem skale. Jakże odsłonięty jest ten monolityczny budynek — pomyślał. O ileż lepsza jest jaskinia. Ruch w wejściu zwrócił jego uwagę. Zatrzymał się wykorzystując ten moment, by poprawić sobie burnus i fałdę na

lewym ramieniu filtrfraka.

Drzwi wejściowe rozwarły się na oścież. Gwardziści Atrydów wysypali się pośpiesznie, co do jednego uzbrojeni po zęby — w głuszaki na moderacyjne kule, miecze, tarcze. Za nimi nadchodził wysoki mężczyzna o jastrzębich rysach, ciemnoskóry i ciemnowłosy. Miał na sobie dżubbę z herbem Atrydów na piersi i nosił ją w sposób zdradzający brak obycia z tego rodzaju ubiorem. Poła dżubby czepiała mu się nogawek filtrfraka. Tkaninie brakowało rozbujanego w rytmie kroków falowania.

U boku mężczyzny szedł młodzieniec z równie ciemnymi włosami, lecz pełniejszy na twarzy. Mały był na te swoje piętnaście lat, o których Kynes wiedział. Ale w młodym człowieku wyczuwało się majestat i niewzruszoną pewność siebie, jakby dokoła widział i rozpoznawał rzeczy dla innych niedostrzegalne. A płaszcz identycznego co u ojca kroju leżał na nim z niedbałą swobodą, sprawiając wrażenie, że chłopiec nosił takie okrycie od urodzenia. „Mahdi świadom będzie spraw niewidzialnych dla innych" — głosiła wyrocznia. Kynes potrząsnął głową przekonując sam siebie: ludzie jak ludzie.

Z tymi dwoma i jak oni w ubiorze pustynnym zbliżał się człowiek Kynesowi znajomy — Gurney Halleck. Kynes wciągnął głęboko powietrze tłumiąc niechęć do Hallecka, który udzielił mu pouczeń, jak się należy zachowywać w obecności księcia i książęcego dziedzica. Wolno ci zwracać się do księcia „mój panie" albo „Sire". „Szlachetnie urodzony" też ujdzie, ale to zwrot na bardziej oficjalne okazje. Do syna można mówić „młody panie" albo „mój panie". Książę jest człowiekiem wielce wyrozumiałym ale nie znosi zbytniej poufałości. Obserwując zbliżającą się grupę Kynes pomyślał: bardzo prędko dowiedzą się, kto jest panem Arrakis. Kazać jakiemuś mentatowi maglować mnie przez pół nocy? Spodziewać się po mnie, że ich zabiorę na inspekcję przyprawowych piasków? Cel pytań Hawata nie uszedł uwagi Kynesa. Oni chcą imperialnych baz. I nie ulegało wątpliwości, że o bazach dowiedzieli się od Idaho. Każę Siilgarowi odesłać temu księciu głowę Idaho — obiecał sobie Kynes. Książęcy orszak znajdował się teraz zaledwie o parę kroków, piasek chrzęścił pod podeszwami butów pustynnych. Kynes schylił głowę w ukłonie.

— Mój panie, książę.

Zbliżając się do samotnej postaci mężczyzny stojącego w sąsiedztwie ornitoptera Leto przyglądał mu się z uwagą: wysoki, szczupły, odziany na pustynną modłę w luźny płaszcz, filtrfrak i buty z krótkimi cholewami. Zarzucony na plecy kaptur ze zwisającym u boku czarczafem wystawiał na widok rudoblond włosy i rzadką brodę. Oczy pod krzaczastymi brwiami były owym niezgłębionym błękitem w błękicie. W jego oczodołach znać było resztki ciemnego barwnika.

— Ty jesteś ekologiem — powiedział książę.

— My tutaj wolimy stary tytuł, mój panie — odparł Kynes. — Planetologiem.

— Jak sobie życzysz — powiedział książę. — Synu, to jest Sędzia Zmiany, arbiter w sporze, człowiek, który z urzędu mu czuwać tutaj nad przestrzeganiem form objęcia przez nas we władanie tego lenna. — Zerknął na Kynesa. — A to jest mój syn.

— Mój panie — powiedział Kynes.

— Jesteś Fremenem? — spytał Paul.

Kynes uśmiechnął się.

— Przyjmuje mnie i sicz, i wioska, młody panie. Ale jestem Imperialnym Planetologiem w służbie jego Królewskiej Mości.

Paul skinął głową — był pod wrażeniem bijącej od mężczyzny siły. Halleck wskazał Paulowi Kynesa z górnego okna budynku zarządu: To ten mężczyzna stojący w eskorcie Fremenów, co idzie teraz w stronę ornitoptera. Paulowi mignęły przelotnie w lornetce dumne, proste usta i wysokie czoło Kynesa. Halleck zamruczał Paulowi do ucha:

— Dziwaczny facet. Wysławia się krótko, węzłowato, bez owijania w bawełnę.

A książę za ich plecami powiedział:

— Typowy naukowiec.

Teraz, stojąc zaledwie o parę stóp od tego człowieka, Paul wyczuwał w nim moc, emanację osobowości obdarzonej wrodzoną charyzmą przywódcy, jakby w żyłach Kynesa płynęła królewska krew.

— Rozumiem, że tobie winniśmy podziękowanie za nasze filtrfraki i te płaszcze — powiedział książę.

— Mam nadzieję, że leżą dobrze, mój panie — rzekł Kynes. — To robota fremeńska, a wielkość ich jest jak najbliższa wymiarów, które podał twój człowiek, obecny tu Halleck.

— Zaniepokoiło mnie twoje stwierdzenie, że nie zabierzesz nas w pustynię, jeśli nie założymy tych strojów — powiedział książę. — Możemy wziąć dużo wody. Nie wybieramy się na długi lot i będziemy mieli powietrzną osłonę, eskortę, jaką widzisz w tej chwili nad głową. Nie wydaje się prawdopodobne, byśmy przymusowo lądowali.

Kynes przeszył go spojrzeniem, mierząc napęczniałe wodą ciało. Powiedział ozięble:

— Na Arrakis nigdy nie mówi się o prawdopodobieństwach. Mówi się o ślepym przypadku.

Halleck najeżył się.

— Do księcia należy się zwracać „mój panie” albo „Sire”!

Leto zrobił sekretny znak dłonią, by dał on spokój; powiedział:

— Nasze zwyczaje są tu nowe, Gurney. Musimy brać to pod uwagę.

— Twoja wola, Sire.

— Jesteśmy twymi dłużnikami, doktorze Kynes — powiedział Leto. — Te ubiory i troska o nasze dobro nie pójdą w niepamięć.

Paul przypomniał sobie werset z Biblii P. K. i pod wpływem chwili wyrecytował:

— „Dar jest błogosławieństwem ofiarodawcy".

W martwym powietrzu słowa zahuczały z nienaturalną donośnością. Fremeńska eskorta, którą Kynes zostawił w cieniu pod budynkiem zarządu, zerwała się z kucek na równe nogi szemrząc w wyraźnym podnieceniu. Jeden z nich krzyknął:

— Lisan al-Gaib!

Kynes obrócił się jak ukąszony w ich stronę, zrobił krótki, błyskawiczny ruch dłonią i machnięciem ręki odprawił swoją eskortę. Sarkając między sobą cofnęli się i powlekli za róg budynku.

— Nader ciekawe — powiedział Leto.

Kynes zmierzył twardym, piorunującym spojrzeniem księcia i Paula.

— Większość tubylców to zabobonna gromada. Nie zwracajcie na nich uwagi. Nie mają złych intencji.

Ale myślał o słowach wyroczni: „Powitają was Świętymi Słowy i błogosławieństwem będą wasze dary".

Opinia Leto o Kynesie, w części oparta na krótkim ustnym raporcie Hawata (ostrożnym i pełnym podejrzeń) skrystalizowała się nagle: ten człowiek jest Fremenem. Kynes przybył z eskortą Fremenów, co mogło oznaczać po prostu, że Fremeni sprawdzają swoje nowe prawo do swobodnego przebywania na terenie miast, lecz wyglądało to na kompanię honorową. A sądząc z zachowania, Kynes był człowiekiem dumnym, przywykłym do wolności, którego język i maniery trzymały na wodzy jedynie jego własne uprzedzenia. Pytanie Paula było na miejscu i na temat. Kynes zasymilował się.

— Czy nie powinniśmy ruszać, Sire? — zapytał Halleck.

Książę przytaknął skinieniem głowy.

— Sam poprowadzę swój ornitopter. Kynes niech siądzie ze mną z przodu, by pokazywać mi drogę. Ty i Paul zajmijcie tylne siedzenia.

— Jeszcze chwilkę — powiedział Kynes. — Za pozwoleniem, Sire, muszę sprawdzić stan zabezpieczenia waszych ubiorów.

Książę zamierzał coś odpowiedzieć, ale Kynes ponaglił:

— Chodzi o moje własne ciało tak samo jak o twoje… mój panie. Doskonale zdaję sobie sprawę, czyje poderżną gardło, jeśli wam dwóm coś się przytrafi pod moją opieką.

Książę zmarszczył brwi. Co za drażliwy moment! Jeżeli odmówię, gotów się obrazić. A to może być człowiek o bezcennej dla mnie wartości. Mimo to… wpuścić go za mą tarczę, zezwolić na dotykanie mej osoby, gdy tak niewiele o nim wiem?

Myśli te przemknęły mu przez głowę błyskawicznie, decyzja przyszła tuż po nich.

— Oddajemy się w twoje ręce — powiedział książę. Zrobił krok do przodu otwierając płaszcz, dostrzegł, że Halleck przenosi ciężar ciała na palce, zebrany w sobie i czujny, ale nie rusza się z miejsca. — I gdybyś był taki uprzejmy — dodał książę — z wdzięcznością przyjmę objaśnienia dotyczące tego stroju od kogoś, kto żyje z nim na co dzień.

— Oczywiście — powiedział Kynes. Zmacał pod płaszczem u góry uszczelki ramienne, mówiąc w trakcie sprawdzania stroju. — Podstawą jest mikroprzekładka — wysokiej wydajności system filtracyjny i wymiany ciepła.

Dopasował uszczelki ramion.

— Warstwa stykająca się ze skórą jest porowata. Po ochłodzeniu ciała przenika przez nią pot… prawie naturalny proces parowania. Następne dwie warstwy… — Kynes mocniej ściągnął pierś — zawierają włókna wymiany ciepła i osadniki soli. Sól jest odzyskiwana.

Na dany znak książę podniósł ramiona.

— Nader ciekawe — powiedział.

— Oddychać głęboko — rzekł Kynes. Książę wykonał polecenie. Kynes przyglądał się uszczelkom pod pachami, jedną poprawił.

— Ruchy ciała, szczególnie przy oddychaniu — powiedział — i w części działanie osmotyczne dostarczają siły pompującej.

Poluzował z lekka ściągacz piersi.

— Odzyskana woda przepływa do kieszeni łownych, z których czerpie się ją przez tę rurkę w chomątku na szyi.

Książę przycisnął brodę do piersi, by zobaczyć wylot rurki.

— Skuteczne i wygodne — powiedział. — Świetne rozwiązanie techniczne.

Kynes przyklęknął, zbadał uszczelki nóg.

— Mocz i fekalia przetwarzane są w podkładkach udowych — powiedział i wstał, sprawdził szczelność kołnierza, uniósł na nim osobną klapę. — W otwartej pustyni nosi się ten filtr na twarzy, a tę rurkę zakończoną uszczelniającymi wtykami w nozdrzach. Wdech przez filtr ustny, wydech przez rurkę nosową. W dobrze działającym fremeńskim stroju tracimy nie więcej niż naparstek wilgoci dziennie, nawet jeśli się ugrzęźnie w sercu Wielkiego Ergu.

— Naparstek dziennie — powtórzył książę. Kynes docisnął palec do podkładki naczółka stroju i powiedział:

— Tu czasami trochę uwiera. Jeśli będzie obcierać, proszę mi powiedzieć. Mógłbym to nieco ciaśniej dopasować.

— Dziękuję — powiedział książę. Poruszył ramionami, gdy Kynes się cofnął, i poczuł, że wszystko leży na nim lepiej: bardziej przylega i mniej drażni.

Kynes zwrócił się do Paula.

— Teraz kolej na ciebie, zuchu.

Dobry człowiek, ale musi się nauczyć odpowiednio do nas zwracać — pomyślał książę. Paul stał biernie, kiedy Kynes sprawdzał mu ubiór. Miał dziwne uczucie w trakcie nakładania tego stroju o pomarszczonej śliskiej powierzchni. W jego podświadomości była absolutna pewność, że nigdy przedtem nie nosił filtrfraka. Mimo to każde dociągnięcie przylepnych patek pod niedoświadczonym okiem Gurneya wydawało mu się naturalne, instynktowne. Gdy ściągnął się w piersi, by uzyskać maksymalne działanie pompujące przy oddechu, wiedział, co robi i dlaczego. Gdy ściśle dopasował patki szyjne i naczółka, wiedział, że zrobił to, by nie dopuścić do powstania obtarcia i pęcherzy.

Kynes wyprostował się i cofnął z zaintrygowaną miną.

— Nosiłeś już kiedyś filtrfrak? — zapytał.

— Mam go na sobie po raz pierwszy.

— A więc ktoś ci go dopasował?

— Nie.

— Twoje pustynne buty są przewiązane na ukos w kostkach. Kto ci tak kazał zrobić?

— Wydawało mi się… że tak trzeba.

— Bo rzeczywiście tak trzeba.

Kynes pocierając policzek wspomniał słowa legendy: „On będzie znał wasze zwyczaje, jakby się do nich urodził".

— Tracimy czas — powiedział książę. Wskazał w stronę czekającego ornitoptera i ruszył przodem, oddając wartownikowi salut kiwnięciem głowy. Wdrapał się do środka, zapiął pasy bezpieczeństwa, sprawdził stery i przyrządy. Statek skrzypiał, kiedy pozostali gramolili się na pokład. Kynes zapiął swoje pasy i zwrócił uwagę na komfort wnętrza statku: puchowy luksus szarozielone tapicerki, światła przyrządów i smak przefiltrowanego i nawilżonego powietrza w płucach, gdy po zatrzaśnięciu drzwi ożyły z furkotem wentylatory. Jak w łóżku — pomyślał.

— Wszystko gotowe, Sire — powiedział Halleck.

Leto podał napęd na skrzydła, poczuł, jak wznoszą się i opadają — raz i drugi. Po dziesięciu metrach byli w powietrzu ze skrzydłami usztywnionymi w położeniu na płask, a silniki w ogonie z szumem wypychały ich w stromym wznoszeniu do góry.

— Południowy wschód za Murem Zaporowym — powiedział Kynes. — Tam właśnie zaleciłem waszemu piachmistrzowi skierować sprzęt.

— Dobrze.

Książę wszedł wirażem w szyk swej powietrznej osłony, której siatki zajmowały pozycje ubezpieczające, gdy kierował się na

południowy wschód.

— Projekt i wykonanie tych filtrfraków świadczą o wysokim poziomic materii technicznej — powiedział.

— Któregoś dnia mogę wam pokazać wytwórnię w siczy — powiedział Kynes.

— Będzie to dla mnie interesujące — rzekł książę. — Wiem, że fraki wyrabia się też w niektórych miastach garnizonowych.

— Nieudolne imitacje — odparł Kynes. — Każdy dbający o własną skórę diunida nosi frak Fremenów.

— I dzięki temu nie traci więcej niż naparstek wody dziennie?

— W sprawnym filtrfraku, przy dociśniętej pokrywie naczółka, z wszystkimi uszczelkami w porządku, tracimy wodę głównie przez dłonie — powiedział Kynes. — Można założyć frakowe rękawice, jeśli to, co robimy, nie wymaga precyzji, lecz większość Fremenów na otwartej pustyni naciera sobie dłonie sokiem z liści *Covilea mexicana*. On powstrzymuje pocenie.

Książę spojrzał w lewo na popękany w dole krajobraz Muru Zaporowego — na rozpadliny udręczonej skały, na plamy żółtawego brązu porozrywane czarnymi liniami uskoków. Jakby ktoś upuścił ten ląd z niebios i zostawił tam, gdzie się roztrzaskał. Przecięli płytki basen z wyraźnymi konturami szarej łachy piasku rozlewającej się po nim z południowego wylotu kanionu. Jęzory piachu wpadały do basenu suchą deltą zarysowaną na tle ciemniejszej skały. Kynes opadł na oparcie myśląc o bogatych w wodę ciałach, jakie wymacał pod filtrfrakami. Na płaszczach nosili pasy tarczowe, u bioder głuszaki na zwolnione pociski, z szyi zwisały im na sznurkach alarmowe nadajniki wielkości monety. Obaj, książę i syn, mieli noże w pochwach na nadgarstkach, a te pochwy były nieźle podniszczone. Ci ludzie zafrapowali Kynesa dziwną kombinacją miękkości i zbrojnej siły. W ich postawie było coś zupełnie niepodobnego do Harkonnenów.

— Kiedy przyjdzie ci zameldować Imperatorowi o zmianie tutejszego rządu, czy powiesz, że przestrzegaliśmy prawa? — spytał Leto.

— Harkonnenowie odeszli, wy przyszliście — powiedział Kynes.

— I wszystko jest w porządku?

Na chwilę mięśnie szczęki Kynesa stężały, zdradzając jego podenerwowanie:

— Jako planetolog i Sędzia Zmiany jestem bezpośrednio poddanym Imperium… mój panie.

Książę uśmiechnął się ponuro.

— Przecież obaj jesteśmy realistami.

— Pragnę przypomnieć, że Jego Wysokość popiera to, co tu robię.

— Rzeczywiście? A właściwie co tutaj robisz?

W chwili krótkiej ciszy Paul pomyślał: Za mocno naciska tego

Kynesa. Zerknął na Hallecka, ale minstrel-wojownik oglądał pustynny pejzaż. Kynes powiedział sztywno:

— Oczywiście mowa o moich obowiązkach planetologa.

— Oczywiście.

— Przeważnie zajmuję się biologią suchego środowiska i botaniką… trochę badań geologicznych: wiercenia skorupy i analiza. Nigdy nie wyczerpie się do końca możliwości całej planety.

— Czy również zajmujesz się badaniami przyprawy?

Kynes zwrócił się do księcia i Paul zauważył twardą linię policzka tego mężczyzny.

— Dziwne pytanie, Sire.

— Miej na uwadze, Kynes, że teraz to moje lenno. Moje metody różnią się od metod Harkonnenów. Nie obchodzą mnie twoje badania nad przyprawą, dopóki mam udział w twoich odkryciach. — Spojrzał na planetologa. — Harkonnenowie byli przeciwni badaniom przyprawy, nieprawdaż?

Kynes nie odpowiedział, odwzajemniając spojrzenie.

— Możesz mówić bez ogródek — odezwał się książę — bez obawy o swoją skórę.

— Dwór imperialny jest rzeczywiście bardzo daleko — zamruczał Kynes. A pomyślał: Czego ten nasiąknięty wodą mięczak się spodziewa? Czy wydaje mu się, że jestem aż tak głupi, by służyć intruzowi?

Książę parsknął śmiechem i skupił się na trzymaniu kursu.

— Wyczuwam nutę goryczy w twoim głosie, sir. Wtargnęliśmy tutaj z naszą hałastrą obłaskawionych morderców, tak? I spodziewamy się, że natychmiast dostrzeżesz, iż jesteśmy różni od Harkonnenów.

— Czytałem propagandówki, jakimi zalewacie sicz i wioski — rzekł Kynes. — „Kochajcie dobrego księcia!” Wasz korpus prop…

— Ejże! — warknął Halleck. Oderwał wzrok od okna, pochylił się do przodu.

Paul położył mu dłoń na ramieniu.

— Gurney! — powiedział książę. Obejrzał się. — Ten człowiek był długo pod Harkonnenami.

Halleck opadł na oparcie fotela.

— Aha.

— Twój człowiek, Hawat, jest subtelny — powiedział Kynes — ale jego cel był dość jasny.

— Udostępnisz nam więc owe bazy? — zapytał książę.

Kynes uciął oschle:

— Są własnością Jego Królewskiej Mości.

— Nie są wykorzystywane.

— Ale mogą być.

— Jego Królewska Mość też tak myśli?

Kynes rzucił księciu złe spojrzenie.

— Arrakis byłaby rajem, gdyby jej władcy dostrzegali coś więcej prócz rycia za przyprawą!

Nie odpowiedział na moje pytanie — pomyślał książę.

— Jak planeta ma się stać rajem bez pieniędzy? — zapytał.

— Cóż po pieniądzach, skoro nie da się kupić tego, co potrzeba?

Ach tak! — pomyślał książę. I powiedział:

— Porozmawiamy o tym innym razem. Chyba zbliżamy się już do krawędzi Muru Zaporowego. Mam trzymać kurs?

— Trzymać kurs — wymamrotał Kynes.

Paul wyjrzał przez okno. Pod nimi spękany grunt zaczynał opadać wzburzonymi falami ku gołej skalnej płaszczyźnie i ostremu jak nóż szelfowi. Za szelfem półksiężycowe paznokcie wydm szły aż po horyzont, z tu iówdzie rozmazaną w dali plamką, ciemniejszym kleksem mówiącym o czymś, co nie było piaskiem. Być może wychodniami warstwy skalnej. W tym stężałym od upału powietrzu Paul nie był niczego pewny.

— Czy tam na dole są jakieś rośliny? — zapytał.

— Trochę — powiedział Kynes. — W strefie życia na tej szerokości występuje przeważnie to, co nazywamy drugorzędnymi złodziejami wody — przystosowanymi do wzajemnego ograbiania się z wilgoci, pochłaniającymi śladową rosę. Pewne rejony pustyni obfitują w życie. Ale wszystko, co żyje, posiadło sztukę przetrwania w tych trudnych warunkach. Znalazłszy się tam na dole musisz naśladować owożycie albo zginąć.

— To znaczy okradać innych z wody? — zapytał Paul. Sama idea napełniła go oburzeniem, co zdradzał jego głos.

— Robi się to — powiedział Kynes — ale niezupełnie o to mi chodziło. Widzisz, mój klimat wymaga specyficznego podejścia do wody. Nie zapomina się o niej ani na chwilę. Nie marnuje się niczego, co zawiera w sobie wilgoć.

A książę pomyślał: mój klimat!

— Skręć na wiatr dwa stopnie bardziej na południe, mój panie — powiedział Kynes. — Z zachodu idzie wichura.

Książę skinął głową. Sam zauważył kłęby brązowego pyłu. Położył w zakręt ornitopter i zobaczył, jak skrzydła eskorty przechylają się w wirażu, by go nie zgubić, i odbijają mleczną pomarańczowość załamanego w pyle światła.

— Dzięki temu powinniśmy obejść bezpiecznie czoło huraganu — rzekł Kynes.

— Taki piasek musi być niebezpieczny, kiedy się w niego wleci — zauważył Paul. — Czy rzeczywiście przecina on najtwardsze metale?

— Na tej wysokości to nie jest piasek, tylko pył — wyjaśnił Kynes. — Niebezpieczeństwo, jakie on stwarza, to brak widoczności,

turbulencja, zatkanie wlotów.

— Czy zobaczymy dziś samo wydobywanie przyprawy? — spytał Paul.

— Bardzo możliwe — odparł Kynes.

Paul zagłębił się w fotelu. Za pomocą pytań i nadświadomości dokonał czegoś, co jego matka nazywała „rejestracją" osobnika. Znał teraz Kynesa na pamięć — barwę głosu, każdy szczegół twarzy i gestu. Nienaturalna fałda lewego rękawa mówiła o nożu w pochwie na ramieniu. Talia była dziwnie wybrzuszona. Słyszał, że ludzie pustyni noszą w pasie szarfę, za którą wtykają niezbędne drobiazgi. Może wybrzuszenie pochodziło od takiej szarfy, bo na pewno nie od ukrytego pasa tarczy. Miedziana zapinka z wygrawerowanym wizerunkiem zająca spinała kołnierz jego płaszcza. Drugą, mniejszą, z podobnym wizerunkiem miał przy zarzuconym na plecy kapturze.

Halleck odwrócił się w fotelu obok Paula, sięgnął do przedziału w ogonie i wyciągnął swoją balisetę. Kynes obejrzał się, kiedy Halleck stroił instrument, po czym wrócił do obserwowania kursu.

— Czego chciałbyś posłuchać, młody panie? — zapytał Halleck.

— Sam coś wybierz, Gurney — powiedział Paul.

Halleck przysunął ucho do pudła rezonansowego, wziął akord i zaśpiewał cichutko:

> Nasi ojce jedli mannę pustyni,
> w żarze miejsc, gdzie latają cyklony.
> Panie, zbaw nas od strasznej ziemi!
> Zbaw nas… aaach, zbaw nas
> od martwej, suchej ziemi.

Kynes zerknął na księcia i powiedział:

— Podróżujesz z małym zaiste oddziałem straży, mój panie. Czy wszyscy twoi ludzie posiadają tak wiele talentów?

— Gurney? — książę roześmiał się. — Gurney jest jedyny w swoim rodzaju. Lubię go mieć przy sobie dla jego oczu. Niewiele przegapią.

Planetolog zmarszczył czoło. Nic gubiąc rytmu swej melodii Halleck dośpiewał:

Bo jam jest jak sowa pustyni, o!

O tak! Jam jest jak sowa pus-ty-ni!

Książę sięgnął w dół, wyjął z tablicy przyrządów mikrofon, włączył go kciukiem, powiedział:

— Dowódca do Eskorty Gemma. Obiekt latający w godzinie dziewiątej, sektor B. Jak z rozpoznaniem?

— To tylko duży ptak — powiedział Kynes i dodał: — Masz bystre oczy.

— Eskorta Gemma. Obiekt zbadany w pełnym powiększeniu. To jest duży ptak.

Paul spojrzał we wskazanym kierunku, dostrzegł odległy punkt, kropkę w przerywanym ruchu, i uświadomił sobie, jak przewrażliwiony musi być jego ojciec. Wszystkie zmysły w pełnym pogotowiu.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że spotyka się takie wielkie ptaki tak daleko w głębi pustyni — powiedział książę.

— To zapewne orzeł — powiedział Kynes. — Wiele stworzeń zaadaptowało się do tego miejsca.

Ornitopter przemknął nad nagą skalną równiną. Paul spojrzał w dół z wysokości dwóch tysięcy metrów, zobaczył pomarszczony cień ich statku i eskorty. Grunt pod nimi wyglądał płasko, lecz zmarszczki cienia świadczyły o czymś przeciwnym.

— Czy ktoś wyszedł kiedyś z pustyni? — zapytał książę. Halleck przestał grać. Nachylił się, by uchwycić odpowiedź.

— Nie z głębokiej pustyni — powiedział Kynes. — Ludzie wychodzili z drugiej strefy wiele razy. Przeżyli dzięki temu, że szli przez skaliste obszary, gdzie rzadko zapuszczają się czerwie.

Ton głosu Kynesa przykuł uwagę Paula. Czuł, że wszystkie jego zmysły zostały zaalarmowane tak, jak je wyszkolono.

— Aach, czerwie — powiedział książę. — Muszę kiedyś zobaczyć czerwia.

— Może dzisiaj zobaczysz — powiedział Kynes. — Gdziekolwiek jest przyprawa, tam są czerwie.

— Zawsze? — spytał Halleck.

— Zawsze.

— Czy istnieje związek między czerwiem a przyprawą? — spytał książę. Kynes obrócił się i Paul zobaczył zasznurowane usta, gdy przemówił:

— One bronią piasków przyprawnych. Każdy czerw ma określone… terytorium. Jeśli chodzi o przyprawę… kto wie? Zbadane przez nas okazy czerwi każą podejrzewać złożone chemiczne przemiany wewnętrzne. Znajdujemyślady kwasu chlorowodorowego w przewodach anatomicznych, bardziej złożone związki kwasowe w różnych miejscach. Polecam swoją monografię na ten temat.

— I tarcza nie jest żadna obroną? — spytał książę.

— Tarcze! — zadrwił Kynes. — Włącz tarczę w strefie czerwia, a przypieczętujesz swój los. Czerwie ignorują granice terytoriów, ściągają z oddali, by zaatakować tarczę. Żaden człowiek noszący tarczę nie przeżył nigdy takiego ataku.

— Więc w jaki sposób chwyta się czerwie?

— Porażenie każdego pierścienia z osobna prądem wysokiego napięcia jest jedynym znanym sposobem na zabicie bądź pojmanie

czerwia w całości — powiedział Kynes. — Można je oszołomić i porozrywać materiałami wybuchowymi, lecz każdy pierścień żyje niezależnym życiem. Oprócz energii atomowej nie znam żadnego materiału wybuchowego o sile dostatecznej, by zabić dużego czerwia. One są niewiarygodnie odporne.

— Dlaczego nie próbowano ich wytępić? — zapytał Paul.

— To zbyt kosztowne — powiedział Kynes. — Zbyt wielki obszar na taką operację.

Paul odchylił się do tyłu w swoim kącie. Jego zmysł prawdy, wrażliwość na odcienie tonu mówiły mu, że Kynes kłamie i wypowiada półprawdy. I pomyślał: Jeśli zachodzi relacja między przyprawą a czerwiami, wytępienie czerwi zniszczyłoby przyprawę.

— Niebawem nikt nie będzie musiał wychodzić z pustyni — powiedział książę. — Wystarczy pstryknąć tymi małymi nadajniczkami na naszych szyjach i ratunek jest w drodze. Niedługo będą je nosili wszyscy nasi robotnicy. Organizujemy specjalną służbę ratowniczą.

— Wielce chwalebne — powiedział Kynes.

— Twój ton świadczy, że się z tym nie zgadzasz — powiedział książę.

— Nić zgadzam? Oczywiście, że się zgadzam, ale z tego niewiele będzie pożytku. Elektryczność statyczna z burz piaskowych zagłusza wiele sygnałów. Nadajniki milkną od zwarcia. Już ich tu próbowano, nie wiecie? Arrakis jest okrutna dla sprzętu. I jeśli czerw na kogoś poluje, czasu jest niewiele. Często ma się nie więcej niż piętnaście do dwudziestu minut.

— Co byś radził? — zapylał książę.

— Pytasz mnie o radę?

— Jako planetologa, tak.

— Posłuchasz mojej rady?

— Jeśli sensowna…

— Doskonale, mój panie. Nigdy nie podróżuj samotnie.

Książę odwrócił się od przyrządów.

— To wszystko?

— To wszystko. Nigdy nie podróżuj samotnie.

— A jeżeli człowiek zgubi się w burzy i będzie zmuszony lądować? — zapytał Halleck. — Czy może coś zrobić?

— „Coś” to bardzo ogólne sformułowanie.

— Co ty byś zrobił? — zapytał Paul.

Kynes spojrzał na niego zimnym wzrokiem i odwrócił się z powrotem do księcia.

— Pamiętałbym o ochronie mego filtrfraka przed uszkodzeniem. Poza strefą czerwia lub w skałach zostałbym przy statku. Gdybym wylądował na otwartych piaskach, zwiewałbym od statku co sił w

nogach. Wystarczy odległość około tysiąca metrów. Potem ukryłbym się pod płaszczem. Czerw dopadłby statku, a mnie może by przegapił.

— Co potem? — zapytał Halleck.

Kynes wzruszył ramionami.

— Czekać, aż czerw odejdzie.

— To wszystko? — zapytał Paul.

— Jak już nie ma czerwia, można spróbować wyjść — powiedział Kynes. — Trzeba iść ostrożnie, omijając grające piaski i baseny z pyłopływami, w stronę najbliższej strefy skał. Takich stref jest wiele. Jest szansa na powodzenie.

— Grające piaski? — zapytał Halleck.

— Piasek w stanie zagęszczenia — wyjaśnił Kynes. — Najlżejsze stąpnięcie wprawia je w dudnienie. To zawsze ściąga czerwie.

— A basen pyłopływu? — zapytał książę.

— Różne zapadliska w pustyni przez stulecia wypełniły się pyłem. Niektóre są tak rozległe, że mają prądy i pływy. Wszystkie pochłoną tego, kto nieopatrznie tam wejdzie.

Halleck oparł się wygodnie, wziął akord na balisecie. Po chwili zaśpiewał:

> Tam gonią dzikie bestie pustyni,
> dybią na niewiniątek szeregi,
> Oooch, nie kuś bogów pustyni,
> bo znajdziesz się w elegii.
> Pułapki tej…

Urwał, wychylając się do przodu.

— Kurzawa przed nami, Sire.

— Widzę, Gurney.

— Tego właśnie szukamy — powiedział Kynes.

Paul wyciągnął szyję, by zerknąć w przód, dojrzał kłębiącą się żółtą chmurę nisko nad powierzchnią pustyni, jakieś trzydzieści kilometrów przed sobą.

— To jeden z waszych gąsieników — powiedział Kynes. — Jest na powierzchni, co znaczy, że trafił na przyprawę. Chmura to piasek wydmuchiwany po odwirowaniu przyprawy. Nie ma drugiej takiej chmury na świecie.

— Statek nad nią — powiedział książę.

— Widzę dwa… trzy… cztery szperacze — rzekł Kynes. — Wypatrują znaku czerwia.

— Znaku czerwia? — zapytał książę.

— Fali piaskowej sunącej na gąsienik. Będą też mieli sondy sejsmiczne na ziemi. Czasami czerwie wędrują zbyt głęboko, by fala się pokazała — Kynes obiegł spojrzeniem niebo dokoła. — W pobliżu

powinna być zgarniarka, ale jej nie widzę.

— Czerw przychodzi zawsze, co? — zapytał Halleck.

— Zawsze.

Paul wychylił się przed siebie, dotknął ramienia Kynesa.

— Jak duże terytorium obstawia czerw?

Kynes zmierzył go kosym spojrzeniem. Ten dzieciak nie przestaje zadawać dorosłych pytań.

— To zależy od rozmiarów czerwia.

— Jaki jest rząd wielkości? — zapytał książę.

— Duże mogą zajmować trzysta i czterysta kilometrów kwadratowych. Małe…

Przerwał, gdyż książę nadepnął na hamulce strumieniowe. Statkiem szarpnęło, silniki w ogonie zaszeptały i ucichły. Szczątkowe skrzydła wydłużyły się, zagarnęły powietrze. Statek zamienił się w pełny ornitopter, kiedy książę przechylał go w zakręt, utrzymując skrzydła w łagodnym łopocie i wskazując lewą ręką w dal na wschód poza gąsienikowy kombajn.

— Czy to jest znak czerwia?

Kynes przechylił się przez księcia, by spojrzeć. Paul i Halleck skupili się razem wyglądając w tym samym kierunku i Paul zauważył, jak ich eskorta zaskoczona nagłym manewrem pomknęła naprzód i teraz zawraca. Gąsienikowy kombajn znajdował się w prostej linii przed nimi, w odległości jeszcze około trzech kilometrów. Tam gdzie wskazał książę, dukty sierpowatych wydm ścieliły się cieniowanymi zmarszczkami po horyzont, a przecinając je prostą, nadbiegającą z dali linią, sunął podłużny, ruchomy pagórek — fala piasku. Paulowi przypominało to lustro wody, które zakłóca płynąca tuż pod jej powierzchnią wielka ryba.

— Czerw — powiedział Kynes. — Duży.

Cofnął się w fotelu, chwycił z tablicy rozdzielczej mikrofon, przerzucił selektor na inną częstotliwość. Wpatrując się w siatkę współrzędnych na wałkach pod sufitem kabiny, powiedział do mikrofonu:

— Wzywam gąsienik dziewiątkę Delta Ajax. Ostrzegawczy znak czerwia. Gąsienik dziewiątka Delta Ajax. Ostrzegawczy znak czerwia. Proszę potwierdzić.

Czekał. Z głośnika dobiegały trzaski, po czym głos:

— Kto wzywa dziewiątkę Delta Ajax? Odbiór.

— Nie wygląda, żeby się tym specjalnie przejęli — zauważył Halleck. Kynes odezwał się do mikrofonu:

— Nie rejestrowany lot około trzech kilometrów na północny wschód od was. Znak czerwia na przechwytującym kursie, namiar wasza pozycja, przypuszczalny kontakt dwadzieścia pięć minut.

Inny głos zaburczał w głośniku:

— Tu szperacz dozorowiec. Potwierdzam namiar. Zostańcie na nasłuchu do zliczenia kontaktu.

Zapadła cisza, po czym:

— Kontakt za dwadzieścia sześć minut zero zero. Kto jest w tym nie rejestrowanym locie? Odbiór.

Zerwawszy z siebie pasy, Halleck rzucił się do przodu między Kynesa i księcia.

— Czy to normalna częstotliwość robocza, Kynes?

— Tak. A bo co?

— Kto jest na nasłuchu?

— Tylko załogi pracujące w tym rejonie. To zmniejsza interferencję.

Głośnik zatrzeszczał i ponownie usłyszeli:

— Tu dziewiątka Delta Ajax. Kto bierze premię za ten znak? Odbiór.

Halleck zerknął na księcia.

— Przyznaje się premię zależną od urobku przyprawy dla tego, kto pierwszy ostrzeże przed czerwiem — powiedział Kynes. — Oni chcą wiedzieć…

— Powiedz im, kto pierwszy dostrzegł tego czerwia — rzekł Halleck. Książę kiwnął głową. Kynes chwilę bił się z myślami, po czym podniósł mikrofon:

— Premia szperacza dla księcia Leto Atrydy. Książę Leto Atryda. Odbiór.

Głos w głośniku był bezbarwny i częściowo zniekształcony zakłóceniami atmosferycznymi.

— Zrozumieliśmy i dziękujemy.

— A teraz powiedz im, by podzielili premię między siebie — rozkazał Halleck. — Powiedz im, że takie jest życzenie księcia.

Kynes wziął głęboki oddech.

— Książę życzy sobie, żeby premię rozdzielić wśród załogi. Słyszycie mnie? Odbiór.

— Słyszymy i dziękujemy — powiedział głośnik.

— Zapomniałem nadmienić — wtrącił książę — że Gurney to również wielki talent jako rzecznik prasowy.

Kynes łypnął zaintrygowanym okiem na Hallecka.

— W ten sposób ludzie zobaczą, że książę troszczy się o ich bezpieczeństwo — rzekł Halleck. — Wieść się rozniesie. To było na roboczej częstotliwości obszaru; niepodobna, by odbierali ją agenci Harkonnenów. — Zerknął przez okno na powietrzną osłonę. — I jesteśmy w niemałej sile. Warto było zaryzykować.

Książę wprowadził statek w zakręt kierując go na tuman piasku buchającego z gąsienikowego kombajnu.

— Co teraz będzie?

— Gdzieś w pobliżu znajduje się zgarniarka — powiedział Kynes — Nadleci i zabierze gąsienik.

— A jeśli zgarniarka się rozbije? — spytał Halleck.

— Będzie o jedną maszynę mniej — odparł Kynes. — Zejdź nisko nad gąsienik, mój panie, to cię zainteresuje.

Książę popatrzył spode łba i zajął się sterami, ponieważ weszli w turbulencję powietrza nad gąsienikiem. Paul spojrzał w dół i zobaczył rzygające nadal piaskiem metalowo-plastikowe monstrum pod nimi. Wyglądało jak ogromny brązowo-niebieski żuk z mnóstwem szerokich gąsienic na rozpostartych wokoło ramionach. Na przedzie dostrzegł odwrócony lejek gigantycznego ryja wetknięty w ciemny piasek.

— Bogate złote przyprawy, sądząc po barwie. — powiedział Kynes. — Nie przerwą pracy aż do ostatniej chwili.

Książę dał więcej mocy na skrzydła, usztywnił je, by stromiej opadały podczas schodzenia w kołującym ślizgu nad gąsienik. Rzut oka w lewo i w prawo upewnił go, że osłona pozostała na tym samym pułapie krążąc nad jego głową. Paul przypatrzył się dokładnie żółtemu obłokowi buchającemu z wylotów dmuchaw gąsienika i wzrokiem odszukał w pustyni nadciągający znak czerwia.

— Czy nie powinniśmy mieć zgarniarki? — zapytał Halleck.

— Zwykle mają skrzydło na innej częstotliwości — powiedział Kynes.

— Czy na wszelki wypadek nie powinni mieć dwóch zgarniarek na każdy gąsienik? — nie wytrzymał książę. — Na tej maszynie w dole będzie pewnie dwudziestu sześciu ludzi nie mówiąc już o cenie urządzenia.

Kynes powiedział:

— Nie macie tyle dod…

Kynes zaczął mówić, ale przerwano mu gniewnie z głośnika:

— Czy widzi ktoś skrzydło? Nie zgłasza się.

Z pulpitu nagle popłynęły splątane, niezrozumiałe głosy, które zagłuszały gwałtowny, przenikliwy sygnał, a wtedy odezwał się pierwszy operator:

— Raportujcie kolejno! Odbiór!

— Tu szperacz — dozorowiec. Ostatni raz widziałem skrzydło dość wysoko, krążyło oddalając się na północny zachód. Nic widzę go teraz. Odbiór.

— Szperacz pierwszy: wynik negatywny. Odbiór.

— Szperacz drugi: wynik negatywny. Odbiór.

— Szperacz trzeci: wynik negatywny. Odbiór.

Cisza.

Książę spojrzał w dół. Cień jego własnego statku przesuwał się właśnie nad gąsienikiem.

— Tylko cztery szperacze, zgadza się?

— Zgadza — powiedział Kynes.

— Pięć w naszej eskadrze. — powiedział książę — Nasze statki są większe. Możemy upchać dodatkowo trójkę do każdego. Każdy z ich szperaczy powinien być w stanie oderwać się od ziemi z dwójką.

Paul wykonał rachunek w pamięci i zauważył:

— Zostaje trzech.

— Dlaczego nie mają po dwie zgarniarki na każdy gąsienik? — warknął książę.

— Nie macie tyle dodatkowego sprzętu — powiedział Kynes.

— Tym bardziej powinniśmy chronić ten, który posiadamy!

— Gdzie mogła się podziać zgarniarka? — spytał Halleck.

— Mogła przymusowo wylądować gdzieś poza zasięgiem wzroku — odparł Kynes.

Książę złapał mikrofon i zatrzymał się z kciukiem zwieszonym nad przyciskiem.

— Jak oni mogli stracić z oczu zgarniarkę?

— Całą uwagę skupiają na ziemi wypatrując znaku czerwia — powiedział Kynes.

Książę wgniótł kciukiem przycisk i powiedział do mikrofonu:

— Mówi wasz książę. Podchodzimy do lądowania, by zabrać załogę dziewiątki Delta Ajax. Rozkazuję to samo szperaczom. Szperacze siadają po wschodniej stronie. My zajmiemy zachodnią. Odbiór.

Sięgnął do tablicy rozdzielczej, wcisnął własną częstotliwość dowodzenia i powtórzywszy rozkaz swej osłonie powietrznej oddał mikrofon Kynesowi. Kynes wrócił na częstotliwość roboczą i z głośnika bluznęło:

— …prawie pełną ładownię przyprawy! Mamy prawie pełną ładownię! Nie możemy tego zostawić dla jakiegoś cholernego czerwia! Odbiór.

— Do cholery z przyprawą! — warknął książę. Wyrwał z powrotem mikrofon i powiedział:

— Przyprawy nam nie zabraknie. Dla trzech spośród was nie starczy miejsc w naszych statkach. Ciągnijcie losy albo jakoś inaczej ustalcie, kto będzie lecieć. Ale lecicie, i to jest rozkaz!

Ponownie wbił Kynesowi w dłonie mikrofon i wymamrotał „przepraszam”, gdy Kynes zamachał stłuczonym palcem.

— Ile czasu? — spytał Paul.

— Dziewięć minut — powiedział Kynes.

— Ten statek ma większą moc od reszty — rzekł książę. — Jeśli wystartujemy na silniku przy trzech czwartych skrzydeł, możemy wcisnąć dodatkowego człowieka.

— Piasek jest grząski — powiedział Kynes.

— Z czterema dodatkowymi ludźmi na pokładzie moglibyśmy

przy starcie silnikiem połamać skrzydła, Sire — rzekł Halleck.

— Nie na tym statku — rzucił książę. Pociągnął stery na siebie siadając ślizgowym lotem obok gąsienika. Skrzydła przechyliły się, wyhamowały ornitopter, który zarył płozami nie dalej niż dwadzieścia metrów od kombajnu. Gąsienik był teraz cichy, przestał rzygać piaskiem z odpowietrzników. Dobiegał od niego jedynie słaby, mechaniczny pomruk, który stał się bardziej uchwytny dla ucha, kiedy książę otworzył drzwi po swojej stronie. Uderzył ich natychmiast w nozdrza zapach cynamonu — ciężki, gryzący. Z głośnym łopotem szperacz osiadł ślizgiem na piasku z drugiej strony gąsienika. Eskorta pikowała, by lądować w jednej linii z księciem. Wyglądając na kombajn Paul ujrzał, jak zmalały przy nim wszystkie ornitoptery — komary przy drapieżnym żuku.

— Gurney wyrzućcie z Paulem tamto tylne siedzenie — polecił książę. Własnoręcznie skręcił korbą skrzydła do trzech czwartych, ustawił ich kąt, sprawdził stery silników gondoli.

— Dlaczego, u diabła, nie wyłażą z tej maszyny?

— Liczą, że pokaże się zgarniarka — powiedział Kynes. — Mają jeszcze parę minut.

Uciekł spojrzeniem na wschód. Wszyscy obejrzeli się w tym samym kierunku, ale nie wypatrzyli żadnego znaku czerwia, tylko w powietrzu czuło się ciężar pełnego napięcia niepokoju. Książę wziął mikrofon, włączył częstotliwość dowodzenia i powiedział:

— Dwóch z was wyrzuci generatory tarcz; Po kolei. W ten sposób zabierzecie jeszcze po jednym człowieku. Nie zostawimy nikogo temu potworowi. — Przerzucił się z powrotem na częstotliwość roboczą i warknął:

— No dobra, wy w dziewiątce Delta Ajax! Wyłazić! Już! To rozkaz waszego księcia! W podskokach, bo wezmę rusznicę laserową i potnę ten gąsienik na kawałki!

Na przedzie kombajnu odskoczyła pokrywa luku, z tyłu druga, jeszcze jedna na szczycie. Ludzie wysypali się zjeżdżając i staczając się w dół na piasek. Ostatni wyłonił się wysoki mężczyzna w połatanym płaszczu roboczym. Zeskoczył na gąsienicę, potem na ziemię.

Książę odwiesił mikrofon na tablicę i wychyliwszy się na płat skrzydła zawołał:

— Po dwóch ludzi do każdego z waszych szperaczy!

Mężczyzna w połatanym płaszczu zaczął dzielić swoją załogę na dwójki, popychając je w kierunku czekających po drugiej stronie statków.

— Czterech tutaj! — krzyknął książę. — Czterech do statku za mną! — wskazał palcem na ornitopter eskorty zaraz za swoim. Gwardziści wyrywali właśnie z niego generator tarczowy.

— I czterech do tamtego statku dalej. — Wskazał na drugi

eskortowiec pozbawiony już generatora. — Po trzech do każdego z pozostałych. Biegiem, szczury piaskowe!

Wysoki mężczyzna dokończywszy podziału swej załogi brnął przez piasek, prowadząc trzech towarzyszy.

— Słyszę czerwia, ale go nie widzę — powiedział Kynes. Nagle usłyszeli to wszyscy pozostali — ślizgowy pochrzęst, daleki, lecz coraz bliższy.

— Partacka robota — mruknął książę. Wokoło siatki zaczęły podrywać się z piasku. Przypominało to księciu obrazek z dżungli na jego rodzimej planecie; nagle wyjście na porębę i ścierwniki zrywające się w niebo od padliny bawołu. Przyprawiarze dobrnęli do burty ornitoptera i zaczęli włazić do środka za plecami księcia. Halleck pomagał wciągając ich do tyłu.

— Włazimy, chłopaki! — rzucił. — Raz, dwa!

Wciśnięty przez zapoconych mężczyzn w kąt Paul wdychał lepką woń strachu; zobaczył, że dwaj z nich mieli marnie spasowane przy szyjach filtrfraki. Zatrzymał informację w pamięci, by zapobiec temu na przyszłość. Ojciec będzie musiał zarządzić ostrzejsze rygory w związku z filtrfrakami. Ludzie nabierają skłonności do fuszerki, jeśli się nie pilnuje takich spraw.

Ostatni człowiek wpadł na tył zdyszany, wołając:

— Czerw! Jest tuż, tuż! Odpalajcie!

Książę usadowił się w fotelu i powiedział nachmurzony:

— Mamy jeszcze prawie trzy minuty według pierwotnego zliczenia kontaktu. Zgadza się, Kynes? — Zatrzasnął i sprawdził drzwi.

— Prawie co do joty, mój panie — powiedział Kynes i pomyślał: Opanowany typ, ten książę.

— Tutaj wszystko w porządku, Sire — zameldował Halleck. Książę kiwnął głową, prześledził start swego ostatniego eskortowca. Ustawił zapłon, jeszcze raz zerknął na skrzydła i przyrządy, wcisnął kolejność zapłonu. Start wgniótł księcia i Kynesa głęboko w fotele, sprasował ludzi w ogonie. Kynes obserwował, w jaki sposób książę operuje sterami — delikatnie, pewnie. Ornitopter oderwał się już zupełnie od ziemi, książę studiował przyrządy, obejrzał się w jedną i drugą stronę na skrzydła.

— Jest bardzo ciężki, Sire — powiedział Halleck.

— W granicach tolerancji dla tego statku — odparł książę. — Chyba nie myślałeś poważnie, że naraziłbym na szwank jego ładunek, co, Gurney?

— Ani przez, chwilę, Sire.

Książę przechylił statek w długim, łagodnym wirażu wzbijając się nad gąsienikiem. Wgnieciony w kąt pod oknem Paul wlepiał oczy w ucichłą maszynę na piasku. Znak czerwia urwał się jakieś czterysta metrów od gąsienika. Piasek wokół kombajnu zafalował.

— Czerw znajduje się teraz pod gąsienikiem — powiedział Kynes. — Za chwilę będziecie świadkami czegoś, co niewielu oglądało.

Drobiny pyłu zaćmiły piach przy gąsieniku. Wielka machina zaczęła chylić się na prawą stronę. Tam z jej prawej strony formował się gigantyczny lej wirującego piasku. Wirował coraz szybciej i szybciej. Teraz piach i pył wypełniały powietrze w promieniu setek metrów. I wtedy go zobaczyli!

Z piasku wynurzył się przepastny otwór. Światło słoneczne zamigotało na połyskliwych, białych ostrokołach w jego głębi. Paul ocenił, że średnica otworu przynajmniej dwukrotnie przekracza długość gąsienika. Patrzył, jak maszyna osuwa się do rozwarcia w kipieli piasku i pyłu. Otwór wycofał się.

— Bogowie, co za potwór! — wyszeptał mężczyzna obok Paula.

— Zagarnął całą naszą cholerną przyprawę! — warknął inny.

— Ktoś za to zapłaci — powiedział książę. — Obiecuję wam.

Po determinacji w głosie ojca Paul odgadł jego głęboki gniew. Odnalazł go też i w sobie. To było karygodne niedbalstwo! W ciszy, jaka zapadła, dosłyszeli głos Kynesa:

— Niech będzie błogosławiony Stworzyciel i Jego woda — wyszeptał Kynes. — Błogosławione Jego przybycie i odejście. Niechaj Jego droga oczyści świat. Niech zachowa On świat dla Swych ludzi.

— Co tam mruczysz? — spytał książę. Ale Kynes zachował milczenie. Paul rozejrzał się po stłoczonych wokół siebie ludziach. Patrzyli z lękiem na tył głowy Kynesa. Jeden wyszeptał:

— Liet.

Kynes obejrzał się rzucając groźne spojrzenia. Mężczyzna schował się, skonsternowany. Ktoś z uratowanych ludzi począł kasłać — sucho, rozdzierająco. Po chwili wykrztusił:

— Niech piekło pochłonie tę diabelną dziurę!

Wysoki diunida, który ostatni opuścił gąsienik, powiedział:

— Nie gadaj tyle, Coss. To źle robi na kaszel.

Poruszył się wśród mężczyzn, aż wypatrzył pomiędzy nimi tył głowy księcia Leto.

— Ręczę, żeś książę Leto. Tobie to składamy dzięki za życie. Byliśmy o krok od śmierci, zanim się zjawiłeś.

— Siedź cicho, człowieku, i daj księciu prowadzić statek — mruknął Halleck. Paul zerknął na niego. On sam również widział zmarszczki na szczęce ojca. Kiedy książę był wściekły, należało chodzić na palcach. Leto zaczął wyprowadzać przechylony ornitopter z szerokiego wirażu, wstrzymał się widząc, że znowu coś się rusza na piasku. Czerw wycofał się w głębiny, a teraz w pobliżu dawnego miejsca gąsienika widoczne były dwie sylwetki uchodzące od leja w piachu na północ. Wydawało się, że ślizgają się one po powierzchni, ledwie wzbijając pył za sobą.

— Co to za jedni tam w dole? — warknął książę.

— Dwaj faceci, którzy zabrali się na przejażdżkę, sir — odparł diunida.

— Dlaczego nie wspomniano o nich ani słowem?

— Zrobili to na własne ryzyko, sir.

— Mój panie — powiedział Kynes — ci ludzie wiedzą, jak niewiele można zrobić dla ofiar pustyni w krainie czerwia.

— Wyślemy po nich statek z bazy — uciął książę.

— Jak sobie życzysz, mój panie — rzekł Kynes. — Ale kiedy statek tutaj dotrze, prawdopodobnie nie będzie kogo ratować.

— Wyślemy statek tak czy owak — odparł książę.

— Byli prawie dokładnie tam, gdzie wyszedł czerw — powiedział Paul — Jak oni uciekli?

— Ściany krateru osuwają się i stąd złudna ocena odległości — powiedział Kynes.

— Marnujemy tu paliwo, Sire — ośmielił się zauważyć Halleck.

— Nie da się ukryć, Gurney.

Książę zawrócił statek w kierunku Muru Zaporowego. Jego eskorta zeszła z krążenia pozycyjnego zajmując stanowiska nad nimi i na skrzydłach. Paul rozmyślał nad tym, co powiedzieli diunida i Kynes. Wyczuwał półprawdy, zwyczajne kłamstwa. Tamci ludzie na piasku ślizgali się po nim z taką pewnością, posuwali się w wyraźnie przemyślany sposób, aby uniknąć ponownego wywabienia czerwia z jego czeluści. Fremeni — pomyślał Paul. — Któż inny czułby się tak pewnie na powierzchni piasku? Kogóż innego można było spokojnie pozostawić samemu sobie — bo nic mu nie groziło? Oni potrafią tu żyć! Umieją przechytrzyć czerwia!

— Co robili Fremeni na tym gąsieniku? — zapytał Paul.

Kynes odwinął się do tyłu. Wysoki diunida wbił w Paula szeroko otwarte oczy — błękit wśród błękitu w błękicie.

— Co to za chłopak? — zapytał.

Halleck przesunął się stając między nim a Paulem.

— To Paul Atryda, książęcy dziedzic.

— Czemu plecie, że na naszej landarze byli Fremeni?

— Tak wyglądali — powiedział Paul.

Kynes prychnął.

— Fremenów nic poznaje się po wyglądzie!

Zmierzył diunidę wzrokiem.

— Ty, co to byli za ludzie?

— Kumple jednego z naszych — powiedział diunida. — Zwyczajni kumple z wioski, chcieli zobaczyć piaski przyprawne.

Kynes odwrócił głowę.

— Fremeni! — Ale wspomniał słowa wyroczni: „Lisan al-Gaib przejrzy wszelkie wybiegi”.

— Oni są już martwi pewnikiem, młody paniczu — powiedział diunida. — Nie powinniśmy się źle o nich wyrażać.

Jednak Paul słyszał fałsz w ich głosach, czuł groźbę, która sprawiła, że Halleck instynktownie przyjął obronną pozycję. Powiedział oschle:

— Wybrali sobie straszliwe miejsce na śmierć.

Nie odwracając się Kynes rzekł:

— Kiedy Bóg wyznacza jakiejś istocie miejsce śmierci, sprawia On, by potrzeby ją w owe miejsce przywiodły.

Leto obrócił twarde spojrzenie na Kynesa. A Kynes odwzajemniając to spojrzenie poczuł się zakłopotany tym, czego tutaj był świadkiem. Tego księcia bardziej obchodzili ludzie niż przyprawa. Zaryzykował życiem własnym i życiem własnego syna dla ratowania ludzi. Machnął ręką na stratę gąsienika. Zagrożenie życia ludzi wprawiło go we wściekłość. Takiemu przywódcy jest się wiernym na śmierć. Trudno go pobić.

Wbrew własnej woli i wszystkim poprzednim osądom Kynes przyznał się przed sobą: Podoba mi się ten książę.

Wielkość to chwilowe przeżycie. Nigdy nie bywa racjonalna. Poniekąd zależy od mitotwórczej wyobraźni rodzaju ludzkiego. Człowiek przeżywający wielkość musi czuć mit, w którym istnieje. Musi odbijać to, co nań pada. I musi umieć śmiać się z siebie. Tylko tak wyzwoli się od wiary we własne aspiracje. Śmiech jest wszystkim, co pozwala mu poruszać się wewnątrz siebie. Bez śmiechu nawet chwilowa wielkość zniszczy człowieka.

z „Myśli zebranych Muad'Diba" opracowanych przez księżniczkę Irulan

W sali jadalnej wielkiego pałacu Arrakin zapalono dryfowe lampy na wypadek wczesnych ciemności. Rzucały żółte łuny ku górze na czarny łeb byka i jego zakrwawione rogi, i na mrocznie połyskujący portret olejny Starego Księcia. Pod owymi talizmanami jaśniało białe płótno pośród refleksów wypolerowanych atrydzkich sreber rozstawionych w pedantycznym szyku na ogromnym stole — małe archipelagi nakryć czekających przy kryształowych szklanicach, wszystko rozmieszczone w kwadraty przed ciężkimi, drewnianymi

krzesłami. Klasyczny centralny kandelabr pozostał nie zapalony, a jego splatające się w górze z cieniami łańcuchy chowały mechanizm wykrywacza trucizny.

Zatrzymując się w drzwiach by sprawdzić stan przygotowań, książę myślał o wykrywaczu trucizny i znaczeniu tego urządzenia w jego sferach. Wszystko podciągnięte pod szablon. Można nas przykroić według języka — precyzyjnych i subtelnych określeń na perfidne sposoby zadawania śmierci. Czy dziś wieczorem ktoś spróbuje chaumurky — trucizny w napoju? Czy raczej będzie to chaumas — trucizna w jedzeniu? — Potrząsnął głową.

Przy każdym talerzu na długim stole znajdowała się karafka z wodą. Wody na stole wystarczyłoby, jak oszacował książę, do utrzymania biednej arrakińskiej rodziny przez ponad rok. Po obu stronach drzwi, w których się zatrzymał, stały szerokie umywalniane misy z bogato zdobionej, żółtej i zielonej glazury. Do każdej misy był osobny wieszak z ręcznikami. Jest tu taki zwyczaj — wyjaśniła ochmistrzyni — że wchodzący goście ceremonialnie zanurzają dłonie w misie, wychlapują parę filiżanek wody na podłogę, wycierają dłonie w ręcznik, a ręczniki rzucają w rosnącą pod drzwiami kałużę. Po przyjęciu u bramy zbierają się żebracy, którym dawano wyciśniętą z ręczników wodę.

Jakże typowe dla lenna Harkonnenów — pomyślał książę. — Wszelkie możliwe do wymyślenia upodlenia ducha. — Odetchnął głęboko czując jak zalewa go wściekłość.

— Od dzisiaj koniec z tym zwyczajem! — mruknął.

Po drugiej stronie dostrzegł kobietę ze służby — jedną z owych poleconych przez ochmistrzynię łykowatych bab — pałętającą się przy drzwiach od kuchni. Przywołał ją gestem ręki. Spiesząc do niego wokół stołu wysunęła się z cieni i zobaczył twarz jak skórzaną podeszew, oczy błękitne w błękicie.

— Mój pan sobie życzy?

Głowę pochyliła, spuściła oczy.

Machnął ręką.

— Usunąć te misy i ręczniki.

— Ależ… Szlachetnie Urodzony… — Podniosła spojrzenie, usta były rozdziawione.

— Wiem o zwyczaju! — warknął. — Zabierz te misy do wejścia. Kiedy będziemy jedli i dopóki nie skończymy, każdy żebrak, który się zgłosi, ma dostać pełen kubek wody. Jasne?

Grymas jej wysuszonej twarzy wyrażał wzburzenie… konsternację, złość… W przebłysku intuicji Leto zdał sobie sprawę, że musiała nosić się z zamiarem sprzedaży wyżymków wody z podeptanych ręczników, żeby wycisnąć parę groszy z przybyłych pod drzwi nędzarzy. Możliwe, że to również był zwyczaj. Nachmurzył się i

burknął:

— Stawiam gwardzistę, by przypilnował, żeby moje rozkazy zostały wykonane co do joty.

Zakręcił się na pięcie i wielkimi krokami zawrócił w korytarz do Wielkiej Sali. Wspomnienia nękały jego pamięć jak mamrotanie bezzębnych staruch. Przypomniały mu się otwarte wody i fale — dni trawy miast piasku — oszołamiające wiosny, które przemknęły obok niego jak niesione huraganem liście. Wszystko przeminęło. Starzeję się — pomyślał. — Poczułem zimną dłoń swojej śmiertelności. I to w czym? W chciwości starej kobiety.

W Wielkiej Sali lady Jessika stanowiła ośrodek mieszanego towarzystwa zebranego przy kominku. Żywe płomienie trzaskały rzucając migotliwe, pomarańczowe błyski na klejnoty i koronki, na bogate tkaniny. W grupie rozpoznał producenta filtrfraków aż z Kartagin, importera sprzętu elektronicznego i spedytora wody, który miał letnią rezydencję w pobliżu swej wytwórni na czapie polarnej, przedstawiciela Banku Gildii (szczupły typ, trzymający się nieco na uboczu), hurtownika części zamiennych dla urządzeń do eksploatacji przyprawy, chudą i zimną kobietę, której usługi przewodniczki dla gości spoza planety służyły rzekomo za przykrywkę różnorodnej działalności przemytniczej, szpiegowskiej i szantażu. Większość obecnych na sali kobiet sprawiała wrażenie odlanych według określonego modelu — strojne, w każdym calu szykowne, z dziwną domieszką nieuchwytnej zmysłowości. Jessika nawet gdyby nie była gospodynią, przyćmiłaby to całe towarzystwo — pomyślał. Nie nosiła żadnej biżuterii i zdecydowała się na ciepłe kolory — długą suknię w odcieniu niemal ognia i ciemnobrązową wstążkę w miedzianych włosach. Zrozumiał, że było to delikatne wyzwanie pod jego adresem, z powodu jego oziębłego ostatnio zachowania. Wiedziała doskonale, że w tych kolorach podoba mu się najbardziej — że jawi mu się szelestem ciepłych barw. W pobliżu, bardziej oskrzydlając grupę, niż wchodząc w jej skład, stał Duncan Idaho w lśniącym paradnym mundurze, bez wyrazu na nieodgadnionej twarzy, ze starannie zaczesanymi czarnymi lokami. Został odwołany od Fremenów i otrzymał rozkazy od Hawata: „Pod pretekstem ochrony lady Jessiki będziesz ją miał stale na oku".

Książę rozejrzał się po sali. W rogu otaczał Paula nadskakujący mu tłumek złotej młodzieży Arrakin i trzymający się nieco na uboczu trzej oficerowie gwardii pałacowej. Uwagę księcia szczególnie przyciągnęły młode panny. Jaką wspaniałą partię stanowiłby książęcy dziedzic. Lecz Paul traktował je wszystkie równo, z arystokratyczną rezerwą. Dobrze będzie nosił tytuł — pomyślał książę i uświadomił sobie z uczuciem nagłego chłodu, że jest to jego kolejna myśl o śmierci.

Paul zobaczył ojca w drzwiach, umknął oczami przed jego spojrzeniem. Obejrzał sobie zbitych w gromadki gości, upierścienione palce ściskające drinki (i dyskretne próby dokonywane za pomocą miniaturowych zdalnie sondujących wykrywaczy). Patrząc na twarze tych paplających ludzi Paul poczuł do nich gwałtowną odrazę. Tanie maski nałożone na gnijące myśli — bełkot głosów dla zagłuszenia ciszy krzyczącej w każdej piersi. Jestem w zgorzkniałym nastroju — pomyślał i zastanowił się, co by na to powiedział Gurney. Znał przyczyny swego nastroju. Nie chciał występować w obecnej roli, lecz ojciec był stanowczy.

— Masz pozycję, masz stanowisko. Dorosłeś już do tego. Jesteś prawie mężczyzną.

Paul zauważył, że ojciec opuszcza drzwi, rozgląda się po sali, a następnie podchodzi do towarzystwa otaczającego Jessikę.

Leto nadszedł, kiedy spedytor wody zapytywał:

— Czy to prawda, że książę ma zamiar wprowadzić nadzór pogody?

Książę odezwał się zza jego pleców:

— Nie wybiegaliśmy myślą aż tak daleko, sir.

Mężczyzna odwrócił się odsłaniając dobroduszne, krągłe oblicze, ciemne od opalenizny.

— Aach, książę — powiedział. — Brakowało nam was.

Leto spojrzał na Jessikę.

— Musiałem załatwić pewną sprawę.

Zwracając się ponownie do spedytora wyjaśnił, co zarządził z umywalnianymi misami dodając:

— Co do mnie, koniec ze starym zwyczajem.

— Czy to książęcy rozkaz, panie? — spytał mężczyzna.

— Pozostawiam to waszemu własnemu… hm… sumieniu — odparł książę. Obejrzał się, zobaczył idącego w stronę towarzystwa Kynesa. Któraś z kobiet powiedziała:

— Moim zdaniem, to gest świadczący o hojności, rozdawanie wody tym…

Ktoś ją uciszył. Książę patrzył na Kynesa — zauważył, że planetolog założył stary, ciemnobrązowy mundur z epoletami imperialnego urzędnika państwowego i z drobną łezką ze złota na kołnierzu, dystynkcją szarży. Spedytor wody zapytał rozeźlony:

— Czy książę posuwa się do krytyki naszych zwyczajów?

— Ten zwyczaj został zmieniony — powiedział Leto. Skinął głową Kynesowi, dostrzegł chmury na czole Jessiki i pomyślał: Nie pasuje do niej chmurna mina, ale podsyci plotki o nieporozumieniach między nami.

— Za pozwoleniem księcia — powiedział spedytor wody — chciałbym zasięgnąć dodatkowych informacji o zwyczajach.

Leto posłyszał z nagła przymilny ton w głosie mężczyzny, zauważył wyczekującą ciszę w towarzystwie, głowy, które zaczęły odwracać się w ich stronę.

— Czy to już nie czas na obiad? — spytała Jessika.

— Lecz nasz gość ma jakieś pytania — powiedział Leto. I utkwił wzrok w spedytorze wody przyglądając się okrągłemu obliczu mężczyzny, jego wielkim oczom i grubym wargom. Przypomniało mu się memorandum Hawata: „…i człowiekiem, na którego trzeba uważać, jest ten ich spedytor wody — Lingar Bewt, zapamiętaj to imię. Harkonnenowie wykorzystywali go, ale nigdy nie mieli nad nim całkowitej władzy".

— Wodne zwyczaje są tak interesujące… — powiedział Bewt i na jego ustach pojawił się uśmiech. — Mnie ciekawi, co zamierzacie zrobić z dobudowaną do tego pałacu oranżerią. Czy nadal będziecie kłuć nią ludzi w oczy, panie?

Leto wstrzymywał gniew wpatrując się w mężczyznę. Bił się z myślami. Rzucenie księciu rękawicy w jego własnej siedzibie wymagało odwagi, szczególnie teraz, gdy mieli podpis Bewta na wasalnej umowie. Wymagało również świadomości własnej siły. Woda była tu istotnie źródłem siły. Gdyby na przykład instalacje wodne były zaminowane, gotowe do wysadzenia na dany znak… Ten człowiek wydawał się zdolny do takiej rzeczy. Zniszczenie instalacji wodnych zniszczyłoby również Arrakis. To mógł być ów miecz Damoklesa, który Bewt trzymał i nad głowami Harkonnenów.

— Pan mój, książę, i ja mamy inne zamierzenia co do tej oranżerii — powiedziała Jessika. Uśmiechnęła się do Leto. — Zamierzamy ją zachować, oczywiście, ale wyłącznie w powiernictwie i dla ludności Arrakis. Marzy nam się, że nadejdzie dzień, kiedy uda się zmienić na tyle tutejszy klimat, że takie rośliny będą rosły w gruncie w dowolnym miejscu.

Mojaś ty błogosławiona — pomyślał Leto. — Ciekawe, jak to strawi nasz spedytor wody.

— Twoje zainteresowanie wodą i nadzorem pogody jest zrozumiałe — powiedział książę. — Ale radziłbym ci zróżnicować posiadane akcje. Pewnego dnia woda przestanie być tak cennym towarem na Arrakis.

I pomyślał: Hawat musi zdwoić wysiłki, by przeniknąć do organizacji tego Bewta. I natychmiast trzeba się zająć awaryjnymi urządzeniami wodnymi. Żaden miecz Damoklesa nie będzie wisiał nade mną.

Bewt kiwnął głową, nadal z uśmiechem na ustach.

— Chwalebne marzenie, mój panie.

Odstąpił na krok. Uwagę Leto przykuł wyraz twarzy Kynesa. Człowiek ten nie odrywał oczu od Jessiki. Wydawał się zauroczony —

jak zakochany mężczyzna… albo człowiek pogrążony w religijnym transie.

Rozum Kynesa ugiął się wreszcie pod słowami przepowiedni: „I będą dzielić z wami najgorętsze wasze marzenie". Zwrócił się wprost do Jessiki:

— Czy przynosisz skrócenie drogi?

— Ach, doktor Kynes — powiedział spedytor wody. — Przerwał pan włóczęgę ze swymi bandami Fremenów. Jakże łaskawie z pańskiej strony.

Kynes objął Bewta nieodgadnionym spojrzeniem, powiedział:

— Mawiają na pustyni, że posiadanie wielkiej ilości wody może porazić człowieka fatalną lekkomyślnością.

— Na pustyni mają wiele dziwacznych porzekadeł — stwierdził Bewt, ale jego głos zdradzał niepokój. Jessika podeszła do Leto, wsunęła mu rękę pod ramię, by zyskać na czasie i ochłonąć. Kynes powiedział: „…skrócenie drogi". W dawnej mowie wyrażenie tłumaczyło się na „Kwisatz Haderach". Dziwne pytanie planetologa przeszło jakby nie zauważone przez pozostałych i teraz Kynes nachylał się ku jednej z dam do towarzystwa, słuchając kokieteryjnego szeptania. Kwisatz Haderach — pomyślała Jessika. — Czyżby nasza Missionaria Protectiva zaszczepiła tutaj i tę legendę? Ta myśl podsyciła ukryte nadzieje, jakie wiązała z Paulem. On może być Kwisatz Haderach. On może być.

Przedstawiciel Banku Gildii wdał się w konwersację ze spedytorem wody i głos Bewta wzniósł się ponad szmer podjętych na nowo rozmów:

— Wielu próbowało zmienić Arrakis.

Książę zobaczył, że słowa te jakby przeszyły Kynesa — wyprostowując go gwałtownie i odrzucając od flirtującej kobiety. W niespodziewanej ciszy pałacowy gwardzista w liberii lokaja odchrząknął za plecami Leto i powiedział:

— Podano do stołu, mój panie.

Książę skierował pytające spojrzenie na Jessikę.

— Tutejszy zwyczaj nakazuje gospodarzowi i gospodyni podążać do stołu za gośćmi — powiedziała z uśmiechem. — Zmienimy również i ten zwyczaj, mój panie?

— To wygląda na przystojny obyczaj. Zachowamy go na razie — rzekł chłodno. Trzeba podtrzymywać złudzenie, że podejrzewam ją o zdradę — pomyślał. Zerknął na defilujących przed nim gości. Ciekawe, który z was wierzy w to kłamstwo?

Jessika wyczuwając jego rezerwę zastanowiła się nad nią jak już nieraz w minionym tygodniu. Zachowuje się jak człowiek, który walczy sam z sobą — myślała. Czy to dlatego, że postąpiłam pochopnie wydając przyjęcie? Ale przecież on wie, jak ważne jest,

żebyśmy stworzyli wspólną płaszczyznę towarzyską dla naszych i miejscowych notabli i innych ludzi. Jesteśmy dla nich wszystkich namiastką ojca i matki. A nic nie umacnia tej świadomości silniej niż takiego rodzaju więź towarzyska.

Obserwując przechodzący dwuszereg gości Leto wspomniał, co Thufir Hawat powiedział na wiadomość o tej imprezie: „Sire! Zabraniam!". Ponury uśmiech przemknął przez usta księcia. Cóż to była za scena. I kiedy książę pozostał nieugięty w sprawie swojego udziału w obiedzie, Hawat potrząsnął głową. „Mam co do tego złe przeczucia, mój panie" — powiedział. „Na Arrakis sprawy toczą się zbyt szybko. To niepodobne do Harkonnenów. Zupełnie do nich niepodobne".

Paul minął ojca prowadząc wyższą od siebie o pół głowy pannę. Rzucił mu kwaśne spojrzenie, przytaknął kiwnięciem głowy czemuś, co powiedziała panna.

— Jego ojciec wyrabia filtrfraki — odezwała się Jessika. — Mówią, że tylko dureń wybrałby się w głąb pustyni mając na grzbiecie któryś z wyrobów tego człowieka.

— Kim jest ten mężczyzna przed Paulem z blizną na twarzy? — spytał książę. — Nie przypominam go sobie.

— Najświeższy dodatek do listy — wyszeptała. — Gurney zorganizował zaproszenie. Przemytnik.

— Gurney zorganizował?

— Na moje żądanie. Hawat zatwierdził, chociaż wydaje mi się, że patrzył na to nieco krzywym okiem. Przemytnik nazywa się Tuek, Esmar Tuek. To gruba ryba w tym fachu. Znają go tu wszyscy. Bywa na przyjęciach w wielu domach.

— Co on tu robi?

— Każdy z obecnych zada sobie to pytanie — powiedziała. — Tuek zasieje wątpliwości i podejrzenia samą swoją obecnością. Posłuży również za ostrzeżenie, że jesteś gotów w walce z korupcją oprzeć się nawet na przemytnikach. Ten argument trafił zdaje się do Hawata.

— Zdaje się, że nie trafia do mnie.

Skinął głową przechodzącej parze, zobaczył, że przed nimi zostało zaledwie kilkoro gości.

— Dlaczego nie zaprosiłaś jakichś Fremenów?

— Jest Kynes — powiedziała.

— Tak, jest Kynes. Przygotowałaś dla mnie jeszcze jakieś drobne niespodzianki?

Powiódł ją na koniec procesji gości.

— Cała reszta to już nic nadzwyczajnego — powiedziała. Mój drogi — myślała — czyż nie widzisz, że ten przemytnik ma pod sobą szybkie statki, że można go przekupić? Musimy mieć wyjście, drogę

ucieczki z Arrakis, gdy wszystko inne nas tutaj zawiedzie.

Kiedy zjawili się w sali jadalnej, uwolniła rękę i pozwoliła Leto zaprowadzić się na miejsce. Książę poszedł w swój koniec stołu. Lokaj podsunął mu krzesło. Wszyscy pozasiadali wśród szelestu tkanin i szurania krzeseł, tylko książę pozostał na nogach. Dał znak ręką i pałacowi gwardziści w liberiach służby cofnąwszy się stanęli na baczność. W sali zapadła niezręczna cisza. Jessika patrząc przez całą długość stołu spostrzegła lekkie drżenie kącików ust Leto i ciemny rumieniec gniewu na jego policzkach. Co go tak rozzłościło? — zadała sobie pytanie. — Przecież chyba nie zaproszenie przeze mnie tego przemytnika.

— Niektórzy kwestionują zmianę zwyczaju umywalnianych mis — powiedział Leto. — Chciałem w ten sposób pokazać, że wiele rzeczy się zmieni.

Przy stole zaległo kłopotliwe milczenie. Im się wydaje, że jest pijany — przemknęło Jessice przez myśl. Leto uniósł puchar wody, dźwignął go wysoko nad głowę, gdzie dryfowe lampy krzesały z niego refleksy światła.

— Jako Kawaler Imperium — powiedział — wznoszę zatem toast na waszą cześć.

Wszyscy złapali za swoje puchary, wszystkie oczy skupiły się na księciu. Wśród nagłego bezruchu zbłąkany powiew przywiał ze służbowego przejścia do kuchni lampę dryfową. Cienie zatańczyły na krogulczych rysach księcia.

— Jestem tu i tu zostanę! — rzucił krótko książę. Puchary zastygły w pół drogi do ust, wstrzymane, jako że książę nie opuścił ręki.

— Toast mój jest wyrazem jednej z owych jakże bliskich naszym sercom maksym: „Pieniądz dźwignią postępu! Fortuna wszędzie się toczy!”

Umoczył usta w wodzie. Reszta poszła w jego siady. Wymieniano pytające spojrzenia.

— Gurney! — zawołał książę.

Z alkowy w końcu sali za Leto dobiegł głos Hallecka:

— Jestem, mój panie.

— Zagraj akompaniament, Gurney.

Z alkowy poszybowały ku sali minorowe dźwięki balisety. Na przyzwalające skinienie księcia służba zaczęła stawiać na stole półmiski z potrawami: zającem pustynnym pieczonym wsosie cepeda, aplomage sirian, czukka w polewie, kawa z melanżem (intensywna, cynamonowa woń przyprawy rozeszła się w powietrzu nad stołem), prawdziwe *pot-a-oie* do musującego wina z Kaladanu. Leto w dalszym ciągu nie siadał. Kiedy goście czekali z uwagą podzieloną między potrawy a stojącego księcia, Leto powiedział:

— W zamierzchłej epoce do obowiązków gospodarza należało zabawianie gości własnymi popisami. — Knykcie mu zbielały, tak zapamiętale ściskał puchar z wodą. — Ja nie umiem śpiewać, za to dedykuję wam słowa pieśni Gurneya. Potraktujcie to jako jeszcze jeden toast, toast za tych wszystkich, którzy swą śmiercią opłacili nasze przybycie na Arrakis.

Ze wszystkich stron stołu rozległy się odgłosy nerwowego poruszenia. Jessika spuściła wzrok, zerkając na najbliższych sąsiadów. Przy niej siedział krągłolicy spedytor wody ze swoją kobietą, blady i surowy przedstawiciel Banku Gildii (wyglądał jak strach na wróble ze wzrokiem wbitym w Leto), Tuek o kanciastej, poznaczonej bliznami twarzy, ze spuszczonymi błękitnymi w błękicie oczami.

— „Stańmy, bracia, wśród poległej braci — zaintonował książę. — Jedno życie i śmierć jedną mamy. Duchy zawsze pójdą razem z nami. Stańmy, bracia, wśród poległej braci, czas obłudy odrzućmy za siebie. Ich nie straszą już pokusy losu. Stańmy, bracia, wśród poległej braci. A gdy czas nasz się w śmiechu pogrzebie, nie wystraszą nas pokusy losu".

Głos księcia przebrzmiał z tą ostatnią linijką; Leto pociągnął głęboki łyk ze szklanicy i odstawił ją z trzaskiem na stół. Woda prysnęła przez krawędź na obrus, inni wypili w krępującej ciszy. Ponownie książę podniósł szklanicę, lecz tym razem opróżnił ją do reszty na podłogę, wiedząc, że pozostali muszą zrobić to samo.

Pierwsza poszła w jego ślady Jessika. Na moment wszyscy skamienieli, nim zaczęto opróżniać puchary. Jessika zauważyła, że siedzący przy ojcu Paul obserwuje reakcje współbiesiadników. Ją samą również zafascynowało to, co ujawniły ich reakcje — szczególnie kobiet. Była to czysta, pitna woda, żadne pomyje z namoczonego ręcznika. Niechęć, by ją tak po prostu wylać, przejawiała się w drżeniu rąk, grze na zwłokę, nerwowych chichotach… także w gwałtownym spełnieniu powinności. Jakaś kobieta upuściła swój puchar i patrząc w drugą stronę czekała, aż go podniesie jej partner.

Szczególną uwagę Jessiki zwrócił jednak Kynes. Planetolog zawahał się, a następnie przelał wodę do pojemnika pod marynarką. Uśmiechnął się do Jessiki widząc, że go obserwuje, i wzniósł pusty puchar przepijając do niej w niemym toaście. Wydawał się zupełnie nie skrępowany tym, co zrobił. Muzyka Hallecka nadal szybowała przez salę, lecz zeszła z minorowej tonacji, rytmiczna teraz iżywa, jakby grający starał się poprawić nastrój.

— Rozpocznijmy bankiet — powiedział książę i osunął się na swoje krzesło.

Jest rozdrażniony i brak mu pewności — pomyślała Jessika. — Strata owego gąsienikowego kombajnu zraniła go dotkliwiej, niż powinna. W tym musi być coś więcej niż ta strata. Zachowuje się jak

desperat. Wzięła widelec licząc, że w tym ruchu rozładuje się jej własna gorycz. Czemuż by nie? Jest zdesperowany.

Na początku powoli, później ze wzrastającym ożywieniem, bankiet rozkręcał się. Producent filtrfraków pogratulował Jessice kuchmistrza i wina.

— Jedno i drugie przywieźliśmy z Kaladanu — powiedziała.

— Wyborne! — powiedział kosztując czukki. — Po prostu wyborne. I zupełnie nie czuje się melanżu. Ta przyprawa we wszystkim staje już człowiekowi w gardle.

Przedstawiciel Banku Gildii spojrzał przez stół na Kynesa.

— Rozumiem, doktorze Kynes, że kolejny kombajn gąsienikowy padł łupem czerwia.

— Wieści rozchodzą się szybko — powiedział książę.

— A więc to prawda? — zapytał bankier przenosząc spojrzenie na Leto.

— Oczywiście, że prawda! — warknął książę. — Ta przeklęta zgarniarka gdzieś się zapodziała. Nie rozumiem, jak to możliwe, żeby zginęło coś tak wielkiego!

— Kiedy nadciągnął czerw, nie było czym sprzątnąć gąsienika — powiedział Kynes.

— Nie rozumiem, jak to możliwe! — powtórzył książę.

— Nikt nie zauważył odejścia zgarniarki? — spytał bankier.

— Szperacze zwykle nie odrywają oczu od piasku — powiedział Kynes. — Interesują ich przede wszystkim znaki czerwia. Załoga zgarniarki liczy z reguły czterech ludzi — dwóch pilotów i dwóch odkomenderowanych czeladników. Jeśli jeden, a może i dwóch członków tej załogi zostało opłaconych przez wrogów księcia…

— Aaach, rozumiem — rzekł bankier. — A wy, jako Sędzia Zmiany, czy wnosicie protest?

— Będę musiał starannie przemyśleć swoje stanowisko — odparł Kynes — ale na pewno nie będę omawiał tej sprawy przy stole.

I pomyślał: A to blady szkielet człowieczy! Wie, że zostałem poinstruowany, by ignorować tego rodzaju pogwałcenie prawa.

Bankier uśmiechnął się, powrócił do jedzenia. Jessika siedziała rozpamiętując jeden z wykładów ze swoich szkolnych dni w Bene Gesserit. Tematem był wywiad i kontrwywiad. Prowadziła wykład pulchna Matka Wielebna o figlarnej twarzy, jej wesolutki głos dziwnie kontrastował z tematem.

„Jedno warto pamiętać o każdej szkole wywiadu czy też kontrwywiadu — że istnieje podobny wzorzec podstawowych zachowań u wszystkich jej absolwentów. Każda zamknięta dyscyplina wyciska swoje piętno, swój model na studentach. Ten model poddaje się analizie i prognozowaniu. Tak więc schematy motywacyjne będą zbliżone u wszystkich agentów wywiadu. To znaczy: będą

występowały pewne typy motywacji, które są podobne pomimo odmiennych szkół czy przeciwstawnych celów.

Na wstępie zapoznacie się z metodą wyodrębniania tego elementu do celów analizy — najpierw poprzez schematy indagacji, które zdradzają wewnętrzne nastawienie pytającego, następnie poprzez dokładną obserwację jego nastawienia myślowo — językowego. Zobaczycie, jak proste okaże się dla was określenie korzeni językowych badanych osobników, oczywiście na podstawie zarówno modulacji głosu, jak i sposobu wysławiania się".

Siedząc teraz przy stole ze swoim synem, księciem i z gośćmi i słuchając przedstawiciela Banku Gildii, Jessika poczuła dreszcz zrozumienia: ten człowiek był szpiegiem Harkonnenów. Miał sposób wysławiania się zrodzony na Giedi Prime — chytrze maskowany, ale dla jej wyćwiczonej świadomości przejrzysty, jakby sam się ujawnił. Czy to znaczy, że nawet Gildia stoi po przeciwnej Atrydom stronie? — zastanawiała się. Ta myśl była szokująca, więc Jessika ukryła swoje uczucie polecając podać następną potrawę. Przez cały czas nasłuchiwała, czy ten człowiek nie zdradzi się ze swoim celem. Zmieni temat rozmowy na coś pozornie niewinnego, ale o złowieszczych podtekstach — pomyślała. — To jego schemat działania.

Bankier przełknął, pociągnął łyk wina, roześmiał się z czegoś, co powiedziała kobieta po jego prawej stronie. Wydawało się, że przez moment słucha mężczyzny po drugiej stronie stołu, który wyjaśniał księciu, iż rodzime rośliny Arrakis nie mają kolców.

— Lubię oglądać ptaki w locie nad Arrakis — powiedział bankier kierując swoje słowa do Jessiki. — Wszystkie nasze ptaki są oczywiście padlinożerne, a wiele z nich zostawszy krwiopijcami egzystuje bez wody.

Córka producenta filtrfraków siedząca pomiędzy Paulem a swoim ojcem w drugim końcu stołu wykrzywiła swą ładniutką buzię w grymasie dezaprobaty.

— Och, Suu-suu, mówisz o takich okropnych rzeczach…

Bankier uśmiechnął się.

— Nazywają mnie Suu-suu, ponieważ jestem doradcą finansowym Związku Kramarzy Wodnych. — A kiedy Jessika dalej wpatrywała się w niego bez komentarza, dodał: — Od zawołania sprzedawców wody: Suu-suu-suuk!

Naśladował okrzyk z taką wiernością, że spowodował wybuchy wesołości w wielu miejscach wokół stołu. Jessika pochwyciła chełpliwy ton w jego głosie, lecz przede wszystkim odnotowała, iż towarzysząca mu młoda kobieta na dany sygnał wypowiedziała ustaloną kwestię. Dostarczyła ona bankierowi pretekstu do wygłoszenia tego, co powiedział. Spojrzała na Lingara Bewta. Magnat wodny miał ponurą minę: skoncentrował się na jedzeniu. Jessika

uświadomiła sobie sens słów bankiera: „Ja również mam w garści owo kluczowe źródło potęgi na Arrakis — wodę".

Paul zauważył fałsz w głosie swego sąsiada, zobaczył, że matka siedzi rozmowę z napięciem Bene Gesserit. Pod wpływem impulsu zdecydował się dolać oliwy do ognia, ożywić wymianę zdań. Sam zwrócił się do bankiera.

— Chcecie powiedzieć, sir, że te ptaki są kanibalami?

— Dziwne pytanie, młody paniczu — odparł bankier. — Ja powiedziałem jedynie, że one piją krew. To nie musi być krew ich własnego gatunku, nieprawdaż?

— Pytanie nie było dziwne — rzekł Paul i Jessika posłyszała w jego głosie wyraźną nutę zimnej riposty ze swoich nauk.

— Większość wykształconych ludzi wie, że największe zagrożenie bytu każdego młodego organizmu wychodzi od jego własnego gatunku.

Niespiesznie nadział na widelec kęs z talerza swego rozmówcy i włożył do ust.

— Jedzą z jednej miski. Mają te same podstawowe potrzeby.

Bankier zesztywniał, popatrzył spode łba na księcia.

— Nie daj się nabrać na dziecinny widok mojego syna — powiedział książę. I uśmiechnął się. Jessika rozejrzała się po zebranych i stwierdziła, że Bewt rozpromienił się, że obaj, Kynes i przemytnik Tuek, szczerzą zęby.

— Jest to prawo ekologii — powiedział Kynes — które młody panicz wydaje się całkiem nieźle rozumieć. Walka pomiędzy żywymi organizmami toczy się o wolną energię systemu. Krew jest wydajnym źródłem energii.

Bankier odłożył widelec i powiedział wyraźnie zły:

— Podobno fremeńska hołota pije krew swoich umrzyków.

Kynes pokręcił głową odpowiadając tonem wykładowcy:

— Nie krew, sir. Ale cała woda w człowieku ostatecznie należy do jego ludzi, do jego plemienia. To konieczne, kiedy się żyje na pograniczu Wielkiej Równi. Wszelka woda jest tam drogocenna, zaś ciało ludzkie składa się z wody w około siedemdziesięciu procentach swej wagi. Zmarły z całą pewnością już jej nie potrzebuje.

Bankier położył obie ręce obok talerza na stole i Jessika odniosła wrażenie, że odepchnie się nimi zaraz i podniesie z wściekłością. Kynes spojrzał na Jessikę.

— Wybacz, o pani, że roztrząsałem tak nieprzyjemny temat przy stole, ale powiedziano ci nieprawdę i wymagała ona sprostowania.

— Przestajesz tak długo z Fremenami, że aż zatraciłeś wszelki takt — warknął bankier.

Kynes ze spokojem przypatrywał się pobladłej twarzy.

— Wyzywasz mnie, sir?

Bankier skamieniał. Przełknął ślinę i z wysiłkiem powiedział:

— Skądże znowu. Nie dopuściłbym się takiej obrazy naszego gospodarza i gospodyni.

Jessika pochwyciła strach w głosie mężczyzny, widziała strach na jego twarzy, w przyspieszonym oddechu, w pulsowaniu żyły na czole. Ten człowiek bał się panicznie Kynesa.

— Nasi gospodarze sami są w stanie zdecydować, kiedy zostali obrażeni, a kiedy nie. To dzielni ludzie, którzy rozumieją, co znaczy bronić honoru. My wszyscy możemy zaświadczyć o ich odwadze, choćby na podstawie faktu, że są tutaj… teraz… na Arrakis.

Jessika widziała, że Leto bawi się tym doskonale. Czego nie można było powiedzieć o większości biesiadników. Ludzie siedzieli gotowi zerwać się w każdej chwili od stołu, z rękami schowanymi pod obrusem. Dwa rzucające się w oczy wyjątki stanowili Bewt, który otwarcie cieszył się zmieszaniem bankiera, oraz przemytnik Tuek, który jak gdyby wyczekiwał od Kynesa znaku. Jessika zobaczyła, że Paul spogląda na Kynesa z podziwem.

— No więc? — powiedział Kynes.

— Nie chciałem nikogo obrazić — wymamrotał bankier. — Jeśli obraziłem, proszę przyjąć moje przeprosiny.

— Z ochotą złożone, z ochotą przyjmuję — powiedział Kynes. Uśmiechnął się do Jessiki i z powrotem zabrał się do jedzenia, jakby nic nie zaszło. Jessika zauważyła, że i przemytnik się odprężył. Odnotowała w pamięci: człowiek ten robił wrażenie gotowego pójść w sukurs Kynesowi. Istnieje jakieś porozumienie między Kynesem a Tuekiem.

Leto bawiąc się widelcem patrzył z namysłem na Kynesa. Zachowanie ekologa dowodziło zmiany jego stosunku do rodu Atrydów. W trakcie ich wycieczki przez pustynię wydawał się ozięblejszy.

Jessika gestem zarządziła podanie następnych dań i napojów. Pokazali się lokaje z *langues de lapins de garenne* — z czerwonym winem i sosem grzybowo — drożdżowym. Rozmowy ożywały z wolna, lecz Jessika słyszała w nich niepokój i chłód, zobaczyła, że bankier je w posępnym milczeniu. Kynes zabiłby go bez mrugnięcia okiem — pomyślała. I zdała sobie sprawę, że postawa Kynesa wyrażała jego bezceremonialne podejście do zabijania. Był on urodzonym zabójcą i odgadywała, że to jest fremeńska cecha.

Jessika zwróciła się do producenta filtrfraków po swej lewej ręce.

— Nie mogę się nadziwić ważności wody na Arrakis.

— Jest bardzo ważna — zgodził się. — Co to za potrawa? Wyśmienita.

— Języki dzikich królików w specjalnym sosie — powiedziała. — Bardzo stary przepis.

— Muszę mieć ten przepis — rzekł mężczyzna.

Skinęła głową.

— Dopilnuję, żebyście go dostali.

Kynes popatrzył na Jessikę.

— Przybywający na Arrakis często nie doceniają znaczenia, jakie ma tutaj woda — powiedział. — Tu stykamy się z zasadą minimum.

Pochwyciwszy badawczą nutę w jego głosie, powiedziała:

— Wąskim gardłem wzrostu jest ten artykuł pierwszej potrzeby, który występuje w najmniejszej ilości. I, naturalnie, ów najmniej korzystny czynnik dyktuje tempo wzrostu.

— Nieczęsto widuje się członków wielkiego rodu świadomych zagadnień planetologicznych — powiedział Kynes. — Czynnikiem najmniej sprzyjającym życiu na Arrakis jest woda. I proszę pamiętać, że sam „wzrost" jako taki może stanowić okoliczność niesprzyjającą, jeśli nie jest traktowany z największą ostrożnością.

Jessika czuła, że słowa Kynesa mają ukryte znaczenie, ale wiedziała, że ono się jej wymyka.

— Wzrost — powtórzyła. — Chce pan powiedzieć, że Arrakis mogłaby mieć normalny obieg wody niezbędny ludziom do życia w korzystniejszych warunkach?

— Niemożliwe! — rzucił magnat wodny.

Jessika zwróciła się do Bewta.

— Niemożliwe?

— Na Arrakis niemożliwe — powtórzył. — Nie słuchajcie tego marzyciela. Wszystkie wyniki doświadczeń laboratoryjnych są przeciwko niemu.

Kynes zmierzył Bewta spojrzeniem; Jessika zauważyła, że inne rozmowy wokół nich urwały się, zaś ludzie skupili uwagę na tej nowej wymianie zdań.

— Wyniki doświadczeń laboratoryjnych przysłaniają nam bardzo prosty fakt — powiedział Kynes. — A mianowicie, że mamy tutaj do czynienia ze zjawiskami zrodzonymi i istniejącymi pod gołym niebem, gdzie rośliny i zwierzęta wiodą normalną egzystencję.

— Normalną! — parsknął Bewt. — Na Arrakis nic nie jest normalne!

— Wręcz przeciwnie — powiedział Kynes. — Można by tu ożywić określone współzależności, a reszta to już proces automatyczny. Trzeba jedynie rozumieć ograniczenia planety i działające na nią siły.

— To się nigdy nie uda — rzekł Bewt.

Książę w nagłym olśnieniu ustalił moment, kiedy zmieniło się nastawienie Kynesa: było to wtedy, gdy Jessika powiedziała o zachowaniu w depozycie dla Arrakis roślin z oranżerii.

— Czego potrzeba, aby uruchomić ten proces automatyczny, doktorze Kynes? — zapytał Leto.

— Jeśli doprowadzimy do tego, by trzy procent powierzchni Arrakis zajął żywioł roślin zielonych, wytwarzających związki węgla jako składniki pokarmowe, uruchomimy system obiegu — odparł Kynes.

— Woda to jedyny problem? — zapytał książę. Wyczuwał podniecenie Kynesa, sam był podekscytowany.

— Woda przytłacza inne problemy — powiedział Kynes. — Ta planeta ma dużo tlenu bez elementów towarzyszących mu w naturze — rozległych połaci szaty roślin i obfitych źródeł nie związanego dwutlenku węgla, czyli takich na przykład zjawisk, jak wulkany. Tutaj nad rozległymi połaciami pustyni zachodzą nienaturalne reakcje chemiczne.

— Czy macie wstępny projekt?

— Mieliśmy dużo czasu na odtworzenie efektu Tansleya — doświadczenia w małych zespołach na skalę amatorską, z których moja nauka może teraz czerpać robocze dane — wyjaśnił Kynes.

— Tu nie ma tyle wody — oświadczył Bewt. — Tu po prostu nie ma tyle wody.

— Mistrz Bewt jest ekspertem od wody — powiedział Kynes. Uśmiechnął się i powrócił do przerwanego obiadu. Książę walnął z zamachem prawą ręką w stół.

— Nie! Żądam odpowiedzi! Czy jest dosyć wody, doktorze Kynes?

Kynes wbił oczy w talerz. Jessika śledziła grę emocji na jego twarzy. Doskonale się maskuje — pomyślała, ale mając go już zarejestrowanego widziała, że Kynes żałuje swoich słów.

— Czy jest dosyć wody? — zapytał książę.

— Może… jest — odparł Kynes.

Udaje niepewność — pomyślała Jessika. Swym przenikliwym zmysłem prawdy Paul chwycił zasadniczy motyw i ledwo się opanował wezwawszy na pomoc całe swoje wyszkolenie. Wody jest dosyć! Tylko Kynes nie chce, by się o tym dowiedziano.

— Nasz planetolog ma wiele interesujących snów — powiedział Bewt. — Śni wraz z Fremenami o przepowiedniach i mesjaszach.

W paru miejscach za stołem rozległy się chichoty. Jessika zliczyła je: przemytnik, córka producenta filtrfraków, Duncan Idaho, tajemnicza dama do towarzystwa i mętnych interesów. Osobliwie tu się rozkłada napięcie dziś wieczorem — pomyślała. Za dużo dzieje się rzeczy, o których nie mam pojęcia. Będę musiała znaleźć sobie nowe źródła informacji.

Książę przesunął spojrzenie z Kynesa na Bewta, z niego zaś na Jessikę. Czuł się dziwnie zawiedziony, jakby go ominęło coś istotnego.

— Może jest — zamruczał.

Kynes powiedział szybko:

— Może powinniśmy omówić to kiedy indziej, mój panie. Jest tak

wiele…

Planetolog umilkł, gdyż drzwiami służbowymi wpadł umundurowany żołnierz Atrydów i po przejściu straży pospieszył do księcia. Nachylił się szepcząc mu coś do ucha. Jessika rozpoznawszy na czapce insygnia korpusu Hawata skryła niepokój. Odwróciła się do towarzyszki producenta filtrtraków, drobnej, ciemnowłosej kobiety o lalkowatej buzi, z kurzymi łapkami w kącikach oczu.

— Prawie nie tknęłaś jedzenia, moja kochana — powiedziała. — Czy mogę coś dla ciebie zamówić?

— Nie bardzo chce mi się jeść. — Kobieta zerknęła na producenta filtrfraków, nim odpowiedziała.

Książę podniósł się gwałtownie i stając obok swego żołnierza przemówił ostrym tonem komendy:

— Zostańcie na miejscach; wszyscy. Musicie mi wybaczyć, ale pewna sprawa wymaga mojej obecności. — Odstąpił na bok. — Paul, bądź łaskaw i przejmij ode mnie obowiązki gospodarza.

Paul wstał; pragnął zapytać ojca, dlaczego odchodzi, ale wiedział, że musi okazać wielkopańskie maniery. Obszedł stół aż do krzesła ojca i usiadł. Książę odwrócił się do alkowy, w której przebywał Halleck.

— Gurney, zajmij, proszę, miejsce Paula przy stole. Nie może być nieparzystej liczby gości. Po bankiecie może będę chciał, byś odprowadził Paula do SD na lądowisku. Czekaj na moje wezwanie.

Halleck wychylił się z alkowy odziany w galowy mundur; ze swą niedźwiedziowatą brzydotą wydawał się nie na miejscu wśród błyszczących kobiecych strojów. Odstawił balisetę pod ścianę, powędrował do krzesła zajmowanego dotąd przez Paula i zajął miejsce.

— Nie ma powodu do niepokoju — powiedział książę — ale zmuszony jestem prosić, aby nikt nie wychodził, zanim nasza straż nie uzna tego za bezpieczne. Włos wam nie spadnie z głowy, dopóki tu jesteście, my zaś wyjaśnimy tę drobnostkę bardzo szybko.

Paul wyłowił w wypowiedzi ojca słowa kodu: „niepokój — straż — bezpieczne — szybko”. Problem dotyczył bezpieczeństwa, nie walki zbrojnej. Zauważył, że matka odebrała tę samą informację. Oboje odetchnęli. Książę skłonił nieznacznie głową, zrobił w tył zwrot i wymaszerował przez służbowe drzwi, z depczącym mu po piętach żołnierzem. Paul zabrał głos:

— Proszę nie przerywać sobie obiadu. Wydaje mi się, że doktor Kynes mówił coś o wodzie.

— Czy możemy pomówić o tym innym razem? — spytał Kynes.

— Ależ proszę bardzo — powiedział Paul.

I Jessika z dumą zauważyła dostojeństwo swego syna, dojrzałe poczucie pewności siebie. Bankier wzniósł swój puchar wody i skinął nim w stronę Bewta.

— Nikt z nas, obecnych tutaj, nie dorówna mistrzowi Lingarowi Bewtowi w gładkich słowach. Ktoś mógłby uznać, że ma on aspiracje przynależenia do wielkiego rodu. No, mistrzu Bewt, wznieście toast. Pewnie macie w zanadrzu mnóstwo mądrości dla chłopca, którego należy traktować jak mężczyznę.

Jessika zwinęła pod stołem prawą dłoń w pięść. Dostrzegła sygnał migowy przechodzący od Hallecka do Idaho; zobaczyła, jak gwardziści zajmują najdogodniejsze dla ochrony pozycje. Bewt utkwił w bankierze jadowite spojrzenie. Paul zerknął na Hallecka, objął wzrokiem swoje straże w gotowości obronnej, zatrzymał oczy na bankierze, aż ten opuścił puchar wody.

— Kiedyś na Kaladanie — powiedział — widziałem zwłoki utopionego rybaka. My…

— Utopionego? — To był głos córki producenta filtrfraków.

Paul zawahał się.

— Tak. Zanurzonego w wodzie, aż umarł. Utopionego.

— Cóż za interesujący rodzaj śmierci — wyszeptała.

Uśmiech Paula zrobił się zimny. Ponownie zwrócił się do bankiera.

— Interesującą rzeczą w tym człowieku były rany na ramionach, spowodowane kolcami butów innego rybaka. Topielec był jednym z wielu na łodzi — statku do podróżowania po wodzie, który zatonął… zatopił się pod wodą. Jakiś rybak, który pomagał wyłowić ciało, powiedział, że wiele razy widywał ślady podobne do ran owego człowieka. Świadczyły one o tym, że jeden z tonących rybaków próbował stanąć na ramionach tego biedaka usiłując dosięgnąć powierzchni… dosięgnąć powietrza.

— Dlaczego to jest interesujące? — zapytał bankier.

— Z powodu uwagi zrobionej wtedy przez mego ojca. Powiedział on, że można zrozumieć tonącego człowieka, który wdrapuje ci się na ramiona, by ratować własne życie… chyba że dzieje się to w salonie.

Paul zawiesił głos na tyle, by bankier dojrzał, co się święci.

— I chyba że, powinienem dodać, dzieje się to przy biesiadnym stole.

Nagła cisza zmroziła salę.

To było zbyt pochopne — pomyślała Jessika. Ten bankier może mieć wystarczającą pozycję, by wyzwać mego syna na pojedynek. Spostrzegła, że Idaho jest gotów do natychmiastowego działania. Gwardia pałacowa czekała w pogotowiu. Gurney Halleck nie spuszczał z oka mężczyzn po przeciwnej stronie stołu.

— Ho-ho-ho-o-o-o!

To przemytnik Tuek, z odrzuconą do tyłu głową, zanosił się śmiechem. Na twarzach biesiadników pojawiły się ukradkowe uśmieszki. Bewt szczerzył zęby od ucha do ucha.

Bankier odepchnął się z krzesłem do tyłu wbijając w Paula wściekłe spojrzenie.

Kynes powiedział:

— Każdy kasa Atrydę na własny rachunek.

— Czy obrażanie gości jest zwyczajem Atrydów? — zapytał bankier.

Zanim Paul zdążył odpowiedzieć, Jessika wychyliła się do przodu.

— Sir!

Musimy przejrzeć grę tej kreatury. Czy jest tutaj, by dopaść Paula? Czy ma wspólników? — myślała.

— Mój syn paraduje w pospolitej szacie, a wy utrzymujecie, jakoby została skrojona na waszą miarę? — spytała. — Cóż za fascynująca rewelacja.

Zsunęła dłoń w dół po nodze, do krysnoża w przypiętej nad kostką pochwie. Bankier przeniósł na nią swoje wściekle spojrzenie. Oczy gości umknęły od Paula i Jessika zobaczyła, jak syn odsuwa się od stołu, by mieć swobodę ruchów. Skoncentrował się na słowie — kluczu „szata": przygotuj się do walki.

Kynes skierował abstrakcyjne spojrzenie na Jessikę, przesyłając Tuekowi dyskretny sygnał dłonią. Przemytnik dźwignął się na nogi wzniósł puchar.

— Ja wzniosę toast — powiedział. — Za młodego Paula Atrydę, z pozoru jeszcze chłopca, ale mężczyznę z czynów.

Po co się wtrącają? — zastanawiała się Jessika. Bankier wlepił teraz oczy w Kynesa i Jessika zobaczyła powracające na twarz agenta przerażenie. Jak stół długi ludzie zaczynali odpowiadać na toast. Gdzie Kynes wskaże, tam ludzie idą — pomyślała. — Powiedział nam, że jest po stronie Paula. Skąd bierze się jego władza? Niemożliwe, żeby z tego, iż jest Sędzią Zmiany. To jest przejściowe. I na pewno nie z tego, że jest urzędnikiem państwowym. Zdjęła dłoń z rękojeści krysnoża, podniosła swoją szklanicę do Kynesa, który odpowiedział tym samym gestem. Tylko Paul i bankier — (Suu-suu! Cóż za idiotyczny przydomek! — pomyślała) — pozostawali z pustymi rękoma. Bankier nie odrywał oczu od Kynesa. Paul wpatrywał się we własny talerz. Załatwiłem to, jak należało — myślał. — Dlaczego oni się mieszają? Rzucił ukradkowe spojrzenie na głowy gości po drugiej stronie stołu.

— W naszych sferach ludzie nie powinni się tak łatwo obrażać. Często jest to równoznaczne z samobójstwem. — Spojrzał na swą sąsiadkę, córkę producenta filtrfraków. — Nie sądzi pani?

— Och, tak. Tak. Oczywiście. Za dużo jest gwałtu. Niedobrze mi się od tego robi. I wiele razy nikt nikogo nie zamierza obrazić, a ludzie mimo wszystko umierają. To nie ma sensu.

— Rzeczywiście nie ma — powiedział Halleck.

Ujrzawszy bliską perfekcji grę dziewczyny, Jessika uświadomiła sobie: Ta mała kobietka z kurzym móżdżkiem wcale nic jest małą kobietką z kurzym móżdżkiem. Dostrzegła linię ataku i zrozumiała, że Halleck również ją wykrył. Zamierzali złapać Paula na seks. Jessika odprężyła się. Prawdopodobnie jej syn pierwszy to zauważył — jego szkolenie nie pominęło tak oczywistego gambitu.

Kynes zwrócił się do bankiera:

— Czy nie kolej teraz na następne przeprosiny?

Bankier przesłał mdły uśmiech Jessice.

— O pani, obawiam się, że nadużyłem waszych win. Serwujecie mocne trunki, do czego ja nie jestem przyzwyczajony.

Jessika wyczuła jad w jego tonie i odpowiedziała słodko:

— Spotkania obcych wymagają wielkiej tolerancji dla odmiennych obyczajów i wychowania.

— Dziękuję, o pani.

Ciemnowłosa towarzyszka producenta filtrfraków nachyliła się ku Jessice.

— Książę mówił, że tutaj nam nic nie grozi. Spodziewam się, że nie wróży to dalszych walk.

Polecono jej skierować rozmowę na te tory — pomyślała Jessika.

— Pewnie okaże się, że to nic ważnego — powiedziała. — Ale tyle jest obecnie drobiazgów wymagających obecności księcia. Dopóki Atrydzi i Harkonnenowie pozostają na stopie wojennej, ostrożności nigdy nie za wiele. Książę poprzysiągł kanly. Nie pozostawi oczywiście przy życiu żadnego agenta Harkonnenów na Arrakis. — Spojrzała na agenta banku Gildii. — Naturalnie, ma za sobą Konwencję. — Przeniosła spojrzenie na Kynesa. — Czyż tak nie jest, doktorze Kynes?

— Naturalnie — powiedział Kynes.

Producent filtrfraków odciągnął swą partnerkę delikatnie do tyłu. Obejrzała się na niego.

— Chyba teraz coś zjem — powiedziała. — Mam ochotę na odrobinę tej potrawy z ptaka podanej poprzednio.

Jessika skinęła służącemu i zwróciła się do bankiera:

— A pan, sir mówił poprzednio o ptakach i ich zwyczajach. Odkrywam tyle interesujących rzeczy związanych z Arrakis. Powiedzcie mi, gdzie znajduje się przyprawę? Czy poszukiwacze chodzą w głąb pustyni?

— Och, nie, moja pani. Niewiele wiemy o głębokiej pustyni. A prawie nic o regionach południowych.

— Powiadają, że ogromna żyła macierzysta przyprawy ma się znajdować w południowych regionach — rzekł Kynes — ale podejrzewam w tym wytwór fantazji istniejący wyłącznie w pieśni. Niektórzy śmiali poszukiwacze przyprawy rzeczywiście zapuszczają się od czasu do czasu na obrzeża pasa centralnego, ale to jest

wyjątkowo niebezpieczne — niepewna nawigacja, częste samumy, straty w ludziach rosną zastraszająco im dalej od baz Muru Zaporowego prowadzi się operacje. Ustalono, że zapędzanie się zbyt daleko na południe nie jest opłacalne. Może gdybyśmy mieli satelitę meteorologicznego…

Bewt podniósł wzrok.

— Powiadają — odezwał się z ustami pełnymi jedzenia — że zapuszczają się tam Fremeni, że oni wędrują, gdzie chcą i że wykryli wysięki i haust-studnie nawet na południowych szerokościach.

— Wysięki i haust-studnie? — zapytała Jessika.

— Wyssane z palca plotki, moja pani — powiedział szybko Kynes. — Takie rzeczy spotyka się na innych planetach, nie na Arrakis. Wysięk to miejsce, w którym woda przesącza się na powierzchnię albo wystarczająco blisko powierzchni, by można było do niej dotrzeć kopiąc według pewnych znaków. Haust-studnia jest formą wysięku, z którego ciągnie się wodę przez słomkę… tak powiadają.

Jest jakieś oszustwo w jego słowach — pomyślała Jessika.

Dlaczego kłamie? — zastanawiał się Paul.

— Jakież to interesujące — powiedziała Jessika. I pomyślała: Powiadają… Co za dziwna maniera językowa. Gdyby tylko wiedzieli, jak ona zdradza ich zależność od przesądów.

— Słyszałem o waszym powiedzeniu — zabrał głos Paul — że blichtr płynie z miast, mądrość z pustyni.

— Arrakis zna wiele powiedzeń — odparł Kynes.

Zanim Jessika zdążyła sformułować nowe pytanie, nachylił się nad nią służący z listem. Otworzyła go, zobaczyła charakter pisma i znaki szyfru księcia. Przebiegła po nich wzrokiem.

— Wszystkich was ucieszy wiadomość, że nasz książę śle słowa otuchy. Sprawa, która go wezwała, jest załatwiona. Znaleziono zaginioną zgarniarkę — powiedziała. — Wśród załogi był agent Harkonnenów, który sterroryzował pozostałych i odleciał maszyną do bazy przemytników z nadzieją, że ją tam sprzeda. Zarówno ten człowiek, jak i maszyna zostały przekazane naszym siłom.

Skłoniła głowę przed Tuekiem. Przemytnik odkłonił się. Jessika złożyła pismo, wsunęła je do rękawa.

— Cieszę się, że nie doszło do otwartej bitwy — powiedział bankier. — Ludzie mają tak wielką nadzieję, że Atrydzi przyniosą pokój i dobrobyt.

— Szczególnie to drugie — dorzucił Bewt.

— Czy zjemy już deser? — zapytała Jessika. — Poleciłam naszemu kuchmistrzowi przygotować kaladańską leguminę: ryż penczi w sosie dolsa.

— To brzmi wspaniale — powiedział producent filtrfraków. — Czy mógłbym dostać przepis?

— Każdy, jaki tylko pan zechce — odparła Jessika, rejestrując sobie tego człowieka w pamięci, by później wspomnieć o nim Hawatowi. Producenta filtrfraków, bojaźliwego, małego karierowicza, można byłołatwo kupić.

Wokół Jessiki podjęto rozmowy towarzyskie.

— Jaki śliczny materiał…

— Zamówił oprawę odpowiednią do kamienia…

— Moglibyśmy się pokusić o wzrost produkcji w następnym kwartale…

Jessika utkwiła spojrzenie w talerzu rozmyślając nad zakodowanym fragmentem listu: „Harkonnenowie próbowali przemycić transport rusznic laserowych. Przechwyciliśmy je. Może to znaczyć, że powiodło im się z innymi transportami. Na pewno znaczy, że nie przywiązują większego znaczenia do tarcz. Podejmijcie odpowiednie środki ostrożności".

Rusznice laserowe zaprzątnęły myśli Jessiki. Rozpalone do białości wiązki promieni niszczycielskiego światła mogły przeciąć każdą ze znanych substancji pod warunkiem, że nie osłaniała jej tarcza. Tym,że sprzężenie zwrotne z tarczą wysadziłoby i rusznicę, i tarczę, Harkonnenowie nie przejmowali się. Dlaczego? Eksplozja tarczy z rusznicą laserową była zmienną niebezpieczną; mogła być potężniejsza od jądrowej lub mogła zabić wyłącznie strzelca i jego osłoniony cel. Niewiadome w tym wszystkim przepełniły ją niepokojem. Usłyszała Paula:

— Ani przez chwilę nie wątpiłem, że odnajdziemy zgarniarkę. Jak mój ojciec zabiera się już do czegoś, doprowadza rzecz do końca. Ta prawda zaczyna powoli docierać do Harkonnenów.

Przechwala się — pomyślała Jessika. A nie powinien. Nie ma prawa do przechwałek nikt, kto będzie spać tej nocy głęboko pod powierzchnią ziemi, z obawy przed rusznicami laserowymi.

Nie ma ucieczki — płacimy za gwałty naszych przodków.

Z „Myśli zebranych Muad'Diba" w opracowaniu księżniczki Irulan

Usłyszawszy krzyki w Wielkiej Sali, Jessika zapaliła nocną lampkę. Jej zegara nie przestawiono na czas miejscowy, więc musiała odjąć dwadzieścia jeden minut, by ustalić, że jest około drugiej w nocy. Krzyki były głośne i chaotyczne. Czyżby atak Harkonnenów? — zastanawiała się. Wyśliznąwszy się z łóżka sprawdziła na ekranach monitorów miejsca pobytu swej rodziny. Ekran ukazał pogrążonego

we śnie Paula w głębokiej piwnicy pośpiesznie przerobionej dla niego na sypialnię. Do jego kwatery z pewnością nie przenikał hałas. Sypialnia księcia była pusta, pościel nie tknięta. Czyżby przebywał ciągle na SD lądowiska? Jeszcze nie założono monitorów na front budynku. Jessika znieruchomiała pośrodku sypialni, nasłuchując. Jeden głos wydzierał się bez ładu i składu. Inny wołał doktora Yuego. Znalazła szlafrok, narzuciła go na ramiona, wsunęła stopy w pantofle, do łydki przypięła krysnóż. Znowu jakiś głos wzywał Yuego. Owiązała się paskiem i wyszła na korytarz. Nagle poraziła ją myśl: A jeśli to Leto jest ranny…

Korytarz wydawał się ciągnąć bez końca pod jej biegnącymi stopami. Skręciwszy pod zamykającym go łukiem przefrunęła przez salę jadalną i kruchtę, wpadła do Wielkiej Sali, którą zastała zalanąświatłem wszystkich lamp dryfowych, rozjarzonych do maksimum.

Na prawo przy drzwiach frontowych ujrzała dwóch ludzi ze straży pałacowej trzymających między sobą Duncana Idaho. Głowa opadła mu na pierś, raptowna cisza zaległa nad tą sceną. Jeden ze strażników powiedział z wyrzutem do Idaho:

— Widzisz, co narobiłeś? Obudziłeś lady Jessikę.

Za plecami mężczyzn falowały ogromne kotary wskazując, że zostawili otwarte drzwi. Stojąca z boku Mapes mierzyła Idaho zimnym spojrzeniem. Miała na sobie długą brązową szatę z wijącym się ornamentem na skraju. Jej stopy tkwiły w nie zasznurowanych butach pustynnych.

— No i obudziłem lady Jessikę — wymamrotał Idaho.

Wzniósłszy oczy do sufitu, zaryczał — …pierwszy raz mój miecz się okrwawił na Grumman!

Wielka Macierzy! On jest pijany! — pomyślała Jessika. Ponury grymas wykrzywiał smagłą, okrągłą twarz Idaho. Ziemia przylgnęła mu do kędzierzawych jak futro czarnego kozła włosów. Wydarta w bluzie dziura odsłaniała gors wieczorowej koszuli, którą wcześniej miał na bankiecie.

Jessika zbliżyła się do niego. Gwardzista skłonił się, nie wypuszczając Idaho z uchwytu.

— Nie wiedzieliśmy, co z nim począć, moja pani. Awanturował się pod bramą i nie chciał wejść do środka. Baliśmy się, że mogą nadejść tutejsi i go zobaczyć. To byłoby niewskazane. Zepsułoby nam opinię.

— Gdzie on się podziewał? — spytała Jessika.

— Odprowadzał do domu jakąś panienkę z przyjęcia, moja pani. Z rozkazu Hawata.

— Którą panienkę?

— Którąś z dziewczynek do towarzystwa. Wiesz, o co chodzi,

moja pani? — Zerknął na Mapes i ściszył głos. — Do szczególnej inwigilacji dam zawsze bierze się Idaho.

Owszem, bierze się — pomyślała Jessika. — Ale dlaczego on jest pijany? Ze zmarszczonymi brwiami zwróciła się do Mapes:

— Mapes, przynieś coś, na pobudzenie. Najlepiej kofeinę. Może zostało trochę kawy z przyprawą?

Mapes wzruszyła ramionami i podążyła do kuchni. Jej nie zasznurowane buty pustynne człapały — człap-człap — po kamiennej posadzce. Idaho odwrócił chwiejną głowę, by spojrzeć z ukosa na Jessikę.

— Zabiłem więsej nisz szysta luzi dla księcia — wybełkotał. — Ja chsę tylko wieźeś, dlszego tu jes-tem. Nie mogę tu żyś podtziemio. Nie mgę tu żyś natziemio. So to za miejsse, ee?

Uwagę Jessiki zwrócił dźwięk dochodzący z bocznego korytarza. Odwróciwszy się zobaczyła Yuego, szedł ku nim wymachując trzymaną w lewej ręce torbą lekarską. Był kompletnie ubrany, wydawał się bledszy i jakby przemęczony. Na jego czole ostro odcinał się romb tatuażu.

— Poszciwy konował! — wrzasnął Idaho. — Chtoś ty, wale? Łubek i czopek? — Zwrócił się bełkotliwie do Jessiki: — Robie ssiebie uh cholerneho uh idiote, uh?

Jessika spojrzała krzywo zastanawiając się w milczeniu: dlaczego Idaho miałby się upić? Dosypano mu czegoś?

— Za dużo przyprawnego piwa — rzekł Idaho usiłując stanąć prosto.

Mapes wróciła z parującą filiżanką w dłoniach, przystanęła niezdecydowana za Yuem. Popatrzyła na Jessikę, która pokręciła głową. Yueh postawił torbę na podłodze, pochylił głowę w ukłonie przed Jessika.

— Przyprawne piwo, co? — powiedział.

— Najlepsze drańswo, jakie piłem w życiu — stwierdził Idaho. Spróbował stanąć na baczność.

— erwszy ras mój miesz sie skrwawił na Grumman! Zabiłem Harkon… Harkon… zabiłem tla mego księcia.

Yueh obejrzał się na filiżankę w dłoni Mapes.

— Co to jest?

— Kofeina — powiedziała Jessika.

Yueh wziął filiżankę, podsunął ją Idaho.

— Wypij to, chłopcze.

— Nie chse nis wiesej piś.

— Wypij, mówię.

Idaho wyciągnął głowę do Yuego i poleciał krok w przód pociągając za sobą strażników.

— Mam po ziurki w nosie podlizywania się Imperium Świata,

doktorze. Jeden ras załatwimy rzesz po mojemu.

— Jak to wypijesz — powiedział Yueh. — To tylko kofeina.

— Rospieprzone jak wszystko tutaj! Cholerne słońse jessa jasne. Nis tu nie ma nolmarnego korolu. Nis tu nie gra albo…

— No cóż, mamy teraz noc — powiedział Yueh; próbował mu perswadować. — Wypij to jak grzeczny chłopak. Poczujesz się lepiej.

— Nie chse poszuś sie lepiej!

— Nie możemy namawiać go przez całą noc — odezwała się Jessika. Tu trzeba kuracji wstrząsowej — przyszło jej na myśl.

— Nie ma potrzeby, żebyś tu czekała, moja pani — powiedział Yueh. — Dam sobie z tym radę.

Jessika pokręciła głową. Postąpiła o krok, wymierzyła Idaho siarczysty policzek. Zatoczył się w tył razem ze swoimi strażnikami, przeszywając ją nienawistnym spojrzeniem.

— Kto się zachowuje w ten sposób w domu swego księcia? — powiedziała. Wyrwała Yuemu filiżankę z rąk rozlewając część jej zawartości i podetknęła ją Idaho. — Wypij natychmiast! To rozkaz!

Idaho wyprostował się raptownie, spojrzał na nią wilkiem. Powiedział powoli, ze staranną i wyraźną dykcją:

— Ja nie słucham rozkazów parszywego szpiega Harkonnenów.

Yueh odwrócił się do Jessiki jak uderzony. Pobladła na twarzy, ale kiwała ze zrozumieniem głową. Wszystko stało się jasne: oderwane strzępki znaczeń, jakie przez te parę minionych dni chwytała w słowach i zachowaniu ludzi wokół siebie, teraz dały się złożyć w całość. Poczuła, jak rośnie w niej gniew, tak ogromny, że chyba od niego pęknie. Sięgnęła do najgłębszych zasobów swojego wyszkolenia Bene Gesserit, by uspokoić puls i wyrównać oddech. Nawet i wtedy wszędzie widziała strzelające płomienie. „Do inwigilacji dam zawsze bierze się Idaho!”

Przeszyła Yuego spojrzeniem.

— Wiedziałeś? — spytała.

— Ja… słyszałem pogłoski, moja pani. Ale nie chciałem przysparzać ci zmartwień.

— Hawat! — warknęła. — Dawać mi w tej chwili Thufira Hawata!

— Ale, moja pani…

— Natychmiast!

To musi być Hawat — myślała. — Takie podejrzenie nie mogło wyjść od nikogo innego, bo odrzucono by je w jednej chwili.

Idaho potrząsnął głową, wymamrotał:

— Wszystko, cholera, wyszczekałem.

Jessika spuściła wzrok na filiżankę w swej dłoni i nagle chlusnęła jej zawartość Idaho w twarz.

— Zamknijcie go w jakimś gościnnym pokoju we wschodnim

skrzydle — poleciła. — Niech to odeśpi.

Dwaj strażnicy wpatrywali się w nią nieszczęśliwymi oczami. Jeden z nich powiedział:

— Może lepiej zabierzmy go gdzieś indziej, o pani. Moglibyśmy…

— On musi być tutaj! — warknęła Jessika. — Musi tu pełnić służbę. — Głos jej wezbrał goryczą. — Jest taki dobry w pilnowaniu dam.

Strażnik przełknął ślinę.

— Czy wiecie, gdzie jest książę? — zapytała.

— Jest na stanowisku dowodzenia, moja pani.

— Z Hawatem?

— Hawat jest w mieście, moja pani.

— Sprowadźcie mi natychmiast Hawata — poleciła Jessika. — Będę czekała na niego w salonie.

— Ale, moja pani…

— Jeśli zajdzie potrzeba, wezwę księcia — powiedziała. — Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. Nie chciałabym go tym niepokoić.

— Tak jest, moja pani.

Jessika wcisnęła pustą filiżankę w dłonie Mapes, natykając się na pytające wejrzenie błękitnych w błękicie oczu.

— Możesz wracać do łóżka, Mapes.

— Na pewno nie będę potrzebna?

Jessika uśmiechnęła się ponuro.

— Na pewno.

— Może by zaczekać z tym do jutra — odezwał się Yueh. — Dałbym ci środek nasenny i…

— Wracaj do siebie i daj mi załatwić to samej. — Poklepała go po ramieniu by złagodzić ostrość tonu. — To jedyny sposób.

Odwróciła się raptownie i z głową uniesioną wysoko oddaliła się dumnym krokiem w głąb pałacu do swoich pokojów. Zimne mury… korytarze… znajome drzwi… Otworzyła je szarpnięciem, wkroczyła do środka i trzasnęła za sobą drzwiami. Przystanęła wlepiając spojrzenie w pustkę tarczy na oknach swego salonu. Hawat! Czyżby go Harkonnenowie kupili? Zobaczymy.

Podeszła do głębokiego, staromodnego fotela obitego haftowaną skórą ze szlagą i przeciągnęła fotel na takie miejsce, by mieć drzwi na oku. Z nagłą siłą uświadomiła sobie obecność pochwy z krysnożem. Odpięła pochwę i z nogi przeniosła ją na przedramię; sprawdziła, jak wysuwa się nóż. Raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem pokój, na wszelki wypadek utrwalając wszystko dokładnie w pamięci: szezlong blisko kąta, pod ścianą zwykłe krzesła, dwa niskie stoliki, cytra na stojaku pod drzwiami do sypialni. Lampy dryfowe płonęły bladoróżowym światłem. Przygasiła je, zasiadła w fotelu, pogładziła obicie ciesząc się,

że na taką okazję ma krzesło o królewskiej dostojności.

Niechaj teraz wchodzi — pomyślała. — Co będzie, to będzie. I na sposób Bene Gesserit przygotowała się na oczekiwanie, mobilizując cierpliwość, oszczędzając siły. Szybciej, niż się spodziewała, zabrzmiało pukanie do drzwi i na wezwanie z jej strony wkroczył Hawat.

Nie wstając z fotela patrzyła na niego, widząc kruchość otoczki narkotycznego ożywienia w jego ruchach, a pod nią zmęczenie. Starcze załzawione oczy Hawata połyskiwały. Jego skóra jak rzemień wydawała się lekko żółtawa w tym oświetleniu, a na rękawie władającej nożem ręki widniała pokaźnych rozmiarów mokra plama. Jessikę doleciał zapach krwi. Wskazała dłonią jedno z krzeseł o prostych oparciach.

— Przynieś to krzesło i usiądź naprzeciw mnie.

Hawat ukłonił się i wykonał polecenie. Co za pijany dureń z tego Idaho! — pomyślał. Śledził bacznie twarz Jessiki zastanawiając się, jak tu wybrnąć z tej sytuacji.

— Dawno już należało oczyścić między nami atmosferę — powiedziała Jessika.

— Co trapi moją panią? — Usiadł i położył dłonie na kolanach.

— Nie udawaj niewiniątka! — rzuciła zimno. — Jeżeli Yueh ci nie powiedział, dlaczego cię wezwaliśmy, to zrobił to jeden z twoich szpiegów spośród mojej służby. Czy nie powinniśmy być szczerzy ze sobą przynajmniej na tyle?

— Jak sobie życzysz, moja pani.

— Najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy teraz jesteś agentem Harkonnenów?

Hawat uniósł się do połowy z krzesła, twarz mu pociemniała z wściekłości.

— Ośmielasz się aż tak mnie obrażać?

— Siadaj — powiedziała. — Tyś mnie tak obraził.

Hawat z wolna opadł na krzesło.

A Jessika, czytając w jego twarzy tak dobrze jej znane oznaki, pozwoliła sobie na głębokie westchnienie. To nie Hawat.

— Teraz wiem, że pozostałeś wierny memu księciu — powiedziała. — Jestem przeto gotowa wybaczyć ci twój afront wobec mojej osoby.

— Czy coś tu jest do wybaczania?

Jessika zmarszczyła brwi.

Czy mam wyciągnąć swój atut? — zastanawiała się. — Czy mam mu powiedzieć o córce księcia, którą w sobie noszę od kilku tygodni? Nie… Sam Leto o tym nie wie. To by mu jedynie skomplikowało życie, odwróciło jego uwagę w chwili, kiedy musi się skoncentrować na naszym przetrwaniu. Jeszcze czas na wykorzystanie tego atutu.

— Prawdomówczyni by rozwiązała ten problem — rzekła — ale nie mamy prawdomówczyni z dyplomem Wysokiej Rady.

— No właśnie. Nie mamy prawdomówczyni.

— Czy jest wśród nas zdrajca? — zapytała. — Analizowałam naszych ludzi z wielką uwagą. Kto może być zdrajcą? Nie Gurney. Na pewno nie Duncan. Ich adiutanci nie zajmują odpowiednich pozycji strategicznych, by brać ich pod uwagę. I nie ty, Thufir. Nic może to być Paul. Ja wiem, że to nie ja. A zatem doktor Yueh? Czy mamy go wezwać i poddać próbie?

— Wiesz, że to czczy gest — powiedział Hawat. — On jest uwarunkowany przez Akademię. To z kolei ja wiem na pewno.

— Nie mówiąc o tym, że jego żoną była Bene Gesserit, zamordowana przez Harkannenów — powiedziała Jessika.

— Więc to tak z nią było…

— Nie słyszałeś nienawiści w jego głosie, gdy wymawia imię Harkonnenów? — spytała Jessika.

— Wiesz, że nie mam ucha.

— Co ściągnęło na mnie to podłe podejrzenie? — spytała.

— Stawiasz pani swego sługę w sytuacji bez wyjścia. Jestem lojalny przede wszystkim wobec księcia.

— Gotowa jestem wiele wybaczyć z powodu tej lojalności — rzekła.

— I znowu muszę zapytać: czy jest coś do wybaczania?

— Pat? — zapytała.

Wyruszył ramionami.

— Pomówmy więc przez chwilę o czym innym — powiedziała. — Duncan Idaho wspaniały wojownik, którego talenty do ochrony i inwigilacji są w takiej cenie. Dziś w nocy przeholował z czymś, co nazywają piwem przyprawnym. Otrzymuję raporty, że inni nasi ludzie również doprawiają się tą miksturą. Czy to prawda?

— Masz swoje raporty, moja pani.

— Ano mam. Czy nie uważasz tego picia za symptomatyczne, Thufir?

— Moja pani mówi zagadkami.

— To wykorzystaj swoje zdolności mentackie — rzuciła sucho. — Co jest z Duncanem i resztą? Mogę ci powiedzieć w czterech słowach: oni nie mają domu.

Wycelował palec w podłogę.

— Arrakis, oto ich dom.

— Arrakis to niewiadoma! Ich domem był Kaladan, aleśmy ich wyrwali z korzeniami. Oni nie mają domu. I boją się, że książę ich zawodzi.

Zesztywniał.

— Takie słowa w ustach któregoś z moich ludzi stanowiłyby

wystarczający powód do…

— Och, przestań. Thufir. Czy to defetyzm albo zdrada ze strony lekarza, jeśli stawia właściwą diagnozę? Moją jedyną intencją jest wyleczenie choroby.

— Mnie książę poruczył takie sprawy.

— Ale rozumiesz, chyba, że i ja żywię pewne dość oczywiste zainteresowanie postępami tej choroby — powiedziała. — A może nawet przyznasz mi pewną zdolności w tej materii.

Czy będę zmuszona wstrząsnąć nim ostro? — zastanawiała się. — Potrzebny mu solidny wstrząs, coś, co go wysadzi z siodła.

— Różnie można sobie tłumaczyć powody twego zainteresowania — Hawat wzruszył ramionami.

— Więc już mnie skazałeś?

— Skądże znowu, moja pani. Ale nie mogę sobie pozwolić na żadne ryzyko w naszej obecnej sytuacji.

— Wrogowie mego syna przeniknęli pod twoim nosem do samego domu — powiedziała. — Kto wtedy ryzykował?

Krew napłynęła mu do twarzy.

— Złożyłem księciu rezygnację.

— A mnie czy złożyłeś rezygnację… albo Paulowi?

Teraz był otwarcie rozdrażniony, co zdradzał przyspieszony oddech, rozdęte nozdrza, nieustępliwe spojrzenie. Widziała bicie pulsu na jego skroni.

— Jestem człowiekiem księcia — wycedził.

— Nie ma zdrajcy — powiedziała. — Grozi nam coś innego. Może ma to jakiś związek z rusznicami laserowymi. Może oni zaryzykują i parę rusznic z mechanizmami zegarowymi wymierzą z ukrycia w tarcze pałacowe. Może…

— A kto by po odpaleniu odróżnił, czy nie była to eksplozja jądrowa? — zapytał. — Nie, moja pani. Oni nie zaryzykują nic aż tak nielegalnego. Promieniowanie zostaje. Trudno zatrzeć ślady. Nie. Oni nie naruszą podstawowych konwencji. To musi być zdrajca.

— Jesteś człowiekiem księcia — powiedziała z szyderczym uśmiechem. — Chciałbyś go zniszczyć próbując go ocalić?

Odetchnął głęboko i dopiero potem odpowiedział:

— Jeśli jesteś niewinna, przyjmij moje najpokorniejsze przeprosiny.

— Spojrzyjmy teraz na ciebie, Thufir — powiedziała. — Człowiek cieszy się życiem, kiedy ma swoje miejsce, kiedy wie, gdzie jest jego miejsce w porządku wszechrzeczy. Zniszczyć miejsce, to zniszczyć człowieka. Spośród wszystkich tych, co kochają księcia, Thufir, nam dwojgu najłatwiej jest zniszczyć sobie to miejsce nawzajem. Czyż nie mogłabym podejrzeń pod twoim adresem wyszeptać księciu w nocy do ucha? W chwili, kiedy byłby najpodatniejszy na takie szepty, Thufir?

Czy muszę ci to jaśniej zobrazować?

— Grozisz mi? — warknął.

— Skądże znowu. Ja po prostu zwracam twoją uwagę, że ktoś atakuje porządek naszego życia. Sprytnie i diabolicznie. Proponuję odeprzeć ten atak wprowadzając taki ład do naszego życia, by tego rodzajuciernie nic znalazły w nim najmniejszej szczeliny.

— Oskarżasz mnie o rozsiewanie szeptem bezpodstawnych podejrzeń?

— Bezpodstawnych, tak.

— I odpowiesz kontrszeptami?

— To twoje życie składa się z szeptów, nie moje, Thufir.

— Więc podajesz w wątpliwość moje kwalifikacje?

Westchnęła.

— Thufir, chcę, abyś przeanalizował swoje emocjonalne zaangażowanie w tę sprawę. Człowiek jest z natury zwierzęciem bez logiki. Twoja projekcja logiki na wszystkie sprawy jest nienaturalna, ale niestety nieodzowna z racji swej użyteczności. Jesteś ucieleśnieniem logiki, mentatem. Jednakże twoje rozwiązania problemów to koncepcje w bardzo dosłownym sensie wyrzucane przez ciebie na zewnątrz, gdzie trzeba je gruntownie badać, roztrząsać i prześwietlać ze wszystkich stron.

— Chcesz mnie teraz uczyć mego fachu? — spytał nawet nie starając się ukryć lekceważenia w głosie.

— Cokolwiek jest poza tobą, możesz to zobaczyć i zastosować do tego swoją logikę — powiedziała. — Lecz taki już mamy charakter, że przy zetknięciu z problemami osobistymi okazuje się, iż te najintymniejsze sprawy jest nam najtrudniej wydobyć na światło naszej logiki. Zaczynamy się plątać i winimy wszystko prócz rzeczywistego mola, który tkwi gdzieś głęboko i nas gryzie.

— Usiłujesz z premedytacją podkopać we mnie wiarę w moje możliwości mentata — wychrypiał. — Gdybym przekonał się, że któryś z naszych ludzi próbuje tą metodą sabotować obojętne jaką broń z naszego arsenału, zdemaskowałbym go i zabił bez wahania.

— Najlepsi mentaci przejawiają zdrowy respekt dla współczynnika błędu w swych obliczeniach — rzekła.

— Nigdy nie twierdziłem inaczej!

— Więc nie lekceważ symptomów, jakie oboje widzimy: pijaństwo wśród ludzi, kłótnie — plotkują i rozsiewają niesamowite pogłoski o Arrakis; ignorują najprostsze…

— Bezczynność, nic więcej — rzekł Hawat. — Nie staraj się odwrócić mojej uwagi próbując z prostej rzeczy robić tajemnicę.

Przyglądała mu się myśląc o żołnierzach księcia w koszarach, o ludzkich niedolach ocierających się o siebie, tak że powstawało niemal wyczuwalne napięcie i zapach jak z przepalonej izolacji. Upodabniają

się dożołnierzy z przedgildyjskiej legendy — myślała. — Jak żołnierze zagubionego łowcy gwiazd Ampolirosa, przykuci do swych dział, wiecznie w pościgu, wiecznie w pogotowiu i wiecznie nie przygotowani.

— Dlaczego nigdy nie wykorzystałeś w pełni moich umiejętności w swej służbie dla księcia? — zapytała. — Obawiasz się rywala?

Wlepił w nią rozpalone spojrzenie starczych oczu.

— Wiem co nieco o szkoleniu, jakie przechodzicie wy, Bene Gesserit…

Urwał nachmurzony.

— Śmiało, dokończ — powiedziała — wiedźmy Bene Gesserit.

— Wiem co nieco o prawdziwym szkoleniu, jakie przechodzicie — podjął. — Widzę, jak to wyłazi z Paula. Nie dam się nabrać na to, co wasze szkoły głoszą publicznie: że istniejecie, by tylko służyć.

Wstrząs musi być gwałtowny i on już prawie do tego dojrzał — pomyślała.

— Słuchasz mnie uważnie w Radzie — powiedziała — a jednak rzadko liczysz się z moimi opiniami. Dlaczego?

— Nie ufam motywom waszej Bene Gesserit. Możesz sobie myśleć, że potrafisz przejrzeć człowieka na wylot, możesz sobie myśleć, że potrafisz zmusić człowieka, by zrobił dokładnie to, czego ty…

— Jesteś nieszczęsnym głupcem, Thufir! — wybuchnęła. — Prawda dalece przekracza wszelkie pogłoski o naszych szkołach, jakie dotarły do twych uszu. Jeśli zechcę zniszczyć księcia… lub ciebie, lub inną dowolną osobę w zasięgu mej ręki, nie powstrzymasz mnie przed tym.

Dlaczego pozwalam, by pycha dyktowała mi takie słowa? — pomyślała. — Nie tak mnie szkolono. Nie tak miałam nim wstrząsnąć.

Hawat wsunął dłoń pod bluzę i dotknął miniaturowego wyrzutnika zatrutych bolców. Nie nosi tarczy — pomyślał. — Czy to brawura z jej strony? Mógłbym ją teraz zabić… ale, aaach, jakież konsekwencje, gdybym się mylił.

Jessika widziała ruch jego ręki w stronę kieszeni. Powiedziała:

— Módlmy się, by nigdy nie było między nami gwałtu.

— Słuszna modlitwa — zgodził się.

— Tymczasem szerzy się wśród nas choroba — rzekła. — Muszę zapytać cię ponownie: czy nie sensowniej posądzać Harkonnenów, że to oni zasiali owo podejrzenie, by nas skłócić?

— Wygląda na to, że znów wróciliśmy do pata — odparł Hawat.

Westchnąwszy pomyślała: prawie do tego dojrzał.

— Książę i ja jesteśmy namiastką ojca i matki dla naszych ludzi — powiedziała. — Taka pozycja…

— Nie poślubił cię — rzekł Hawat.

Zmusiła się do zachowania spokoju, przyznając w duchu: dobra riposta.

— Alę nie poślubi żadnej innej — odparła. — Tak długo, dopóki ja żyję. I jesteśmy tą namiastką, jak powiedziałam. By zburzyć ów naturalny porządek naszego życia, by go zakłócić, zniszczyć nas i ogłupić — kto stanowi najponętniejszy cel dla Harkonnenów?

Wyczuł, do czego zmierza, ściągnął brwi w ponurym grymasie.

— Książę? — zapytała. — Atrakcyjny cel, owszem, ale nikt, z wyjątkiem być może Paula, nie jest lepiej strzeżony. Ja? Kuszę ich niewątpliwie, ale muszą wiedzieć, że Bene Gesserit są trudnymi celami. I że jest cel lepszy, ktoś, czyje obowiązki, siłą rzeczy tworzą monstrualną, ślepą plamkę. Ktoś, dla kogo podejrzliwość jest czymś równie naturalnym jak oddychanie. Ktoś, kto całe swoje życie opiera na insynuacji i tajemnicy. — Wystrzeliła ku niemu prawą dłoń. — Ty!

Hawat poderwał się z krzesła.

— Nie odprawiłam cię, Thufir! — wybuchnęła.

Stary mentat niemalże zwalił się z powrotem na krzesło, tak raptownie mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

Uśmiechnęła się niewesoło.

— Teraz wiesz co nieco o prawdziwym szkoleniu, jakie przechodzimy — powiedziała.

Hawat starał się przełknąć ślinę, której nie miał w gardle. Jej rozkaz był królewski, nieodwołalny; nadała mu ton i modulację, której absolutnie nie sposób się było oprzeć. Usłuchał, zanim reakcja ciała doszła do jego mózgu. Nic nie mogło powstrzymać tej reakcji — ani logika, ani ogień gniewu… nic. To, co ona zrobiła, świadczyło o zmysłowej, intymnej znajomości osoby, do której skierowano rozkaz, o dominacji tak głębokiej, jakiej istnienie wydawało mu się niemożliwe.

— Powiedziałam ci uprzednio, że powinniśmy zrozumieć się nawzajem — rzekła. — Miałam na myśli, że to ty winieneś zrozumieć mnie. Ja ciebie już rozumiem. I powiem ci teraz, że twoja lojalność wobec księcia to jedyne, co zapewnia ci bezpieczeństwo z mojej strony.

Zwilżył językiem wargi nie spuszczając z niej oczu.

— Gdybym chciała mieć marionetkę, książę by mnie poślubił — powiedziała. — Nawet mogłoby mu się wydawać, że zrobił to z własnej nieprzymuszonej woli.

Hawat spuścił głowę; patrzył ku górze przez rzadkie rzęsy. Jedynie żelazna siła woli powstrzymywała go od wezwania straży. Żelazna siła woli… i teraz już podejrzenie, że ta kobieta może do tego nie dopuścić. Skóra mu cierpła, gdy wspominał, jak ona nim zawładnęła. W chwili takiego wahania mogła dobyć broni i zabić! Czy każdy człowiek ma taką ślepą plamkę? — zastanawiał się. — Czy

każdego z nas można zmusić do działania, zanim potrafimy stawić opór? Ta myśl przyprawiła go o zawrót głowy. Kto powstrzymałby osobę obdarzoną taką siłą?

— Mignęła ci pięść w rękawiczce Bene Gesserit — powiedziała. — Niewielu z tych, co ją widzieli, żyje. A to, co zrobiłam, jest dla nas rzeczą dość trywialną. Nie znasz całego mojego arsenału. Zastanów się nad tym.

— Dlaczego więc nie pójdziesz zniszczyć wrogów księcia? — zapytał.

— Co chcesz, żebym zniszczyła? Chciałbyś, żebym zrobiła z naszego księcia kalekę, żeby wiecznie opierał się na mnie, jak na kuli?

— Ale z taką władzą…

— Władza to obosieczny miecz, Thufir — powiedziała. — Myślisz: jakże jej łatwo posłużyć się człowiekiem jako narzędziem do zadania ciosu w samo serce wroga. Tak, Thufir, nawet w twoje serce. Cóż bym jednak osiągnęła? Gdyby Bene Gesserit tego nadużywały, czyż wszystkie nie byłyby podejrzane? Nie chcemy tego. Thufir. Nie chcemy same się zgubić. — Pokiwała głową. — My naprawdę istniejemy tylko po to, by służyć.

— Nie potrafię ci odpowiedzieć — rzekł. — Wiesz, że nie potrafię.

— Nic powiesz nikomu ani słowa o tym, co tu zaszło. To wiem, Thufir.

— Moja pani… — Stary człowiek znowu próbował przełknąć ślinę. Pomyślał: Ma ogromne moce, zgoda. Ale czy te moce nie zrobiłyby z niej jeszcze groźniejszego narzędzia Harkonnenów?

— Przyjaciele mogą zniszczyć księcia równie szybko, jak jego wrogowie — powiedziała. — Ufam, że teraz dotrzesz do sedna tego podejrzenia i usuniesz je.

— Jeśli okaże się bezpodstawne.

— Jeśli — zadrwiła.

— Jeśli — powtórzył.

— Jesteś uparty.

— Ostrożny — powiedział — i świadom współczynnika błędu.

— Więc zadam ci nową zagadkę. Co oznacza według ciebie, że stoisz przed drugim człowiekiem, związany i bezbronny, i ten drugi człowiek trzyma nóż na twoim gardle — a jednak wstrzymuje się od zabicia ciebie, uwalnia cię z więzów i daje ci nóż, byś go użył wedle własnego życzenia? — Podniosła się z fotela i odwróciła do niego plecami. — Możesz już odejść, Thufir.

Stary mentat wstał, niepewnie przesuwając dłoń ku śmiercionośnej broni pod bluzą. Przypomniała mu się arena i ojciec księcia (który był odważny, cokolwiek by o nim powiedzieć), i pewna korrida dawno temu: dzika, czarna bestia z pochyloną głową, nieruchoma i ogłupiała. Stary Książę odwrócił się plecami do rogów, z

muletą elegancko przerzuconą przez ramię, podczas gdy z lóż sypały się owacje. Byk to ja, a ona jest matadorem — pomyślał Hawat. Cofnął rękę, spojrzał na lśniącą od potu pustą dłoń. I wiedział, że bez względu na ostateczną wymowę faktów nigdy nie zapomni tej chwili ani nie straci uczucia najwyższego podziwu dla lady Jessiki. Odwrócił się i bezszelestnie opuścił pokój.

Jessika przesunęła wzrok z odbicia w szybie okna, odwróciła się i wpatrzyła w zamknięte drzwi.

— Teraz się zacznie — wyszeptała.

Czy walczysz z marami?
Czy wojujesz z cieniami?
Czy poruszasz się jak we śnie?
Czas się oddalił.
Życie ci skradli.
Wszystkoś zmarnotrawił.
Twój obłęd cię zabił.

Tren na pogrzeb Dżamisa na Równinie Żałobnej z „Pieśni Maud'Diba" zebranych przez księżniczkę Irulan

Leto przystanął w foyer swego dworu studiując bilecik w świetle osamotnionej lampy dryfowej. Do świtu brakowało jeszcze paru godzin, a zmęczenie dawało o sobie znać. Fremeński goniec dostarczył bilecik na odwach właśnie w chwili, kiedy książę przybył ze stanowiska dowodzenia. Bilecik mówił:

„Słup dymu dniem, kolumna ognia nocą". — Podpisu nie było. Co to znaczy? — zastanawiał się. Goniec zniknął nie czekając na odpowiedź, zanim można go było wypytać. Wsiąkł w noc niby czarny dym. Leto wepchnął kartkę do kieszeni bluzy zamierzając pokazać ją później Hawatowi. Odgarnął kosmyk włosów z czoła, z westchnieniem wciągnął powietrze. Pigułki przeciw zmęczeniu przestawały działać. Od bankietu minęły dwa długie dni, a jeszcze więcej od ostatniego snu. Do wszystkich kłopotów wojskowych doszła niepokojąca sesja z Hawatem, jego sprawozdanie ze spotkania z Jessiką.

Mam obudzić Jessikę? — bił się z myślami. — Nic ma sensu bawić się z nią dalej w ciuciubabkę. A może jednak? Niech go diabli, tego cholerę Duncana Idaho! Pokręcił głową. Nie, nie Duncana. Zrobiłem głupstwo nie zwierzając się od razu Jessice z tajemnicy. Muszę to zrobić teraz, zanim stanie się coś gorszego. Decyzja poprawił mu samopoczucie i z foyer pośpieszył przez Wielką Salę i korytarze do skrzydła mieszkalnego rodziny. Zatrzymał się na zakręcie, tam gdzie korytarz rozwidlał się ku pomieszczeniom służby. Gdzieś z korytarza służbowego doleciało osobliwe kwilenie. Leto położył lewą dłoń na wyłączniku tarczy w pasie, wsunął chandżar do prawej. Nóż przywrócił mu poczucie pewności siebie. Niesamowity dźwięk przeszywał dreszczem. Klnąc niedostateczne oświetlenie książę po cichu zagłębiał się w służbowy korytarz. Co jakieś osiem metrów wisiały w nim najmniejsze z dryfówek przygaszone do minimum. Ciemne kamienie murów pochłaniały światło.

Z mroku przed nim wyłonił się niewyraźny, rozmazany po podłodze kleks. Leto przystanął, o mało nie włączając tarczy, powstrzymał się jednak, by nie krępować sobie ruchów i nie przytępiać słuchu… a poza tym przechwycenie transportu rusznic laserowych napełniło go nie rozwianymi ciągle wątpliwościami.

Bezgłośnie zbliżył się do szarego kleksa, zobaczył, że to ludzka postać, mężczyzna, obrócony twarzą do posadzki. Leto odwrócił go stopą, z nożem w pogotowiu, i nachylił się blisko, by dojrzeć rysy w nikłym świetle. To był ten przemytnik, Tuek, z wilgotną plamą na piersi. Z martwych źrenic wyzierała ciemna pustka. Leto dotknął plamy — była ciepła. Jak mógł tutaj zginąć ten człowiek? — zadawał sobie pytanie. — Kto go zabił?

Kwilący dźwięk rozlegał się tu głośniej. Dochodził z przodu, z głębi odgałęzienia korytarza prowadzącego do siłowni, gdzie mieścił się generator głównej tarczy pałacu. Z dłonią na wyłączniku w pasie, z wysuniętym chandżarem, książę wyminął ciało, zapuścił się w korytarz i zza rogu wyjrzał w stronę siłowni generatora tarczy.

Parę kroków od niego widniał rozlany na podłodze drugi kleks. Książę od razu zorientował się, że ma przed sobą źródło hałasu. Kształt pełznął ku niemu z bolesnym mozołem, dysząc ciężko i coś mamrocząc. Leto stłumił nagły skurcz strachu, przemknął do bocznego korytarza i kucnął przy czołgającej się postaci. Była to Mapes, fremeńska ochmistrzyni, z ubraniem w nieładzie, z włosami rozsypanymi po twarzy. Zmatowiały połysk ciemnej plamy rozszerzał się z pleców na bok. Książę dotknął jej ramienia i Mapes uniosła się na łokciach, z odchyloną głową przyglądając mu się ocienionymi czernią źrenicami bez wyrazu.

— To ty… — wydyszała. — Zabił… strażnika… posłano… wezwać… Tueka… uciekaj… moja pani… ty… ty… tutaj… nie…

Zwaliła się na twarz, aż jej głowa zadudniła o kamienie. Leto poszukał palcami pulsu na skroni. Nie znalazł. Spojrzał na plamę: Mapes dźgnięto w plecy. Kto? Przeżywał gonitwę myśli. Czy chciała mu powiedzieć, że ktoś zabił strażnika? A Tuek… czy Jessika posłała po Tueka? Po co?

Zaczął się podnosić. Ostrzegł go szósty zmysł. Śmignął ręką do wyłącznika tarczy — za późno. Paraliżujący wstrząs odrzucił mu rękę na bok. Poczuł w niej ból, zobaczył sterczący z rękawa bolec, wyczuwał porażenie rozchodzące się stamtąd w górę ramienia. Z bolesnym wysiłkiem uniósł głowę spoglądając w głąb korytarza. W otwartych drzwiach siłowni stał Yueh. Twarz świeciła mu żółtym odblaskiem pojedynczej, jaśniejszej dryfówki nad drzwiami. Cicho było w pokoju za jego plecami — żadnego szmeru generatorów.

Yueh! — pomyślał Leto. — Dokonał sabotażu pałacowych generatorów! Jesteśmy bezbronni. Yueh począł się zbliżać do niego

wsuwając do kieszeni bolcówkę. Leto stwierdził, że może jeszcze mówić, wydyszał:

— Yueh! Jakim cudem?

Po czym paraliż dosięgnął jego nóg i Leto osunął się na podłogę, podpierając plecami kamienną ścianę. Twarz Yuego nosiła wyraz smutku, kiedy pochylał się i dotykał czoła Leto. Książę zorientował się, że odczuwa dotknięcie, ale jakże dalekie… przytępione.

— Narkotyk w bolcu działa selektywnie — powiedział Yueh. — Możesz mówić jakkolwiek ci to odradzam.

Zajrzał w głąb korytarza i znowu nachylił się nad Leto, wyciągnął bolec, odrzucił go na bok. Brzęk bolca na kamieniach był nikły i odległy dla uszu księcia. To nie może być Yueh — pomyślał książę. — On jest uwarunkowany.

— Jak? — szepnął Leto.

— Przykro mi, mój drogi książę, ale istnieją sytuacje, których nakazy są silniejsze od tego. — Dotknął wytatuowanego rombu na czole. — Mnie samego zadziwia to przełamanie mojej piroświadomości, lecz pragnę zabić człowieka. Tak, rzeczywiście tego pragnę. Nie cofnę się przed niczym, aby dopiąć swego. — Spojrzał z góry na księcia. — Och, nie ciebie, mój drogi książę. Barona Harkonnena. Ja pragnę zabić barona.

— Bar…ona Har…

— Cicho bądź, proszę, mój biedny książę. Nie mam wiele czasu. Tamten kieł, który wstawiłem ci po upadku w Narcel — otóż ten kieł musimy wymienić. Za chwilę uśpię cię i wymienię ten ząb. — Otworzył dłoń i wpatrzył się w coś leżącego na niej. — To idealny duplikat; nader kunsztownie nadano jego rdzeniowi kształt nerwu. Ujdzie zwykłym wykrywaczom, a nawet powierzchownemu badaniu. Lecz jeśli go mocno przygryźć, trzaśnie korona. Potem wystarczy silnie dmuchnąć i powietrze wokół nas wypełnia się trującym gazem, śmiertelnie trującym.

Spoglądając w górę na Yuego widział Leto szaleństwo w oczach mężczyzny, krople potu na jego czole i brodzie.

— I tak śmierć ci pisana, mój biedny książę — mówił Yueh. — Ale zanim umrzesz, zbliżysz się do barona. On będzie myślał, że jesteś oszołomiony narkotykami, i wykluczy ostatnią próbę ataku z twojej strony. I będziesz oszołomiony — i związany. Ale atak może przybierać przedziwne formy. A ty będziesz pamiętał o tym zębie. O zębie, książę Leto Atrydo. Będziesz pamiętał o zębie.

Stary doktor pochylał się coraz niżej i niżej, aż wreszcie jego twarz i obwisłe wąsy przesłoniły wąskie pole widzenia Leto.

— Ząb — szepnął Yueh.

— Dlaczego? — wyszeptał Leto.

Yueh opadł przy księciu na kolano.

— Dobiłem szejtańskiego targu z baronem. I muszę mieć pewność, że on dotrzymał swojej części umowy. Kiedy się z nim zobaczę, będę wiedział. Kiedy spojrzę na barona, będę wiedział. Ale ja nigdy nie stanę przed jego obliczem bez okupu. Ty jesteś tym okupem, mój biedny książę. I będę wiedział, kiedy go zobaczę. Moja biedna Wanna nauczyła mnie wielu rzeczy, a jedną z nich jest dostrzeganie nagiej prawdy w chwilach wielkiego napięcia. Nie umiem tego robić za każdym razem, lecz gdy zobaczę barona — będę wiedział.

Leto starał się spojrzeć w dół na ząb w dłoni Yuego. Miał wrażenie, że to się dzieje w koszmarze sennym — to nie mogła być jawa. Purpurowe wargi Yuego wykrzywiły się ku górze.

— Ja się nie znajdę dostatecznie blisko barona, inaczej sam bym to zrobił. O, nie. Zatrzymają mnie w bezpiecznej odległości. Lecz ty… ach, otóż to! Ty, moja cudowna broń! Będzie chciał mieć cię blisko, potriumfować nad tobą, popysznić się nieco.

Leto czuł się niemal zahipnotyzowany widokiem mięśnia z lewej strony szczęki Yuego. Mięsień skręcał się przy każdym słowie mężczyzny. Yueh nachylił się niżej.

— A ty, mój poczciwy książę, mój drogocenny książę, ty musisz pamiętać o tym zębie. — Pokazał go trzymając między kciukiem a palcem wskazującym. — On jest wszystkim, co ci pozostało.

Usta Leto poruszyły się bezgłośnie, znowu spróbowały:

— Odmawiam.

— Aach, nie! Nie możesz odmówić! Ponieważ w rewanżu za tę drobną przysługę ja zrobię coś dla ciebie. Ocalę twojego synu i twoją kobietę. Nikt inny tego nie dokona. Można ich wysłać w takie miejsce, gdzie żaden Harkonnen ich nie dosięgnie.

— Jak… ich… ocalić? — wyszemrał Leto.

— Zrobić tak, by wydawało się, że nie żyją, ukryć ich wśród ludzi, którzy dobywają noża na dźwięk imienia Harkonnen, którzy nienawidzą Harkonnenów tak bardzo, że spalą krzesło, na którym siedział Harkonnen, zasolą ziemię, po której Harkonnen przeszedł. — Dotknął szczęki Leto. — Czujesz tam cokolwiek?

Książę stwierdził, że nie może odpowiedzieć. Odczuł dalekie szarpnięcie, zobaczył dłoń Yuego unoszącą do góry książęcy sygnet.

— To dla Paula — powiedział Yueh. — Niebawem stracisz przytomność. Żegnaj, mój biedny książę. Kiedy się spotkamy następnym razem, nie będziemy mieli czasu na rozmowę.

Chłodna drętwota rozeszła się od szczęki po policzkach Leto. Mroczny korytarz skurczył się do rozmiarów czubka szpilki z ześrodkowaną w nim purpurą warg Yuego.

— Pamiętaj o zębie! — syknął Yueh. — Ząb!

Powinna istnieć szkoła goryczy.

Ludziom potrzeba ciężkiego życia i ucisku, żeby nabrali tężyzny psychicznej.

z „Myśli zebranych Muad'Diba" opracowanych przez księżniczkę Irulan

Jessika przebudziła się pośród ciemności, wyczuwając ostrzeżenie w otaczającej ją martwocie. Nic mogła zrozumieć, dlaczego jej duch i ciało są takie niemrawe. Ciarki strachu przebiegały jej po nerwach. Chciała usiąść i zapalić światło, ale coś jakby odwlekało decyzję. Własne usta wydawały się jej… obce.

Łup-łup-łup-łup! — Stłumiony dźwięk bez kierunku w tej ciemności. Nie wiadomo gdzie. Moment wyczekiwania był nabrzmiały czasem, szelestem drgnień kąśliwych jak igły. Zaczęła odczuwać swoje ciało, zdała sobie sprawę z więzów na kostkach i nadgarstkach, z knebla w ustach. Leżała na boku, z rękami związanymi na plecach. Zbadała więzy, zrozumiała, że to włókno krimskellowe że tylko zakleszczą się mocniej od jej szarpania. I wreszcie przypomniała sobie. Coś się poruszyło w ciemności jej sypialni, coś mokrego i gryzącego chlusnęło jej w twarz, wypełniło usta; pochwyciły ją jakieś ręce. Nabierając tchu — jeden wdech — wyczuła w wilgoci narkotyk. Świadomość uchodziła, pogrążając ją w czarnym pudle przerażenia.

Stało się — pomyślała. — Jakże łatwo było pokonać Bene Gesserit. Wystarczyła tylko zdrada. Hawat miał rację. Pilnowała się, by nie naprężać więzów. — To nie jest moja sypialnia — myślała. Przenieśli mnie gdzieś indziej. — Z wolna wzięła się w garść. Dotarł do niej zapach jej własnego kwaśnego potu, z chemiczną przymieszką trwogi.

Gdzie jest Paul? — zapytała samą siebie. — Mój syn, co z nim zrobili?

Spokój.

Narzuciła go sobie za pomocą starożytnych praktyk. Lecz przerażenie pozostało, jakże blisko. Leto? Gdzie jesteś, Leto?

Wyczuła ubywanie ciemności. Rozpoczęło się od cieni. Wymiary rozdzieliły się zamieniając w nowe ciernie świadomości. Biel. Szpara pod drzwiami.

Leżę na podłodze. Ktoś chodzi. Wyczuła to przez podłogę. Jessika zdusiła w sobie wspomnienie strachu. — Muszę zachować spokój, czujność, gotowość. Być może będę miała tylko jedną szansę. — Znów narzuciła sobie wewnętrzny spokój. Bezładne bicie serca wyrównało się, kształtując czas. Odliczyła w tył. Byłam nieprzytomna z godzinę. Zamknęła oczy skupiając uwagę na zbliżających się krokach. Czterech ludzi. Odmierzała różnice w ich krokach. Muszę udawać, że nadal

jestem nieprzytomna. Rozluźniła się na zimnej podłodze badając gotowość swego ciała; usłyszała otwieranie drzwi i przez powieki wyczuła dopływ światła. Kroki przybliżyły się: ktoś nad nią stał.

— Obudziłaś się — zahuczał basowy głos. — Nie udawaj.

Otworzyła oczy. Stał nad nią baron Vladimir Harkonnen. Rozpoznała piwniczne pomieszczenie, w którym sypiał Paul, pod ścianą zobaczyła jego łóżko — puste. Strażnicy wnieśli lampy dryfowe, rozmieścili je w pobliżu otwartych drzwi. Za nimi jarzyło się światło w korytarzu kłując ją w oczy. Podniosła spojrzenie na barona. Miał na sobie żółtą pelerynkę wzdymającą się na przenośnych dryfkach. Tłuste policzki cherubina wydymały się jak dwa jabłka pod czarnymi oczami pająka.

— Czas działania narkotyku był wyliczony — zadudnił. — Wiedzieliśmy, kiedy zaczniesz z tego wychodzić, co do minuty.

Jak to możliwe? — zdziwiła się. — Musieliby znać dokładnie moją wagę, mój metabolizm, moje… Yueh!

— Jaka szkoda, że musisz pozostać zakneblowana — powiedział baron. — Moglibyśmy odbyć jakże interesującą rozmowę.

To mógł być tylko Yueh — pomyślała. — Jakim cudem?

Baron zerknął przez ramię na drzwi.

— Wejdź, Piter.

Nigdy przedtem nie spotkała mężczyzny który stanął przy baronie, ale twarz była jej znajoma — i człowiek też: Piter de Vries, mentat — assassin. Przyglądała mu się uważnie — jastrzębie rysy, atramentowobłękitne oczy, wskazujące na pochodzenie z Arrakis, czemu przeczyły jednak subtelności w sposobie poruszania się i postawie. I ciało zbytnio nasycone wodą. Był wysoki, lecz szczupły, a coś nieuchwytnego w nim nasuwało myśl o zniewieściałości.

— Jaka szkoda, że nie możemy odbyć rozmowy, moja droga lady Jessiko — powiedział baron. — Jednakże jestem świadom twoich talentów. — Spojrzał na mentata. — Nieprawdaż, Piter?

— Jako rzeczesz, baronie — odparł mężczyzna.

Głos był tenorowy. Poraził jej stos pacierzowy falą zimna. Nigdy nie słyszała tak zimnego głosu. Do każdej Bene Gesserit głos ten wołał: „morderca!”

— Przygotowałem dla Pitera niespodziankę — rzekł baron. — On myśli, że przyszedł tu po odbiór swojej nagrody — ciebie, lady Jessiko. Ale ja pragnę coś zademonstrować: że tak naprawdę to on ciebie nie chce.

— Igrasz ze mną, baronie? — spytał Piter i uśmiechnął się.

Na widok tego uśmiechu Jessikę zdumiało, że baron nie wyciąga noża w obronie przed owym Piterem. Po chwili poprawiła się. Baron nie mógł odczytać tego uśmiechu. Nie miał za sobą szkolenia.

— Pod wieloma względami Piter jest naiwny jak dziecko —

powiedział baron. — Nie przyjmie do wiadomości, co z ciebie za śmiertelnie niebezpieczne stworzenie, lady Jessiko. Pokazałbym mu, ale byłaby to lekkomyślność — baron uśmiechnął się do Pitera, którego twarz przybrała wyczekującą maskę. — Ja wiem, czego Piter chce naprawdę. Piter chce władzy.

— Obiecałeś, że mogę sobie wziąć tę kobietę — powiedział Piter.

Tenorowy głos stracił nieco ze swej chłodnej rezerwy. Jessika uchwyciwszy tonację głosu mężczyzny poddała się wewnętrznemu drżeniu. Jak baron mógł zrobić takie zwierzę ze swego mentata?

— Daję ci wybór, Piter — rzekł baron.

— Jaki wybór?

Baron pstryknął tłustymi paluchami.

— Ta kobieta i wygnanie poza Imperium albo władasz w moim imieniu Atrydzkim Księstwem Arrakis według swych upodobań.

Jessika obserwowała pajęcze oczy barona świdrujące Pitera.

— Mógłbyś zostać tu księciem we wszystkim, prócz tytułu — powiedział baron.

Czy zatem mój Leto nie żyje? — pomyślała Jessika. Czuła, jak bezgłośny lament wzbiera gdzieś w jej mózgu. Baron nie spuszczał oczu z mentata.

— Zrozum siebie, Piter. Chcesz jej, ponieważ była kobietą księcia, symbolem jego władzy: piękna, użyteczna, wysoce wyszkolona do swej roli. Ale całe księstwo, Piter! To więcej niż symbol, to rzeczywistość. Mając księstwo możesz mieć wiele kobiet… i coś więcej.

— Nie dworujesz sobie z Pitera?

Baron odwrócił się do niego z baletową gracją, jaką dawały mu dryfy.

— Dworuję? Ja? Pamiętaj: ja rezygnuję z chłopca. Słyszałeś, co zdrajca powiedział o jego edukacji. Oni są tacy sami — i matka, i syn — śmiertelnie niebezpieczni. — Baron uśmiechnął się. — Muszę już iść. Przyślę strażnika, którego zatrzymałem na tę chwilę. Jest głuchy jak pień. Będzie miał rozkaz konwojowania was przez pierwszy etap podróży na wygnanie. Zrobi porządek z tą kobietą, gdy zobaczy, że jej ulegasz. Nie pozwoli ci wyjąć jej knebla, dopóki nie opuścicie Arrakis. Jeżeli zdecydujesz się na pozostanie, ma inne rozkazy.

— Nie musisz odchodzić — powiedział Piter. — Ja już wybrałem.

— Cha! Cha! Cha! — zarechotał baron. — Tak prędka decyzja może oznaczać tylko jedno.

— Wezmę księstwo — powiedział Piler.

Czy Piter nie wie, że baron go okłamuje? — myślała Jessika. — No tak, ale skąd może wiedzieć? Jest zdegenerowanym mentatem.

Baron spuścił wzrok na Jessikę.

— Czyż to nie cudowne, że znam tak dobrze Pitera? Założyłem się

z moim zbrojmistrzem, że Piter wybierze księstwo. Ha! No, idę już. Tak jest lepiej. Ba, znacznie lepiej. Ty to rozumiesz, lady Jessiko? Nie żywię do ciebie urazy. To konieczność. Znacznie lepiej, że tak się stało. Tak. W gruncie rzeczy nie kazałem cię zlikwidować. Kiedy mnie zapytają, co się z tobą stało, wybrnę z tego za pomocą prawdy.

— Więc mnie to zostawiasz? — spytał Piter.

— Strażnik, którego ci przysyłam, jest na twoje rozkazy — rzekł baron. Cokolwiek ma się stać, pozostawiam to tobie. — Utkwił wzrok w Piterze. — Tak. Ja o niczym nie wiem. Zaczekasz, aż odejdę, zanim zrobisz to, co musisz zrobić. Tak. Cóż… ach, tak. Tak. Dobrze.

Boi się przesłuchania przez prawdomówczynię — pomyślała Jessika. — Którą? Aaach, Matkę Wielebną Gaius Helen, rzecz jasna! Skoro wie, że musi stawić czoło jej pytaniom, to jak nic Imperator macza w tym palce. Aaach, mój nieszczęsny Leto!

Po raz ostatni baron rzucił okiem na Jessikę, odwrócił się i wymaszerował z piwnicy. Odprowadzając go wzrokiem pomyślała: Jest tak, jak przestrzegała Matka Wielebna — zbyt potężny przeciwnik.

Weszli dwaj harkonneńscy żołnierze. Za nimi trzeci z twarzą jak jedna wielka szrama. Zatrzymał się w drzwiach z laserową rusznicą w dłoni. To ten głuchy — pomyślała Jessika studiując pokrytą szramami twarz. — Baron wie, że mogłabym użyć głosu na każdego innego człowieka. Szrama spojrzał na Pitera.

— Na noszach przed drzwiami mamy chłopaka. Co z nim zrobić?

Piter odezwał się do Jessiki:

— Zamierzałem trzymać cię w szachu tym, że mamy w rękach syna, ale zaczynam widzieć, że nic by z tego nie wyszło. Pozwoliłem, by emocje wzięły górę nad rozumem. Zła to polityka jak na mentata.

Spojrzał na dwóch pierwszych żołnierzy obracając się tak, by głuchy mógł czytać z jego warg.

— Zabierzcie ich na pustynię, jak zdrajca radził zrobić z chłopcem. Jego pomysł jest dobry. Czerwie zniszczą wszelkie ślady. Ich ciała muszą zniknąć na zawsze.

— Nie chcesz ich sam załatwić? — zapytał Szrama.

Czyta z warg — pomyślała Jessika.

— Biorę przykład z mojego barona — rzekł Piter. — Zabierzcie ich tam, gdzie mówił zdrajca.

Jessika złowiła chrapliwą, mentacką modulację w głosie Pitera. On też się boi prawdomówczyni — pomyślała. Piter wzruszył ramionami, odwrócił się i poszedł do wyjścia. Tam przystanął niezdecydowanie i Jessika sądziła, że zawróci, by spojrzeć na nią po raz ostatni, lecz on wyszedł nie obejrzawszy się za siebie.

— Co do mnie, to nie podoba mi się perspektywa spotkania z ową prawdomówczynią po robocie tej nocy — powiedział Szrama.

— Masz słabe szansę nadziać się kiedykolwiek na tę starą jędzę — odparł jeden z dwójki żołnierzy.

Zaszedł Jessikę od głowy, pochylił się nad nią.

— Nie odwalimy roboty stojąc tutaj i trzaskając dziobami. Łap ją za nogi i…

— Czemu by nie zarżnąć ich tutaj? — zapytał Szrama.

— Za dużo babrania się. Chyba, że chcesz ich udusić. Ja to lubię czystą, prostą robotę. Wyrzucić ich na pustyni, jak mówił zdrajca, tu i ówdzie skaleczyć, zostawić dowody czerwiom. Żadnego potem sprzątania.

— Taak… dobra, chyba masz rację — stwierdził Szrama.

Jessika przysłuchiwała się im, patrząc, rejestrując. Lecz knebel blokował jej Głos i na dodatek trzeba było uwzględnić jednego głuchego. Szrama zarzucił rusznicę na plecy, wziął Jessikę za nogi. Podnieśli ją jak worek mąki, przemanewrowali przez drzwi i cisnęli na podtrzymywane dryfową boją nosze z drugą spętaną postacią. Kiedy ją przekręcili układając na noszach, zobaczyła twarz swego towarzysza: Paul! Był związany, ale bez knebla. Twarz jego znajdowała się nie dalej niż dziesięć centymetrów od jej twarzy, oczy miał zamknięte, oddech równy. Jest pod działaniem narkotyku — pomyślała. Żołnierze chwycili nosze i powieki Paula uniosły się na moment — ciemne szczeliny popatrzyły na nią. Oby tylko nie próbował Głosu! — modliła się. — Głuchy strażnik! Paul zamknął oczy. Ćwicząc świadome oddychanie uspokajał swój umysł, słuchał zwycięzców. Ten głuchy stanowił problem, ale Paul panował nad swoją rozpaczą. Uspokajający myśli rytuał Bene Gesserit wpojony mu przez matkę przywrócił równowagę i gotowość wykorzystania najmniejszej okazji. Szparkami oczu Paul po raz drugi badał twarz matki. Wyglądało na to, że jest bez obrażeń, aczkolwiek zakneblowana. Zastanawiał się, kto mógł ją pojmać. Jego własne dostanie się do niewoli było całkiem proste — zasnął w łóżku z przepisaną przez Yuego tabletką, a obudził się przywiązany do tych noszy. Możliwe, że coś podobnego spotkało i ją. Logika wskazywała, że zdrajcą jest Yueh, ale wstrzymywał się z ostateczną decyzją. Trudno to było zrozumieć — doktor Akademii Suk zdrajcą.

Nosze przechyliły się z lekka, gdy żołnierze Harkonnenów lawirowali nimi w drzwiach wychodząc w rozgwieżdżoną noc. Dryfową boja zachrobotała o podjazd, po czym znaleźli się na piasku, który chrzęścił pod stopami. W górze zamajaczyło skrzydło ornitoptera przysłaniając gwiazdy. Nosze osiadły na ziemi. Źrenice Paula dostosowały się do nikłego światła. W człowieku, który otworzył drzwi ornitoptera i zaglądał do środka w zielony od iluminowanej tablicy przyrządów mrok, rozpoznał głuchego wojaka.

— To dla nas ten ornitopter? — spytał i odwrócił się, by zobaczyć

wargi swego towarzysza.

— To ten, co zdrajca powiedział, że jest przystosowany do latania w pustyni — odpowiedział żołnierz.

Szrama pokiwał głową.

— Ale to jeden z tych łącznikowych liliputów. Nie więcej w nim miejsca niż dla nich i dwóch z nas.

— Dwóch wystarczy — powiedział noszowy podchodząc blisko i ukazując wyraźnie wargi. — Dalej już damy sobie radę, Kinel.

— Baron kazał mi się upewnić co do losu tych dwojga.

— O co was boli głowa? — odezwał się drugi żołnierz zza noszowego.

— To czarownica Bene Gesserit — powiedział głuchy. — One posiadają wielkie moce.

— Aaach… — Noszowy zrobił znak pięści przy uchu. — To ona taka, hę? Wiem o co ci biega.

Żołnierz za jego plecami odchrząknął.

— Niezadługo będzie strawą czerwia. Myślę, że nawet czarownicy Bene Gesserit zabraknie mocy na takiego dużego robala. Co, Czigo? — Szturchnął noszowego.

— Ano — przytaknął noszowy. Zawrócił do noszy, chwycił Jessikę za ramię.

— Chodź, Kinet. Możesz się zabrać, skoro chcesz się przekonać, jak to będzie.

— Miło, żeś mnie zaprosił, Czigo — powiedział Szrama.

Jessika poczuła, jak ją podnoszą, zawirował cień skrzydła, wyszły gwiazdy. Wepchnięto ją na tył ornitoptera, sprawdzono pęta z włókna krimskellowego i przymocowano pasami. Obok niej wciśnięto Paula, przywiązując go dokładniej: zauważyła, że jego więzy są ze zwyczajnego sznura. Szrama, ów głuchy, zwany Kinetem, zajął miejsce z przodu. Noszowy, ten którego wołali Czigo, przeszedł dokoła i zajął drugie przednie siedzenie. Kinet zamknął drzwi po swojej stronie i nachylił się ku przyrządom. Ornitopter wystartował z szarpnięciem składanych skrzydeł, kierując się na południe poza Mur Zaporowy. Czigo klepnął swego kompana po ramieniu.

— Może obróć się i miej tych dwoje na oku?

— Na pewno wiesz, dokąd lecieć? — Kinet śledził wargi Czigo.

— Słyszałem, co mówił zdrajca, tak jak i ty.

Kinet odkręcił się z fotelem. Jessika dostrzegła migotliwy odblask gwiazd na rusznicy laserowej w jego dłoni. Świetlistość ścian wnętrza ornitoptera w miarę akomodacji jej oczu jakby zyskiwała na iluminacji, lecz szramy na twarzy strażnika pozostały zamazane. Jessika sprawdziła pas swojego fotela odkrywając, że jest obluzowany. Lewą ręką wymacała chropowatość na pasie, zrozumiała,że został on prawie przecięty, że trzaśnie przy nagłym szarpnięciu. Czyżby ktoś był

w tym ornitopterze i przygotował go dla nas? — zdziwiła się. — Kto? Powoli wyplątała swoje spętane stopy spod nóg Paula.

— Aż wstyd zmarnować taką ładną kobitę — odezwał się Szrama. — Miałeś już jakieś szlachetnie urodzone?

Odwrócił się, by widzieć pilota.

— Nie wszystkie Bene Gesserit są szlachetnie urodzone — powiedział pilot.

— Ale wszystkie wyglądają jak damy.

Widzi mnie dosyć wyraźnie — pomyślała Jessika. Podciągnęła związane nogi na fotel i zwinęła się w kuszący kłębek nie spuszczając Szramy z oka.

— Ta tutaj jest naprawdę ładna — powiedział Kinet. — Oblizał wargi. — Jasne, że to wstyd. — Spojrzał na Czigo.

— Czy ty myślisz o tym, co ja myślę, że ty myślisz? — zapytał pilot.

— Kto się dowie? — rzekł strażnik. — Potem… — Wzruszył ramionami. — Ja po prostu nie podłapałem nigdy jaśnie pani. Może nie będę już miał drugiej takiej okazji.

— Spróbuj tylko tknąć moją matkę… — zazgrzytał zębami Paul i utkwił w Szramie nienawistne spojrzenie.

— Hej! — pilot roześmiał się. — Szczenię dało głos. Ale jeszcze nie ma kłów.

Jessika zaś pomyślała: Paul przesadza z wysokością głosu. Ale może się uda. — Lecieli dalej w milczeniu. Nieszczęśni durnie — myślała przypatrując się swym strażnikom i wspominając słowa barona. Zostaną wymordowani, jak tylko zameldują o wykonaniu swego zadania. Baron nie życzy sobie żadnych świadków.

Ornitopter przechylił się w wirażu nad południową krawędzią Muru Zaporowego i Jessika ujrzała pod nimi przestrzeń piasku i księżycowych cieni.

— Starczy tego latania — powiedział pilot. — Zdrajca mówił, by wyrzucić ich na piasek byle gdzie pod Murem Zaporowym.

Zniżył statek ku wydmom w długim, stromym nurkowaniu, wyrównał ciężko nad powierzchnią pustyni. Jessika zauważyła, że Paul rozpoczyna rytmiczne oddychanie — ćwiczenie uspokajające. Zamknął oczy, następnie otworzył. Jessika wpatrywała się weń nie mogąc przyjść mu z pomocą. Jeszcze nie posiadł Głosu — myślała. — Jeżeli zawiedzie…

Ornitopter dotknął piasku w lekkim przechyle i Jessika, spoglądając za siebie na północ ponad Mur Zaporowy, dostrzegła tam wysoko cień skrzydeł trzymających się poza zasięgiem wzroku. Ktoś leci za nami — pomyślała. — Kto? I zaraz przyszło jej do głowy: Ci, którym baron kazał obserwować tych dwóch. A obserwatorzy też będą mieli obserwatorów.

Czigo wyłączył rotory skrzydeł. Opadła ich cisza. Jessika odwróciła głowę. Przez okno za Szramą widziała mglistą poświatę wschodzącego księżyca i wyłaniający się z pustyni oszroniony wieniec skał. Wyostrzone piaskiem granie rysowały jego ściany. Paul odchrząknął.

— No jak, Kinet? — powiedział pilot.

— Bo ja wiem, Czigo.

Czigo odwrócił się.

— Aaach, popatrz. — Sięgnął ręką do spódnicy Jessiki.

— Usuń jej knebel — zakomenderował Paul.

Jessika czuła, jak te słowa toczą się w powietrzu. Barwa i ton bez zarzutu — rozkazujący, twardy. Głos mógłby być nieco niższy, ale i tak mieścił się w spektrum tego człowieka. Czigo sięgnął do taśmy na ustach Jessiki i rozsupłał węzeł knebla.

— Przestań! — rozkazał Kinet.

— Och, zamknij dziób — powiedział Czigo. — Ręce ma związane. Rozplątał węzeł i taśma odpadła. Oczy mu się zaświeciły, kiedy wlepił je w Jessikę. Kinet położył dłoń na ramieniu pilota.

— Słuchaj no, Czigo, nie ma potrzeby…

Jessika wykręciła szyję, wypluła knebel. Nastroiła głos na niskie, intymne tony.

— Panowie! Nie ma potrzeby bić się o mnie.

Jednocześnie poruszyła swoimi krągłościami na użytek Kineta. Widząc, jak obaj sztywnieją, poznała, że w tym momencie już są przekonani o konieczności walki. To wystarczyło, by ich skłócić. W myślach już się o nią bili. Twarz trzymała wysoko, w łunie od instrumentów dla pewności, że Kinet odczyta z jej warg to, co mówi.

— Nie kłóćcie się.

Odsunęli się jeden od drugiego, popatrując po sobie ukradkiem.

— Czy w ogóle warto walczyć o kobietę? — spytała.

Przez wypowiedzenie tych słów, przez samą swoją obecność zrobiła się po stokroć warta ich walki. Paul zacisnął usta zmuszając się do zachowania milczenia. Wykorzystał swoją jedyną szansę skutecznego użycia Głosu. Teraz wszystko zależało od jego matki, której doświadczenie dalece przerastało jego własne.

— Taak — rzekł Szrama. — Nie ma potrzeby walczyć o…

Dłoń jego śmignęła do szyi pilota. Napotkała odprysk metalu, który uderzył go w ramię i przedłużając swoją drogę trzasnął Kineta w pierś. Szrama jęknął, osunął się plecami na drzwi.

— Myślał, że trafił na jakiegoś frajera, który nie zna tej sztuczki — powiedział Czigo. Cofnął rękę ujawniając nóż. Ostrze połyskiwało w odblasku księżyca.

— Teraz co do szczeniaka. — powiedział i nachylił się do Paula.

— Nie ma potrzeby — wyszeptała Jessika.

Czigo znieruchomiał, niezdecydowany.

— Nie zależy ci na mojej współpracy? — zapytała Jessika. — Daj chłopcu szansę.

Jej wargi wywinęły się w szyderczym uśmiechu.

— Będzie miał mizerną szansę tam w tym piachu. Daj mu ją, a… — Uśmiechnęła się. — Przekonasz się, że cię dobrze wynagrodzę.

Czigo rozejrzał się na boki, ponownie zatrzymał spojrzenie na Jessice.

— Słyszałem, co może spotkać faceta w tej pustyni — powiedział. — Nóż to może łaska dla chłopca.

— Czy rzeczywiście proszę o tak wiele? — upierała się Jessika.

— Próbujesz mnie wykiwać — wymamrotał Czigo.

— Nie chcę patrzeć na śmierć swego syna — powiedziała Jessika. — Czy to nazywasz kiwaniem?

Czigo cofnął się, łokciem zwolnił zatrzask drzwi. Pochwycił Paula, przeciągnął go przez fotel i do połowy wywiesił za drzwi, trzymając nóż w pogotowiu.

— Co zrobisz, jak ci przetnę sznurki, szczeniaku?

— Odejdzie stąd natychmiast w stronę tamtych skał — rzekła Jessika.

— Tak będzie, co, szczeniaku? — spytał Czigo.

Głos Paula był odpowiednio burkliwy.

— Tak.

Nóż opadł, przecinając mu więzy na nogach. Paul wyczuł na plecach rękę, która miała go zepchnąć w dół na piasek, udał, że zatoczył się na futrynę drzwi, szukając oparcia obrócił się, jakby łapał równowagę, i wziął zamach prawą nogą. Duży palec stopy został wymierzony z precyzją przysparzającą chluby wieloletniemu szkoleniu Paula, jak gdyby cały efekt tego szkolenia przypadł na ten moment. Jakby wszystkie mięśnie ciała brały udział w tym wysiłku. Palec uderzył w miękką część brzucha Czigo, tuż pod mostkiem, z przeraźliwą siłą przebił się ku górze ponad wątrobą i przez przeponę, miażdżąc prawą komorę serca mężczyzny. Strażnik wrzasnął bulgotliwie i zwalił się plecami na fotele. Nie mogąc użyć rąk Paul nie powstrzymał swego upadku na piasek — wylądował przewrotką, która zamortyzowała siłę uderzenia i postawiła go na nogi. Zanurkował z powrotem do kabiny, odnalazł nóż i przytrzymał go w zębach dopóki matka nie przepiłowała swoich więzów. Wtedy wzięła od niego ostrze i uwolniła mu ręce.

— Ja bym go załatwiła — powiedziała. — Musiałby przeciąć moje pęta. To było lekkomyślne ryzyko.

— Dostrzegłem sposobność i skorzystałem z niej — rzekł.

Posłyszała twardy ton w jego opanowanym głosie.

— Na suficie kabiny nagryzmolony jest znak rodu Yuego —

powiedziała.

Spojrzał w górę i przyjrzał się zawijasom.

— Wysiądźmy i zbadajmy ten statek — powiedziała. — Pod siedzeniem pilota jest jakiś tobół. Wyczułam go, jak wsiadaliśmy.

— Bomba?

— Wątpię. Tutaj jest coś dziwnego.

Paul zeskoczył na piasek, Jessika za nim. Kiedy się odwróciła i sięgnęła pod fotel po tajemniczy pakunek, widziała stopy Czigo przy swojej twarzy; poczuła wilgoć na tobołku i zrozumiała, że to krew pilota. Co za marnotrawstwo — pomyślała i uświadomiła sobie, że to arrakański sposób myślenia.

Paul rozejrzał się wokoło, dostrzegł skalną skarpę, która wyrastała z pustyni, jak wyrasta plaża z morza, a ponad nią powyrzynane wiatrem palisady. Odwrócił się, gdy matka dźwignęła pakunek z ornitoptera i ujrzał, że spogląda ponad wydmami w stronę Muru Zaporowego. Kierując tam wzrok, by zobaczyć, co przyciągnęło jej uwagę, spostrzegł pikujący na nich inny ornitopter i zdał sobie sprawę, że nie będą mieli czasu na uprzątnięcie zwłok i ucieczkę.

— Uciekaj, Paul! — krzyknęła Jessika. — Harkonnenowie!

Arrakis naucza filozofii noża — odrąbujemy to, co niekompletne i mówimy: „Teraz jest kompletne, ponieważ tutaj się kończy”.

z „Myśli zebranych Muad’Diba” opracowanych przez księżniczkę Irulan

Mężczyzna w harkonneńskim mundurze zatrzymał się raptownie u wylotu korytarza, zmierzył spojrzeniem Yuego, obejmując tym samym rzutem oka ciało Mapes, rozciągniętą postać księcia i stojącego nad nimi doktora. Mężczyzna trzymał rusznicę laserową w prawej dłoni. Biło od tego człowieka pierwotne okrucieństwo, brutalność i drapieżność, które przejmowały Yuego dreszczem. Sardaukar — pomyślał. — Baszar, sądząc po wyglądzie. Pewnie jeden z imperatorskich wysłanników, przybyły, żeby mieć na oku na bieg wypadków. Żaden mundur ich nie ukryje.

— Jesteś Yueh — powiedział mężczyzna.

Popatrzył z namysłem na obręcz Akademii Suk we włosach doktora, potem na romb tatuażu, wreszcie spojrzał mu prosto w oczy.

— Jestem Yueh — powiedział doktor.

— Możesz się odprężyć, Yueh — rzekł mężczyzna. — Przybyliśmy, jak tylko spuściłeś osłony domu. Panujemy nad sytuacją.

Czy to jest książę?

— To jest książę.

— Martwy?

— Tylko nieprzytomny. Radzę ci go związać.

— Ty załatwiłeś tych pozostałych? — Obejrzał się w głąb korytarza, gdzie leżało ciało Mapes.

— Tym większa szkoda — zamruczał Yueh.

— Szkoda! — powiedział drwiąco sardaukar. Zbliżył się i spojrzał z góry na Leto.

— Więc to jest ów wielki Czerwony Książę.

Gdybym przedtem miał wątpliwości, kim jest ten człowiek, już bym ich nie miał — pomyślał Yueh. — Tylko Imperator nazywa Atrydów czerwonymi książętami.

Sardaukar sięgnął w dół, odciął godło czerwonego jastrzębia od munduru Leto.

— Mała pamiątka — powiedział. — Gdzie jest książęcy sygnet?

— Nie ma go na palcu — odparł Yueh.

— To widzę! — warknął sardaukar.

Yueh zdrętwiał, przełknął ślinę. Jeżeli mnie przyduszą, jeżeli ściągną prawdomówczynię, to dowiedzą się o pierścieniu i o przygotowanym ornitopterze i wszystko przepadnie.

— Czasami książę wysyłał gońca z pierścieniem na znak, że rozkaz pochodzi bezpośrednio od niego — powiedział Yueh.

— Diablo zaufani musieli być ci gońcy — mruknął sardaukar.

— Nie związesz go? — odważył się zapytać Yueh.

— Jak długo będzie nieprzytomny?

— Ze dwie godziny. Nie odmierzyłem tak dokładnie jego dawki, jak dla kobiety i chłopca.

Sardaukar trącił księcia końcem stopy.

— Czego tu się bać, nawet gdyby to było przytomne. Kiedy obudzą się kobieta i chłopiec?

— Za jakieś dziesięć minut.

— Tak szybko?

— Powiedziano mi, że zaraz przybędzie baron ze swoimi ludźmi.

— I przybędzie. Czekaj na zewnątrz, Yueh. — Rzucił mu twarde spojrzenie.

— Już!

Yueh zerknął na Leto.

— Co z…

— Zostanie dostarczony baronowi w całości i spętany jak jagnię na rożnie.

Ponownie sardaukar popatrzył na romb wytatuowany na czole Yuego.

— Wiedzą o tobie; nic ci się nie powinno stać w korytarzach. Nie

mamy więcej czasu na pogaduszki, zdrajco. Słyszę, że pozostali nadchodzą.

Zdrajco — pomyślał Yueh. Spuścił oczy i przecisnął się obok sardaukara, mając przedsmak tego, jak zapamięta go historia: „Yueh zdrajca".

W drodze do głównego wyjścia mijał coraz więcej ciał i zerkał na nie z przerażeniem, że któreś z nich okaże się Paulem lub Jessiką. Wszyscy byli z gwardii pałacowej lub nosili mundury Harkonnenów. Nadbiegły zaalarmowane straże Harkonnenów, kiedy z frontowych drzwi wyszedł w rozjaśnioną płomieniami noc. Aby oświetlić budynek, podpalono przydrożne palmy. Czarny dym z użytych do podpałki materiałów zapalnych bił do góry przez pomarańczowe języki ognia.

— To zdrajca — powiedział ktoś.

— Baron będzie chciał cię niebawem widzieć — powiedział inny.

Muszę dostać się do ornitoptera — myślał Yueh — Muszę włożyć książęcy sygnet tam, gdzie Paul go odnajdzie — I przeszył go strach — Jeśli Idaho mnie podejrzewa albo straci cierpliwość — o ile nie czeka i nie uda się dokładnie tam, gdzie mu kazałem — Jessika i Paul nie uratują się z pogromu. Zostanę pozbawiony najmniejszego choćby pocieszenia za swój czyn.

Harkonneński wartownik puścił jego ramię.

— Zaczekaj tam na uboczu — powiedział.

Nagle Yueh zobaczył, że go odtrącono w tym miejscu zniszczenia, że mu niczego nie oszczędzono, nie okazano odrobiny litości. Idaho nie może zawieść!

— Hej, ty, nie plącz się pod nogami! — wpadając na niego warknął inny strażnik.

Wykorzystać to mnie umieli, a nie umieją się zdobyć na to, żeby mnie ścierpieć — pomyślał Yueh. Wyprostował się, gdy odepchnięto go na bok, odzyskał nieco swej godności.

— Czekaj na barona — warknął oficer gwardii.

Yueh kiwnął głową, przeszedł ze świadomą nonszalancją wzdłuż frontu budynku, skręcił za róg w cień, z dala od widoku płonących palm. Szybko, każdym krokiem zdradzając podniecenie, dotarł na tylny dziedziniec pod oranżerię, gdzie czekał ornitopter podstawiony, by zabrać Paula i jego matkę. Wartownik stał w otwartych drzwiach z tyłu domu, patrząc na oświetlony hol i tłoczących się tam ludzi, którzy przeszukiwali pokój za pokojem.

Jakże byli pewni siebie! Trzymając się cienia Yueh obszedł dokoła ornitopter i uchylił drzwi w zasłoniętej przed wartownikiem burcie. Pod przednim siedzeniem wymacał ukryty tam przez siebie fremsak, podniósł klapę i wsunął do środka dłoń z książęcym sygnetem. Natknął się na szeleszczący papier przyprawowy swojego listu, wcisnął pierścień w kartkę. Wyjął rękę i zapiął fremsak. Zamknął

delikatnie drzwi ornitoptera, tą samą drogą przedostał się do narożnika pałacu i skręcił za róg pod płonące drzewa. Po raz drugi wyłonił się w świetle buchających płomieniami palm. Otulił się płaszczem, zatopił spojrzenie w płomieniach. Niebawem będę wiedział. Niebawem stanę przed baronem i będę wiedział. A baron… baron napotka niewielki ząb.

Legenda głosi, że kiedy książę Leto Atryda umierał, meteor przeciął nieboskłon ponad jego rodowym pałacem na Kaladanie.

Księżniczka Irulan „Wstęp do historii dzieciństwa Muad'Diba"

Baron Vladimir Harkonnen stał przed bulajem zacumowanej lichtugi, w której założył stanowisko dowodzenia. Przez bulaj widział rozświetloną płomieniami noc nad Arrakin. Uwagę skupił na odległym Murze Zaporowym, gdzie jego tajna broń dokonywała swego dzieła. Artyleria lufowa. Armaty nadgryzały groty, do których wycofali się wojownicy księcia, by w nich bronić się do ostatka. Powolny rytm ukąszeń pomarańczowej łuny, kaskady kamienia i pyłu w krótkich iluminacjach grzebały ludzi księcia osaczonych jak zwierzęta w norach, skazując ich na śmierć głodową.

Baron wyczuwał odległe tąpnięcia — dudnienie dochodzące doń za pośrednictwem metalu statku: łup… łup. I znów: łłłup… łłłup! Komu przyszłoby do głowy wskrzeszać artylerię w epoce tarcz? Ta myśl była chichotem jego duszy. — Można było przewidzieć, że ludzie księcia zwieją do tych grot. Zaś Imperator doceni spryt, z jakim ocaliłem przed stratami naszą wspólną armię.

Poprawił jeden z maleńkich dryfów chroniących jego otyłe ciało przed wpływem siły ciążenia. Uśmiech zmarszczył mu usta, napiął fałdy podbródka. — Żal marnować takich wojowników jak żołnierze księcia — pomyślał. Uśmiechnął się szerzej pod swoim adresem — Żal powinien być okrutny! — Pokiwał głową. Niepowodzenie jest kosztowne z definicji. Przed człowiekiem, który potrafi podejmować właściwe decyzje, cały wszechświat stoi otworem. Niepewne króliki należało wykurzyć do nor, zmusić do ucieczki. Jakże by inaczej nimi rządzić i je hodować? Wyobraził sobie swoich żołnierzy jako pszczoły zaganiające króliki. I pomyślał: Dzień słodko nuci, kiedy masz dość pszczół, które na ciebie pracują.

Za jego plecami otworzyły się drzwi. Baron wyjrzał się bacznie odbiciu w czarnym od nocy bulaju, nie odwracając głowy. Do pokoju

wśliznął się Piter de Vries, któremu po piętach deptał Umman Kudu, kapitan straży przybocznej barona. Tuż za drzwiami zrobił się ruch — tępawe oblicza członków jego gwardii wyrażały przezorną bojaźń w obecności barona.

Baron odwrócił się. Piter przyłożył palec do pukla włosów w żartobliwym salucie.

— Dobre wieści, mój panie. Sardaukarzy dostarczyli księcia.

— To oczywiste, że dostarczyli — zahuczał baron.

Przyjrzał się mrocznej masce nikczemności na zniewieściałej twarzy Pitera. I jego oczom: tym cienistym szparkom najbłękitniejszego błękitu w błękicie. Muszę się go wkrótce pozbyć — pomyślał baron. Osiągnął już niemal punkt krytyczny swego życia: właściwie przestał być użyteczny, a stał się groźny dla mojej osoby. Najpierw musi jednakże zasłużyć sobie na nienawiść ludności Arrakis. Wtedy powitają tu mego kochanego Feyda-Rauthę jak zbawiciela.

Baron przeniósł spojrzenie na kapitana straży, Ummana Kudu — na żuchwy jak imadło i podbródek jak szpic buta — kapitanowi można było ufać, ponieważ znane były jego nałogi.

— Najpierw gdzie jest zdrajca, który wydał mi księcia? — zapytał baron — Muszę dać zdrajcy nagrodę.

Piter okręcił się jak baletnica, skinął komuś za drzwiami. Mignęło tam przez moment coś czarnego i wkroczył Yueh. Zbliżał się sztywno, jak marionetka. Wąsy mu obwisły po obu stronach rubinowych warg. Jedynie postarzałe oczy wydawały się żywe.

Zrobiwszy trzy kroki Yueh zatrzymał się posłusznie na skinienie Pitera i nie ruszając się z miejsca spoglądał przez pustą przestrzeń na barona.

— Aaach, doktor Yueh.

— Mój pan Harkonnen.

— Słyszę, że wydałeś nam księcia.

— Moja część umowy, mój panie.

Baron popatrzył na Pitera. Piter kiwnął głową. Baron z powrotem zwrócił oczy na Yuego.

— Litera umowy, co? A ja… — Wypluł z siebie słowa: — …Co ja miałem zrobić w zamian?

— Pamiętacie bardzo dobrze, mój panie Harkonnen.

I Yueh znalazł czas do namysłu, słysząc już ogłuszającą ciszę zatrzymanych w swoim umyśle zegarów. Dostrzegał ledwo uchwytne znaki w zachowaniu barona. Wanna w rzeczywistości nie żyła — odeszła tam, gdzie jej nie dosięgną. Inaczej bowiem nadal trzymaliby w garści słabego doktora. Zachowanie barona zdradzało, że tak nie jest, że to się skończyło.

— Pamiętam? — zapytał baron.

— Obiecałeś wybawić moją Wannę od katuszy.

Baron pokiwał głową.

— Ach, tak. Teraz sobie przypominam. Obiecałem. Taka była moja obietnica. W ten sposób przełamaliśmy warunkowanie imperialne. Nie mogłeś znieść widoku swojej czarownicy Bene Gesserit wijącej się we wzmacniaczach bólu Pitera. Cóż, baron Vladimir Harkonnen zawsze dotrzymuje obietnic. Powiedziałem ci, że uwolnię ją od męczarni i pozwolę ci do niej iść. Więc niech tak się stanie.

Ręką skinął Piterowi.

Błękitne oczy Pitera przybrały szklisty wyraz. Jego błyskawiczny ruch miał w sobie kocią płynność. Nóż błysnął w dłoni niczym pazur, zatapiając się w plecach Yuego. Stary człowiek zesztywniał, ani przez moment nie spuszczając wzroku z barona.

— Więc idź do niej! — wypluł z siebie baron.

Yueh stał słaniając się na nogach. Jego wargi poruszały się ze staranną precyzją, a głos rozbrzmiewał w osobliwie odmierzanej kadencji.

— Myślisz… że… mnie… zni…szczyłeś. Myślisz… że… nie… wie…działem… co… kupiłem… za… moją… Wannę.

Upadł. Nie zgiął się, ani nie zwiotczał. Jakby runęło drzewo.

— Więc idź do niej — powtórzył baron. Lecz jego słowa sprawiały wrażenie słabego echa.

Yueh napełnił go złym przeczuciem. Podniósł wzrok na Pitera, przyglądając się, jak wyciera ostrze w kawałek szmaty, obserwując wyraz rozmarzenia i satysfakcji w błękitnych oczach.

— A więc to tak on zabija własnymi rękami — pomyślał baron. — Warto wiedzieć.

— Wydał nam księcia? — zapytał.

— Ależ oczywiście, mój panie — powiedział Piter.

— Więc dawajcie go tutaj!

Piter spojrzał na kapitana straży, który posłusznie obrócił się na pięcie. Baron popatrzył z góry na Yuego. Ze sposobu, w jaki ten człowiek padł, można by podejrzewać, że miał twarde drzewo dębowe zamiast kości.

— Nigdy nie potrafiłem przełamać się i zaufać zdrajcy — rzekł baron. — Nawet zdrajcy, którego sam stworzyłem.

Rzucił okiem na przesłonięty całunem nocy bulaj. Wiedział już, że ta cała czarna cisza na zewnątrz należy do niego. Ustał ostrzał artyleryjski grot Muru Zaporowego, podziemne pułapki były odcięte. Zupełnie niespodziewanie baron nie mógł sobie wyobrazić nic piękniejszego od owej całkowitej pustki czerni. Chyba, że byłaby to biel na czerni. Biel srebra na czerni. Biel porcelany. Ale uczucie niepewności nadal go nie opuszczało. Co miał na myśli ten stary dureń doktor? Oczywiście wiedział zapewne, co go w końcu czeka. Ale to

jego gadanie o tym rzekomym zniszczeniu: „Myślisz, że mnie zniszczyłeś”. O co mu chodziło?

Książę Leto Atryda przestąpił próg pokoju. Ręce miał spętane kajdanami, orlą twarz pobrudzoną ziemią. Jego mundur był rozdarty w miejscu, skąd ktoś oderwał insygnia. W talii wisiały strzępy wiązań pasa tarczy, który usunięto bez odpinania go od munduru. Oczy księcia miały szklisty, obłąkany wyraz.

— No, no, no — powiedział baron.

Zawahał się biorąc głęboki oddech. Wiedział, że przemówił zbyt głośno. Ten moment, z dawna wymarzony, stracił nieco ze swego smaczku.

Niech piekło pochłonie przeklętego doktora na całą wieczność!

— Przypuszczam, że poczciwego księcia uraczono narkotykiem — powiedział Piter. — W ten sposób Yueh go dla nas złapał. — Piter zwrócił się do księcia. — Czyż nie jesteś uraczony narkotykiem, mój drogi książę?

Głos dochodził z wielkiej dali. Leto czuł łańcuchy, ból mięśni, spękane wargi, piekące policzki, suchy posmak pragnienia jak szelest piasku w ustach. Ale dźwięki były stłumione otulającą je watą. A przez tę watę widział jedynie mgliste zarysy.

— Co z kobietą i chłopcem. Piter? — spytał baron. — Jeszcze nie ma wiadomości?

Piter przesunął językiem po wargach.

— Ty coś wiesz? — burknął baron. — Co?

Piter obejrzał się na kapitana straży i znów spojrzał na barona.

— Ludzi wysłanych do wykonania tej roboty, mój panie… hm… ich… hm… odnaleziono.

— No więc, meldują, że wszystko w porządku?

— Są martwi, mój panie.

— Oczywiście, że są! Ja chcę tylko wiedzieć, co…

— Byli martwi, kiedy ich znaleziono, mój panie.

Twarz barona posiniała.

— A kobieta i chłopiec?

— Ani śladu, mój panie, ale był tam czerw. Zjawił się w trakcie badania tego miejsca. Być może jest tak, jak sobie życzyliśmy… wypadek. Możliwe, że…

— Nas nie interesują możliwości, Piter. Co z tym brakującym ornitopterem? Mówi to coś mojemu mentatowi?

— Któryś z ludzi księcia bez wątpienia nim uciekł, mój panie, zabił naszego pilota i uciekł.

— Który z ludzi księcia?

— To była czysta, cicha robota, mój panie. Być może Hawat albo ten typ Halleck. A może Idaho. Lub którykolwiek z najwyższych adiutantów.

— Same możliwości… — mruknął baron.

Spojrzał na słaniającą się, zamroczoną postać księcia.

— Panujemy nad sytuacją, mój panie.

— Nie, nie panujemy! Gdzie jest ten kretyn planetolog? Gdzie jest ten typ Kynes?

— Mamy wiadomości, gdzie go znaleźć. Posłano po niego, mój panie.

— Nie podoba mi się sposób, w jaki pomaga nam sługa Imperatora. — burknął baron.

Kokon waty oddzielał słowa, lecz niektóre z nich zapłonęły w umyśle Leto. Kobieta i chłopiec — ani śladu. Paul z Jessiką uciekli. I nie znane były ciągle losy Hawata, Hallecka i Idaho. Jeszcze była nadzieja.

— Gdzie jest książęcy sygnet? — spytał baron. — Nie ma go na palcu.

— Sardaukarzy mówią, że go nie miał przy sobie w chwili pojmania — powiedział kapitan straży.

— Za wcześnie zabiłeś doktora — rzekł baron. — To był błąd. Powinieneś mnie ostrzec, Piter. Postąpiłeś zbyt pochopnie z punktu widzenia dobra naszego przedsięwzięcia. — Nachmurzył się. — Możliwości!

W umyśle Leto plątała się sinusoidalną falą jedna myśl: Paul i Jessika uciekli! I coś tam jeszcze było w jego pamięci: Umowa! Prawie ją sobie przypominał. Ząb! Pamiętaj teraz jej część: kapsułka z gazem trującym w formie sztucznego zęba. Ząb ma w ustach. Wystarczy tylko przygryźć go mocno. Jeszcze nie! Ten ktoś polecił mu zaczekać, aż znajdzie się blisko barona. Kto mu polecił? Nie mógł sobie przypomnieć.

— Jak długo on będzie w takim stanie? — zapytał baron.

— Może jeszcze godzinę, mój panie.

— Może… — mruknął baron.

Ponownie odwrócił się do czarnego okna.

— Jestem głodny.

To jest baron, tamten rozmazany, szary kształt — pomyślał Leto. Kształt tańczył na wszystkie strony, chwiejąc się w takt kołysania pokoju. A pokój rozszerzał się i kurczył. Rozjaśniał się i ciemniał. Otulał to czernią, to bielą. Czas stał się dla księcia sekwencją warstw, przez które wypływał na powierzchnię. Muszę czekać.

Tam jest stół. Leto widział stół całkiem wyraźnie. I opasłego, tłustego człowieka po drugiej stronie stołu; przed nim resztki posiłku. Leto poczuł, że siedzi na krześle naprzeciwko tłustego człowieka, czuł łańcuchy, pasy, które utrzymywały jego mrowiące ciało na krześle. Był świadom upływu czasu, ale jego wymiar mu umknął.

— Przypuszczam, że on dochodzi do siebie, baronie.

Jedwabisty ten głos. To był Piter.

— Widzę to, Piter. — Dudniący bas: baron.

Zmysły Leto odbierały otoczenie z coraz większą ostrożnością. Krzesło pod nim zrobiło się twarde, więzy mocniej wrzynały się w ciało. I widział już wyraźnie barona.

Śledził wędrówkę dłoni tego człowieka, ich wymuszone ruchy, dotknięcie brzegu talerza, łyżki, wodzenie palcem po fałdzie brody. Leto obserwował poruszającą się dłoń zafascynowany.

— Słyszysz mnie, książę Leto? — rzekł baron. — Wiem, że mnie słyszysz. Chcemy się od ciebie dowiedzieć, gdzie znaleźć twoją konkubinę i dziecko, które z nią spłodziłeś.

Uwagi Leto nie umknął żaden znak, zaś słowa napełniły go spokojem. Więc to prawda: nie mają Paula i Jessiki.

— To nie dziecinna zabawa — mruknął baron. — Musisz o tym wiedzieć.

Pochylił się ku Leto, zaglądając mu badawczo w twarz. Bolało barona, że nie może tego załatwić prywatnie, tylko między nimi dwoma. Dopuszczenie innych do oglądania członka rodziny królewskiej w takich opałach ustanawiało niekorzystny precedens.

Leto czuł, że wracają mu siły. I pamięć o sztucznym zębie sterczała teraz w jego umyśle jak strzelista wieża w płaskim pejzażu. Kapsuła w kształcie nerwu wewnątrz owego zęba — gaz trujący — pamiętał, kto włożył śmiercionośną broń w jego usta. Yueh.

Zamglone narkotykiem wspomnienie bezwładnego ciała, wleczonego przy nim w tym pomieszczeniu unosiło się jak opary w pamięci Leto. Wiedział, że to był Yueh.

— Czy słyszysz ten hałas, książę Leto? — zapytał baron.

Do Leto dotarł skrzekliwy dźwięk, gardłowe kwilenie czyjejś męki.

— Złapaliśmy jednego z twoich ludzi przebranego za Fremena — powiedział baron. — Przejrzeliśmy tę maskaradę z dziecinną łatwością: oczy, jak wiesz. On się upiera, że został wysłany między Fremenów na przeszpiegi. Mieszkałem jakiś czas na tej planecie, *cher cousin*. Nie szpieguje się tej łachmaniarskiej, pustynnej hałastry. Powiedz mi, czy kupiłeś ich pomoc? Czy wysłałeś do nich swoją kobietę i syna?

Leto poczuł ucisk strachu na piersi. Jeśli Yueh wysłał ich do pustynnego ludu… to nie zaprzestaną ich tropić, aż znajdą.

— No, dalej — powiedział baron. — Nie mamy wiele czasu, a ból jest prędki. Proszę, nie doprowadzaj do tego, mój drogi książę.

Baron podniósł oczy na Pitera stojącego przy ramieniu Leto.

— Piter nie ma tutaj swoich wszystkich narzędzi, ale nie wątpię, że stać go na improwizację.

— Czasami improwizacja jest najlepsza, baronie.

Jaki jedwabisty, ujmujący głos! — Leto słyszał go przy samym uchu.

— Miałeś plan na wypadek zagrożenia — rzekł baron. — Dokąd została wysłana twoja kobieta i chłopiec? — Spojrzał na dłoń Leto. — Zginął twój pierścień. Czy ma go chłopiec? — Baron podniósł wzrok spoglądając Leto w oczy. — Nie odpowiadasz — powiedział. — Czy chcesz mnie zmusić do zrobienia rzeczy, której nie chcę zrobić? Piter zastosuje proste, bezpośrednie metody. Zgadzam się, że one są czasami najlepsze, ale nie jest to najlepsze, żebyś ty został im poddany.

— Może gorący łój na grzbiet albo na powieki — powiedział Piter. — Może na inne części ciała. Jest to szczególnie skuteczne, kiedy osobnik nie wie, gdzie łój kapnie następnym razem. To dobry sposób i jest coś pięknego w deseniu ropno — białych pęcherzy na gołej skórze, co, baronie?

— Wyśmienite — powiedział baron, a jego głos zabrzmiał szorstko.

Jakie wrażliwe palce! — Leto śledził tłuste ręce, klejnoty połyskujące na niemowlęco pulchnych dłoniach — ich nieustanną wędrówkę. Odgłosy męczarni dochodzące przez drzwi za jego plecami szarpały nerwy księcia. Kogo oni złapali? — zastanawiał się. — Miałżeby to być Idaho?

— Wierz mi, *cher cousin* — rzekł baron. — Nie chcę, aby do tego doszło.

— Pomyśl o nerwokurierach śpieszących po pomoc, która nie może nadejść — powiedział Piter. — W tym jest coś ze sztuki, pojmujesz.

— Jesteś nadzwyczajnym artystą — warknął baron. — A teraz miej trochę przyzwoitości i zamknij się.

Leto nagle przypomniał sobie coś, co Gurney Halleck powiedział kiedyś na widok fotografii barona: „I stanąwszy na piasku plaży ujrzałem z morza powstającą bestię… a na jej łbach wypisane bluźnierstwo”.

— Tracimy czas, baronie — powiedział Piter.

— Być może.

Baron pokiwał głową.

— Wiesz, mój drogi Leto, że w końcu nam powiesz, gdzie oni są. Istnieje poziom bólu, który jest twoją ceną.

On ma najprawdopodobniej rację — myślał Leto. — Gdyby nie ząb i fakt, że ja naprawdę nie wiem, gdzie oni są…

Baron wziął plaster mięsa, wcisnął kąsek do ust, pogryzł powoli i przełknął. Musimy spróbować z innej beczki — pomyślał.

— Przyjrzyj się tej bezcennej osobie, która zaprzecza, że można ją kupić — powiedział. — Przyjrzyj mu się, Piter.

I baron zamyślił się: Tak! Obejrzyj go sobie, tego mężczyznę, który wierzy, że nie jest na sprzedaż. Zobacz go tego więźnia milionów cząstek własnego jestestwa, sprzedawanych po trochu z każdą sekundą jego życia! Postaw go na nogi i potrząśnij, a w środku zagrzechocze. Bo jest pusty! Wyprzedany! Co za różnica, jak on umrze?

Chrapliwe krzyki w dalszym planie ustały. Baron zobaczył, jak Umman Kudu, kapitan straży, pojawia się w drzwiach po drugiej stronie pokoju i kręci głową. Jeniec nie udzielił żądanej informacji. Kolejne niepowodzenie. Czas skończyć zabawę z tym durnym księciem, z tym głupim, miękkim idiotą, nie zdającym sobie sprawy, jakie piekło goreje tuż przy nim — zaledwie na grubość nerwu od niego. Myśl ta uspokoiła barona, przełamując jego opory przed wydaniem osoby królewskiego rodu na tortury. Zobaczył nagle siebie w roli chirurga dokonującego za pomocą nożyczek nieprzeliczonych wiwisekcji — odkrawania głupcom masek, by wyjrzało spod nich piekło. Króliki, wszyscy to króliki. A jak truchleją ze strachu na widok drapieżcy!

Leto spoglądał przez stół dziwiąc się, dlaczego zwleka. Ząb szybko położyłby kres temu wszystkiemu. Dobre jednak było to jego życie, ogólnie wziąwszy. Zorientował się, że wspomina latawiec antenowy, szybujący na sznurku wysoko w perłowo — błękitnych niebiosach Kaladanu i Paula śmiejącego się radośnie na ten widok.

I przypomniał sobie zachód słońca tutaj na Arrakis — pokolorowane warstwy Muru Zaporowego, zaksamitniałe w pylistym omgleniu.

— Wielka szkoda — zamruczał baron.

Odsunął się od stołu, uniósł z lekka w swych dryfach i znieruchomiał niezdecydowany widząc zmianę w księciu. Zobaczył, że wciąga on głęboko powietrze, zarys jego szczęk twardnieje i marszczą się mięśnie, gdy książę zaciska zęby jak imadło. Ale się mnie boi! — pomyślał.

Porażony strachem, że baron może mu umknąć, Leto zgryzł raptownie kapsułkę zęba: poczuł, jak ją kruszy. Otworzył usta, wydmuchnął gryzący opar, którego powstawanie czuł na języku. Baron zmalał mu, widział jego postać jakby w oddalającym się wylocie tunelu. Usłyszał sapnięcie przy swoim uchu — tego o jedwabistym głosie: Pitera.

Jemu też się dostało!

— Piter! Co jest?

Dudniący głos huczał hen w oddali. Leto poczuł, jak wspomnienia przetaczają się przez jego pamięć starczym mamrotaniem bezzębnych wiedźm. Pokój, stół, baron, para przerażonych oczu — błękit w błękicie — wszystko zacieśniło się wokół niego w zrujnowanej

symetrii.

Był jakiś człowiek z brodą jak szpic buta, padający człowiek — zabawka. Człowiek — zabawka miał złamany nos przekrzywiony w lewo: zepsuty metronom na zawsze zastygły na starcie. Leto usłyszał odgłos tłuczonej porcelany — jakże daleki — niby grzmot. Jego świadomość była jak wiadro, w które wpadło wszystko: każdy krzyk, każdy szept, każda cisza…

Pozostała mu jedna myśl. Widział ją w bezkształtnym świetle na promieniach czerni: Dzień, który kształtuje ciało, ciało, które kształtuje dzień. Myśl poraziła go swą pełnią, której jak wiedział, nigdy już nie zrozumie.

Cisza.

Baron opierał się plecami o swoje sekretne drzwi, o swoją mysią dziurę za stołem. Zatrzasnął je, by się oddzielić od pokoju pełnego trupów. Jego zmysły odbierały kręcące się dokoła straże. Czy ja to wciągnąłem do płuc? — zadawał sobie pytanie. — Obojętne, co to było — czy i mnie się dostało? Powracał mu słuch… i zdolność rozumowania. Słyszał wykrzykiwane przez kogoś rozkazy: maski gazowe… nie otwierać drzwi… włączyć dmuchawy.

Inni padli szybko — pomyślał. — Ja nadal stoję. Nadal oddycham. Co za piekło! Niewiele brakowało! Mógł już teraz analizować sytuację. Jego tarcza była włączona, na niską aktywność, lecz mimo to wystarczającą, by zwolnić wymianę cząsteczek przez osłonę. I odsuwał się od stołu… to, oraz sapnięcie porażonego Pitera, które sprawiło, że kapitan straży rzucił się ku niemu na własną zgubę. Przypadek i ostrzeżenie w postaci westchnienia umierającego człowieka — oto co go ocaliło. Baron nie czuł żadnej wdzięczności dla Pitera. Dureń sam się dał zabić. I ten idiota kapitan straży! Powiedział, że prześwietlił każdego przed doprowadzeniem do barona! Jak to możliwe, żeby książę…? Bez żadnego ostrzeżenia. Nawet wykrywacz trucizny nad stołem… a potem było już za późno. Jak to się stało? Cóż, teraz to już bez znaczenia — pomyślał baron, coraz pewniejszy siebie. — Następny kapitan straży zacznie od znalezienia odpowiedzi na te pytania. Zdał sobie sprawę z zamieszania w końcu korytarza — za zakrętem, pod drugimi drzwiami do owej celi śmierci. Odepchnął się od swoich prywatnych drzwi, popatrzył po sługusach wokół siebie. Stali gapiąc się w przestrzeń przed siebie, w milczeniu, w oczekiwaniu na reakcję barona. Czy baron będzie się gniewał? Uświadomił sobie, że od jego ucieczki z tego strasznego pokoju upłynęło zaledwie parę sekund. Niektórzy strażnicy trzymali broń wycelowaną w drzwi, inni kierowali swoją wrogość w stronę pustego korytarza prowadzącego do hałasów za zakrętem w prawo. Zza rogu wyszedł mężczyzna z maską gazową, dyndającą mu u szyi na paskach, z oczami bacznie wpatrzonymi w wykrywacze trucizny rozstawione rzędem w

korytarzu. Miał żółte włosy, twarz płaską, oczy zielone. Wokół jego ust o grubych wargach rozchodziły się promieniście głębokie zmarszczki. Wyglądał jak stworzenie wodne, zupełnie nie na miejscu wśród tych, co chodzą po ziemi. Baron wpatrywał się w nadchodzącego mężczyznę, przypominając sobie jego imię: Nefud. Iakin Nefud. Kapral straży. Nefud miał nałogową słabość do semuty, kombinacji narkotyczno — muzycznej działającej na najgłębszą podświadomość. Była to pożyteczna informacja.

Mężczyzna stanął przed baronem, zasalutował.

— Korytarz czysty, mój panie. Obserwowałem sytuację z zewnątrz i zorientowałem się, że to musi być gaz trujący. Wentylatory twego pokoju ciągną powietrze z tych korytarzy.

Zerknął do góry na wykrywacz nad głową barona.

— Ani odrobina tego paskudztwa się nie wymknęła. Oczyściliśmy już pokój. Czekam na rozkazy.

Baron rozpoznał głos mężczyzny — to on wykrzykiwał polecenia.

Sprawny jest ten kapral — pomyślał.

— Tamci wszyscy są martwi? — zapytał.

— Tak, mój panie.

Cóż, musimy dokonać poprawek — pomyślał baron.

— Najpierw — powiedział — pozwól, że ci pogratuluję, Nefud. Jesteś nowym kapitanem mojej straży. I mam nadzieję, że weźmiesz sobie do serca lekcję, jaką stanowi los twojego poprzednika.

Baron przyglądał się, jak jego słowa zapadają w świadomości świeżo promowanego gwardzisty. Nefud wiedział, że już nigdy nie zabraknie mu semuty. Skłonił głowę.

— Pan mój wie, że całkowicie poświęcę się sprawie jego bezpieczeństwa.

— Tak. Ale do rzeczy. Podejrzewam, że książę miał coś w ustach. Znajdziesz to, sprawdzisz, jak zostało użyte, kto mu to pomógł tam włożyć. Podejmiesz wszelkie środki…

Urwał — a tok jego myśli poszedł w rozsypkę z powodu awantury, jaka wybuchła w korytarzu za jego plecami: strażnicy przy drzwiach windy z niższych pokładów fregaty próbowali nie przepuścić wysokiego pułkownika baszara, który przed chwilą się z niej wyłonił. Baron nie wiedział, skąd zna twarz pułkownika baszara: wąską, z ustami jak przecięcie w skórze, z bliźniaczymi atramentowymi plamkami w miejscu oczu.

— Łapy przy sobie, bando ścierwojadów! — ryknął mężczyzna odrzucając od siebie strażników na boki.

Aaach, jakiś sardaukar — pomyślał baron. Pułkownik baszar podążał wielkimi krokami w stronę barona, którego oczy zwęziły się pod wpływem złego przeczucia. Oficerowie sardaukarów napawali go niepokojem. Wszyscy oni z wyglądu sprawiali wrażenie krewnych

księcia… świętej pamięci księcia. A ich maniery wobec barona!

Pułkownik baszar zatrzymał się pół kroku przed baronem, z rękami na biodrach. Za nim w nerwowej niepewności czaili się strażnicy. Uwagi barona nie uszedł fakt, że sardaukar nie oddał mu honorów i że zachowywał się lekceważąco, i jego niepokój wzrósł. Na miejscu był zaledwie jeden legion sardaukarów — czyli dziesięć brygad — jako wsparcie dla harkonneńskich legionów, ale baron nie żywił złudzeń. Ów legion mógł z powodzeniem napaść i pobić Harkonnenów.

— Powiedz swoim ludziom, że mają mi nie przeszkadzać w spotkaniu z tobą — warknął sardaukar. — Moi ludzie dostarczyli ci księcia, nim zdążyłem omówić z tobą jego los. Zrobimy to teraz.

— A więc? — Było to oziębleważone słowo i baron poczuł się z niego dumny.

— Mój Imperator polecił mi upewnić się, że jego królewski krewniak umrze przyzwoicie, bez męczarni — rzekł pułkownik baszar.

— Takie właśnie otrzymałem rozkazy od władz imperialnych — skłamał baron. — Sądzisz, że bym się do nich nie zastosował?

— Mam zameldować mojemu Imperatorowi, co widziały moje oczy — rzekł sardaukar.

— Książę już nie żyje — uciął baron i odprawił natręta gestem.

Ale pułkownik baszar nadal tkwił przed baronem. Najmniejszym drgnieniem powieki czy mięśnia nie potwierdził, że przyjął odprawę do wiadomości.

— Jak? — warknął.

Doprawdy — pomyślał baron — tego już za wiele.

— Z własnej ręki, jeśli już musisz wiedzieć — odparł. — Zażył truciznę.

— Obejrzę ciało — rzekł pułkownik baszar.

Baron wzniósł oczy do sufitu z udaną irytacją; miał gonitwę myśli. Przekleństwo! Ten sokolooki sardaukar zobaczy pomieszczenie, zanim cokolwiek zmienimy!

— Teraz — warknął sardaukar. — Muszę to wszystko zobaczyć na własne oczy.

Nie da się temu zapobiec — zdał sobie sprawę baron. Sardaukar zobaczy wszystko. Będzie wiedział, że książę zabił Harkonnenowi ludzi… że sam baron najprawdopodobniej o włos uniknął śmierci. Świadczyły o tym resztki obiadu na stole i trup księcia naprzeciwko, wśród otaczających go śladów zniszczenia. To nieuniknione, nie da się temu zapobiec.

— Nie dam się zbyć — burknął pułkownik baszar.

— Nikt cię nie próbuje zbyć — powiedział baron i spojrzał w obsydianowe oczy sardaukara. — Nie mam nic do ukrycia przed swym Imperatorem. — Skinął głową Nefudowi.

— Proszę natychmiast pokazać wszystko pułkownikowi baszarowi. Wprowadź go przez drzwi, za którymi stałeś, Nefud.

— Proszę tędy, sir — powiedział Nefud.

Niespiesznie, wyniośle, sardaukar obszedł barona, przepchnął się przez straże.

To jest nie do zniesienia — pomyślał baron. — Teraz Imperator dowie się, jaką strzeliłem gafę. Poczyta to za oznakę słabości. Dręcząca była świadomość, że Imperator i jego sardaukar mają podobną pogardę dla słabości. Baron zagryzał dolną wargę pocieszając się, że Imperator nie dowiedział się przynajmniej o atrydzkim rajdzie na Giedi Prime i zniszczeniu harkonneńskich zasobów przyprawy. Do cholery z tym szczwanym księciem! Baron śledził oddalające się plecy aroganckiego sardaukara i krępego, kompetentnego Nefuda. — Musimy dokonać poprawek — myślał. Trzeba raz jeszcze ustanowić Rabbana nad tą przeklętą planetą. Bez żadnych hamulców. Muszę przelać swoją własną harkonneńską krew, by przygotować Arrakis na odpowiednie przyjęcie Feyda-Rauthy. Przeklęty Piter! Zachciała mu się ginąć, zanim z nim skończyłem — baron westchnął. — I muszę zaraz posłać na Tleielax po nowego mentata. Niewątpliwie mają już dla mnie gotowego.

Jakiś gwardzista zakasłał w pobliżu. Baron zwrócił się do tego człowieka.

— Jestem głodny.

— Tak jest mój panie.

— I pragnę się rozerwać, zanim posprzątacie ten pokój i przygotujecie dla mnie wyjaśnienie jego sekretów — zagrzmiał.

Gwardzista spuścił oczy.

— Jakiej rozrywki mój pan sobie życzy?

— Będę w swoich sypialniach — powiedział baron. — Przyprowadźcie mi owego młodzieńca, kupionego na Gamont tego z pięknymi oczami. Nie żałujcie mu narkotyku. Nie mam ochoty się z nim szarpać.

— Tak jest, mój panie.

Baron odszedł do swoich komnat tanecznym krokiem niesiony dryfami. Tak — pomyślał. — Tego z pięknymi oczami, tego, który tak bardzo przypomina młodego Paula Atrydę.

O morza Kaladanu,
O ludzie księcia Leta!
Wieża Leto upadła,
Legła na wieki…

z „Pieśni o Muad'Dibie”
zebranych przez księżniczkę

Paul miał wrażenie, że cała jego przeszłość, każde przeżycie sprzed tej nocy jest osypującym się w klepsydrze piaskiem. Objąwszy kolana siedział przy matce w małej budce z tkaniny i plastiku — filtrnamiocie, pochodzącym, podobnie jak i ubiory, które mieli na sobie, z pozostawionej w ornitopterze sakwy.

Paul nie miał wątpliwości, kto ją tam podłożył, kto wyznaczył kurs ornitoptera wiozącego ich w charakterze jeńców: Yueh. Zdrajca doktor wysłał ich prosto w ramiona Duncana Idaho. Paul wyglądał przez przezroczystą część namiotu na księżycowe zjawy skał urozmaicające miejsce, w którym ukrył ich Idaho. Żeby chować się jak dziecko teraz, kiedy jestem księciem — pomyślał. Odczuwał gorycz tej myśli, lecz nie mógł odmówić słuszności temu, co zrobili.

Tej nocy coś się stało z jego świadomością — wszelkie wydarzenia i zjawiska wokół siebie widział ze szczególną ostrością. Czuł, że nie jest w stanie powstrzymać napływu danych ani chłodnej precyzji, z jaką każda nowa pozycja wzbogacała jego wiedzę, podczas gdy świadomość stawała się ośrodkiem kalkulacji. Do możliwości mentata doszło coś jeszcze.

Paul cofnął się myślą do momentu bezsilnej wściekłości, gdy z głębi nocy spadł na nich obcy ornitopter pikując nad pustynią wśród wycia wiatru w skrzydłach jak gigantyczny jastrząb. Wtedy to w świadomości Paula zaszło owo coś. Ślizgając się po piaskowej redlinie ornitopter kierował się na uciekające postacie — matki i jego. Pamiętał woń spalonej siarki od tarcia płóz ornitoptera o piasek. Matka odwróciła się w oczekiwaniu na — wiedział to dobrze — wymierzoną w nich lufę rusznicy laserowej w rękach harkonneńskich żołdaków i rozpoznała Duncana Idaho wychylonego z otwartych drzwi ornitoptera.

— Szybko! Znak czerwia z południa! — wołał.

Ale Paul odwróciwszy się wiedział od razu, kto pilotuje ornitopter. Nagromadzenie drobnych szczegółów w sposobie pilotażu i zetknięcia z ziemią — poszlak tak drobnych, że nawet jego matka ich nie wykryła — powiedziało Paulowi dokładnie, kto siedzi za sterami.

W drugim kącie filtrnamiotu poruszyła się Jessika.

— Może być tylko jedno wytłumaczenie — powiedziała — Harkonnenowie więzili żonę Yuego. On nienawidził Harkonnenów! Co do tego nie mogę się mylić. Czytałeś jego list. Ale dlaczego ocalił nas z pogromu?

Dopiero teraz widzi te rzeczy, i to kiepsko — pomyślał Paul. Wstrząsnęło nim to odkrycie. Sam przyjął ten fakt mimochodem, kiedy czytał list dołączony do książęcego sygnetu w sakwie.

„Nie próbujcie mi wybaczać” — pisał Yueh. — „Nie chce waszego przebaczenia. Moje brzemię jest już dostatecznie ciężkie. To, co uczyniłem, uczyniłem bez złej woli ani nadziei na zrozumienie u innych. To jest mój własny tahaddi al-burhan, moja ostateczna próba. Daje wam książęcy sygnet Atrydów na znak, że piszę prawdę. Kiedy będziecie to czytali, książę Leto już nie będzie żył. Znajdźcie pociechę w mym zapewnieniu, że ten, którego nienawidzimy nade wszystko, umarł wraz z nim”.

Brakowało adresu i podpisu, ale nie można się było pomylić co do tego, czyje są te znajome gryzmoły. Przypominając sobie list, Paul przeżył raz jeszcze rozpacz tamtej chwili — uczucie ostre i bolesne, którego doznawał jak gdyby poza swoją nową wyostrzoną świadomością. Przeczytał, że jego ojciec nie żyje, wiedział, że te słowa mówią prawdę, lecz odczuwał je jedynie jako kolejną informację, którą należało wprowadzić do swej pamięci i w odpowiednim momencie wykorzystać.

Kochałem ojca — myślał Paul i wiedział, że tak było naprawdę. — Powinienem go opłakiwać. Powinienem coś czuć. — Ale czuł tylko jedno: oto ważny fakt. Podobny do wszystkich innych faktów. Przez cały czas jego umysł gromadził wrażenia zmysłowe, ekstrapolując, kalkulując. Wróciły do Paula słowa Hallecka: „Nastrój to coś potrzebnego do przejażdżki na koniu albo do amorów. Walczysz, kiedy zachodzi konieczność bez względu na nastrój”.

Może o to chodzi — pomyślał. — Opłaczę ojca później… kiedy przyjdzie pora. Jednak chłodna precyzja go nie opuszczała. Domyślał się, że ta nowa świadomość to dopiero początek, że ona wzrasta. Wypełniło go przeczucie strasznego przeznaczenia, którego doznał po raz pierwszy podczas próby z Matką Wielebną Gaius Helen Mohiam. Jego prawa dłoń — dłoń zapamiętanego bólu — mrowiła i pulsowała. Czy na tym właśnie polega bycie Kwisatz Haderach? — zachodził w głowę Paul.

— Przez chwilę myślałam, że Hawat znowu nas zawiódł — powiedziała Jessika. — Myślałam, że może Yueh nie był doktorem Suk.

— Był wszystkim, czym myśleliśmy, że jest… i czymś więcej — rzekł Paul. I pomyślał: Dlaczego tak opornie docierają do niej te sprawy. — Jeśli Idaho nie dotrze do Kynesa, będziemy…

— On nie jest naszą ostatnią nadzieją — powiedziała.

— Nic takiego nie sugerowałem — odparł.

Usłyszała twardość stali w jego głosie, władczy ton i spojrzała nań przez szarą ciemność filtrnamiotu. Sylwetka Paula rysowała się na tle

posrebrzonych księżycem skał widocznych za przezroczystą ścianą filtrnamiotu.

— Inni ludzie twego ojca już pouciekali — powiedziała. — Musimy ich pozbierać, odszukać…

— Będziemy polegać na sobie — rzekł. — Najpilniejszą dla nas sprawą jest broń jądrowa naszego rodu. Musimy ją zabrać, nim zostanie znaleziona przez Harkonnenów.

— Nie wydaje mi się, by ją odnaleźli w takim ukryciu.

— Nie wolno tego zdać na przypadek.

Szantaż za pomocą broni jądrowej rodu, zagrożenie planecie i jej przyprawie, oto co mu chodzi po głowie — pomyślała. — Ale jedyne, na co może potem liczyć, to ucieczka w anonimowość banicji.

Słowa matki wywołały u Paula drugi ciąg myśli — troskę księcia o tych wszystkich ludzi, których utracili tej nocy. Ludzie to faktyczna siła wielkiego rodu — pomyślał Paul. I wspomniał słowa Hawata: „Smutne jest rozstanie z ludźmi; miejsce to tylko miejsce”.

— Używają sardaukarów — powiedziała Jessika. — Musimy zaczekać, aż sardaukarzy zostaną wycofani.

— Chcą nas uwięzić między pustynią a sardaukarami — powiedział Paul. — Zamierzają nie pozostawić żadnych atrydzkich niedobitków: totalna eksterminacja. Nie licz na to, że ktokolwiek z naszych ludzi zdoła uciec.

— Nie mogą ciągnąć tego bez końca ryzykując wyjście na jaw udziału Imperatora.

— Nie mogą?

— Jacyś nasi ludzie muszą uciec.

— Muszą?

Jessika odwróciła głowę, przerażona siłą zawziętości w głosie swego syna, kiedy mówił precyzyjnie ważąc szanse. Wyczuwała, że Paul umysłowo wysforował się przed nią, że widzi teraz więcej pod niektórymi względami od niej. Sama pomogła szkolić inteligencję, która tego dokonała, a teraz poczuła strach przed nią. Podążyła myślą ku utraconemu azylowi u boku księcia i łzy zapiekły ją w oczach. Tak to już musi być, Leto — pomyślała. — Czas miłości i czas łez. — Wsparła dłoń na brzuchu skupiając całą świadomość na płodzie, który nosiła. — Mam atrydzką córkę, którą przykazano mi zrodzić, ale Matka Wielebna nie miała racji: córka nie ocaliłaby mojego Leto. To dziecko to jedynie pomost życia przerzucony ze środka śmierci w przyszłość. Poczęłam z instynktu, a nie z posłuszeństwa.

— Spróbuj jeszcze raz nastawić odbiornik ogólnej emisji — powiedział Paul.

Umysł pracuje dalej nie zważając na to, że próbujemy go powstrzymać — pomyślała Jessika. Znalazła maleńki odbiornik zostawiony im przez Idaho, pstryknęła wyłącznikiem. Na skali aparatu

rozjarzyło się zielone światełko. Z głośnika dobiegało blaszane skrzeczenie. Ściszyła, przeleciała przez pasma. Do namiotu wdarł się głos mówiący w języku bojowym Atrydów:

— …do tyłu i przegrupować się na grani. Fedor melduje, że w Karthago nikt nie ocalał, a Bank Gildii złupiono.

Karthago — pomyślała Jessika. — To było gniazdo Harkonnenów.

— To są sardaukarzy — powiedział głos. — Uwaga na sardaukarów w mundurach Atrydów. Oni są…

Głośnik wypełniły wrzaski, po nich zaległa cisza.

— Spróbuj innego pasma — powiedział Paul.

— Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? — spytała Jessika.

— Spodziewałem się tego. Chcą, by Gildia winiła nas za zniszczenie jej banku. Mając Gildię przeciwko sobie jesteśmy na Arrakis w potrzasku. Daj inne pasmo.

Zważyła jego słowa: „Spodziewałem się tego". Co się z nim stało? Jessika z wolna wróciła do aparatu. W miarę jak przesuwała selektor pasm, łapali odgłosy walki, które rozpoznawała w zawołaniach w bojowym języku Atrydów: „…wycofać się… spróbujcie się przegrupować w… odcięci w grocie przy…" Nie można się było pomylić co do zwycięskiego upojenia pobrzmiewającego w harkonneńskim szwargocie wylewającym się z pozostałych pasm. Ostre komendy, meldunki z walk. Za mało było tego Jessice, by mogła zarejestrować i zrozumieć ten język, ale ton był oczywisty. Zwycięstwo Harkonnenów.

Paul potrząsnął sakwą u swego boku; usłyszał bulgot dwóch literjonów wody. Wziął głęboki wdech, podniósł oczy na skalne bastiony zarysowane za przezroczystą ścianą namiotu na tle gwiazd. Lewą dłonią namacał zwieracz plomby wejściowej namiotu.

— Wkrótce będzie świtać — powiedział. — Możemy czekać na Idaho przez cały dzień, ale już nie przez następną noc. W pustyni trzeba podróżować nocą i odpoczywać w cieniu za dnia.

Zapamiętana nauka sama znalazła drogę do świadomości Jessiki: „Człowiek przebywający w cieniu na pustyni bez filtrfraka potrzebuje pięć litrów wody dziennie do zachowania wagi ciała". Odczuwając miękką gładź filtrfraka na ciele myślała, jak dalece od tych ubiorów zależy ich życie.

— Jeżeli stąd odejdziemy, Idaho nas nie znajdzie — powiedziała.

— Są sposoby na zmuszenie każdego człowieka do mówienia — rzekł Paul. — Jeżeli Idaho nie powróci do świtu, musimy liczyć się z tym, że go schwytano. Jak długo, myślisz, mógłby wytrzymać?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi, więc siedziała w milczeniu. Paul rozpiął sakwę, wyciągnął filigranowy mikroleksykon z fiszką jarzeniową i szkłem powiększającym. Na stronicach leksykonu rozjarzyły się zielono — pomarańczowe słowa: „literjony, filtrnamiot,

kapsułki energetyczne, odłówki, piachochrapy, lorneta, repsak do filtrfraka, barwolwer, nieckograf, filtrwtyki, parakompas, haki stworzyciela, dudniki, fremsak, kolumna ognia…”

Ileż ich trzeba, tych przedmiotów, żeby przeżyć w pustyni. Po chwili odłożył leksykon na podłogę.

— Dokąd tu pójść, u licha? — zapytała Jessika.

— Ojciec mówił o potędze pustyni — powiedział Paul. — Harkonnenowie nie mogą bez niej władać tą planetą. Ale oni tą planetą nigdy nie władali i władać nie będą. Nawet z dziesięcioma tysiącami legionów sardaukarów.

— Paul, chyba nic masz na myśli…

— Mamy w ręku wszystkie dowody — powiedział. — Właśnie tu w tym namiocie: sam namiot, ta sakwa i jej zawartość, filtrfraki. Wiemy, że Gildia żąda prohibicyjnej ceny za satelity meteorologiczne. Wiemy, że…

— Co mają do tego satelity meteorologiczne? — spytała. — Przecież one nie mogą… — Urwała.

Paul wyczuwał nadgorliwość swego umysłu, kiedy rejestrował jej reakcje obserwując najdrobniejsze szczegóły.

— Właśnie to widzisz — powiedział. — Satelity obserwują teren pod sobą. W głębokiej pustyni są rzeczy, które nie zniosą częstych oględzin.

— Chcesz powiedzieć, że włada tą planetą sama Gildia?

Jakże była mało bystra.

— Nie! — powiedział. — Fremeni! Oni płacą Gildii za ukrycie przed światem, w walucie dostępnej bez ograniczenia dla każdego, kto włada potęgą pustyni — w przyprawie. To już nawet nie jest kolejne przybliżenie rozwiązania. To zwykła arytmetyka. Możesz mi wierzyć.

— Paul — powiedziała Jessika — jeszcze nie jesteś mentatem, nie możesz wiedzieć na pewno…

— Nigdy nie będę mentatem — odparł. — Jestem czymś innym… wynaturzeniem.

— Paul! Jak możesz wygadywać takie…

— Daj mi spokój!

Odwrócił się od niej, zatapiając spojrzenie w nocy. Dlaczego nie mogę płakać? — myślał. — Czuł, że każdą cząsteczką swej istoty łaknie tej ulgi, która miała mu być odmówiona na zawsze. Jessika nigdy nie słyszała takiej rozpaczy w głosie syna. Pragnęła wyciągnąć do niego ramiona, objąć go, ukoić, pomóc mu — ale czuła, że nic nie może zrobić. Sam musiał rozwiązać swój problem. Wpadła jej w oko leżąca między nimi na podłodze namiotu liszka jarzeniowa leksykonu z fremsaka. Podniósłszy ją zerknęła na wklejkę i przeczytała: „Przewodnik po przyjaznej pustyni, miejscu życiem kipiącym. Tu są ajat i burhan życia. Miej wiarę, a al-Lat nigdy cię nie spali”.

To brzmi jak Księga Azhara — pomyślała, przypominając sobie swoje studia nad Wielkimi Tajemnicami. — Czyżby na Arrakis bawił Manipulator Religii?

Paul wyjął z sakwy parakompas, po czym odłożył go z powrotem.

— Zastanów się nad tymi wszystkimi fremeńskimi instrumentami o specjalnym przeznaczeniu — powiedział. — Są niedościgłe w swej mądrości. Przyznaj to. Kultura, która stworzyła te przedmioty, zdradza głębie, jakich nikt nie podejrzewał.

Ociągając się nadal zaniepokojona szorstkością jego głosu, Jessika powróciła do książki, studiując ilustrację gwiazdozbioru z arrakańskiego nieba: „Muad'Dib: mysz". I zwróciła uwagę, że ogon tej myszy wskazuje na północ. Paul wpatrywał się w mrok namiotu na majaczące niewyraźnie poruszenia matki, które zdradzała jarzeniowa liszka leksykonu. Teraz jest pora, by spełnić życzenie ojca — pomyślał. — Muszę przekazać jej tę wiadomość teraz, kiedy ma czas na łzy. Później łzy będą nam przeszkadzać. — Precyzja tej logiki wstrząsnęła nim samym.

— Matko — powiedział.

— Tak?

Usłyszała zmianę w jego głosie, poczuła chłód wewnętrzny od samego tonu. Nigdy nie spotkała się z tak zimnym opanowaniem.

— Mój ojciec nie żyje.

Odszukała w sobie i skojarzyła fakt z faktem i z jeszcze jednym faktem — metoda Bene Gesserit szacowania danych — i wtedy do niej dotarło: uczucie potwornej straty. Kiwnęła głową, niezdolna odezwać się.

— Mój ojciec kiedyś mi polecił — powiedział Paul — przekazać ci wiadomość na wypadek, gdyby mu się coś stało. Obawiał się, że mogłaś uwierzyć, że ci nie ufał.

Tamto bezsensowne podejrzenie — pomyślała.

— Chciał, byś wiedziała, że nigdy cię nie podejrzewał — rzekł Paul i wyjaśnił tamtą grę dodając: — Chciał, byś wiedziała, że zawsze ufał ci bezgranicznie, że zawsze kochał cię i miłował. Powiedział, że prędzej by zwątpił w siebie samego, i żałował tylko jednej rzeczy — że nigdy nie uczynił cię swoją księżną.

Otarta łzy spływające jej po policzkach i pomyślała: Cóż za idiotyczne marnotrawstwo wody! Ale odgadła, czym jest ta myśl: próbą ucieczki od rozpaczy w gniew. — Leto, mój Leto — myślała. — Cóż za straszne krzywdy wyrządzamy tym, których kochamy! Gwałtownym ruchem zgasiła fiszkę jarzeniową maleńkiego leksykonu. Wstrząsnął nią szloch.

Paul wsłuchiwał się w rozpacz matki i czuł w sobie pustkę. Nie ma we mnie rozpaczy — pomyślał. — Dlaczego? Dlaczego? Odczuwał niemożność oddania się rozpaczy jako straszną ułomność.

„Czas brania i czas tracenia” — powtarzała sobie w duchu Jessika cytując za Biblią P. K. „Czas posiadania i czas odrzucania; czas na miłość i czas na nienawiść; czas wojny i czas pokoju”.

Myśl Paula poszybowała naprzód ze swą lodowatą precyzją. Paul dojrzał przed nimi aleje wiodące przez tę wrogą planetę. Nawet bez zaworu bezpieczeństwa w formie snu zogniskował swoją proroczą świadomość, traktując to jako rachunek najprawdopodobniejszych wariantów przyszłości, ale z dodatkową otoczką tajemnicy — jakby zanurzał się myślą w jakąś bezczasową strefę i doświadczał prądów przyszłości.

Znienacka, jakby znajdując niezbędny klucz, jego umysł zdobył następną przełęcz w świadomości. Poczuł, jak chwyta się z całych sił tego nowego poziomu, jak czepia się kurczowo ryzykownego oparcia i rozgląda dokoła. Znalazł się jakby we wnętrzu kuli, z której środka promieniście rozchodziły się drogi… jednakże ten obraz tylko w przybliżeniu oddawał owo doznanie. Przypomniał sobie chustę z gazy, którą porwał kiedyś wiatr, i teraz odczuwał przyszłość jako coś wijącego się po powierzchni równie falującej i niestałej jak niesiona wiatrem chusta.

Zobaczył ludzi.

Czuł żar i chłód nieprzebranych możliwości. Poznał imiona i miejsca, przeżywał niezliczone emocje, przepatrywał dna niezliczonych, niezbadanych przepaści. Miał czas, by sondować i badać, i smakować, ale nie miał czasu, by kształtować. Całe to coś było widmem szans od najodleglejszej przeszłości po najodleglejszą przyszłość, od najmniej prawdopodobnego po najprawdopodobniejsze. Ujrzał swą własną śmierć w nieprzeliczonych postaciach. Ujrzał nowe planety, nowe cywilizacje.

Ludzi. Ludzi.

Zobaczył ich w takich rojowiskach, że nie mieścili się w żadnym spisie, a jednak jego umysł ich skatalogował. I nawet Gildian. I pomyślał: Gildia — tam znalazłoby się dla nas miejsce, moją odmienność przyjęto by jako rzecz swojską i cenną, zawsze znalazłaby się dla nas niezbędna już teraz przyprawa. Lecz odrzucała go perspektywa spędzenia życia na błądzeniu-myślą-po-omacku-wśród-możliwych-przyszłości, w charakterze latarni dla przemierzających kosmos statków. Jednakże była to jakaś droga. I po spotkaniu Gildian w prawdopodobnej przyszłości rozpoznał swoją własną odmienność.

Mam inny rodzaj widzenia. Widzę innego rodzaju terytorium: dostępne ścieżki. Zrozumienie przyniosło spokój, ale i obawę zarazem — tak wiele miejsc w owym innego rodzaju terytorium osuwało się lub wychodziło z jego pola widzenia.

Doznanie to opuściło go równie szybko, jak nadeszło, i Paul zdał sobie sprawę, że całe przeżycie zmieściło się w odstępie uderzeń serca.

Lecz jego własna świadomość została wywrócona do góry nogami, rozjaśniła się w straszliwy sposób.

Rozejrzał się wokoło. Noc nadal okrywała filtrnamiot schowany w skalnej kryjówce. Nadal słychać było szloch matki. Nadal odczuwał brak w sobie rozpaczy… to puste miejsce odgrodzone gdzieś od jego umysłu, który pracował bez przerwy równym rytmem — przetwarzając dane, licząc, dostarczając odpowiedzi na sposób podobny do działania mentata. Paul zorientował się, że posiada teraz bogactwo danych, jakie niewiele podobnych mu umysłów kiedykolwiek ogarnęło.

Jednak nie uczyniło to owego pustego miejsca lżejszym do zniesienia. Czuł, że coś musi się rozpaść. Jakby uruchomiono w jego wnętrzu tykający mechanizm bomby zegarowej. Tykanie nie ustawało podążając ku własnemu przeznaczeniu, niezależnie od jego woli. Odmierzało najmniejsze nawet zmiany wokół niego — ułamkowy spadek temperatury, lekką zmianę wilgotności, drogę owada łażącego po dachu ich filtrnamiotu, uroczyste nadciąganie świtu na rozgwieżdżonym skrawku nieba, widocznym za przezroczystą ścianą namiotu.

Pustka była nie do wytrzymania. To, że wiedział, jak został wprawiony w ruch mechanizm zegarowy, nie miało żadnego znaczenia. Potrafił zajrzeć we własną przeszłość i zobaczyć sam początek: szkolenie, wyostrzenie zdolności, subtelna presja wyrafinowanych dyscyplin, nawet otarcie się o Biblię P. K. w krytycznym momencie… i, na samym końcu, obfity zastrzyk przyprawy. Potrafił też spojrzeć w przód — w najstraszliwszy kierunek — i ujrzeć, dokąd to wszystko wiedzie.

Jestem potworem! — pomyślał. — Wyrodkiem!

— Nie — powiedział. I głośniej: — Nie. Nie! Nie!

Spostrzegł, że wali pięściami w podłogę namiotu. (Obojętna część jaźni Paula odnotowała to jako interesujący emocjonalny element danych i wprowadziła do obliczeń).

— Paul!

Była przy nim matka, ujmowała go za ręce; szara plama jej twarzy wychylała się ku niemu.

— Paul, co ci jest?

— Ty!

— Jestem przy tobie — powiedziała. — Wszystko będzie dobrze.

— Coś ty mi zrobiła?

Z nagłą jasnością umysłu wyczuła niektóre podteksty jego pytania.

— Wydałam cię na świat — rzekła.

Tyleż instynktownie, co na podstawie subtelnej wiedzy odpowiedziała dokładnie tak, jak należało, by go uspokoić.

Poczuł objęcia jej ramion, skupił się na mglistym zarysie jej twarzy. (Jego rozpędzony umysł dostrzegł w nowym świetle pewne genetyczne cechy w strukturze tej twarzy — poszlaki zostały dodane do reszty informacji i wyskoczył wynik końcowego sumowania).

— Puść mnie — powiedział.

Słysząc stalowy ton w jego głosie usłuchała.

— Zechcesz powiedzieć mi, co ci jest, Paul?

— Czy wiedziałaś, co robisz, kiedy mnie szkoliłaś? — zapytał.

Nie ma już śladu po dzieciństwie w tym głosie — pomyślała.

— Przyświecała mi nadzieja wszystkich rodziców, że będziesz… lepszy, inny.

— Inny?

Uderzyła ją gorycz, z jaką to powiedział.

— Paul, ja… — zaczęła.

— Ty nie chciałaś syna! — powiedział. — Ty chciałaś Kwisatz Haderach! Chciałaś męskiej Bene Gesserit!

Wzdrygnęła się od nagromadzonej w nim żółci.

— Ależ, Paul…

— Czy kiedykolwiek uzgadniałaś to z moim ojcem?

Mówiła łagodnie pod wpływem nie wygasłej rozpaczy:

— Czymkolwiek jesteś, Paul, to jest to tak samo dziedzictwo twego ojca, jak i moje.

— Ale nie szkolenie — powiedział. — Nie rzeczy, które… rozbudziły… licho.

— Licho?

— Jest tutaj… — Położył dłoń na głowie, a następnie na piersi. — We mnie. Gna coraz dalej i dalej, i dalej, i…

— Paul!

Słyszała wzbierającą w jego głosie histerię.

— Wysłuchaj mnie — powiedział. — Chciałaś, by Matka Wielebna dowiedziała się o moich snach? Posłuchaj teraz zamiast niej. Śniłem właśnie na jawie. Wiesz dlaczego?

— Musisz się uspokoić — powiedziała. — Jeśli coś…

— Przyprawa — rzekł. — Jest tutaj we wszystkim, w powietrzu, w glebie, w pożywieniu. Przyprawa geriatryczna. Jest to narkotyk prawdomówczyni. To trucizna!

Zesztywniała. Głos jego przycichł i Paul powtórzył:

— Trucizna… jakże subtelna… jakże zdradliwa… jakże nieodwracalna. Ona cię nawet nie zabije, chyba że przestaniesz ją zażywać. Nie możemy opuścić Arrakis, chyba że zabierzemy część Arrakis ze sobą.

Potworny despotyzm jego głosu wykluczał wszelką dyskusję.

— Ty i przyprawa — mówił Paul. — Przypływa zmienia każdego, kto zażywa ją w takich ilościach, ale to dzięki tobie mogłem dopuścić

tę zmianę do świadomości. Nie mogę zostawić jej w podświadomości, gdzie taki niepokój daje się wygłuszyć. Ja ją widzę.

— Paul, ty…

— Ja ją widzę! — powtórzył.

Słyszała szaleństwo w jego głosie, nie wiedziała, co robić. Ale kiedy odezwał się znowu, spostrzegła, że wraca mu zimne opanowanie.

— Jesteśmy w potrzasku.

Jesteśmy w potrzasku — przyznała w myśli. I przyjęła zawartą w jego słowach prawdę. Żaden nacisk Bene Gesserit, żaden wybieg ani podstęp nie mogły ich oderwać i uwolnić całkowicie od Arrakis — przyprawa wywoływała uzależnienie. Jej ciało pojęło ten fakt na długo przed obudzeniem się umysłu. A więc tutaj spędzimy życie — pomyślała. — W tym piekle. To miejsce jest gotowe na nasze przyjęcie, jeśli tylko zdołamy się ustrzec Harkonnenów. I moja rola nie podlega żadnej wątpliwości — jestem klaczą rozrodową, która ma zachować linię tak ważną dla planu Bene Gesserit.

— Muszę ci opowiedzieć o moim śnie na jawie — powiedział Paul (teraz w jego głosie była wściekłość). — Dla pewności, że przyjmiesz moje słowa, powiem ci najpierw, że wiem, iż urodzisz tutaj na Arrakis córkę, moją siostrę.

Jessika odepchnęła się dłońmi od podłogi namiotu, wjeżdżając plecami w półkolistą ścianę namiotu, aby opanować nagły skurcz strachu. Wiedziała, że jej brzemienności jeszcze nie widać. Jedynie trening Bene Gesserit pozwalał jej odbierać pierwsze nikłe sygnały ciała, odkryć istnienie parotygodniowego zaledwie embriona.

— Tylko, by służyć — wyszeptała czepiając się dewizy Bene Gesserit. — Istniejemy tylko, by służyć.

— Znajdziemy dom u Fremenów — powiedział Paul — wśród których wasza Missionana Protectiva przygotowała nam schronienie.

Przygotowali nam drogę w pustynię — powiedziała sobie Jessika. — Ale skąd on może wiedzieć o Missionana Protectiva? Coraz trudniej przychodziło jej zapanować nad strachem przed przemożną dziwnością Paula.

Przyglądał się jej sylwetce, dzięki swej nowej świadomości widząc jej każdą reakcję, również ten strach, jakby jej postać naszkicowano liniami oślepiającego światła. Zrobiło mu się jej żal.

— Trudno mi opowiedzieć ci o rzeczach, które mogą się tutaj wydarzyć — powiedział. — Trudno mi opowiedzieć o nich nawet sobie, chociaż je widziałem. Ten zmysł przyszłości… wydaje się, że ja nad nim nie panuję. To coś się po prostu dziele. Najbliższą przyszłość… rok powiedzmy… mogę coś z tego dojrzeć: droga tak szeroka jak Aleja Centralna na naszym Kaladanie. Niektórych miejsc nie widzę… miejsc zacienionych… jakby droga biegła z drugiej strony

pagórka… (i znowu pomyślał o chuście na wietrze)… ma też odnogi… Zamilkł na wspomnienie tego widzenia. Żaden proroczy sen, żadne doświadczenie jego życia nie przygotowało go na ten zmysł świadomości rozchodzącej się na zewnątrz jak pęczniejąca bańka… przed którą ustępuje czas…

Jessika odnalazła wyłącznik liszki jarzeniowej namiotu, włączyła ją. Nikłe zielone światło oddaliło cienie, kojąc jej strach. Utkwiła wzrok w twarzy Paula, w jego oczach zapatrzonych do wewnątrz. I pojęła, gdzie uprzednio spotkała się z takim wyrazem twarzy: w filmach o klęskach żywiołowych — na twarzach dzieci, które zaznały głodu albo strasznej krzywdy. Oczy miał jak studnie, usta jak prosta kreska, policzki zapadnięte. To jest wyraz straszliwej świadomości — myślała — u kogoś, kto musiał zrozumieć własną śmiertelność. Tak, dzieciństwo ma już za sobą.

Podstawowe znaczenie słów Paula zaczęło dominować w jej myślach, spychając na bok wszystko inne. On potrafi patrzeć naprzód, w ten sposób mogą się uratować.

— Istnieje sposób uniknięcia Harkonnenów — powiedziała.

— Harkonnenów — powtórzył z szyderstwem w głosie. — Wyrzuć te zwyrodniałe istoty ludzkie z myśli.

Wpatrzył się w matkę, studiując rysy jej twarzy w świetle liszki jarzeniowej. Te rysy ją zdradzały.

Powiedziała:

— Nie powinieneś wyrażać się o ludziach jako o istotach ludzkich bez…

— Nie bądź taka pewna, że wiesz, gdzie przebiega granica — przerwał. — Nosimy w sobie naszą przeszłość. I, matko moja, jest coś o czym nie wiesz, a powinnaś — my jesteśmy Harkonnenami.

Z jej umysłem stało się coś strasznego: zgasł, jakby się zamknął przed wszelkimi doznaniami. Lecz głos Paula biegł dalej w tym nieubłaganym rytmie, wlokąc go za sobą.

— Kiedy przy najbliższej okazji znajdziesz lustro, przyjrzyj się swojej twarzy, przyjrzyj się mojej teraz. Znajdziesz w niej ślady, jeżeli nie zamkniesz na nie oczu. Spójrz na moje dłonie, układ kości. A jeżeli nic z tego cię nie przekona, to uwierz mi na słowo. Schodziłem przyszłość, widziałem świadectwa, patrzyłem na miejsce, mam wszystkie dane. Jesteśmy Harkonnenami.

— Jakąś… zaprzańczą gałęzią rodu — powiedziała. — O to chodzi, nieprawdaż? Jakiś kuzyn Harkonnen, który…

— Jesteś rodzoną córką barona — rzekł i obserwował, jak przyciska dłonie do ust. — Baron zakosztował wiele uciech w młodości i kiedyś pozwolił się uwieść. Ale został uwiedziony dla genetycznych celów Bene Gesserit, przez jedną z was…

Sposób, w jaki wymówił „was”, odczula jak policzek. Lecz

ożywiło to jej umysł i nie mogła zaprzeczyć jego słowom. Tak wiele ślepych zaułków w labiryncie jej przeszłości otworzyło się i powiązało w całość. Żądana przez Bene Gesserit córka — nie po to, by położyć kres starej waśni Atrydów z Harkonnenami, lecz dla umocnienia jakiegoś genetycznego czynnika w ich rodach. Jakiego? Po omacku szukała odpowiedzi.

Jakby zaglądając do wnętrza jej umysłu Paul powiedział:

— One myślały, że sięgają po mnie. Jednak ja nie jestem tym, czego oczekiwały, w dodatku zjawiłem się przed swoim czasem. I one o tym nie wiedzą.

Jessika zatkała dłońmi usta. Wielka Macierzy! On jest Kwisatz Haderach! Poczuła się przed nim obnażona, uświadamiając sobie w tym momencie, że spoglądają na nią oczy, przed którymi niewiele mogło się ukryć. I wiedziała, że to jest właśnie przyczyna jej lęku.

— Ty myślisz, że jestem Kwisatz Haderach — powiedział. — Wybij to sobie z głowy. Jestem czymś nieoczekiwanym.

Muszę dać znać którejś ze szkół — pomyślała. — Ceduła doboru może wykazać, co się stało.

— Dowiedzą się o mnie, jak już będzie za późno — powiedział.

Próbowała odwrócić jego uwagę, opuściła ręce i zapytała:

— Czy znajdzie się dla nas miejsce wśród Fremenów?

— Fremeni mają powiedzenie pochodzące od shai-huluda. Praojca Wieczności — rzekł. — Mówią: „Bądź gotów cieszyć się tym, co napotkasz". I pomyślał: Owszem, matko moja, wśród Fremenów. Nabawisz się błękitnych oczu i odcisków pod swym ślicznym noskiem od rurki filtrfraka… i zrodzisz moją siostrę Świętą Alię od Noża.

— Jeżeli nie jesteś Kwisatz Haderach — powiedziała Jessika — to co…

— W żaden sposób nie mogłaś wiedzieć — rzekł. — Nie uwierzysz w to, dopóki nie zobaczysz.

I pomyślał: Jestem nasieniem. Nagle pojął, jak żyzny jest grunt, na który go rzucono, i wraz z tą świadomością ogarnęło go straszliwe przeznaczenie, wpełzając przez puste miejsce w jego jestestwie, grożąc mu zadławieniem z rozpaczy. Na drodze przed sobą widział dwie główne odnogi — na jednej stawał przed nikczemnym starym baronem i mówił: „Cześć, dziadku". Myśl o tej ścieżce i o tym, co go na niej czeka, zemdliła go.

Druga ścieżka składała się z długich odcinków szarej ciemności, z wyjątkiem wybuchów przemocy. Widział tam religię wojowników, płomień ogarniający wszechświat, i zielono — czarną flagę Atrydów powiewającą na czele fanatycznych legionów, upojonych przyprawowym trunkiem. Był tam Gurney Halleck i garstka innych ludzi ojca — żałosna garstka — wszyscy naznaczeni symbolem jastrzębia ze świątyni czaszki jego ojca.

— Nie mogę iść tą drogą — wyszeptał Paul. — Tego w gruncie rzeczy chcą właśnie stare wiedźmy z waszych szkół.

— Nie rozumiem cię, Paul — powiedziała matka.

Nie odzywał się — myślał jako nasienie, którym był, myślał ze świadomością gatunku, której po raz pierwszy doświadczył jako straszliwego przeznaczenia. Odkrył, że dłużej nie potrafi nienawidzić Bene Gesserit czy Imperatora, ani nawet Harkonnenów. Porwało ich wszystkich dążenie gatunku do odnowy rozproszonego dziedzictwa, do krzyżowania, mieszania i łączenia linii genetycznych w nowe wielkie zlewisko genów. Zaś gatunek znał na to tylko jeden skuteczny sposób — odwieczny, wypróbowany i niezawodny sposób, który obalał wszystko na swej drodze: dżihad.

Z całą pewnością nie mogę wybrać tej drogi — myślał. Lecz znów widział oczami duszy świątynię czaszki ojca i przemoc, z zielono — czarną flagą powiewającą nad tym wszystkim.

Jessika odchrząknęła, zaniepokojona jego milczeniem.

— Więc Fremeni zapewniają nam azyl?

Podniósł oczy, poprzez zielono oświetlony namiot wpatrując się w dziedziczne patrycjuszowskie rysy jej twarzy.

— Tak — powiedział. — To jedna z dróg. — Kiwnął głową. — Tak. Oni nazwą mnie… Muad'Dib, Ten Kto Wskazuje Drogę. Tak… tak właśnie będą mnie nazywać.

Zamknął oczy i pomyślał: Teraz, mój ojcze, mogę cię opłakiwać.

I poczuł spływające mu po policzkach łzy.

KSIĘGA DRUGA
Muad'Dib

Kiedy mój ojciec, Padyszach Imperator, dowiedział się o śmierci księcia Leto i jej okolicznościach, wpadł we wściekłość, jakiej nigdy do tej pory nie widzieliśmy u niego. Oskarżał moją matkę i umowę zmuszającą go do osadzenia Bene Gesserit na tronie. Oskarżał Gildię i nikczemnego starego barona. Oskarżał każdego, kto mu się nawinął, mnie nawet nie wyłączając, bo, jak mówił, byłam czarownicą jak wszystkie inne.

A kiedy usiłowałam go pocieszyć, mówiąc, że przeprowadzono to podług starodawnego prawa samozachowania, szanowanego nawet przez najdawniejszych władców, wyśmiał mnie szyderczo i zapytał, czy uważam go za mięczaka. Wtedy zrozumiałam, że do furii doprowadził go nie żal po zmarłym księciu, lecz to, co owa śmierć oznaczała dla królewskiej krwi.

Kiedy wracam do tego pamięcią, myślę, że również mój ojciec mógł posiadać pewien dar czytania przyszłości, ponieważ bez wątpienia linia jego i Muad'Diba miały wspólnych przodków.

„W domu mojego ojca" pióra księżniczki Irulan

— Teraz Harkonnen zabije Harkonnena — wyszeptał Paul.

Obudził się na krótko przed zapadnięciem nocy w pozycji siedzącej w uszczelnionym i zaciemnionym filtrnamiocie. Gdy to mówił, słyszał niewyraźne ruchy matki dochodzące stamtąd, gdzie spala oparta o przeciwległąścianę namiotu. Rzucił okiem na czujnik zbliżeniowy na podłodze, sprawdzając tarcze oświetlone w mroku

luminoforami.

— Wkrótce nadejdzie noc — powiedziała jego matka. — Może byś podniósł burty namiotu?

Od dłuższego czasu Paul zdawał sobie sprawę, że jej oddech się zmienił, że zachowuje w ciemności milczenie, aż upewni się, czy on nie śpi.

— Podniesienie burt nic nie da — powiedział. — Była burza. Piasek przykrył namiot. Odkopię nas niebawem.

— Wciąż ani śladu Duncana?

— Ani śladu.

Paul bezwiednie potarł książęcy sygnet na kciuku i zadygotał w przypływie nagłej wściekłości na samą substancję planety, która przyczyniła się do zamordowania jego ojca.

— Słyszałam nadciąganie burzy — powiedziała Jessika.

Te nic nie znaczące słowa matki pomogły jemu nieco w odzyskaniu spokoju. Skupił pamięć na burzy, kiedy to oglądał, jak się zaczynała za przezroczystą ścianką ich filtrnamiotu — delikatne nitki pasku przebiegające basen, po czym strugi i warkocze prujące niebiosa. Zapatrzył się na skalną iglicę, która na jego oczach zmieniała kształt pod tym uderzeniem, przechodząc w niski klin barwy cheddara. Piach nawiewany do basenu przyćmił niebo mętnym curry, a następnie odciął wszelkie światło przykrywając namiot. Kabłąki namiotu raz jeden skrzypnęły przejmując nacisk i zapadła cisza przerywana jedynie stłumionym sapaniem chrap, których miechy tłoczyły z zewnątrz powietrze.

— Sprawdź jeszcze raz odbiornik — powiedziała Jessika.

— Nie ma sensu.

Wymacał wodowód filtrfraka w chomątku na szyi, nabrał ciepławy haust w usta i pomyślał, że oto zaczyna prawdziwą arrakańską egzystencję — żyjąc wilgocią odzyskaną ze swego własnego wydechu i ciała. Jałowa i bez smaku była ta woda, lecz przynajmniej przepłukał gardło.

Jessika słyszała, jak Paul pije, poczuła przyleganie gładzi własnego filtrfraka do ciała, ale swego pragnienia nie przyjęła do wiadomości. Godząc się na nie należałoby szeroko otworzyć oczy na straszliwe rygory Arrakis, na której muszą strzec nawet śladowych ilości wilgoci, troszczyć się o parę kropel z odłówek namiotu, odmawiać sobie oddechu pod gołym niebem. O ileż łatwiej zapaść z powrotem w sen. Lecz tego dnia coś jej się przyśniło, kiedy zasnęła, i wspomnienie zwidu przyprawiło ją o drżenie.

Zanurzała swe uśpione dłonie w rzece piasku, gdzie wypisano imię: „Książę Leto Atryda”. Piach zasypywał imię, a ona krzątała się, by je odtworzyć, lecz zanim doszła do ostatniej litery, zacierała się pierwsza. Piasek nie chciał się zatrzymać. Jej sen przeszedł w

zawodzenie: coraz donośniejsze i donośniejsze. W dźwięku tego bezsensownego zawodzenia część jej pamięci rozpoznała jej własny głos, kiedy była maleńkim dzieckiem, niemowlęciem niemal. Jakaś kobieta, niezbyt wyraźna w pamięci, oddalała się. Moja nieznana matka — pomyślała Jessika. — Bene Gesserit, która mnie zrodziła i oddała siostrom, ponieważ tak jej przykazano zrobić. Czy była zadowolona, że po zbywa się harkonneńskiego dziecka?

— Ich czuły punkt, w który trzeba uderzyć, to przyprawa — powiedział Paul.

Jak on może myśleć w takiej chwili o ataku? — zadała sobie pytanie.

— Cała planeta ugina się od przyprawy — odparła. — Jak można ich tu uderzyć?

Słyszała, jak się porusza, doszło ją szuranie sakwy wleczonej po podłodze namiotu.

— Na Kaladanie była to potęga morska i powietrzna — rzekł. — Tutaj jest potęga pustynna. Kluczem są Fremeni.

Jego głos doleciał spod zwieracza namiotu. Dzięki szkoleniu Bene Gesserit rozpoznała w jego tonie nie przetrawioną urazę do siebie. Przez całe życie uczono go nienawiści do Harkonnenów — pomyślała. — Teraz odkrył, że sam jest Harkonnenem… przeze mnie. Jakże mało mnie zna! Byłam jedyną kobietą księcia. Przyjęłam jego życie i jego wartości, aż po zlekceważenie rozkazów Bene Gesserit.

Pod dotknięciem Paula rozjaśniła się fiszka jarzeniowa, wypełniając kopulastą przestrzeń zielonym promieniowaniem. Paul kucnął przy zwieraczu, kaptur filtrfraka miał przystosowany do otwartej pustyni — czoło zasłonięte, filtr naustny założony, dopasowane wtyki nosowe. Tylko jego ciemne oczy były widoczne: wąski pasek twarzy, która raz jeden skierowała się ku niej i odwróciła.

— Przygotuj się na otwartą przestrzeń — powiedział stłumionym przez filtr głosem.

Jessika nasunęła filtr na usta, zajęła się sposobieniem kaptura, śledząc jak Paul zrywa plombę namiotu. Piasek zachrzęścił przy otwieraniu zwieracza, z chropowatym szumem sypał się do namiotu, zanim Paul unieruchomił ziarenka za pomocą kondensatora statycznego. Po przywróceniu aparatem statyki ziaren w ścianie piasku pozostała wyrwa. Paul wyśliznął się i Jessika towarzyszyła mu słuchem w jego drodze na powierzchnię. Co tam zastaniemy? — zastanawiała się. — Harkonneńskie oddziały i sardaukarzy — to są niebezpieczeństwa, jakich należy się spodziewać. Lecz co z niebezpieczeństwami nieznanymi? Pomyślała o kondensatorze statycznym i innych dziwnych instrumentach w sakwie. Wszystkie te przyrządy stały się nagle w jej umyśle symbolami zagadkowych niebezpieczeństw.

Poczuła niebawem gorące tchnienie pustyni, na policzkach ponad filtrem, gdzie pozostały odsłonięte.

— Podaj sakwę.

Głos Paula cichy był i ostrożny. Zerwała się posłusznie i przywlokła sakwę po podłodze, słuchając bulgotania literjonów wody. Podniósłszy oczy ujrzała sylwetkę Paula rysującą się na tle gwiazd.

— Daj — rzekł. I chwyciwszy wyciągniętą ręką sakwę wywindował ją na górę.

Teraz widziała jedynie krąg gwiazd. Wyglądały jak świetlne ostrza broni wymierzonej w nią z nieba. Deszcz meteorów przeciął ten jej skrawek nocy. Meteory jawiły jej się jak ostrzeżenie, jak pręgi tygrysie albo jakświetliste kamienie nagrobne, ścinające krew w jej żyłach. Zimny dreszcz ją przeszedł na wspomnienie ceny wyznaczonej za ich głowy.

— Pośpiesz się — powiedział Paul. — Chcę zwinąć namiot.

Struga piachu z powierzchni musnęła jej lewą rękę. Ile ziarenek piasku zmieści się na dłoni? — zastanawiała się.

— Pomóc ci? — zapytał Paul.

— Nie.

Przełknąwszy w zaschniętym gardle wsunęła się do otworu, piach o skondensowanej gęstości zachrzęścił pod jej dłońmi. Paul wyciągnął i podał jej ramię. Stanęła przy nim na gładkiej łasze pustyni, rozglądając się wokoło. Piasek prawie po brzegi wypełniał basen, z którego pozostały tylko niewyraźne krawędzie skalnego wieńca. Zapuścił się dalej w ciemność swymi wyszkolonymi zmysłami.

Szelesty drobnych zwierząt.

Ptaki.

Zawał wypartego piasku, a w nim słabe odgłosy jakiegoś stworzenia. Składanie namiotu przez Paula i jego powrót na powierzchnię. Noc ustąpiła przed blaskiem gwiazd na tyle jedynie, by groźba wychyliła się z każdego cienia. Jessika wpatrywała się w plamy czerni.

Czerń jest oślepłym wspomnieniem — pomyślała. — Nasłuchujemy głosów sfory okrzyków tych, którzy polowali na naszych przodków w tak zamierzchłej przeszłości, że pamiętają ją tylko najprymitywniejsze komórki naszego ciała. Uszy widzą. Nozdrza widzą.

Za chwilę Paul stanął przy niej mówiąc:

— Duncan mi powiedział, że jeśli go złapią, wytrzyma… do tego czasu. Musimy już stąd uchodzić.

Zarzucił sakwę na ramię, podszedł do płytkiego obrzeża basenu, wspiął się na skalną półkę wychodzącą na otwartą pustynię w dole. Jessika machinalnie poszła w jego ślady, uświadamiając sobie,że teraz żyje w orbicie swego syna. Ponieważ moja rozpacz jest teraz cięższa

od piasku oceanów — pomyślała. — Ta planeta wyjałowiła mnie ze wszystkiego prócz celu, który jest najdawniejszy: jutrzejsze życie. Teraz żyję, aby żył mój młody książę i mająca dopiero przyjść na świat córka.

Odnosząc wrażenie, że piasek czepia się jej stóp, dobrnęła do Paula.

Spoglądał ku północy, ponad pasmem skał, zapatrzony na odległy szaniec. Skalny profil przypominał z daleka antyczny pancernik morski na tle gwiazd. Jego długa strzała unosiła się na niewidzialnej fali lasem bumerangowych anten, odchylonymi w tył kominami, wypiętrzeniem w kształcie litery pi na rufie. Ponad tę sylwetę wystrzelił pomarańczowy blask, rozszczepiony oślepiającą linią purpury, która biła weń z nieba.

Druga linia purpury!

I drugi wybuch pomarańczowej jasności!

Wyglądało to jak starożytna bitwa morska i dawny ogień artylerii: nie mogli oderwać oczu od tego widoku.

— Kolumny ognia — wyszeptał Paul.

Krąg czerwonych ślepiów wzbił się nad odległą skałą. Nitki purpury haftowały niebo.

— Płomienie z dysz silników i rusznice laserowe — powiedziała Jessika.

Poczerwieniały od pyłu pierwszy księżyc Arrakis wzniósł się z lewej strony powyżej horyzontu i dostrzegli sunącą tamtędy burzę — ruchomą wstęgę ponad pustynią.

— To muszą być harkonneńskie ornitoptery tropiące naszych — powiedział Paul. — Szatkują pustynię w taki sposób… jakby dla pewności, że rozdeptano wszystko, co tam było… jak rozdeptuje się gniazdo skorpionów.

— Albo gniazdo Atrydów — powiedziała Jessika.

— Musimy szukać osłony — rzekł Paul. — Skierujemy się na południe i będziemy trzymać się skał. Jeśli nas złapią w otwartym terenie… — Odwrócił się poprawiając sakwę na ramieniu. — Mordują wszystko, co się rusza.

Zrobił jeden krok wzdłuż krawędzi i w tym momencie usłyszał cichy świst szybującego statku, ujrzał ciemne sylwetki ornitopterów ponad głową.

> *Ojciec powiedział mi kiedyś, że poszanowanie prawdy można by właściwie uznać za podstawę wszelkiej moralności. Coś nie może wyłonić się z niczego — powiedział. Jest to głęboka myśl, kiedy rozumiemy, jak niestała może*

być „prawda”.

z „Rozmowy z Maud’Dibem”
pióra księżniczki Irulan

— Zawsze szczyciłem się, że widzę rzeczy takimi jakie są naprawdę — rzekł Thufir Hawat. — To jest przekleństwo bycia mentatem. Nie możesz powstrzymać się od analizowania danych. — Starcza, pomarszczona twarz wydawała się spokojna, kiedy mówił. Poplamione sapho wargi wyciągnęły się w prostą linię, od której promienie zmarszczek rozchodziły się ku górze.

Przed Hawatem przykucnął człowiek w burnusie, najwyraźniej nie wzruszony jego słowami. Obaj przycupnęli pod skalnym nawisem wychodzącym na rozległą, płytką nieckę. Brzask rozlewał się ponad zwichrowaną linią klifów po drugiej stronie niecki. Zimno było pod nawisem — suchy, przenikliwy ziąb, który pozostał po nocy. Tuż przed świtem powiał ciepły wiatr, ale teraz było zimno. Hawat słyszał za sobą dzwonienie zębami wśród garstki żołnierzy pozostałych mu w oddziale. Człowiek siedzący na piętach naprzeciwko Hawata był to Fremen, który przeprawił się przez nieckę w szarówce przedświtu, prześlizgując się po piasku i wtapiając w wydmy tak, że ledwo było widać, jak się porusza. Fremen dotknął palcem piasku, nakreślił na nim jakiś rysunek. Wyglądało to jak miska z wylatującą z niej strzałą.

— Tam jest mnóstwo hakonneńskich patroli — powiedział.

Podniósł palec wskazując w górę ponad urwisko, którym Hawat zszedł ze swoimi ludźmi. Hawat kiwnął głową. Mnóstwo patroli, owszem. Jednak ciągle nie wiedział, czego chce ten Fremen, i to go męczyło. Mentackie wyszkolenie powinno obdarzyć człowieka zdolnością dostrzegania motywów.

To była najgorsza noc w życiu Hawata. Przebywał w Tsimpo, osadzie garnizonowej, buforowej stanicy na przedpolach byłej metropolii Kartago, kiedy zaczęły napływać meldunki o atakach. Z początku pomyślał: to rajd. Harkonnenowie przeprowadzają rekonesans. Lecz meldunek gonił za meldunkiem — coraz szybciej i szybciej. W Kartago wylądowały dwa legiony. Pięć legionów — pięćdziesiąt brygad! — atakuje główną bazę księcia w Arrakis. Legion w Arsunt. Dwa pułki w Szczerbatej Skale. Po czym doniesienia zrobiły się bardziej szczegółowe — wśród napastników są imperialni sardaukarzy — przypuszczalnie dwa legiony. I stało się jasne, że najeźdźcy wiedzieli dokładnie, gdzie jaką siłę zbrojną wysłać. Dokładnie! Wspaniały wywiad. Wściekła furia narastała w duszy Hawata zagrażając wręcz sprawnemu funkcjonowaniu jego mentackich zdolności. Skala ataku poraziła jego umysł jak fizyczny cios.

Kryjąc się teraz pod załomem skalnym w pustyni, pokiwał do siebie głową, owinął się w porozdzieraną i pociętą bluzę, jakby chciał odeprzeć zimne cienie.

Skala ataku.

Zawsze liczył się z tym, że przeciwnik wynajmie od Gildii przygodną lichtugę na rozpoznawczy rajd. To było dość pospolite posunięcie w tego rodzaju wojnie między dwoma rodami. Lichtugi lądowały i startowały z Arrakis regularnie przewożąc przyprawę dla rodu Atrydów. Hawat zabezpieczył się odpowiednio przed sporadycznymi nalotami fałszywych lichtug przyprawowych. W decydującym ataku nie spodziewano się więcej niż dziesięciu brygad. Tymczasem na Arrakis wylądowało ponad dwa tysiące statków według ostatniego szacunku — nie tylko lichtugi, lecz fregaty, patrolowce, monitory, łamacze, transportowce, szalandy… Z górą sto brygad — dziesięć legionów! Cały dochód z pięćdziesięcioletniego wydobycia przyprawy na Arrakis może by pokrył koszt takiego przedsięwzięcia. Może. Nie doceniłem tego, ile baron był skłonny wydać na wojnę z nami — pomyślał Hawat. — Zawiodłem mego księcia.

Z kolei sprawa zdrajcy. Zostało mi jeszcze tyle życia, by dopilnować, żeby ją uduszono! — pomyślał. — Powinienem był zabić tę wiedźmę Bene Gesserit, kiedy miałem okazję. W jego umyśle nie było wątpliwości, kto ich zdradził — lady Jessika.

— Wasz człowiek Gurney Halleck z częścią swego oddziału jest bezpieczny u naszych przyjaciół przemytników — powiedział Fremen.

— To dobrze.

Więc Gurney wyrwie się z tej piekielnej planety. Nie wszyscyśmy przepadli. Hawat obejrzał się na bezładną grupę swoich ludzi. Rozpoczął tę właśnie ostatnią noc z trzema setkami doborowych żołnierzy. Pozostało z nich równo dwudziestu, z tego połowa rannych. Niektórzy spali teraz na stojąco, wsparci o skałę lub rozciągnięci pod nią na piasku.

Ich ostatni ornitopter, którego używali jako poduszkowca do przewozu rannych, odmówił posłuszeństwa tuż przed świtem. Pocięli go rusznicami laserowymi i ukryli kawałki, po czym przeprawili się w dół do tej kryjówki na krawędzi basenu. Hawat z grubsza tylko wiedział, gdzie się znajduje — jakieś dwieście kilometrów na południowy wschód od Arrakin. Główne trakty między Murem Zaporowym a komunami siczy leżały gdzieś na południe od nich.

Fremen naprzeciwko Hawata odrzucił na plecy kaptur z kołpakiem swego filtrfraka, odsłaniając rudawoblond włosy i brodę. Włosy były zaczesane prosto do tyłu od wysokiego, wąskiego czoła. Miał on nieodgadnione, całe błękitne oczy od diety przyprawnej. Brodę i wąsy z jednej strony ust splamiła krew, włosy w tym miejscu zbiły się pod naciskiem pętli chwytowodu z wtyków nosowych.

Mężczyzna wyjął wtyki i na nowo je dopasował. Potarł bliznę przy nosie.

— Jeśli będziecie przekraczali nieckę w nocy — powiedział Fremen — to nie wolno wam używać tarcz. W murze jest wyrwa… — Obróciwszy się na piętach wskazał na południe — … tam i otwarty piasek aż po erg. Tarcze zwabią… — zawahał się — czerwia. One nieczęsto tu przychodzą, ale tarcza za każdym razem jakiegoś sprowadzi.

Powiedział: czerw — myślał Hawat. — Zamierzał powiedzieć coś innego. Co? Czego on od nas chce? Hawat westchnął. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem był aż tak zmęczony. Było to zmęczenie mięśni, którego energia w pastylkach nie mogła uśmierzyć. Przeklęci sardaukarzy! Z samooskarżycielską goryczą przyjmował myśli o żołnierzach — fanatykach i zdradzie imperialnej, którą reprezentowali. Jego własna mentacka ocena danych mówiła mu, jak niewielką miał szansę przedstawienia kiedykolwiek dowodu tej zdrady przed Wysoką Radą Landsraadu, gdzie mogła być wymierzona sprawiedliwość.

— Chcesz iść do przemytników? — zapytał Fremen.

— Czy to możliwe?

— Droga jest długa.

„Fremeni nie lubią mówić nie” — powiedział mu kiedyś Idaho.

— Jeszcze mi nie powiedziałeś, czy twoi ludzie mogą pomóc moim rannym — rzekł Hawat.

— Oni są ranni.

Ta sama przeklęta odpowiedź za każdym razem!

— Wiemy, że oni są ranni! — warknął Hawat. — Nie o to…

— Czy macie wodę?

— Ciszej, przyjacielu — ostrzegł Fremen. — Co mówią twoi ranni? Czy wśród nich są tacy, którzy potrafią dostrzec potrzebę wody twego plemienia?

— Nie mówimy o wodzie — powiedział Hawat. — Mówimy…

— Potrafię zrozumieć twoje opory — wtrącił Fremen. — To są twoi przyjaciele, twoi współplemieńcy. Czy macie wodę?

— Za mało.

Fremen wskazał na tunikę Hawata, na wyzierającą przez nią skórę.

— Zaskoczyli was w siczy, bez filtrfraków. Musisz podjąć wodną decyzję, przyjacielu.

— Czy możemy wynająć was do pomocy?

Fremen wzruszył ramionami.

— Nie macie wody. — Zerknął na gromadkę za Hawatem. — Ilu swych rannych byś przeznaczył?

Hawat zamilkł, wpatrując się w tego człowieka. Jako mentat

dostrzegał, że komunikacja między nimi jest przesunięta w czasie. Brzmienie słów nie wiązało się tu w zwykły sens.

— Jestem Thufir Hawat — powiedział. — Mam prawo występować w imieniu mojego księcia. Daję teraz promesę odwdzięczenia się za waszą pomóc. Potrzebuję pomocy w ograniczonym zakresie, gdyż chcę trzymać swój oddział tylko dopóty, dopóki nie zabiję zdrajcy, któremu wydaje się, że uszedł zemsty.

— Chcesz naszego udziału w wendecie?

— Z wendetą poradzę sobie sam. Chcę być wolny od odpowiedzialności za swych rannych, by móc się nią zająć.

Fremen spojrzał spode łba.

— Jak możesz ty odpowiadać za swoich rannych? Oni sami odpowiadają za siebie. Chodzi o wodę, Thufirze Hawacie. Chciałbyś, bym wziął tę decyzję na siebie?

Mężczyzna położył dłoń na ukrytej pod burnusem broni. Hawat sprężył się. Czyżby zdrada? — przemknęło mu przez głowę.

— Czego się boisz? — zapytał Fremen.

A niechże ich z tą żenującą szczerością! Hawat odezwał się ostrożnie:

— Za moją głowę wyznaczona jest nagroda.

— Aaach. — Fremen zdjął rękę z noża. — Myślisz, że mamy u siebie bizantyjską korupcję. Nie znasz Fremenów. Harkonenom nie wystarczy wody, by kupić najmniejsze dziecko spośród nas.

— Za to starczyło im na zapłacenie za przelot dwóch tysięcy okrętów wojennych — pomyślał Hawat. I wielkość tej zapłaty nadal przyprawiała go o zawrót głowy.

— I wy, i my wojujemy z Harkonnenami — rzekł Hawat. — Czyż nie powinniśmy dzielić problemów i trudów prowadzenia walki?

— Dzielimy je — powiedział Fremen. — Widziałem cię w boju z Harkonnenami. Dobry jesteś. Były chwile, kiedy pragnąłem, byś stał przy mnie ramię w ramię.

— Wskaż, gdzie i kiedy mam stanąć przy tobie — rzekł Hawat.

— Kto wie? — spytał Fremen. — Wojska Harkonnenów są wszędzie. Ale ty ciągle nie podjąłeś wodnej decyzji ani nie złożyłeś jej w ręce swoich rannych.

Muszę być ostrożny — powiedział sobie Hawat. — Jest w tym coś, czego nie rozumiem.

— Czy mógłbyś zapoznać mnie z waszym zwyczajem, ze zwyczajem arrakańskim? — zapytał.

— Myślenie obcego — w głosie Fremena kryła się drwina. Wskazał na północny zachód poza szczyt urwiska. — Obserwowaliśmy cię, jak przechodzisz piasek tej nocy. — Opuścił rękę. — Prowadzisz swój odział po zawietrznych zboczach wydm. Niedobrze. Nie macie filtrfraków, wody. Długo nie pociągniecie.

— Niełatwo jest nabrać zwyczajów Arrakis — powiedział Hawat.

— Prawda. Ale zabiliśmy paru Harkonnenów.

— Co wy robicie ze swoimi rannymi? — pytał Hawat.

— Czyż człowiek nie wie, kiedy jest wart ratowania? Twoi ranni wiedzą, że nie macie wody. — Przekrzywił głowę spoglądając z ukosa na Hawata. — Bezspornie jest to czas na wodną decyzję. Ranni tak samo jak i zdrowi muszą troszczyć się o przyszłość plemienia.

Przyszłość plemienia — pomyślał Hawat. — Plemienia Atrydów. W tym jest sens. — Odważył się na pytanie, którego unikał:

— Wiecie coś o moim księciu lub jego synu?

Nieodgadnione błękitne oczy wpatrywały się znad piasku w Hawata.

— Coś?

— Coś o ich losie! — burknął Hawat.

— Los jest taki sam dla wszystkich — powiedział Fremen. — Mówią, że twój książę spotkał swój los. Co się tyczy Lasana al-Giba — jego syna, to wszystko jest w rękach Lieta. Liet jeszcze nie powiedział.

Znałem odpowiedz bez pytania — pomyślał Hawat. Obejrzał się na swoich ludzi. Wszyscy już się obudzili. Wszyscy słyszeli. Wpatrywali się w piaszczystą dal ze zrozumieniem w twarzach: nie było dla nich powrotu na Kaladan, a teraz nie ma dla nich miejsca na Arrakis. Hawat zwrócił się do Fremena.

— Wiesz coś o Duncanie Idaho?

— Przebywał w wielkim domu, kiedy opadła tarcza — powiedział Fremen. — Tyle słyszałem… nic więcej.

Zrzuciła tarczę i wpuściła Harkonnenów — myślał Hawat. — To ja siedziałem plecami do drzwi. Jak ona mogła zrobić coś podobnego, skoro oznacza to również podniesienie ręki na własnego syna? Lecz… któż wie, jakimi drogami chadzają myśli wiedźmy Bene Gesserit… jeśli można je nazwać myślami. Hawat spróbował przełknąć ślinę.

— Kiedy będziesz coś wiedział o chłopcu?

— Niewiele wiemy o tym, co wydarzyło się w Arrakin — powiedział Fremen. Wzruszył ramionami. — Kto wie?

— Masz możliwości zdobycia informacji?

— Może. — Fremen potarł bliznę przy nosie. — Powiedź mi, Thufirze Hawacie, czy znasz się na tej wielkiej broni używanej przez Harkonnenów?

Artyleria — pomyślał z goryczą Hawat. — Kto by przypuścił, że użyją artylerii w epoce tarcz?

— Chodzi ci o artylerię, której użyli do zamknięcia naszych ludzi w grotach — powiedział. — Znam… teoretycznie taką broń miotającą.

— Każdy człowiek, który wycofuje się do groty mającej jedno tylko wejście, zasługuje na śmierć — rzekł Fremen.

— Dlaczego pytasz o tę broń?

— Liet sobie tego życzy.

Czy tego właśnie chce od nas? — zastanawiał się Hawat.

— Przyszedłeś tu w poszukiwaniu informacji o wielkich działach? — zapytał.

— Liet życzył sobie zobaczyć takie działo na własne oczy.

— Więc powinniście pójść i po prostu jedno sobie wziąć — zadrwił Hawat.

— Tak — rzekł Fremen. — Jedno wzięliśmy. Trzymamy je w ukryciu, gdzie Stilgar może je zbadać i gdzie Liet może je sobie obejrzeć na własne oczy, jeśli zechce. Ale ja wątpię, by zechciał. Kiepska konstrukcja dla Arrakis.

— Wy… wzięliście działo? — spytał Hawat.

— To była dobra walka — powiedział Fremen. — Straciliśmy jedynie dwóch ludzi, a przelaliśmy wody więcej niż setki.

Przy każdym dziale byli sardaukarzy — myślał Hawat. Ten pustynny szaleniec jakby nigdy nic mówi o stracie dwóch ludzi przeciwko sardaukarom!

— Nie stracilibyśmy tych dwóch, gdyby nie ci inni walczący obok Harkonnenów — powiedział Fremen. — Niektórzy z nich są dobrymi wojownikami.

Jeden z ludzi Hawata przykuśtykał i spojrzał z góry na przykucniętego Fremena.

— Mówisz o sardaukarach?

— On mówi o sardaukarach — powiedział Hawat.

— Sardaukarzy! — rzekł Fremen i jakby radość pojawiła się w jego głosie. — Aaach, więc to oni! Dobra zaiste była to noc. Sardaukarzy. Który legion? Wiecie?

— My… nie wiemy — powiedział Hawat.

— Sardaukarzy — zadumał się Fremen. — Jednak noszą strój Harkonnenów. Czy to nie dziwne?

— Imperator nie życzy sobie, by się dowiedziano, że wojuje z wysokim rodem — powiedział Hawat.

— Ale ty wiesz, że oni są sardaukarami.

— A kim ja jestem? — zapytał cierpko Hawat.

— Jesteś Thufirem Hawatem — rzeczowo odparł mężczyzna. — Cóż, dowiedzielibyśmy się o tym w swoim czasie. Trzech z nich wysłaliśmy jako jeńców na przesłuchanie do ludzi Lieta.

Ordynans Hawata przemówił powoli, z niedowierzaniem w każdym słowie:

— Wy… pojmaliście sardaukarów?

— Trzech tylko — powiedział Fremen. — Dobrze się bili.

Gdybyśmy tylko mieli czas związać się z tymi Fremenami — myślał Hawat. Gorzka rozpacz wypełniała jego umysł. Gdybyśmy tylko zdążyli wyszkolić ich i uzbroić. Wielka Macierzy, cóż byśmy mieli za

siłę bojową!

— Może ty zwlekasz z powodu troski o Lisana al-Gaiba — rzekł Fremen. — Jeżeli on jest prawdziwym Lisanem al-Gaibem, nie może go spotkać nic złego. Nie łam sobie głowy nad sprawą, której się nie da rozstrzygnąć.

— Ja służę… Lisanowi al-Gaibowi — powiedział Hawat. — Jego dobro jest moją sprawą. Ślubowałem to sobie.

— Ślubowałeś jego wodzie?

Hawat zerknął na swego ordynansa, który ciągle gapił się na Fremena, i znowu przyjrzał się przykucniętej postaci.

— Jego wodzie, tak.

— Pragniesz powrócić do Arrakin, do miejsca jego wody?

— Do… tak, do miejsca jego wody.

— Dlaczego od razu nie powiedziałeś, że to sprawa wody?

Fremen wstał, osadził szczelnie swe nosowe wtyki. Hawat ruchem głowy nakazał ordynansowi wracać do oddziału. Człowiek usłuchał ze znużonym wzruszeniem ramion. Hawat usłyszał przyciszone głosy żołnierzy. Fremen powiedział:

— Zawsze jest droga do wody.

Za plecami Hawata jakiś żołnierz zaklął. Ordynans zawołał:

— Thufir! Arkie umarł.

Fremen podniósł pięść do ucha.

— Ślub wody! To jest znak! — Wbił spojrzenie w Hawata. — Mamy w pobliżu miejsce do przyjmowania wody. Czy wezwać moich ludzi?

Ordynas podszedł ponownie do Hawata.

— Thufir, paru ludzi pozostawiło żony w Arrakin. Oni… no wiesz, jak to jest w takiej chwili.

Fremen ciągle trzymał pięść przy uchu.

— Czy to jest ślub wody, Thufirze Hawacie? — zapytał.

Myśli wirowały w głowie Hawata. Wyczuł już, ku czemu zmierzają słowa Fremena, lecz obawiał się reakcji umordowanych ludzi spod nawisu skalnego, kiedy to do nich dotrze.

— Ślub wody — powiedział.

— Niechaj połączą się nasze plemiona — rzekł Fremen i opuścił pięść.

Jakby to był sygnał, czterech ludzi zsunęło się po skałach z góry i zeskoczyło koło nich. Pomknęli w głąb pod nawis, owinęli zmarłego człowieka obszernym burnusem, podnieśli go i z trudem puścili się biegiem w prawo, wzdłuż ściany urwiska. Fontanny pyłu wzbijały się wokół ich śmigających stóp. Zanim utrudzeni ludzie Hawata zdołali ochłonąć, było już po wszystkim. Grupka z ciałem zwieszonym jak tobół w spowijającej je szacie zniknęły za załomem urwiska. Jeden z ludzi Hawata krzyknął:

— Dokąd oni biorą Arkiego? On był…

— Zabierają go do… do pogrzebania — powiedział Hawat.

— Fremeni nie grzebią swoich zmarłych! — warknął ów człowiek. — Nie próbuj z nami żadnych numerów, Thufir. Wiemy, co oni robią. Arkie był jednym z…

— Raj stoi otworem przed człowiekiem, który zmarł służąc Lisanowi al-Gaibowi — powiedział Fremen. — Jeśli, jak mówisz, służycie Lisanowi al-Gaibowi, to po co wznosić żałobne okrzyki? Pamięć tego, kto tak zginął, żyć będzie dopóty, dopóki żyje pamięć ludzka.

Lecz ludzie Hawata zbliżali się z twarzami wykrzywionymi gniewem. Jeden miał zdobyczną rusznicę laserową. Sięgnął po nią.

— Zostać na miejscach! — rzucił Hawat. Przemógł chorobliwe znużenie, jakie opanowało jego mięśnie. — Ci ludzie szanują naszych zmarłych. Obyczaje się różnią, ale sens jest ten sam.

— Oni zamierzają przerobić Arkiego na wodę — warknął człowiek z rusznicą laserową.

— Czy chodzi o to, że twoi ludzie pragną uczestniczyć w ceremonii? — spytał Fremen.

On nawet nie widzi problemu — pomyślał Hawat. Naiwność tego Fremena była przerażająca.

— Niepokoją się o towarzysza, którego darzyli szacunkiem — powiedział.

— Potraktujemy waszego towarzysza z takim samym szacunkiem, z jakim traktujemy swoich własnych — rzekł Fremen. — To jest ślub wody. Znany obrządek. Ciało człowieka stanowi jego własność; woda należy do plemienia.

Mężczyzna z rusznicą laserową zrobił następny krok i Hawat odezwał się prędko:

— Czy teraz udzielicie pomocy naszym rannym?

— Nie kwestionuje się ślubu wody — odparł Fremen. — Zrobimy dla was to, co plemię robi dla swoich. Najpierw musimy was wszystkich odziać i zatroszczyć się o rzeczy pierwszej potrzeby.

Mężczyzna z rusznicą zawahał się. Ordynans Hawata zapytał:

— Czy my płacimy za pomoc wodą… Arkiego?

— Nie płacimy — powiedział Hawat. — Przyłączyliśmy się do tych ludzi.

— Obyczaje się różnią — mruknął ktoś z jego oddziału.

Hawat poczuł odprężenie.

— I oni nam pomogą dotrzeć do Arrakin?

— Będziemy zabijać Harkonnenów — powiedział Fremen. Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — I sardaukarów.

Cofnął się o krok, przytknął do uszu zwinięte w trąbki dłonie i odchylił głowę do tyłu, nasłuchując. Po chwili opuścił ręce.

— Nadlatuje statek — powiedział. — Ukryjcie się pod skałą i nie ruszajcie się.

Na skinienie Hawata jego ludzie wykonali polecenie. Fremen ujął Hawata za ramię, pociągnął go w tył za innymi.

— Będziemy walczyć, gdy przyjdzie pora — powiedział.

Sięgnął pod swe szaty, wydobył miniaturową klatkę, wyjął z niej jakieś stworzenie. Hawat poznał maleńkiego nietoperza. Nietoperz obrócił główkę i Hawat zobaczył jego błękitne w błękicie oczy. Fremen pogłaskał nietoperza, uspokajając go, nucąc mu. Nachylił się nad głową zwierzęcia, pozwolił, by kropla śliny z jego języka spadła do wyciągniętego ku górze pyszczka nietoperza. Nietoperz rozpostarł skrzydła, lecz pozostał na otwartej dłoni Fremena. Mężczyzna wziął mikroskopijną rurkę i trzymając ją przy głowie nietoperza ćwierkał do rurki: po czym uniósłszy stworzenie wysoko wyrzucił je w powietrze. Nietoperz zanurkował oddalając się przy urwisku i zniknął. Fremen złożył klatkę i wcisnął ją pod burnus. Ponownie przechylił głowę, nasłuchując.

— Przeczesują pogórze — powiedział. — Ciekawe, kogo tam szukają nad nami.

— Wiadomo, że wycofaliśmy się w tym kierunku — powiedział Hawat.

— Nie należy zakładać, że jest się wyłącznym obiektem polowania — rzekł Fremen. — Obserwuj przeciwległy brzeg basenu. Coś zobaczysz.

Czas mijał. Niektórzy ludzie Hawata wiercili się, poszeptując.

— Zachowujcie się cicho jak mysz pod miotłą — syknął Fremen.

Hawat dostrzegł ruch pod przeciwległym urwiskiem — przemykające plamki brązu na brązie.

— Mój mały przyjaciel zaniósł wiadomość — powiedział Fremen. — Dobry z niego posłaniec, dniem czy nocą. Będę nieszczęśliwy, jeśli go stracę.

Ruch po drugiej stronie niecki zamarł. Na całym cztero — czy pięciokilometrowym obszarze piasku nie pozostało nic prócz wzrastającego żaru — rozedrganych słupów wznoszącego się powietrza.

— Teraz ani mru-mru — wyszeptał Fremen.

Rząd mozolnie brnących sylwetek wyłonił się przeciwległego urwiska, kierując się na przełaj przez nieckę. Hawatowi wyglądały one nie na Fremenów, ale na jakąś dziwnie bezmyślną bandę. Naliczył sześciu ludzi w ślimaczym tempie wlokących się przez wydmy. „Klap-klap” skrzydeł ornitoptera rozległo się z góry w prawo od oddziału Hawata. Statek przeleciał nad krawędzią urwiska — był to atrydzki ornitopter pomalowany bojowymi barwami Harkonnenów. Ornitopter zapikował na przekraczających nieckę ludzi. Gromadka zatrzymała się

na grzbiecie wydmy, łamiąc szyk. Ornitopter zatoczył nad nimi jedno niewielkie koło i zawrócił lądując w tumanach pyłu przed Fremenami. Pięciu ludzi wysypało się z ornitoptera i Hawat dojrzał odsiewające pył migotanie ich tarcz, w ruchach zaś doskonałą biegłość sardaukarów.

— Aaajaj! Używają swoich idiotycznych tarcz — zasyczał Fremen u boku Hawata. Spojrzał w kierunku otwartej południowej ściany niecki.

— Sardaukarzy — szepnął Hawat.

— To dobrze.

Sardaukarzy podchodzili do czekającej grupy Fremenów okrążając ich półkolem. Fremeni stali w zbitej gromadce, na pozór obojętnie. Znienacka, z piasku za obiema grupami wyrośli nowi Fremeni. Znaleźli się pod brzuchem, a już za chwilę we wnętrzu ornitoptera. Tam gdzie dwa pierwsze oddziały spotkały się na grzbiecie wydmy, chmura pyłu częściowo przesłoniła gwałtowne zamieszanie. Niebawem pył opadł. Tylko Fremeni stali na nogach.

— Zostawili jedynie trzech ludzi w ornitopterze — powiedział Fremen obok Hawata. — To bardzo dobrze. Nie sądzę, byśmy uszkodzili statek podczas ataku.

Jeden z ludzi za plecami Hawata wyszeptał:

— To byli sardaukarzy!

— Zauważyłeś, jak dobrze walczą? — zapytał Fremen.

Hawat odetchnął głęboko. Dokoła czuł woń wypalonego pyłu, spiekotę, suchość. Tonem dorównującym tej suchości powiedział:

— Tak, oni rzeczywiście dobrze walczą.

Zdobyty ornitopter poderwał się ukośnym uderzeniem skrzydeł, wzbił się i nabierając ze złożonymi skrzydłami wysokości, stromą świecą poszedł na południe.

Więc ci Fremeni potrafią również pilotować ornitoptery — pomyślał Hawat.

Na odległej wydmie jakiś Fremen machnął prostokątem zielonego materiału raz… drugi.

— Idzie ich więcej! — warknął Fremen koło Hawata. — Przygotujcie się. Miałem nadzieję, że zabierzemy się stąd bez dalszych zgrzytów.

Zgrzytów! — pomyślał Hawat. Ujrzał od zachodu dwa nowe ornitoptery pikujące z wysoka na obszar piasku nagle opustoszały po zniknięciu Fremenów. Jedynie osiem plam błękitu — ciała sardaukarów w harkonneńskich mundurach — pozostało na placu boju. Jeszcze jeden ornitopter wyszedł lotem ślizgowym spoza ściany urwiska nad głową Hawata. Hawatowi zaparło dech na widok olbrzymiego transportowca. Szybował z powolną ociężałością na skrzydłach rozpostartych w pełnym obciążeniu — jak wielki ptak

zlatujący do gniazda.

Purpurowa nitka wiązki rusznicy laserowej strzeliła od jednego z nurkujących w oddali ornitopterów. Smagnęła piasek wzbijając cienką smugę pyłu.

— Tchórze! — Fremen zazgrzytał zębami nad uchem Hawatowi.

Transportowiec wziął kurs na plamę niebiesko odzianych ciał. Jego skrzydła rozjechały się na maksymalną rozpiętość i zaczęły podwijać się w pośpiesznym hamowaniu.

Uwagę Hawata przyciągnął od południa błysk słońca na metalu — orpitopter walący stamtąd lotem nurkowym na pełnym gazie silnika, ze skrzydłami złożonymi płasko po bokach, w złotawym rozbłysku płomienia z dysz na tle ciemnej, srebrzystej szarości nieba. Jak strzała pikował na transportowiec, nie osłonięty ze względu na bliskość rusznic laserowych. Pikujący ornitopter wyrżnął prosto w transportowiec. Grzmot ognia wstrząsnął basenem. Z okalających go urwisk potoczyły się kamienie. Gejzer pomarańczowej czerwieni wystrzelił z piasku pod niebo w miejscu, gdzie znajdował się transportowiec i towarzyszące mu ornitoptery — wszystko stanęło w płomieniach.

To był ów Fremen, który odleciał zdobycznym ornitopterem — pomyślał Hawat. — Świadomie poświęcił się, by zniszczyć transportowiec. Wielka Macierzy! Kimże są ci Fremeni?

— Rozsądna wymiana — powiedział przy nim Fremen. — W tym transportowcu było pewnie ze trzy setki ludzi. Teraz musimy zająć się ich wodą i poczynić plany zdobycia innego statku.

Podniósł się, aby wyjść spod skalnego dachu ich kryjówki.

Deszcz niebieskich mundurów opadających z niskodryfową powolnością lunął przed nim ze szczytu urwiska. W jednej chwili Hawat poznał sardaukarów. Dostrzegł okrutne twarze zastygłe w bojowym szale, zobaczył, że nie mają tarcz i że każdy trzyma nóż w jednej ręce, a głuszak w drugiej. Ciśnięty nóż trafił fremeńskiego przyjaciela Hawata w gardło; Fremen wygiął się w tył, a potem zwalił twarzą do ziemi.

Hawat miał tylko czas na wyciągnięcie własnego noża, nim pocisk głuszaka zwalił go z nóg w ciemność.

> *Muad'Dib rzeczywiście widział przyszłość, ale musimy zdawać sobie sprawę z ograniczeń tej mocy. Pomyślmy o wzroku. Mamy oczy, a jednak nie widzimy bez światła. Gdy znajdujemy się na dnie kotliny, nie sięgamy wzrokiem poza swoją kotlinę. Dokładnie tak samo Muad'Dib — nie zawsze mógł swobodnie*

szybować spojrzeniem przez tajemniczy teren. Mówi on nam, że pojedyncza, drobna prorocza decyzja, być może wybór jednego określonego słowa, jest w stanie zmienić przyszłość. Mówi on nam: „Wizja czasu jest szeroka, lecz kiedy się przez nią przechodzi, czas staje się wąskimi drzwiami". I zawsze zwalczał on pokusę wybrania łatwego bezpiecznego kierunku, przestrzegając: „Owa ścieżka prowadzi stale w dół, do stagnacji".

z „Przebudzenia Arraikis" pióra księżniczki Irulan

Gdy ornitoptery wychynęły z głębi nocy ponad ich głowami, Paul schwycił matkę za ramię.

— Stój! — rzucił ostro.

Wtedy ujrzał w blasku księżyca statek prowadzący, charakterystyczne podwinięcie skrzydeł przy hamowaniu do lądowania, brawurową grę dłoni na sterach.

— To jest Idaho — wyszeptał.

Statek wraz z eskortą siadł w basenie jak stado kuropatw zlatujących na lęgowisko. Jeszcze nie opadł kurz, kiedy Idaho biegł już do nich po piasku. Za nim podążały dwie sylwetki we fremeńskich burnusach. Paul rozpoznał jedną: wysoki, z brodą rudoblond — Kynes.

— Tędy! — zawołał Kynes i skręcił w lewo. W tyle za Kynesem inni Fremeni zarzucili plandeki na swe ornitoptery. Statki zmieniły się w rząd płaskich wydm. Idaho zaparł się nogami w piasku przed Paulem, zasalutował.

— Mój panie, Fremeni mają w pobliżu tymczasową kryjówkę, gdzie my…

— Co się tam za wami dzieje? — Paul wskazał w kierunku zamętu ponad odległym klifem: płomienie z dysz silników, wiązki rusznic laserowych siekące powierzchnię pustyni.

Rzadki u Idaho uśmiech zagościł na jego okrągłej, łagodnej twarzy.

— Mój panie… Sire, zostawiłem im maleńką niespo…

Oślepiająco białe światło — jasne jak słońce — zalało pustynię, rysując ich cienie na skalnym występie.

Chwyciwszy dłoń Paula i ramię Jessiki Idaho jednym zamaszystym szarpnięciem zwalił się z nimi ze skalnej półki na dno basenu. Razem rozciągnęli się na piasku, gdy ponad ich głowami zagrzmiał łoskot eksplozji. Jej fala uderzeniowa zmiotła odłamki

kamienia z opuszczonej przez nich półki. Idaho siadł, otrzepując się z piasku.

— To nie arsenał jądrowy rodu! — powiedziała Jessika. — Myślałam…

— Zostawiłeś za sobą nastawioną tarczę — rzekł Paul.

— Wielką tarczę na pełną moc — oświadczył Idaho. — Wiązka rusznicy laserowej musnęła ją i… — wzruszył ramionami.

— Fuzja subatomowa — powiedziała Jessika. — To niebezpieczna broń.

— Nie broń, moja pani, obrona. Tamta hołota pomyśli teraz dwa razy, zanim użyje rusznic laserowych.

Fremeni z ornitopterów stanęli nad nimi. Jeden zawołał ściszonym głosem:

— Czas zejść w ukrycie, przyjaciele.

Paul podniósł się na nogi, podczas gdy Idaho pomagał wstać Jessice.

— Ten wybuch przyciągnie powszechną uwagę, Sire — odezwał się Idaho.

„Sire” — pomyślał Paul. Jakże dziwnie brzmiało to słowo w odniesieniu do mego. To ojciec zawsze był „Sire”.

Poczuł, jak na chwilę nachodzi go moc jasnowidzenia, ujrzał siebie porażonego barbarzyńską świadomością rasy ludzkiej, która spycha wszechświat człowieka w stronę chaosu. Wizja przyprawiła Paula o wewnętrzny dygot — dał się prowadzić Idaho wzdłuż krawędzi basenu do skalnego występu. Fremeni za pomocą swoich kondensatorów otwierali tam przejście w głąb piasku.

— Czy mogę ponieść ci sakwę, Sire? — zapytał Idaho.

— Nie jest ciężka, Duncan — powiedział Paul.

— Nie masz tarczy osobistej — zauważył Idaho. — Chciałbyś moją? — Spojrzał na klif w oddali. — Chyba więcej nie zobaczymy tu rusznic laserowych w akcji.

— Zatrzymaj swą tarczę, Duncan. Twoje prawe ramię stanowi dla mnie dostateczną ochronę.

Jessika zauważyła, jakie wrażenie zrobiła ta pochwała na Idaho, jak przysunął się bliżej Paula. Ależ nieomylnie mój syn postępuje ze swoimi ludźmi — pomyślała.

Fremeni usunęli czop skalny, otwierając wejście do naturalnego pustynnego kompleksu podziemi. Zaciągnięto osłonę maskującą na otwór.

— Tędy — wskazał jeden z Fremenów i sprowadził ich skalnymi stopniami w ciemność. Osłona zatrzymała blask księżyca za nimi. W przedzie ożywiła się nikła, zielona poświata, dobywając z mroku schody, ściany skalne, zakręt w lewo. Ze wszystkich stron otaczali ich teraz Fremeni w burnusach, śpieszący w dół.

Skręcili za róg, napotkali drugi tunel wiodący ukośnie w głąb. Kończył się surową komorą groty.

Przed nimi stał Kynes odrzuconym do tyłu kapturem dżubby. W zielonym świetle połyskiwał kołnierz jego filtrfraka. Długie włosy i broda były w nieładzie. Błękitne oczy bez białek były samą ciemnością pod krzaczastymi brwiami.

W owej chwili spotkania Kynes dziwił się sobie: Dlaczego ja pomagam tym ludziom? To najniebezpieczniejsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek zrobiłem. To może mnie zgubić wraz z nimi. Wówczas spojrzawszy Paulowi prosto w twarz, ujrzał chłopca, który zapanował nad rozpaczą i przybrał postawę mężczyzny, maskując wszystko prócz pozycji, jaką teraz musiał przyjąć — księcia. I Kynes zdał sobie w tym momencie sprawę, że księstwo istnieje ciągle i wyłącznie za sprawą tego młodzieńca — i nie była to sprawa, którą dałoby się zlekceważyć.

Jessika jednym rzutem oka ogarnęła komorę, rejestrując ją swymi zmysłami Bene Gesserit — laboratorium, pracownia pełna zakamarków w dawnym stylu.

— To jedna z Imperialnych Doświadczalnych Stacji Ekologicznych, które mój ojciec chciał mieć jako bazy wypadowe — powiedział Paul.

Jego ojciec chciał! — pomyślał Kynes. W dalszym ciągu nie mógł się sobie nadziwić. Czy ja zgłupiałem, że pomagam tym zbiegom? Po co to robię? Tak łatwo można by ich teraz ująć, kupić za nich zaufanie Harkonnenów.

Paul poszedł w ślady matki, w gestaltycznej lustracji pomieszczenia obejmując wzrokiem ściany z litej skaty i stół warsztatowy pod jedną z nich. Na stole stały szeregi instrumentów — rozjarzonetarcze, przewodowe strugi rusztowe ze sterczącym rowkowanym szkłem. Zapach ozonu przenikał pomieszczenie.

Kilku Fremenów minęło ich znikając za załomem komory, skąd doleciały nowe dźwięki — kaszlnięcia silnika, wizg pasów napędowych i licznych przekładni. Paul spojrzał w głąb komory, dostrzegł spiętrzone pod ścianą klatki z maleńkimi zwierzątkami.

— Rozpoznałeś prawidłowo to pomieszczenie — powiedział Kynes. Do czego byś wykorzystał takie miejsce, Paulu Atrydo?

— Do uczynienia tej planety miejscem odpowiednim dla istot ludzkich — odparł Paul.

Może właśnie dlatego im pomagam — pomyślał Kynes.

Odgłosy maszynerii raptownie przeszły w buczenie i ucichły. W tej dźwiękowej próżni rozległ się cienki zwierzęcy pisk z klatek. Urwał się gwałtownie, jakby w zażenowaniu. Paul zwrócił ponownie uwagę na klatki, zobaczył, że te zwierzęta to brązowoskrzydłe nietoperze. Od bocznej ściany przez klatki ciągnął się automatyczny karmnik. Z niewidocznego kąta groty wyszedł Fremen i zwrócił się do Kynesa:

— Liet, urządzenia generatora pola nie działają. Nie jestem w stanie zamaskować nas przed czujnikami zbliżeniowymi.

— Dasz radę to naprawić? — zapytał Kynes.

— Nie od razu. Części… — wzruszył ramionami.

— No dobrze — powiedział Kynes. — Obejdziemy się zatem bez maszynerii. Wyciągnijcie ręczną pompę powietrza na powierzchnię.

— Tak jest.

Mężczyzna oddalił się pośpiesznie. Kynes zwrócił się ponownie do Paula:

— Dałeś dobrą odpowiedź.

Jessika odnotowała swobodne dudnienie głosu tego człowieka. To był głos królewski, przywykły do wydawania rozkazów. I nie przeoczyła tego, że zwracano się do niego Liet. „Liet" było to fremeńskie alter ego, druga twarz układnego planetologa.

— Jesteśmy w najwyższym stopniu wdzięczni za twoją pomoc, doktorze Kynes — powiedziała.

— Hmmm, zobaczymy — rzekł Kynes. Skinął głową jednemu ze swych ludzi. — Kawa przyprawowa do mojej kwatery, Szamir.

— Tak jest, Liet.

Kynes wskazał sklepione przejście w bocznej ścianie komory.

— Czy można prosić?

Jessika pozwoliła sobie na królewskie skinienie głową przed skorzystaniem z zaproszenia. Spostrzegła, że Paul daje dłonią znak Idaho, polecając mu zaciągnąć tu wartę.

Długie na dwa kroki przejście za ciężkimi drzwiami prowadziło do kwadratowego gabinetu, oświetlonego złotawymi kulami świętojańskimi. Wchodząc Jessika przejechała dłonią po drzwiach, ze zdumieniem rozpoznając plastal.

Paul zrobił trzy kroki w głąb pokoju i rzucił sakwę na podłogę. Usłyszał, jak drzwi się za nimi zamykają, z uwagą przyjrzał się pomieszczeniu — około ośmiu na osiem metrów, ściany z naturalnej skały barwy curry, z wyjątkiem metalowych szafek kartoteki z prawej strony. Środek pokoju zajmował niski stół przykryty blatem z mlecznego szkła, mieniącego się żółtymi pęcherzykami. Otaczały go cztery dryfowe krzesła.

Kynes obszedł Paula, podsunął krzesło Jessice. Usiadła obserwując, w jaki sposób jej syn bada ten pokój. Paul stał jeszcze przez chwilę. Ledwo uchwytna anomalia prądów powietrza odkryła przed nim obecność sekretnych drzwi za szafkami kartoteki po prawej ręce.

— Czy zechcesz usiąść, Paulu Atrydo? — zapytał Kynes.

Jak starannie omija mój tytuł — pomyślał Paul. Lecz przyjął krzesło i w milczeniu czekał, aż Kynes zajmie swoje miejsce.

— Przeczułeś, że Arrakis mogłaby być rajem — powiedział Kynes.

— Jednak, jak widzisz, Imperium przysyła tu wyłącznie swych wyszkolonych najemnych zbirów, swych łowców przyprawy!

Paul podniósł kciuk z książęcym sygnetem.

— Widzisz ten pierścień?

— Tak.

— Wiesz, co on znaczy?

Jessika obróciła się gwałtownie wytrzeszczając oczy na swego syna.

— Twój ojciec leży martwy w ruinach Arrakin — powiedział Kynes. — Formalnie ty jesteś księciem.

— Jestem żołnierzem Imperium — powiedział Paul. — „Formalnie" najemnym zbirem.

Kynes pociemniał na twarzy.

— Nawet gdy sardaukarzy Imperatora stoją nad ciałem twojego ojca?

— Sardaukarzy to jedna sprawa, a legalne źródło mojej władzy to druga — rzekł Paul.

— Arrakis ma swój własny sposób określania, kto chodzi w aureoli władzy — powiedział Kynes.

Zaś Jessika oglądając się na Kynesa pomyślała: W tym człowieku jest stal, przez nikogo nie rozhartowana… a my potrzebujemy stali. Paul robi niebezpieczną rzecz.

— Sardaukarzy na Arrakis są miarą tego, jak bardzo nasz najukochańszy Imperator bał się mego ojca. Teraz ja dostarczę Imperatorowi powodów do strachu przed…

— Chłopcze — powiedział Kynes — są sprawy, których ty nie…

— Zwracaj się do mnie „Sire" albo „mój panie" — przerwał Paul.

Nie tak ostro — pomyślała Jessika.

Kynes wlepił oczy w Paula i Jessika dostrzegła w nich błysk podziwu, a i rozbawienie też było w spojrzeniu planetologa.

— Sire — powiedział Kynes.

— Jestem kością w gardle dla Imperatora — rzekł Paul. — Jestem kością w gardle dla wszystkich, którzy podzieliliby się Arrakis jak łupem. Dopóki żyję, nie przestanę być taką kością w gardle, aż się mną zadławią na śmierć!

— Słowa — powiedział Kynes.

Paul nie spuszczał z niego oczu. Po chwili rzekł:

— Macie tu mit o Lisanie al — Gaibie — Głosie z Innego Świata — który ma powieść Fremenów do raju. Twoi ludzie mają…

— Zabobony! — rzekł Kynes.

— Być może — zgodził się Paul. — A może i nie. Zabobony mają czasami dziwne korzenie, a jeszcze dziwniejsze gałęzie.

— Masz jakiś plan — powiedział Kynes. — To widać… Sire.

— Czy twoi Fremeni mogliby mi dostarczyć niezbitego dowodu,

że są tutaj sardaukarzy w mundurach Harkonnenów?

— Niewykluczone.

— Imperator z powrotem postawi tu u władzy Harkonnenów — powiedział Paul. — Może nawet Bestię Rabbana. Niech mu będzie. Jak już Jego Wysokość zabrnie za daleko, by wykręcić się od winy, niechaj zajrzy mu w oczy widmo Aktu Szczegółowego przed Lansraadem. Niech odpowie tam, gdzie…

— Paul! — powiedziała Jessika.

— Zakładając, że Wysoka Rada Landsraadu rozpatrzy twoją sprawę — rzekł Kynes — rezultat może być tylko jeden: powszechna wojna między Imperium a wysokimi rodami.

— Chaos — powiedziała Jessika.

— Ale ja bym przedstawił swoją sprawę Imperatorowi — powiedział Paul — dając mu alternatywę dla chaosu.

Jessika odezwała się bezbarwnym głosem:

— Szantaż?

— Jedno z narzędzi dyplomacji, jak sama mówiłaś — powiedział Paul i Jessika usłyszała w jego głosie zawziętość. — Imperator nie ma synów, tylko same córki.

— Mierzyłbyś do tronu? — spytała Jessika.

— Imperator nie zaryzykuje obrócenia w perzynę Imperium przez wojnę totalną — powiedział Paul. — Planety w ruinie, powszechny zamęt… tego on nie zaryzykuje.

— Proponujesz desperacką zagrywkę — powiedział Kynes.

— Czego się najbardziej boją wysokie rody Landsraadu? — zapytał Paul. — Boją się najbardziej tego, co właśnie dzieje się tu na Arrakis: że sardaukarzy wytłuką je po kolei. Dlatego właśnie istnieje Landsraad. To jest spoiwo Wielkiej Konwencji. Tylko razem mogą się przeciwstawić siłom imperialnym.

— Ale one są…

— Oto czego się boją — ciągnął Paul. — Arrakis stanie się zbiorowym krzykiem. Każdy z nich zobaczy w moim ojcu siebie — odciętego od stada i zabitego.

Kynes zwrócił się do Jessiki:

— Powiódłby się jego plan?

— Nie jestem mentatem — powiedziała Jessika.

— Ale jesteś Bene Gesserit.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie.

— Jego plan ma mocne i słabe strony… jak każdy plan na takim etapie. Powodzenie planu tyle samo zależy od wykonania, co od koncepcji.

— „Prawo jest najwyższą nauką” — zacytował Paul. — Tak jest napisane nad drzwiami Imperatora. Proponuję pokazać mu prawo.

— Ja zaś nie jestem pewien, czy mogę zaufać osobie, która

wykoncypowała ten plan — powiedział Kynes. — Arrakis ma swój własny plan, który my…

— Z tronu — przerwał Paul — mógłbym zamienić Arrakis w raj jednym skinieniem ręki. To jest moneta, jaką oferuję za twoje poparcie.

Kynes zesztywniał.

— Moja lojalność nie jest na sprzedaż, Sire.

Paul utkwił w nim spojrzenie ponad stołem, zderzając się z zimnym płomieniem owych błękitnych w błękicie oczu, przyglądając się brodatej twarzy, władczej minie. Cierpki uśmiech przemknął po wargach Paula.

— Dobrze powiedziane. Przepraszam.

Kynes patrzył mu prosto w oczy i po chwili rzekł:

— Żaden Harkonnen nigdy nie przyznał się do błędu. Może wy, Atrydzi, nie jesteście tacy jak oni.

— Może to być błąd w ich podstawowej edukacji — rzekł Paul. — Mówisz, że nie jesteś na sprzedaż, lecz ja wierzę, że mam monetę, którą przyjmiesz. Za twoją wierność ślubuję ci moją wierność… całkowitą.

Syn mój ma atrydzką szczerość — pomyślała Jessika. — Mu ów kolosalny, prawie naiwny honor. Cóż to za potężna doprawdy siła. — Widziała, że słowa Paula wstrząsnęły Kynesem.

— To jest nonsens — powiedział Kynes. — Jesteś zaledwie chłopcem i…

— Jestem księciem — rzekł Paul. — Jestem Atrydą. Żaden Atryda nigdy nie złamał takiego ślubu.

Kynes przełknął ślinę.

— Kiedy mówię: całkowitą — powiedział Paul — oznacza to: bez granic. Oddałbym za ciebie życie.

— Sire! — rzekł Kynes; słowo to samo się wyrwało, a Jessika zauważyła, że nie mówi już do piętnastoletniego chłopca, lecz do mężczyzny, do suwerena. Teraz Kynes traktował to słowo na serio. W tej chwili oddałby za Paula życie — pomyślała. — Jak Atrydzi to robią, tak szybko, z taką łatwością?

— Wiem, że mówisz to poważnie — rzekł Kynes. — Jednak Harkon…

Drzwi za plecami Paula rozwarły się z trzaskiem. Obrócił się jak oparzony na kłębowisko walki w przejściu — krzyki, szczęk stali, wykrzywione twarze jak woskowe maski. Z matką u boku Paul skoczył do drzwi, dojrzał blokującego przejście Idaho i jego nabiegłe krwią oczy widoczne przez zamglenie tarczy, a nad nimi dłonie jak szpony, ruchliwe półkola stali bezskutecznie rąbiące w tarczę. Pomarańczowy płomień strzelił z wylotu głuszaka i odbił się od tarczy. Klingi Idaho były wszędzie, migające, ociekające czerwienią. I zaraz Kynes znalazł

się przy Paulu, wspólnym ciężarem naparli na drzwi. Po raz ostatni mignął Paulowi Idaho, stawiający czoło mrowiu harkonneńskich mundurów — jego błyskawiczne, kontrolowane zwody, czerwony wykwit śmierci w czarnych jak u kozła włosach. Po czym drzwi zamknięto i rozległ się trzask, gdy Kynes je ryglował.

— Wygląda na to, że się zdecydowałem — powiedział Kynes.

— Ktoś wykrył twoją maszynerię przed założeniem osłony — stwierdził Paul.

Odciągnął matkę od drzwi, w jej oczach dostrzegł rozpacz.

— Powinienem był spodziewać się kłopotów, kiedy nie nadeszła kawa — powiedział Kynes.

— Masz tutaj ukryte wyjście — odezwał się Paul. — Może skorzystamy z niego?

Kynes zaczerpnął tchu.

— Drzwi powinny wytrzymać przynajmniej dwadzieścia minut wszystko, z wyjątkiem rusznicy laserowej.

— Nie użyją rusznicy z obawy, że mamy z tej strony tarczę — powiedział Paul.

— To byli sardaukarzy w harkonneńskich mundurach — wyszeptała Jessika.

Słyszeli teraz walenie, rytmiczne uderzenia w drzwi. Kynes wskazał szafki pod ścianą z prawej strony.

— Tędy — powiedział.

Podszedł do pierwszej szafki, otworzył szufladę, pomanipulował znajdującą się w środku dźwignią. Cała ściana szafek otwarła się na oścież, odsłaniając czarny wylot tunelu.

— Te drzwi to również plastal! — rzekł Kynes.

— Byłeś dobrze przygotowany — powiedziała Jessika.

— Żyjemy pod Harkonnenami od osiemdziesięciu lat.

Wprowadził ich w ciemność, zamknął drzwi. W raptownej czerni Jessika zobaczyła przed sobą świetlną strzałkę na podłodze. Z tyłu dobiegł głos Kynesa.

— Tu się rozdzielimy. Ta zapora jest mocniejsza. Wytrzyma przynajmniej przez godzinę. Idźcie po strzałkach na podłodze takich jak ta. Będą gasły po waszym przejściu.

Prowadzą przez labirynt do zapasowego wyjścia, gdzie ukryłem ornitopter. Dzisiejszej nocy nad pustynią przechodzi samum. Waszą jedyną szansą jest dopaść go, wejść w pułap burzy, poszybować z nią. Moi ludzie dokonują tego kradnąc ornitoptery. Jeśli utrzymacie się na karku wichury, jesteście ocaleni.

— Co z tobą? — zapytał Paul.

— Ja spróbuję umknąć inną drogą. Jeśli mnie złapią… cóż, nadal jestem imperialnym planetologiem. Mogę twierdzić, że byłem waszym jeńcem.

Zmykać jak tchórze — pomyślał Paul. — Ale jak inaczej mogę żyć, by pomścić ojca? Odwrócił się twarzą do drzwi. Jessika usłyszała jego ruch.

— Duncan nie żyje, Paul. Widziałeś tę ranę. Nic nie możesz dla niego zrobić.

— Pewnego dnia zapłacą mi za nich wszystkich — powiedział Paul.

— Nie zapłacą, jeśli się teraz nie pośpieszysz — rzekł Kynes.

Paul poczuł dłoń mężczyzny na ramieniu.

— Gdzie się spotkamy, Kynes? — zapytał.

— Roześlę Fremenów, by was szukali. Droga samumu jest znana. Teraz śpieszcie się i oby Wielka Macierz dała wam chyżość i szczęście.

Usłyszeli szuranie w ciemności. Kynes odchodził. Jessika odnalazła dłoń Paula, pociągnęła go łagodnie.

— Nie możemy się zgubić — powiedziała.

— Tak.

Minął za nią pierwszą strzałkę, widząc, jak robi się czarna pod dotknięciem ich stóp. Dalej wabiła druga. Przekroczyli ją, zobaczyli, jak gaśnie, przed sobą mieli następną strzałkę. Biegli teraz. Plany w środku planów wewnątrz planów w planach — myślała Jessika. — Czy obecnie staliśmy się częścią planu kogoś innego?

Strzałki wiodły ich przez zakręty, koło bocznych, niewyraźnie tylko wyczuwalnych w nikłej luminescencji odnóg. Droga przez pewien czas prowadziła ukośnie w dół, następnie w górę, stale w górę. W końcu pokonali schody, skręcili za róg i zatrzymali się w miejscu przed rozjarzonym murem z ciemną dźwignią widoczną na samym środku. Paul przycisnął dźwignię. Mur ustąpił przed nimi. Zabłysło światło ukazując wyciosaną w skale grotę z przycupniętym pośrodku ornitopterem. Za statkiem majaczyła gładka, szara ściana z rysunkiem drzwi.

— Dokąd poszedł Kynes? — spytała Jessika.

— Postąpił tak, jak każdy wytrawny dowódca partyzancki — powiedział Paul. — Rozdzielił nas na dwie grupy i tak to zorganizował, żeby sam nie mógł wyjawić, gdzie jesteśmy, gdyby go złapali. Naprawdę nie będzie wiedział.

Pociągnął Jessikę do groty zauważając przy tym, że ich stopy wzbijają pył z podłogi.

— Nikogo tu nie było od dawna — powiedział.

— Wydawał się ufać, że Fremeni nas odnajdą — rzekła.

— Podzielam tę ufność.

Paul puścił jej rękę, podszedłszy do lewych drzwi ornitoptera; otworzył je i złożył w tyle swoją sakwę.

— Ten statek ma osłonę przed czujnikiem zbliżeniowym — rzekł. — Tablica przyrządów kryje zdalne sterowanie bramą, sterowanie

światła. Osiemdziesiąt lat pod Harkonnenami nauczyło ich sumienności.

Jessika oparła się z drugiej strony o burtę statku, łapiąc oddech.

— Harkonnenowie pozostawią oddział osłony w tym rejonie — powiedziała. — Nie są głupcami. — Odwołała się do swego wyczucia kierunku, wskazała na prawo. — Oglądany przez nas samum jest tutaj.

Paul kiwnął głową, walcząc z nagłą niechęcią do wyruszenia. Znał jej przyczynę, co nie podtrzymywało go na duchu. Gdzieś w ciągu nocy minął krytyczny punkt zapuszczając się w nieznane. Otaczające ich terytorium czasu było mu znajome, lecz tu i teraz jawiło się jako miejsce zagadkowe. Było to tak, jakby spoglądał na siebie znikającego w głębi kotliny. Z niezliczonychścieżek wychodzących z owej kotliny niektóre mogły z powrotem wywieść niejakiego Paula Atrydę na światło, lecz większość nie.

— Im dłużej zwlekamy, tym lepiej oni będą przygotowani — powiedziała Jessika.

— Wsiadaj i zapnij pasy.

Dołączył do niej wewnątrz ornitoptera, ciągle borykając się z myślą, że tego „ślepego" dna nie widział w żadnej proroczej wizji. I doznał wstrząsu uprzytamniając sobie,że pokłada coraz większe zaufanie w proroczej pamięci, co osłabiło go w obecnej krytycznej, sytuacji. „Jeżeli ufasz jedynie swoim oczom, twoje pozostałe zmysły słabną". Był to aksjomat Bene Gesserit. Odniósł go teraz do siebie, obiecując sobie nigdy więcej nie wpaść w ową pułapkę… jeżeli wyjdzie z tego cało. Zapiął pasy bezpieczeństwa, upewnił się,że matka jest zabezpieczona, sprawdził statek. Skrzydła były rozpostarte na całą szerokość w pozycji spoczynku, ich delikatne, metalowe przeploty rozciągnięte. Dotknął dźwigni wciągnika, obserwując, jak skrzydła skracają się do startu na ciśnieniu ładowania silnika, tak jak go uczył Gurney Halleck. Przełącznik rozrusznika przesunął się bez oporu. Tarcze na tablicy przyrządów ożyły z chwilą naładowania podwieszonych gondoli silników. Turbiny rozpoczęły swój cichy syk.

— Gotowa? — zapytał.

— Tak.

Dotknął zdalnego sterowania światła. Okryła ich ciemność. Jego dłonie były cieniami na tle podświetlonych tarcz, kiedy zwolnił zdalne otwieranie bramy. Przed nimi rozległ się zgrzyt. Szmer kaskady piachu rozpłynął się w ciszę. Niesiony powiewem pył musnął mu policzki. Paul domknął swoje drzwi czując nagły przypływ napięcia. Szeroki zagon przymglonych pyłem gwiazd pojawił się w obramowaniu prostokąta czerni tam, gdzie była ściana bramy. Za nią gwiezdny blask zarysował kontury skalnej półki, złudę zmarszczek na piasku. Paul wcisnął na tablicy rozjarzony przełącznik sekwencji startowej. Skrzydła trzepnęły do dołu i w tył wyrzucając ornitopter z jego

gniazda. Kiedy skrzydła zamknęły się w pozycji wznoszenia, z gondoli silników popłynęła moc.

Jessika dłońmi spoczywającymi leciutko na dwusterze wyczuwała pewność ruchów swego syna. Bała się, a mimo to przepełniała ją radość. Teraz naszą jedyną nadzieją są umiejętności Paula — pomyślała. — Jego młodość i refleks.

Paul zwiększył moc gondoli odrzutowych. Ornitopter położył się w wirażu wciskając ich w fotele, zaś przed nimi wyrósł na tle rozgwieżdżonego nieba ciemny mur. Paul dodał statkowi skrzydeł, dodał mocy. Kolejna seria wznoszących uderzeń skrzydłami i wyszli ponad skały — oszronione srebrem załamania i występy w blasku gwiazd. Poczerwieniały w kurzu drugi księżyc pokazał się nad horyzontem z prawej strony, oznaczając kontury wstęgowego toru samumu. Dłonie Paula zatańczyły na sterach. Skrzydła skurczyły się w kikuty. Siła odśrodkowa pociągnęła ich ciała, kiedy statek wykonał ostry wiraż.

— Ognie silników za nami! — powiedziała Jessika.

— Widziałem je.

Paul popchnął dźwignię mocy. Skoczywszy jak spłoszone zwierzę ornitopter runął na południowy zachód ku samumowi i ogromnej krzywiźnie pustyni. W niedalekiej odległości Paul widział rozrzucone cienie wskazujące, gdzie kończyło się pasmo skał z systemem podziemi pod wydmami. Dalej ciągnęły się oświetlone księżycem paznokcie cieni — wydmy malejące jedna za drugą. Zaś ponad horyzontem piętrzył się płaski ogrom samumu jak wał na tle gwiazd.

Coś wstrząsnęło ornitopterem.

— Wybuch pocisku! — Jessice zaparło dech. — Stosują jakiś rodzaj broni balistycznej.

Ujrzała nagle drapieżny uśmiech na twarzy Paula.

— Zdaje się, że unikają rusznic laserowych — powiedział.

— Przecież my nie mamy tarcz!

— A oni wiedzą o tym?

Ornitopter zadygotał ponownie. Paul obejrzał się do tyłu.

— Tylko jeden z nich wydaje się dostatecznie szybki, by nas nie zgubić.

Wrócił do pilnowania kursu, patrząc jak ściana burzy piaskowej rośnie przed nimi. Piętrzyła się jak namacalna opoka.

— Wyrzutnie pocisków, rakiety, cały antyczny arsenał, to jedna z rzeczy, jaką damy Fremenom — wyszeptał Paul.

— Samum — powiedziała Jessika. — Czy nie powinieneś skręcić?

— Co ze statkiem za nami?

— Dogania nas.

— Teraz!

Paul skrócił skrzydła, z ostrym przechyłem skręcił na lewo w

zwodniczo leniwą kipiel wału burzy, czując, jak siła odśrodkowa ściąga mu policzki.

Wydawało im się, że szybują w ospałym, gęstniejącym coraz bardziej kłębowisku pyłu, które na koniec przesłoniło pustynię i księżyc. Oświetlony jedynie zieloną poświatą tablicy przyrządów statek zmienił się w długi, horyzontalny poszum ciemności.

Przez głowę Jessiki przemykały wszystkie znane jej ostrzeżenia przed takimi samumami — że tną metal jak masło, wytrawiają ciało i wyżerają kości. Poczuła uderzenie zaćmionego pyłem wiatru. Okręcił nimi, podczas gdy Paul zmagał się ze sterami. Zobaczyła, że odcina moc, po czym statek próbuje stanąć dęba. Metal syczał i dygotał wokół nich.

— Piasek! — krzyknęła Jessika.

W odblasku przyrządów zobaczyła przeczący ruch jego głowy.

— Mało piasku na tej wysokości.

Czuła jednak, że zapadają się głębiej w wir. Paul wysunął skrzydła na pełną długość szybowania, słyszał, jak trzeszczą od naprężenia. Nie odrywał oczu od przyrządów, szybując instynktownie, walcząc o wysokość. Dźwięk ich przelotu przycichł. Ornitopter zaczął przechylać się na lewe skrzydło. Paul skupił się na rozjarzonej kuli w obrębie krzywej położenia i pokonując opór statku wyrównał lot.

Jessika miała niesamowite uczucie, że stoją w miejscu, że wszelki ruch jest na zewnątrz. Niewyraźna burość napływająca do okien, huczący gwizd, przypominały jej o potęgach wokoło. Wichury do siedmiuset i ośmiuset kilometrów na godzinę — pomyślała. Napływ adrenaliny rozstrajał jej nerwy. „Nie wolno się bać” — powtórzyła sobie bezgłośnie słowa litanii Bene Gesserit. — „Strach zabija duszę”. Z wolna długie lata szkolenia wzięły górę. Powrócił spokój.

— Trzymamy tygrysa za ogon — wyszeptał Paul. — Nie możemy zejść w dół, nie możemy lądować… i nie wierzę, żebym był w stanie wywindować nas z tego do góry. Będziemy musieli to przetrzymać.

Spokój z niej uszedł, Jessika poczuła, że dzwoni zębami, zacisnęła szczęki. Wtem usłyszała głos Paula, cichy i opanowany, odmawiający litanię:

„Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie. A kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy strach przeszedł, tam niczego nie będzie. Tylko ja pozostanę”.

Czym gardzisz? Po tym poznać, kim jesteś naprawdę.

ze „Szkiców o Maud’Dibie”
księżniczki Irulan

— Nie żyją, baronie — powiedział Iakin Nefud, kapitan straży. — I ta kobieta, i chłopiec z całą pewnością nie żyją.

Baron Vladimir Harkonnen siedział w nocnych dryfach swojej prywatnej kwatery. Poza tą kwaterą, otaczając ją jak wieloskorupkowe jajo, rozciągała się kosmiczna fregata, w której osiadł na Arrakis. Jednakże tutaj, w jego komnatach, surowy metal statku był przybrany draperiami, obiciami z tkanin i rzadkimi dziełami sztuki.

— Na pewno — powiedział kapitan straży. — Oboje nie żyją.

Baron poprawił swoje obfite ciało w dryfach, skoncentrował się na ebolinowej statuetce skaczącego chłopca w niszy po drugiej stronie pokoju. Sen go opuścił. Wygładził wyściółkę dryfu pod fałdami szyi i ponad pojedynczą kulą świętojańską swej sypialnej komnaty wpatrywał się w otwór drzwi, gdzie stał kapitan Nefud odgrodzony pentarczą.

— Nie żyją z całą pewnością — powtórzył kapitan.

Baron widział pozostałości semutowego otępienia w źrenicach Nefuda. Było jasne, że ten człowiek otrzymał meldunek, kiedy znajdował się w głębokiej narkotycznej ekstazie i pośpieszył tutaj zatrzymując się po drodze jedynie dla zażycia antidotum.

— Otrzymałem szczegółowy raport — powiedział Nefud.

Niech się trochę napoci — myślał baron. Instrumenty polityki muszą być zawsze ostre i gotowe. Siła i strach — ostre i gotowe.

— Czy widziałeś ich ciała? — zagrzmiał baron.

Nefud zawahał się.

— No?

— Mój panie… widziano ich, jak wpadli w… wiatry powyżej ośmiuset kilometrów. Nic nie wychodzi z takiego huraganu, mój panie. Nic! Jeden z naszych ornitopterów uległ zniszczeniu w trakcie pościgu.

Baron wpatrywał się w Nefuda; zauważył nerwowy tik mięśni szczęk mężczyzny przypominających obcęgi, sposób, w jaki poruszał się jego podbródek, kiedy Nefud przełykał ślinę.

— Widziałeś ich ciała? — zapytał baron.

— Mój panie…

— W jakim celu przychodzisz tutaj i pobrzękujesz szabelką? — zaryczał baron. — By mi powiedzieć, że coś jest pewne, kiedy nie jest? Czy myślisz, że wynagrodzę cię za taką głupotę,że dam ci kolejny awans?

Twarz Nefuda zbielała jak płótno.

Patrzcie no go tylko, tego kurczaka — myślał baron. — Oblegają mnie jemu podobne, nic niewarte gnojki. Gdybym rozsypał piasek przed tym stworzeniem i powiedział mu, że to ziarno, dziobałby aż miło.

— Zatem ten sukinsyn Idaho zaprowadził nas do nich? — zapytał baron.

— Tak, mój panie!

Proszę, jak strzela odpowiedziami — pomyślał baron.

— Próbowali nawiać do Fremenów, co?

— Tak, mój panie.

— Czy jest coś jeszcze w owym… raporcie?

— Planetolog imperialny, Kynes jest w to zamieszany, mój panie. Idaho spotkał się z tym Kynesem w tajemniczych okolicznościach… mógłbym nawet powiedzieć w podejrzanych okolicznościach.

— Tak?

— Oni… hm, polecieli razem na pustynię, tam gdzie z całą pewnością ukrywał się chłopiec i jego matka. W gorączce pościgu kilka naszych grup znalazło się w zasięgu eksplozji rusznicy laserowej z tarczą.

— Ilu straciliśmy?

— Jeszcze nie jestem… pewny, mój panie.

Łże — pomyślał baron. — Musiało być gorąco.

— Imperialny sługus, ten Kynes — powiedział baron — prowadził podwójną grę, co?

— Ręczę za to swoją reputacją, mój panie.

Jego reputacja!

— Każ zabić tego człowieka.

— Mój panie! Kynes jest imperialnym planetologiem, Jego Wysokości osobistym podda…

— Więc zrób to tak, by wyglądało na wypadek!

— Mój panie, w zdobyciu tego fremeńskiego gniazda obok naszych sił brali udział sardaukarzy. Teraz trzymają Kynesa pod strażą.

— Wydostań go od nich. Powiedz, że życzę sobie go przesłuchać.

— A jeśli się nie zgodzą?

— Zgodzą się, jeśli załatwisz to jak należy.

Nefud przełknął ślinę.

— Tak jest, mój panie.

— Ten człowiek musi umrzeć — zahuczał baron. — Próbował pomóc moim wrogom.

Nefud przestąpił z nogi na nogę.

— No?

— Mój panie, sardaukarzy trzymają… pod strażą dwie osoby, które mogą ciebie zainteresować. Pojmali mistrza assassinów księcia.

— Hawata? Thufira Hawata?

— Widziałem jeńca na własne oczy, mój panie. To jest Hawat.

— Nie wierzę, żeby to było możliwe.

— Mówią, że został powalony głuszakiem, mój panie. W pustyni,

gdzie nie mógł skorzystać z tarczy. Właściwie nic mu nie jest. Jeżeli uda się nam go dostać w nasze ręce, będziemy mieli wspaniałą zabawę.

— Zapominasz, że mówisz o mentancie — warknął baron. — Mentata się nie marnuje. Otworzył usta? Co mówi o swej klęsce? Czy mógłby znać zasięg… ale nie.

— Otworzył usta jedynie po to, by dać wyraz swojemu przekonaniu, że zdradziła go lady Jessika.

— Aaaaach — baron osunął się na oparcie, popadając w zadumę. — Jesteś pewny? Czy to na pewno lady Jessika budzi jego gniew?

— Powiedział tak w mojej obecności, mój panie.

— Niech więc myśli, że ona żyje.

— Ale, mój panie…

— Cicho bądź. Chcę, by Hawata potraktowano łaskawie. Nie wolno mu powiedzieć ani słowa o świętej pamięci doktorze Yuem, jego prawdziwym zdrajcy. Należy twierdzić, że doktor Yueh zginął w obronie swego księcia. Poniekąd to może nawet i prawda. W zamian umocnimy w nim podejrzenia wobec lady Jessiki.

— Mój panie, ja nie…

— Droga do rządzenia i kierowania mentatem, Nefud, prowadzi przez udzielanie mu informacji. Dajesz fałszywe informacje — masz fałszywe wyniki.

— Tak, mój panie, ale…

— Czy Hawat jest głodny? Spragniony?

— Panie mój! Hawat jest ciągle w rękach sardaukarów!

— Tak, tak, oczywiście. Lecz sardaukarzy podobnie jak ja będą wychodzić ze skóry, żeby wyciągnąć od Hawata informacje. Zauważyłem pewną rzecz u naszych sojuszników, Nefud. Nie są oni zbytnio wyrobieni… politycznie. Sądzę, że to celowe; Imperator chce, aby tak było. Tak. Tak sądzę. Wspomnisz dowódcy sardaukarów o mojej renomie specjalisty od wyciągania informacji z opornych osobników.

Nefud wyglądał na nieszczęśliwego.

— Tak, mój panie.

— Powiesz dowódcy sardaukarów, że pragnę przesłuchać ich obu, Hawata i tego Kynesa jednocześnie, wygrywając jednego przeciwko drugiemu. Tyle potrafi, jak sądzę, zrozumieć.

— Tak, mój panie.

— A jak już będziemy ich mieli w ręku… — baron pokiwał głową.

— Mój panie, sardaukarzy zażądają obecności obserwatora przy każdym… przesłuchaniu.

— Jestem przekonany, że potrafimy stworzyć nagłą potrzebę odwołania wszelkich niepożądanych obserwatorów, Nefud.

— Rozumiem, mój panie. Wtedy to Kynes może mieć swój wypadek.

— Obaj, Kynes i Hawat ulegną wypadkom, Nefud. Ale tylko wypadek Kynesa będzie prawdziwy. Hawata chcę dla siebie. Tak. O, tak.

Nefud zamrugał powiekami, przełknął ślinę. Wyglądał, jakby właśnie chciał o coś zapytać, ale zachował milczenie.

— Hawata nakarmić i napoić — powiedział baron. — Traktować z życzliwością. W wodzie podasz mu truciznę śladową, wynalezioną przez błogosławionej pamięci Pitera de Vries. I sam dopilnujesz,żeby od owej chwili antidotum weszło na stałe do jadłospisu Hawata… aż do odwołania.

— Antidotum, tak jest — Nefud pokręcił głową. — Ale…

— Nie bądź tępy, Nefud. Książę omal mnie nie zabił tą kapsułą trującą w zębie. Gaz, jaki wydmuchnął w mojej obecności, pozbawił mnie mego bezcennego mentata, Pitera. Potrzebuję zastępcy.

— Hawat?

— Hawat.

— Ale…

— Chcesz powiedzieć, że Hawat jest bez reszty oddany Atrydom. Prawda, ale Atrydzi nie żyją. Przekabacimy go. Musi dojść do przekonania, że nie ponosi winy za zgon księcia. Że to wszystko jest sprawką czarownicy Bene Gesserit. Że miał marnego pana, któremu uczucia zaćmiewały rozum. Mentaci żywią kult dla zdolności wnioskowania w oderwaniu od uczuć, Nefud. Przekabacimy wielkiego Thufira Hawata.

— Przekabacimy go. Tak jest, mój panie.

— Hawat miał niestety pana z mizerną kiesą, który nie mógł wydźwignąć mentata na najwyższe szczyty logicznego myślenia, jakie mentatowi przysługują. Hawat dostrzeże w tym jakieś ziarno prawdy. Księcia nie było stać na najsprawniejszych szpiegów, żeby mógł dostarczyć swojemu mentatowi niezbędnych informacji.

Baron wlepił spojrzenie w Nefuda.

— Nie oszukujmy się, Nefud. Prawda to potężny oręż. Wiemy, jak pobiliśmy Atrydów. Hawat też to wie. Dokonaliśmy tego za pomocą bogactwa.

— Bogactwa. Tak, mój panie.

— Przekabacimy Hawata — powtórzył baron. — Ukryjemy go przed sardaukarami. I będziemy trzymać w zanadrzu… odstawienie antidotum na truciznę. Nie ma sposobu usunięcia trucizny śladowej. Poza tym, Nefud, Hawat wcale nie musi niczego podejrzewać. Wykrywacz trucizny nie wykaże obecności antidotum. Hawat może badać do woli swe pożywienie i nie znajdzie ani śladu trucizny.

Oczy Nefuda rozszerzyły się w przypływie zrozumienia.

— Nieobecność czegoś — rzekł baron — ona może być równie zabójcza jak obecność. Nieobecność powietrza, co? Nieobecność wody? Nieobecność czegokolwiek innego, od czego jesteśmy uzależnieni. — Baron pokiwał głową. — Rozumiesz mnie, Nefud?

Nefud przełknął.

— Tak, mój panie.

— Więc bierz się do roboty. Znajdź dowódcę sardaukarów i nadaj bieg sprawie.

— Tak jest, mój panie.

Nefud skłonił się i odszedł w pośpiechu.

Hawat u mego boku! — myślał baron. — Sardaukarzy mi go dadzą. Jeśli w ogóle będą coś podejrzewać, to jedynie, że chcę zabić mentata. I ja te podejrzenia potwierdzę! Głupcy! Jeden z najwspanialszych mentatów, jakich zna historia, mentat wyszkolony w zabijaniu, zaś oni rzucają go mi niczym błahą zabawkę przeznaczoną do zepsucia. Pokażę im, do czego można wykorzystać taką zabawkę.

Baron sięgnął za draperię przy swoim łóżku dryfowym i nacisnął guzik wzywając swego starszego bratanka, Rabbana. Opadł wygodnie na wznak, uśmiechając się.

I wszyscy Atrydzi w grobie!

Głupi kapitan straży miał oczywiście rację. Z pewnością nic nie pozostało przy życiu na drodze samumu Arrakis. Żaden ornitopter… ani jego pasażerowie. Ta kobieta i chłopiec nie żyją. Łapówki we właściwe ręce, niewiarygodny wydatek na sprowadzenie przeważających wojsk na pewną planetę… wszelkie poufne raporty wysmażone wyłącznie dla uszu Imperatora, wszystkie ostrożne knowania wreszcie zaowocowały tutaj w pełni.

Siła i strach — strach i siła!

Baron widział drogę przed sobą. Pewnego dnia pewien Harkonnen zostanie Imperatorem. Nie on sam i nie nasienie z jego lędźwi. Ale Harkonnen. Rzecz jasna nie Rabban, którego wezwał. Lecz młodszy brat Rabbana. Młodziutki Feyd-Rautha. Była w tym chłopcu jakaś świeżość radująca barona… jakaś drapieżność. Cudny chłopiec — pomyślał baron. — Rok jeszcze lub dwa, powiedzmy do czasu, kiedy skończy siedemnaście lat i będę miał pewność, czy jest on narzędziem potrzebnym rodowi Harkonnen do zdobycia tronu.

— Jaśnie panie baronie.

Mężczyzna stojący przed polem wejściowym do sypialni barona był niski, otyły na twarzy i ciele, z wąskim rozstawem oczu cechującym męską linię Harkonnenów, i zwalistymi ramionami. Zachował jeszcze niejaką prężność pod sadłem, ale na oko widać było, że pewnego dnia dorobi się przenośnych dryfów dźwigających jego nadwagę.

Zakuty łeb i góra mięsa — pomyślał baron. — Mentatem to on nie

jest, ten mój bratanek…to nie Piter de Vries, za to być może coś lepiej nadającego się do najbliższego zadania… Jeśli dam mu wolną rękę w działaniu, zetrze wszystko na swej drodze. Och, jakże go tutaj znienawidzą na Arrakis!

— Mój drogi Rabbanie — powiedział baron.

Zwolnił pole wejścia, lecz ostentacyjnie pozostawił własną tarczę nastawioną na pełną moc wiedząc, że jej migotanie będzie widoczne ponad nocną kulą świętojańską.

— Wezwałeś mnie — rzekł Rabban.

Wsunął się na krok do sypialni, prześliznął wzrokiem po zaburzeniu powietrza od tarczy barona, rozejrzał się za krzesłem nie znajdując żadnego.

— Stań bliżej, abym cię lepiej widział — powiedział baron.

Rabban zrobił drugi krok, myśląc, że przeklęty staruch celowo usunął wszystkie krzesła, żeby zmusić gości do stania.

— Atrydzi nie żyją — oznajmił baron. — Wszyscy co do jednego. Dlatego właśnie sprowadziłem cię tutaj na Arrakis. Ta planeta znowu jest twoja.

Rabban zamrugał.

— A ja myślałem, że zamierzasz awansować Pitera de Vries na…

— Piter też nie żyje.

— Piter?

— Piter.

Baron ponownie uaktywnił pole drzwi, odcinając dostęp wszelkich energii do pokoju.

— W końcu ci się znudził, hę? — spytał Rabban.

— Powiem ci coś ten jeden jedyny raz — zahuczał baron. — Insynuujesz, że pozbyłem się Pitera tak, jak wyrzuca się byle jaką drobnostkę. — Strzelił tłustymi palcami. — Ot tak, hę? Ja nie jestem takim idiotą, bratanku. Potraktuję to nieżyczliwie, jeśli kiedykolwiek jeszcze słowem bądź czynem dasz do zrozumienia, że jestem takim idiotą.

Strach pojawił się w zezujących oczach Rabbana. Mniej więcej wiedział, jak daleko stary baron mógł się posunąć przeciwko rodzinie. Rzadko do punktu śmierci, chyba że dla potwornego zysku lub prowokacji. Ale kary w rodzinie potrafiły być bolesne.

— Wybacz mi, mój panie, baronie — powiedział Rabban.

Spuścił oczy tyleż dla ukrycia własnej złości, co dla okazania posłuszeństwa.

— Nie oszukasz mnie, Rabban — rzekł baron.

Rabban przełknął nie podnosząc oczu.

— Mam zasadę — mówił dalej baron. — Nigdy nie usuwaj człowieka bezmyślnie tak, jak to się robi w skali całego lenna poprzez odpowiednią procedurę prawną. Zawsze rób to dla celu nadrzędnego

— i znaj swój cel!

Przez Rabbana przemówiła złość:

— A jednak usunąłeś zdrajcę Yuego! Widziałem, jak wynoszono jego ciało, kiedy przybyłem zeszłej nocy. — Rabban spojrzał na stryja wystraszony nagle tonem swoich słów. Lecz baron uśmiechnął się.

— Jestem bardzo ostrożny z niebezpieczną bronią — powiedział. — Doktor Yueh był zdrajcą. Wydał mi księcia. — Głos barona nabrał mocy. — Przekupiłem doktora z Akademii Suk! Szkoły Wewnętrznej! Słyszysz, chłopcze? Ale to zbyt szalony rodzaj broni, by ją odstawić do lamusa. Nie usunąłem go przypadkowo.

— Czy Imperator wie, że przekupiłeś doktora Suk?

To było bystre pytanie — pomyślał baron. — Czyżbym nie doceniał tego bratanka?

— Imperator jeszcze o tym nie wie — powiedział. — Lecz sardaukarzy z pewnością mu o tym zameldują. Jednakże zanim to się stanie, załatwię kanałami Kompanii KHOAM, by do jego rąk dotarł mój własny raport. Wyjaśnię, że szczęśliwym trafem odkryłem doktora, który udawał, że jest uwarunkowany. Fałszywego doktora, rozumiesz? Ponieważ wszyscy wiedzą, że nie można przełamać uwarunkowania Akademii Suk, więc w to uwierzą.

— Aaach, rozumiem — mruknął Rabban.

Baron zaś pomyślał: Zaiste mam nadzieję, że rozumiesz. Mam nadzieję, że naprawdę rozumiesz, jak istotne jest zachowanie tego w tajemnicy. Nagle zdziwiło go własne postępowanie. — Po co to zrobiłem? Po co chełpię się przed tym swoim durnym bratankiem — bratankiem, którego muszę wykorzystać i odstawić? Poczuł złość na samego siebie. Czuł się zdradzony.

— To musi pozostać w tajemnicy — powiedział Rabban. — Rozumiem.

Baron westchnął.

— Tym razem daję ci odmienne instrukcję co do Arrakis, bratanku. Kiedy ostatnio władałeś tą planetą, trzymałem cię krótko w karbach. Tym razem wymagam tylko jednego.

— Mój panie?

— Zysku.

— Zysku?

— Masz jakieś pojęcie, Rabban, ile wydaliśmy na sprowadzenie takiej armii do zaatakowania Atrydów? Czy choćby w przybliżeniu podejrzewasz, ile Gildia liczy sobie za transport wojska?

— Drogo, co?

— Drogo! — baron wyrzucił tłuste ramię w stronę Rabbana. — Gdybyś przez sześćdziesiąt lat wyciskał z Arrakis każdy grosz, jaki się da wydusić, z ledwością się wypłacimy!

Rabban otworzył usta, zamknął je bez słowa.

— Drogo — zaśmiał się drwiąco baron. — Przeklęty monopol Gildii na kosmos puściłby nas z torbami, gdybym nie zaplanował tego wydatku dawno temu. Powinieneś wiedzieć, Rabban, że my ponieśliśmy cały ciężar operacji. Zapłaciliśmy nawet za przewóz sardaukarów.

I nie po raz pierwszy baron zapytał sam siebie, czy nadejdzie w ogóle taki dzień, kiedy uda się przechytrzyć Gildię. Była przebiegła: ciągnęła tylko tyle pieniędzy, by gospodarz nie protestował, dopóki nie mieli go w garści, dopóki nie mogli zmusić go, by płacił i płacił, i płacił. Przedsięwzięciom militarnym towarzyszyły zawsze wygórowane żądania.

„Stawki ryzyka" — tłumaczyli usłużni agenci Gildii. A na każdego agenta, jakiego udało ci się wprowadzić do Banku Gildii w charakterze psa łańcuchowego, oni instalowali dwóch w twoim systemie.

Nie do zniesienia!

— Zysk zatem — powiedział Rabban.

Baron opuścił rękę, zwinął w pięść.

— Masz uciskać.

— I mogę robić, co mi się żywnie podoba, dopóki uciskam?

— Co ci się żywnie podoba.

— Te armaty, które sprowadziłeś — powiedział Rabban. — Czy mógłbym…

— Usuwam je — rzekł baron.

— Ale ty…

— Ty nie będziesz potrzebował takich zabawek. Stanowiły specyficzną nowość, a teraz są bezużyteczne. Potrzebujemy metalu. Działa nic nie wskórają przeciwko tarczy, Rabban. Ich rola polegała jedynie na zaskoczeniu. Od początku przewidywaliśmy, że ludzie księcia wycofają się do skalnych grot tej odrażającej planety. Nasza artyleria ich tylko zamurowała.

— Fremeni nie używają tarcz.

— Możesz zatrzymać trochę rusznic laserowych, jeśli chcesz.

— Tak, mój panie. I mam wolną rękę.

— Dopóty, dopóki uciskasz.

Rabban uśmiechnął się rozanielony.

— Rozumiem doskonale, mój panie.

— Niczego nie rozumiesz doskonale — warknął baron. — Wyjaśnijmy to sobie od razu. Jedyne, co rozumiesz, to jak wykonywać moje rozkazy. Czy przyszło ci do głowy, bratanku, że na tej planecie jest przynajmniej pięć milionów mieszkańców?

— Czy pan mój zapomina, że byłem tutaj uprzednio jego regentem — siridarem? I jeśli pan mój mi wybaczy, jego szacunek może być zaniżony. Trudno zliczyć ludność rozsianą po nieckach i panwiach, tak jak oni tutaj. Biorąc pod uwagę Fremenów z…

— Fremenów nie warto brać pod uwagę!

— Wybacz, mój panie, lecz sardaukarzy są innego zdania.

— Ty coś wiesz?

— Pan mój wypoczywał, kiedy przybyłem ubiegłej nocy. Ja… hm. Pozwoliłem sobie odszukać niektórych z moich adiutantów… hm, dawnych czasów. Służyli za przewodników sardaukarom. Donoszą mi, że banda Fremenów wciągnęła w zasadzkę i wycięła w pień oddział sardaukarów, gdzieś na południowy wschód stąd.

— Wycięła w pień oddział sardaukarów?

— Tak, mój panie.

— Niemożliwe!

Rabban wzruszył ramionami.

— Fremeni biją sardaukarów — zadrwił baron.

— Powtarzam jedynie, co mi doniesiono — powiedział Rabban. — Mówią, że owa banda Fremenów wzięła przedtem do niewoli strasznego Thufira Hawata księcia.

— Aaaaaach. — Baron pokiwał głową. Uśmiechnął się.

— Ja wierzę w ten meldunek — powiedział Rabban. — Nie masz pojęcia, jakim problemem są Fremeni.

— Możliwe, ale to nie Fremenów widzieli twoi adiutanci. To musieli być wyszkoleni przez Hawata ludzie Atrydów przebrani za Fremenów. Tylko tak to można wytłumaczyć.

Ponownie Rabban wzruszył ramionami.

— Cóż, sardaukarzy uważają, że to byli Fremeni. Sardaukarzy już rozpoczęli program, by wyciąć do nogi wszystkich Fremenów.

— Dobrze!

— Lecz…

— Sardaukarzy będą mieli zajęcie. A my niebawem będziemy mieli Hawata. Ja to wiem! Czuję to! Ach, cóż to był za dzień! Sardaukarzy uganiają się gdzieś za paroma pustynnymi bandami bez znaczenia, my zaś zagarniamy prawdziwą zdobycz!

— Mój panie… — Rabban zmarszczył brwi, wahając się. — Zawsze miałem wrażenie, że nie doceniamy Fremenów, zarówno ich liczby, jak i…

— Nie zawracaj sobie nimi głowy, chłopcze! To motłoch. Nas obchodzą ludzie z miast, miasteczek i osad. Mnóstwo tam ludzi, co?

— Mnóstwo, mój panie.

— Oni mnie martwią, Rabban.

— Martwią cię?

— Och… w dziewięćdziesięciu procentach nic mnie nie obchodzą. Ale zawsze znajdzie się paru… rody niskie i tak dalej, ludzie z ambicjami, którzy mogą spróbować niebezpiecznej gry. Gdyby ktoś taki opuścił Arrakis z nieprzyjemną opowieścią o tym, co tutaj zaszło, byłbym w najwyższym stopniu niezadowolony. Czy masz chociaż

pojęcie, jak bardzo byłbym niezadowolony?

Rabban przełknął.

— Musisz poczynić natychmiastowe kroki biorąc zakładników z każdego niskiego rodu — rzekł baron. — O ile ktoś spoza Arrakis ma coś wiedzieć, to była to zwykła bitwa między rodami. Sardaukarzy nie brali w niej udziału, rozumiesz? Księciu zaproponowano zwyczajową kwaterę i wygnanie, lecz zginął w nieszczęśliwym wypadku, zanim je przyjął. Chociaż miał właśnie przyjąć. Zaś wszelka plotka, że tutaj byli sardaukarzy, musi być witana śmiechem.

— Zgodnie z życzeniem Imperatora — powiedział Rabban.

— Zgodnie z życzeniem Imperatora.

— A co z przemytnikami?

— Nikt nie uwierzy przemytnikom, Rabban. Im się nie wierzy, ich się toleruje. Na wszelki wypadek rozdawaj jakieś łapówki w tym kręgu… i podejmuj inne środki, jakie ci przyjdą — w co nie wątpię — do głowy.

— Tak, mój panie.

— Zatem Arrakis to dwie rzeczy, Rabban: zysk i bezlitosna pięść. Nie wolno ci tu okazać żadnej litości. Są to rody zawistne wobec swych panów i tylko czekające okazji do rebelii. Nie wolno ci okazać im choćby najmniejszej odrobiny litości czy łaski.

— Czy można eksterminować całą planetę? — zapytał Rabban.

— Eksterminować? — Szybki obrót głowy barona ujawnił zaskoczenie. — Kto tu mówi o eksterminacji?

— No, przypuszczałem, że zamierzasz sprowadzić nowy inwentarz i…

— Powiedziałem uciskać, nie eksterminować. Nie marnuj ludzi, tylko zmuś ich do krańcowego poddaństwa. Musisz być drapieżnikiem, mój chłopcze. — Uśmiechnął się dziecięcym uśmiechem na pucołowatej twarzy z dołeczkami. — Drapieżnik nigdy nie spoczywa. Nie znaj litości. Nie znaj spoczynku. Litość jest chimerą. Daje się pokonać burczeniem głodnego żołądka, wołaniem nienasyconego gardła. Musisz być zawsze głodny i spragniony. — Baron pogładził swe wypukłości pod dryfami. — Jak ja.

— Rozumiem, mój panie.

Rabban rozejrzał się na boki.

— Zatem wszystko jasne, bratanku?

— Z wyjątkiem jednej sprawy, stryju: ten planetolog, Kynes.

— Ach tak, Kynes.

— On jest człowiekiem Imperatora, mój panie. Przychodzi i odchodzi, gdzie chce i kiedy chce. I jest w bardzo dobrej komitywie z Fremenami… poślubił Fremenkę.

— Kynes będzie martwy jutro przed zapadnięciem nocy.

— To czyn niebezpieczny, stryju, zabić urzędnika imperialnego.

— A myślisz, że w jaki sposób zaszedłem tak szybko i tak wysoko? — zapytał baron. Głos jego był cichy, brzemienny nie wypowiedzianymi przymiotnikami. — Poza tym, w ogóle nie musiałeś się obawiać,że Kynes opuści Arrakis. Zapominasz, że on jest uzależniony od przyprawy.

— Rzeczywiście!

— Ci, którzy wiedzą, nie zrobią niczego, co mogłoby zagrozić ich dostawom. Kynes z pewnością musi wiedzieć.

— Zapomniałem — powiedział Rabban.

Spoglądali na siebie w milczeniu. Po chwili baron powiedział:

— A propos, przede wszystkim zajmiesz się dostawami dla mnie. Mam niezły prywatny zapas, lecz ów samobójczy rajd książęcych ludzi kosztował mnie większość tego, co zgromadziliśmy na sprzedaż.

Rabban kiwnął głową.

— Tak, mój panie.

Baron pojaśniał.

— Zatem jutro rano zbierzesz to, co pozostało z tutejszej hierarchii i oświadczysz im: „Jego Wysokość nasz Padyszach Imperator nakazał mi wziąć we władanie tę planetę i położyć kres wszelkim waśniom".

— Rozumiem, mój panie.

— Tym razem jestem pewny, że rozumiesz. Jutro omówimy to dokładniej. Teraz odejdź, abym mógł się wyspać.

Baron wyłączył pole drzwi, śledząc bratanka, dopóki ten nie znikł mu z oczu. Zakuty łeb — pomyślał baron. — Zakuty łeb i góra mięsa. Jak tu z nimi skończy, będą krwawą miazgą. Wówczas, kiedy przyślę Feyda — Rauthę, by zdjął z nich jarzmo, zaczną wiwatować swemu wybawcy. Ukochany Feyd — Rautha. Łaskawy Feyd — Rautha, litościwy — przynosi wybawienie od bestii. Feyd — Rautha, człowiek, dla którego warto żyć i warto umrzeć. Do tego czasu chłopiec będzie już umiał gnębić bezkarnie. Jestem pewien, że on jest tym, kogo nam trzeba. Nauczy się. I takie cudne ciało. Zaiste cudowny chłopiec.

W wieku piętnastu lat nauczył się już milczenia.

z „Historii dzieciństwa Muad'Diba" pióra księżniczki Irulan

Zmagając się ze sterami ornitoptera Paul zdał sobie sprawę, że przeprowadza selekcję żywiołów samumu, zaś jego nadmentacka świadomość dokonuje kalkulacji na podstawie najdrobniejszych szczegółów. Wyczuwał fronty pyłu, zafalowania, nakładanie się

turbulencji, przelotny wir. Niespokojne pudło wnętrza kabiny rozjaśniała zielona łuna od tarcz przyrządów. Bura rzeka pyłu na zewnątrz wydawała się bezkształtna, ale zmysłem wewnętrznym Paul zaczął widzieć przez tę kurtynę. Muszę znaleźć odpowiedni wir — pomyślał. Od dłuższego już czasu wyczuwał słabnięcie mocy samumu, chociaż rzucało nimi nadal. Przetrzymał kolejną turbulencję.

Wir dał o sobie znać gwałtownym kołysaniem, które zagrzechotało całym statkiem. Odsuwając od siebie wszelki strach Paul położył ornitopter w lewy wiraż. Jessika dojrzała manewr na kuli położenia.

— Paul! — krzyknęła.

Wir zawrócił ich, okręcając i huśtając statkiem. Podniósł ornitopter niczym gejzer słomkę, wypluł go do góry i odrzucił, jak skrzydlatą drobinę w rdzeniu kołującego pyłu, w blasku drugiego księżyca. Spoglądając w dół Paul zobaczył słup gorącego wiatru, który ich wyrzygał, ujrzał zamierający samum uchodzący w głąb pustyni jak wyschnięta rzeka — księżycowo szare poruszenie, malejące w dole, kiedy wznosili się w prądzie wstępującym.

— Wyszliśmy z tego — wyszeptała Jessika.

Paul zawrócił statek uchodząc od pyłu przerywanym nurkiem, rozglądając się po nocnym niebie.

— Umknęliśmy im — powiedział.

Jessika usłyszała bicie swego serca. Opanowała się z wysiłkiem i popatrzyła na zanikający samum. Jej zmysł czasu wskazywał, że szybowali w tym sprzężeniu żywiołów niecałe cztery godziny, ale w głębi ducha oceniła to jako całe życie. Czuła się tak, jakby się na nowo narodziła. To było niczym litania — pomyślała. — Stawiliśmy mu czoło bez stawiania oporu. Samum przeszedł przez nas i po nas. Odszedł, a my zostaliśmy.

— Nie podoba mi się ten dźwięk w pracy skrzydeł — rzekł Paul. — Gdzieś musi być uszkodzenie.

O zgrzytliwym i kalekim locie mówiły jego dłoniom stery. Znaleźli się na zewnątrz samumu, lecz ciągle nie wewnątrz pola jego wieszczego widzenia. Umknęli jednakże i Paula opanowało drżenie zwiastując próg objawienia. Zadygotał. Doznanie było magnetyczne i przerażające. Przyłapał się na poszukiwaniu przyczyn tej rozdygotanej świadomości. Czuł, że w pewnej mierze zawiniła tu przesycona przyprawą dieta Arrakis. Uważał jednak, że częściowo mogła to sprawić litania, której słowa jak gdyby posiadały moc same w sobie. „Nie będę się bać…”

Przyczyna i skutek: żył na przekór złowrogim siłom i miał wrażenie, że zawisł na skraju samoświadomości, która nie mogłaby zaistnieć bez magii litanii. Słowa z Biblii Protestancko-Katolickiej zabrzmiały mu w pamięci: „Jakich brakuje nam zmysłów, że nie

widzimy i nie słyszymy innego świata, który nas otacza?”

— Pełno skał dokoła — powiedziała Jessika.

Paul skoncentrował się na przechyle ornitoptera, potrząsając głową, by oprzytomnieć. Spojrzał w kierunku wskazywanym przez matkę, na czarne kształty skał wyrastające z piasku po prawej stronie przed nimi. Wyczuwał przeciąg na kostkach nóg, krążenie pyłu w kabinie. Gdzieś była dziura, kolejne dzieło samumu.

— Lepiej siadajmy na piasku — powiedziała Jessika. — Skrzydła mogą nie wytrzymać pełnego wyhamowania.

Wskazał głową przed siebie ku miejscu, gdzie wypieczone piaskiem krawędzie strzelały w blasku księżyca ponad wydmami.

— Siądziemy w pobliżu tamtych skał. Sprawdź swoje pasy.

Spełniając polecenie myślała: Mamy wodę i filtrfraki. Jeśli potrafimy zdobyć pożywienie, możemy przetrwać długi czas w tej pustyni. Fremeni tu żyją. Co mogą oni, możemy i my.

— Biegnij do tych skał, jak tylko się zatrzymamy — powiedział Paul. — Ja wezmę sakwę.

— Biegnij do… — Zamilkła kiwając głową. — Czerwie.

— Nasi przyjaciele czerwie — poprawił ją. — Zgarną ornitopter. Nic nie zdradzi, gdzie wylądowaliśmy.

Jak rzeczowe jest to jego rozumowanie — pomyślała.

Schodzili ślizgiem niżej… coraz niżej…

Lot ich stwarzał teraz wrażenie szalonego pędu — zamazane cienie wydm, skały wyłaniające się jak wyspy. Ornitopter musnął chybotliwie wierzchołek wydmy, przeskoczył nad piaszczystą doliną, musnął drugą wydmę. Wytraca prędkość o piasek — pomyślała Jessika i był w tym podziw dla mistrzostwa Paula.

— Trzymaj się — przestrzegł ją.

Ściągnął hamulce skrzydeł, początkowo delikatnie, następnie coraz mocniej czując, jak zagarniają powietrze, jak coraz szybciej maleje wydłużenie płatów — Wiatr gwizdał w zachodzących na siebie lotkach i elementach nośnych. Nagle, jedynie z ledwo uchwytnym ostrzegawczym przechyłem, lewe skrzydło, osłabione przez samum, wywinęło się ukośnie do góry waląc w burtę ornitoptera. Statek szorując o grzbiet wydmy położył się na lewy bok. Zjechał po przeciwległym zboczu i pośród lawiny piachu zarył nosem w sąsiedniej wydmie. Legł bez ruchu na krawędzi złamanego skrzydła, z prawym skrzydłem sterczącym ku gwiazdom.

Paul zerwał z siebie pasy, rzucił się przez matkę i wyważył drzwi. Piach obsypał całą kabinę przynosząc wyjałowiony zapach palonego krzemienia. Paul chwycił z ogona sakwę; zauważył, że matka uwolniła się już z pasów. Wspięła się na bok prawego fotela, a z niego na metalowe poszycie ornitoptera. Podążył za nią ciągnąc sakwę za rzemienie.

— Biegiem! — zakomenderował.

Wskazał na szczyt pochyłości wydmy i dalej poza nią, gdzie widać było skalną wieżę podciętą zamieciami piaskowymi. Jessika zeskoczyła z ornitoptera i pobiegła, brnąc z trudem pod górę. Za plecami słyszała sapanie Paula. Wydostali się na piaszczystą grań, która ciągnęła się łukiem w stronę skał.

— Trzymaj się grani — nakazał Paul. — Będzie szybciej.

Biegli ku skałom, wyrywając stopy z piachu. W uszy zaczął im się wciskać nowy dźwięk,: stłumiony szmer, syk, jakieś skrobanie.

— Czerw — powiedział Paul.

Dźwięk przybierał na sile.

— Szybciej — wysapał Paul.

Pierwsza płytą skalna, niczym plaża wychylająca się ukośnie z morza piasku, leżała nie dalej niż dziesięć metrów przed nimi; nagle z tyłu doleciał ich chrzęst i zgrzyt metalu. Paul przerzucił sakwę do prawej ręki, ujmując ją za rzemienie. Obijała mu się o biodro w trakcie biegu. Drugą ręką złapał dłoń matki. Krętą, wyżłobioną przez wiatr rynną gramolili się na skalną pochylnię po usianym kamykami zboczu. Rzęzili ze zmęczenia.

— Nie zrobię dalej ani kroku — wydyszała Jessika.

Paul zatrzymał się, wepchnął ją w załom skały i odwróciwszy się spojrzał w dół na pustynię.

Równolegle do ich skalnej wyspy sunął ruchomy pagórek — księżyc oświetlał w odległości około kilometra zmarszczki, fale piasku, spiętrzony kopiec prawie na wysokości oczu Paula. Tor sprasowanych wydm zakręcał w jednym miejscu ciasną pętlą, przecinając łachę pustyni, na której porzucili swój rozbity ornitopter. Tam gdzie przeszedł czerw, nie było już śladu po statku. Ruchomy pagórek odjechał w głąb pustyni, zawrócił po własnym śladzie, tropiąc.

— Jest większy od kosmicznego statku Gildii — szepnął Paul. — Mówiono mi, że w głębi pustyni czerwie osiągają wielkie rozmiary, ale nie zdawałem sobie sprawy… jak wielkie.

— Ani ja — wyszeptała Jessika.

Stwór ponownie odbił od skał, przyśpieszając teraz po zakolu w stronę horyzontu. Nasłuchiwali, dopóki dźwięk jego przejścia nie zginął w cichym przesypywaniu się piasków wokoło. Paul odetchnął głęboko: podniósłszy oczy na oszronioną księżycowym blaskiem skarpę zacytował z Kitab al-Ibar:

— „Podróżuj nocą, a dniem spoczywaj pod czarnym cieniem”. — Spojrzał na matkę. — Nadal mamy jeszcze parę godzin nocy. Możesz iść dalej?

— Za chwilę.

Wyszedł na skalną płytę, zarzucił sakwę na plecy i dopiął rzemienie. Chwilę stał z parakompasem w dłoniach.

— Powiedz, kiedy będziesz gotowa.

Odepchnęła się od skały, czując, że siły jej wracają.

— Dokąd?

— Granią — wskazał kierunek.

— W głąb pustyni — powiedziała.

— Fremeńskiej pustyni — wyszeptał Paul.

I znieruchomiał, wstrząśnięty zapamiętanym obrazem wypukłorzeźby z proroczej wizji przeżytej na Kaladanie. Widział już przedtem tę pustynię. Lecz konfiguracja widzenia różniła się nieuchwytnie, jakby ten optyczny obraz zatracony w jego świadomości i wchłonięty przez pamięć wykazywał teraz braki w precyzji zapisu, kiedy został wyświetlony na prawdziwej scenie. Wizja jakby się przesunęła i ustawiła pod innym kątem, podczas kiedy on trwał w bezruchu. W tamtej wizji był z nami Idaho — przypomniał sobie. — A teraz Idaho nie żyje.

— Czy widzisz drogę przed sobą? — spytała Jessika, źle rozumiejąc jego wahanie.

— Nie — powiedział. — Ale i tak pójdziemy.

Mocniej osadził sakwę na ramionach, ruszył raźno w górę skalnym korytem. Wychodziło ono na skąpaną w poświacie księżyca podłogę skalną z tarasami wznoszącymi się coraz dalej na południe. Paul skierował się do pierwszego stopnia i wdrapał na górę. Jessika za nim. Niebawem zauważyła utrudniające wspinaczkę szczegóły: gniazda piachu pomiędzy skałami, wyostrzoną przez wiatr krawędź, która wrzynała się im w dłonie; przeszkody zmuszające do wyboru: przejść górą czy okrążyć? Teren narzucał swoje własne rytmy. Odzywali się jedynie, gdy zachodziła potrzeba, a i wtedy chrapliwym od wysiłku głosem.

— Ostrożnie, półka jest śliska od piasku.

— Uważaj, nie uderz się tu głową o nawis.

— Trzymaj się poniżej grani; księżyc mamy w plecy, każdy nasz ruch widać z dołu jak na dłoni.

Paul zatrzymał się w skalnej buchcie, opierając sakwę na wąskim gzymsie. Jessika wyciągnęła się przy nim, wdzięczna za chwilę wytchnienia. Usłyszała, że Paul pociąga z wodowodu filtrfraka, i napiła się swej własnej odzyskanej wody. Czując jej słonawy smak wspomniała wody Kaladanu — wysoką fontannę obejmującą łukiem niebo, obfitość wilgoci taką, że się jej nie zauważało… jedynie jako kształt albo odblask, lub szmer, kiedy przystawało się obok. Przystanąć — pomyślała. — Odpocząć… prawdziwie odpocząć. Przyszło jej na myśl, że miłosierdzie to możność zatrzymania się choćby tylko na moment. Nie ma miłosierdzia tam, gdzie nie można się zatrzymać.

Paul opuścił skalną półkę i ruszył wspinając się po pochyłości.

Jessika z westchnieniem podążyła za nim. Zsunęli się na szeroką półkę okalającą czoło litej skały. Ponownie wpadli w zwichnięty rytm wędrówki po spękanym terenie. Jessika miała uczucie, że noc została zdominowana przez skalę rozdrobnienia substancji pod ich stopami i dłońmi — otoczaki, groszek żwirowy, skałę płatkową, groszek piaskowy albo sam piasek, grys albo pył, albo miałki puder. Puder zatykał filtry nosowe i trzeba go było wydmuchiwać. Groszek piaskowy i groszek żwirowy sunęły po twardym podłożu i mogły pociągnąć ze sobą nieostrożnego wędrowca. Skała płatkowa raniła, zaś we wszechobecnych łachach piasku więzły im stopy.

Paul przystanął raptownie na skalnej półce i podtrzymał matkę, która się z nim zderzyła. Wskazał na lewo. Spoglądając wzdłuż jego ramienia ujrzała, że stoją na szczycie urwiska; jakieś dwieście metrów pod nimi, niczym znieruchomiały ocean, rozciągała się pustynia. Leżała w dole pełna księżycowosrebrnych fal — cienie załamań przechodziły w zakola i piętrzyły się w dali zamgloną szarą plamą następnego klifu.

— Otwarta pustynia — powiedziała.

— Szmat drogi do przejścia — głos Paula był stłumiony syfonem filtru na twarzy.

Jessika powiodła spojrzeniem dokoła — nic, tylko piasek w dole. Paul patrzył prosto przed siebie na wydmy, śledząc przesuwanie się cieni na drodze księżyca.

— Ze trzy lub cztery kilometry odległości — rzekł.

— Czerwie — powiedziała.

— Na pewno są.

Pomyślała o swoim znużeniu, o bólu mięśni otępiającym zmysły.

— Może odpoczniemy i posilimy się?

Paul zsunął rzemienie i siadł, opierając się o sakwę. Jessika, trzymając, się ręką jego ramienia, opadła przy nim na skałę. Kiedy już się usadowiła, usłyszała, że Paul grzebie w sakwie.

— Masz — powiedział.

Poczuła suchość jego rąk na swoich, gdy wciskał w jej dłoń dwie tabletki wzmacniające. Połknęła je popijając skąpym łykiem wody z rurki filtrfraka.

— Wypij całą wodę — odezwał się Paul. — Zgodnie z zasadą: najlepszym miejscem do przechowywania wody jest własne ciało. To pozwala zachować energię. Dodaje sił. Ufaj swojemu filtrfrakowi.

Posłusznie wysączyła płyn z kieszeni łownych czując, jak ustępuje zmęczenie. Zadumała się nad spokojem, jaki tu wszystko spowijał w tej chwili ich znużenia, i przypomniały jej się słowa minstrela — wojownika Gurneya Hallecka: „Lepszy spokój z okruchem suchara niźli pałac łez i waśni”. Powtórzyła te słowa Paulowi.

— To był Gurney — rzekł.

Zwróciła uwagę na ton jego głosu, sposób wyrażania się — jakby mówił o zmarłym. Nieszczęsny Gurney może rzeczywiście nie żyje — pomyślała. Atrydzcy żołnierze polegli bądź popadli w niewolę albo błąkają się po tym bezwodnym pustkowiu jak oni sami.

— Gurney miał zawsze odpowiedni cytat — powiedział Paul. — Słyszę go teraz: „I osuszę rzeki, i zaprzedam ziemię w ręce niegodziwych, i spustoszę ziemię i wszystko, co jest na niej, obcą dłonią".

Jessika przymknęła oczy, gdyż niespodziewany patos w głosie syna poruszył ją prawie do łez. Po chwili Paul zapytał:

— Jak ty się… czujesz?

Poznała, że pytanie dotyczyło jej ciąży.

— Twoja siostra nie urodzi się jeszcze przez wiele miesięcy — powiedziała. — Ja nadal czuję się… fizycznie… dobrze.

Jak sztywno i formalnie przemawiam do własnego syna — pomyślała. Po czym, jako że w zwyczaju Bene Gesserit leżało doszukiwanie się w sobie wyjaśnienia takich dziwactw, zaraz dogrzebała się źródła oficjalnego tonu: — Boję się mojego syna; lękam się jego dziwnego stanu, lękam tego, co może zobaczyć w przyszłości, co może mi powiedzieć.

Paul naciągnął sobie kaptur na oczy, zasłuchany w owadzie szmery nocy. Płuca wypełniło mu własne milczenie. Zaswędział go nos. Potarł go, odjął filtr i zdał sobie sprawę z ciężkiej woni cynamonu.

— W pobliżu jest przyprawa melanżowa — powiedział.

Wiatr lekko jak puch musnął policzki Paula, wzburzył fałdy jego burnusa. Lecz wiatr ten nie przynosił żadnej groźby samumu, Paul wyczuwał już różnicę.

— Niebawem świt — powiedział.

Jessika kiwnęła głową.

— Istnieje metoda bezpiecznego przejścia przez ten otwarty piasek — rzekł Paul. — Fremeni to robią.

— A czerwie?

— Gdyby osadzić dudnik z naszego fremaska wśród tych skał za nami… — powiedział Paul. — To by zajęło czerwia na jakiś czas.

Spojrzała na pławiący się w księżycowym blasku obszar pustyni pomiędzy szańcami, ich i tym drugim.

— Czas na cztery kilometry?

— Może. I gdyby przechodząc tamtędy powodować tylko naturalne odgłosy, takie, które nie zwabią czerwia…

Wpatrywał się intensywnie w otwartą pustynię, poszukując w pamięci jasnowidzenia, drążąc tajemnicze wzmianki o dudnikach i hakach stworzyciela, które znalazły się w sakwie pod fotelem ornitoptera. Ze zdziwieniem przekonał się, że jedyne, co odczuwał, to

przerażenie ogarniające go na myśl o czerwiach. Bo wiedział, tak jakby to leżało na skraju jego świadomości, że czerwie należy darzyć szacunkiem, nigdy obawą… jeśli… jeśli…

Potrząsnął głową.

— Te odgłosy musiałyby nie mieć rytmu — powiedziała Jessika.

— Co? Ach. Tak. Jeśli będziemy urywać kroki… piasek sam musi się czasami osuwać. Czerwie nie mogą dociekać każdego drobnego dźwięku. Powinniśmy jednak być w pełni wypoczęci, nim się o to pokusimy.

Spojrzał ku klifowi po drugiej stronie, dostrzegając upływ czasu w tamtejszych pionowych cieniach.

— Za godzinę będzie świtać.

— Gdzie spędzimy dzień? — spytała.

Paul odwrócił się, wskazał w lewo.

— Urwisko zawraca tam łukiem na północ. Po tym, jak jest pożłobione wiatrem, widać, że to ściana nawietrzna. Będą w niej szczeliny, w dodatku głębokie.

— Czy nie lepiej już wyruszyć? — spytała.

Wstał, pomógł jej się podnieść.

— Nabrałaś dosyć sił do zejścia na dół? Chcę dotrzeć jak najbliżej powierzchni pustyni, zanim rozbijemy obóz.

— Dosyć.

Skinęła mu głową, by prowadził. Przez moment bił się z myślami, po czym podniósł sakwę, ulokował ją sobie na ramionach i skierował się wzdłuż urwiska. Gdybyśmy tylko mieli dryfy — pomyślała Jessika. — Skok na dół stałby się dziecinną igraszką. Lecz dryfy są być może kolejną rzeczą, jakiej należy unikać w otwartej pustyni. Może wabią one czerwie tak, jak to robią tarcze.

Dotarli do szeregu opadających półek skalnych; za nimi dostrzegli szczelinę z obrysowanym księżycowym cieniem występem, który wiódł wzdłuż jej wylotu. Paul poprowadził w dół, krocząc ostrożnie, ale w pośpiechu, ponieważ wiadomo było, że blask księżyca nie potrwa już długo. Schodzili zakosami w świat pogłębiających się coraz bardziej cieni. Zarysy skalnych kształtów rosły wokół nich ku gwiazdom. Szczelina zwęziła się do jakichś dziesięciu metrów szerokości na skraju mglistoszarej piaskowej pochylni, która opadała w ciemność.

— Możemy zejść? — wyszeptała Jessika.

— Chyba tak.

Pomacał stopą powierzchnię.

— Możemy zjechać — powiedział. — Zjadę pierwszy. Czekaj, aż usłyszysz, że się zatrzymałem.

— Uważaj — powiedziała.

Wszedł na pochyłość i ślizgając się po jej miękkiej powierzchni

zjechał na ubity piach prawie poziomego dna. Miejsce znajdowało się głęboko wśród skalnych ścian. Doleciał go odgłos osuwającego się piasku. Starał się przebić wzrokiem ciemność na górze, ale mało nie zwaliła go z nóg lawina. Po chwili wszystko ucichło.

— Matko?

Nie było odpowiedzi.

— Matko?

Cisnął sakwę, rzucił się w górę zbocza, brnąc, grzęznąc, rozrzucając piach jak opętany.

— Matko! — wydyszał. — Matko, gdzie jesteś?

Następna kaskada piasku spłynęła na niego z góry, zasypując go po biodra. Wyszarpnął się. Porwało ją osuwisko piachu — pomyślał. — Zagrzebało. Muszę zachować spokój i przemyśleć to starannie. Nie zadusi się od razu. Ułoży się w letargu bindu zmniejszając zapotrzebowanie na tlen. Wie, że będę ją odkopywał.

Metodą Bene Gesserit, tak jak go nauczyła, Paul uśmierzył oszalałe bicie serca, ustawił swój umysł niczym czystą tablicę, którą mogło zapisać parę ostatnich chwil. Każde obsunięcie się lawiny rozegrało się powtórnie w jego pamięci jak film, w ułamku sekundy rzeczywistego czasu potrzebnego na przypomnienie. Wkrótce Paul ruszył zakosami w górę stoku, macając ostrożnie, dopóki nie znalazł ściany szczeliny, wyrzynającej się skalnym łukiem. Zaczął kopać ostrożnie, by nie wywołać kolejnego obsunięcia. Natrafił na rąbek tkaniny. Poszedł jej śladem, odgrzebał dłoń. Delikatnie namacał rękę. Odsłonił twarz.

— Słyszysz mnie? — wyszeptał.

Żadnej odpowiedzi.

Przyspieszył kopanie, uwolnił ramiona. Jessika była bezwładna w jego objęciach, ale wyczuwał powolny puls. Letarg bindu — powiedział sobie. Odgarnął piach do bioder, jej ręce zarzucił sobie na pierś i pociągnął ją w dół pochyłości, początkowo powoli, następnie coraz prędzej, czując nad sobą osuwanie się piasku. Wlókł ją coraz szybciej, dysząc z wysiłku i walcząc o utrzymanie się na nogach. Wreszcie wydostał się na twardo ubite dno szczeliny i przewiesiwszy sobie Jessikę przez ramię puścił się chwiejnym biegiem. Cały stok osunął się z donośnym szumem, który odbił się echem wzmocnionym przez skalne ściany.

Przystanął u progu komina wychodzącego na szeregi wydm pustyni jakieś trzydzieści metrów niżej. Delikatnie złożył matkę na piasku i wypowiedział słowo wyprowadzające z katalepsji. Obudziła się z wolna, oddychając coraz głębiej.

— Wiedziałam, że mnie znajdziesz — szepnęła.

Obejrzał się w głąb szczeliny.

— Może byłoby lepiej, gdybym nie znalazł.

— Paul!

— Straciłem sakwę — powiedział. — Wszystko pogrzebane pod setką ton piachu… co najmniej.

— Wszystko?

— Zapas wody, filtrnamiot, wszystko, co się liczy. — Dotknął kieszeni. — Mam jeszcze parakompas. — Pomacał szarfę na brzuchu. — Nóż i lornetkę. Możemy sobie dobrze obejrzeć miejsce, gdzie umrzemy.

W tym momencie słońce wyszło nad horyzont gdzieś z lewej strony za krawędzią zagłębienia. Na piasku otwartej pustyni rozbłysły kolory. Z kryjówek pośród skał buchnął chór ptaków. Lecz Jessika widziała jedynie rozpacz w twarzy Paula. Nasyciła swój głos pogardą:

— Czy tak cię nauczono?

— Nie rozumiesz? — spytał. — Wszystko, czego potrzebujemy, żeby przeżyć w tym miejscu, jest pod piachem.

— Mnie znalazłeś — powiedziała, ale teraz głos jej był łagodny, przekonywający.

Paul przykucnął na piętach. Po chwili podniósł oczy na nowy stok, wpatrując się w piasek, oceniając jego sypkość.

— Gdyby udało się unieruchomić małą powierzchnię tego zbocza i górne licowanie wykopanego w piasku otworu, może zrobilibyśmy szyb w dół do sakwy. Woda by to załatwiła, ale nie mamy dosyć wody na… — Urwał. — Piana — rzekł po chwili.

Jessika siedziała jak trusia, starając się nie zakłócić nadfunkcjonowania jego mózgu. Paul wyjrzał ku otwartym wydmom, szukając i węchem, i wzrokiem, aż ustalił kierunek i wtedy skupił uwagę na pociemniałejłasze piasku na dole.

— Przyprawa — powiedział. — Esencja. Silnie alkaliczna. I mam parakompas. Jego zasilacz działa na kwasie.

Jessika siedziała oparta o skałę plecami. Paul nie zwracał na nią uwagi; skoczył na nogi i oddalił się po ubitej wiatrem powierzchni osypiska z wylotu rozpadliny do poziomu wydm. Obserwowała, w jaki sposób idzie, zakłócając rytm — człap… przerwa… człap-człap… szur… przerwa. Nie było w tym żadnego rytmu, który dałby znać grasującemu czerwiowi, że tutaj porusza się coś, co nie należy do pustyni.

Dotarł do łaty przyprawy, nagarnął jej w połę płaszcza, wrócił do szczeliny. Wysypał przyprawę na piasek przed Jessika, przykucnął i za pomocą czubka noża zabrał się do rozbierania parakompasu. Odczepił pokrywę obudowy. Zdjął szarfę, rozłożył na niej części kompasu, wymontował zasilacz. Potem wydostał mechanizm tarczy, zostawiając pusty, miseczkowaty pojemnik w obudowie.

— Będziesz potrzebował wody — powiedziała Jessika.

Sięgnął do wodowodu kołnierza, nabrał łyk, wypluł do miseczki.

Jeśli to się nie powiedzie, ta woda zostanie zmarnowana — pomyślała Jessika. — Ale wtedy to i tak nie będzie miało znaczenia.

Paul rozciął nożem zasilacz, wysypał z niego kryształki do wody. Zapieniły się lekko i rozpłynęły. Kątem oka Jessika złowiła ruch ponad głową. Podniosła wzrok i zobaczyła jastrzębie. Zasiadły na obrzeżach szczeliny jak na grzędzie, wpatrując się z góry w lusterko wody. Wielka Macierzy! — pomyślała. One wyczuwają wodę nawet z takiej odległości.

Paul z powrotem nałożył wieko na parakompas, zostawiając otwór po przycisku ponownej nastawy na wylot piany. Wziąwszy zmajstrowany przyrząd w jedną rękę, a garść przyprawy w drugą, zawrócił w górę rozpadliny badając uwarstwienie stoku. Pozbawiony szarfy burnus falował na nim łagodnie.

Przebrnął część pochyłości, wyrzucając spod nóg strużki piasku, strumienie pyłu. Niebawem zatrzymał się, wcisnął szczyptę przyprawy w parakompas, potrząsnął korpusem przyrządu. Z otworu po przycisku wykipiała zielona piana. Paul skierował ją na stok, zrosił na nim niewielką groblę i nogą zaczął odrzucać piasek poniżej, również utwardzając go pianą.

Jessika stanęła w dole pod nim.

— Pomóc ci? — zawołała.

— Właź i kop — odparł. — Mamy do przebycia około trzech metrów. Wszystko zawiśnie wtedy na włosku.

Piana przestała buchać z przyrządu.

— Szybko. Nie wiadomo, jak długo ta piana utrzyma piasek.

Jessika dobrnęła do Paula, który tymczasem wsiał następną szczyptę przyprawy w otwór i potrząsnął obudową parakompasu. Znowu wykipiała piana. Paul stawiał zaporę z piany, zaś Jessika kopała rękami, odrzucając piach w dół zbocza.

— Jak głęboko? — wysapała.

— Około trzech metrów. I jedynie w przybliżeniu potrafię określić położenie. Być może trzeba będzie poszerzać tę dziurę.

Odstąpił o krok, ślizgając się w sypkim piasku.

— Kop ukośnie do tyłu. Nie schodź pionowo w dół.

Jessika usłuchała. Z wolna pogłębiła wyrobisko, dochodząc do poziomu dna basenu, ciągle nie napotykając śladu sakwy. Czyżbym się przeliczył? — pomyślał Paul. — To przecież ja początkowo wpadłem w panikę, ja popełniłem błąd. Czyżby to nadwerężyło moje zdolności?

Jessika wyprostowała się na dnie jamy i otarła policzek unurzaną w pianie dłonią. Spojrzeli sobie w oczy.

— Wyżej od czoła — powiedział Paul. — Delikatnie teraz.

Dołożył kolejną szczyptę przyprawy do pojemnika, wypuścił gejzer piany wokół dłoni Jessiki, żłobiących pionową ścianę od góry upadowej wyrobiska. Za drugim razem jej dłonie napotkały coś

twardego. Powoli odgrzebała kawałek rzemienia z plastikową sprzączką.

— Nie porusz tego ani na włos — odezwał się Paul niemal szeptem. — Skończyła się nam piana.

Jessika podniosła na niego oczy, jedną ręką trzymając pasek. Paul rzucił bezużyteczny parakompas na dno basenu.

— Daj mi drugą rękę — powiedział. — Teraz słuchaj uważnie. Odciągnę cię na bok na dolną ścianę. Nie wypuść tego paska. Ze szczytu niewiele już się osypie. Stok się ustabilizował. Postaram się jedynie utrzymać twoją głowę ponad piaskiem. Jak ta jama się wypełni, odkopiemy cię i wyciągniemy sakwę.

— Rozumiem — powiedziała.

— Gotowa?

— Gotowa.

Zacisnęła palce na rzemieniu.

Jednym szarpnięciem Paul wydobył ją z jamy do połowy i przytrzymał z głową w górze, gdy tymczasem zapora piany puściła i piach osypał się w dół.

Kiedy się uspokoiło, Jessika tkwiła po pas w piasku, z lewą ręką przysypaną do barku, z brodą na kraju burnusa Paula dla osłony. Naprężone ramię bolało.

— Mam go nadal — powiedziała.

Powolutku Paul wcisnął dłoń w piach koło niej, odnalazł rzemień.

— Razem — powiedział. — Równomiernie. Żeby nie urwać.

Jeszcze trochę piasku osypało się w dół, kiedy ciągnęli sakwę. Gdy rzemień znalazł się na powierzchni, Paul puścił go i wydobył matkę z piasku. Wtedy ciągnąc wspólnie sakwę w dół zbocza wyrwali ją z matni. Po chwili stali na dnie szczeliny trzymając sakwę z obu stron. Paul spojrzał na matkę. Miała twarz i burnus usmarowane pianą. Po wyschnięciu piany oblepił te miejsca piasek. Wyglądała niczym po bitwie na piguły z mokrego, zielonego piachu.

— Strasznie się upaprałaś — powiedział.

— Ty też nie jesteś zbyt śliczny.

Wybuchnęli śmiechem, lecz szybko spoważnieli.

— To się nie powinno było zdarzyć — powiedział Paul. — Byłem nieostrożny.

Wzruszyła ramionami, czując, jak zlepiony piach odpada z jej płaszcza.

— Rozbiję namiot — powiedział. — Lepiej zrzuć płaszcz i wytrzep go.

Odszedł zabierając sakwę. Jessika przytaknęła głową, nagle zbyt zmęczona, by odpowiedzieć.

— W skale są otwory kotwiczne — odezwał się Paul. — Ktoś tu obozował przed nami.

Czemu nie? — pomyślała otrzepując płaszcz. — Miejsce jest odpowiednie: w głębi skalnych ścian i naprzeciwko drugiego klifu, oddalonego o jakieś cztery kilometry, wystarczająco wzniesione nad pustynią, aby nie zagrażał czerw, i wystarczająco blisko, by był łatwy dostęp do przyprawy.

Odwróciwszy się zobaczyła, że Paul ustawił już namiot, którego wysklepiona ożebrowaniem czasza stopiła się ze ścianami skalnej szczeliny. Paul wysunął się przed nią i podniósł lornetę do oczu. Szybkim obrotem wyregulował wewnętrzne ciśnienie i zogniskował soczewki olejowe na przeciwległym urwisku, strzelającym złocistym brązem w jasności poranka po drugiej stronie otwartego piasku. Jessika przyglądała się, jak studiuje apokaliptyczny pejzaż, zapuszczając wzrok w piaskowe rzeki i kaniony.

— Tam coś rośnie — powiedział.

Jessika znalazła zapasową lornetkę w sakwie przy namiocie i stanęła koło Paula.

— Tam — wskazał jedną ręką, w drugiej trzymając lornetkę.

— Saguaro — stwierdziła. — Mizerota.

— Może w pobliżu są ludzie — rzekł Paul.

— To mogą być pozostałości po botanicznej stacji doświadczalnej — zauważyła.

— To jest spory kawałek na południe w głąb pustyni — powiedział.

Opuścił lornetkę i podrapał się pod owiewką filtru, uprzytamniając sobie, jak suche są jego wargi, odczuwając pyłowy posmak łaknienia w ustach.

— To miejsce pachnie mi Fremenami — powiedział.

— Skąd pewność, że oni będą przyjaźnie usposobieni? — zapytała.

— Kynes obiecał ich pomoc.

Ale w ludziach tej pustyni jest rozpacz — pomyślała. — Sama jej dziś zakosztowałam. Zrozpaczeni ludzie mogą nas zabić dla naszej wody.

Zamknęła oczy i na przekór temu pustkowiu wyczarowała w myśli obraz Kaladanu. Ongiś na Kaladanie odbyła się wycieczka: Jessika zobaczyła siebie z księciem Leto, przed urodzeniem Paula. Przelatywali nad południowymi dżunglami, ponad rozkrzyczanym listowiem dzikich chaszczy i ryżowymi polami delt. I patrzyli na mrówcze szeregi wśród zieloności — gromady ludzi dźwigających na ramionach ładunki za pomocą drągów dryfopławnych. I na białe płatki trójkadłubowych dau w morskich odnogach.

Wszystko to znikło. Jessika otworzyła oczy na bezruch pustyni, na wzrastający upał dnia. W dali na otwartym piasku niezmordowane demony żaru zaczynały rozhuśtywać wibracje powietrza. Miała

wrażenie, że przeciwległąścianę skał ogląda przez marne szkło. Kaskada piasku zasłoniła wylot szczeliny efemeryczną kurtyną. Piasek leciał z sykiem, trącany przez podmuchy rannej bryzy i przez jastrzębie, które zaczęły wzbijać się ze szczytu urwiska. Deszcz piasku ustał, ale nadal słyszała jego syk. Wzmagał się, rozlegał dźwiękiem nigdy nie zapomnianym dla kogoś, kto go choćby raz usłyszał.

— Czerw — szepnął Paul.

Nadszedł od prawej strony w swym niedbałym majestacie, przy którym wszystko bladło. Wyniosły kopiec piasku przecinał wydmy w polu widzenia ludzi. Spiętrzone wysoko czoło kopca rozchodziło się w pylistych odkosach jak fala dziobowa na wodzie. Znikł nagle, uchodząc w lewo. Dźwięk przycichł, zamarł.

— Widywałem fregaty kosmiczne, które były mniejsze — szepnął Paul.

Kiwnęła głową, nie odwracając spojrzenia od pustyni. Po przejściu czerwia pozostała zwodnicza pustka. Rozlewała się w trudną do zniesienia nieskończoność, wabiąca pod nieboskłon.

— Po odpoczynku — powiedziała Jessika — wrócimy do twoich nauk.

Pohamował nagłą złość.

— Matko, nie sądzisz, że możemy się obejść bez…

— Dziś wpadłeś w popłoch — powiedziała. Być może lepiej ode mnie znasz swój umysł i unerwienie bindu, lecz wiele jeszcze musisz się nauczyć o muskulaturze prana twojego ciała. Ciało czasami robi rzeczy samo z siebie, Paul, co mogę ci udowodnić. Musisz nauczyć się panować nad każdym jego mięśniem, każdym włóknem. Potrzebujesz powtórki z dłoni. Zaczniemy od mięśni palców, ścięgien dłoni i wrażliwości opuszków. Chodź już do namiotu — dodała odchodząc.

Zgiął palce lewej ręki obserwując, jak matka wczołguje się przez zwieracz, pewien, że nie potrafi jej odwieść od tego postanowienia… że musi ustąpić. Cokolwiek ze mną uczyniono, biorę w tym udział — pomyślał. — Powtórka z dłoni!

Zerknął na swoją dłoń. Jakże mizernie się prezentowała w porównaniu z takimi stworzeniami, jak czerw.

Pochodzimy z Kaladanu — rajskiego świata dla naszych form życia. Na Kaladanie nie było potrzeby tworzenia raju dla ciała ani raju dla umysłu — wystarczyło popatrzeć dokoła na otaczającą nas rzeczywistość. I zapłaciliśmy cenę, jaką ludzie zawsze płacą za osiągnięcie raju w życiu doczesnym — zniewieścieliśmy,

utraciliśmy pazur.

z „Muad'Dib: Rozmowy" pióra
księżniczki Irulan

— Więc to ty jesteś ten sławny Gurney Halleck — rzekł mężczyzna.

Halleck stał i przez okrągły podziemny gabinet mierzył spojrzeniem siedzącego za metalowym biurkiem przemytnika. Mężczyzna nosił fremeńskie szaty i miał oczy na poły zaciągnięte błękitem, wskazujące na obecność produktów spoza tej planety w jego pożywieniu. Gabinet stanowił replikę głównej sterowni fregaty kosmicznej — trzydziestostopniowy łuk ściany zajmowały telekomunikatory i ekran, z przyległymi do nich bateriami zdalnych zabezpieczeń i odpalania, zaś pozostałą część łuku wypełniało biurko wyprowadzone ze ściany bezpośrednio.

— Jestem Staban Tuek, syn Esmara Tueka — rzekł przemytnik.

— Więc to tobie winien jestem podziękowanie za okazaną nam pomoc — powiedział Halleck.

— Aaach, wdzięczność — stwierdził przemytnik. — Siadaj.

Ze ściany wysunął się niski fotel lotniczy i Halleck, świadom swego zmęczenia, opadł nań z westchnieniem. W ciemnej tafli koło przemytnika widział teraz własne odbicie i z ponurą miną przypatrzył się bruzdom utrudzenia na swej kanciastej twarzy. Blizna od krwawinu na jego brodzie skręciła się przy tym ponurym grymasie. Halleck odwrócił twarz od swego odbicia i utkwił spojrzenie w Tueku. Dostrzegał teraz rodzinne podobieństwo w przemytniku — krzaczaste, obwisłe brwi oraz powierzchnie policzków i nosa jak wyciosane z kamienia.

— Wasi ludzie mówią, że twój ojciec nie żyje, zabity przez Harkonnenów — powiedział Halleck.

— Przez Harkonnenów albo przez zdrajcę spośród waszych ludzi — odparł Tuek.

W gniewie Halleck zapomniał o zmęczeniu. Wyprostował się.

— Czy możesz wymienić imię zdrajcy? — zapytał.

— Nie mamy pewności.

— Thufir Hawat podejrzewał lady Jessikę.

— Aaach, wiedźma Bene Gesserit… być może. Lecz Hawat jest teraz jeńcem Harkonnenów.

— Słyszałem — Halleck wciągnął głęboko powietrze. — Wydaje się, że przed nami niemało jeszcze krwi do przelania.

— Nie zrobimy niczego, co zwróci na nas uwagę — powiedział Tuek.

Halleck zesztywniał.

— Ale…

— Tobie i tym twoim ludziom, których uratowaliśmy, ofiarujemy azyl wśród nas — powiedział Tuek. — Mówisz o wdzięczności. Doskonale, odpracuj tu swój dług. Zawsze znajdziemy zajęcie dla dobrych ludzi. Jednakże zabijemy was z miejsca, gdybyście uczynili najmniejszy wrogi ruch przeciwko Harkonnenom.

— Ale oni zabili twego ojca, człowieku!

— Być może. Jeśli nawet tak, oto odpowiedź mego ojca tym, którzy działają bez zastanowienia: „Kamień jest ciężki i piasek ma ciężar, ale cięższy od nich obu jest gniew głupca".

— Zatem nie zamierzasz kiwnąć palcem w tej sprawie? — zapytał szyderczo Halleck.

— Tego nie słyszałeś z moich ust. Mówię jedynie, że będę chronił nasz kontrakt z Gildią. Gildia wymaga od nas ostrożnej gry. Są inne sposoby zniszczenia wroga.

— Aaaaach!

— Istotnie ach. Jeśli masz ochotę tropić czarownicę, droga wolna. Ale ostrzegam, że prawdopodobnie się spóźniłeś… a my wątpimy, czy ona jest tą osobą, której szukasz, tak czy owak.

— Hawat rzadko się mylił.

— Dał się wziąć do niewoli Harkonnenom.

— Myślisz, że on jest zdrajcą?

Tuek wzruszył ramionami.

— To są jałowe rozważania. Myślimy, że czarownica nie żyje. Przynajmniej tak sądzą Harkonnenowie.

— Wiesz bardzo dużo o Harkonnenach.

— Aluzje i niedomówienia… plotki i domysły.

— Jest nas siedemdziesięciu czterech ludzi — powiedział Halleck. — Jeśli rzeczywiście chcesz, byśmy się do ciebie zaciągnęli, musisz wierzyć w śmierć naszego księcia.

— Widziano jego ciało.

— A chłopca także… młodego panicza Paula? — Halleck próbował przełknąć ślinę, ale miał grudę w gardle.

— Według ostatniej wiadomości, jaką otrzymaliśmy, zaginął wraz ze swoją matką w pustynnym samumie. Najprawdopodobniej nigdy nie odnajdą się… choćby ich kości.

— Więc czarownica nie żyje… wszyscy zginęli.

Tuek kiwnął głową.

— I Bestia Rabban, jak mówią, powróci do władzy na Diunie.

— Hrabia Rabban z Lankiveil?

— Tak.

Halleck potrzebował czasu na opanowanie zalewającej go fali krwi, która groziła apopleksją z wściekłości. Dyszał ciężko.

— Mam prywatne porachunki z Rabbanem. Jestem mu winien

za… życie mojej rodziny… — potarł bliznę na brodzie — … i za to…

— Nie załatwia się porachunków przedwcześnie, wszystko stawiając na jedną kartę — rzekł Tuek. Spochmurniał śledząc grę mięśni na szczęce Hallecka, nagłą skrytość w przysłoniętych powiekami oczach tego mężczyzny.

— Wiem… wiem… — Halleck odetchnął głęboko.

— Ty i twoi ludzie możecie służąc u nas zarobić sobie na przelot z Arrakis. Jest wiele miejsc do…

— Zwalniam swoich ludzi z wszelkiej zależności ode mnie, niech decydują sami. Skoro Rabban jest tutaj… ja zostaję.

— Nie jestem pewien, czy życzymy sobie, żebyś został, widząc twój stan ducha.

Halleck przeszył przemytnika spojrzeniem.

— Wątpisz w moje słowo?

— Nie-e-e…

— Ocaliłeś mnie od Harkonnenów. Ślubowałem wierność księciu Leto z nie większego powodu. Zostanę tu na Arrakis — z wami… albo z Fremenami.

— Czy wypowiedziana, czy nie, myśl realnie istnieje i ma swoją moc — powiedział Tuek. — Mógłbyś się przekonać, że linia między życiem a śmiercią jest zbyt cienka i zbyt ulotna wśród Fremenów.

Halleck przymknął na chwilę oczy czując, jak ogarnia go znużenie.

— „Gdzież jest Pan, który powiedzie nas przez ziemię pustyń i otchłani?” — zamruczał.

— Zdążaj powoli, a dzień twej zemsty nadejdzie — powiedział Tuek. — Pośpiech jest wymysłem szatana. Ucisz swą rozpacz — po to mamy rozrywki; trzy są rzeczy, które niosą ulgę sercu: woda, zieleń trawy i uroda kobiety.

Halleck otworzył oczy.

— Wolałbym kałużę krwi Rabbana Harkonnena u swych stóp. — Wpił się spojrzeniem w Tueka. — Myślisz, że taki dzień nadejdzie?

— Niewiele mam wspólnego z tym, jakie powitasz jutro, Gurneyu Hallecku. Mogę ci tylko dopomóc powitać dzień dzisiejszy.

— Przyjmuję zatem tę pomoc i zostaję aż do dnia, w którym rozkażesz mi pomścić twego ojca i wszystkich innych, którzy…

— Posłuchaj mnie, mężu walki — powiedział Tuek. Wychylił się do przodu nad biurkiem; barki miał na jednym poziomie z uszami, w oczach zawziętość. Twarz przemytnika upodobniła się nagle do zwietrzałej skały.

— Wodę mojego ojca… tę odkupię swoim własnym ostrzem.

Halleck nie odrywał od niego oczu. W tym momencie przemytnik przypominał mu księcia Leto: przywódca ludzi, odważny, pewny swej pozycji i swego powołania. Był jak książę… przed Arrakis.

— Czy chcesz wsparcia mojego ostrza? — zapytał Halleck.

Tuek odchylił się do tyłu, rozluźnił, w milczeniu przypatrując się Halleckowi.

— Czy uważasz mnie za męża walki? — nalegał Halleck.

— Tylko ty jeden z adiutantów księcia uszedłeś z życiem — powiedział Tuek. — Siła twego wroga była przytłaczająca, ty jednak ugiąłeś się, aby zwyciężyć… pokonałeś go w taki sposób, jak my pokonujemy Arrakis.

— Co proszę?

— Żyjemy tutaj na łasce tej planety, Gurneyu Hallecku — powiedział Tuek. — Arrakis jest naszym wrogiem.

— Starczy jeden wróg naraz, czy nie tak?

— Właśnie tak.

— Czy tak właśnie radzą sobie Fremeni?

— Być może.

— Powiedziałeś, że życie z Fremenami może się dla mnie okazać zbyt twarde. Żyją w pustyni, pod gołym niebem, czy to dlatego?

— Któż wie, gdzie żyją Fremeni? Dla nas Płaskowyż Centralny jest ziemią niczyją. Ale ja chciałbym porozmawiać raczej o…

— Mówią, że Gildia rzadko wytycza szlaki przyprawowych lichtug ponad pustynią — rzekł Halleck. — Ale krążą pogłoski, że tu i ówdzie widać skrawki zieleni, jeśli się wie, gdzie patrzeć.

— Pogłoski! — skrzywił się Tuek. — Chciałbyś teraz wybierać między mną a Fremenami? Jesteśmy poniekąd bezpieczni, mamy własną, wykutą w skale sicz, swoje ukryte baseny. Żyjemy życiem ludzi cywilizowanych. Fremeni to parę band obszarpańców, których my zatrudniamy jako poszukiwaczy przyprawy.

— Ale oni umieją zabijać Harkonnenów.

— A chcesz znać rezultat? Nawet w tej chwili poluje się na nich jak na zwierzęta — z rusznicami laserowymi, bo nie mają tarcz. Są poddawani eksterminacji. Dlaczego? Bo zabijali Harkonnenów.

— Czy rzeczywiście zabijali Harkonnenów? — spytał Halleck.

— Co masz na myśli?

— Nie słyszałeś, że z Harkonnenami byli przypuszczalnie sardaukarzy?

— Znowu pogłoski.

— Jednak pogrom nie jest w stylu Harkonnenów. Pogrom jest marnotrawstwem.

— Wierzę w to, co widzę na własne oczy — powiedział Tuek. — Zdecyduj się, mężu walki. Ja albo Fremeni. Zapewniam ci azyl i szansę przelania krwi, której obaj łakniemy. Możesz być tego pewien. Fremeni ofiarowują ci jedynie życie ściganej zwierzyny.

Halleck wahał się, wyczuwając mądrość i współczucie w słowach Tueka, jednak coś go gryzło z zupełnie niezrozumiałego powodu.

— Zaufaj własnemu rozumowi — rzekł Tuek. — Czyje decyzje ocaliły twój oddział z bitwy? Twoje. Decyduj.

— Tak musi być — powiedział Halleck. — Książę i jego syn nie żyją?

— Tak uważają Harkonnenowie. Jeżeli chodzi o tego rodzaju sprawy, skłonny jestem ufać Harkonnenom. — Ponury uśmiech zagościł na ustach Tueka. — I tu by się mniej więcej kończyło moje całe do nich zaufanie.

— Zatem musi tak być — powtórzył Halleck.

Wyciągnął prawą rękę w tradycyjnym geście, dłonią do góry i z kciukiem płasko na niej złożonym.

— Oddaję ci mój miecz.

— Przyjmuję.

— Chcesz, bym nakłonił mych ludzi?

— A pozwoliłbyś im na samodzielną decyzję?

— Szli za mną aż dotąd, lecz większość urodziła się na Kaladanię. Arrakis nie jest taka, jak ją sobie wyobrażali. Tu stracili wszystko prócz życia. Wolałbym, żeby decydowali sami za siebie.

— Nie czas teraz na twoje wahanie — powiedział Tuek. — Doszli za tobą aż tutaj.

— Potrzebujesz ich?

— Zawsze znajdziemy miejsce dla doświadczonych wojowników… w tych dniach bardziej niż kiedykolwiek.

— Przyjąłeś mój miecz. Życzysz sobie, żebym wpłynął na nich?

— Myślę, że oni sami pójdą za tobą, Gurneyu Hallecku.

— Oby tak było.

— Oby.

— Mogę więc sam o tym zadecydować?

— Możesz sam zadecydować.

Halleck podniósł się z krzesła, czując, jak wiele z jego zapasu sił poszło na ten mizerny wysiłek, by stanąć na nogi.

— Na razie rozejrzę się po ich kwaterach i zbadam nastroje.

— Porozum się z moim kwatermistrzem — rzekł Tuek. — Nazywa się Drisq. Powiedz mu, że życzę sobie, by okazał wam jak najdalej posuniętą gościnność. Przyjdę do ciebie… niebawem. Najpierw muszę wyekspediować parę transportów przyprawy.

— Szczęście uśmiecha się wszędzie — rzekł Halleck.

— Wszędzie — powiedział Tuek. — Niespokojne czasy, to wyjątkowa okazja w naszych sprawach.

Halleck skłonił głowę, za sobą usłyszał lekki szmer i wyczuł prąd powietrza, gdy rozwarła się na oścież furta śluzy. Odwrócił się i zanurkowawszy przez nią opuścił gabinet. Znalazł się w sali ogólnej, do której adiutanci Tueka wprowadzili go uprzednio wraz z ludźmi. Było to długie i wąskie pomieszczenie, wyciosane w litej skale, a jego

gładkie powierzchnie zdradzały działanie lanc laserowych. Sufit strzelał dostatecznie wysoko, by przedłużyć naturalny łuk skalnego sklepienia i przepuścić wewnętrzne prądy konwekcyjne powietrza. Wzdłuż ścian znajdowały się stojaki na broń i szafki. Nie bez dumy Halleck zauważył, że ci z jego ludzi, którzy byli nadal zdolni utrzymać się na nogach, stoją, że znużenie i klęska ich nie załamały. Medycy przemytników kręcili się między nimi, opatrując rannych. Ciężko rannych zebrano w jednym miejscu w głębi po lewej stronie, a przy każdym czuwał atrydzki towarzysz broni. Atrydzkie wyszkolenie: „Troszczymy się o swoich", przetrwało w nich jak rdzeń rodzimej skały — zauważył Halleck. Jeden z jego poruczników wystąpił do przodu z dziewięciostrunową balisetą Hallecka. Zasalutował.

— Sir, tutejsi medycy mówią, że nie ma nadziei dla Mattaiego. Oni tu nie posiadają banku kości ani narządów Jedynie środki polowe. Mattai nie przeżyje, mówią, ale on ma prośbę do ciebie.

— Jaką?

— Mattai prosi o pieśń, by łatwiej mu było odejść, sir. Mówi, że będziesz wiedział, o którą chodzi… dość często prosił cię o nią. — Porucznik przełknął. — To pieśń zwana „Ma luba", sir. Gdybyś…

— Wiem.

Halleck wziął balisetę, wyłuskał wieloczynnościowe piórko z zacisku na gryfie. Dobył cichy akord z instrumentu; stwierdził, że ktoś go już nastroił. Oczy go paliły, ale wyrzucił to ze swych myśli, kiedy szedł przed siebie wygrywając melodię i zmuszając się do swobodnego uśmiechu. Medyk przemytników i paru jego ludzi pochylali się nad noszami. Kiedy Halleck podszedł, któryś z ludzi zaczął cichutko śpiewać, z łatwością wpadając w rytm.

Ma luba stoi w oknie,
piersiami dotyka szkła.
Słońce purpurą płonie,
złoci jej ręce na łonie.
Zabierz mnie,
Zabierz w ramiona, luba ma.
Weź mnie,
Weź w swe ramiona, luba ma.

Śpiewak skończył, wyciągnął obandażowaną rękę i zamknął powieki mężczyźnie na noszach. Halleck dobył ostatni, cichy akord z balisety i pomyślał: Teraz jest nas siedemdziesięciu trzech.

Wielu ludziom trudno zrozumieć
życie rodzinne „ochronki" królewskiej,
jednak spróbuję naszkicować je wam

skrótowo.

Mój ojciec miał, jak sądzę, jednego tylko prawdziwego przyjaciela. Był nim hrabia Hasimir Fenring, eunuch genetyczny i jeden z najgroźniejszych rycerzy w Imperium. Hrabia, wytworny, acz szpetny człowieczek, pewnego dnia sprowadził nową niewolnicę — konkubinę memu ojcu, a ja zostałam przez matkę wysłana na przeszpiegi. Wszystkie szpiegowałyśmy ojca tytułem samoobrony. Żadna z niewolnic — konkubin, na jakie mu zezwalał traktat Bene Gesserit z Gildią, nie mogła, rzecz jasna, zrodzić królewskiego następcy, lecz intrygi były bezustanne i nużące w swej monotonii. Osiągnęłyśmy biegłość, moja matka, siostry i ja również, w unikaniu najprzemyślniejszych narzędzi śmierci. To, co powiem, może wydawać się straszne, ale wcale nie jestem pewna, czy mój ojciec nie przykładał ręki do tych wszystkich zamachów. Rodzina królewska to jednak zupełnie inna rodzina.

Zatem wyobraźmy sobie tę nową niewolnicę — konkubinę, rudowłosą jak mój ojciec, wiotką i zgrabną, o mięśniach akrobatki, najwyraźniej przeszkoloną w neuro — kuszeniu. Mój ojciec przypatrywał się jej przez długi czas, gdy pozowała przed nim naga. Wreszcie rzekł: „Jest zbyt piękna. Oszczędzimy ją na podarunek". Nie macie pojęcia, jak wielką konsternację ta powściągliwość wywołała w „ochronce" królewskiej. W końcu finezja i samokontrola stanowiły śmiertelne zagrożenie dla nas wszystkich.

„W domu mojego ojca" pióra księżniczki Irulan

Późnym popołudniem Paul stał przed filtrnamiotem. Szczelinę, w której rozbił obóz, zalegał głęboki cień. Spoglądając ponad otwartym

piaskiem na odległą ścianę skalną zastanawiał się, czy powinien obudzić matkę śpiącą w namiocie. Fałdy wydm rozchodziły się wokół ich kryjówki jedna za drugą. Rzucały gęste cienie z dala od zachodzącego słońca, tak czarne, jakby były odpryskami nocy. Cóż za monotonia! Jego duch szybował poszukując jakiejś wysokości w tym pejzażu. Lecz nie znajdował żadnego zdecydowanego pionu w wyjałowionym upałem powietrzu aż po horyzont, żadnego kwiecia, żadnego łagodnego kołysania znaczącego przyjście bryzy… tylko wydmy i tamto oddalone urwisko pod niebem z wybłyszczonego srebrobłękitu.

A jeżeli tam po drugiej stronie nie ma żadnej opuszczonej stacji badawczej? — myślał. — Jeżeli nie ma tam w ogóle Fremenów, a te rośliny wyrosły sobie przypadkiem?

Jessika obudziła się i obróciła na plecy; przez przezroczystą burtę zerknęła z ukosa na Paula. Stał odwrócony do niej tyłem i coś w jego postawie przypominało Jessice księcia. Poczuła w sobie otchłań wzbierającej rozpaczy i odwróciła spojrzenie. Niebawem przysposobiła swój filtrfrak, odświeżyła się wodą z namiotowych kieszeni łownych i wypełzła na dwór, by rozprostować kości i wypłoszyć sen z ciała.

Nie odwracając się Paul powiedział:

— Dziwną radością napełnia mnie spokój tego miejsca.

Jakże dostraja się umysł do środowiska — pomyślała. I przypomniał jej się aksjomat Bene Gesserit: „Pod presją umysł może pójść w jednym z dwóch kierunków: pozytywnym lub negatywnym, w przód lub wstecz. Przedstawcie to sobie jak widmo, którego ekstremami są nieświadomość na negatywnym krańcu i nadświadomość na krańcu pozytywnym. Ku któremu z nich umysł skłoni się pod naporem, w znacznej mierze zależy od wyszkolenia”.

— Życie tutaj mogłoby być dobre — powiedział Paul.

Próbowała zobaczyć pustynię jego oczami, usiłując uchwycić niedogodności będące powszednim obliczem tej planety i zastanowić się, jakie też warianty przyszłości mignęły przed Paulem. Tutaj można znaleźć odosobnienie — myślała — bez obawy, że ktoś stoi za plecami, bez strachu przed myśliwym.

Wysunąwszy się przed Paula podniosła do oczu lornetę, nastawiła soczewki olejowe i zbadała skalny bastion po drugiej stronie. Tak, saguaro w wyschłych łożyskach potoków oraz inne kolczaste porosty… a wśród cieni rogoża niskich zielonożółtych traw.

— Zwinę obozowisko — rzekł Paul.

Kiwnąwszy głową Jessika zbliżyła się do wylotu szczeliny, skąd mogła ogarnąć wzrokiem pustynię, i skierowała lornetkę w lewo. Solna panew rozjarzyła się tam bielą z domieszką brudnego brązu na obrzeżach — pole bieli tu, gdzie biel jest śmiercią. Ale panew mówiła o czymś jeszcze: o wodzie. Kiedyś przez tę roziskrzoną biel toczyły się

wody.

Opuściła lornetkę i dopięła burnus, chwilę nasłuchiwała odgłosów krzątaniny Paula. Słońce opadło niżej. W poprzek solnej panwi legły cienie. Spoza zachodniego horyzontu rozeszły się linie rozkrzyczanej barwy. Barwa skupiła się w ciemny paluch obmacujący piaski. Rozpełzły się cienie koloru węgla i rzęsisty opad nocy zatopił pustynię.

Gwiazdy!

Wpatrywała się w nie z zadartą głową, wyczuwając zbliżanie się Paula, który po chwili stanął koło niej. Pustynna noc zogniskowała się ku górze sprawiając wrażenie, że ulatuje do gwiazd. Ciężar dnia ustąpił. Przelotny podmuch uderzył ich w twarze.

— Niebawem wzejdzie pierwszy księżyc — zauważył Paul. — Sakwa gotowa. Ustawiłem dudnik.

Moglibyśmy zaginąć na zawsze w tym przedsionku piekła — pomyślała Jessika. — I nikt by się nie dowiedział.

Wiatr nocy sypał strużkami piasku, które muskały jej twarz, i przynosił woń cynamonu: kaskada zapachów w ciemności.

— Powąchaj tylko — odezwał się Paul.

— Czuję tę woń nawet przez filtr — powiedziała. — Bogactwo. Ale czy zapewni nam wodę? — Wskazała na drugą stronę basenu. — Nie ma tam sztucznych świateł.

— Fremeni będą się kryli w siczy za tamtymi skałami — odparł.

Srebrny róg wychynął na prawo od nich ponad horyzont: pierwszy księżyc. Wzniósł się ukazując oczom wyraźny wizerunek dłoni na swej powierzchni. Jessika zapatrzyła się w objawioną w poświacie białą srebrzystość piasku.

— Dudnik osadziłem w najdalszym zakątku szczeliny — oznajmił Paul. — Jak zapalę jego lont, zostanie nam trzydzieści minut.

— Trzydzieści minut?

— Nim zacznie przyzywać… czerwia.

— Och! Jestem gotowa do drogi.

Odszedł; słyszała, jak posuwa się z powrotem w głąb szczeliny. Noc jest tunelem — pomyślała — szczeliną w jutro… o ile pisane nam jakieś jutro. — Potrząsnęła głową. — Skąd się u mnie wzięły takie czarne myśli? Z moim wyszkoleniem stać mnie na więcej.

Wrócił Paul, podjął sakwę i ruszył przodem w dół do pierwszej wydmy, gdzie przystanął nasłuchując, aż dogoniła go matka. Słyszał jej ciche nadejście i obojętne — ziarnko po ziarnku — kapanie dźwięku: prywatny kod pustyni głoszący jej własną miarę bezpieczeństwa.

— Musimy iść nierytmicznie — rzekł Paul i przywołał wspomnienie ludzi przemierzających piaski… zarówno z obrazów przyszłości, jak i rzeczywiste. — Zobacz, jak ja to robię —

powiedział. — Tak Fremeni chodzą po piasku.

Wyszedł na stok powietrzny i powłócząc nogami ruszył łukiem wydmy. Jessika obserwowała pierwsze dziesięć kroków Paula, nim podążyła za nim naśladując te ruchy. Dostrzegała ich sens: to musi brzmieć jak naturalne przemieszczanie się piasku… jak wiatr. Lecz mięśnie broniły się przeciwko temu nienaturalnemu, łamanemu rytmowi: człap… szur… szur… człap… człap… stop… szur… człap. Czas rozsnuł się wokół nich. Skalna ściana jakby się nie przybliżała. Ta za plecami nadal sterczała pod niebo.

Łup! Łup! Łup! Łup!

To bębnienie dochodziło z urwiska za ich plecami.

— Dudnik — syknął Paul.

Łomotanie nie ustawało, aż z trudem zaczęło im przychodzić unikanie tego rytmu we własnych krokach.

Łup… łup… łup… łup…

Posuwali się w zalanej księżycowym blaskiem misie wstrząsanej owym głuchym dudnieniem. W dół i w górę przez osypujące się wydmy: człap… szur… stop… człap. Po groszkowym piasku toczącym się pod ich stopami: szur… stop… stop… człap. I przez cały czas ich uszy nasłuchiwały pewnego niepowtarzalnego szmeru. Dźwięk ten rozpoczął się tak cicho, że kiedy ich doleciał, zagłuszali go szuraniem nóg. Ale narastał… coraz głośniejszy… od zachodu. Łup… łup… łup… łup… — walił dudnik. Syk wypełniał noc za nimi. Maszerując odwrócili głowy i ujrzeli kopiec polującego czerwia.

— Idź dalej — wyszeptał Paul. — Nie oglądaj się.

Zgrzytliwy odgłos furii buchnął z opuszczonych przez nich skalnych cieni. Młócąca lawina hałasu.

— Idź dalej — powtórzył Paul.

Dostrzegł, że osiągnęli nie oznaczony punkt, w którym dwie skalne ściany — jedna przed, a druga za nimi — wydawały się jednakowo odległe. I ciągle za ich plecami owo chłostanie, wściekłe darcie skał przenikało noc. Posuwali się dalej i dalej, i dalej… Mięśnie osiągnęły stan mechanicznego bólu, który zdawał się nie mieć końca, lecz Paul zauważył, że skarpa marzeń wystrzeliła wyżej przed nimi.

Jessika poruszała się w próżni własnej koncentracji, ze świadomością, że wyłącznie siła woli podtrzymuje jej kroki. Suchość w ustach sprawiała ból, ale odgłosy z tyłu rozwiewały wszelką nadzieję na postój i łyk z kieszeni łownych filtrfraka. Łup… łup… Kolejny wybuch szału i dudnik zamilkł. Cisza!

— Szybciej — wyszeptał Paul.

Kiwnęła głową wiedząc, że on nie widzi tego gestu, jednak musiała potwierdzić sama sobie jakimś działaniem, że trzeba zażądać jeszcze więcej od obciążonych już do ostatnich granic mięśni…

Skalna ściana obiecująca schronienie wyrosła przed nimi między

gwiazdami i Paul dostrzegł płaską łachę piasku ciągnącą się u jej podnóża. Wszedł na nią, potknął się ze zmęczenia, odruchowo wystawił nogę, by złapać równowagę. Rezonujące dudnienie zatrzęsło piaskiem wokoło. Paul zatoczył się dwa kroki w bok. Buum! Buum!

— Grający piasek! — zasyczała Jessika.

Paul odzyskał równowagę. Rozbieganym spojrzeniem omiótł piasek pod nogami i skalne urwisko może dwieście metrów dalej. Za plecami usłyszał syk: jakby wiatru, jak wezbranej fali tam, gdzie wody nie było.

— Biegiem! — krzyknęła Jessika. — Biegiem, Paul!

Pobiegli.

Bębnienie grzmiało pod ich stopami. Wkrótce wypadli na żwir. Bieg przyniósł chwilową ulgę mięśniom, zbolałym od obcej im, nierytmicznej pracy. To była akcja, która nie wymagała udziału rozumu. Wystarczył rytm. Lecz piasek i żwir więziły stopy, zaś syczenie nadciągającego czerwia narastało wokół nich jak burza. Jessika upadła na kolana. Jedyne, o czym mogła myśleć, to było wyczerpanie, dźwięk, i przerażenie. Paul poderwał ją na nogi. Dalej biegli trzymając się za ręce. Z piasku przed nimi sterczała cienka żerdź. Minęli ją, dostrzegli drugą. Umysł Jessiki zdołał zarejestrować te żerdzie, jak już zostały w tyle. Jeszcze jedna żerdź — nadgryziona przez wiatr antena — wystawała ze szpary w skale. I jeszcze jedna.

Skała!

Wyczuła ją stopami, gdy zniknął opór podłoża, i doznała przypływu sił na pewniejszej nawierzchni.

W przedzie głęboka rozpadlina ciągnęła się pionowym cieniem w górę urwiska. Popędzili ku niej, wcisnęli się w wąski otwór. Odgłos przejścia czerwia urwał się za ich plecami. Jessika i Paul odwrócili się wyglądając na pustynię.

Tam, gdzie zaczynały się wydmy, może o pięćdziesiąt metrów od nich, u podnóża skalnej plaży, z pustyni wzbił się srebrnoszary łuk śląc lawinę piachu i pyłu na wszystkie strony. Wzniósł się wyżej, aż przybrał postać gigantycznej tropiącej gęby. Ujrzeli czarną, okrągłą dziurę z połyskującymi w łunie księżyca ostrzami. Gęba podpełzła ku wąskiej szczelinie, w której zalegli Paul z Jessiką. Zapach cynamonu buchnął im w nozdrza. Blask księżycowy zamigotał na zębach z kryształu. Wielka paszcza kołysała się w przód i w tył.

Paul wstrzymał oddech. Jessika skuliła się, patrząc w osłupieniu. Cały swój kunszt Bene Gesserit włożyła w zdławienie pierwotnych lęków, poskromienie zachowanej w pamięci rasy grożącej obłędem trwogi. Paul przeżywał rodzaj uniesienia. W którymś z ostatnich momentów minął barierę czasu i znalazł się na mniej znanym terytorium. Wyczuwał przed sobą ciemność, nic nie jawiło się przed jego wewnętrznym okiem. Tak, jakby któryś kolejny krok pogrążył go

w studni… albo w dolinie fali, skąd nie widać przyszłości. Krajobraz uległ gruntownemu przemieszczeniu. Doznanie czasociemności zamiast porazić go, nadało super przyspieszenie jego pozostałym zmysłom. Zorientował się, że w każdym dostępnym mu wymiarze postrzega owo coś, co w pogoni za nim wstało tu z piasku. Paszcza tego czegoś miała około osiemdziesięciu metrów średnicy… na jej obrzeżu lśniły kryształowe zęby o wygiętym kształcie krysnoży… miech dyszał cynamonem… ulotnymi aldehydami… kwasami…

Czerw przesłonił blask księżyca szorując o skały ponad nimi. Deszcz drobnych kamieni i piasku posypał się do ciasnej kryjówki. Paul wcisnął matkę głębiej.

Cynamon! Ta woń zalewała go. Co czerw ma wspólnego z przyprawą, z melanżem? — zadał sobie pytanie. I przypomniało mu się, jak Lietowi — Kynesowi wymknęła się mglista aluzja do pewnego związku czerwia z przyprawą.

Łubudu! — W prawo od nich niczym łoskot bezdeszczowego gromu dochodzący z oddali. I ponownie — łubudu!

Czerw wycofał się na piasek: leżał tam chwilę, jego kryształowe zęby przędły księżycowe blaski.

Łup! Łup! Łup! Łup!

Drugi dudnik! — pomyślał Paul. Znów rozbębniło się gdzieś z prawa.

Czerwia przebiegło drżenie. Cofnął się głębiej w piasek. Pozostała jedynie pagórkowata krzywizna jak połowa lejka, jak wznoszący się nad wydmami łuk tunelu. Zachrzęścił piasek. Stworzenie pogrążyło się jeszcze głębiej, odstępując, zawracając, stając się grzywiastym kopcem, który uchodził zakolem przez antyklinę między wydmami. Paul wyszedł przed kryjówkę śledząc piaskową falę odpływającą pustkowiem na zew nowego dudnika. Jessika wysunęła się za nim, nasłuchując.

Łup… łup… łup… łup… łup…

Wkrótce dźwięk zamilkł. Paul odszukał rurkę w filtrfraku, pociągnął łyk odzyskanej wody. Jessika skupiła uwagę na jego czynnościach, lecz w umyśle jej pozostała pustka zmęczenia i trwogi.

— Czy na pewno odszedł? — wyszeptała.

— Ktoś go przywołał — powiedział Paul. — Fremeni.

Czuła, że przychodzi do siebie.

— Był taki wielki!

— Nie tak wielki jak tamten, który zgarnął nasz ornitopter.

— Jesteś pewny, że to byli Fremeni?

— Użyli dudnika.

— Po co mieliby nam pomagać?

— Może nie pomagali nam. Może po prostu wzywali czerwia.

— Po co?

Odpowiedź zawisła na krawędzi jego świadomości, nie nadchodząc. W głowie miał wizję, która mu się kojarzyła z teleskopowymi, zaopatrzonymi w haki kijami z ich bagaży — z „hakami stworzyciela".

— Po co wzywaliby czerwia? — spytała Jessika.

Tchnienie strachu owiało jego umysł, zmusiło go do odwrócenia się od matki, do spojrzenia w górę urwiska.

— Znajdźmy lepiej drogę na szczyt przed światłem dnia — wskazał ręką. — Tych żerdzi, które minęliśmy, jest więcej.

Patrząc wzdłuż linii jego ręki dostrzegła żerdzie — pokaleczone przez wiatr znaki — i wyłowiła cień wąskiej półki wijącej się w rozpadlinie wysoko nad nimi.

— One wyznaczają szlak na szczyt urwiska — rzekł Paul.

Osadził sakwę na ramionach, doszedł do podstawy skalnej półki i rozpoczął wspinaczkę. Jessika chwilę marudziła zbierając siły, po czym ruszyła za nim. Pięli się w górę idąc za tyczkami żerdzi, aż wreszcie półka skurczyła się do wąskiego progu przed mrocznym załomem komina. Paul przekrzywił głowę i zajrzał w pogrążony w ciemności komin. Starał się nie myśleć o wątłym oparciu dla stóp na cienkim gzymsie. Jedyne, co zobaczył, to ciemność. Komin biegł w górę do szczytu, gdzie otwierał się ku gwiazdom. Paul wytężył słuch, ale wyłowił tylko odgłosy, jakich mógł się spodziewać — lekki spływ piasku, owadzie „grrr", tupot jakiegoś rozpędzonego maleńkiego zwierzątka. Zgruntował nogą ciemność w kominie i trafił na zapiaszczony występ skalny. Powoli, cal po calu, minął załom, przyzwał gestem matkę, by poszła w jego ślady. Asekurował ją na zakręcie, chwyciwszy za luźny brzeg szaty. Podnieśli oczy na gwiazdy jarzące się w obramowaniu dwóch krawędzi skalnych. Paul widział matkę obok siebie jako majaczącą chwiejną szarość.

— Gdybyśmy tylko mogli zaryzykować światło — powiedział.

— Mamy inne zmysły prócz wzroku — odparła.

Wysunął stopę przed siebie, przeniósł na nią ciężar ciała i próbował ściany drugą stopą, aż natrafiła na przeszkodę. Podciągnął nogę wyżej i odkrył stopień, na który się wywindował. Sięgnął do tyłu i odszukał ramię matki, szarpnięciem za płaszcz nakazując jej podążać za sobą. Drugi stopień.

— Myślę, że one wiodą na sam szczyt — wyszeptał.

Płytkie, równe schody — pomyślała Jessika. — z pewnością dzieło rąk ludzkich. — Odnajdując po omacku stopnie podążała za niewyraźnym, ruchomym cieniem Paula. Ściany skalne zeszły się niemal i ocierały jej ramiona. Stopnie kończyły się w wykutym wąwozie około dwudziestometrowej długości, o równym dnie, który wychodził na płytki, skąpany w blasku księżyca basen. Paul wyszedł na brzeg basenu.

— Jak tu pięknie — wyszeptał.

Jessika potrafiła jedynie patrzeć z milczącą aprobatą tuż zza pleców Paula. Mimo wyczerpania, drażniących odłówek, wtyków nosowych i gorsetu filtrfraka, pomimo trwogi i bolesnego pragnienia spoczynku, piękno tego basenu oczarowało jej zmysły, stała więc i patrzyła jak urzeczona.

— Kraina z bajki — szepnął Paul.

Skinęła głową. Przed nią rozpościerała się roślinność pustynna — krzewy, kaktusy, drobne kępki liści — wszystko rozedrgane w blasku księżyca. Lewa strona pierścienia urwisk była ciemna, prawą osrebrzał księżyc.

— To musi być siedziba Fremenów — powiedział Paul.

— Bez ludzi nie przeżyłoby tutaj tyle roślin — zgodziła się.

Odkorkowała przewód kieszeni łownych swego filtrfraka, pociągnęła łyk. Ciepława, lekko cierpka mokrość zwilżyła jej gardło. Spostrzegła, że dodaje jej to sił. Zatyczki rurki chrzęściły przy zamykaniu.

Uwagę Paula przyciągnął ruch w dole z prawej strony na dnie owalnego basenu. Spojrzał z góry pomiędzy krzewy i zielsko, na piaszczysty klin księżycowego blasku, ożywiony przez maleńkie hyc-kic i hop.

— Myszy! — syknął.

Hyc-kic-hop! — pomykały z cienia do cienia. Coś bezgłośnie spadło przed nimi między myszy. Rozległ się cienki pisk, łopot skrzydeł — i widmowo szary ptak uleciał przez basen z maleńkim, mrocznym cieniem w szponach.

Należała się nam ta przestroga — pomyślała Jessika.

Paul ciągle wpatrywał się w głąb basenu. Wraz z oddechem wciągał coraz silniejszy, ostrawy zapach szałwii — wonny kontralt nocy. Drapieżny ptak symbolizował naturę tej pustyni. Ściągnął na basen bezruch tak niewyrażalny, że prawie było słychać, jak błękitnomleczne światło księżycowe opływa trzymające tu straż saguaro i kępę kłosówki. Było tu jakieś niskie buczenie światła o harmonii bardziej podstawowej od jakiejkolwiek muzyki znanej na jego planecie.

— Poszukajmy lepiej miejsca na rozbicie namiotu — rzekł. — Jutro możemy poszukać Fremenów, którzy…

— Tutaj obcy zwykle żałują, że znaleźli Fremenów! — mocny, męski głos wyrąbał na odlew te słowa, niwecząc nastrój. Głos dochodził z góry i z prawa. — Proszę, nie uciekajcie, obcy — powiedział głos, kiedy Paul odruchowo rzucił się w głąb wąwozu. — Biegnąc, zmarnujecie tylko wodę swoich ciał.

Oni chcą nas na wodę! — pomyślała Jessika.

Zmęczenie wyparowało bez śladu z jej mięśni, które

niepostrzeżenie przeszły w stan najwyższej gotowości. Namierzyła pozycję owego głosu, myśląc: Ale się podkradł. Nic nie słyszałam. I zdała sobie sprawę, że właściciel głosu pozwala sobie jedynie na drobne, naturalne odgłosy pustyni. Inny głos zawołał z krawędzi basenu po ich lewej stronie:

— Migiem, Stil. Bierz ich wodę i ruszajmy swoją drogą. Niewiele mamy czasu do świtu.

Paul gryzł się, że stracił głowę i próbował zmykać, będąc mniej od matki uwarunkowany na reakcję w krytycznych momentach, że chwila paniki stępiła jego zdolności. Zastosował się teraz do nauki matki: rozluźnił się, by z kolei przejść w rozluźnienie pozorne, a następnie uwięzić w mięśniach siłę jak strzał w bacie, który może ciąć w dowolnym kierunku. Nie opuściło go uczucie trwogi, ale znał jej źródło. Oto był ślepy czas, żadna z widzianych przez niego przyszłości… i znajdowali się w pułapce wśród dzikich Fremenów, których interesowała wyłącznie woda zawarta w dwóch nie chronionych tarczami ciałach.

Owa religijna adaptacja Fremenów leży zatem u źródeł tego, co obecnie znamy jako „Filary Wszechświata”, a czego wyrazy, dowody i proroctwa zawdzięczamy obecnym pośród nas Quizara Tafudom. Niosą nam oni zjednoczenie arrakańskiej mistyki, a jej tajemnicze piękno ucieleśnia wzruszająca muzyka na dawnych oparta zasadach, lecz napiętnowana nowym przebudzeniem. Któż nie słyszał i nie przejął się do głębi „Hymnem starego człowieka”?

Zagłębiłem stopy w pustynię,
której miraż mamił jak wróg.
Niesyt chwały, chciwy niebezpieczeństw,
deptałem horyzonty al-Kulab,
kiedy czas góry równał
chcąc odnaleźć i pożreć mnie.
I ujrzałem wróble w locie chyżym,
śmielszym od wilczych kłów.
Obsiadły młodości mej krzew.
Słyszałem stado w gałęziach,
a ich szpony rozdarły mnie.

z „Przebudzenia Arrakis”
księżniczki Irulan

Człowiek pełzał po grzbiecie wydmy. Źdźbło schwytane w oślepiającą jasność południowego słońca. Miał na sobie jedynie poszarpane resztki dżubby, goła skóra wystawiona na żar łyskała spomiędzy łachmanów. Kaptur od płaszcza był urwany, ale człowiek zrobił sobie turban z oderwanego paska tkaniny. Sterczały spod niego kosmyki włosów, jasnych tak jak i rzadka broda, i krzaczaste brwi. Pozostałości ciemnego barwnika pod błękitnymi w błękicie oczami spływały na policzki. Wgniecenie na wąsach i brodzie wskazywało, którędy rurka filtrfraka wykreślała swą drogę między nosem a kieszeniami łownymi.

Człowiek znieruchomiał w połowie drogi przez grań wydmy, z

ramionami wyciągniętymi w dół usuwiska. Krew zakrzepła mu w strupach na plecach, na ramionach i nogach. Łaty żółtoszarego piachu przylgnęły do ran. Z wolna wciągnął ręce pod siebie, odepchnąwszy się stanął na nogi i stał tak chwiejąc się. I nawet w tym prawie przypadkowym działaniu pozostał ślad dawnej precyzji ruchu.

— Jestem Liet — Kynes — powiedział, zwracając się do horyzontu, głosem, który był chrapliwą parodią mocy, jaką zwykł posiadać.

— Jestem planetologiem Jego Imperialnej Wysokości — wyszeptał — planetarnym ekologiem Arrakis. Jestem gospodarzem tej ziemi.

Przewrócił się padając bokiem na zaskorupiałą powierzchnię nawietrznego Stoku. Jego dłonie wpiły się bezsilnie w piasek.

Jestem gospodarzem tego piasku — pomyślał. Zdawał sobie sprawę, że znajduje się na poły w delirium, że powinien zagrzebać się w piasek, znaleźć chłodniejszą dolną warstwę i się nią okryć. Lecz ciągle czuł woń zjełczałych półsłodkich estrów złoża przyprawowego gdzieś pod tym piaskiem. Orientował się w niebezpieczeństwie związanym z tym faktem pewniej niż jakikolwiek inny Fremen. Skoro mógł wywąchać masę preprzyprawową, znaczyło to, że ciśnienie gazów głęboko pod piaskiem zbliżało się do granicy eksplozji. Musi uciekać z tego miejsca. Jego ręce czyniły słabe, drapiące ruchy na powierzchni wydmy. Myśl miał w głowie jasną, wyraźną: Prawdziwe bogactwo planety tkwi w jej krajobrazie, w naszym uczestnictwie w tym podstawowym źródle cywilizacji — uprawie roli. I pomyślał, jakie to dziwne, że jego umysł, długo skoncentrowany na jednym, nie może z tego toru wyskoczyć.

Harkonneńscy żołnierze pozostawili go tutaj bez wody i filtrfraka, z myślą, że padnie łupem czerwia, jeżeli nie załatwi tego pustynia. Uważali za zabawne zostawić go żywego, by umierał stopniowo w bezosobowych objęciach swojej planety. Harkonnenom zabijanie Fremenów zawsze sprawiało trudność — pomyślał. — My nie umieramy łatwo. Już powinienem być martwy… będę niebawem martwy… ale nie mogę przestać być ekologiem.

— Najszczytniejszą funkcją ekologii jest pojmowanie konsekwencji.

Głos wstrząsnął nim, ponieważ rozpoznał go i wiedział, że jego właściciel nie żyje. Należał ten głos do jego ojca, który przed nim był tu planetologiem — do jego dawno nieżyjącego ojca, zabitego podczas zawału w Basenie Plastikowym.

— Wpakowałeś się w niezły bigos, synu — powiedział ojciec. — Powinieneś znać konsekwencje próby udzielenia pomocy dziecku owego księcia.

Majaczę — pomyślał Kynes. Głos wydawał się dochodzić z prawa.

Szorując twarzą po piasku Kynes obejrzał się w tamtą stronę — nic poza obłą powierzchnią wydmy i diabłami upału tańczącymi na niej w pełnym żarze słońca.

— Im więcej życia wewnątrz systemu, tym więcej jest w nim życiodajnych zakątków — powiedział jego ojciec. I teraz głos dobiegał z lewa, z tyłu.

Dlaczego on bez przerwy chodzi w kółko? — zadał sobie pytanie Kynes. — Czy nie chce, abym go zobaczył?

— Życie zwiększa zdolność środowiska do podtrzymania życia — powiedział ojciec. — Życie sprawia, że niezbędne składniki odżywcze są łatwiej osiągalne. Ono wiąże więcej energii w systemie poprzez olbrzymie chemiczne wiązanie wzajemne organizmu z organizmem.

Dlaczego on bez przerwy ględzi na ten sam temat? — pomyślał Kynes. — Wiedziałem o tym, zanim skończyłem dziesięć lat.

Jastrzębie pustynne, ścierwojady jak większość dzikich stworzeń tej krainy, poczęły zataczać nad nim kręgi. Kynes zobaczył cień przesuwający się obok jego dłoni, wykręcił głowę jeszcze bardziej, byspojrzeć w górę. Ptaki tworzyły rozmazaną plamę na srebrnobłękitnym niebie — odległe cętki sadzy szybujące nad jego głową.

— Jesteśmy uniwersalistami — rzekł ojciec. — Nie da się przeprowadzić wyraźnych podziałów wśród problemów na skalę planety. Planetologia jest nauką przycinania i dopasowywania.

Co on stara się mi powiedzieć? — kombinował Kynes. — Czy jest jakaś konsekwencja, której nie umiałem przewidzieć? Jego policzek z powrotem opadł na gorący piasek i Kynes wyczuł zapach wypalonej skały pod gazami preprzyprawowymi. Z jakiegoś zakamarka logiki w jego mózgu ukształtowała się myśl: To są ptaki padlinożerne, te nade mną. Być może któryś z moich Fremenów zobaczy je i przyjdzie na zwiady.

— W pracy planetologa najważniejszym instrumentem są istoty ludzkie — powiedział ojciec. — Musisz szerzyć wiedzę ekologiczną wśród ludzi. Właśnie po to stworzyłem tę całkowicie nową postać symboliki ekologicznej.

Powtarza rzeczy, o których mówił mi, kiedy byłem dzieckiem — myślał Kynes. Zaczął odczuwać chłód, ale tamten logiczny zakamarek jego umysłu powiedział mu: Słońce masz nad głową. Bez filtrfraka jest ci gorąco; słońce wypala wilgoć z twego ciała.

Palce jego bezradnie wbiły się w piasek. Nie mogli zostawić mi choćby filtrfraka!

— Obecność wilgoci w powietrzu zapobiega zbyt gwałtownemu parowaniu żywych organizmów — powiedział ojciec.

Dlaczego w kółko powtarza oczywistości? — zdumiał się Kynes. Myślał o wilgoci w powietrzu, o trawie pokrywającej tę wydmę… o

otwartej wodzie gdzieś poniżej, długi qanat spływający wodą przez pustynię i drzewa wzdłuż jego brzegów… Nigdy nie widział wody pod gołym niebem, z wyjątkiem ilustracji. Otwarta woda… nawadniająca woda… pięć tysięcy metrów sześciennych wody poszło na irygację jednego hektara ziemi w jednym okresie wegetacji, przypomniał sobie…

— Naszym pierwszym celem — powiedział jego ojciec — są łąki na Arrakis. Zaczniemy od zmutowanych, ubogich traw. Kiedy już zamkniemy wilgoć w łąkach, przejdziemy do tworzenia lasów na wyżynach, następnie paru otwartych zbiorników wodnych — na początek niewielkich i położonych na szlakach głównych wiatrów, na których to szlakach rozstawimy osadniki wilgoci przy oddzielaczach wiatru, aby odebrać to, co kradnie wiatr. Musimy stworzyć prawdziwy sirocco — wilgotny wiatr — ale i tak zawsze pozostaniemy skazani na oddzielacze wiatru.

Jak zwykle mnie poucza — myślał Kynes. — Dlaczego on się nie zamknie? Czy nie widzi, że ja umieram?

— I ty umrzesz do tego wszystkiego — powiedział ojciec — jeśli nie zleziesz z tego bąbla, który w tej właśnie chwili tworzy się głęboko pod tobą. On tam jest i ty o tym wiesz. Czujesz gazy preprzyprawowe. Wiesz, że maleńkie stworzyciele zaczynają spuszczać część swej wody do masy.

Myśl o owej wodzie pod nim doprowadzała Kynesa do szaleństwa. Wyobraził ją sobie teraz — wodę odizolowaną w warstwie porowatej skały przez skórzaste półroślinne, półzwierzęce maleńkie stworzyciele — i wąziutką szczelinę, przez którą zimny strumień najprzeźroczystszej, czystej, płynnej, kojącej wody płynął do…

Masa preprzyprawowa!

Wciągnął woń zjełczałej słodyczy. Zapach wokół niego był dużo bardziej odurzający niż poprzednio. Kynes dźwignął się na kolana, usłyszał ptasi pisk, pośpieszny łopot skrzydeł. To jest przyprawowa pustynia — pomyślał. — Fremeni muszą być gdzieś w pobliżu, nawet w dziennym słońcu. Z pewnością widzą ptaki i przyjdą, by to sprawdzić.

— Przemierzanie krajobrazu jest życiową koniecznością zwierząt — powiedział ojciec. — Ludy koczownicze podlegają tej samej konieczności. Kierunki wędrówek odpowiadają fizycznym potrzebom — wody, żywności, minerałów. Musimy kontrolować te wędrówki, podporządkować je naszym celom.

— Zamknij się staruszku — wymamrotał Kynes.

— Musimy zrobić na Arrakis coś, czego nigdy przedtem nie podejmowano dla całej planety — powiedział ojciec. — Musimy użyć człowieka jak twórczej siły ekologicznej, wprowadzić przystosowane naziemne formyżycia — tu roślina, tam zwierzę, ówdzie człowiek —

dla zmiany obiegu wody, dla ukształtowania krajobrazu nowego typu.

— Zamknij się! — wychrypiał Kynes.

— To kierunki wędrówek dały nam pierwszą poszlakę co do związku czerwia z przyprawą — powiedział ojciec.

Czerw — pomyślał Kynes z przypływem nadziei. — Stworzyciel na pewno przybędzie, kiedy ten bąbel wybuchnie. Ale nie mam haków. Jak można dosiąść ogromnego stworzyciela bez haków? Czuł, że frustracja podkopuje tę odrobinę siły, jaka mu pozostała. Woda tak blisko, zaledwie ze sto metrów pod nim; nieuniknione przybycie czerwia, a nie ma jak pochwycić go na powierzchni i wykorzystać. Kynes przewrócił się na twarz w piasek, wracając do płytkiego zagłębienia wyżłobionego, własnymi ruchami. Piasek sparzył go w policzek, lecz było to odległe doznanie.

— Arrakańskie środowisko naturalnie rozwinęło się w ewolucyjny model rodzimych form życia — powiedział ojciec. — Dziwne bardzo, że tak mało ludzi kiedykolwiek oderwało oczy od przyprawy chociaż na tyle, by zdumieć się prawie idealną równowagą azotu — tlenu i dwutlenku węgla, zachowaną tutaj mimo braku wielkich obszarów szaty roślinnej. Widzi się tu i rozumie sferę energetyczną tej planety, proces nieubłagany, ale mimo wszystko proces. Jest w nim luka? Zatem coś tę lukę wypełnia. Nauka składa się z tak wielu rzeczy, które wydają się oczywiste, gdy się je wyjaśnia. Ja wiedziałem o istnieniu tu maleńkiego stworzyciela długo przedtem, nim go w ogóle ujrzałem.

— Proszę, przestań mnie pouczać, ojcze — wyszeptał Kynes.

Jastrząb wylądował koło jego wyciągniętej na piasku ręki. Kynes widział, jak składa skrzydła i przekrzywia głowę, aby popatrzeć na niego. Zebrawszy siły zakrakał na ptaka. Jastrząb odskoczył na dwa kroki, ale przypatrywał mu się nadal.

— Do tej pory ludzie i ich dzieła były chorobą powierzchni planet — powiedział ojciec. — Natura dąży do usunięcia choroby, do usunięcia jej bądź odizolowania, do włączenia w system na swój własny sposób.

Jastrząb spuścił głowę, rozpostarł i złożył skrzydła. Przeniósł uwagę na wyciągniętą rękę. Kynes odkrył, że nie ma już siły na niego zakrakać.

— Historyczny system wzajemnej grabieży i wyniszczania kończy się tu na Arrakis — powiedział ojciec. — Nie można w nieskończoność kraść wszystkiego, czego się potrzebuje, nie zwracając uwagi na tych, co przyjdą po nas. Fizyczne właściwości planety wpisują się w jej historię gospodarczą i polityczną. Mamy tę historię pod nosem, więc nasza droga jest oczywista.

Nigdy nie umiał powstrzymać się od pouczania — myślał Kynes. — Pouczał, pouczał, pouczał — zawsze pouczał. Jastrząb skoczył bliżej, na krok od wyciągniętej ręki Kynesa, przekrzywił głowę

najpierw w jedną stronę, potem w drugą, przyglądając się uważnie odkrytemu ciału.

— Arrakis jest planetą jednego plonu — powiedział ojciec. — Jeden plon. Tyle co na utrzymanie klasy panującej, która żyje tak, jak żyły te klasy we wszystkich epokach, podczas gdy półczłowiecza rzesza półniewolników egzystuje na śmietniku. Te rzesze i ten śmietnik są w centrum naszej uwagi. Są wiele bardziej wartościowe, niż kiedykolwiek podejrzewano.

— Skreślam cię, ojcze — wyszeptał Kynes. — Odejdź.

I pomyślał: z pewnością muszą być niedaleko jacyś Fremeni. Nie mogą nie zobaczyć ptaków nade mną. Przyjdą na zwiady chociażby tylko dla sprawdzenia; czy jest tutaj dostępna wilgoć.

— Rzesze Arrakis dowiedzą się, że nasza praca ma spowodować, by ziemia spłynęła wodą — powiedział ojciec. — Większość oczywiście będzie miała jedynie na poły mistyczne wyobrażenie, jak zamierzamy tego dokonać. Wielu, nie rozumiejąc zagadnienia nieprzekraczalnego stosunku mas, może nawet sądzić, że sprowadzimy wodę z jakiejś innej obfitującej w nią planety. Pozwólmy im myśleć, co im sieżywnie podoba, dopóki wierzą w nas.

Zaraz wstanę i powiem mu, co ja o nim myślę — zbuntował się Kynes. — Stoi tam i peroruje, zamiast przyjść mi z pomocą. Ptak wykonał następny podskok ku wyciągniętej ręce Kynesa. Jeszcze dwa jastrzębie spłynęły do niego w dół na piasek.

— Religia i prawo wśród naszych rzesz muszą być jednym — powiedział ojciec. — Akt nieposłuszeństwa musi być grzechem i sprowadzać kary religijne. To przyniesie podwójną korzyść umacniając zarówno posłuszeństwo, jak i dzielność. Musimy, rozumiesz, polegać nie tyle na dzielności jednostek, co na dzielności całej populacji.

Gdzie jest moja populacja teraz, kiedy jej najbardziej potrzebuję? — pomyślał Kynes. Włożył wszystkie swoje siły w przesunięcie ręki o centymetr w stronę najbliższego jastrzębia. Ptak odskoczył do tyłu pomiędzy swoich kompanów i wszystkie znieruchomiały gotowe do odlotu.

— Nasz program otrzyma status zjawiska naturalnego — powiedział ojciec. — Życie planety to rozległa, ciasno spleciona tkanina. Na początku będziemy manipulować czysto fizycznymi siłami, które określązmiany botaniczne i zoologiczne. Jednak po okrzepnięciu te nasze przeobrażenia staną się kontrolującymi czynnikami swoich własnych oddziaływań i z nimi też będziemy musieli sobie radzić. Nie zapominaj jednak, że wystarczy nam kontrola nad trzema procentami powierzchni ekwienergetycznej — zaledwie trzema procentami — by przestawić całą strukturę na nasz samowystarczalny system.

Dlaczego ty mi nie pomagasz? — głowił się Kynes. — Zawsze to samo: kiedy cię najbardziej potrzebuję, wtedy zawodzisz. Chciał obrócić głowę, zdeprymować starego spojrzeniem. Mięśnie nie usłuchały woli. Kynes zobaczył, że jastrząb się porusza. Zbliżał się do ręki kroczek po kroczku, podczas gdy jego bracia oczekiwali z udawaną obojętnością. Jastrząb przystanął zaledwie na skok od ręki. Niezmierna jasność wypełniła umysł Kynesa. Zupełnie niespodziewanie ujrzał potencjalne możliwości Arrakis, jakich jego ojciec nigdy nie dostrzegał. Możliwości tej innej drogi rozsadzały go.

— Nie ma potworniejszego nieszczęścia dla twoich ludzi niż popaść w ręce Bohatera — rzekł jego ojciec.

Czyta w moich myślach! — zaniepokoił się Kynes. — W porządku… co mi tam. Już poszły wiadomości do mych siczowych osad. Nic ich nie zatrzyma. Jeśli syn księcia żyje, oni go odnajdą i obronią, jak rozkazałem. Być może odrzucą tę kobietę, jego matkę, ale uratują chłopca.

Jastrząb zrobił jeden skok, który przywiódł go na odległość dziobnięcia do ręki Kynesa. Przekrzywił łeb badając nieruchawe ciało. Wyprostował się nagle, wyciągnął szyję do góry i z wrzaskiem wzbił się w powietrze ponad głową człowieka i odpłynął wirażem, a za nim jego towarzysze.

Przyszli! — pomyślał Kynes. — Moi Fremeni znaleźli mnie!

Po czym usłyszał dudnienie piasku.

Każdy Fremen znał ten dźwięk i potrafił go natychmiast odróżnić od odgłosów czerwi czy wszelkiego życia pustyni. Gdzieś pod nim masa preprzyprawowa zakumulowała dosyć wody i substancji organicznej maleńkich stworzycieli, osiągając krytyczny stan burzliwego wzrostu. Gigantyczny bąbel dwutlenku węgla formował się w głębi piasku i dźwigał do góry w olbrzymim wybuchu z lejowatym wirem pyłu w samym środku. Wymieni to, co uformowało się w głębi piasku, na to, co było na powierzchni. W górze kołowały jastrzębie wywrzaskując swoje rozczarowanie. Wiedziały, co się dzieje. Każde pustynne stworzenie by wiedziało. A ja jestem pustynnym stworzeniem — pomyślał Kynes. — Widzisz mnie, ojcze? Jestem pustynnym stworzeniem.

Poczuł, jak bąbel go unosi, pęka i porywa w lej pyłowego wiru, by ściągnąć na dół w chłodną ciemność. Na chwilę uczucie chłodu i wilgoci przyniosło błogosławioną ulgę. I wtedy, gdy własna planeta zabijała go, Kynesowi przyszło na myśl, że ojciec i cała reszta uczonych mylą się, że najtrwalszymi zasadami wszechświata są przypadek i błąd. Nawet jastrzębie potrafiły zdać sobie sprawę z tych faktów.

Proroctwo, a widzenie przyszłości —

jak tu je sprawdzić nie biorąc pod uwagę pytań bez odpowiedzi? Rozważcie: ile jest faktycznej znajomości przyszłego „kształtu fali” (jak Muad’Dib zwykł określać swą proroczą wizję), a na ile prorok kształtuje przyszłość, by pasowała do proroctwa? Co z wewnętrzną harmonią aktu proroctwa? Czy prorok widzi przyszłość, czy jej słaby punkt, usterkę albo pęknięte miejsce, w którym słowem bądź decyzją może ją roztrzaskać tak, jak szlifierz diamentów rozłupuje swój klejnot uderzeniem noża?

„Medytacje intymne o Muad’Dibie” księżniczki Irulan

„Zabierz ich wodę” — powiedział mężczyzna wołający z głębi nocy. I Paul poskromiwszy swój strach zerknął na matkę. Jego wyćwiczone oko dostrzegło w niej gotowość do walki — mięśnie spokojne, jak napięta cięciwa łuku.

— Szkoda byłoby, gdybyśmy musieli zgładzić was na poczekaniu — powiedział z góry głos.

Ten, co przemówił do nas pierwszy — myślała Jessika. — Jest ich przynajmniej dwóch, jeden z naszej prawej strony, drugi z lewej.

— Cignoro hrobosa sukares hin mange la pchagavas doi me kamavas na beslas lele pal hrobas!

Tak wołał przez basen ten z prawa. Dla Paula słowa stanowiły szwargot, lecz dzięki wyszkoleniu Bene Gesserit Jessika rozpoznała mowę. To był Chakobsa, jeden z pradawnych języków łowieckich, i człowiek nad nimi mówił, że być może to są ci obcy, których oni szukają. W nagłej ciszy, jaka nastąpiła po wołaniu, krągła jak obręcz twarz drugiego księżyca przetoczyła się po skałach z drugiej strony basenu, jasna i badawcza, koloru lekko pobłękitniałej kości. Odgłosy przedzierania się doleciały spośród skał. Nad nimi z obu stron… ciemność poruszała się w blasku księżyca. Wiele sylwetek przepłynęło wśród cieni. Cały oddział! — Paul poczuł nagłe ukłucie. Przed Jessiką stanął wysoki mężczyzna w cętkowanym burnusie. Owiewkę ust odsunął na bok, by mówić wyraźniej, ukazując jednocześnie gęstą brodę w bocznym świetle księżyca, lecz jego twarz i oczy kryły się w głębi kaptura.

— Co my tu mamy, dżina czy człowieka? — zapytał.

Słysząc szczerą kpinę w jego głosie Jessika pozwoliła sobie na iskierkę nadziei. To był głos władzy, głos, który pierwszy przyprawił

ich o wstrząs, zaczepiając pośród nocy.

— Założę się, że człowieka — powiedział mężczyzna.

Jessika wyczuła raczej, niż zobaczyła, nóż ukryty w fałdzie jego szaty. Na chwilę obudził się w niej gorzki żal, że ani ona, ani Paul nie mają tarcz.

— Czy potraficie w dodatku mówić? — zapytał mężczyzna.

W swojej postawie i głosie Jessika zawarła całą królewską wyniosłość, jaką dysponowała. Czas naglił, ale za mało słyszała tego człowieka i nie była pewna, czy zdążyła zarejestrować jego osobowość i słabości.

— Kto nachodzi nas po nocy jak rzezimieszki? — zapytała.

Głowa w kapturze burnusa zdradziła gwałtownym skrętem napięcie, które ustępując powoli wiele ujawniało. Ten człowiek panował nad sobą doskonale.

Paul odsunął się od matki, żeby rozdzielić ich na dwa cele i dać każdemu większe pole działania. Zakapturzona głowa obróciła się za ruchem Paula wystawiając trójkąt twarzy na światło księżyca. Jessika dostrzegła ostry nos i połyskliwe oko — ciemne, jakże ciemne oko, bez śladu białka — krzaczastą brew i zadarty wąs.

— Obiecujące szczenię — powiedział mężczyzna. — Jeśli uciekacie przed Harkonnenami, być może jesteście mile widziani wśród nas. Jak to jest, chłopcze?

Paul błyskawicznie zważył w myśli szansę: Podstęp? Prawda? Trzeba było decydować natychmiast.

— Dlaczego mielibyście mile widzieć uciekinierów? — zapytał.

— Dziecko, które myśli i mówi jak mężczyzna — powiedział wysoki Fremen. — Tak… no więc odpowiadając na twoje pytanie, mój młody wali, ja jestem tym, który nie płaci fai, daniny wody Harkonnenom. Dlatego właśnie mógłbym mile widzieć uciekiniera.

On wie, kim jesteśmy — pomyślał Paul. — W jego głosie jest przemilczenie.

— Jestem Stilgar, Fremen — rzekł wysoki mężczyzna. — Czy to ci rozwiązuje język, chłopcze?

Ten sam głos — myślał Paul. I przypomniał sobie naradę i tego człowieka poszukującego ciała zamordowanego przez Harkonnenów przyjaciela.

— Znam cię, Stilgarze — powiedział Paul. — Byłem z ojcem na zebraniu Rady, kiedy przybyłeś po wodę swojego przyjaciela. Zabrałeś ze sobą człowieka mojego ojca, Duncana Idaho, w ramach wymiany przyjaciół.

— A Idaho, porzuciwszy nas, wrócił do swego księcia — rzekł Stilgar.

Jessika usłyszała cień urazy w jego tonie i przygotowała się na atak. Głos ze skał nad nimi zawołał:

— Marnujemy tu czas, Stil.

— To jest syn księcia — warknął Stilgar. — Z pewnością jest tym, kogo Liet kazał nam szukać.

— Ale… to dziecko, Stil.

— Książę był mężczyzną, a ten chłopak użył dudnika — powiedział Stilgar. — Dokonał odważnego przejścia na szlaku shai — huluda.

I Jessika usłyszała, jak wyłącza ją ze swoich myśli. Czy wydał już wyrok?

— Nie mamy czasu na próbę — zaprotestował głos na górze.

— Jednak on może być Lisanem al — Gaibem — powiedział Stilgar.

On czeka na omen! — pomyślała Jessika.

— Lecz ta kobieta… — zauważył głos.

Jessika sprężyła się na nowo. W tamtym głosie była śmierć.

— Tak, ta kobieta — powtórzył Stilgar. — I jej woda.

— Znasz prawo — powiedział głos ze skał. — Ci, co nie mogą żyć z pustynią…

— Cicho bądź — rzekł Stilgar. — Czasy się zmieniają.

— Czy Liet tak rozkazał? — zapytał głos ze skał.

— Słyszałeś głos cielago, Dżamis — powiedział Stilgar. — Dlaczego mnie popędzasz?

Cielago? — pomyślała Jessika. Klucz językowy otwierał szerokie pole rozumienia: to był język Ilm i Fiqh, a cielago znaczyło „nietoperz", mały ssak latający. „Głos cielago": otrzymali dystransową wiadomość, by poszukiwać Paula i jej.

— Ja tylko przypominam ci o twoich obowiązkach, przyjacielu Stilgarze — powiedział głos nad ich głowami.

— Moim obowiązkiem jest siła plemienia — rzekł Stilgar. — To mój jedyny obowiązek. Nikt nie musi mi o nim przypominać. To dziecko — mężczyzna mnie interesuje. Ma pełne ciało. Żył dużą ilością wody. Żył z dala od ojca Słońca. Nie ma spojrzenia ibada. A jednak nie mówi ani nie zachowuje się jak cherlak z panwi. Tak samo jak jego ojciec. Jak to możliwe?

— Nie możemy tu sterczeć spierając się przez całą noc — powiedział głos ze skał. — Jeśli patrol…

— Drugi raz nie powiem ci, abyś był cicho, Dżamis — rzekł Stilgar.

Człowiek nad nimi umilkł, lecz Jessika usłyszała, jak ruszył się z miejsca, susem przesadził wąwóz i przedziera się w dół na dno basenu w lewo od nich.

— Głos cielago dał nam do zrozumienia, że uratowanie was obojga będzie z korzyścią dla nas — powiedział Stilgar. — Widzę szansę dla tego silnego chłopca — mężczyzny: jest młody i może się

nauczyć. Ale co z tobą, kobieto? — Wlepił spojrzenie w Jessikę.

Mam już zarejestrowany jego głos i archetyp — myślała Jessika. — Mogłabym podporządkować go sobie Słowem, ale to silny człowiek… znacznie więcej dla nas wart w pełni władz umysłowych i z pełną swobodą działania. Zobaczymy.

— Jestem matką tego chłopca — powiedziała. — Jego siła, którą podziwiasz, jest w części wynikiem mego szkolenia.

— Siła kobiety potrafi być niezmierna — rzekł Stilgar. — Z pewnością taka jest w Matce Wielebnej. Czy jesteś Matką Wielebną?

Jessika odpowiedziała szczerze, odkładając chwilowo na bok implikacje tego pytania.

— Nie.

— Czy jesteś wyszkolona w zwyczajach pustyni?

— Nie, ale wielu uznaje moje szkolenie za cenne.

— My sami oceniamy wartość — powiedział Stilgar.

— Każdy człowiek ma prawo do własnych sądów.

— Dobrze, że o tym wiesz — rzekł Stilgar. — My nie mamy tutaj czasu na wypróbowanie ciebie, kobieto. Rozumiesz? Nie chcemy, aby twój cień nas prześladował. Zabiorę chłopca — mężczyznę, twego syna, który otrzyma moją rękojmię i azyl w moim plemieniu. Ale co do ciebie, kobieto… rozumiesz, że nic ma w tym nic osobistego? To jest prawo, istislah, dla dobra ogółu. Czy to nie wystarcza?

Paul postąpił pół kroku w przód.

— O czym ty mówisz?

Stilgar rzucił okiem na Paula, ale nie odwracał uwagi od Jessiki.

— O ile nie zostałaś gorzej wyszkolona od dziecka, by żyć tutaj, mogłabyś ściągnąć zgubę na całe plemię. Takie jest prawo i nie możemy dźwigać bezużytecznych…

Jessika rozpoczęła akcję chyleniem się ku ziemi, zwodniczym omdleniem. Aż się prosiło, by to właśnie zrobił miękki zaświatowiec, zaś rzeczy oczywiste opóźniają reakcję przeciwnika. Interpretacja rzeczy znanej zabiera chwilę czasu, kiedy rzecz ta demaskuje się jako nie znana.

Zmieniła kierunek w chwili, gdy opadło mu prawe ramię, naprowadzając nóż w fałdach burnusa na jej nową pozycję. Obrót, śmignięcie ramion Jessiki, zawirowanie splątanych szat — i przywarła plecami do skały z unieruchomionym mężczyzną przed sobą.

Na pierwsze drgnienie matki Paul cofnął się dwa kroki. Skoczył w cień, gdy zaatakowała. Na drodze wyrósł mu brodaty mężczyzna, pochylony lekko w wypadzie, z jakimś śmiercionośnym narzędziem w ręku. Wyprostowaną dłonią Paul dziobnął go krótko pod mostek, zszedł bokiem z linii i rąbnął w podstawę czaszki, pozbawiając mężczyznę oręża, kiedy padał. A w następnej chwili był już pod osłoną cienia i piął się na górę wśród skał, zatknąwszy zdobyczną broń za

szarfę na brzuchu. Rozpoznał ją mimo obcego kształtu — broń miotająca — i to powiedziało mu wiele o tym miejscu jeszcze raz potwierdzając, że tarcze nie były tutaj w użyciu.

Skupią się na matce i tamtym Facecie, Stilgarze. Ona sobie z nim poradzi. Ja muszę zająć dogodne, bezpieczne stanowisko, z którego zaszachuję ich i stworzę jej okazję do ucieczki. Na skałach wokoło zajęczały pociski. Jeden musnął jego szatę. Przecisnąwszy się za występ skalny Paul znalazł się w wąskim, pionowym kominie i centymetr po centymetrze zaczął posuwać się w górę, plecami zaparty o jedną ścianę, nogami o drugą, powoli, najciszej, jak umiał. Doleciało do niego echo ryku Stilgara:

— Wracać, wszy glistogłowe! Skręci mi kark, jak się nie cofniecie!

Głos z głębi basenu oznajmił:

— Chłopiec zwiał. Stil. Co mamy…

— Jasne, że zwiał, wy piaskomózgie… Uuuch! Spokojnie, kobieto!

— Każ im przerwać polowanie na mojego syna — powiedziała Jessika.

— Przerwali, kobieto. Uciekł, tak jak chciałaś. Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś magiczną kobietą i wojownikiem?

— Każ swoim ludziom odstąpić — powiedziała Jessika. — Każ im wyjść do basenu, gdzie mogę ich mieć na oku… i lepiej, żebyś myślał, że wiem ilu ich jest.

To delikatny moment — rozważała — ale jeśli ten człowiek jest tak bystry, na jakiego mi wygląda, mamy szansę.

Paul wywindował się na górę, znalazł wąską półkę, na której mógł się oprzeć i obserwować basen. Doszedł go głos Stilgara:

— A jeśli odmówię? Jak możesz… u-u-uch! Daj spokój! Nie chcemy cię skrzywdzić teraz. Wielkie bogi! Skoro potrafisz to zrobić z najsilniejszym z nas, jesteś warta dziesięć razy więcej, niż waży twoja woda.

Kolej na próbę rozumu — pomyślała Jessika.

— Dopytujecie się o Lisana al — Gaiba — powiedziała.

— Może jesteście tą rodziną z legendy — lecz ja uwierzę w to po przeprowadzeniu próby. Teraz wiem jedynie, że przybyłaś tutaj z tym głupim księciem, który… Ajiiii! Kobieto! Nie dbam o to, czy mnie zabijesz! Był godzien szacunku i dzielny, ale głupio zrobił stając naprzeciw harkonneńskiej pięści!

Cisza. Po chwili Jessika powiedziała:

— On nie miał wyboru, ale nie będziemy się o to spierać. Powiedz no temu swojemu człowiekowi, co się kryje za krzakiem, żeby we mnie nie celował, bo uwolnię wszechświat od twojej osoby, a potem zabiorę się do niego.

— Ty tam! — ryknął Stilgar. — Posłuchaj jej!

— Ale, Stil…

— Posłuchaj jej, robacza gębo, pełzające, piaskomózgie gówno jaszczurcze! Posłuchaj, bo sam jej pomogę wypruć ci flaki! Nie widzisz, co ta kobieta jest warta?

Mężczyzna pod krzakiem wychylił się ze swego częściowego ukrycia, opuścił broń.

— Usłuchał — powiedział Stilgar.

— Teraz — rzekła Jessika — wytłumacz jasno swoim ludziom, czego spodziewasz się po mnie. Nie chcę, aby jakaś młoda, gorąca głowa zrobiła nierozważny krok.

— Kiedy się zakradamy do wsi i miast, musimy maskować swoje pochodzenie, mieszać się z ludźmi panwi i graben — powiedział Stilgar. — Nie nosimy żadnej broni, jako że krysnóż jest święty. Lecz ty, kobieto, ty posiadasz magiczne umiejętności walki. My jedynie słyszeliśmy o nich i wielu w nie powątpiewało, ale nikt nie może wątpić w to, co widzi na własne oczy. Pokonałaś uzbrojonego Fremena. To jest broń, jakiej żadna rewizja nie wykryje.

Trafiające do przekonania słowa Stilgara wywołały poruszenie.

— A jeżeli zgodzę się nauczyć was tego… magicznego sposobu?

— Masz moją rękojmię, tak jak i twój syn.

— Skąd mamy mieć pewność, że dotrzymasz obietnicy?

W głosie Stilgara osłabł nieco ton logicznej argumentacji, pobrzmiewała w nim zjadliwość.

— Tutaj, kobieto, nie mamy papieru na umowy. Nie składamy obietnic wieczorem, by je łamać o świcie. Słowo człowieka wystarcza za umowę. Jako przywódca mych ludzi związałem ich ślubem swojego słowa. Naucz nas tego magicznego sposobu, a zyskasz wśród nas azyl na tak długo, dopóki zechcesz. Twoja woda zmiesza się z naszą wodą.

— Możesz mówić w imieniu wszystkich Fremenów? — zapytała Jessika.

— Z czasem może tak się stanie. Na razie tylko mój brat, Liet, przemawia w imieniu wszystkich Fremenów. Tutaj obiecuję jedynie dotrzymać tajemnicy. Moi ludzie nie powiedzą o was żadnej innej siczy. Harkonnenowie wrócili na Diunę w wielkiej liczbie, a twój książę nie żyje. Mówi się, że oboje zginęliście w matce samumie. Łowca nie tropi martwej zwierzyny.

W tym jest bezpieczeństwo — myślała Jessika. — Ale ci ludzie mają dobrą łączność i można przekazać wiadomość.

— Domyślam się, że wyznaczono na nas nagrodę — powiedziała.

Stilgar milczał, a ona wyczuwając przemieszczenia jego mięśni pod swoimi dłońmi mogła niemal dojrzeć myśli ważące się w jego głowie. Niebawem powiedział:

— Powtórzę to raz jeszcze: ślubowałem słowem plemienia. Moi ludzie znają teraz waszą wartość dla nas. Co mogliby nam dać

Harkonnenowie? Wolność? Ha! Nie. Tyś jest taqwa, warta dla nas więcej niż cała przyprawa harkonneńskiego skarbca.

— Zatem wyuczę was mego sposobu walki — rzekła Jessika i poczuła niezamierzoną rytualną moc swoich własnych słów.

— Uwolnisz mnie więc?

— Niech tak będzie — powiedziała Jessika.

Zwolniła chwyt i odstąpiła na bok na oczach całej gromady zebranej w basenie. To jest próba mashad — myślała. — Jednak Paul musi ich poznać, nawet za cenę mojego życia.

W pełnej wyczekiwania ciszy Paul wysunął się dalej, centymetr po centymetrze, by lepiej widzieć, gdzie stoi matka. W drodze usłyszał nad sobą zdyszany oddech, wstrzymany nagle, a w pionowej szczelinie skalnej wyczuł nikły cień, który rysował się na tle gwiazd. Z basenu wzbił się głos Stilgara:

— Hej ty, na górze! Przestań ganiać chłopca. On zaraz zejdzie.

Z ciemności nad Paulem dobiegi młodzieńczy głos chłopca lub dziewczyny:

— Ale Stil, on nie może być daleko ode…

— Powiedziałem, daj mu spokój, Chani! Ty jaszczurczy pomiocie!

Z góry doleciał szept przekleństwa i mamrotanie:

— Żeby mnie nazwać pomiotem jaszczurczym!

Lecz cień ustąpił z pola widzenia. Paul na nowo poświęcił uwagę basenowi, wyłowił szary cień Stilgara, poruszający się obok matki.

— Podejdźcie wszyscy. — zawołał Stilgar i zwrócił się do Jessiki:

— A teraz ja zapytam, skąd my możemy mieć pewność, że ty dotrzymasz swojej części umowy? To ty żyłaś wśród papierów i pustych umów, i różnych takich…

— My z Bene Gesserit nie łamiemy ślubów częściej od was — powiedziała Jessika.

Zapadła przedłużająca się cisza, po czym zwielokrotniony szept:

— Czarownica Bene Gesserit!

Dobywszy spod szarfy broń Paul wycelował w Stilgara, ale i on, i jego towarzysz trwali w bezruchu wpatrując się w Jessikę.

— To jest legenda — powiedział któryś.

— Mówiono, że Szadout Mapes przekazała taki meldunek o tobie — powiedział Stilgar. — Lecz tak ważną sprawę trzeba poddać próbie. Jeżeli jesteś ową Bene Gesserit z legendy, której syn powiedzie nas do raju… — Wzruszył ramionami.

Jessika westchnęła. Więc nasza Missionaria Protectiva rozmieściła nawet religijne zawory bezpieczeństwa po tym całym zapleczu piekła — pomyślała. — No cóż… pomogą, a o to przecież chodziło.

Powiedziała:

— Prorokini, która przyniosła wam tę legendę, przekazała ją pod rygorem karama i idżaz, cudu i niepowtarzalności proroctwa, wiem o

tym. Czy chcecie znaki?

Nozdrza mu się rozszerzyły w blasku księżyca.

— Nie możemy tu marudzić rytuałami — wyszeptał.

Jessika przypomniała sobie mapę, którą Kynes jej pokazał w trakcie ustalania dróg ucieczki na wypadek niebezpieczeństwa. Jakże dawno temu to się wydawało. Było na niej miejsce nazwane „sicz Tabr", zaś obok ręczny dopisek: „Stilgar".

— Może kiedy dotrzemy do siczy Tabr — powiedziała.

To objawienie wstrząsnęło nim, a Jessika pomyślała: Gdyby on tylko znał stosowane przez nas sztuczki! Dobra musiała być tamta Bene Gesserit z Missionaria Protectiva. Ci Fremeni są pięknie przygotowani, by w nas uwierzyć.

Stilgar przestąpił z nogi na nogę.

— Musimy już ruszać.

Skinęła głową dając mu do zrozumienia, że wyruszają za jej przyzwoleniem. Spojrzał w górę urwiska, prawie dokładnie na skalną półkę, gdzie przyczaił się Paul.

— Hej tam, chłopcze, możesz już zejść.

Zwróciwszy się ponownie do Jessiki powiedział sumitującym tonem:

— Twój syn narobił niewiarygodnie dużo hałasu podczas wspinaczki. Musi się wiele nauczyć, żeby nie ściągnąć niebezpieczeństwa na nas wszystkich, ale jest młody.

— Niewątpliwie musimy się wiele nauczyć od ciebie — rzekła Jessika. — Tymczasem najlepiej będzie, jak się zajmiecie swoim towarzyszem opodal. Mój hałaśliwy syn trochę niedelikatnie go rozbroił.

Stilgar obrócił się, aż załopotał jego kaptur.

— Gdzie?

— Za tamtymi krzakami.

Stilgar dotknął dwóch swoich ludzi.

— Zajmijcie się tym.

Zerknął na kompanów, identyfikując ich.

— Brakuje Dżamisa. — Obrócił się do Jessiki. — Nawet twoje szczenię zna magiczną sztukę.

— I racz zauważyć, że mój syn nie ruszył się nawet z góry na twoje żądanie.

Dwaj wysłani przez Stilgara ludzie wrócili podtrzymując pod ręce trzeciego, który słaniał się i dyszał. Stilgar na moment zatrzymał na nich wzrok i powrócił spojrzeniem do Jessiki.

— Syn słucha tylko twoich rozkazów, hę? Doskonale. Wie, co to dyscyplina.

— Paul, możesz już zejść — powiedziała Jessika.

Paul podniósł się i wynurzył w blasku księżyca ponad kryjącą go

szczeliną, wsuwając broń z powrotem za szarfę. Gdy się odwrócił, spośród skał stała mu na spotkanie postać druga sylwetka. W księżycowej poświacie i odblasku od szarego kamienia Paul dostrzegł drobną postać we fremeńskich szatach, ocienioną twarz wyzierającą nań z kaptura i muszkę znajomej broni miotającej wymierzona w siebie z fałd jej burnusa.

— Jestem Chani, córka Lieta. — Głos był melodyjny, na pół wypełniony śmiechem. — Nie pozwoliłabym ci skrzywdzić moich towarzyszy — powiedziała.

Paul przełknął ślinę. Postać naprzeciwko niego obróciła się w smudze księżyca i ujrzał twarz elfa i czarne otchłanie oczu. Ta twarz, te rysy znane z nieprzeliczonych najwcześniejszych wizji przyszłości, wprawiły go w osłupienie. Przypomniał sobie gniewną pychę, z jaką kiedyś opisał tę twarz ze snu, mówiąc Matce Wielebnej Gaius Helen Mohiam: „Spotkam ją". I oto ma przed sobą tę twarz, ale nigdy nie w spotkaniu wyśnionym.

— Byłeś hałaśliwy jak rozjuszony shai-hulud — powiedziała. — I wybrałeś najtrudniejszą drogę w górę. Chodź za mną: pokażę ci łatwiejszą drogę na dół.

Wygramolił się z rozpadliny idąc za jej powiewającą szatą przez powywracany krajobraz. Poruszała się jak gazela, tańcząca ponad skałami. Paul czuł gorący rumieniec na twarzy, był wdzięczny za ciemności. Ta dziewczyna! Była jak muśnięcie przeznaczenia. Czuł się porwany przez przypływ, zestrojony z falą, która unosiła wszystkie siły jego ducha.

Wkrótce stanęli wśród Fremenów na dnie basenu. Jessika uśmiechała się niewyraźnie do Paula, lecz przemówiła do Stilgara:

— To będzie korzystna wymiana nauk. Mam nadzieję, że ty i twoi ludzie nie gniewacie się za naszą gwałtowność. Wydawała się… konieczna. Byłeś o krok od… popełnienia omyłki.

— Uratować kogoś przed omyłką to podarować mu raj — powiedział Stilgar.

Dotknął warg lewą ręką, drugą wyjął broń zza szarfy Paula i rzucił ją kompanowi.

— Będziesz miał swój własny pistolet maula, chłopcze, jak na niego zasłużysz.

Paul otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zawahał się przypominając sobie naukę matki: „Początki to chwile bardzo delikatne".

— Mój syn nie potrzebuje innej broni, niż posiada — powiedziała Jessika.

Wpatrywała się w Stilgara zmuszając go do przemyślenia, w jaki sposób Paul zdobył pistolet. Stilgar zerknął na mężczyznę pokonanego przez Paula. Dżamis stał na uboczu ze spuszczoną głową, ciężko

dysząc.

— Trudna z ciebie kobieta — rzekł Stilgar.

Wyciągnął lewą rękę do któregoś z towarzyszy i pstryknął palcami.

— *Kushti bakka te.*

Znowu Chakobsa — pomyślała Jessika. Zagadnięty wcisnął Stilgarowi w dłoń dwa prostąkoty gazy. Silgar przeciągnął je między palcami, zamocował jeden wokół szyi Jessiki pod kapturem, drugim w ten sam sposób owiązał szyję Paula.

— Teraz nosicie chustę *bakka* — powiedział. — Gdyby coś nas rozdzieliło, wszyscy poznają, że należycie do siczy Stilgara. O broni pogadamy innym razem.

Następnie oddalił się i zajął przeglądem ludzi w swoim oddziale, przekazując jednemu z nich fremsak Paula do niesienia.

Bakka — myślała Jessika, rozpoznawszy religijny termin: płaczek bakka. Wyczuła, że symbolika chust jednoczy tę gromadę. — Dlaczego opłakiwanie miałoby ich jednoczyć?

Stilgar podszedł do młodej dziewczyny, która narobiła kłopotu Paulowi.

— Chani, weź dziecko — mężczyznę pod swoje skrzydła. Trzymaj go z dala od kłopotów.

Chani dotknęła ramienia Paula.

— Chodź ze mną, dziecko — mężczyzno.

Paul stłumił gniew w swoim głosie.

— Na imię mam Paul. Byłoby dobrze, gdybyś…

— Damy ci imię, młodziku — powiedział Stilgar — w porze mihna, podczas próby aql.

Próby rozumu — przełożyła Jessika. Gwałtowna potrzeba wywyższenia Paula przeważyła w niej wszystkie inne względy.

— Mój syn przeszedł próbę gom dżabbar! — warknęła.

Po ciszy, jaka zapadła, zrozumiała, że poruszyła ich do głębi.

— Wiele o sobie nawzajem nie wiemy — rzekł Stilgar. — Ale za długo marudzimy. Słońce dnia nie może nas złapać w otwartym terenie.

Zbliżył się do mężczyzny, którego Paul powalił.

— Możesz dalej iść, Dżamis?

Odpowiedziało mu mruknięcie.

— Zaskoczył mnie, ot co. To był przypadek. Mogę iść dalej.

— Nie przypadek — powiedział Stilgar. — Czynię cię odpowiedzialnym wraz z Chani za bezpieczeństwo tego chłopaka, Dżamis. Ci ludzie otrzymali moją rękojmię.

Jessika przyjrzała się bacznie typowi imieniem Dżamis. To jego głos spierał się w skałach ze Stilgarem. W jego głosie była śmierć. I Stilgar uznał za stosowne dodatkowo podkreślić swój rozkaz przy tym

Dżamisie.

Stilgar rzucił badawczym spojrzeniem po oddziale, gestem przywołał dwóch ludzi.

— Larus i Faruk, zacieracie nasze ślady. Dopilnujcie, by znaku po nas nie zostało. Wzmożona czujność: mamy ze sobą dwoje bez przeszkolenia.

Odwrócił się z ręką wzniesioną i wymierzoną w drugi brzeg basenu.

— W kolumnie marszowej, z ubezpieczeniem na skrzydłach, naprzód marsz. Jessika wyrównała krok ze Stilgarem, rachując głowy. Fremenów było czterdziestu — z nią i z Paulem czterdzieści dwie osoby. Maszerują jak kompania wojska — pomyślała — nawet ta dziewczyna, Chani.

Paul zajął miejsce w szyku za Chani. Za pomniał o zranionej ambicji — że zaskoczyła go dziewczyna. W pamięci pozostała mu teraz tylko szorstka uwaga matki: „Mój syn przeszedł próbę gom dżabbar!" Uczuł mrowienie dłoni od zapamiętanego bólu.

— Patrz, gdzie idziesz — syknęła Chani. — Nie ocieraj się o krzak, bo zostawisz nitkę znaczącą nasz przemarsz.

Paul przełknął, pokiwał głową.

Jessika nastawiła ucha na odgłosy maszerującego oddziału, słysząc kroki własne i Paula, i ogarnął ją podziw dla sposobu poruszania się Fremenów. Przekraczali basen w czterdziestu ludzi wśród naturalnych jedynie odgłosów w tym otoczeniu — jak żagle widmowych feluk ich szaty przemykały w gąszczu cieni. Ich portem przeznaczenia była sicz Tabr — sicz Stilgara. Ważyła to słowo w myśli: sicz. Słowo Chakobsa, dawnego języka łowieckiego, które przetrwało niezliczone stulecia. Sicz, miejsce zbiórki w przypadku zagrożenia. Głębokie implikacje tego słowa i języka zaczynały docierać do niej dopiero teraz, gdy ustąpiło napięcie.

— Idziemy dobrym marszem — powiedział Stilgar. — Z pomocą shai — huluda osiągniemy Grotę Grani przed świtem.

Jessika kiwnęła głową, oszczędzając sił, czując przeraźliwe zmęczenie powściągane siłą woli i… przyznała to… siłą wynikającą z upojenia. Jej myśl skupiła się na wartości tego oddziału, na tym, co ujawnia fremeńska kultura. Oni wszyscy — myślała — cała kultura oparta na wojskowej dyscyplinie. Cóż za bezcenna rzecz dla księcia banity!

> *Fremeni w najdoskonalszym stopniu posiedli ową cechę, przez starożytnych zwaną „spannungsbogen" — która jest samonarzuconą zwłoką między pożądaniem jakiejś rzeczy a aktem*

wyciągnięcia po nią ręki.

z „Mądrości: Muad'Diba"
księżniczki Irulan

Przed świtem podeszli pod Grotę Grani, posuwając się szczeliną w ścianie basenu tak wąską, że musieli obracać się bokiem, by ją pokonać. Jessika zobaczyła, jak Stilgar — odprawia w wątłym brzasku wartowników, przez chwilę obserwowała początki ich wspinaczki na urwisko. Paul zadarł głowę do góry oglądając materię tej planety rozciętą w poprzek wąską szczeliną, która otwierała się ku szarobłękitnemu niebu. Chani pociągnęła go za płaszcz, nagląc do pośpiechu.

— Szybko — powiedziała. — To już świt.

— A ci ludzie wspinający się nad nami, dokąd oni idą? — szepnął Paul.

— Pierwsza warta dzienna — odparła. — Śpiesz się!

Straż wystawiona na zewnątrz — pomyślał Paul. — Mądrze. Ale jeszcze mądrzej byłoby podchodzić do tego miejsca w oddzielnych grupach. Mniejsze niebezpieczeństwo utraty całego oddziału. Zatrzymał się przy tej myśli uświadamiając sobie, że jest to myślenie partyzanckie, i wspomniał obawę swego ojca, że Atrydzi mogą zostać rodem partyzanckim.

— Szybciej — szepnęła Chani.

Paul przyśpieszył kroku, słysząc szelest szat z tyłu. I przypomniały mu się słowa siratu z maleńkiej Biblii P. K. Yuego: „Raj z lewa, piekło z prawa, z tyłu anioł śmierci". Powtórzył sobie ten wers w duchu.

Skręcili za róg, gdzie przejście było szersze. Stilgar stał z boku, kierując ich do niskiego tunelu, odchodzącego pod kątem prostym.

— Prędzej — syknął. — Jeśli zaskoczy nas tu patrol, będziemy jak króliki w klatce.

Paul schylił się w wejściu i doszedł za Chani do groty oświetlonej gdzieś z przodu wątłym, szarym światłem.

— Możesz się wyprostować — powiedziała.

Wyprostował się, przyjrzał, gdzie jest: głęboka i rozległa przestrzeń pod kopulastym sklepieniem, które łukiem wznosiło się odrobinę tylko wyżej niż na wysokość wyciągniętej ręki człowieka. Oddział rozchodził się w głąb cienia. Paul dostrzegł nadchodzącą matkę, zobaczył, jak przygląda się ich towarzyszom, i zauważył, jak jej się nie udało wsiąknąć we Fremenów, mimo że strój nosiła identyczny. A sposób, w jaki się poruszała… ileż w tym było poczucia siły i gracji.

— Przysiądź gdzieś i nigdzie się nie plącz, dzieciaku — mężczyzno — powiedziała Chani. — Tu masz jedzenie.

Wcisnęła mu w ręce dwa kawałki czegoś zawiniętego w liście. Zionęły przyprawą.

Za Jessiką pojawił się Stilgar, przywołując do porządku grupkę z lewej strony.

— Wstawcie grodź na miejsce i pilnujcie zabezpieczenia wilgoci. Lemil — zwrócił się do innego Fremena — daj kule świętojańskie.

Wziął Jessikę za ramię.

— Chcę ci coś pokazać, magiczna kobieto.

Powiódł ją za skalny zakręt w stronę źródła światła. Jessika zobaczyła, że stoi na szerokim progu drugiego wylotu jaskini wysoko w ścianie urwiska, wyglądając na drugi basen szerokości około dziesięciu do dwunastu kilometrów. Basen osłaniały wysokie skalne ściany. Pod nimi rozsiane były rzadko kępy roślinności. Kiedy Jessika spoglądała na szary w przedświcie basen, ponad przeciwległym obwałowaniem podniosło się słońce, oświetlając beżowy krajobraz skał i piasku. Zauważyła, że słońce Arrakis jakby wyskakiwało nad horyzont. To dlatego, że chcemy je powstrzymać — pomyślała. — Noc jest bezpieczniejsza niż dzień. Ogarnęła ją tęsknota za tęczą w tym miejscu, które nigdy nie ujrzy deszczu. — Muszę powściągnąć takie tęsknoty — myślała. — Są słabością. A ja nie mogę już sobie pozwolić na słabość.

Stilgar, ścisnąwszy ją za ramię, wskazał drugi skraj basenu.

— Tam! Tam widzisz prawdziwych Druzów.

Patrząc za jego wyciągniętą ręką, dostrzegła krzątaninę: ludzie na dnie basenu umykali przed światłem dnia pod osłonę cienia przeciwległego muru urwiska. Mimo odległości ich ruchy były wyraźnie widoczne w czystym powietrzu. Wyjęła spod szaty lornetkę, ogniskując soczewki olejowe na odległych ludziach. Chusty trzepotały jak wzlatujące wielobarwne motyle.

— To jest dom — powiedział Stilgar. — Będziemy tam tej nocy. Wpatrywał się w daleki brzeg basenu szarpiąc wąsa. — Moi ludzie zostali przy pracy na dworze. To znaczy, że w pobliżu nie ma patroli. Dam im później znać, by przygotowali się na nasz powrót.

— Twoi ludzie są bardzo zdyscyplinowani — powiedziała Jessiką.

Opuściła lornetkę, zauważyła, że Stilgar patrzy na przyrząd.

— Oni są posłuszni nakazowi przetrwania plemienia — rzekł. — Na tej samej zasadzie wybieramy spośród nas przywódcę. Przywódcą jest ten, kto jest najsilniejszy, kto przynosi wodę i zapewnia bezpieczeństwo.

Podniósł spojrzenie ku jej twarzy. Odwzajemniając mu spojrzenie zauważyła oczy bez białka, zabarwione oczodoły, oszronione pyłem brodę i wąsy, linię wodowodu wijącego się w dół od nozdrzy w głąb filtrfraka.

— Czy pokonując cię wystawiłam na szwank twój autorytet

przywódcy, Stilgarze? — zapytała.

— Nie wyzwałaś mnie — powiedział.

— Ważne jest aby przywódca zachował respekt oddziału.

— Nie ma nikogo wśród tych piaskowych wszy, z kim bym sobie nie poradził — powiedział Stilgar. — Kiedy pokonałaś mnie, pokonałaś nas wszystkich. Teraz oni liczą, że nauczą się od ciebie… magicznego sposobu… a niektórzy pragną się przekonać, czy zamierzasz mnie wyzwać.

Ważyła ukryte znaczenia.

— Pokonać cię w oficjalnej walce?

Kiwnął głową.

— Odradzam ci to bo oni nie pójdą za tobą. Ty nie jesteś z piasków. Przekonali się podczas naszego nocnego przemarszu.

— Praktyczni ludzie — powiedziała.

— To prawda. — Zerknął na basen. — Wiemy, czego nam trzeba. Ale niewielu myśli wnikliwie teraz, tak blisko domu. Przebywaliśmy zbyt długo w pustyni, organizując dostawę naszego kontyngentu przyprawy z wolnymi kupcami dla tej przeklętej Gildii… oby ich gęby na wieki pozostały czarne.

Jessiką zastygła w trakcie odwracania się od Stilgara i obejrzała się patrząc mu prosto w twarz.

— Gildia? Co ma Gildia do waszej przyprawy?

— Tak Liet każe — powiedział Stilgar. — Znamy powód, ale to nie łagodzi naszego rozgoryczenia. Przekupujemy Gildię monstrualną opłatą w przyprawie, by zachować nasze niebiosa czyste od satelitów i innych takich, żeby nikt nie wyszpiegował, co robimy z powierzchnią Arrakis.

Ważyła słowa przypominając sobie, co powiedział Paul — że to musi być powód, dla którego arrakańskie niebiosa są wolne od satelitów.

— A co takiego robicie z powierzchnią Arrakis, czego nie chcecie pokazać?

— Zamieniamy ją… powoli, lecz nieodwracalnie… czynimy ją zdatną dla ludzkiego życia. Nasze pokolenie nie skorzysta z tego, ani nasze dzieci, ani dzieci naszych dzieci, ani wnuki ich dzieci… ale tak kiedyś będzie. — Utkwił zamglony wzrok gdzieś ponad basenem. — Otwarte wody i wysokie, zielone rośliny, i ludzie spacerujący swobodnie bez filtraków.

Więc to takie jest marzenie naszego Lieta — Kynesa — myślała. Powiedziała zaś:

— Łapówki są niebezpieczne: lubią rosnąć.

— Rosną — odparł — ale długa droga jest bezpieczną drogą.

Jessika odwróciła się, wyjrzała na basen, próbując zobaczyć go takim, jakim widział go Stilgar w swej wyobraźni. Dostrzegła jedynie

poszarzałą, musztardową plamę odległych skał i nagły, mglisty ruch nieba ponad urwiskami.

— Aaaach — westchnął Stilgar.

Z początku wydawało jej się, że to musi być pojazd patrolowy, po czym zdała sobie sprawę, że widzi miraż — inny krajobraz unoszący się nad piaskiem pustyni i daleką rozkołysaną zieleń, a w połowie odległości długiego czerwia sunącego po powierzchni z czymś, co wyglądało na fremeńskie szarfy łopocące na jego grzbiecie. Miraż rozpłynął się.

— Przyjemniej byłoby jechać — powiedział Stilgar — lecz nie możemy wpuścić stworzyciela do tego basenu. Musimy zatem znowu maszerować tej nocy.

„Stworzyciel", tak nazywają czerwia — pomyślała. Oceniała doniosłość jego słów, oświadczenia, że nie mogą wpuścić czerwia do tego basenu. Wiedziała, co zobaczyła w mirażu — Fremenów jadących na grzbiecie gigantycznego czerwia. Z ogromnym wysiłkiem zapanował nad szokiem, jakiego doznała uświadamiając sobie konsekwencje tego faktu.

— Musimy wracać do reszty — powiedział Stilgar. — Inaczej moi ludzie zaczną podejrzewać, że z tobą flirtuję. Niektórzy już mi zazdroszczą, że moje ręce poznały twoje wdzięki, kiedy zmagaliśmy się tej nocy w basenie Tuono.

— Dość tego — ucięła Jessiką.

— Bez obrazy — głos Stilgara był łagodny. — Mamy zwyczaj nie brać kobiet wbrew ich woli… a z tobą… — Wzruszył ramionami. — … ten zwyczaj nawet nie jest potrzebny.

— Nie zapominaj, że byłam księżną panią — powiedziała już spokojniejszym głosem.

— Jak sobie życzysz — rzekł — Czas zagrodzić ten wylot, by zarządzić rozluźnienie dyscypliny filtrfrakowej. Moim ludziom należy się dziś wygodny odpoczynek. Ich rodziny nie dadzą im jutro odpocząć.

Zamilkli oboje. Jessika wpatrzyła się w słoneczny blask. Słyszała to, co słyszała w głosie Stilgaia — nie wypowiedzianą propozycję czegoś więcej niż jego „rękojma". Czy potrzebna mu żona? Zrozumiała, że może zająć to miejsce przy nim. Byłby to jeden ze sposobów zakończenia konfliktu o plemienne przywództwo — kobieta ręka w rękę z mężczyzną. Ale co wtedy z Paulem? Któż mógł wiedzieć, jakie tu jeszcze obowiązywały prawa rodzicielskie! I co z nie narodzoną córką, którą od paru tygodni nosi w łonie? Co z córką jej zmarłego księcia! I dopuściła do swejświadomości pełne znaczenie tego drugiego rosnącego w niej dziecka, przyjrzała się własnym motywom dopuszczenia do poczęcia. Znała je — uległa owemu bezmiernemu popędowi wspólnemu wszystkim stworzeniom w obliczu

śmierci, instynktownemu szukaniu nieśmiertelności w potomstwie Zwyciężył instynkt zachowania gatunku.

Jessika zerknęła na Stilgara, widziała, że wpatruje się w nią wyczekująco. Córka urodzona tutaj przez kobietę poślubioną komuś takiemu jak ten mężczyzna. Jaki byłby los takiej córki — zadała sobie pytanie. — Czy on próbowałby ograniczać konieczności nieuniknionego przeznaczenia Bene Gesserit?

Stilgar odchrząknął i wkrótce okazał, że rozumie niektóre z pytań sformułowanych w jej umyśle.

— Dla przywódcy ważne jest to, co go czyni przywódcą. Potrzeby jego ludzi. Jeśli nauczysz mnie swoich umiejętności, może przyjść dzień, kiedy jedno z nas będzie musiało wyzwać drugie. Ja wolałbym jakąś alternatywę.

— Czy istnieje kilka alternatyw? — zapytała.

— Sajjadina — powiedział — Nasza Matka Wielebna jest stara.

Ich Matka Wielebna! — Zanim zdążyła to wybadać, powiedział:

— Ja bynajmniej nie proponuję ci siebie za partnera. Nie ma w tym nic osobistego, jako że jesteś piękna i pociągająca. Lecz gdybyś została jedną z mych kobiet, to niektórzy młodzi ludzie mogliby uznać, że zbytnio zabiegam o przyjemności ciała, a za mało troszczę się o potrzeby plemienia. Oni nawet teraz podsłuchują nas i śledzą.

Ten mężczyzna waży swoje decyzje, pamięta o konsekwencjach — pomyślała.

— Są wśród moich młodych ludzi tacy, którzy osiągnęli wiek szaleństwa ducha — rzekł — Trzeba ich obłaskawić w tym okresie. Nie mogę im dawać poważniejszych powodów do rzucenia mi wyzwania. Ponieważ musiałbym ich okaleczać i zabijać. To nie jest właściwa droga dla przywódcy, jeśli można tego uniknąć z honorem. Posiadanie przywódcy, widzisz, jest to jedna z tych rzeczy, którymi różnią się ludzie od motłochu. Przywódca utrzymuje równość jednostek. Gdy jednostek jest zbyt mało, wtedy ludzie stają się znów motłochem.

Jego słowa, głębia ich świadomości, fakt, że mówił tyle do niej, co do tych, którzy ukradkiem podsłuchiwali, zmusiły ją do tego, żeby zrewidować swoją opinię o nim. Człowiek wielkiego formatu — pomyślała. — Gdzież on się nauczył takiej wewnętrznej równowagi?

— Prawo określające naszą formę wyboru przywódcy jest sprawiedliwym prawem — powiedział Stilgar. — Ale z tego nie wynika, że ludzie zawsze potrzebują sprawiedliwości. To, czego naprawdę teraz potrzebujemy, to czas na rozwój i rozkwit, na powiększenie terenu naszego działania.

Jakie jest jego pochodzenie? — zastanawiała się. — Skąd się bierze taka rasa?

— Stilgar, nie doceniałam cię — powiedziała.

— Tak podejrzewałem — rzekł.

— Najwyraźniej nie docenialiśmy się wzajemnie.

— Chciałbym, żeby to się skończyło — rzekł. — Chciałbym przyjaźni z tobą… i zaufania. Chciałbym tego wzajemnego szacunku, jaki wyrasta z serca, bez zbliżenia seksualnego.

— Rozumiem — powiedziała.

— Czy ufasz mi?

— Słyszę w tobie szczerość.

— Wśród nas — powiedział — Sajjadiny, nie będąc formalnymi przywódczyniami, zajmują szczególnie zaszczytną pozycję. One nauczają. Podtrzymują ducha bożego tutaj. — Dotknął swej piersi.

Teraz muszę wysondować tę tajemnicę Matki Wielebnej — pomyślała.

— Mówiłeś o waszej Matce Wielebnej… i słyszałam słowa o legendzie i proroctwie.

— Mówi się, że Bene Gesserit i jej potomek dzierżą klucz do naszej przyszłości — rzekł.

— Wierzysz, że ja nią jestem?

Obserwując jego twarz, myślała: młoda trzcina tak łatwo umiera. Początek jest porą wielkiego niebezpieczeństwa.

— My nie wiemy — powiedział.

Kiwnęła głową. Jest człowiekiem honoru — pomyślała. — Oczekuje ode mnie znaku, ale nie pomoże losowi zdradzając mi ten znak. Jessika odwiodła głowę, zapatrzyła się na basen w dole, na złotawe cienie, na purpurowe cienie, na drżenie powietrza z drobinami pyłu u wylotu ich jaskini. Jej umysł wypełniła nagle kocia ostrożność. Znała żargon Missionana Piotectiva, wiedziała, jak dostosować techniki legendy, lęki i nadzieje do swych nagłych potrzeb, ale wyczuwała tutaj dzikie zmiany… jakby ktoś przebywając wśród tych Fremenów skorzystał z legendy Missionara Protectiva.

Stilgar odchrząknął. Widziała, że się niecierpliwi, że dzień się kończy i ludzie czekają na zagrodzenie tego wylotu. Przyszedł czas na śmiałość z jej strony i zdała sobie sprawę, czego jej trzeba: pewnej dar al-hikman, pewnej szkoły przekładu, która by dała jej…

— Adab — szepnęła.

Poczuła jakby koziołkowanie swego umysłu. Zareagowała na to przyśpieszonym biciem serca. W całym szkoleniu Bene Gesserit nie istniało nic, co by miało taki sygnał rozpoznawczy. To mogła być tylko adab, władcza pamięć, która spada na człowieka sama z siebie. Poddała się jej, pozwalając płynąć słowom.

— *Ibn qirtaiba* — powiedziała — aż po miejsce, gdzie pył się kończy.

Wyciągnęła rękę spod szaty, widząc, jak Stilgarowi rozszerzają się oczy. Słyszała w tyle szelest szat.

— Widzę… Fremena nad księgą przypowieści — powiedziała uroczystym tonem — Czyta przed obliczem al-Lat, słońca, które on ujarzmia i któremu urąga. Czyta przed obliczem Sądu Sadus, a oto jego słowa:

Moje wrogi są jak zżarte igły traw,
które stały na drodze wichury.
Nie zoczyłeś, co sprawił nasz Pan?
On wysłał plagę pomiędzy tych,
Którzy knuli przeciw nam.
Są jako ptaki gnane przez łowcę.
Ich knowania jako strzały jadu
Z wszystkich wyplute ust.

Przeszło ją drżenie. Opuściła rękę. Z wnętrza groty odpowiedziało jej responsorium wyszeptane przez wiele głosów.

— Ich dzieła legły zburzone.

— Twe serce ogarnia boży płomień — dopowiedziała.

Teraz wszystko się toczy właściwym torem — przeszło jej przez myśl.

— Gorejący ogień boży — nadeszło responsorium.

— Twoje wrogi runą — powiedziała.

— *Bi-lal kaifa* — odpowiedzieli.

W nagłej ciszy Stilgar pokłonił się przed nią.

— Sajjadina — powiedział — Jeśli shai-hulud dopuści, możesz jeszcze przebyć głębię ducha i zostać Matką Wielebną.

Przebyć głębię ducha — pomyślała — Dziwny sposób na wyrażenie tego. Ale pasuje do żargonu bardzo dobrze. I zaznała cynicznej goryczy pop tym, co zrobiła. Nasza Missionaria Protectiva rzadko zawodzi. Przygotowano nam miejsce w tym pustkowiu. Modlitwa As-Salat wyciosała nam kryjówkę. Teraz… muszę grać rolę Aulii, Przyjaciółki Boga… Sajjadiny dla włóczęgów, których tak silnie urobiła wróżba naszej Bene Gesserit, że nawet swą najwyższą kapłankę zwą Matką Wielebną.

Paul stał przy Chani pośród cieni wewnętrznej komory. Ciągle czuł smak kęsa, którym go nakarmiła — mięso ptaka i ziarno zlepione przyprawowym miodem i owinięte w liść. Jedząc to uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie miał w ustach przyprawiowej esencji tak silnie skoncentrowanej i wtedy przeżył moment strachu. Wiedział, co ta esencja mogła w nim wywołać — „przyprawiową przemianę", która popchnęłaby jego umysł ku wiecznej świadomości.

— *Bi-la kaifa* — wyszeptała Chani.

Spojrzał na nią, dostrzegając trwogę, z jaką Fremeni wydawali się przyjmować słowa jego matki. Jedynie mężczyzna zwany Dżamisem

sprawiał wrażenie, że nie bierze udziału w ceremonii; trzymał się na uboczu z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

— *Duy yakha hin mange* — szepnęła Chani. — *Duy punra hin mange*. Mam dwoje oczu. Mam dwie stopy.

Chani wpatrzyła się w Paula z wyrazem zadziwienia. Paul zaczerpnął głęboko tchu próbując uśmierzyć burzę w duszy. Słowa matki nakładały się na działanie esencji przyprawowej i Paul czuł, jak jej głos wznosi się i opada w nim niczym buchające płomienie. W trakcie tego wszystkiego odnajdywał w niej ostrze cynizmu — znał ją tak dobrze! — lecz nic nie mogło powstrzymać tego czegoś, co rozpoczęło się od kęsa pożywienia.

Straszne przeznaczenie.

Wyczuwał je, ową świadomość rasy, przed którą nie było dla niego ucieczki. Niosła wyostrzoną jasność, dopływ danych, zimną przytomność umysłu. Osunął się na podłogę, siadł oparty plecami o skałę, poddając się jej. Świadomość rozpłynęła się bezczasową warstwą, gdzie mógł przepatrywać czas, gdzie wyczuwał ścieżki możliwości, przyszłe wiatry… minione wiatry: jednooka wizja przyszłości, jednooka wizja teraźniejszości i jednooka wizja przeszłości — wszystko łączyło się w okularową wizję, pozwalając mu widzieć, jak czas staje się przestrzenią. Groziło mu niebezpieczeństwo, miał wrażenie prześcignięcia samego siebie i musiał trzymać się swego poczucia teraźniejszości, kiedy ogarniał umysłem rzeczywistość w krzywym zwierciadle, trwającą chwilę, wieczną konsolidację tego, co jest nieskończone, z tym, co było. Uzmysławiając sobie teraźniejszość, po raz pierwszy odczuł bezmierną jednostajność przepływu czasu, wszędzie mąconą zmiennymi prądami, fałami, bałwanami i przeciwbałwanami, jak przybój pod urwistym brzegiem. To pozwoliło mu na nowo zrozumieć swoje widzenie przyszłości i w tym również ujrzał źródło ślepego czasu, źródło błędu, a wtedy dopadł go lęk. Zdał sobie sprawę, że wizja przyszłości była iluminacją, mieszczącą w sobie granice tego, co odsłania — źródłem dokładności i istotnego błędu jednocześnie. Wmieszało się tutaj coś w rodzaju zasady nieoznaczoności Heisenberga — wydatek energii na zobaczenie tego, co się widzi, deformuje to, co się widzi.

A widział splot współzależności czasowych w obrębie tej groty, kipiel możliwości tutaj ześrodkowanych, w której najdrobniejsze działanie — mrugnięcie powieki, nieopatrzne słowo, przesunięcie ziarenek piasku — obraca gigantyczną dźwignię przez cały poznany wszechświat. Zobaczył przelew krwi z wynikiem zależnym od tak wielu zmiennych, że jego najmniejszy ruch powodował rozległe przesunięcia w strukturze modelu.

Pod wpływem tej wizji zapragnął zastygnąć w bezruchu, tyle że to również było działanie brzemienne w skutki. Niezliczone ciągi

przyczynowo — skutkowe rozchodziły się z tej jaskini, a na drodze większości z nich widział swoje własne martwe ciało broczące krwią z otwartej nożem rany.

Mój ojciec Padyszach Imperator miał siedemdziesiąt dwa lata, jednakże wyglądał najwyżej na trzydzieści pięć w roku, w którym nakreślił śmierć księcia Leto i oddał z powrotem Arrakis Harkonnenom. Rzadko pokazywał się publicznie inaczej, jak w mundurze sardaukara i w czarnym hełmie bursega z imperialnym złotym lwem. Mundur stanowił jawne przypomnienie, w czym leży jego siła. Nie zawsze był tak buńczuczny jednakowoż. Kiedy chciał, potrafił promieniować wdziękiem i szczerością, lecz zastanawiałam się często w tych późniejszych dniach, czy było w nim cokolwiek takiego, jakim się wydawało. Teraz myślę, że był człowiekiem nieustannie walczącym o wyrwanie się za pręty niewidzialnej klatki. Nie wolno wam zapominać, że był imperatorem, ojcem i głową dynastii, której początki ginęły w pomroce dziejów. Lecz my odmówiłyśmy mu legalnego syna. Czy nie jest to najstraszliwsza klęska, jaką kiedykolwiek poniósł władca? Matka moja okalała posłuszeństwo siostrom przełożonym w tym, w czym lady Jessika była nieposłuszna. Która z nich była silniejsza? Historia odpowiedziała już na to pytanie.

z „W domu mojego ojca" pióra księżniczki Irulan

Jessika przebudziła się w ciemnościach jaskini wyczuwając dokoła krzątaninę Fremenów, wdychając kwaśny zapach filtrfraków. Wewnętrzne poczucie czasu mówiło jej, że na dworze wkrótce zapadnie noc, ale czerń zalegała grotę osłoniętą od pustyni plastikowymi kapturami, zatrzymującymi wilgoć ich ciał w tej

zamkniętej przestrzeni. Uprzytomniła sobie, że w stanie krańcowego wyczerpania przespała się snem sprawiedliwego, wystawiając tym własną, podświadomą ocenę osobistego bezpieczeństwa w oddziale Stligara. Przekręciwszy się na hamaku sporządzonym z burnusa zwiesiła stopy do skalnej podłogi i wsunęła je w buty pustynne. Nie mogę zapomnieć o zasznurowaniu butów na ukos, by wzmóc pompujące działanie filtrfraka — pomyślała. — O tylu rzeczach muszę pamiętać. W ustach miała jeszcze smak rannego posiłku — kęs ptasiego mięsa i ziarno zlepione przyprawowym miodem w liściu — i zrozumiała, że czas wykorzystywano tutaj na opak: noc była dniem przeznaczonym na działanie, zaś dzień nocą przeznaczoną na spoczynek. Noc ukrywa; noc jest najbezpieczniejsza. Zdjęła płaszcz z hamakowych kołków w skalnej alkowie, pogmerawszy chwilę znalazła, gdzie jest góra, i wśliznęła się w szatę. Jak przekazać stąd wiadomość do Bene Gesserit? — zastanawiała się. Muszą się dowiedzieć o dwóch zbłąkanych owcach w arrakańskiej ostoi. Dalej w głębi jaskini zapłonęły kule świętojańskie. Zobaczyła kręcących się tam ludzi, wśród nich Paula, już ubranego, z odrzuconym do tyłu kapturem, odsłaniającym orli profil Atrydów. Zachowywał się bardzo dziwnie przed udaniem się na spoczynek, pomyślała. Nieobecny duchem. Jak ktoś wyrwany śmierci, nieświadomy w pełni swego powrotu do życia, z na pół przymkniętymi oczami, szklistymi od zapatrzenia w głąb siebie. To jej przypomniało jego ostrzeżenie przed nasyconą przyprawą dietą — „uzależniającą". Czy daje ona efekty uboczne? — zastanawiała się. — Powiedział, że to ma coś wspólnego z jego zdolnością jasnowidzenia, ale dziwnie milczał na temat tego, co widzi.

W prawo od niej wyszedł z cienia Stilgar i zbliżył się do grupy pod kulami świętojańskimi. Zauważyła, jak przebiera palcami w brodzie, dostrzegła czujność w jego postawie skradającego się kota. Nagły strach przeszył Jessikę, kiedy pochwyciła zmysłami napięcie widoczne w ludziach zebranych wokół Paula — ich sztywne ruchy, ceremonialne postawy.

— Oni mają moją rękojmię! — zahuczał Stilgar.

Jessika rozpoznała mężczyznę, przed którym stał Stilgar — Dżamis! Z kolei dostrzegła wściekłość Dżamisa, widoczną w sztywnych ramionach. Dżamis, mężczyzna pokonany przez Paula! — przemknęło jej przez głowę.

— Znasz prawo, Stilgar — powiedział Dżamis.

— Kto zna je lepiej? — zapytał Stilgar i usłyszała w jego głosie ton pojednania, próbę załagodzenia czegoś.

— Ja wybieram walkę — warknął Dżamis.

Jessika pośpieszyła przez grotę, schwyciła Stilgara za ramię.

— O co chodzi? — spytała.

— O prawo amtal — powiedział Stilgar. — Dżamis domaga się prawa sprawdzenia twej roli w legendzie.

— Ona musi mieć orędownika — rzekł Dżamis. — Jeśli jej orędownik zwycięży, to ona jest prawdziwa. Ale powiedziane zostało… — rozejrzał się po ciżbie ludzi — …że nie będzie potrzebowała ona orędownika z Fremenów, co może jedynie oznaczać, że przywiedzie swego własnego.

On mówi o pojedynku z Paulem! — pomyślała Jessika. Puściła ramię Stilgara, wystąpiła pół kroku do przodu.

— Zawsze jestem orędowniczką siebie samej — powiedziała. — Znaczenie tego jest zupełnie jasne dla…

— Nie będziesz nam narzucać swoich zwyczajów — warknął Dżamis. — Nie będziesz, dopóki nie zobaczę lepszego dowodu. Stilgar mógł ci powiedzieć, co masz mówić dziś rano. Mógł wypełnić twój umysł po brzegi lulanką i ty ją nam wyszczebiotałaś, licząc, że utorujesz sobie fałszywą drogę wśród nas.

Mogłabym go załatwić — myślała Jessika — ale kto wie, czy to nie kłóci się ze sposobem, w jaki oni interpretują legendę. I po raz drugi zdumiała się rozmiarami wypaczenia dzieła Missionaria Protectiva na tej planecie.

Stilgar popatrzył na Jessikę i odezwał się cicho, ale takim głosem, by doszedł do krańców tłumu.

— Dżamis ma powody żywić urazę, Sajjadina. Twój syn go pokonał i…

— To był przypadek! — ryknął Dżamis. — W basenie Tuono działała siła nieczysta i zaraz to udowodnię!

— … i ja sam go pokonałem — ciągnął Stilgar. — On zamierza tym wyzwaniem tahaddi znowu dobrać się do mnie. Zbyt wiele brutalności jest w Dżamisie, by kiedykolwiek został dobrym przywódcą — zbyt wiele ghafla, szaleństwa. Usta swoje oddaje prawom, a serce, sarfa, odstępstwu. Nie, on nigdy nie zostanie dobrym przywódcą. Oszczędzałem go tak długo, bo przydaje się w walce jako takiej, ale kiedy ogarnia go ten krwawy amok, staje się niebezpieczny dla własnego plemienia.

— Stilgar-r-r-r! — ryknął Dżamis.

I Jessika przejrzała, co robi Stilgar — że próbuje rozwścieczyć Dżamisa, by przejąć wyzwanie od Paula. Stilgar stanął twarzą w twarz z Dżamisem i ponownie Jessika dosłyszała pojednawczą nutę w jego głosie.

— Dżamis, on jest zaledwie chłopcem. On jest…

— Ty sam nazwałeś go mężczyzną — powiedział Dżamis. — Jego matka twierdzi, że przeszedł przez gom dżabbar. Ma pełne ciało i nadmiar wody. Ci, co nieśli ich sakwę, mówią, że są w niej literjony wody. Literjony! A my ssiemy nasze kieszenie łowne, jak tylko pokaże

się choćby lśnienie rosy.

Stilgar spojrzał na Jessikę.

— Czy to prawda? Czy w waszej sakwie jest woda?

— Tak.

— Literjony wody?

— Dwa literjony.

— Jakie jest przeznaczenie tego bogactwa?

Bogactwa? — pomyślała. Potrząsnęła głową, wyczuwając oziębłość w jego głosie.

— Tam, gdzie się urodziłam woda leciała z nieba i płynęła przez ziemię szerokimi rzekami — powiedziała — Były tam oceany wody tak rozległe, że nie widziało się drugiego brzegu. Nie jestem przeszkolona w waszym reżimie wody. Nigdy przedtem nie musiałam o niej myśleć w ten sposób.

Dokoła rozległo się zdławione westchnienie.

— Woda leciała z nieba… płynęła przez ziemię.

— Czy wiedziałaś, że wśród nas znajdują się tacy, którzy w wypadku doznali uszkodzenia kieszeni łownej i będą w ciężkich tarapatach, nim osiągniemy cel tej nocy?

— Skąd miałam wiedzieć? — Jessika pokręciła głową — Jeśli są w potrzebie daj im wodę z naszej sakwy.

— Czy takie było przeznaczenie tego bogactwa?

— Przeznaczyłam je do ratowania życia — powiedziała.

— Przyjmujemy zatem twoje błogosławieństwo, Sajjadma.

— Nie przekupisz nas wodą — warknął Dżamis — Ani nie rozzłościsz mnie na siebie, Stilgar. Widzę, że starasz się mnie zmusić, abym ci rzucił wyzwanie, zanim udowodnię moje słowa.

Stilgai popatrzył Dżamisowi prosto w oczy.

— Czy jesteś zdecydowany wymusić tę walkę z dzieckiem, Dżamisie?

Głos jego był cichy, jadowity.

— Ona musi mieć orędownika.

— Nawet mimo tego, że ma moją rękojmię?

— Przywołuję prawa amtal — powiedział Dżamis — To mój przywilej.

Stilgar kiwnął głową.

— Zatem jeśli chłopiec cię nie wypatroszy, odpowiesz potem przed moim nożem.

— Nie możecie tego zrobić — powiedziała Jessika — Paul jest zaledwie…

— Nie wolno ci się mieszać, Sajjadina — rzekł Stilgar — Och, ja wiem, że dasz mi radę, a przeto dasz radę każdemu z nas, ale nie dasz rady nam wszystkim naraz. To musi nastąpić, to jest prawo amtal.

Jessika zamilkła, patrząc na niego w zielonym świetle kul

świętojańskich, na fanatyczną zawziętość, która zmieniła mu rysy twarzy. Przeniosła wzrok na Dżamisa i dojrzawszy wyraz głębokiej zadumy na jego czole pomyślała: Powinnam to była wcześniej zauważyć. On chorobliwie medytuje. Jest milczkiem, z tych, co zjadają się od środka. Powinnam się była tego spodziewać.

— Jeżeli skrzywdzisz mego syna — powiedziała — będziesz miał ze mną do czynienia. Wyzywam się już teraz. Potnę cię na takie kawałki…

— Matko.

Paul wysunął się do przodu, dotknął jej rękawa.

— Być może kiedy wytłumaczę Dżamisowi, w jaki sposób…

— Wytłumaczę! — powiedział Dżamis.

Paul zamilkł wpatrując się w niego. Nie czuł przed nim strachu. Ruchy Dżamisa wydawały się ociężałe, no i padł tak łatwo w ich nocnym starciu na piasku. Lecz Paul nadal wyczuwał kipiel współzależności w tej jaskini, nadal pamiętał prorocze wizje swego ciała z nożem w piersi. Tak niewiele było dlań dróg ucieczki w tej wizji.

— Sajjadina — powiedział Stilgar — musisz teraz odejść tam…

— Przestań nazywać ją Sajjadina — przerwał mu Dżamis — To się dopiero okaże. No i zna naszą modlitwę! I co z tego? U nas zna ją każde dziecko.

Dość tego gadania. — myślała Jessika — Mam klucz do niego. Mogłabym go porazić jednym słowem. — Poczuła rozterkę. — Nie mogę jednak zatrzymać ich wszystkich.

— Zatem odpowiesz przede mną — powiedziała, strojąc swój głos w zawiłej, kwilącej kadencji, urwanej gwałtownie.

Dżamis wlepił w nią oczy z widocznym przestrachem.

— Zapoznam cię z cierpieniem — powiedziała z tą samą intonacją — Pamiętaj o tym podczas walki. Zapoznasz się z cierpieniem, przy którym gom dżabbar wydaje się wspomnieniem szczęścia. Będziesz się wił całym swoim…

— Próbuje rzucać na mnie urok! — wykrztusił Dżamis. Podniósł do ucha prawą zaciśniętą pieść.

— Przywołuje ją do milczenia!

— Niech się zatem tak stanie — rzekł Stilgar. Rzucił ostrzegawcze spojrzenie na Jessikę — Jeśli znowu przemówisz, Sajjadma, uznamy, że to twoje czary i zostaniesz stracona.

Skinął jej głową, by się cofnęła. Jessika poczuła dotknięcie rąk, które ją odciągały, pomagały jej wycofać się, i odnosiła wrażenie, że nie są one nieżyczliwe. Zobaczyła, jak odsuwają Paula od ciżby, dostrzegła elfią twarzyczkę Chani szepczącej mu cos do ucha i kiwnięcie jej głowy w stronę Dżamisa. Wewnątrz oddziału utworzył się krąg. Przyniesiono więcej kul świętojańskich i wszystkie

nastawiono na żółte widmo. Dżamis wstąpił w krąg, wyśliznął się z burnusa i rzucił go komuś z tłumu. Stanął w matowoszarej gładzi filtrfraka, klejonego i poznaczonego łatami i zakładkami. Na moment sięgnął ustami do ramienia i napił się z wodowodu kieszeni łownej. Natychmiast się wyprostował, zrolował i odłączył filtrfrak i podał go ostrożnie najbliższemu w gromadzie. Stał nieruchomo, odziany w przepaskę biodrową i rodzaj obcisłych skarpet z jakiejś tkaniny i czekał z krysnożem w prawej dłoni.

Jessika zobaczyła, jak dziewczyna — dziecko, Chani, pomaga Paulowi, jak wciska mu w dłoń rękojeść krysnoża, patrzyła, jak Paul ujmując nóż, próbuje jego ciężaru i wyważenia. I uprzytomniła sobie, że Paul przeszedł szkolenie prana i bindu, woli i włókna, że nauczył się walczyć w morderczej szkole, a jego nauczycielami byli tacy ludzie, jak Duncan Idaho i Guney Halleck, ludzie, którzy byli żywą legendą. Chłopiec znał wyrafinowane metody Bene Gesserit, wydawało się, że jest zwinny i pewny siebie. Ale ma dopiętło piętnaście lat — myślała. — I jeśli bez tarczy. Musi ich powstrzymać. Musi być jakiś sposób na to, by… Podniosła oczy, zobaczyła, że Stilgar ją obserwuje.

— Nie możesz ich powstrzymać. — powiedział — Nie wolno ci się odezwać.

Położyła dłoń na ustach i pomyślała: Zaszczepiłam strach w duszy Dżamisa. To nieco zwolni jego reakcje… być może. Gdybym tylko umiała się modlić, prawdziwie modlić.

Paul stał już samotnie na skraju kręgu, w szermierczych spodenkach, które nosił pod filtrfrakiem. W prawej dłoni trzymał krysnóż, pod bosymi stopami czuł piasek na skale. Nie raz i nie dwa ostrzegał go Idaho: „Kiedy nie jesteś pewny nawierzchni, gołe stopy są najlepsze”. I słowa Chani wciąż jeszcze żyły w jego pamięci: „Dżamis uchyla się z nożem w prawo. Wszyscy widzieliśmy ten jego nawyk. I będzie mierzył w oczy, by wykorzystać mrugniecie na zadanie ciosu. Potrafi też walczyć obydwiema rękami: uważaj na przerzut noża”. Lecz najsilniejsze w Paulu, bo odczuwalne w całym ciele, było wyszkolenie i mechanizm instynktownej reakcji, jaki wyrabiano w nim dzień po dniu, godzina po godzinie, na parkiecie treningowym. I zakodowane w pamięci słowa Hallecka: „Dobrze władający nożem wojownik myśli o sztychu, klindze i jelcu jednocześnie. Szych może również ciąć, klinga może również zadać pchnięcie, jelec może uwięzić klingę twego przeciwnika”.

Paul zerknął na krysnóż. Nie było tu żadnego jelca, tylko wąska, okrągła skuwka rękojeści z kołnierzem dla osłony dłoni. A nawet gdyby był, Paul zdał sobie sprawę, że nie zna napięcia niszczącego tej klingi, nie wie nawet, czy ona da się złamać.

Dżamis zaczął się przesuwać bokiem w prawo po przeciwległym

obrzeżu koła. Paul skulił się zdając sobie sprawę w tym momencie, że nie ma tarczy, w której ledwo dostrzegalnym polu nauczono go walczyć, nauczono reagować z najwyższą szybkością w obronie, podczas gdy jego atak będzie wymierzony z kontrolowaną powolnością, niezbędną do przeniknięcia tarczy przeciwnika. Pomimo stałego upominania przez trenerów, by nie polegał na bezmyślności tarczy hamującej szybkość ataku, wiedział, że tarczo — świadomość jest częścią jego istoty.

Dżamis rzucił rytualne wyzwanie:

— Niechaj pęknie i pryśnie twój nóż!

Zatem ten nóż się łamie — pomyślał Paul. Uświadomił sobie, że Dżamis jest także bez tarczy, ale ten człowiek nie był wyszkolony do jej użycia, nie miał żadnych tarczo — szermierczych zahamowań. Paul przyjrzał się uważnie Dżamisowi po przeciwnej stronie obwodu koła. Ciało mężczyzny przypominało rzemień bata oplątany na wysuszonym szkielecie. Jego krysnóż jaśniał mleczną żółcią w świetle kul świętojańskich. Paula przeszedł strach. Nagle poczuł, że opuszczony i nagi stoi w mętnym, żółtawym świetle pośrodku kręgu ludzi. Jasnowidzenie zasiliło jego wiedzę w niezliczone zdarzenia, zasygnalizowało najważniejsze prądy przyszłości i sterujące nimi nitki decyzji, lecz teraz to było „prawdziwe teraz". To była śmierć uzależniona od nieskończonej liczby mikroskopijnych niepomyślnych zbiegów okoliczności. Tutaj, zdał sobie sprawę, cokolwiek mogło odwrócić przyszłość. Wystarczy, że ktoś zakaszle w grupie widzów i rozproszy uwagę. Że zmieni się jasność kuli świętojańskiej i zwiedzie cień.

Boję się — powiedział sobie Paul. I w skupieniu okrążał Dżamisa, powtarzając sobie bezgłośnie litanię Bene Gesserit przeciw trwodze. „Strach zabija duszę…" Podziałało to na niego jak chłodny prysznic. Poczuł, jak mięśnie mu się prostują osiągając równowagę i gotowość.

— Schowam nóż w pochwie twej krwi — warknął Dżamis. I w środku ostatniego słowa skoczył. Jessika dostrzegła jego ruch, zdusiła okrzyk. Tam, gdzie ten człowiek uderzył, było tylko powietrze. Paul zaś stał już za Dżamisem, mając okazję do zadania czystego trafienia w podstawione pod nóż plecy. Teraz, Paul! Teraz! — krzyknęła w myśli Jessika. Cios Paula był wyprowadzony w zwolnionym tempie, z cudowną płynnością, ale tak opóźniony, że Dżamis miał czas wywinąć się w prawo i uskoczyć. Paul odstąpił, chyląc się nisko.

— Najpierw musisz znaleźć moją krew — powiedział.

Jessika rozpoznała tarczo — szermierczy refleks u swego syna i odkryła, jak obosieczna jest to broń. Odpowiedzi chłopca były reakcjami młodzieńca, w dodatku wytrenowanego na poziomie, jakiego ci ludzie nie znali. Lecz natarcie również było wyszkolone i uwarunkowane koniecznością przejścia zapory tarczowej. Tarcza

odbiłaby zbyt szybki cios, dopuszczała jedynie zwodniczo zwolnioną ripostę. Przejście tarczy wymagało opanowania i przebiegłości. Czy Paul to widzi? — zapytała samą siebie. — Musi!

Znowu atak Dżamisa, ogień w atramentowociemnych oczach, żółta od kul świętojańskich smuga ciała. I znowu Paul umknął po odpowiedzi zbyt wolnym kontratakiem. I znowu. I znowu. Za każdym razem riposta Paula spóźniała się o moment. Jessika zauważyła wtedy rzecz, której łudziła się, że nie widzi Dżamis. Parady Paula były oślepiająco szybkie, lecz za każdym razem szły precyzyjnie pod takim kątem, jaki by przyjęły, gdyby tarcza pomagała częściowo odchylić cios Dżamisa.

— Czy twój syn bawi się z tym nieszczęsnym głupcem? — zapytał Stilgar. Uciszył ją ruchem dłoni, nim odpowiedziała. — Przepraszam, musisz zachować milczenie.

Teraz dwie sylwetki okrążały się wzajemnie na skalnej podłodze: Dżamisa — z nożem z lekko uniesionym ostrzem w wysuniętej daleko do przodu dłoni i Paula — skulona, z nożem nisko opuszczonym. Znowu Dżamis skoczył i tym razem wykonał obejście w prawo, gdzie wycofał się Paul. Zamiast uchylić się do tyłu, Paul przyjął jego dłoń z nożem na sztych własnej klingi. Po czym chłopiec umknął obejściem w lewo, wdzięczny Chani za ostrzeżenie. Dżamis wycofał się na brzeg kręgu, rozcierając dłoń. Z rany przez chwilę kapała mu krew. Oczy miał szeroko rozwarte i wytrzeszczone — w mętnym świetle kul świętojańskich dwie błękitnoczarne dziury mierzyły Paula z nową ostrożnością.

— Ach, to ukłucie zabolało — wymruczał Stilgar.

Paul przyczaił się w pogotowiu i, zgodnie z tym, czego go nauczono, zawołał:

— Poddajesz się?

— Ha! — krzyknął Dżamis.

Od strony oddziału doszedł ich gniewny pomruk.

— Spokój! — zawołał Stilgar. — Chłopak nie zna naszego prawa. Po czym do Paula: — Nie ma poddania się w wyzwaniu tahaddi. Dowodem jest śmierć.

Jessika zobaczyła, jak Paul z trudem przełyka ślinę. On nigdy nie zabił człowieka w taki sposób… w ogniu walki na noże… — pomyślała. — Czy potrafi to zrobić?

Paul zataczał koło posuwając się w prawo i ustępując przed nacierającym Dżamisem. Wieszcza znajomość zmiennych czasokipieli w tej grocie powróciła teraz, by go nękać. Jego nowe rozumienie powiedziało mu, że w tej walce było zbyt wiele błyskawicznie zacieśniających się decyzji, by ujawnił się przed nim jakikolwiek wyraźny kierunek. Zmienne nakładały się na zmienne — dlatego właśnie ta grota leżała jak niewyraźny węzeł współzależności na jego

drodze. Była niczym gigantyczna skała wśród powodzi, wytwarzająca wiry w opływającym ją nurcie.

— Kończ z tym, chłopcze — wymamrotał Stilgar. — Nie baw się z nim.

Paul wysunął się bardziej na środek kręgu, ufając przewadze swej szybkości. Dżamis cofał się teraz, kiedy otworzyły mu się oczy i zrozumiał, że to nie miękki pozaświatowiec, łatwa ofiara fremeńskiego krysnoża, znajduje się w kręgu tahaddi. Jessika dostrzegła cień rozpaczy w jego twarzy. Teraz jest najniebezpieczniejszy — pomyślała. — Teraz jest doprowadzony do ostateczności i zdolny do wszystkiego. Widzi,że to nie jest tak, jak ze zwykłym dzieckiem jego ziomków, że to bojowa machina — zrodzona do tego i wyćwiczona od niemowlęctwa. Teraz strach, jaki w nim zaszczepiłam, doszedł do zenitu. I odkryła w sobie uczucie litości dla Dżamisa, przytępione świadomością bezpośredniego zagrożenia jej syna. Dżamis jest zdolny do wszystkiego… do każdej nieprzewidzianej rzeczy… — powiedziała sobie. Po czym zaczęła się zastanawiać, czy Paul widział już tę przyszłość, czy przeżywa to wydarzenie powtórnie. Ale ujrzała sposób poruszania się syna, krople potu na jego twarzy i ramionach, przezorną ostrożność widoczną w harmonijnych ruchach. I po raz pierwszy wyczuła, nie rozumiejąc tego, element niepewności w jasnowidzeniu Paula. Teraz on naciskał swojego przeciwnika krążąc, lecz nie atakując. Widział jego strach.Głos Duncana Idaho rozbrzmiewał w świadomości Paula: „Kiedy twój przeciwnik się ciebie boi, wtedy nadchodzi chwila, by popuścić cugi lękowi, by dać mu czas na działanie. Niech przerodzi się w przerażenie. Przerażony człowiek walczy sam ze sobą. W końcu z rozpaczy atakuje. To jest najgroźniejszy moment, lecz przerażonemu człowiekowi można zaufać w tym, że zwykle popełnia fatalny błąd. Ty uczysz się tutaj wyłapywać i wykorzystywać te błędy”.

Tłum w grocie zaczął szemrać. Oni sądzą, że Paul igra z Dżamisem — pomyślała Jessika. — Uważają, że Paul jest niepotrzebnie okrutny. Ale wyczuwała również ukryte podniecenie tłumu, jego uciechę z widowiska. I widziała narastanie napięcia w Dżamisie. Moment, w którym stało się ono dla niego nie do zniesienia, był dla niej tak samo przejrzysty jak dla niego samego… czy Paula.

Dżamis dał wysokiego susa, wykonując fintę i uderzając z góry prawą dłonią, lecz dłoń była pusta. Krysnóż przerzucił do lewej ręki. Jessice zaparło dech. Ale Chani ostrzegła Paula:„Dżamis walczy obydwiema rękami”. I głębia jego wyszkolenia sprawiła, że przyjął tę sztuczkę *en passant*. „Uważaj na nóż, a nie na dłoń, która go trzyma” — powtarzał mu Ganey Halleck niejeden raz. „Nóż jest groźniejszy od dłoni i może być w każdej z nich”.

Paul dostrzegł błąd Dżamisa — złą pracę nóg — kiedy po jednym

uderzeniu serca dłużej zbierał się do skoku, obliczonym na zdezorientowanie Paula i przerzucenie noża. Z wyjątkiem słabego, żółtego światła kul świętojańskich i wpatrzonych w nich atramentowych oczu ludzi z oddziału Slilgara, przypominało to rundę na parkiecie treningowym. Tarcze nie liczyły się, gdy można było wykorzystać przeciw ciału jego własny ruch. Paul nieuchwytnym ruchem przerzucił nóż, odsunął się na bok, pchnął do góry tam, gdzie opadała pierś Dżamisa, i uskoczył śledząc stopniowe załamywanie się mężczyzny. Dżamis padł jak zmięty łachman, twarzą do ziemi, raz jeden westchnął i odwróciwszy swą twarz ku Paulowi znieruchomiał na skalnej posadzce. Jego martwe oczy wychodziły z orbit jak paciorki z ciemnego szkła.

„W zabiciu sztychem brak artyzmu" — powiedział kiedyś Paulowi Idaho — „lecz nie pozwól, aby to powstrzymało twoją dłoń, kiedy nadarza się okazja". Oddział rzucił się hurmą, wypełniając krąg i odpychając Paula na bok. Dżamis zniknął wśród gorączkowej krzątaniny. Niebawem cała grupka ludzi pośpieszyła w głąb jaskini taszcząc owinięte burnusem brzemię. Ciało zniknęło ze skalnej podłogi.

Jessika przepychała się w stronę syna. Płynęła w morzu obleczonych w burnusy i śmierdzących grzbietów, przez dziwnie milczącą ciżbę. Teraz jest ów straszny moment — myślała. — Zabił człowieka wyraźną wyższością ducha i ciała. Nie wolno mu się radować takim zwycięstwem. Przedarła się przez ostatki oddziału na niewielką wolną przestrzeń, gdzie dwóch brodatych Fremenów pomagało Paulowi naciągnąć filtrfrak. Jessika utkwiła spojrzenie w syna. Oczy Paula jaśniały. Oddychał ciężko, raczej pozwalając na posługi wokół siebie, niż z nich korzystając.

— On przeciw Dżamisowi i ani śladu na nim — mruknął jeden z mężczyzn.

Z boku stała Chani z oczami wlepionymi w Paula. Jessika zobaczyła podniecenie dziewczyny, uwielbienie w jej delikatnej twarzyczce. Trzeba to zrobić teraz, natychmiast — pomyślała. Nasyciwszy swój głos i zachowanie najwyższą pogardą, rzekła:

— Nooo, no, i co też czuje morderca?

Paul zesztywniał, jakby go uderzono. Napotkał utkwione w sobie zimne spojrzenie matki i twarz mu pociemniała od krwi. Mimowolnie zerknął na podłogę jaskini, ku miejscu, gdzie przed chwilą leżał Dżamis. Stilgar przepchnął się do Jessiki, powróciwszy z głębi groty, dokąd zabrano ciało. Zwrócił się do Paula oschłym, opanowanym głosem:

— Kiedy nadejdzie czas, byś mnie wyzwał i sięgnął po moją burda, nie sądź, że zabawisz się ze mną tak, jak bawiłeś się Dżamisem.

Jessika wyczuła, w jaki sposób jej własne słowa i słowa Stilgara

docierając do Paula dokonują w chłopcu swego brutalnego dzieła. Obrzuciła wzrokiem twarze dokoła, tak jak to właśnie czynił Paul, dostrzegła to samo co i on. Podziw, owszem; i strach… i u niektórych odrazę. Spojrzała na Stilgara i zobaczyła jego fatalizm, zrozumiała, jak dla niego wyglądała ta walka. Paul zerknął na matkę.

— Ty wiesz, jak to było — powiedział.

Pochwyciła w jego głosie powrót do normalności, skruchę. Omiotła wzrokiem oddział.

— Paul do tej pory nie zabił nigdy człowieka nagim ostrzem — powiedziała.

Stilgar odwrócił się do niej z wyrazem niedowierzania na twarzy.

— Ja się z nim nie bawiłem — rzekł Paul.

Docisnąwszy się przed matkę obciągnął płaszcz i spojrzał na ciemną plamę krwi Dżamisa na podłodze.

— Nie chciałem go zabić.

Jessika widziała, jak powoli Stilgar przyjmuje to do wiadomości, widziała ulgę, z jaką targa brodę żylastą dłonią. Słyszała szmer zrozumienia wśród ludzi.

— To dlatego prosiłeś go, aby się poddał — powiedział Stilgar. — Rozumiem. Nasze zwyczaje są odmienne, ale przekonasz się, że mają sens. A już myślałem, że wpuściliśmy skorpiona pomiędzy siebie. — Zawahał się i dodał: — A chłopakiem cię już więcej nie nazwę.

Z oddziału odezwał się głos:

— Trzeba mu nadać imię, Stil.

Stilgar kiwnął głową, szarpiąc brodę.

— Widzę w tobie siłę… jak w podstawie filara. — Zamilkł ponownie, ale tylko na chwilę.

— Będziesz znany wśród nas jako Usul, cokół kolumny. To jest twoje tajemne imię, twoje imię w oddziale. Możemy go używać my z siczy Tabr, lecz nikt obcy niech sobie na to nie pozwala…

— Dobry wybór… silny… przyniesie nam szczęście.

I Jessika wyczuła akceptację, wiedząc, że jest nią objęta razem ze swym orędownikiem. Była prawdziwą Sajjadiną.

— A teraz, jakie ty sam wybierasz imię wieku męskiego, którym będziemy cię jawnie nazywali? — zapytał Stilgar.

Paul zerknął na matkę i z powrotem na Stilgara. Okruchy i fragmenty tej chwili zapisały się w jego wieszczej „pamięci”, jednak wyraźnie widział różnice odczuwając je niemal fizycznie, jak ciśnienie przepychające go przez wąskie drzwi teraźniejszości.

— A jak wy nazywacie taką małą myszkę, myszkę, która skacze? — zapytał Paul przypominając sobie hyc-kic-hopki w basenie Tuono. Zobrazował to jedną dłonią.

Chichot przeszedł po oddziale.

— Nazywamy ją muad’dib — powiedział Stilgar.

Jessice zaparło dech. To było imię, które wymienił Paul, mówiąc jej, że Fremeni ich przyjmą i że go tak nazwą. Ogarnął ją nagły strach przed synem i o niego. Paul przełknął ślinę. Miał wrażenie, że gra rolę odegraną już niezliczoną ilość razy w wyobraźni… jednak… z pewnymi różnicami. Widział siebie przycupniętego na przyprawiającym o zawrót głowy szczycie, po wielu przeżyciach i zdobyciu przepastnego zasobu wiedzy, ale wszędzie wokół niego otwierała się otchłań. I ponownie wspomniał wizję fanatycznych legionów, pod zielono — czarnym sztandarem Atrydów ogniem i mieczem pustoszących wszechświat w imię ich proroka Muad'Diba. To się nie może zdarzyć — powiedział w myśli.

— Czy to jest imię, którego sobie życzysz, Muad'Dibie? — spytał Stilgar.

— Jestem Atrydą — wyszeptał Paul, a potem już głośniej: — Nie jest słuszne, bym całkowicie odrzucił imię dane mi przez ojca. Czy mógłbym uchodzić wśród was za Paula Muad'Diba?

— Jesteś Paul Muad'Dib — rzekł Stilgar.

Zaś Paul pomyślał: Tego nie było w żadnej z moich wizji. Zrobiłem coś innego. Ale czuł, że nadal ze wszystkich stron otacza go otchłań. Ponownie szmer aprobaty przeszedł przez oddział, ludzie zwracali się jeden do drugiego:

— Rozum i siła… czegóż trzeba więcej… To jest na pewno legenda… Lisan al-Gaib… Lisan al-Gaib…

— Opowiem ci coś o twoim nowym imieniu — rzekł Stilgar. — Cieszy nas twój wybór. Muad'Dib jest mądry na sposób pustyni. Muad'Dib wytwarza swoją własną wodę. Muad'Dib kryje się przed słońcem, a podróżuje chłodną nocą. Muad'Dib jest płodny i rozmnaża się po całej krainie. Muad'Diba nazywamy „instruktorem chłopców". To potężna podstawa do zbudowania życia, Paulu Muad'Dibie, który jesteś Usulem pośród nas. Witamy cię.

Stilgar dotknął dłonią czoła Paula, cofnął rękę, objął go i wyszeptał:

— Usul.

Kiedy Stilgar go puścił, ktoś inny z oddziału objął Paula, powtarzając jego nowe grupowe imię. I przekazywanego sobie z objęć w objęcia w oddziale, a on wsłuchiwał się w głosy i barwy tonów:

— Usul… Usul… Usul…

Niektórych potrafił już rozpoznać po imieniu. Była tam również Chani, która obejmując go i wypowiadając jego imię przytuliła do niego policzek. Na koniec Paul znowu stanął przed Stilgarem, który powiedział:

— Teraz jesteś naszym bratem w Ichwan Bedwine. — Rysy mu stężały, głos zabrzmiał rozkazująco. — A teraz, Paulu Muad'Dibie, doprowadź do porządku swój filtrfrak. — Spojrzał na Chani. — Chani!

Jeszcze nie widziałem tak kiepsko dopasowanych wtyków nosowych jak u Paula Muad'Diba! Chyba ci już poleciłem, żebyś o niego zadbała.

— Nie mam przyborów, Stil — powiedziała. — Są po Dżamisie, oczywiście, ale…

— Dość tego!

— Więc oddam jeden ze swoich — rzekła. Poradzę sobie z jednym do…

— Nie oddasz — odparł Stilgar. — Wiem, że są u nas wtyki zapasowe. Co się z nimi dzieje? Czy jesteśmy jednym oddziałem, czy bandą dzikusów?

Wyciągnęły się ręce oferując twarde, włókniste, małe przedmioty. Stilgar wybrał cztery i wręczył Chani.

— Dopasuj je Usulowi i Sajjadinie.

— Co z wodą, Stil? Co z literjonami w ich sakwie? — doleciał z tyłu głos.

— Wiem o twojej potrzebie, Farok — powiedział Stilgar. Zerknął na Jessikę. Kiwnęła mu głową.

— Napocznij jeden dla tych, którzy potrzebują. Wodmistrz… gdzie jest wodmistrz? Ach, Szimum, zajmij się odmierzaniem wody według potrzeb. Niezbędne minimum i nic ponad to. Ta woda jest wianem należącym do Sajjadiny i zostanie wypłacona w siczy po stawkach polowych minus cena opakowania.

— Jakie są stawki polowe? — zapytała Jessika.

— Dziesięć do jednego — powiedział Stilgar.

— Ależ…

— To mądra zasada, jak się przekonasz — rzekł Stilgar.

Na tyłach oddziału rozległ się szelest szat, kiedy ludzie zgłaszali się po przydział wody. Stilgar wzniósł rękę i zrobiło się cicho.

— Co do Dżamisa — powiedział. — Nakazuję pełny ceremoniał. Dżamis był naszym towarzyszem i bratem w Ichwan Bedwine. Nie odejdziemy bez oddania czci należnej temu, kto wyzwaniem tahaddi odkrył przed nami nasz los. Przywołuję do ceremonii… o zachodzie słońca, kiedy okryje go ciemność.

Słuchając tych słów Paul uświadomił sobie, że jeszcze raz pogrążył się w otchłani… ślepego czasu. Żadna przeszłość nie absorbowała jego przyszłości w umyśle… tyle że… tyle że… nadal wyczuwał powiewający zielono — czarny sztandar Atrydów… gdzieś przed sobą… nadal widział krwawe miecze dżihad i fanatyczne legiony. Tego nie będzie — powiedział do siebie. — Nie dopuszczę do tego.

Bóg stworzył Arrakis, by ćwiczyć wiernych.

z „Mądrości Muad'Diba"
księżniczki Irulan

W ciszy jaskini Jessika słyszała zgrzyt piasku na skale pod ludzkimi stopami, dalekie ptasie nawoływania, które, jak Stilgar powiedział, były sygnałem jego czatowników. Usunięto z wylotów jaskini ogromne plastikowe kaptury grodzi. Widziała pochód wieczornych cieni za skalnym progiem przed sobą, a za nim otwarty basen. Czuła, jak opuszcza ich światło dnia, czuła to w suchym upale i w cieniach. Wiedziała, że jej przeszkolona świadomość da jej niebawem to, co Fremeni najwyraźniej posiadali sami z siebie — zdolność wyczuwania najlżejszej nawet zmiany wilgotności powietrza. Jakże uwijali się z dopasowywaniem filtrfraków, kiedy otwarto jaskinię. W głębi groty ktoś zaczął wyśpiewywać:

Ima trava okolo!
I korenja okolo!

Jessika przetłumaczyła to w myśli: „To są popioły! A to są korzenie!" Zaczynała się ceremonia pogrzebowa Dżamisa. Jessika wyjrzała na arrakański zachód słońca, na spiętrzone pokłady kolorów na niebie. Noc zaczęła już rzucać cienie wzdłuż odległych skał i wydm.

A jednak upał nie ustępował. Upał skierował jej myśli ku wodzie i pewnej obserwacji, która poczyniła — że tych wszystkich ludzi udało się przyzwyczaić do odczuwania pragnienia tylko w określonych porach.

Pragnienie.

Pamiętała oświetlone blaskiem księżyca fale na Kaladanie, zarzucające białe szaty na skały… i wiatr brzemienny wilgocią. Podmuch, który muskał teraz jej szaty, palił połacie skóry na policzkach i czole. Nowe wtyki nosowe uwierały ją i Jessika stwierdziła, że obecność rurki odzyskującej wilgoć oddechu biegnącej po twarzy w dół do filtrfraka też ją denerwuje. Sam frak był jak parnik. „Frak będzie dla ciebie znośniejszy, kiedy przestawisz się na niższą zawartość wody w ciele" — powiedział Stilgar. Wiedziała, że miał rację, co jednak nie czyniło obecnej chwili znośniejszą. Podświadoma troska o wodę obciążała psychicznie. Nie — poprawiła się — to jest troska o wilgoć. Czyli sprawa subtelniejsza i głębsza.

Usłyszała zbliżające się kroki. Odwróciła się i zobaczyła Paula wyłaniającego się z czeluści jaskini, a za nim twarz elfa depczącej mu po piętach Chani. Jeszcze jedna sprawa — pomyślała Jessika. — Trzeba uczulić Paula na ich kobiety. Żadna z tych pustynnych kobiet nie nadaje się na żonę dla księcia. Na konkubinę, i owszem, ale nie na żonę. Z kolei zastanowiła się nad sobą. Czyżbym zaraziła się od niego myślami? I dostrzegła, jak doskonale została uwarunkowana. Potrafię myśleć o małżeńskich potrzebach królewskiego rodu nie biorąc pod uwagę własnego konkubinatu. Ale ja… byłam więcej niż konkubiną.

— Matko.

Paul stanął przed nią. Tuż za nim Chani.

— Matko, czy wiesz, co oni robią tam w głębi?

Jessika spojrzała na ciemne plamy jego oczu wyglądających z kaptura.

— Chyba tak.

— Chani mi pokazała… ponieważ ja powinienem to widzieć i dać… zgodę na ważenie wody.

Jessika popatrzyła na Chani.

— Oni odzyskują wodę Dżamisa — powiedziała Chani, a jej cienki głos zabrzmiał nosowo z powodu wtyków. — Takie jest prawo. Ciało należy do człowieka, zaś jego woda należy do plemienia… pojedynek jest wyjątkiem.

— Mówią, że to moja woda — powiedział Paul.

Jessikę zastanowiło, dlaczego ich słowa obudziły w niej znienacka czujność i podejrzliwość.

— Woda pojedynku należy do zwycięzcy — powiedziała Chani. — To dlatego, że musicie walczyć bez filrfraków. Zwycięzcy trzeba oddać wodę, którą traci w czasie walki.

— Ja nic chcę jego wody — wymamrotał Paul.

Czuł się częścią wielu obrazów poruszających się jednocześnie we fragmentach, co tworzyło chaos dla oka jaźni. Nie mógł być pewny, co zrobi, ale co do jednej rzeczy miał absolutną pewność: nie chciał wody wydestylowanej z ciała Dżamisa.

— To przecież… woda — powiedziała Chani.

Jessikę zachwycił sposób, w jaki to wymówiła. „Woda”. Tyle znaczenia w prostym dźwięku. Przypomniał jej się aksjomat Bene Gesserit: „Przetrwanie to umiejętność pływania w obcej wodzie”. I pomyślała: Paul i ja musimy wykryć prądy i prawidłowości tych obcych wód… jeżeli mamy przetrwać.

— Przyjmiesz tę wodę — rzekła.

Rozpoznała ten ton swego głosu. Tym samym tonem przemówiła kiedyś do Leto, gdy oznajmiła swemu utraconemu księciu, że ma przyjąć dużą sumę oferowaną mu za jego poparcie w wątpliwym przedsięwzięciu — ponieważ pieniądz podtrzymywał potęgę Atrydów.

Na Arrakis pieniądzem była woda. Widziała to jasno.

Paul zachował milczenie: wiedział już, że zrobi, jak przykazała, i nie dlatego, że ona tak każe, ale dlatego, że ton jej głosu zmusił go do przewartościowania sądu. Odrzucenie wody byłoby zerwaniem z przyjętą u Fremenów praktyką. Przypomniał sobie po chwili słowa czterysta sześćdziesiątej siódmej kalimy w Biblii P. K. Yuego. Powiedział:

— Z wody powstaje wszelkie życie.

Jessika wytrzeszczyła oczy. Gdzie on się nauczył tego cytatu? Nie studiował misteriów.

— Tak powiedziano — rzekła Chani. — Giudichar mentane: Napisano w Szach-Name, że wodę stworzono przed wszystkimi rzeczami.

Jessika zadrżała nagle bez żadnego wytłumaczalnego powodu, a ta irracjonalność zaniepokoiła ją bardziej od fizycznego doznania. Odwróciła się, by ukryć zmieszanie, i zdążyła akurat zobaczyć zachód słońca. Kiedy słońce zatonęło pod horyzontem, na niebie rozszalała się burza kolorów.

— Już czas!

Głos rozbrzmiewający w grocie należał do Stilgara.

— Broń Dżamisa została zabita. Dżamisa wezwał On — Shai-hulud, który zrządził fazy księżyca, co go z dnia na dzień ubywa, aż na koniec wygląda jak krzywa, zwiędła gałązka. — Głos Stilgara przycichł. — Tak było z Dżamisem.

Cisza opadła na jaskinię jak koc. Jessika widziała Stilgara jako szaro — ułudny ruch, niczym widmo w ciemnych rejonach wnętrza groty. Obejrzały się na basen, czując chłód.

— Niechaj zbliżą się przyjaciele Dżamisa — powiedział Stligar.

Ludzie krzątali się za Jessiką, opuszczając zasłonę u wylotu. Daleko w głębi jaskini zapalono u góry samotną kulę świętojańską. Jej żółta łuna wyłowiła z mroku nadciągające ludzkie sylwetki. Jessika słyszała szelest burnusów. Chani odstąpiła na krok jakby przyciągnięta światłem. Jessiki pochyliła się nisko do ucha Paula przemawiając rodzinnym kodem:

— Idź za ich przykładem, rób to, co oni. To będzie prosta ceremonia dla zjednania ducha Dżamisa.

To będzie coś więcej — pomyślał Paul. I w głębi świadomości zaznał uczucia rozdarcia, jakby próbował schwycić jakąś rzecz w ruchu i sprawić, by znieruchomiała. Chani podpłynęła z powrotem do Jessiki biorąc ją za rękę.

— Chodźmy, Sajjadina. Musimy usiąść osobno.

Paul patrzył za nimi, jak odchodzą w cienie, pozostawiając go samego. Czuł się opuszczony. Koło niego wyrośli mężczyźni, którzy zakładali zasłonę.

— Chodźmy, Usul.

Dał się podprowadzić do przodu i wcisnąć w krąg ludzi formujący się wokół Stilgara, który stał pod kulą świętojańską koło miejscami obłego, miejscami kanciastego kształtu okrytego burnusem i leżącego na skalnej podłodze. Oddział przysiadł na skinienie Stilgara, pośród szelestu burnusów. Paul usadowił się wraz z nimi, obserwując Stilgara. Zauważył, jak kula świętojańska pogłębiła studnię jego oczu i rozjaśniła mu zieleń tkaniny na szyi. Przeniósł spojrzenie na okryty burnusem pagórek u stóp Stilgara, rozpoznał sterczący spod tkaniny gryf balisety.

— Duch opuszcza wodę ciała, gdy wstaje pierwszy księżyc — zaintonował Stilgar. — Tak powiedziano. Kiedy wstanie pierwszy księżyc tej nocy, kogo on wezwie?

— Dżamisa — odpowiedział chór.

Stilgar wykonał pełny obrót na pięcie, wiodąc spojrzeniem po kręgu twarzy.

— Ja byłem przyjacielem Dżamisa — powiedział. — Kiedy łupieżczy samolot pikował na nas w Dziurze-w-Ziemi, właśnie Dżamis zaciągnął mnie do kryjówki. — Pochylił się nad wzgórkiem i podniósł burnus. — Biorę ten płaszcz jako przyjaciel Dżamisa, prawem przywódcy.

Przerzucił burnus przez ramię prostując się. Paul ujrzał teraz wystawioną na widok zawartość pagórka: blady połysk szarości filtrfraka, poobijany literjon, chustę z małą książeczką pośrodku, rękojeść krysnoża bez ostrza, pustą pochwę, zrolowaną sakwę, parakompas, dystransy, dudnik, kupkę metalowych haków wielkości pięści, kolekcję czegoś, co wyglądało na małe kamyki zawinięte w szmatkę, wiązkę piór… i balisetę przy zrolowanej sakwie. Więc Dżamis grywał na balisecie — pomyślał Paul. Instrument przypomniał mu Gurneya Hallecka i wszystko, co zostało utracone. Paul wiedział dzięki swemu pamiętaniu przyszłości w przeszłości, że pewne linie losowe mogły doprowadzić do spotkania z Halleckiem, lecz te spotkania okrywał cień i było ich niewiele. Intrygowały go one. Czynnik niepewności napawał go zdumieniem. — Czy to znaczy, że coś, co ja zrobię… co mogę zrobić, może zgubić Hallecka… albo przywrócić mu życie… albo…

Przełknął ślinę, potrząsnął głową. Stilgar nachylił się ponownie nad stosem.

— Dla kobiety Dżamisa i dla wartowników — powiedział.

Małe kamyki i książka zniknęły w fałdach jego szaty.

— Prawo przywódcy — zaintonował oddział.

— Dozownik Dżamisa od serwisu do kawy — powiedział Stilgar i podniósł płaski krążek z zielonego metalu. — Żeby dać go Usulowi z zachowaniem odpowiedniego ceremoniału, kiedy wrócimy do siczy.

— Prawo przywódcy — odpowiedział oddział.

Na końcu wziął rękojeść krysnoża i wyprostował się.

— Dla pogrzebowej równiny — rzekł.

— Dla pogrzebowej równiny — wyrecytował oddział.

Ze swego miejsca w kręgu naprzeciwko Paula Jessika kiwała głową, rozpoznając starożytne źródło tego rytuału. Zetknięcie ignorancji z wiedzą, brutalności z kulturą — bierze początek w szacunku, z jakim traktujemy swoich zmarłych — pomyślała. Spoglądając na Paula po drugiej stronie zastanawiała się: Dostrzeże to? Będzie wiedział, co ma zrobić?

— Jesteśmy przyjaciółmi Dżamisa — powiedział Stilgar. — Nie lamentujemy za naszymi zmarłymi jak stado garwargów.

Z lewej strony Paula podniósł się siwobrody mężczyzna.

— Byłem przyjacielem Dżamisa — powiedział.

Podszedł do stołu. Podniósł dystransy.

— Kiedy poziom naszej wody spadł poniżej minimum podczas oblężenia Dwóch Ptaków, Dżamis się podzielił.

Mężczyzna powrócił na swoje miejsce w kole.

Czy i ja mam powiedzieć, że byłem przyjacielem Dżamisa? — dziwił się Paul. — Czy oni spodziewają się, że wezmę coś z tej kupy? — Zobaczył, jak obracają się ku niemu twarze, jak się odwracają. — Oni tego oczekują!

Inny mężczyzna z naprzeciwka wstał, zbliżył się do sakwy i zdjął parakompas.

— Byłem przyjacielem Dżamisa — rzekł. — Kiedy patrol zaskoczył nas w Buchcie Klifu i zostałem ranny, Dżamis odciągnął ich i ranni zostali uratowani.

Wrócił na swoje miejsce do kręgu. Znowu twarze obróciły się do Paula i Paul ujrzawszy w nich oczekiwanie spuścił oczy. Trącono go łokciem i jakiś głos zasyczał:

— Chcesz ściągnąć na nas zgubę?

Jak ja mogę powiedzieć, że byłem jego przyjacielem? — myślał w osłupieniu.

Jakaś postać uniosła się z kręgu naprzeciw Paula, a kiedy zakapturzona twarz znalazła się w świetle, poznał matkę. Zdjęła chustę ze stosu.

— Byłam przyjacielem Dżamisa — powiedziała. — Kiedy duch nad duchami w jego duszy dojrzał potrzebę prawdy, ten duch wycofał się oszczędzając mojego syna. — Wróciła na swoje miejsce.

I Paul wspomniał pogardę w głosie matki, gdy zaczepiła go po walce. „I co też czuje morderca?” Ponownie zobaczył zwrócone ku sobie twarze, wyczuwał gniew i strach ludzi. Oczyma duszy ujrzał stronice„Kultu zmarłych” sksięgofilmowane kiedyś przez matkę dla niego. Wiedział, co powinien zrobić. Z wolna dźwignął się na nogi.

Krąg ludzki obiegło westchnienie. Paul czuł zmniejszanie się swego ja, w miarę jak się zbliżał do środka koła. Jakby utracił cząstkę samego siebie i szukał jej tutaj. Pochylił się nad stosem dobytku Dżamisa i wydostał balisetę. Brzęknęła cichutko struna zawadziwszy o coś.

— Byłem przyjacielem Dżamisa — wyszeptał Paul. Czuł pieczenie łez w oczach, włożył więcej siły w swój głos.

— Dżamis mnie nauczył… że… kiedy zabijamy… płacimy za to. Żałuję, że nie poznałem Dżamisa lepiej.

Po omacku, na oślep, powrócił na swoje miejsce w kole, osunął się na skalną podłogę.

— On roni łzy! — szepnął jakiś głos. Podchwycili to inni.

— Usul ofiarowuje wilgoć umarłym!

Poczuł palce na swoich wilgotnych policzkach, słyszał wylęknione szepty. Jessikę ogarnęło głębokie wzruszenie, gdy zdała sobie sprawę, jak potężne hamulce muszą tu przeciwdziałać ronieniu łez. Skoncentrowała się na słowach: „Usul ofiarowuje wilgoć umarłym". To był dar dla świata cieni — łzy. Niewątpliwie są święte. Nic na tej planecie nie uprzytomniło jej z taką siłą najwyższej wartości wody. Ani sprzedawcy wody, ani wysuszona skóra tubylców, ani filtfraki czy reguły reżimu wody. Oto substancja cenniejsza od wszystkich innych — samo życie — obrośnięta symbolika i rytuałem: woda.

— Dotknąłem jego policzka — szepnął ktoś — Poczułem dar.

Z początku dotykające jego twarzy palce wystraszyły Paula. Ścisnął chłodny gryf balisety czując, jak struny wrzynają mu się w dłoń. Po czym za macającymi rękami dojrzał twarze, oczy rozwarte i zdumione. Niebawem ręce się cofnęły. Podjęto ceremonię pogrzebową. Lecz teraz była wokół Paula nieuchwytna przestrzeń, odstęp, pełna szacunku izolacja, którą uhonorował go oddział. Ceremoniał zakończył się cichym śpiewem:

Pełnia cię wzywa —
Twój Shai-hulud przybywa;
Nocy krew, czerń na niebie,
Krwawa śmierć wzięła ciebie.
Do księżyca się modlimy,
Koło szczęścia uprosimy,
Co szukamy, to ziścimy,
Starą ziemię zobaczymy.

U nóg Stilgara pozostał pękaty bukłak. Stilgar przykucnął, kładąc na nim dłonie. Ktoś zbliżył się do niego, przykucnął przy nim i Paul poznał twarz Chani w cieniu kaptura.

— Dżamis nosił trzydzieści trzy litry, siedem drachm i trzy trzydzieste drugie drachmy wody plemienia — powiedziała Chani. —

Błogosławię ją teraz w obecności Sajjadiny, *Ekkeri-akari*, oto jest woda, *fillisin-follasy*, Paula Muad'Diba!, *Kivi akavi*, nigdy więcej *nakalas*! *Nakalas*! odmierzona i policzona, *ukair-an*! biciem serca *jan-jan-jan* naszego przyjaciela… Dżamisa.

W głębokiej ciszy Chani odwróciwszy się utkwiła spojrzenie w Paulu. Po chwili powiedziała:

— Gdzie jestem płomieniem, ty bądź węglem. Gdzie jestem rosa, ty bądź wodą.

— *Bi-lal kaifa* — zaśpiewał oddział.

— Na Paula Muad'Diba przypada ta porcja — powiedziała Chani. — Oby strzegł jej dla plemienia i chronił przed pochopną stratą. Oby szczodry był w chwili potrzeby. Oby przekazał ją w swym czasie dla dobra plemienia.

— *Bi-lal kaifa* — zaintonował oddział.

Muszę przyjąć tę wodę — pomyślał Paul. Podniósłszy się powoli podszedł do Chani. Stilgar cofnął się, by zrobić mu miejsce, delikatnie wyjął Paulowi balisetę z dłoni.

— Uklęknij — poleciła mu Chani.

Naprowadziła jego dłonie na bukłak przytrzymując je na sprężynującej powierzchni.

— Tę wodę powierza ci plemię — powiedziała. — Dżamis odszedł od niej. Przyjmij ją w pokoju.

Wstała, pociągając Paula za sobą. Stilgar zwrócił mu balisetę, wyciągnął dłoń z niewielką kupką metalowych pierścieni. Paul przyglądał się im — zauważył ich różne wielkości i to, jak światło kuli świętojańskiej się od nich odbija. Chani wzięła największy pierścień i podniosła go na jednym palcu.

— Trzydzieści litrów — powiedziała.

Jeden po drugim brała pozostałe, pokazując każdy z osobna Paulowi i odliczając.

— Dwa litry, jeden litr, siedem talionów wody po jednej drachmie każdy, jeden talion wody za trzy trzydzieste drugie drachmy. Razem — trzydzieści trzy litry, siedem i trzy trzydzieste drugie drachmy.

Podniosła pierścienie na palcu pokazując Paulowi.

— Czy je przyjmujesz? — zapytał Stilgar.

Paul przełknął, kiwnął głową.

— Tak.

— Później — odezwała się Chani — pokażę ci, jak je przewiązywać chustą tak, by pobrzękiwaniem nie zdradziły cię, kiedy będziesz potrzebował ciszy.

Wyciągnęła dłoń.

— Czy zechciałabyś… przechować je dla mnie? — zapytał Paul.

Chani obróciła spłoszone oczy na Stilgara, Stilgar uśmiechnął się.

— Paul Muad'Dib, który jest Usulem, nie zna jeszcze naszych

obyczajów, Chani. Zatrzymaj jego taliony wody bez zobowiązania, aż będzie czas pokazać mu, w jaki sposób je nosić.

Kiwnęła głową, prędko wyciągnęła spod szaty pas materiału, nanizała na niego pierścienie przeplatając je zawile od góry i dołu i po krótkim wahaniu wetknęła je za szarfę pod burnusem.

Coś tutaj przegapiłem — pomyślał Paul. Wyczuwał atmosferę rozbawienia wokół siebie, lekką kpinę i myśl jego podłączyła się do wieszczej pamięci: „taliony wody ofiarować kobiecie — rytuał zalotów".

— Wodmistrze — rzekł Stilgar.

Oddział powstał z szelestem. Wystąpili dwaj ludzie i podnieśli bukłak. Ściągnąwszy kulę świętojańską Stilgar powiódł wszystkich za światłem w głąb jaskini. Wciśnięty za Chani Paul widział maślany odblask kuli świętojańskiej na skalnych ścianach, taniec cieni w pełnej wyczekiwania ciszy, w której wyczuwał narastające podniecenie oddziału.

Jessika, zaciągnięta na tyły kolumny przez rozgorączkowane dłonie, zwalczyła chwilową panikę, kiedy osaczyły ją ze wszystkich stron rozpychające się postacie. Rozpoznała fragmenty rytuału, rozpoznała w słowach okruchy Bhotani-dżib i Chakobsa, i pojęła nieokiełznane żywioły, które mogły wybuchnąć z tych pozornie niewinnych elementów. Jan-jan-jan — pomyślała. — Idź-idź-idź. — Niczym dziecinna gra, która zatraciła w dorosłych rękach wszelkie hamulce.

Stikgar zatrzymał się pod żółtą ścianą skalną. Nacisnął występ i ściana bezgłośnie ustąpiła przed nim odsłaniając nieregularną szczelinę. Stilgar wprowadził ich do środka, przechodząc obok podobnej do plastra miodu kratownicy, z której wionął na mijającego ją Paula strumień chłodnego powietrza. Paul pociągnął Chani za ramię, spoglądając na nią pytająco.

— W tym powietrzu czuć wilgoć — powiedział.

— Ciiii — szepnęła.

Ale idący za nimi mężczyzna przerwał ciszę:

— Mnóstwo tej nocy wilgoci w oddzielaczu. Tak Dżamis mówi nam, że jest zadowolony.

Jessika minęła ukryte drzwi, usłyszała, jak się za nią zamknęły. Zauważyła, że Fremeni zwalniają przechodząc obok przypominającej plaster kratownicy, a znalazłszy się koło niej poczuła wilgoć. Oddzielacz wiatru — pomyślała. — Mają zamaskowany gdzieś na powierzchni oddzielacz wiatru, tłoczący powietrze w chłodniejsze tu na dole regiony dla wytrącenia zeń wilgoci.

Przeszli przez drugie drzwi z okratowaniem u góry, które również zamknęły się za nimi. Prąd powietrza idący im po plecach podtrzymywał wrażenie wilgoci wyraźnie odczuwane zarówno przez

Paula, jak i Jessikę. Kulaświętojańska w dłoniach Stilgara na czele oddziału opadła poniżej linii głów przed Paulem. Poczuł wkrótce pod nogami stopnie schodzące lewoskrętną spiralą. Odbite światło padało z dołu na zakapturzone głowy i wąż ludzi wijących się schodami w dół. Jessika wyczuwała narastanie napięcia w otaczających ją postaciach, przygniatająca cisza szarpała jej nerwy swoją natarczywością. Schody się skończyły i oddział minął następne drzwi. Światło kuli świętojańskiej pochłonęła wielka, otwarta przestrzeń pod wysoko sklepioną kopułą. Paul odkrył dłoń Chani na swoim ramieniu, usłyszał nikły odgłos kapania w chłodnym powietrzu, poczuł, jak Fremeni zamierają w bezruchu przed majestatem wody. Widziałem to miejsce we śnie — pomyślał. Ta myśl rozwiewała obawy i nadzieje zarazem. Gdzieś przed nim na owej drodze fanatyczne hordy wyrąbywały sobie w jego imieniu krwawą drogę przez wszechświat. Zielono — czarny sztandar Atrydów stanie się symbolem terroru. Szalone legiony rzucą się w bój, wznosząc pod niebo swój bojowy okrzyk: „Muad'Dib!" Nie może do tego dojść — myślał. — Nie mogę do tego dopuścić. Ale wyczuwał zaborczą świadomość rasy w swej jaźni, swoje własne straszliwe przeznaczenie i wiedział, że byle co nie zawróci tego molocha. Nabierało to już masy i pędu. Gdyby umarł w tym momencie, rzecz toczyłaby się dalej za sprawą jego matki i nie narodzonej jeszcze siostry. Nic tylko śmierć całego tu i teraz zebranego oddziału, nie wyłączając jego samego i jego matki, mogłaby to powstrzymać.

Paul rozejrzał się wokół siebie, zauważając, że kolumna rozwija się w szereg. Popchnięto go do przodu pod niską barierę wyciosaną w litej skale. Za barierą Paul zobaczył w świetle kuli Stilgara nieporuszone, ciemne lustro wody. Rozpościerała się przechodząc w cień — głęboka i czarna; ledwo widoczna po drugiej stronie ściana majaczyła w odległości może ze stu metrów.

Jessika czuła, jak ciągnienie suchej skóry na policzkach i czole ustępuje pod wpływem wilgoci. Staw był głęboki; miała wrażenie jego głębi i walczyła z pragnieniem zanurzenia dłoni. Z lewej strony rozległo się pluskanie. Spojrzała wzdłuż widmowej linii Fremenów i dostrzegła Stilgara ze stojącym przy nim Paulem oraz wodmistrzów opróżniających swój ładunek przez przepływomierz do stawu. Miernikiem było okrągłe, szare oko ponad obrzeżem stawu. Widziała wędrówkę świetlnego wskaźnika w miarę przepływu wody przez urządzenie, zobaczyła, jak wskazówka zatrzymuje się na trzydziestu trzech litrach, siedmiu drachmach i trzech trzydziestu drugich. Niesamowita dokładność wodnego pomiaru — pomyślała. I spostrzegła, że na ścianach rynny miernika nie pozostał nawet ślad wilgoci po spłynięciu wody. Woda odchodziła z owych ścian, jakby nie było siły adhezyjnej. Znalazła ostateczny klucz do fremeńskiej

techniki w tym prostym fakcie: oni byli perfekcjonistami.

Jessika przecisnęła się wzdłuż bariery do Stilgara. Ustępowano jej z drogi z naturalną kurtuazją. Zauważyła nieobecne spojrzenie Paula, lecz tajemnica tego wielkiego zbiornika wody opanowała jej myśli bez reszty. Stilgar obejrzał się za nią.

— Byli wśród nas tacy, którzy cierpieli z pragnienia — powiedział — jednak przyszedłszy tu nie tknęliby tej wody. Wiesz o tym?

— Wierzę w to — powiedziała.

Spojrzał na zbiornik.

— Mamy tu ponad trzydzieści osiem milionów dekalitrów wody — rzekł. — Obwarowane przed maleńkimi stworzycielami, ukryte i chronione.

— Skarb — powiedziała.

Stilgar uniósł kulę, by zajrzeć jej w oczy.

— To coś więcej niż skarb. Mamy tysiące takich ukrytych skarbów. Jedynie paru z nas wie o nich wszystkich.

Przekrzywił głowę na jedną stronę. Kula rzucała żółtomroczne lśnienie na jego twarz i brodę.

— Słyszysz to?

Nastawili uszu. Odgłos kapania wody wytrąconej z oddzielacza wiatru wypełnił całe pomieszczenie. Jessika spostrzegła, że wszyscy słuchają w ekstatycznym uniesieniu. Tylko Paul wydawał się przebywać gdzieś daleko. Dla niego ten dźwięk był jak tykanie, które odmierzało uchodzące chwile. Czuł, jak czas przepływa przez niego moment po momencie — nie do odzyskania. Czuł potrzebę podjęcia decyzji, ale nie znajdował siły, by wykonać najmniejszy ruch.

— Zostało wyliczone, ile potrzebujemy. Kiedy będziemy mieli tyle, zmienimy oblicze Arrakis.

Od strony oddziału doleciał ściszony szept odpowiedzi.

— *Bi-lal kaifa*.

— Schwytamy wydmy w zasiew traw — głos Stilgara potężniał. — Uwięzimy wodę w ziemi krzewów i drzew.

— *Bi-lal kaifa* — zaintonował oddział.

— Co roku cofa się lód polarny — powiedział Stilgar.

— *Bi-lal kaifa* — zaśpiewali.

— Uczynimy z Arrakis nasz dom — za pomocą soczewek topiących lód polarny, jezior w strefach umiarkowanych i z otwartą pustynią wyłącznie dla stworzyciela i jego przyprawy.

— *Bi-lal kaifa.*

— I żaden człowiek nigdy więcej nie będzie cierpiał z braku wody. Wystarczy, że zaczerpnie ze studni albo ze stawu, albo jeziora, albo kanału, a woda będzie jego. Będzie płynęła qanatami pojąc nasze rośliny. Będzie do wzięcia dla każdego człowieka. Wystarczy, że wyciągnie po nią dłoń, a woda będzie jego.

— *Bi-lal kaifa*.

Jessika wyczuła w tych słowach obrzęd religijny i zauważyła, że budzą w niej instynktowny nabożny lęk. Oni są w sojuszu z przyszłością — myślała. — Mają swój szczyt do zdobycia. To jest sen naukowca… i ci prości ludzie, ci chłopi są nim opętani. Jej myśli zwróciły się do Lieta — Kynesa, planetarnego ekologa Imperatora, człowieka, który się zasymilował, i zadumała się nad nim. To było marzenie usidlające ludzkie dusze i widziała w tym rękę ekologa. To było marzenie, za które ludzie ochoczo oddadzą życie. Następny z istotnych elementów tak potrzebnych jej synowi: ludzie z celem. Takich ludzi łatwo można zarazić żarliwością i fanatyzmem. Można by władać nimi jak mieczem, odbić dziedzictwo Paula.

— Odchodzimy już — rzekł Stilgar — i zaczekamy na wschód pierwszego księżyca. Kiedy Dżamis bezpiecznie wyruszy w swoją drogę, pójdziemy do domu.

Wśród szeptów, z ociąganiem, oddział zebrał się za nim w marszu powrotnym wzdłuż nadwodnej bariery i schodami w górę. A Paul, podążając za Chani, czuł, że kluczowy moment uciekł, że zaprzepaścił najważniejszą decyzję i wpadł w pułapkę własnego mitu. Wiedział, że oglądał to miejsce przedtem i był tutaj we fragmencie proroczego snu na odległym Kaladanie, lecz teraz miejsce to wypełniało się nie znanymi mu szczegółami. Na nowo zdumiał się ograniczeniami swego daru. Jakby płynął z falą czasu to na jej grzbiecie, to znów w dolinie, a ze wszystkich stron dokoła inne fale wznosiły się i opadały, ukazując i zaraz kryjąc to, co ze sobą niosły. Wśród tego wszystkiego nieustannie majaczyła przed nim wściekła dżihad, gwałty i rzezie. Jak cypel sterczący z fal przyboju.

Oddział wmaszerował gęsiego przez ostatnie drzwi do głównej groty. Zaparto drzwi. Światła wygaszono, z wylotów jaskini usunięto kaptury odsłaniając noc i gwiazdy, które wzeszły nad pustynią. Jessika przybliżyła się do suchego progu jaskini, podnosząc oczy na gwiazdy. Były wyraźne i bliskie. Docierała do niej krzątanina oddziału, słyszała gdzieś zza pleców strojenie balisety i mormorando Paula podającego ton. Nie spodobała jej się melancholia w jego głosie.

Z ciemności, z wnętrza groty, wdarł się głos Chani.

— Opowiedz mi o wodach swojej rodzinnej planety, Paulu Muad'Dibie.

I odpowiedź Paula:

— Innym razem, Chani. Obiecuję.

Jakiż, smutek.

— To dobra baliseta — powiedziała Chani.

— Bardzo dobra. Myślisz, że Dżamis ma coś przeciwko temu, żebym grał na niej?

On mówi o zmarłym w czasie teraźniejszym — pomyślała Jessika.

Zaniepokoiły ją związane z tym ukryte znaczenia.

Męski głos wtrącił:

— Lubił muzykę wczesną porą ten nasz Dżamis.

— Więc zaśpiewaj mi jakąś swoją pieśń — poprosiła Chani.

Jakaż kobieca kokieteria w tonie tego dziecka — pomyślała Jessika. — Muszę przestrzec Paula przed ich kobietami… i to szybko.

— To była pieśń mojego przyjaciela — powiedział Paul. — Sądzę, że już nie żyje, mój Gurney. Nazywał to swoją modlitwą wieczorną.

Oddział ucichł, zasłuchany w głos Paula wzbijający się słodkim, chłopięcym tenorem ponad dzwonienie i brzdąkanie balisety:

Żaru jest czas doglądania
gdy słońce chyli złotą skroń.
Budząca zmysły piżma woń
jest warta pamiętania.

Jessika czuła muzykę słów w swej piersi, pogańską i naładowaną dźwiękami, przywodzącą ją do gwałtownej i bolesnej świadomości samej siebie, doznań własnego ciała i jego potrzeb. Słuchała w pełnym napięcia milczeniu.

Noc requiem pereł śle…
w twoją dłoń!
Spojrzenia twe
ku mnie mkną.
Ku jakim kwiatom miłości
serca się rwą…
Ku jakim kwiatom miłości
pragnienia lgną…

I Jessika usłyszała pogłos ciszy brzęczącej w powietrzu ostatnią nutą. Dlaczego mój syn śpiewa miłosną pieśń dla tej dziewuszki? — Ogarnął ją nagły strach. Życie płynęło wokół niej, a ona nie trzymała w garści jego cugli. — Dlaczego wybrał tę pieśń? — nie mogła zrozumieć. — Instynkty są czasami autentyczne. Dlaczego on to zrobił?

Paul siedział bez słowa w ciemności; jego świadomość opanowała jedna wszechwładna myśl: moja matka jest moim wrogiem. Ona nie wie o tym, ale jest. Ona sprowadza dżihad. Ona mnie zrodziła. Ona mnie wyszkoliła. Ona jest moim wrogiem.

Pojecie postępu działa jako
mechanizm obronny chroniący nas przed

upiorami przyszłości.

ze „Złotych myśli Muad'Diba" zebranych przez księżniczkę Irulan

W swoje siedemnaste urodziny Feyd-Rautha Harkonnen zabił swego setnego niewolnika-gladiatora podczas rodowych igrzysk. Goście obserwatorzy z imperialnego dworu — hrabia i lady Fenring — bawiący z tej okazji na harkonneńskiej macierzystej planecie Giedi Prime, zostali zaproszeni tego popołudnia do zajęcia miejsc przy najbliższej rodzinie, w złotej loży ponad trójkątną areną. Na cześć urodzin barona i dla przypomnienia wszystkim Harkonnenom i poddanym, że Feyd-Rautha jest prawowitym dziedzicem, ogłoszono na Giedi Prime święto. Stary baron zarządził przerwę w pracy od południa do południa i uczyniono wysiłek, by w rodzinnym mieście Harko stworzyć pozory zabawy: z budynków powiewały flagi, ochlapano świeżą farbą mury wzdłuż Alei Dworskiej. Lecz poza główną trasą hrabia Fenring i jego pani zauważyli kupy śmieci, bure, złuszczone ściany przeglądające się w ciemnych kałużach ulicznych i ludzi przemykających ukradkiem.

W błękitnych murach cytadeli barona rzucała się w oczy przeraźliwa perfekcja, ale hrabia i jego pani widzieli, jaką cenę za to płacono — wszędzie straże i ów szczególny połysk broni, zdradzający wprawnemu oku, że jest ona w stałym użyciu. Posterunki kontrolujące normalny ruch pieszy z jednego rejonu do drugiego znajdowały się nawet w obrębie cytadeli. Wyszkolenie wojskowe znać było w sposobie poruszania się służby domowej, w sposobie trzymania ramion… w tym, jak jej oczy obserwowały, obserwowały i obserwowały.

— Presja się nasila — mruknął hrabia do żony w ich sekretnym języku. — Baron właśnie zaczyna dostrzegać prawdziwą cenę, jaką zapłacił za pozbycie się księcia Leto.

— Od czasu do czasu jestem zmuszona przypominać ci legendę o feniksie — odparła.

Znajdowali się w salonie recepcyjnym cytadeli czekając, by zabrano ich na rodowe igrzyska. Salon nie imponował wielkością, wszystkiego czterdzieści metrów długości i może połowa tego wszerz, lecz fałszywym kolumnom po bokach nadano kształt ostrego stożka, sufit zaś wznosił się łagodnym łukiem, co razem stwarzało iluzję o wiele większej przestrzeni.

— A-a-a-ch, oto i baron — rzekł hrabia.

Baron płynął przez salę tym osobliwym, rozkołysanym ślizgiem, zrodzonym z konieczności kierowania uwieszonym dryftów ciężarem.

Policzki podrygiwały mu w górę i w dół, dryfy podskakiwały i przemieszczały się pod pomarańczową szatą. Pierścienie migotały na jego dłoniach i lśniły wetkane w szatę opality. U boku barona kroczył Feyd-Rautha. Ciemne włosy miał ufryzowane w krótkie loki, których filuterność raziła nad ponurymi oczami. Nosił opiętą, czarną tunikę i obcisłe spodnie leciutko rozszerzone u dołu. Jego drobne stopy okrywały pantofle na miękkich podeszwach.

Obserwując postawę młodzieńca i falowanie niezawodnych mięśni pod tuniką hrabina Fenring pomyślała: ten nie pozwoli sobie na to, by obrosnąć sadłem. Baron zatrzymał się przed nimi i z miną posiadacza ujął ramię Feyda-Rauthy.

— Mój bratanek, na-baron, Feyd-Rautha Harkonnen — powiedział i zwracając niemowlęco pulchną twarz do Feyda-Rauthy dodał: — Hrabia i lady Fenring, o których ci mówiłem.

Feyd-Rautha pochylił głowę z obowiązującą kurtuazją. Oczy wlepił w hrabinę Fenring. Złotowłosa i wiotka, kryła doskonałość swej figury w powłóczystej szacie z surowej tkaniny, prostego kroju, bez żadnej ozdoby. Szarozielone oczy spoglądały na niego bez zmrużenia. Otaczał ją ten pogodny spokój Bene Gesserit, w którym młodzieniec wyczuwał nieuchwytny powód do niepokoju.

— Um-m-m-m-ach-hm-m-m-m — powiedział hrabia. Studiował Feyda-Rauthę.

— Jaki hum-m-m-m akuratny młody człowiek, ach, moja… hm-m-m-m… droga? — hrabia zerknął na barona. — Mój drogi baronie, powiadasz, że mówiłeś o nas temu akuratnemu młodzieńcowi. Co takiego mówiłeś?

— Mówiłem mojemu bratankowi o wielkim szacunku, jakim darzy cię nasz Imperator, hrabio Fenring — rzekł baron. Zapamiętaj go sobie dobrze, Feyd! Morderca o łagodności baranka to najgroźniejszy typ — myślał.

— Ależ oczywiście! — odparł hrabia i uśmiechnął się do żony.

Feyd-Rautha uznał ruchy i słowa tego człowieka niemalże za obraźliwe. Były o włos od jakiejś demonstracji, której nie dałoby się puścić mimo uszu. Młodzieniec skupił uwagę na hrabim, drobnym, anemicznie wyglądającym mężczyźnie. Twarz łasicy o za dużych ciemnych oczach. Siwizna na skroniach. I jego ruchy — robił gest dłonią lub odwracał głowę w jedną stronę, a mówił w drugą. Trudno było za tym nadążyć.

— Um-m-m-m-ach-h-h-hm-m-m… bardzo rzadko spotyka się taką… mm-m-m… akuratność — powiedział hrabia zwracając się do ramienia barona. — Ja… ach… gratuluję ci… hm-m-m… doskonałości twego… ach-h-h… dziedzica. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, można by rzec.

— Jesteś zbyt uprzejmy — powiedział baron. Pokłonił się, ale

Feyd-Rautha widział, że spojrzenie stryja nie idzie w parze z jego kurtuazją.

— Ironia… mm-m-m… wskazuje… ach-h-h… na… hm-m-m-m… głębię myśli — powiedział hrabia.

Znowu zaczyna — pomyślał Feyd-Rautha. — Wygląda to na zniewagę, a nie ma w tym właściwie nic, za co można zażądać satysfakcji. Słuchając tego człowieka Feyd-Rautha miał wrażenie, że przeciska się głową przez papkę „…um-m-mach-h-h-hm-m-m-m-ów". Skierował z powrotem całą uwagę na lady Fenring.

— Zabieramy… ach-h-h… zbyt wiele czasu temu, młodzieńcowi — powiedziała. — Rozumiem, że ma on dzisiaj wystąpić na arenie.

Na hurysy imperialnego haremu, jaka ona śliczna! — pomyślał Feyd-Rautha.

— Dziś zadam śmierć dla ciebie, o pani — powiedział. — Za twoim pozwoleniem zadedykuję to na arenie.

Odwzajemniła mu się łagodnym spojrzeniem, lecz jej głos był jak smagnięcie bata, gdy odpowiedziała:

— Nie daję ci mego pozwolenia.

— Feyd! — rzekł baron. A to diablę! — pomyślał. — Czy on chce, żeby ten piekielny hrabia wyzwał go na pojedynek?

Ale hrabia uśmiechnął się tylko i powiedział:

— Hm-m-m-m-um-m-m.

— Ty rzeczywiście musisz sposobić się na arenę, Feyd — rzekł baron. — Musisz być wypoczęty, nie możesz głupio ryzykować.

Feyd-Rautha skłonił się z poczerwieniałą od urazy twarzą.

— Jestem pewny, że wszystko będzie tak, jak sobie życzysz, stryju. — Skinął głową hrabiemu Fenringowi. — Sir. — I hrabinie Fenring. — Pani. — Odwróciwszy się maszerował z sali ledwo racząc zauważyć zebranych w grupkach pod dwuskrzydłowymi drzwiami przedstawicieli rodów niższych.

— Młodość, młodość… — westchnął baron.

— Um-m-m-m-ach… zaiste… hmmm… — powiedział hrabia.

A lady Fenring pomyślała: czy to możliwe, żeby to był ten młody człowiek, którego miała na myśli Matka Wielebna? Czy to jest linia genetyczna, którą musimy utrzymać?

— Minie ponad godzina, zanim udamy się na arenę — rzekł baron. — Może moglibyśmy uciąć sobie pogawędkę teraz, hrabio Fenring? — Przechylił swoją olbrzymią głowę w prawo. — Jest tyle nowych rzeczy do omówienia. — I pomyślał: zobaczymy teraz, jak imperatorski chłopiec na posyłki przekaże to, co ma do zakomunikowania, mu będąc na tyle gruboskórnym, by powiedzieć to bez ogródek.

Hrabia zwrócił się do żony:

— Um-m-m-m-ach-h-h-hm-m-m… wybaczysz… mm-m… nam…

ach-h-h… moja droga?

— Każdy dzień, niekiedy każda godzina przynosi coś nowego — powiedziała. — Mm-m-m-m.

I odchodząc uśmiechnęła się słodko do barona. Zaszeleściła jej długa suknia, kiedy wyprostowana oddalała się majestatycznym krokiem w kierunku dwuskrzydłych drzwi w końcu sali. Baron zauważył, jak na jej widok milkną wszelkie rozmowy wśród zebranych tam przedstawicieli rodów niższych, jak podążają za nią spojrzenia. Bene Gesserit! — myślał. — Świat byłby lepszy, gdyby je wszystkie potopić!

— Niedaleko między tymi dwiema kolumnami, z lewej strony, znajduje się stożek ciszy — powiedział. — Możemy tam mówić bez obawy, że ktoś podsłucha.

Kołysząc się jak kaczka ruszył w stronę dźwiękochłonnego pola: słyszał, jak stopniowo cichną i oddalają się hałasy cytadeli. Hrabia przysunął się do barona i obaj obrócili się twarzami do ściany, by nie można było czytać z ich warg.

— Nie jesteśmy zadowoleni ze sposobu, w jaki odprawiłeś sardaukarów z Arrakis — powiedział hrabia.

Nie owija w bawełnę! — pomyślał baron.

— Dalszy pobyt sardaukarów stwarzał groźbę, że inni dowiedzą się, w jaki sposób dopomógł mi Imperator — odparł.

— Wydaje się jednak, że twój kuzyn Rabban nie zajmuje się dość energicznie rozwiązaniem kwestii fremeńskiej — rzekł hrabia.

— Czego chce Imperator? — zapytał baron. — Na Arrakis nie mogła zostać więcej niż garstka Fremenów. Południowa pustynia nie nadaje się do zamieszkania. Północną regularnie przeczesują nasze patrole.

— Kto powiedział, że południowa pustynia nie nadaje się do zamieszkania?

— Wasz własny planetolog to powiedział, mój drogi hrabio.

— Ale doktor Kynes nie żyje.

— Tak, owszem… niestety.

— Mamy wieści z lotu nad południowymi regionami — powiedział hrabia. — Są tam ślady roślinnej wegetacji.

— Gildia pozwoliła zatem na obserwację z kosmosu?

— Nie udawaj naiwnego, baronie. Imperator nie może ustanowić legalnie nadzoru nad Arrakis.

— I ja nie mogę sobie na to pozwolić — rzekł baron. — Kto dokonał tego przelotu?

— Pewien… przemytnik.

— Ktoś ci nakłamał, hrabio — powiedział baron. — Przemytnicy wcale nie są lepsi w lotach nad południowymi regionami od ludzi Rabbana. Samumy, zakłócenia piaskowe i tak dalej, jak wiesz. Znaki

nawigacyjne padają szybciej, niż się nadąża z ich stawianiem.

— Odłóżmy dyskusję o rodzajach zakłóceń na kiedy indziej — powiedział hrabia. Aaaach — pomyślał baron.

— Znaleźliście zatem jakąś pomyłkę w moich księgach? — zapytał.

— Jeśli zakładasz, żeś się pomylił, nie możesz się bronić — zapowiedział hrabia.

Z premedytacją stara się mnie rozzłościć — pomyślał baron. Odetchnął głęboko dwa razy, aby się uspokoić. Poczuł zapach własnego potu i nagłe uwieranie i swędzenie od uprzęży drytów pod szatą.

— Imperator nie martwi się chyba śmiercią tej konkubiny i chłopca — powiedział. — Polecieli w pustynię. Był samum.

— Tak, było bardzo dużo szczęśliwych przypadków — zgodził się hrabia.

— Nie podoba mi się twój ton, hrabio — rzekł baron.

— Gniew to jedno, przelew krwi drugie — powiedział hrabia. — Pozwól, że cię przestrzegę: gdyby przytrafił mi się tutaj nieszczęśliwy wypadek, wszystkie wysokie rody dowiedzą się, co zrobiłeś na Arrakis. Od dawna podejrzewają, jak załatwiasz interesy.

— Tylko jeden interes przypominam sobie ostatnio — powiedział baron. — Przewiezienie paru legionów sardaukarów na Arrakis.

— Wydaje ci się, że mógłbyś tym trzymać Imperatora w szachu?

— Nawet by mi to nie przyszło do głowy!

Hrabia uśmiechnął się.

— Znajdą się dowódcy sardaukarów, którzy przyznają, że działali bez rozkazów, ponieważ mieli ochotę powojować z twoją fremeńską hołotą.

— Wielu by wątpiło w prawdziwość takiego wyznania — powiedział baron, ale groźba nim wstrząsnęła. Czy rzeczywiście sardaukarzy są aż tak posłuszni? — zastanawiał się.

— Imperator życzy sobie skontrolować twoje księgi — powiedział hrabia.

— W każdej chwili.

— Ty… ach… nie masz nic przeciwko temu?

— Nic. Moja pozycja dyrektora Kompanii KHOAM ostoi się najbardziej drobiazgowemu badaniu. — I baron pomyślał: Niech wniesie przeciwko mnie bezpodstawne oskarżenie i niech ono upadnie. Stanę tam jak Prometeusz i powiem: „Otom ja, posądzony niesłusznie”. I niech spróbuje potem wnieść jakiekolwiek inne oskarżenie przeciwko mnie nawet słuszne. Wysokie rody nie uwierzą w drugą napaść oskarżyciela, któremu raz udowodniono, że nie miał racji.

— Bez wątpienia twoje księgi ostoją się najbardziej

drobiazgowemu badaniu — mruknął hrabia.

— Dlaczego Imperator jest tak zainteresowany eksterminacją Fremenów? — zapytał baron.

— Pragniesz zmienić temat, hę? — hrabia wzruszył ramionami. — To sardaukarzy tego chcą, nie Imperator. Brakowało im praktyki w zabijaniu… i nie znoszą widoku nie dokończonego zadania.

Czy on zamierza mnie nastraszyć przypominając, że ma za sobą złaknionych krwi morderców? — zastanawiał się baron.

— Interesy zawsze są i były związane z pewnym przelewem krwi — powiedział — ale gdzieś musi być granica. Ktoś musi zostać do kopania przyprawy.

Hrabia wydał z siebie krótki, szczekliwy śmiech.

— Sądzisz, że zaprzęgniesz Fremenów do roboty?

— Do tego było ich zawsze za mało — powiedział baron. — Ale przelew krwi zaniepokoił resztę mojej ludności. Osiągnęła ona stan, w którym zastanawiam się nad nowym rozwiązaniem problemu Arrakis, mój drogi Fenring. I muszę wyznać, że Imperatorowi przypada zasługa tej inspiracji.

— Aaach.

— Widzisz, hrabio, zainspirowała mnie Salusa Secundus, więzienna planeta Imperatora.

Hrabia spojrzał na niego z błyskiem napięcia w oczach.

— Jakiż Arrakis może mieć związek z Salusa Secundus?

Baron widział czujność w spojrzeniu Fenringa.

— Żadnego, jak dotąd — powiedział.

— Jak dotąd?

— Musisz przyznać, że w ten sposób można by znacznie zwiększyć siłę roboczą na Arrakis, wykorzystując to miejsce na planetę więzienną.

— Spodziewasz się napływu więźniów?

— Panuje niepokój — przyznał baron. — Musiałem dość mocno dokręcić śrubę, Fenring. Ostatecznie wiesz, jaką cenę zapłaciłem tej przeklętej Gildii za transport naszych wspólnych sił na Arrakis. Skądś muszą się brać te pieniądze.

— Radzę ci nie wykorzystywać Arrakis na planetę więzienną bez zezwolenia Imperatora, baronie.

— Oczywiście, że nie — powiedział baron, zdumiewając się nagłym chłodem w głosie Fenringa.

— Druga sprawa — rzekł hrabia. — Dowiadujemy się, że mentat księcia Leto, Thufir Hawat nie zginął, lecz jest w twojej służbie.

— Nie mogłem zdobyć się na jego zmarnowanie — powiedział baron.

— Okłamałeś naszego komendanta sardaukarów mówiąc, że Hawat nie żyje.

— Jedno niewinne kłamstwo, mój drogi hrabio. Nie miałem ochoty na długie spory z tym człowiekiem.

— Czy Hawat był tym prawdziwym zdrajcą?

— Uchowaj Boże! Był nim fałszywy doktor. — Baron otarł pot z szyi. — Musisz zrozumieć, Fenring, że nie miałem mentata. Wiesz o tym. Nigdy nie obywałem się bez mentata. Wszystko mi się przez to waliło. To było nie do zniesienia.

— Jak ci się udało zmusić Hawata do zmiany pana?

— Jego książę nie żył. — Baron zmusił się do uśmiechu. — Nie ma się czego obawiać ze strony Hawata, mój drogi hrabio. Ciało tego mentata zostało nasycone utajoną trucizną. Podajemy mu antidotum w posiłkach. Bez antidotum trucizna się wyzwala, zmarłby w parę dni.

— Odstawcie antidotum — powiedział hrabia.

— Ale on jest pożyteczny!

— I wie o zbyt wielu sprawach, o których żaden żywy człowiek nie powinien wiedzieć.

— Powiedziałeś, że Imperator nie obawia się zdemaskowania.

— Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, baronie!

— Wykonam ten rozkaz, kiedy zobaczę na nim imperialną pieczęć — rzekł baron. — Ale nie zastosuję się do twego widzimisię.

— Uważasz to za widzimisię?

— A cóż innego? Imperator ma również i wobec mnie zobowiązania, Fenring. Uwolniłem go od kłopotliwego księcia.

— Przy pomocy kilku sardaukarów.

— A gdzieżby Imperator znalazł inny ród gotów dostarczyć mundurów do przebrania, by ukryć jego rolę w tej sprawie?

— On zadaje sobie to samo pytanie, lecz z nieco inaczej rozłożonym akcentem.

Baron przyjrzał się Fenringowi, zauważając sztywność mięśni jego szczęk i to, jak starannie nad sobą panuje.

— Aaach tak — powiedział. — Mam nadzieję, że Imperatorowi nie wydaje się, że zdoła wystąpić przeciwko mnie w całkowitej tajemnicy.

— On ma nadzieję, że to nie będzie konieczne.

— Imperator chyba nie wierzy w to, że mu zagrażam. — Baron pozwolił, by w jego słowach zabrzmiały gniew i uraza. Niechby mnie o to oskarżył! — pomyślał. — Mógłbym dojść do tronu bijąc się przez cały czas w piersi, żem niesłusznie obwiniony.

Głos hrabiego brzmiał oschle i jakby z oddali:

— Imperator wierzy w to, co mu dyktuje rozum.

— Czy Imperator ośmieliłby się oskarżyć mnie o zdradę przed pełną Radą Landsraadu? — I baron wstrzymał oddech marząc, żeby tak się stało.

— Imperator nie potrzebuje się na nic ośmielać.

Baron odwrócił się w swoich dryfach, by ukryć wyraz twarzy. To mogłoby nastąpić za mojego życia! — myślał. — Imperator! Niech mnie oskarży! Potem tylko… przekupstwem i siłą przyciągnąć do siebie wysokie rody: zbiegną się pod moim sztandarem jak szukający ratunku chłopi. Niczego się tak nie obawiają, jak tego, że Imperator napuści swoich sardaukarów na każdy ród z osobna.

— Imperator żywi szczerą nadzieję, że nie będzie nigdy zmuszony oskarżyć cię o zdradę — rzekł hrabia.

Baron miał trudności z powstrzymaniem się od ironii i przekazaniem w głosie jedynie urazy, ale sobie poradził.

— Zawsze byłem najwierniejszym poddanym. Te słowa ranią mnie bardziej, niż potrafię to wyrazić.

— Um-m-m-m-ach-hm-m-m — powiedział hrabia.

Baron odgrodzony plecami od hrabiego, pokiwał głową. Po chwili rzekł:

— Pora udać się na arenę.

— Rzeczywiście — zgodził się hrabia.

Opuścili stożek ciszy i ramię przy ramieniu pomaszerowali w stronę grupek rodów niższych w końcu sali. Gdzieś w cytadeli dzwon zaczął z wolna wybijać dwadzieścia minut do spotkania na arenie.

— Rody niższe czekają, abyś je poprowadził — powiedział hrabia skinąwszy głową ludziom, do których się zbliżali.

Dwuznaczniki… dwuznaczniki — pomyślał baron. Podniósł oczy na nowe talizmany po bokach wyjścia z sali — spreparowany łeb byka i olejny portret starego księcia Atrydy, ojca nieżyjącego księcia Leto. Napełniły one barona dziwnie natrętnymi złymi przeczuciami i zastanawiał się, jakie myśli te talizmany wzbudzały w księciu Leto, kiedy wisiały w salach Kaladanu, a później na Arrakis — pełen brawury ojciec i łeb byka, który go zabił.

— Rodzaj ludzki zna… ach… jedną zaledwie… mm-m-m… sztukę — powiedział hrabia, kiedy zebrawszy swój paradny orszak wyszli z sali do poczekalni, wąskiego pomieszczenia z oknami pod sufitem i szachownicą białych i purpurowych kafli na podłodze.

— I jakaż to sztuka? — zapytał baron.

— To jest… um-m-m-a-h-h… sztuka… ach-h-h… rozczarowania — powiedział hrabia.

Przedstawiciele rodów niższych z bojaźnią w twarzach i gorliwością roześmieli się za ich plecami uderzając we właściwy ton uznania, ale zabrzmiał on dysonansem w kolizji z niespodziewanym rykiem silników, który wdarł się po otwarciu przez paziów drzwi zewnętrznych prosto na rząd naziemnych pojazdów z łopocącymi w powiewie wstęgami proporców. Baron podniósł głos ponad nagły hałas.

— Mam nadzieję, że nie będziesz rozczarowany dzisiejszym

występem mojego bratanka, hrabio Fenring.

— Ja… ach-h-h… jestem um-m-m… cały w nastroju radosnego wyczekiwania, o tak — powiedział hrabia. — Zawsze należy w… ach-h-h… protokole… um-m-mach-h-h… zwrócić uwagę ach-h-h… na nadawcę.

Zaskoczony baron zesztywniał nagle, maskując to potknięciem się na pierwszym stopniu schodków. Protokół! Przecież to donos o zbrodni przeciwko Imperium!

Ale hrabia chichocząc klepnął barona po ramieniu, by wyglądało to na żart. Jednak przez całą drogę do amfiteatru baron rozpierając się w salonce swego pancernego pojazdu rzucał ukradkiem spojrzenia na siedzącego obok hrabiego i zastanawiał się, po co imperatorski chłopiec na posyłki uważał za konieczne zażartować w ten sposób na oczach rodów niższych. Oczywiste było, że Fenring rzadko robił cokolwiek, czego nie uznawał za konieczne, ani nie używał dwóch słów, gdy wystarczyło jedno, ani nie trzymał się jednego znaczenia w jednym zwrocie.

Zasiedli w złotej loży ponad trójkątem areny, w zgiełku rogów, wśród powiewających proporców i wrzawy ludzi szczelnie wypełniających rzędy nad nimi i dokoła, kiedy baron otrzymał odpowiedź.

— Mój drogi baronie — powiedział hrabia, nachylając się nisko do jego ucha — wiesz przecież, że Imperator oficjalnie nie dał sankcji na twój wybór dziedzica?

Baron poczuł, że się nagle znalazł w swoim własnym stożku ciszy, powstałym z szoku, jakiego doznał. Zagapił się na Fenringa, ledwo zauważając hrabinę przechodzącą przez straże powyżej, by dołączyć do towarzystwa w złotej loży.

— To jest prawdziwy powód, dla którego tu dzisiaj jestem — rzekł hrabia. — Imperator życzy sobie, bym mu doniósł, czy wybrałeś godnego następcę. Nic tak nie odziera z maski jak arena, prawda?

— Imperator obiecał mi swobodę wyboru dziedzica! — warknął baron.

— To się okaże — powiedział Fenring i odwrócił się na powitanie żony. Siadając obdarzyła barona uśmiechem, po czym zwróciła uwagę ku piaszczystej arenie pod nimi, na której pojawił się Feyd-Rautha w pantoflach i trykocie, z długą klingą w obleczonej w czarną rękawicę prawej dłoni i krótkim nożem w lewej dłoni, na której miał białą rękawicę.

— Biel dla trucizny, czerń dla czystości — odezwała się lady Fenring. — Ciekawy obyczaj, nieprawdaż, mój kochany?

— Um-m-m-m — powiedział hrabia.

Na balkonach zajętych przez rodzinę wybuchła owacja powitalna i Feyd-Rautha przystanął na jej przyjęcie, spoglądając w górę i

obrzucając wzrokiem twarze swoich pociotków i podciotków, półbraci, konkubin i spowinowaconych out-frein. Ileż różowych jak rozwarte dzioby ust trajkotało pośród łopotania barwnych strojów i flag. Feydowi-Raucie przyszło nagle na myśl, że te rzędy stłoczonych twarzy patrzyłyby równie chciwie na jego krew jak na krew niewolnika — gladiatora. Nie było żadnej wątpliwości co do wyniku tej walki, rzecz jasna. Tutaj istniała jedynie forma niebezpieczeństwa, bez treści… jak dotąd…

Feyd-Rautha podniósł ostrza do słońca, salutując starożytnym obyczajem trzem rogom areny. Krótki nóż w dłoni w białej rękawicy (biel na znak trucizny) powędrował do pochwy pierwszy. Następnie długa klinga w dłoni o czarnej rękawicy — czyste ostrze, które teraz było nieczyste, tajna broń, która miała ten dzień obrócić w ściśle osobiste zwycięstwo: trucizna na czarnej klindze.

Chwilę tylko zajęła mu regulacja tarczy na ciele i przerwa, aż poczuje naprężenie skóry na czole upewniające go, że jest odpowiednio chroniony.

Moment ten miał swój dramatyzm, który Feyd-Rautha wyeksploatował z wprawą zawodowego aktora, kłaniając się swoim banderillerom i sekundantom, taksującym okiem sprawdzając ich ekwipunek: łańcuchy z ostrymi i połyskliwymi kolcami były na miejscu, na zadziorach i hakach powiewały błękitne serpentyny. Feyd-Rautha dał znak muzykantom. Rozległ się powolny marsz, pełen starożytnej gali i Feyd-Rautha powiódł swą ekipę na przełaj przez arenę, by złożyć hołd stryjowi u stóp jego loży. Pochwycił rzucony mu symboliczny klucz w locie. Muzyka urwała się. W nagłej ciszy Feyd-Rautha cofnął się o dwa kroki, uniósł klucz i zawołał:

— Składam ten oto hołd…

I zawiesił głos wiedząc, że jego stryj pomyśli: młody dureń zadedykuje to w końcu hrabinie i wywoła awanturę.

— … memu stryjowi i patronowi, baronowi Vladimirowi Harkonnenowi! — krzyknął Feyd-Rautha.

I z zachwytem odnotował westchnienie stryja. Muzyka podjęła szybki marsz, zaś Feyd-Rautha poprowadził swych ludzi kłusem z powrotem przez arenę pod awaryjne drzwi, dostępne jedynie dla tych, którzy nosili właściwą wstęgę identyfikacyjną. Feyd-Rautha szczycił się tym, że nigdy nie skorzystał z awa-drzwi i rzadko potrzebował sekundantów. Ale dobrze było wiedzieć, że są dziś pod ręką — szczególne plany wiązały się czasem ze szczególnym niebezpieczeństwem. Na arenie ponownie zapadła cisza.

Feyd-Rautha odwrócił się stając twarzą do ogromnych czerwonych drzwi po przeciwnej stronie, z których wyłonić się miał gladiator. Szczególny gladiator. Plan obmyślony przez Thufira Hawata jest cudownie prosty i jasny — myślał Feyd-Rautha. Niewolnik nie

będzie oszołomiony narkotykiem — to było właśnie niebezpieczeństwem. Zamiast tego wbito w podświadomość owego człowieka słowo — klucz, które miało mu w odpowiednim momencie porazić mięśnie. Feyd-Rautha obrócił to fatalne słowo w myśli, literując je bezgłośnie: „Wesz". Publiczności będzie się wydawać, że nie oszołomiony narkotykiem niewolnik został przemycony na arenę, by zabić barona. Zaś wszelkie starannie zaaranżowane poszlaki prowadzić będą do mistrza niewolników.

Od serwomotorów czerwonych drzwi, włączonych na otwarcie, doleciało ciche buczenie. Feyd-Rautha całą swą świadomość skupił na tych drzwiach. Pierwszy moment był przełomowy. Wygląd wynurzającego się gladiatora tyle mówił wyszkolonemu oku, że więcej nie trzeba było wiedzieć. Wszyscy gladiatorzy z zasady byli pod wpływem narkotyku elakka, wkraczali w pozycji bojowej, gotowi przelewać krew, ale należało obserwować, jak ważą nóż, którym bokiem ustawiała się do obrony, czy rzeczywiście są świadomi publiczności w lożach. Sposób przechylenia głowy niewolnika mógł udzielić stanowiącej o życiu i śmierci wskazówki co do odpowiedzi i finty.

Czerwone drzwi rozwarły się na oścież. Wypadł z nich wysoki, muskularny mężczyzna z ogoloną głową, z oczami w ciemnych dołach. Jego skóra miała kolor marchwi, jaki powinna mieć po narkotyku elakka, lecz Feyd-Rautha wiedział, że to farba. Niewolnik był ubrany w zielone trykoty i czerwony pas semitarczy, ze strzałką pasa skierowaną w lewo na znak, że jego lewy bok jest osłonięty. Nóż trzymał niczym miecz, lekko odchylony na zewnątrz, w pozycji wyszkolonego wojownika. Powoli wysunął się na arenę, obracając chroniony bok do Feyd-Rauthy i grupy pod awa-drzwiami.

— On mi coś podejrzanie wygląda — odezwał się któryś z banderillerów Feyda-Rauthy — Pewien jesteś, że dostał narkotyk, mój panie?

— Ma kolor — rzekł Feyd-Rautha.

— Jednak staje jak wojownik — powiedział inny sekundant.

Feyd-Rautha wyszedł o dwa kroki na piasek i przypatrywał się niewolnikowi.

— Co on zrobił ze swoją ręka? — zapytał jeden z naganiaczy.

Spojrzenie Feyda-Rauthy powędrowało do krwawego draśnięcia na lewym przedramieniu mężczyzny i zsunęło się aż do dłoni, wskazującej rysunek wymalowany krwią na lewej nogawicy zielonych trykotów — jakiś mokry kształt na udzie: uproszczony kontur jastrzębia.

Jastrząb!

Feyd-Rautha podniósł wzrok na ciemne oczodoły i ujrzał w nich gorejące oczy utkwione w sobie z niezwykłą czujnością. To musi być

któryś z żołnierzy księcia Leto pojmanych na Arrakis! — pomyślał — To nie jest zwykły gladiator! Przeszył go chłód; zastanawiał się, czy aby Hawat nie miał innego planu w związku z tą areną — w fincie finta w fincie. I mistrz niewolników jako jedyny winowajca!

Główny sekundant Feyda-Rauthy nachylił się do jego ucha:

— Nie podoba mi się ta gęba, mój panie. Pozwól mi wsadzić mu ze dwie banderille w ramię z nożem, na próbę.

— Sam mu wsadzę — powiedział Feyd-Rautha.

Wziął od sekundanta parę długich, zakończonych haczykami strzał i podniósł je sprawdzając wyważenie. W owych banderillach również z zasady był narkotyk, lecz nie tym razem, i za to główny sekundant mógł zapłacić życiem. Ale to wszystko stanowiło część planu. „Wyjdziesz z tego bohaterem" — powiedział Hawat — „zabijając w pojedynku swego gladiatora pomimo zdrady. Mistrz niewolników zostanie stracony i twój człowiek zajmie jego miejsce".

Feyd-Rautha zrobił pięć kolejnych kroków w głąb areny, jak najdłużej przeciągając ten moment, studiując niewolnika. Wiedział, że znawcy w lożach ponad nim już uświadomili sobie, że coś jest nie tak. Gladiator miał prawidłowe zabarwienie skóry człowieka w narkotycznym transie, lecz nie cofał się, ani nie dygotał. Wytrawni kibice zapewne poszeptują już między sobą: Popatrzcie na jego postawę. Powinien być podniecony, atakować albo się cofać. Patrzcie, jak oszczędza sił, jak wyczekuje. Nie powinien wyczekiwać.

Feyd-Rautha poczuł ogień własnego podniecenia. Co mi tam zdrada w sercu Hawata — myślał. — Dam sobie radę z tym niewolnikiem. To mój długi nóż kryje tym razem truciznę, nie krótki. Nawet Hawat o tym nie wie.

— Hej, Harkonnen — zawołał niewolnik — Czy jesteś gotów na śmierć?

Nad areną zaległa martwa cisza. Niewolnicy nie rzucają wyzwania! Feyd-Rautha widział teraz wyraźnie oczy gladiatora, dostrzegł w nich zimną zawziętość rozpaczy. Odnotował pozycję, w jakiej ten człowiek stał, rozluźniony, a zarazem w pogotowiu, z mięśniami szykującymi się do zwycięstwa. Niewolnicza poczta pantoflowa przyniosła mu wiadomość od Hawata „Otrzymasz uczciwą szansę zabicia na-barona". Tyle ze spisku zgadzało się zatem z planem. Po ustach Feyda-Rauthy przemknął nieszczery uśmiech. Wzniósł banderille widząc powodzenie swych zamiarów w postawie przyjętej przez gladiatora.

— Olé! Olé! — rzucił wyzwanie niewolnik i podkradł się dwa kroki do przodu.

Nikt na balkonach nie może mieć wątpliwości — pomyślał Feyd-Rautha.

Ten niewolnik powinien być półkaleką od narkotycznego

przerażenia. Każdym ruchem powinien zdradzić swoje wewnętrzne przekonanie, że nie ma dla niego w tej walce nadziei, że nie ma dla niego zwycięstwa. Powinien być naszpikowany opowieściami o truciznach, jakie na-baron dobiera do ostrza trzymanego w dłoni o białej rękawiczce. Na-baron nigdy nie zadawał szybkiej śmierci; na-baron lubował się w demonstrowaniu rzadkich trucizn, potrafił stać na arenie zwracając uwagę widzów na interesujące objawy uboczne u ofiary. Po tym niewolniku znać było lęk, owszem, ale nie przerażenie. Podnosząc wysoko banderille Feyd-Rautha kiwnął głową niemalże powitalne.

Gladiator skoczył. Jego finta i odpowiedź były tak znakomite, że lepszych Feyd-Rautha nigdy nie spotkał. Odmierzony w czasie cios z boku cudem nie przeciął na-baronowi ścięgien lewej nogi. Feyd-Rautha odtańczył unik, pozostawiając nałożone kolcami drzewce w prawym przedramieniu niewolnika, z całkowicie pogrążonymi w ciele hakami, których nie sposób by wyciągnąć nie rozrywając ścięgien. Z balkonów dobiegło jedno wspólne westchnienie. Dźwięk ten napełnił Feyd-Rauthę uniesieniem. Wiedział, co przeżywa teraz jego stryj siedząc tam wysoko z Fenringami, obserwatorami dworu imperialnego. Nie można było interweniować w tej walce. W obecności świadków należało zachować formy. A baron interpretuje wydarzenia na arenie tylko w jeden sposób: jako groźbę dla własnej osoby.

Niewolnik cofnął się trzymając nóż w zębach i przywiązał kolczaste drzewce serpentyną do ramienia.

— Nie czuję twego żądła! — krzyknął.

Z nożem w pogotowiu na nowo zaczął się podkradać wystawiając lewy bok cały odchylony do tyłu, by do maksimum wykorzystać powierzchnię ochronną półtarczy. Te poczynania również nie umknęły balkonom. Z lóż rodziny rozległy się donośne okrzyki. Sekundanci Feyda-Rauthy wołali dopytując się, czy ich nie potrzebuje. Gestem odprawił ich z powrotem pod awa-drzwi. Urządzę im widowisko, jakiego jeszcze nie oglądali — myślał. — Żadne tam gładkie zabójstwo, którego styl mogliby podziwiać rozparci w lożach. To będzie coś, od czego skręcą im się trzewia. Kiedy zostanę baronem, przypomną sobie ten dzień i nie będzie wśród nich nikogo, kto nie zadrży ze strachu przede mną na to wspomnienie.

Feyd-Rautha z wolna ustępował pola nacierającemu jak krab gladiatorowi. Piasek areny chrzęścił mu pod stopami. Słyszał sapanie niewolnika, czuł zapach własnego potu i nieuchwytną woń krwi w powietrzu.

Na-baron cofał się stale na prawą nogę, ze swoją drugą banderillą w pogotowiu. Niewolnik tańczył na boki. Wyglądało na to, że Feyd-Rautha się potknął, doleciały go wrzaski z galerii. Niewolnik skoczył

po raz drugi. Bogowie, cóż za wojownik — pomyślał uskakując Feyd-Rautha. Ocaliła go jedynie młodzieńcza zwinność, jednak pozostawił drugą banderillę zatopioną w mięśniu naramiennym prawej ręki niewolnika.

Z balkonów buchnęły grzmiące owacje. Mnie wiwatują — pomyślał Feyd-Rautha. Słyszał w głosach szaleństwo, dokładnie tak, jak przepowiedział Hawat. Nigdy przedtem nie wiwatowali wojownikowi z rodziny w ten sposób. I z ponurą zjadliwością zamyślił się nad czymś, co mu powiedział Hawat: „Najłatwiej przestraszyć się przeciwnika, którego się podziwia".

Feyd-Rautha pospiesznie zrejterował na środek areny, gdzie wszyscy mogli go dobrze widzieć. Dobył długiego ostrza, pochylił się i czekał na zbliżającego się niewolnika. Mężczyzna zwolnił tylko na tyle, by przybandażować do ramienia drugą banderillę, po czym rzucił się w pościg.

Niechaj rodzina przyjrzy się, jak to robię — pomyślał Feyd-Rautha. — Jestem ich przeciwnikiem: niech myślą o mnie tak, jak mnie teraz widzą. — Dobył krótkiego ostrza.

— Nie boję się ciebie, harkonneńska świnio — powiedział gladiator. — Twoje tortury nie zranią człowieka martwego. Mogę paść trupem od własnego noża, zanim sekundant położy palec na moim ciele. I ciebie zabiorę na tamten świat ze sobą.

Feyd-Rautha wyszczerzył w uśmiechu zęby, wysuwając tym razem długą, zatrutą klingę.

— Spróbuj tego — powiedział i drugą ręką wykonał fintę krótkim ostrzem.

Niewolnik przerzucił nóż do drugiej dłoni, obszedł zarówno paradę, jak i fintę, i uchwycił dłoń w białej rękawiczce blokując nabaronowi krótki nóż, który, jak nakazywała tradycja, powinien kryć truciznę.

— Umrzesz, Harkonnen — sapnął gladiator.

Wodzili się na boki po pasku. Miejsce styku tarczy Feyda-Rauthy z półtarczą niewolnika jarzyło się błękitnie. Ozon z tarcz rozchodził się w powietrzu dokoła.

— Giń od swojej własnej trucizny! — wychrypiał niewolnik.

Zaczął wykręcać dłoń w białej rękawiczce do wewnątrz, odwracając ostrze, które uważał za zatrute. Niechaj to zobaczą! — pomyślał Feyd-Rautha. Opuścił długą klingę, usłyszał jej daremny brzęk na kolczastej strzale przywiązanej do ramienia niewolnika. Przeżył chwilę rozpaczy. Nie spodziewał się, że najeżone kolcami drzewca przyniosą korzyść niewolnikowi. A one dały mu drugą tarczę. I siła tego gladiatora! Krótkie ostrze wykręciło się nieubłagalnie do wewnątrz i Feyd-Rautha skupił uwagę na fakcie, że człowiek może tak samo zginąć od nie zatrutego noża.

— Wesz! — wykrztusił Feyd-Rautha.

Na słowo — klucz mięśnie gladiatora posłusznie zwiotczały na moment. To wystarczyło Feuydowi-Raucie. Zwiększył odstęp pomiędzy nimi na tyle, by użyć długiej klingi. Zatruty sztych śmignął rysując czerwoną krechę przez pierś niewolnika. Trucizna niosła natychmiastową agonię. Mężczyzna uwolnił się i zatoczył do tyłu. Teraz niech moja droga rodzinka patrzy — myślał Feyd-Rautha. — Niech się zastanowi nad tym niewolnikiem, który próbował wykręcić zatruty, jak sądził, nóż i zwrócić go przeciwko mnie. Niech się dziwią, w jaki sposób mógł wyjść na tę arenę gladiator przygotowany do takiej próby. I niechaj zawsze pamiętają, że nigdy nie będą pewni, w której z moich dłoni jest trucizna. — Feyd-Rautha stał w milczeniu śledząc powolne ruchy niewolnika. Mężczyzna poruszał się w obrębie zawężonej świadomości. Na jego twarzy było teraz coś ortograficznie łatwego do rozpoznania dla każdego obserwatora. Była tam wypisana śmierć. Niewolnik wiedział, że mu ją zadano, i wiedział, jak to się stało. Trucizna była na niewłaściwym ostrzu.

— Ty draniu! — jęknął.

Feyd-Rautha cofnął się robiąc miejsce dla śmierci. Paraliżujący narkotyk w truciźnie jeszcze nie w pełni poskutkował, lecz powolność tego człowieka świadczyła o czynionych przez nią postępach. Niewolnik chwiejnie ruszył do przodu, jakby pociągany za sznurek, wlokąc się krok po kroku. Każdy taki krok był jednym jedynym stąpnięciem w jego wszechświecie. Nadal ściskał nóż, ale koniec ostrza chwiał się niepewnie.

— Ktoś… z nas… dostanie… cię… kiedyś — wyszeptał.

Smutny, kruchy grymas wykrzywił mu usta. Usiadł, legł, zesztywniał nagle i odkręcił się od Feyda-Rauthy na brzuch. Feyd-Rautha zbliżył się wśród ciszy, wsunął palec nogi pod gladiatora i przeturlał go na plecy, aby z balkonów widziano wyraźnie twarz, kiedy mięśnie zaczną się na niej skręcać i wykrzywiać pod wpływem trucizny. Ale gladiator obrócił się razem ze swym nożem sterczącym mu z piersi. Pomimo zawodu Feyd-Rautha odczuwał w głębi ducha pewien podziw dla wysiłku, na jaki zdobył się ten niewolnik przezwyciężając paraliż, by sobie to zrobić. Wraz z podziwem przyszła świadomość,że było w tym coś, czego trzeba się bać naprawdę. To, co czyni człowieka nadczłowiekiem, jest przerażające. — Kiedy skupił się na tej myśli, dotarł do niego wybuch wrzawy z lóż i galerii wokół areny. Wiwatowano bez opamiętania.

Feyd-Rautha odwrócił się podnosząc na nich oczy. Wiwatowali wszyscy prócz barona, który z brodą wspartą na dłoni siedział w głębokiej zadumie, oraz hrabiego i lady Fenring, którzy oboje spoglądali na niego z góry z uśmiechami przylepionymi do twarzy. Hrabia zwrócił się do żony.

— Ach-h-h-um-m-m… zaradny… um-m-m… młodzieniec, co… mm-m-m… moja droga?

— Jego reakcje synaptyczne są bardzo szybkie — powiedziała.

Baron popatrzył na nią, na hrabiego, z powrotem na arenę. Żeby komuś udało się tak dobrać do jednego z moich bliskich — myślał. Strach zaczął ustępować wściekłości. — Wieczorem upiekę na wolnym ogniu mistrza niewolników… a jeśli ten hrabia i jego pani maczali w tym palce…

Dla Feyda-Rauthy rozmowa w loży barona była jedynie pantomimą, gdyż głosy utonęły w skandowaniu i przytupywaniu, dochodzącym teraz ze wszystkich stron:

— Głowa! Głowa! Głowa! Głowa!

Baron nachmurzył się widząc, w jaki sposób Feyd-Rautha spogląda ku niemu. Ociężale, z trudem panując nad wściekłością, skinął dłonią młodzieńcowi stojącemu na arenie naci rozciągniętym ciałem niewolnika. Dajmy chłopcu głowę. Zasłużył na nią demaskując mistrza niewolników.

Feyd-Rautha dostrzegł znak przyzwolenia. Myślą, że to dla mnie zaszczyt. Niech zobaczą, co ja myślę. Spostrzegłszy swych sekundantów nadchodzących z zębatym nożem, by mu oddać honory, odprawiłich gestem, powtarzając gest, kiedy się zawahali. — Myśli, że mnie uhonorują samą głową!

Pochylił się i skrzyżował ręce gladiatora wokół sterczącej rękojeści noża, następnie wyjął nóż i umieścił go w bezwładnych dłoniach. Wykonał to w mgnieniu oka i prostując się kiwnął na sekundantów.

— Pochowajcie tego niewolnika nie tkniętego, z nożem w dłoniach — powiedział. — Ten człowiek na to zasłużył.

W złoconej loży hrabia Fenring nachylił się do barona.

— Wielki to gest, prawdziwa brawura — powiedział. — Twój bratanek ma i klasę, i odwagę.

— Obraża tłum nie przyjmując głowy — mruknął baron.

— Nic podobnego — odezwała się hrabina Fenring.

Odwrócona rozglądała się po galeriach w górze. Baron zauważył kształt jej szyi, zaiste cudowną, jak u młodego chłopca, płynność mięśni.

— Podoba mi się to, co zrobił twój bratanek — powiedziała.

Podczas gdy sens gestu Feyda-Rauthy przenikał do najodleglejszych miejsc i gdy ludzie spoglądali na sekundantów wynoszących nietknięte ciało gladiatora, obserwujący ich baron zdał sobie sprawę, że prawidłowo zrozumiała reakcję ludzi. Szaleli poklepując się wzajemnie, wyjąc i tupiąc. Baron przemówił bezbarwnym głosem:

— Będę musiał zarządzić festyn. Nie można rozpuścić ludzi do

domów w takim stanie, z nie wyładowaną energia. Muszą zobaczyć, że podzielam ich upojenie.

Dał ręką znak swemu gwardziście na górze i ten zasalutował ponad lożą pomarańczowym proporcem Harkonnenów — raz, dwa razy, trzy razy — sygnał oznaczający festyn. Feyd-Rautha przeszedłszy arenę stanął pod złotą lożą, z bronią w pochwie z rękoma opuszczonymi po bokach. Ponad nie cichnącą wrzawą tłumu zawołał:

— Festyn, stryju?

Wrzawa zaczęła opadać, ludzie uspokoili się, gdy dostrzeżono ich rozmowę.

— Na twoja cześć, Feyd! — zawołał z góry baron, I ponownie dał znak opuszczeniem proporca. Po drugiej stronie areny zrzucano awa-bariery i młodzi ludzie zeskakiwali na piasek pędząc ku Feydowi-Raucie.

— Kazałeś opuścić awa-tarczę, baronie? — spytał hrabia.

— Nikt chłopaka nie skrzywdzi — powiedział baron. — Jest bohaterem.

Pierwsi z szarżującego tłumu dosięgli Feyda-Rauthę i podnieśli go na ramionach, ruszając w rundę wokół areny.

— Dzisiejszej nocy może spacerować bez broni i tarczy po najbiedniejszych dzielnicach Harko — rzekł baron. — Podzielą się z nim ostatnim kęsem jadła i napojem, żeby tylko był z nimi.

Baron uniósł się z krzesła przenosząc swój ciężar na dryfy.

— Proszę mi wybaczyć. Wzywają mnie nie cierpiące zwłoki sprawy. Straż odprowadzi was do cytadeli.

Hrabia podniósł się składając ukłon.

— Oczywiście, baronie. Z niecierpliwością wyglądamy festynu. Ja… ach-h-hmm-m-m-m… nigdy nie widziałem harkonneńskiego festynu.

— Właśnie — powiedział baron. — Festyn.

Odwrócił się i opuścił lożę prywatnym wyjściem, otoczony czekającą tam strażą przyboczną. Kapitan gwardii skłonił się przed hrabią Frenringiem.

— Co rozkażesz panie?

— Zaczekamy…ach-h-h… aż przejdzie… mm-m-m… najgorszy… um-m-m… ścisk — powiedział hrabia.

— Tak jest, mój panie.

Mężczyzna cofnął się trzy kroki w niskim ukłonie.

Hrabia Fenring obrócił twarz do małżonki, odzywając się ponownie w ich osobistym języku.

— Zauważyłaś to oczywiście?

— Chłopak wiedział, że gladiator nie będzie po narkotyku. Przeżył chwilę strachu, tak, ale nie zaskoczenia.

— To było ukartowane — powiedział. — Całe to przedstawienie.

— Bez wątpienia.

— To śmierdzi Hawatem.

— Jak najbardziej — powiedziała.

— Zażądałem wcześniej, żeby baron zlikwidował Hawata.

— To był błąd, mój drogi.

— Widzę to teraz.

— Harkonnenowie mogą niezadługo mieć nowego barona.

— Jeżeli taki jest plan Hawata.

— To wymaga sprawdzenia, rzeczywiście — powiedziała.

— Młody będzie korniej szedł na pasku.

— Naszym… po dzisiejszej nocy — powiedziała.

— Nie przewidujesz trudności z uwiedzeniem go, moja ty zarodowa klaczko?

— Nie, mój kochany. Widziałeś, jak na mnie patrzył.

— Tak, a teraz widzę, dlaczego musimy mieć tę linię genetyczną.

— Właśnie, i jasne jest, że musimy mieć go w garści. Na samym dnie jego najgłębszej jaźni zaszczepię niezbędne zwroty prana — bindu, które rzucą go na kolana.

— Wyjedziemy stąd jak najszybciej, jak tylko będziesz pewna — powiedział.

Zadygotała.

— Z całą pewnością. Nie chcę urodzić dziecka w tym strasznym miejscu.

— Czego to się nie robi dla ludzkości — rzekł.

— Twoja rola jest łatwa — odparła.

— Istnieją pewne starodawne uprzedzenia, które ja zwalczam — powiedział. — Są zgoła pierwotnej natury, jak wiesz.

— Moje drogie biedactwo — poklepała go po policzku. — Wiesz, że to jedyny pewny sposób zachowania tej linii.

Powiedział sucho:

— Doskonale rozumiem, co robimy.

— Nie przegramy — powiedziała.

— Wina rodzi się z poczucia przegranej — przypomniał jej.

— Nie będzie żadnej winy — rzekła. — Hipnozowanie w psychice tego Feyda-Rauthy i jego dziecko w moim łonie, i — już nas nie ma.

— Ten jego stryj — powiedział. — Widziałaś kiedykolwiek takie zwyrodnienie?

— Jest bardzo krwiożerczy — odparła — ale bratanek z powodzeniem może wyrosnąć na coś gorszego.

— Dzięki takiemu stryjowi. Wiesz, kiedy się pomyśli, czym mógłby być ten chłopak przy jakimś innym wychowaniu, według kodeksu Atrydów, na przykład.

— To smutne — powiedziała.

— Gdyby tak można było ocalić i młodego Atrydę, i jego. Z tego,

co słyszałem o tamtym młodym Paulu, to najwspanialszy chłopak, idealne połączenie wychowania i wyszkolenia. — Pokręcił głową. — Ale nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.

— Jest pewne porzekadło Bene Gesserit — odezwała się.

— Ty masz na wszystko porzekadła — zaprotestował.

— To ci się akurat spodoba — powiedziała. — Mówi ono: „Nie uważaj człowieka za zmarłego, dopóki nie widziałeś jego ciała. I nawet wtedy możesz się pomylić”.

Muad’Dib powiada nam w „Porze zadumy”, że pierwsze zderzenia z arrakańskimi wymogami były dla niego prawdziwym początkiem edukacji. Wtedy to nauczył się przewidywać pogodę z tyczenia piasku, nauczył się języka żądeł wiatru kąsających mu skórę, dowiedział się, jak potrafi grać w nosie świerzbiącym od piasku i jak otulać się drogocenną wilgocią własnego ciała, jak jej strzec i bronić. Kiedy oczy jego przybrały błękit ibada, nauczył się postawy Chakobsa.

przedmowa Stilgara do „Muad’Dib jako człowiek” pióra księżniczki Irulan

Powracający do siczy z dwojgiem rozbitków pustyni oddział Stilgara wychodził z basenu w zanikającym świetle pierwszego księżyca. Owinięte burnusami sylwetki śpieszyły się czując bliskość domu. Szara kreska świtu za nimi była najjaśniejszą kartką w ich horyzontalnym kalendarzu, który wskazywał środek jesieni w miesiącu monadnok. Podnóże urwiska zaścielały naniesione wiatrem martwe liście, skąd zbierały je dzieci z siczy, jednakże żadnego echa przejścia oddziału nie dało się wyróżnić spośród naturalnych odgłosów nocy, z wyjątkiem zdarzających się od czasu do czas potknięć Paula i jego matki.

Paul otarł z czoła zlepiony potem kurz, poczuł szarpnięcie za ramię i usłyszał syk Chani:

— Zrób, jak ci mówiłam: naciągnij fałdę kaptura na czoło! Tylko oczy zostaw na wierzchu. Marnujesz wilgoć.

Wydany za ich plecami szeptem rozkaz nakazał milczenie:

— Pustynia cię słyszy!

Wysoko wśród skał nad ich głowami zaćwierkał ptak. Oddział zatrzymał się i Paul wyczuł nagłe napięcie. Spośród skał dobiegło

nikłe tupotanie, dźwięk nie głośniejszy od mysich podskoków na piasku. Ponownie zaćwierkał ptak. W szeregach nastąpiło poruszenie, i znowu mysie tuptanie po piasku. Raz jeszcze zaćwierkał ptak.

Oddział podjął wspinaczkę w skalnej szczelinie, lecz Fremeni jakby wstrzymali oddech; Paul dostrzegł ich ukradkowe spojrzenia w stronę Chani, jej zamknięcie się, jakby zapadnięcie w sobie i to wszystko nakazało mu ostrożność.

Podłoże już było skaliste, w ledwo uchwytnych szarościach i szelestach burnusów Paul wyczuwał zelżenie dyscypliny i wciąż tę wewnętrzną martwotę w Chani i pozostałych. Podążył za mglistym cieniem w górę po stopniach, za zakręt, kolejnymi stopniami do tunelu, przez dwie pary drzwi z grodziami wilgoci, do oświetlonego kulą wąskiego korytarza o ścianach i suficie z żółtej skały.

Wszędzie wokoło Paul widział, jak Fremeni odrzucają kaptury, usuwają wtyki nosowe, oddychają głęboko. Ktoś westchnął. Paul rozejrzał się za Chani i stwierdził, że gdzieś od niego odeszła. Otaczała go ciżba zawiniętych w burnusy ciał. Ktoś szturchnąwszy go powiedział:

— Przepraszam, Usul. Ale ścisk! Zawsze tak jest.

Wąska, brodata twarz osobnika zwanego Farokiem obróciła się do Paula z lewej strony. Zamalowane oczodoły i błękitna ciemność oczu wyglądały jeszcze ciemniej pod żółtymi kulami.

— Zrzuć kaptur, Usul — powiedział Farok. — Jesteś w domu.

I pomógł Paulowi zwolnić zatrzask kaptura robiąc łokciami miejsce wokół nich. Paul wyjął wtyki nosowe, odsunął na bok owiewkę ust. Buchnął mu w nozdrza panujący w pomieszczeniu smród: nie myte ciała, destylaty estrowe z regenerowanych wydalin, wszędzie kwaśne wyziewy człowiecze, a ponad tym wszystkim zapachowa burza przyprawy i jej pochodnych.

— Na co czekamy, Farok? — zapytał Paul.

— Chyba na Matkę Wielebną. Słyszałeś wiadomość; biedna Chani.

— Biedna Chani? — Paul postawił w myśli znak zapytania. Rozejrzał się dokoła ciekawy, gdzie ona jest i gdzie też podziała się w całym tym ścisku jego matka. Farok zaciągnął się głęboko powietrzem.

— Zapachy domu — powiedział.

Paul stwierdził, że ten człowiek rozkoszuje się smrodliwym powietrzem, że w jego głosie nie ma ironii. Wtem usłyszał chrząknięcie matki i przez ciżbę doszedł go jej głos.

— Jakież bogactwo woni w twej siczy, Stilgarze. Widzę, że przerabiacie znaczne ilości przyprawy… produkujecie papier… plastiki… i czy nie chemiczne materiały wybuchowe?

— Poznajesz to po zapachu? — Był to już czyjś inny głos. A Paul zdał sobie sprawę, że matka mówiła na jego użytek, że chciała, by szybko pogodził się z tym atakiem na swoje powonienie. Od czoła

oddziału doleciał szmer ożywienia i przeciągłe westchnienie, jakby podawane sobie dalej przez Fremenów, aż Paul usłyszał ściszone głosy przekazujące wiadomość do tyłu.

— Więc to prawda, Liet nie żyje.

Liet — pomyślał Paul. A potem: Chani, córka Lieta. Kawałki łamigłówki złożyły mu się w całość. „Liet" było to fremeńskie imię planetologa. Paul spojrzał na Faroka.

— Czy to ten Liet, który jest znany jako Kynes? — zapytał.

— Jest tylko jeden Liet — powiedział Farok.

Paul odwrócił się, utkwił spojrzenie w okrytych burnusem plecach Fremena przed sobą. Więc Liet — Kynes nie żyje — myślał.

— To harkonneńska zdrada… — ktoś zasyczał. — Upozorowali wypadek… zaginął w pustyni… w katastrofie ornitoptera…

Paul czuł, jak go rozsadza gniew. Człowiek, który obdarzył ich przyjaźnią, pomógł im uratować się przed harkonneńskimi siepaczami, człowiek, który rozesłał swoje fremeńskie kohorty na poszukiwanie dwojga rozbitków w pustyni… kolejną ofiarą Harkonnenów.

— Czy Usul już łaknie zemsty? — zapytał Farok.

Zanim Paul zdążył odpowiedzieć, rozległ się cichy okrzyk i oddział popłynął naprzód zabierając Paula wraz ze wszystkimi do szerszej komory. Znalazł się na wolnej przestrzeni przed Stilgarem i nieznajomą kobietą w powłóczystym, jaskrawym pomarańczowo — zielonym sari. Ręce kobiety byty obnażone do ramion i widział, że nie nosi filtrfraka. Jej skóra miała barwę jasnooliwkową. Ciemne włosy spływały do tyłu z wysokiego czoła, podkreślając wystające kości policzkowe i orli nos pomiędzy ciemnymi jak atrament plamami jej oczu. Obróciła się ku niemu i Paul dostrzegł zwisające z jej uszu złote kółka z nanizanymi talionami wody.

— Toto pokonało mego Dżamisa? — spytała.

— Uspokój się, Harah — powiedział Stilgar. — To była sprawka Dżamisa — on przywołał tahhadi al — burhan:

— Toż to jeszcze chłopiec! — powiedziała.

Gwałtownie pokręciła głową w obie strony dzwoniąc talionami wody.

— Moje dzieci pozbawione ojca przez inne dziecko? To był z pewnością jakiś wypadek!

— Ile masz lat, Usul? — zapytał Stilgar.

— Piętnaście standardowych — powiedział Paul.

Stilgar omiótł oddział spojrzeniem.

— Znajdzie się jakiś chętny, by mi rzucić wyzwanie?

Cisza.

Stilgar spojrzał na kobietę.

— Dopóki nie poznam jego magicznych sposobów, ja go nie wyzwę.

Nie spuściła oczu.

— Ale…

— Widziałaś tę obcą kobietę, która poszła z Chani do Matki Wielebnej? — zapytał Stilgar. — Ona jest Sajjadina out — frejn, jest matką dla tego chłopaka. Matka i syn są mistrzami magicznej sztuki walki.

— Lisan al — Gaib — szepnęła kobieta. Z jej oczu wyzierał lęk, kiedy obróciła je z powrotem na Paula.

Znowu ta legenda — pomyślał Paul.

— Być może — rzekł Stilgar. — Ale to jeszcze nie zostało poddane próbie.

Ponownie zwróciła się do Paula.

— Usul, zgodnie z naszym zwyczajem na tobie spoczywa teraz odpowiedzialność za tę oto kobietę Dżamisa i za jego dwóch synów. Jego jali, jego kwatera, należy do ciebie. Jego serwis do kawy jest twój… i ta jego kobieta.

Paul przyglądał się kobiecie zaintrygowany. Dlaczego ona nie opłakuje swego mężczyzny? Dlaczego nie okazuje mi ani odrobiny nienawiści? Nagle spostrzegł, że Fremeni wpatrują się w niego wyczekująco. Któryś szepnął:

— Czeka nas robota. Powiedz, jak ją bierzesz.

Stilgar zapytał:

— Czy bierzesz Harah jako kobietę, czy jako służącą?

Podniósłszy ręce Harah powolutku obróciła się na jednej pięcie.

— Jestem ciągle młoda, Usul. Mówią, że ciągle wyglądam tak młodo jak wtedy, gdy byłam z Geoffem… nim Dżamis go pokonał.

Dżamis zabił drugiego, by ją zdobyć — pomyślał Paul.

— Jeżeli wezmę ją jako służącą, czy mogę później zmienić jeszcze zdanie? — zapytał Paul.

— Będziesz miał rok na zmianę decyzji — powiedział Stilgar. — Potem ona stanie się wolną kobietą i może wybierać, jak jej się spodoba… możesz też zwolnić ją w każdej chwili, by samemu dokonać wyboru. Ale tak czy inaczej odpowiadasz za nią przez cały rok… a zawsze będziesz w jakiś sposób współodpowiedzialny za dzieci Dżamisa.

— Biorę ją jako służącą — powiedział Paul.

Harah tupnęła nogą i ze złością wzruszyła ramionami. Stilgar spojrzał na Paula.

— Ostrożność — powiedział — to cenna zaleta u mężczyzny, który ma przewodzić.

— Ale ja jestem młoda! — powtórzyła Harah.

— Cicho bądź — rozkazał jej Stilgar. — Jeśli coś ma wartość, to nie zginie. Zaprowadź Usula do jego kwatery i zadbaj, by miał świeże ubranie i gdzie spocząć.

— Ooooch! — powiedziała.

Paula spostrzeżenia wystarczyły do wstępnej rejestracji Harah. Wyczuł zniecierpliwienie oddziału. Wiedział, że wiele spraw się tutaj opóźnia. Zastanawiał się, czy stać go na odwagę spytania Stilgara, gdzie przebywają Chani i matka; zorientował się po jego zdenerwowaniu, że byłby to błąd. Zwrócił się do Harah nadając głosowi taki ton i wibrację, żeby pogłębić jej lęk i onieśmielenie.

— Prowadź mnie do mojej kwatery, Harah — powiedział. — O twojej młodości pomówimy kiedy indziej.

Cofnęła się o dwa kroki, posyłając Stilgarowi wystraszone spojrzenie.

— On ma magiczny głos — wychrypiała.

— Stilgar — rzekł Paul. — Ojciec Chani nałożył na mnie wielką powinność. Jeśli jest cokolwiek…

— O tym zadecyduje rada — rzekł Stilgar. — Wtedy możesz zabrać głos.

Dał znak do rozejścia się i odszedł z podążającą za nim resztą oddziału.

Paul ujął Harah za ramię. Zauważył, jak chłodne wydaje się jej ciało, czuł, jak drży.

— Nie skrzywdzę cię, Harah — powiedział. — Prowadź do naszej kwatery.

I złagodził swój głos czynnikami relaksującymi.

— Nie przepędzisz mnie po roku? — zapytała. — Ja wiem, że tak naprawdę to nie jestem taka młoda, jak byłam kiedyś.

— Masz przy mnie miejsce, dopóki będę żył — powiedział. Puścił jej ramię. — No, gdzie jest ta nasza kwatera?

Zawróciła ruszając przodem w głąb korytarza, skręciła w prawo w szeroki poprzeczny tunel oświetlony żółtymi kulami rozstawionymi w równych odległościach nad ich głowami. Kamienna podłoga była gładka, wymieciona do czysta z piasku. Paul zrównał się z nią, idąc studiował jej orli profil.

— Nie nienawidzisz mnie, Harah?

— Dlaczego miałabym cię nienawidzić?

Kiwnęła głową gromadce dzieci, które gapiły się na nich, z podwyższonego progu otworu w ścianie. Za dziećmi mignęły Paulowi sylwetki dorosłych, ukryte częściowo za cienkimi zasłonami.

— Ja… pokonałem Dżamisa.

— Stilgar powiedział, że ceremonia się odbyła i że jesteś przyjacielem Dżamisa. — Zerknęła na niego z ukosa. — Stilgar mówił, że podarowałeś wilgoć zmarłemu. To prawda?

— Tak.

— To więcej, niż ja zrobię… niż potrafię zrobić.

— Nie opłakujesz go?

— Gdy przyjdzie pora opłakiwania, będę go opłakiwać.

Mijali sklepiony otwór. Paul zajrzał do wielkiej, jasnej komory, popatrzył na mężczyzn i kobiety pracujących przy zamontowanych na statywach maszynach. Uwijali się jak w ukropie, jakby ponaglani pilną potrzebą.

— Co oni tam robią? — zapytał.

Obejrzała się, kiedy minęli już łuk sklepienia.

— Spieszą się, by wykonać normę zakładu tworzyw sztucznych przed nasza ucieczką. Potrzebujemy mnóstwo kolektorów rosy dla sadzonek.

— Ucieczką?

— Dopóki mordercy nie przestaną na nas polować albo nie przegnamy ich z naszej ziemi, musimy uciekać.

Paul czuł, że pobłądził na manowcach chwili zatrzymanego czasu, we wspomnieniu jakiegoś fragmentu, jakiejś wizualnej projekcji jasnowidzenia, ale poprzemieszczanej jak ruchoma mozaika. Okruchy jego wieszczej pamięci niezupełnie pasowały do wspomnienia.

— Polują na nas sardaukarzy — powiedział.

— Niewiele więcej znajdą nad jedną czy dwie puste sicze — odparła. — I kośbę śmierci w piasku.

— A to miejsce znajdą? — zapytał.

— Prawdopodobnie.

— Mimo to tracimy czas na… — skinął głową w stronę łuku, który zostawili już daleko za sobą — robienie… kolektorów rosy?

— Sadzenie trwa dalej.

— Co to takiego kolektory rosy? — zapytał.

— Niczego was nie uczą w… tam… skądkolwiek pochodzisz?

— Nie o kolektorach rosy.

— Ha! — rzekła i w tym słowie zamknęła całą konwersację.

— No więc, co to takiego?

— Każdy krzak, każde ziele, które widzisz w ergu… — powiedziała — jak sobie wyobrażasz, że ono żyje kiedy je zostawiamy? Każde zostało bardzo pieczołowicie zasadzone we własnym maleńkim dołku. Dołki są wypełnione gładkimi owalami z chromoplastiku. W świetle robią się białe. Widać, jak połyskują o świcie, jeśli się patrzy z wysokiego miejsca. Biel odbija. Lecz kiedy Praojciec Słońce odejdzie, chromoplastik odzyskuje przezroczystość w mroku. Ochładza się z niesamowitą szybkością. Powierzchnia skrapla wilgoć z powietrza. Ta wilgoć ścieka w dół utrzymując nasze rośliny przy życiu.

— Kolektory rosy — wyszeptał, oczarowany prostym pięknem tego pomysłu.

— Opłaczę Dżamisa, gdy przyjdzie na to pora — powiedziała, jak gdyby jej myśl nie opuściła innego jego pytania. — Dobry to był

mężczyzna, ten Dżamis, ale popędliwy. Dobrym żywicielem był mój Dżamis, i cudowny dla dzieci. Nie robił różnicy między chłopcem Geoffa, moim pierworodnym, a swoim własnym synem. Byli równi w jego oczach.

Zwróciła badawcze spojrzenie na Paula.

— Czy tak samo będzie z tobą, Usul?

— My nie mamy takiego problemu.

— Ale gdyby…

— Harah!

Wzdrygnęła się od szorstkiej surowości jego głosu. Z lewej strony minęli następne jasno oświetlone pomieszczenie, widoczne pod łukiem sklepienia.

— A tam co robią? — zapytał.

— Naprawiają maszyny tkackie — powiedziała. — Ale muszą je zdemontować do zapadnięcia nocy. — Wskazała odgałęzienie tunelu po lewej ręce.

— Dalej w tę stronę jest przetwórnia żywności i konserwacja filtrfraków. — Popatrzyła na Paula. — Twój frak wygląda na nowy. Lecz gdyby wymagał naprawy, znam się na frakach. Pracuję sezonowo w ich wytwórni.

Zaczęli teraz napotykać gromadki ludzi i większe zagęszczenia otworów w ścianach tunelu. Minął ich rząd mężczyzn i kobiet dźwigających ciężkie, bulgotliwe sakwy, od których biła silna woń przyprawy.

— Nie dostaną naszej wody — powiedziała Harah. — Ani naszej przyprawy. Możesz być pewny.

Paul zerknął na otwory ścianach tunelu — dostrzegł grube dywany na podwyższonych progach, mignęły mu jaskrawe tkaniny na ścianach, stosy poduszek. Ludzie w otworach milkli na ich widok ścigając Paula dzikimi spojrzeniami.

— Oni uważają to za dziwne, że pokonałeś Dżamisa — powiedziała Harah. — Zapewne będziesz musiał się wykazać, kiedy osiądziemy w nowej siczy.

— Nie lubię zabijania.

— Tak twierdzi Stilgar — rzekła, ale jej głos zdradzał niedowierzanie.

Przed nimi coraz głośniej rozbrzmiewało przenikliwe zawodzenie. Zbliżyli się do kolejnego bocznego wylotu, szerszego od wszystkich poprzednich. Paul zwolnił kroku i zajrzał do sali zapełnionej dziećmi, które siedziały ze skrzyżowanymi nogami na przykrytej kasztanowatym dywanem podłodze. Przy tablicy pod przeciwległą ścianą kobieta w żółtym sari stała z projekcyjnym stylusem w dłoni. Tablicę pokrywały rysunki — kółka, trójkąty, krzywe, wężyki i kwadraty, płynne łuki poprzecinane liniami równoległymi. Kobieta

wskazywała kolejne rysunki tak szybko, jak tylko mogła przesunąć stylus, a dzieci skandowały w rytmie poruszeń jej dłoni. Paul nasłuchiwał głosów cichnących za nimi w miarę jak razem z Harah zagłębiał się w sicz.

— Drzewo — wyśpiewywały dzieci. — Drzewo, trawa, wydma, wiatr, góra, wzgórze, ogień, błyskawica, skała, kamienie, pył, piasek, upał, kryjówka, upał, pełnia, zima, zimny, pusty, erozja, lato, jaskinia, dzień, napięcie, księżyc, noc, monadnok, pyłopływ, stok, sadzonka, ściągacz…

— Prowadzicie lekcje w takim czasie jak teraz? — zapytał Paul.

Twarz jej sposępniała, w głosie zabrzmiał żal.

— Nie możemy zaniechać ani na chwilę tego, czego nauczył nas Liet. Liet, który nie żyje, nie może zostać zapomniany. Taka jest postawa Chakobsa.

Przeszła na lewą stronę tunelu, wspięła się na próg i rozdzieliła pomarańczowe kotary stając z boku.

— Twoja jali czeka na ciebie, Usul.

Paul zawahał się, nim dołączył do niej na progu. Poczuł nagłą niechęć do pozostania sam na sam z tą kobietą. Dotarło do niego, że osacza go filozofia życia, którą można zrozumieć jedynie przez przyjęcie aksjomatu ekologicznego idealizmu i materializmu, Czuł, że ten fremeński świat próbuje go złowić w sieć swoich ścieżek. I wiedział, co go czeka w tej sieci — szalona dżihad, święta wojna, do której za wszelką cenę nie mógł dopuścić.

— To twoja jali — powiedziała Harah. — Dlaczego się wahasz?

Paul kiwnął głową i przyłączył się do niej na progu. Podniósł drugie skrzydło zasłony czując pod palcami metalowe włókna w tkaninie i wszedł za Harah w krótki korytarz wejściowy i dalej do większego kwadratowego pomieszczenia o boku około sześciometrowej długości, gdzie podłoga była zasłana puszystymi, błękitnymi dywanami, na skalnych ścianach wisiały błękitne i zielone tkaniny, nad głową nastawione nażółto kule świętojańskie kołysały się na tle żółtych draperii sufitowych. Sprawiało to wrażenie starożytnego namiotu.

Harah stanęła przed nim z lewą ręką na biodrze; oczami studiowała twarz Paula. Ukrył swoje zakłopotanie omiatając pomieszczenie szybkim spojrzeniem. Za zasłonami po prawej stronie dostrzegł częściowo niewidoczny większy pokój, ze stosami poduszek pod ścianami. Wyczuł lekki podmuch z przewodu wentylacyjnego, zauważył wylot sprytnie ukryty w ornamencie zasłon na wprost przed sobą.

— Czy życzysz sobie, abym pomogła ci zdjąć filtrfrak? — spytała Harah.

— Nie… dziękuję.

— Podać jedzenie?

— Tak.

— Za drugim pokojem jest komora odzysku — wskazała gestem. — Dla twojej przyjemności i wygody, kiedy nie nosisz filtrfraka.

— Mówiłaś, że musimy opuście tę sicz — powiedział Paul. — Czy nie powinniśmy się pakować albo coś w tym rodzaju?

— Zrobimy to w odpowiednim czasie — powiedziała. — Siepacze muszą najpierw przeniknąć do naszego regionu.

Nadal ociągała się, zapatrzona w niego.

— O co chodzi? — zapytał.

— Ty nie masz oczu ibada. To jest dziwne, ale całkiem pociągające.

— Przynieś to jedzenie — rzekł. — Jestem głodny.

Uśmiechnęła się do niego, domyślnym, kobiecym uśmieszkiem, który wprawił go w zakłopotanie.

— Jestem do twoich usług — powiedziała, zawirowała jak baletnica i odpłynęła dając nurka za grubą kotarę, która nim opadła na miejsce, odsłoniła mu następny korytarz.

Zły sam na siebie Paul wśliznął się za delikatną zasłonę z prawej strony do większego pokoju. Tam przystanął na moment bijąc się z myślami. Zastanowił się, gdzie może być Chani… Chani, która dopiero co straciła ojca. W tym jesteśmy do siebie podobni — pomyślał. Z zewnętrznych korytarzy dobiegło zawodzenie stłumione przez izolujące kotły. Powtórzyło się z nieco większej dali. I raz jeszcze. Paul zrozumiał, że nie widział żadnych zegarów. Doszedł go nikły zapach palonego krzewu Covillea mexicana, który przynosiła fala wszechobecnego smrodu siczy. Zauważył,że ten atak odoru na zmysły już mu nie przeszkadza. I ponownie zamyślił się nad swoją matką, jak się też ustawi w ruchomej mozaice przyszłości… ona i córka, którą ma zrodzić. Rozpląsały się wokół niego zmienne czaso-świadomości. Potrząsnął głową, skupiając uwagę na oznakach dowodzących ogromnej głębi i rozpiętości tej fremeńskiej kultury, która ich połknęła. I na jej subtelnych osobliwościach. W jaskiniach i w tym pokoju zauważył pewną rzecz sugerującą daleko większe różnice niż wszystko, z czym się zetknął dotychczas. Tutaj nie było śladu wykrywacza trucizny, niczego, co by wskazywało na użycie wykrywaczy w tym jaskiniowym mrowisku. Wdychał zaś woń trucizny ze smrodem siczy — silnych trucizn, pospolitych.

Usłyszał szelest zasłon i myśląc, że to wraca Harah z jedzeniem, obrócił się. Zamiast niej między rozchylonymi zasłonami zobaczył dwóch młodych chłopców — może w wieku dziewięciu i dziesięciu lat — wpatrujących się w mego łakomym wzrokiem. Obaj trzymali dłonie na rękojeściach małych krysnoży w rodzaju chandżara. I Paul przypomniał sobie opowieści o Fremenach, o tym, że ich dzieci walczą

równie zajadle jak dorośli.

Dłoń drga, wargi drgają
Idee biją ze słów,
Okiem pożera!
Gdyż on jest wyspą Jaźni.

opis z „Krótkiej historii Muad'Diba" pióra księżniczki Irulan

Luminofory z odległych górnych rejonów jaskini rzucały przytłumione światło na wypełnione ciżbą wnętrze, przywodząc na myśl ogromne rozmiary tej zamkniętej skałą przestrzeni… większej, widziała Jessika, nawet niż aula jej szkoły Bene Gesserit. Oceniała, że pod skalnym występem, na którym stała ze Stilgarem, zgromadziło się ponad pięć tysięcy ludzi. I nadchodzili nowi. Szumiało jak w ulu.

— Twój syn został wezwany z odpoczynku, Sajjadma — powiedział Stilgar. — Czy chcesz, by uczestniczył w twojej decyzji?

— A czy on mógłby zmienić moją decyzję?

— Powietrze, z pomocą którego mówisz, pochodzi oczywiście z twoich własnych płuc, ale…

— Decyzja zapadła — powiedziała.

Ale miała złe przeczucia i zastanawiała się, czy nie wykorzystać Paula jako pretekstu do wycofania się z niebezpiecznej drogi. Należało pomyśleć o nienarodzonej córce. To, co niebezpieczne dla ciała matki, jest niebezpieczne dla ciała córki. Nadeszli mężczyźni ze zwiniętymi dywanami postękując pod ich ciężarem; zrzucili ładunek na występ skalny wzbijając kurz. Stilgar wziął ją za ramię, powiódł w głąb muszli akustycznej utworzonej ze ścian na tyłach występu. Wskazał na ławkę skalną w środku muszli.

— Tutaj zasiądzie Matka Wielebna, ale możesz sobie spocząć do jej przybycia.

— Wolę stać — powiedziała Jessika.

Przyglądała się, jak mężczyźni rozwijają dywany, jak przykrywają podest, obserwowała tłum. Na skalnej posadzce znajdowało się teraz przynajmniej dziesięć tysięcy ludzi. I ciągle ich przybywało. Wiedziała, że na zewnątrz ponad pustynią zapadał już purpurowy zmrok, lecz w tej podziemnej hali panował wieczny zmierzch, szary przestwór zatłoczony ludźmi przybyłymi, by patrzeć, jak ona stawia na szalę swe życie.

W tłumie z prawej strony otworzyło się przejście i zobaczyła zbliżającego się Paula z dwoma małymi chłopcami po bokach. Dzieci

opromieniało chełpliwe poczucie własnej ważności. Trzymając dłonie na nożach spoglądały wilkiem na ścianę ludzi z obu stron.

— Synowie Dżamisa, którzy są teraz synami Usula — powiedział Stilgar. — Poważnie traktują swoje obowiązki jako eskorta.

Pozwolił sobie na uśmiech pod adresem Jessiki. Zrozumiała, że próbuje podnieść ją na duchu, i była mu za to wdzięczna, ale nie mogła oderwać myśli od czekającego ją niebezpieczeństwa. Nie mam wyboru: muszę to zrobić — myślała. — Trzeba działać szybko, jeżeli mamy zapewnić sobie miejsce wśród tych Fremenów.

Paul wspiął się na skalny występ zostawiając dzieci na dole. Zatrzymał się przed matką, zerknął na Stilgara i znów na Jessikę.

— Co się dzieje? Myślałem, że wzywają mnie na radę.

Stilgar podniósł rękę na znak ciszy, wskazując w lewo, gdzie w ciżbie otworzyło się drugie przejście. Utworzonym przez ludzi szpalerem kroczyła Chani z twarzą elfa ściągniętą od smutku. Szczupłe ręce wystawały jej spod wdzięcznego błękitnego sari, które nałożyła w miejsce filtrfraka. Na lewej ręce przy ramieniu miała zawiązaną zieloną chustkę. Zieleń na znak żałoby — pomyślał Paul. Ten akurat zwyczaj wyjaśnili mu pośrednio dwaj synowie Dżamisa mówiąc, że nie noszą zieleni, ponieważ biorą go za ojca — opiekuna.

— Czy jesteś Lisanem al-Gaibem? — zapytali.

A Paul wyczuwając dżihad w ich słowach, zbył ich pytanie pytaniem, dowiadując się wtedy, że starszy z dwójki, Kaleff, ma dziesięć lat i jest naturalnym synem Geoffa. Młodszy, ośmioletni Orlop, był rodzonym synem Dżamisa.

Dziwny to był dzień z tą dwójką warujących przy nim na jego własną prośbę i nie dopuszczającą ciekawskich, by dać mu czas na karmienie własnych myśli i wieszczych wspomnień, na obmyślenie sposobu powstrzymania dżihad.

Stojąc teraz obok matki na progu jaskini i spoglądając na tłum, zastanawiał się, czy jest jakikolwiek sposób, by zapobiec niepowstrzymanej szarży fanatycznych legionów. Za zbliżającą się do skalnego występu Chani podążały w oddaleniu cztery kobiety niosące na noszach piątą. Jessika zignorowała przybycie Chani poświęcając całą uwagę kobiecie na noszach — pomarszczonemu i wysuszonemu sędziwemu stworzeniu, starowinie w czarnej szacie z odrzuconym na plecy kapturem, który odsłonił mocno ściągnięty węzeł siwych włosów i żylastą szyję. Noszowe delikatnie złożyły swoje brzemię na skalnej półce i Chani pomogła starej kobiecie stanąć na nogi.

Więc to jest ich Matka Wielebna — myślała Jessika. Staruszka uwiesiła się Chani, podobna wiązce okrytych czarną szatą patyków, i podreptała ku Jessice. Stanąwszy twarzą w twarz z Jessiką długą chwilę spozierała na nią zadzierając głowę, nim przemówiła ochrypłym szeptem.

— A więc to ty.

Stara głowa raz jeden kiwnęła się ryzykownie na cienkiej szyi.

— Szadout Mapes miała rację litując się nad tobą.

— Nie potrzebuję niczyjej litości — prędko i pogardliwie powiedziała Jessika.

— To się dopiero okaże — zachrypiała stara kobieta.

Z zadziwiającą żywością obróciła się twarzą do tłumu.

— Powiedz im, Stilgar.

— Muszę? — zapytał.

— Jesteśmy ludem Misr — wychrypiała staruszka. — Od kiedy nasi sumiccy przodkowie uciekli z Nilotic al — Ourcuba, wiemy, co to ucieczka i śmierć. Młodzi idą dalej, aby nie wymarł nasz lud.

Stilgar odetchnął głęboko, wystąpił dwa kroki do przodu. Zatłoczoną jaskinię ogarnęła cisza; jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi stało w milczeniu, prawie nieruchomo. Jessika poczuła się nagle mała i ostrożna.

— Dzisiejszej nocy musimy opuścić tę sicz, która tak długo dawała nam schronienie, i udać się na południe w pustynię — powiedział Stilgar.

Głos jego uderzył we wzniesione twarze, rozbrzmiewając z siłą wzmocnioną przez akustyczną muszlę na tyłach półki. Tłum wciąż milczał.

— Matka Wielebna mówi mi, że nie przeżyje następnej hadżra — powiedział Stilgar. — Bywaliśmy już przedtem bez Matki Wielebnej, lecz ludziom w takich tarapatach niedobrze szuka się nowego domu.

Spokojne dotąd oblicze tłumu poruszyła fala szeptów i niepokoju.

— Aby do tego nie dopuścić — ciągnął Stilgar — nasza nowa Sajjadina, Jessika od Magii, zgodziła się przystąpić do rytuału właśnie teraz. Podejmie próbę przejścia głębi ducha, abyśmy nie utracili mocy naszej Matki Wielebnej.

Jessika od Magii — pomyślała Jessika. Zobaczyła wpatrzone w siebie pełne znaków zapytania oczy Paula, lecz usta jego pozostały zamknięte wobec całej tej dziwności dokoła. Co będzie z nim, jeśli umrę przy tej próbie? Ponownie złe przeczucia wypełniły jej myśli. Chani zawiodła starą Matkę Wielebną do skalnej ławy w głębi akustycznej muszli, po czym stanęła przy Stilgarze.

— Abyśmy nie stracili wszystkiego, gdyby Jessika od Magii zawiodła — powiedział Stilgar — Chani, córka Lieta, zostanie teraz konsekrowana na Sajjadinę.

Odstąpił o krok. Z głębi muszli akustycznej wydostał się głos starej kobiety, wzmocniony szept, ostry i przenikliwy.

— Chani powróciła ze swojej hadżra, Chani widziała wody.

Nad tłum wzniósł się szmer:

— Widziała wody.

— Konsekruję córkę Liet na Sajjądinę — zachrypiała staruszka.

— Jest przyjęta — odpowiedział tłum.

Paul ledwo słyszał ceremoniał, całą uwagę skupił nadal na tym, co powiedziano o jego matce. „Gdyby zawiodła". Obejrzał się na tę, którą nazywano Matką Wielebną, przyglądając się starczym wysuszonym rysom, niezgłębionemu błękitowi nieruchomych oczu. Wyglądała tak, jakby lada podmuch miał ją przewrócić, a jednak było w niej coś, co kazało przypuszczać, że mogła ostać się nietknięta kurzawie Coriolisa. Emanowała tę sama siłę, jaka pamiętał u Matki Wielebnej Gaius Helen Mohiam, która poddała go próbie męki gom dżabbar.

— Ja, Matka Wielebna Ramallo, która przemawia wieloma głosami, oświadczam to wam — powiedziała stara kobieta. — Chani jest stworzona, aby przystąpić do Sajjadin.

— Jest stworzona — odpowiedział tłum.

Kiwnąwszy głową stara kobieta wyszeptała:

— Daję jej srebrne niebiosa, złocistą pustynię z lśniącymi skałami, zielone pola, które nadejdą. Daję to wszystko Sajjadinie Chani. I żeby nie zapomniała, że ma służyć nam wszystkim, na nią spadają posługi w niniejszej Ceremonii Nasienia. Niechaj się stanie wola Shai — huluda. — Podniosła i opuściła patykowatą, brązową rękę.

Czując, że ceremoniał ogarnia ją i jak prąd unosi poza wszelką możliwość zawrócenia, Jessika rzuciła krótkie spojrzenie na pytającą twarz Paula i przygotowała się na ten sąd boży.

— Niech wystąpią wodmistrzowie — powiedziała Chani z ledwie tylko uchwytnym drżeniem niepewności w dziewczęcym głosie.

Jessika poczuła teraz na sobie oko niebezpieczeństwa, poznając jego obecność po czujności tłumu, po ciszy.

Z oddali nadchodziła dwójkami grupa mężczyzn przeciskając się utworzonym w tłumie krętym szpalerem. Każda para niosła mały skórzany bukłak, dwukrotnie może większy od ludzkiej głowy. Bukłaki chlupotały głucho. Prowadząca dwójka złożyła swój ładunek na występie u nóg Chani i cofnęła się o krok. Jessika spojrzała na bukłak, na mężczyzn. Odrzucili kaptury odkrywając długie włosy związane na karkach w koki. Czarne studnie ich oczu mierzyły ją niewzruszonym spojrzeniem. Ciężki aromat cynamonu wzbił się od bukłaka i podrażnił powonienie Jessiki. Przyprawa? — zastanawiała się.

— Czy jest woda? — zapytała Chani.

Wodmistrz z lewa, mężczyzna z purpurową krechą blizny na grzbiecie nosa, skinął krótko głową.

— Jest woda, Sajjadina — powiedział — ale nie umiemy jej pić.

— Czy jest nasienie? — spytała Chani.

— Jest nasienie — powiedział ten sam mężczyzna.

Przyklęknąwszy Chani położyła dłonie na chlupiącym bukłaku.

— Błogosławiona jest woda i jej nasienie.

Rytuał był jej znany i Jessika obejrzała się na Matkę Wielebną Ramallo. Stara kobieta miała zamknięte oczy i siedziała, jakby pogrążona we śnie.

— Sajjadina Jessika — powiedziała Chani.

Obróciwszy się, Jessika ujrzała utkwione w sobie spojrzenie dziewczyny.

— Czy znasz smak błogosławionej wody? — zapytała Chani. I nie dając Jessice czasu na odpowiedź, rzekła: Nie możesz znać smaku błogosławionej wody. Jesteś pozaświatowcem i nie masz przywileju.

Z tłumu wyrwało się westchnienie pomieszane z szelestem szat, od którego Jessice włos się zjeżył.

— Stworzyciel został zabity i plon był duży — powiedziała Chani.

Zaczęła odplątywać zwiniętą rurkę przymocowaną na górze chlupiącego bukłaka. Jessika miała teraz wrażenie, że niebezpieczeństwo wzmaga się wokół niej. Rzuciła okiem na Paula i zauważyła, że pochłonięty tajemnicą rytuału, widzi tylko Chani. Czy widział ten moment czasu? — Położyła dłoń na swym łonie myśląc o nienarodzonej córce, zadając sobie pytanie: Czy mam prawo ryzykować nas obie?

Chani podała jej koniec rurki ze słowami:

— Oto jest Woda Życia, woda większa od wody — woda Kan, która wyzwala duszę. Jeśli masz być Matką Wielebną, otworzy przed tobą wszechświat. Niechaj to Shai — hulud osądzi.

Jessika poczuła się rozdarta między powinnością wobec swego nienarodzonego dziecka, a powinnością wobec Paula. Wiedziała, że ze względu na Paula powinna wziąć koniec rurki do ust i napić się zawartości bukłaka, lecz kiedy nachylała się do rurki, zmysły powiedziały jej o niebezpieczeństwie. To coś w bukłaku miało gorzki zapach nieuchwytnie pokrewny wielu znanym truciznom, lecz niepodobny zarazem.

— Musisz to wypić — powiedziała Chani.

Nie ma odwrotu — uprzytomniła sobie Jessika. A z całego szkolenia Bene Gesserit nie przychodziło jej na myśl nic, na co mogła liczyć w tym momencie. Co to jest? — postawiła sobie pytanie. — Alkohol? Narkotyk? — Pochyliła się nad rurką wyczuwając estry cynamonu. Przed oczami stanął jej pijany Duncan Idaho. Alkohol przyprawowy?

Wzięła końcówkę rurki do ust, wyssała jak najmniejszą kroplę. Smakowało to przyprawą z odrobiną gryzącej cierpkości.

Chani nadusiła skórzany bukłak. Jessika chcąc nie chcąc łyknęła potężny haust płynu, starając się odzyskać spokój i godność.

— Przyjąć trochę śmierci to gorsze niż samą śmierć — powiedziała Chani.

Wpatrywała się w Jessikę wyczekująco.

A Jessika, nadal z rurką w ustach, wpatrywała się w Chani. Czuła smak zawartości bukłaka w nozdrzach, na podniebieniu, w szczękach, w oczach — smak cierpkiej, ale już teraz słodyczy.

Chłodne.

Chani ponownie wpompowała jej płyn do ust.

Delikatne.

Jessika studiowała rysy Chani, tę twarzyczkę elfa — dostrzegając w niej jeszcze nie utrwalone przez czas rysy Lieta — Kynesa. To, czym mnie poją, to jest narkotyk — rzekła sama do siebie. Ale nie przypominał on żadnego ze znanych jej narkotyków, a szkolenie Bene Gesserit obejmowało smakowanie wielu. Rysy twarzy Chani były tak wyraźne, jak gdyby ostro oświetlone.

Narkotyk.

Jessikę otoczyła wirująca cisza. Jej ciało każdym swoim włóknem chłonęło fakt, że stało się z nim coś nieodgadnionego. Jessika poczuła, że jest obdarzonym świadomością źdźbłem, mniejszym od najmarniejszej subatomowej cząstki, jednakże zdolnym poruszać się i odbierać zmysłami otoczenie. Jak w objawieniu opadły nagle zasłony i zrozumiała, że uświadamia sobie psychokinestetyczną stronę swej istoty. Była i zarazem nie była źdźbłem. Wokół niej trwała jaskinia, ludzie. Wyczuwała ich: Paul, Chani, Stilgar, Matka Wielebna Ramallo.

Matka Wielebna.

W szkole chodziły słuchy, że niektóre nie przeżywają próby Matki Wielebnej, że narkotyk je zabiera. Jessika skoncentrowała uwagę na Matce Wielebnej Ramallo, świadoma teraz, że wszystko to dzieje się w zatrzymanym momencie czasu — zawieszonym wyłącznie dla niej.

Dlaczego czas został zawieszony? — zadała sobie pytanie. Wpatrywała się w zastygłe twarze wokół siebie, zauważając nad głową Chani zatrzymaną w miejscu drobinę pyłu.

Czekała.

Odpowiedź na palącą kwestię wdarła się do jej świadomości jak eksplozja: jej osobisty czas został zawieszony, by ocalić jej życie.

Skupiła się na psychokinestetycznej stronie swej istoty, spoglądając w głąb siebie, i natychmiast natknęła się na jądro komórki, otchłań czerni, od której odskoczyła jak oparzona. To jest owo miejsce, do którego my nie możemy zajrzeć — pomyślała. — Istnieje miejsce, o którym Matki Wielebne jakże niechętnie wspominają, miejsce, gdzie tylko Kwisatz Haderach może zaglądać.

Zrozumienie tego problemu przywróciło jej odrobinę pewności, więc zaryzykowała i ponownie skupiła się na swej psychokinestetycznej stronie, zamieniając się w drobinosiebie i przepatrując własne wnętrze w poszukiwaniu niebezpieczeństwa. Odkryła je na terytorium połkniętego narkotyku. Nieznana substancja

była tańcującymi w niej cząstkami o tak szybkich poruszeniach, że nawet zastygły czas nie mógł ich zatrzymać. Tańczące cząstki. Zaczęła rozpoznawać znajome struktury, wiązania atomowe: oto atom węgla… fale spirali… cząsteczka glukozy. Cały łańcuch cząsteczek stawił jej czoło i poznała proteinę… metyloproteinową konfigurację.

Aaaach!

Było to bezgłośne duchowe westchnienie w jej wnętrzu, kiedy poznała charakter trucizny. Swoją psychokinestetyczną sondą wkroczyła tam odsunąwszy drobinę tlenu i pozwalając dołączyć się następnej drobinie węgla, przyłączając z powrotem wiązanie tlenu… wodoru. Zmiana rozprzestrzeniała się… coraz szybciej i szybciej, w miarę jak poszerzało się pole kontaktowe katalizy. Zawieszony czas poluzował nieco swoje kleszcze i Jessika wyczuła ruch. Rurkę bukłaka przytknięto do jej warg… delikatnie, zbierając z nich kroplę wilgoci. Chani bierze katalizator z mego ciała, by przemienić truciznę w bukłaku — pomyślała Jessika. — Po co?

Ktoś pomógł jej usiąść. Zobaczyła, jak prowadzą starą Matkę Wielebną Ramallo i sadzają przy niej na przykrytym dywanem występie skalnym. Koścista ręka dotknęła jej policzka. I w świadomości Jessiki pojawiła się nagle obca drobina psychokinestetyczna! Jessika próbowała ją odepchnąć, lecz drobina podpływała coraz bliżej… jeszcze bliżej.

Zetknęły się ze sobą!

Przypominało to ostateczne zbliżenie, bycie dwojgiem ludzi jednocześnie: nie telepatię, a wspólną świadomość.

Ze starą Matką Wielebną!

Lecz Jessika ujrzała, że Matka Wielebna nie uważa się za starą.

Przed wspólnym duchowym okiem roztoczył się obraz: młoda dziewczyna o roztańczonej duszy i wrażliwym usposobieniu. W obrębie wspólnej świadomości ta młoda dziewczyna powiedziała:

— Tak, taka właśnie jestem.

Jessika była w stanie tylko przyjąć te słowa, bez odpowiedzi.

— Niebawem będziesz miała to wszystko, Jessiko — powiedział wewnętrzny obraz.

To jest halucynacja — powiedziała sobie Jessika.

— Dobrze wiesz, że nie — odparła wewnętrzna zjawa. — Teraz szybko, nie opieraj się. Nie ma wiele czasu. My… — Nastąpiła długa przerwa, po czym: — Powinnaś była mi powiedzieć, że jesteś brzemienna!

Jessika odnalazła mowę w ramach tej wspólnej świadomości.

— Dlaczego?

— To zmienia was obie! Święta Macierzy, co myśmy zrobiły?

Jessika odczuła przemieszczenie wymuszone na wspólnej świadomości i okiem duchowym spostrzegła inną drobinoobecność. Ta

inna drobina śmigała jak szalona to tu, to tam, dokoła. Emanowała paniczną trwogę.

— Musisz być silna — powiedziała zjawoobecność starej Matki Wielebnej. — Ciesz się, że nosisz właśnie córkę, męski płód by tego nie przeżył. Teraz… ostrożnie, delikatnie… dotknij swojej córkoobecności. Bądź obecnością swej córki. Wchłoń strach… daj ukojenie… bądź dzielna i silna… czule teraz… delikatnie…

Tamta inna śmigająca drobina podleciała bliżej i Jessika dotknęła jej posłusznie. Strach omal jej nie rozsadził. Walczyła z nim jedynym znanym sobie sposobem: „Nie wolno się bać. Strach zabija duszę…" Litania pozornie ją uspokoiła. Druga drobina przylgnęła do niej nieruchomo. Słowa nie poskutkują — powiedziała sobie Jessika. Sprowadziła się do podstawowych odruchów emocjonalnych, promieniując miłością, ciepłem, ukojeniem i bezpieczeństwem. Przerażenie ustąpiło.

Ponownie doszła do głosu obecność starej Matki Wielebnej, lecz obecnie istniała trojakość wspólnej świadomości, dwóch aktywnych i jednej, która chłonęła leżąc spokojnie.

— Czas mnie nagli — powiedziała Matka Wielebna w obrębie świadomości. — Wiele mam ci do przekazania. I nie wiem, czy twoja córka przyjmie to wszystko pozostając jednocześnie przy zdrowych zmysłach. Ale to się musi stać: potrzeby plemienia są najważniejsze.

— Co…

— Nic nie mów i przyjmuj!

Przed Jessiką roztoczyły się obrazy przeżyć. Przypominało to film szkoleniowy z projektora podprogowej świadomości akademii Bene Gesserit… tylko szybciej i… oszołamiająco szybko. Oglądała wszystkie przeżycia tak, jak to naprawdę było: poznała tam kochanka — męskiego, brodatego, z ciemnymi fremeńskimi oczami, i za pośrednictwem pamięci Matki Wielebnej ujrzała jego siłę i czułość, jego całego w jednym przypominającym mgnienie oka momencie. Nie było już czasu na zastanawianie się, czym to grozi płodowi córki, starczało go tylko, by chłonąć i rejestrować.

Wydarzenia zalewały Jessikę — narodziny, życie, śmierć — sprawy ważkie i błahe, zalew indywidualnych obrazów czasu. Dlaczego jakaś lawina piasku ze szczytu urwiska miałaby utkwić w pamięci? — zdziwiła się Jessika. Zbyt późno zdała sobie sprawę, co się dzieje: stara kobieta umierała i umierając przelewała swoje przeżycia w jej świadomość, tak jak wlewa się wodę do kubka. Kiedy patrzyła na to wszystko, tamta inna drobina zatopiła się z powrotem w świadomość sprzed narodzenia. I tak umierając-w-poczęciu stara Matka Wielebna pozostawiła w pamięci Jessiki swoje życie z ostatnim tchnieniem rozpływających się słów:

— Czekałam na ciebie — powiedziała. — Masz tu moje życie.

I rzeczywiście było zamknięte jak w kapsułce, od początku do końca. Nawet chwila śmierci.

Jestem teraz Matką Wielebną — zdała sobie sprawę Jessika. I pojęła w ujednoliconej świadomości, że w istocie stała się dokładnie tym, co rozumiano przez Matkę Wielebną Bene Gesserit. Narkotyczna trucizna przeobraziła ją. Wiedziała, że niezupełnie tak robiono to w szkole Bene Gesserit. Nikt nie wprowadził jej nigdy w owe sekrety, ale wiedziała. Rezultat końcowy był ten sam. Wyczuła córkodrobinę ciągle dotykającą jej wewnętrznej świadomości: wejrzała w nią, lecz nie było odpowiedzi. Kiedy Jessika uprzytomniła sobie, co się z nią stało, przeniknęło ją na wskroś przeraźliwe uczucie osamotnienia. Zobaczyła swoje własne życie jako układ, który zwolnił tempa, podczas gdy wszelkie życie dokoła niej przyspieszało, aż rozhuśtana interakcja nabrała ostrości.

Po uwolnieniu się jej ciała od groźby trucizny uczucie drobinoświadomości zatarło się nieco, jej intensywność osłabła, jednak Jessika stale wyczuwała tamtą „inną" drobinę, dotykając jej z poczuciem winy za to, co na nią ściągnęła. Zrobiłam to, moja biedna, nie ukształtowana, droga, maleńka córko. Przywiodłam cię na ten świat, wystawiając twą świadomość, zupełnie bezbronną, na jego wielorakość. Mikroskopijna fala błogo-miłości była odpowiedzią drobiny, niczym odbicie tego, co w nią przelała. Zanim zdążyła się odwzajemnić, poczuła obecność władczej pamięci. Należało coś uczynić. Szukała tego po omacku zdając sobie sprawę, że hamuje ją otępienie przemienionego narkotyku, który przenikał jej zmysły. Mogłabym i to przemienić — pomyślała. — Mogłabym usunąć działanie narkotyku, a sam narkotyk unieszkodliwić. Ale przeczuła, że to byłby błąd. — Jestem w rytuale zespolenia. — Nagle już wiedziała, co ma zrobić.

Otworzyła oczy, wskazała gestem bukłak, który Chani trzymała teraz nad nią.

— Została pobłogosławiona — powiedziała Jessika. — Zmieszaj wody, niech przemiana obejmie wszystkich, niech ludzie uczestniczą i dzielą się błogosławieństwem.

Niech katalizator zrobi swoje. — myślała. — Niech ludzie napiją się tego i na jakiś czas niech osiągną podwyższoną świadomość siebie nawzajem. Narkotyk jest już nieszkodliwy… teraz, gdy przemieniła go Matka Wielebna.

Władcza pamięć narzucała się ciągle, naciskała. Było jeszcze coś, co musiała zrobić, uświadomiła sobie, ale narkotyk utrudniał koncentrację. Aaaach… stara Matka Wielebna.

— Spotkałam Matkę Wielebną Ramallo. — powiedziała Jessika. — Odeszła, lecz pozostała. Niechaj pamięć jej zostanie uhonorowana w ceremonii.

Zaraz, skąd ja wzięłam te słowa? — zastanawiała się. I zdała sobie sprawę, że pochodzą one z innej pamięci, z „życia", które zostało jej podarowane i które teraz było częścią jej samej. Jednakże czegoś tu brakowało w tym podarunku.

Niech mają swoją orgię — powiedziała w niej ta inna pamięć. — Niewiele mają przyjemności z życia. Tak, a ty i ja potrzebujemy tej chwili czasu na zapoznanie się, nim ustąpię i wypłynę przez twoje wspomnienia. Już wyczuwam, jak wiążę się z twoimi drobinami. Aaach, twój umysł wypełniają interesujące rzeczy. Jakże wielu spraw nigdy sobie nie wyobrażałam.

I zamknięty w Jessice pamięcio-umysł otworzył się przed nią, pozwalając jej spojrzeć w szeroki korytarz na inne Matki Wielebne w innych Matkach Wielebnych, tyle ich, że wydawało się, jakby nie było im końca. Jessika cofnęła się ze strachu, że zagubi się w oceanie jedności. Korytarz jednak pozostał, objawiając jej, że kultura fremeńska jest o wiele starsza, niż przypuszczała.

Zobaczyła Fremenów z Poritrion, ludzi zniewieściałych na przytulnej planecie, łatwą zdobycz dla rabusiów imperialnych, którzy zaganiali ich i niczym owce wywozili do ludzkich kolonii zakładanych na Bela Tegeuse i Salusa Secundus. Och, cóż za boleść wyczuwała Jessika w owych rozstaniach. Daleko w głębi tego korytarza iluzjo-głos krzyczał:

— Oni odmawiają nam Hadżdż!

Jessika ujrzała niewolnicze obozy na Bela Tegeuse w tym korytarzu świadomości, ujrzała odsiew i selekcję, które zaludniały Rossaka i Harmonthepa. Sceny zwierzęcego okrucieństwa rozłożyły się przed nią jak płatki straszliwego kwiatu.

I zobaczyła nitkę przeszłości snutą przez sajjadinę po sajjadinie, początkowo w formie ustnego przekazu, skrytą w pustynnych śpiewankach, a następnie w udoskonalonej postaci ich własnej Matki Wielebnej po odkryciu narkotycznej trucizny na Rossaku… i teraz podniesioną do wysublimowanej potęgi wraz z odkryciem Wody Życia na Arrakis.

Gdzieś w głębi korytarza świadomości jakiś inny głos krzyczał:

— Nigdy nie wybaczymy! Nigdy nie zapomnimy!

Lecz uwagę Jessiki zaprzątnęło objawienie Wody Życia, jej źródła: płynnej wydzieliny umierającego czerwia pustyni, stworzyciela. Patrząc w swej nowej pamięci na jego zabijanie, Jessika stłumiła westchnienie. Stworzenie zostało utopione!

— Matko, nic ci nie jest?

Głos Paula zabrzmiał natrętnie i Jessika z trudem wydobyła się z wewnętrznej świadomości, by obrócić oczy na syna z poczuciem obowiązku wobec niego, lecz przepełniona niechęcią dla jego obecności.

Jestem jako człowiek, którego ręce poraziło odrętwienie, bez czucia w nich od początku świadomości, aż nadszedł dzień, kiedy powróciło im czucie. — Ta myśl, otoczka świadomości, utkwiła w jej głosie. — I mówię: Patrzcie! Ja mam ręce! Lecz ludzie wszędzie wokół mnie odpowiadają: Co to są ręce?

— Nic ci nie jest? — powtórzył Paul.

— Nie.

— Czy nic się nie stanie, jeżeli się napiję? — Wskazał ruchem ręki bukłak w dłoniach Chani. — Oni chcą, abym się tego napił.

Dotarło do niej ukryte znaczenie jego słów. Pojęła, że się o nią martwi, że wyczuł truciznę w pierwotnej, nie przemienionej substancji. Wtedy zaczęła się zastanawiać nad granicami jasnowidzenia Paula. Jego pytanie wiele jej powiedziało.

— Możesz pić — powiedziała. — To zostało przemienione.

Spojrzała gdzieś poza niego i dostrzegła Stilgara, który patrzył na nią z góry, badając ją ciemnociemnymi oczami.

— Teraz wiemy, że nie możesz być nieprawdziwa — powiedział.

W tym również wyczuła dwuznaczność, ale narkotyk zamącił już jej zmysły. Jakże ciepło było i przytulnie. Jacyż to dobroczyńcy ci Fremeni, że ją dopuścili do takiego braterstwa.

Paul zauważył, że narkotyk zawładnął matką. Przeszukał swą pamięć — ustaloną przeszłość, płynne linie możliwych przyszłości. Przypominało to wypatrywanie zatrzymanych momentów czasu, które mąciły soczewki duchowego oka. Wyrwane z nurtu fragmenty trudne były do zrozumienia. Zaś sam narkotyk — o nim Paul potrafił zebrać wiedzę, rozumiał, jak podziałał on na jego matkę, z tym, że ta wiedza nie miała naturalnego rytmu, że brakło jej usystematyzowania. Nagle uprzytomnił sobie, że widzieć, jak przeszłość zajmuje miejsce teraźniejszości, to jedno, ale że prawdziwa próba jasnowidzenia to dojrzenie przeszłości w przyszłości. Rzeczy ciągle nie były tym, na co wyglądały.

— Napij się — powiedziała Chani.

Pomachała mu rogową końcówką rurki bukłaka przed nosem. Paul wyprostował się nie spuszczając z niej oczu. Wyczuwał w powietrzu atmosferę karnawałowego podniecenia. Wiedział, co nastąpi, kiedy wypije tę przyprawę wraz z najczystszą postacią substancji, która wywoła w nim przemianę. Zza pleców Chani odezwał się Stilgar:

— Pij, chłopcze. Opóźniasz rytuał.

Paul wsłuchał się wtedy w głosy tłumu; słyszał w nich szaleństwo.

— Lisan al — Gaib — mówiły. — Muad'Dib!

Spuścił oczy na matkę. Wydawała się spać spokojnie w pozycji siedzącej, oddychała równo i głęboko. Przyszedł mu na myśl zwrot z przyszłości, która była jego samotną przeszłością: „Ona śpi w Wodach

Życia”. Chani pociągnęła go za rękaw. Paul wziął rogową końcówkę do ust, słuchając krzyków ludzi. Poczuł, jak płyn tryska mu do gardła, gdy Chani pocisnęła bukłak; zakręciło mu się w głowie od oparów. Chani odebrała mu rurkę, włożyła bukłak w wyciągające się po niego z dołu jaskini dłonie. Zatrzymał wzrok na jej ramieniu, na opasce żałobnej zieleni. Kiedy Chani wyprostowała się, dostrzegła jego spojrzenie.

— Potrafię go opłakiwać nawet wśród szczęśliwości. To jest coś, co on nam dał.

Włożyła w jego dłoń swoją i pociągnęła go wzdłuż występu.

— W jednym jesteśmy do siebie podobni, Usul: każdemu z nas Harkonnenowie zabrali ojca.

Paul szedł za nią. Miał wrażenie, że jego głowa została odjęta od ciała i przedziwnie doszyta. Nogi były gdzieś daleko i jakby z gumy. Weszli w wąską odnogę korytarza, w którym rozmieszczone co jakiś czas kule świętojańskie rzucały słabe światło na ściany. Paul czuł, jak narkotyk zaczyna wywierać na niego swój niepowtarzalny wpływ, otwierając czas niby kwiat. Skręcając w następny mroczny tunel stwierdził, że musi się wesprzeć na Chani dla utrzymania równowagi. Twardość postronków i miękkości, jakie wyczuł pod jej szatą, wzburzyła w nim krew. Na te doznania nałożyło się działanie narkotyku, składając przyszłość i przeszłość w teraźniejszość, dla niego pozostawiając najbardziej zawężony obszar trójokularowego ogniska.

— Ja cię znam, Chani — wyszeptał. — Siedzieliśmy na skalnej półce ponad piaskami, ja zaś koiłem twe lęki. Pieściliśmy się w mroku siczy. Myśmy…

Stwierdził, że traci ogniskową widzenia: — próbował potrząsnąć głową, ale się potknął. Chani podtrzymała go, wprowadzając za ciężkie kotary w żółtą przytulność prywatnego mieszkania, z niskimi stolikami, poduszkami, posłaniem nakrytym pomarańczową narzutą. Paul uprzytomnił sobie, że się zatrzymali, że Chani stoi przed nim i że w oczach ma wyraz cichego lęku.

— Musisz mi powiedzieć — szepnęła.

— Tyś jest Sihaja — rzekł — wiosna pustyni.

— Kiedy plemię zespala się w Wodzie — odparła — jesteśmy razem… wszyscy. Zespalamy się. Mogę… czuć w sobie innych, lecz boję się zespolenia z tobą.

— Dlaczego? — Starał się skoncentrować na niej, ale przeszłość i przyszłość stapiały się w teraźniejszość zamazując jej wizerunek. Widział ją na różne sposoby w niezliczonych pozycjach i sytuacjach.

— W tobie jest coś przenikającego — powiedziała. — Kiedy cię zabrałam od innych… zrobiłam to ponieważ czułam, czego reszta pragnie. Ty… wywierasz na ludzi nacisk. Ty… sprawiasz, że mamy

widzenia!

Zmusił się, by mówić wyraźnie:

— Co widzisz?

Spuściła wzrok na swoje dłonie.

— Widzę dziecko… w swych ramionach. To jest nasze dziecko, twoje i moje. — Położyła dłoń na ustach. — Skąd ja znam każdy rys twojej twarzy…

Oni mają ten dar w pewnym stopniu. — powiedział mu jego umysł. — Ale tłumią go, bo to przeraża.

W chwili jasności zobaczył, jak Chani dygoce.

— Co takiego chcesz powiedzieć? — zapytał.

— Usul — wyszeptała, dygocąc w dalszym ciągu.

— Nie możesz wycofać się w przyszłość — powiedział. Ogarnęło go niezmierne współczucie dla niej. Przyciągnął ją do siebie, pogłaskał pogłowie. — Chani, Chani, nie bój się.

— Usul pomóż, mi — załkała.

Poczuł, jak wraz z działaniem jego słów narkotyk dokończył swego w nim dzieła, zdzierając wszelkie kurtyny i pokazując mu odległy szary wir jego przyszłości.

— Jesteś taki spokojny — powiedziała Chani.

Balansując w swej świadomości patrzył, jak czas rozciąga się we własnych osobliwych wymiarach, w stanie delikatnej równowagi, a jednak wirujący, wąski, a rozpostarty jak sieć zagarniająca niezliczone światy i siły, napięta lina, po której musi przejść, a zarazem roztańczona pod stopami karuzela. Po jednej stropie widział Imperium, jakiegoś Harkonnena imieniem Feyd-Rautha, który śmigał ku niemu jak śmiertelne ostrze, sardaukarów rwących jak huragan ze swej planety, by szerzyć pogrom na Arrakis, współdziałającą z nimi i spiskującą Gildię, Bene Gesserit z ich planem doboru hodowlanego. Wszystko to wzbierało jak burza na jego horyzoncie, powstrzymywana jedynie przez Fremenów i ich Muad'Diba, uśpionych tytanicznych Fremenów, sprężonych do swej dzikiej krucjaty przez wszechświat. Paul czuł, że jest w samym środku, na osi, na której obraca się cała ta konstrukcja, że idzie po jakimś cienkim drucie spokoju z odrobiną szczęścia, i z Chani obok siebie. Widział ciągnący się przed nim drut, widział czas względnego spokoju w ukrytej siczy, chwilę oddechu między okresami gwałtu.

— Nie ma innego miejsca na spokój — powiedział.

— Usul, ty płaczesz — wyszeptała Chani, — Usul, siło moja, czy ty dajesz wilgoć umarłym? Którym umarłym?

— Tym, co jeszcze nie umarli — powiedział.

— Więc nie zabieraj im czasu życia.

Przez narkotyczną mgłę wyczuł, jak dalece ma rację, gwałtownie przyciągnął ją do siebie.

— Sihaja!

Położyła mu dłoń na policzku.

— Już się nie boję, Usul. Spójrz na mnie. Widzę to, co ty widzisz, kiedy mnie obejmujesz.

— Co widzisz?

— Widzę, jak dajemy sobie wzajemnie miłość w chwili ciszy pomiędzy burzami. Takie jest nasze przeznaczenie.

Narkotyk zmógł go znowu i Paul pomyślał: tak wiele razy dawałaś mi ukojenie i zapomnienie. Na nowo pogrążył się w hiperiluminacji i wypukłorzeźbie wizji czasu, czuł, jak jego przyszłość staje się wspomnieniem — czułych poniżeń fizycznej miłości, zespolenia i komunii jaźni, łagodności i gwałtu.

— Tyś jest silna, Chani — wyszeptał. — Nie opuszczaj mnie.

— Nigdy — powiedziała i pocałowała go w policzek.

KSIĘGA TRZECIA
Prorok

Żadna kobieta, żaden mężczyzna, żadne dziecko nigdy nie byli w bliskiej zażyłości z moim ojcem. Jeżeli można mówić o niewymuszonym koleżeństwie Padyszacha Imperatora z kimkolwiek, najbliższy tego był stosunek okazywany mu przez hrabiego Hasimira Fenringa, towarzysza z dzieciństwa. Miarę przyjaźni hrabiego Fenringa można przedstawić najpierw na przykładzie pozytywnym: rozwiał on podejrzenia Landsraadu po Aferze Arrakis. Kosztowało to ponad miliard solaris łapówek w przyprawie, jak twierdziła moja matka, a były teżłapówki w innej postaci: niewolnice, zaszczyty królewskie, tytuły szlacheckie. Drugie główne świadectwo przyjaźni hrabiego Fenringa jest negatywne. Odmówił on zabicia człowieka, pomimo tego,że leżało to w granicach jego możliwości, i że tak mu rozkazał mój ojciec.

Opowiem o tym za chwilę.

„Hrabia Fenring: sylwetka”
pióra księżniczki Irulan

Baron Vladimir Harkonnen gnał jak burza przez korytarz ze swoich prywatnych komnat, przelatując przez łaty przedwieczornego słonecznego blasku padającego z okien pod sufitem. Kiwał się i podrygiwał w swych dryfach gwałtownymi ruchami. Przemknął przez prywatną kuchnię, przez bibliotekę, przez niewielki salon przyjęć i wpadł do izby służbowej, gdzie zapanował już wieczorny luz. Kapitan gwardii Iakin Nefud siedział na piętach na tapczanie pod przeciwległą ścianą komnaty, z drętwym otępieniem wywołanym semutą na płaskiej twarzy, pośród niesamowitego kwilenia semuckiej muzyki. Świta kapitana przysiadła opodal gotowa na jego skinienie.

— Nefud! — ryknął baron.

Ludzie pozbierali się na nogi. Nefud wstał, na jego obliczu malował się spokój, lecz nalot bladości świadczył o przerażeniu. Semucka muzyka urwała się.

— Mój panie baronie — powiedział. Tylko narkotyk powstrzymywał drżenie w jego głosie. Baron obrzucił spojrzeniem otaczające go twarze, dostrzegając na nich wyraz obłąkańczego spokoju. Powróciwszy spojrzeniem do Nefuda odezwał się jedwabistym tonem:

— Od jak dawna jesteś u mnie kapitanem gwardii, Nefud?

Nefud przełknął.

— Od czasu Arrakis, mój panie. Prawie dwa lata.

— I czy zawsze uprzedzałeś niebezpieczeństwo zagrażające mej osobie?

— Takie było moje jedyne życzenie, mój pilnie.

— Więc gdzie jest Feyd-Rautha? — ryknął baron.

Nefud skurczył się.

— Mój panie?

— Nie uważasz Feyda-Rauthy za niebezpieczeństwo zagrażające mej osobie? — Głos barona był znów jedwabisty. Nefud zwilżył językiem wargi. Nieco otępienia znikło z jego oczu.

— Feyd-Rautha jest w kwaterach niewolników, mój panie.

— Znowu u kobiet, hę?

Baron dygotał od ledwie powściąganego gniewu.

— Sire, może on jest…

— Milczeć!

Baron postąpił jeszcze o krok, zauważył, jak ludzie cofają się jak tworzą nieuchwytną przestrzeń wokół Nefuda, odcinając się od obiektu gniewu.

— Czy nie rozkazałem ci wiedzieć dokładnie, gdzie jest na-baron o każdej porze? — zapytał baron. Zbliżył się jeszcze o krok. — Czy nie powiedziałem ci, że masz wiedzieć dokładnie co na-baron mówił za każdym razem — i do kogo? — Następny krok. — Czy nie powiedziałem ci, że masz mi donosić za każdym razem, kiedy pójdzie do kwater niewolnic?

Nefud przełknął. Pot wystąpił mu na czoło. Baron mówił beznamiętnym głosem, niemal pozbawionym wszelkiej intonacji.

— Czy nie powiedziałem ci tego wszystkiego?

Nefud kiwnął głową.

— I czy nie powiedziałem ci, że masz sprawdzać wszystkich przysłanych do mnie chłopców — niewolników i że masz to robić ty sam… osobiście?

Nefud ponownie kiwnął głową.

— Czy nie zauważyłeś przypadkiem skazy na udzie u tego,

którego przysłano mi dziś wieczorem? — zapytał baron. — Czy to możliwe, abyś ty…

— Stryju.

Baron odwrócił się, jakby go ukąsiła żmija, wytrzeszczył oczy na stojącego w drzwiach Feyda-Rauthę. Obecność bratanka, tu i teraz, wyraz pośpiechu, którego młody człowiek nie potrafił całkowicie ukryć — to wszystko wiele mówiło. Feyd-Rautha miał swoją własną siatkę szpiegów wokół barona.

— Chcę, aby usunięto ciało, które znajduje się w moich komnatach — powiedział baron trzymając rękę na broni miotającej pod szatą i dziękując sobie, że ma najlepszą tarczę.

Feyd-Rautha spojrzał na dwóch przylepionych do prawej ściany gwardzistów, skinął głową. Obaj oderwali się od muru i wypadli za drzwi na korytarz, śpiesząc w kierunku komnat barona. Ci dwaj, hę? — pomyślał baron. — Ach, ten młody potwór musi się jeszcze wiele nauczyć o konspiracji!

— Wnoszę, że w kwaterach niewolników panuje spokój, Feyd — powiedział.

— Grałem w cheopsa z mistrzem niewolników — wyjaśnił Feyd-Rautha, a pomyślał: Co się stało? Chłopiec posłany przez nas stryjowi został najwyraźniej zabity. Mimo że do tej roboty był idealny. Nawet sam Hawat nie dokonałby lepszego wyboru. Chłopiec był idealny!

— Grałeś w szachy piramidalne — powiedział baron. — To ładnie: Wygrałeś?

— Ja… ach, tak, stryju. — I Feyd-Rautha usiłował opanować niepokój. Baron pstryknął palcami.

— Nefud, pragniesz powrócić do mych łask?

— Sire, co ja takiego zrobiłem? — wyjąkał Nefud.

— Teraz to jest bez znaczenia — rzekł baron. — Feyd pobił mistrza niewolników w cheopsa. Słyszałeś?

— Tak… sire.

— Chcę, byś wziął trzech ludzi i udał się do mistrza niewolników — rzekł baron. — Zgarotujesz go. Jak skończysz, przyniesiecie mi jego ciało, abym obejrzał, czy zostało to właściwie zrobione. Nie możemy trzymać na służbie takich marnych szachistów.

Feyd-Rautha zbladł, wystąpił krok naprzód.

— Ale, stryju, ja…

— Później, Feyd — rzekł baron, opędzając się dłonią. — Później.

Dwaj gwardziści wyprawieni do kwater barona po ciało niewolnika przeszli obok drzwi uginając się pod ciężarem, ich brzemię zwisało między nimi, ręce wlokły się po ziemi. Baron obserwował ich, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Nefud zbliżył się z boku do barona.

— Życzysz sobie, mój panie, bym teraz zabił mistrza niewolników?

— Teraz — polecił baron. — A jak się z tym uwiniesz, dodaj do swej listy tamtych dwóch, którzy przed chwilą przeszli. Nie podoba mi się ich sposób niesienia tego ciała. Takie rzeczy należy robić schludnie. Również ich zwłoki będę chciał zobaczyć.

— Mój panie — odezwał się Nefud — czy to chodzi o coś, co ja…

— Rób, jak ci kazał twój pan — powiedział Feyd-Rautha. Teraz pozostała mi tylko nadzieja na ocalenie własnej skóry — pomyślał.

Dobrze! — przyklasnął w duchu baron. — Jednak wie, jak umywać ręce. I uśmiechnął się skrycie. Chłopak wie również, czym mnie ugłaskać i jak najlepiej powstrzymać mój gniew wiszący nad jego głową. Wie, że muszę go oszczędzić. Któż inny przejmie wodze, które pewnego dnia muszę wypuścić z rąk? Nie mam nikogo równie zdolnego. Ale on musi się nauczyć! A ja muszę zachować siebie, podczas gdy on się uczy.

Nefud skinął na ludzi, by szli za nim, i wyprowadził ich za drzwi.

— Zechciałbyś towarzyszyć mi do moich komnat, Feyd? — zapytał baron.

— Jestem na twoje rozkazy — skłonił się Feyd-Rautha. Wpadłem — myślał.

— Idź przodem — baron wskazał drzwi.

Feyd-Rautha jedynie ledwo dostrzegalnym wahaniem pokazał po sobie strach. Czy przegrałem z kretesem? — zadawał sobie pytanie. Czy zatopi mi w plecach zatrute ostrze… powoli, przez tarczę? Czy ma innego następcę?

Niech zakosztuje tej chwili strachu — myślał baron podążając za swoim bratankiem. — Zajmie moje miejsce, ale w wybranym przeze mnie momencie. Nie pozwolę mu zmarnować tego, co zbudowałem!

Feyd-Rautha starał się nie iść za szybko. Ciarki chodziły mu po plecach, jakby jego ciało samo zastanawiało się, kiedy też spadnie cios. Jego mięśnie na przemian to naprężały się, to rozluźniały.

— Słyszałeś ostatnie wieści z Arrakis? — zapytał baron.

— Nie, stryju.

Feyd-Rautha zadawał sobie gwałt, by się nie obejrzeć. Ruszył w głąb korytarza ku wyjściu ze skrzydła służby.

— Mają wśród Fremenów nowego proroka czy jakiegoś tam apostoła — rzekł baron. — Nazywają go Muad'Dib. Bardzo śmieszne, naprawdę. To znaczy mysz. Poleciłem Rabbanowi, by im zostawił tę ich religię. Będą mieli zajęcie.

— To bardzo ciekawe, stryju — powiedział Feyd-Rautha. Skręcił w sekretny korytarz do komnat stryja, głowiąc się: dlaczego on mówi o religii? Czy to jakaś subtelna sugestia dla mnie?

— Nieprawdaż? — powiedział baron.

Wkroczyli do apartamentów barona i przez salon przyjęć weszli do sypialni. Powitały ich tutaj dyskretne ślady zmagań,

przemieszczona lampa dryfowia, poduszka na podłodze, taśma kojąca rozciągnięta przez wezgłowie.

— To był chytry plan — rzekł baron. Z tarczą ciągle nastawioną na maksimum zatrzymał się, stając twarzą w twarz z bratankiem. — Ale nie dość chytry. Powiedz mi, Feyd, dlaczego sam mnie nie zabiłeś? Miałeś dosyć okazji.

Feyd-Rautha znalazł sobie krzesło dryfowe i wzruszając w duchu ramionami siadł nie proszony. Teraz muszę być zuchwały — pomyślał.

— Uczyłeś mnie, że moje własne dłonie muszą pozostać czyste — powiedział.

— Ach, tak — rzekł baron. — Kiedy znajdziesz się przed obliczem Imperatora, musisz być w stanie szczerze wyznać, że nie popełniłeś tego czynu. Wiedźma u boku Imperatora usłyszy twoje słowa i odróżni w nich prawdę od fałszu. Tak. Ostrzegałem cię przed tym.

— Dlaczego nigdy nie kupiłeś sobie jakiejś Bene Gesserit, stryju? — zapytał Feyd-Rautha. — Mając przy sobie prawdomówczynię…

— Znasz moje gusta! — uciął baron.

Feyd-Rautha przypatrzył się stryjowi.

— Mimo to jedna by się przydała do…

— Nie ufam im! — warknął baron. — I nie staraj się zmieniać tematu!

— Jak sobie życzysz, stryju — potulnie odezwał się Feyd-Rautha.

— Przypominam sobie pewną arenę sprzed kilku lat — powiedział baron. — Tego dnia wydawało się, że napuszczono na ciebie niewolnika, który miał cię zabić. Czy tak to było naprawdę?

— To było tak dawno temu stryju. W końcu ja…

— Bez wykrętów, proszę — przerwał baron; napięcie w jego głosie zdradzało hamowany gniew.

Feyd-Rautha spojrzał na swego stryja. On wie — myślał — inaczej by nie pytał.

— To była blaga, stryju. Skartowałem to, by skompromitować twego mistrza niewolników.

— Bardzo chytrze — rzekł baron. — I odważnie. Tamten gladiator o mało cię nie wykończył, nieprawdaż?

— Tak.

— Gdybyś posiadał finezję i subtelność równe twej odwadze, byłbyś zaiste wspaniały.

Baron pokręcił głową. I nie pierwszy już raz od czasu tamtego strasznego dnia na Arrakis przyłapał się na tym, że żałuje utraty mentata Pitera. To był człowiek finezyjnej, diabelskiej wprost subtelności. Ponownie baron pokiwał głową. Nie ocaliło go to jednakowoż. Niezbadane są czasami wyroki losu.

Feyd-Rautha rozejrzał się po sypialni studiując ślady zmagań i kombinując, jak jego stryj pokonał niewolnika, którego tak starannie

przygotowali.

— Jak go pokonałem? — zapytał baron. — Aaach cóż, Feyd, pozwól mi zachować jakiś oręż dla własnego bezpieczeństwa na stare lata. Lepiej skorzystajmy z tej okazji i zawrzyjmy układ.

Feyd-Rautha wlepił w niego oczy. Układ! Więc jednak zamierza mnie zatrzymać na swego dziedzica. Po co się inaczej układać? Układy są dla równych albo prawie równych!

— Jaki układ, stryju?

Feyd-Rautha odczuwał dumę, że jego głos zachował spokój i umiarkowanie nie zdradzając nic z przepełniającego go uniesienia. Baron również zauważył to opanowanie. Skinął głową.

— Jesteś dobrym materiałem, Feyd. Ja nie marnuję dobrego materiału. Jednak uparcie nie chcesz przyjąć do wiadomości, ile ja naprawdę jestem wart dla ciebie. Jesteś zatwardziały. Nie rozumiesz, dlaczego powinieneś mnie chronić jako osobę o najwyższej wartości dla ciebie. To… — zrobił gest w stronę śladów walki w sypialni — to była głupota. Ja nie nagradzam głupoty.

Przejdź do rzeczy, ty stary głupcze! — pomyślał Feyd-Rautha.

— Uważasz mnie za starego głupca — powiedział baron. — Muszę ci to wyperswadować.

— Wspomniałeś o układzie.

— Ach, ta niecierpliwość młodości — rzekł baron. — Dobrze, oto więc jego zasadnicza treść: Ty zaprzestaniesz tych głupich zamachów na moje życie. Ja zaś kiedy będziesz do tego gotowy, ustąpię na twoją rzecz. Usunę się na stanowisko doradcy ciebie zostawiając u władzy.

— Usuniesz się, stryju?

— Dalej uważasz mnie za głupca — powiedział baron — a ja cię tylko w tym utwierdzam, hę? Uważasz, że cię błagam! Uważaj pod nogi, Feyd. Ten stary głupiec wypatrzył ukrytą igłę, którą umieściłeś w udzie tego młodziutkiego niewolnika. Dokładnie tam, gdzie położyłbym na nim dłoń, hę? Najmniejszy nacisk i — ciach! Zatruta igła w dłoni starego głupca! Aaaach, Feyd…

Baron pokręcił głową. I udałoby się to, a jakże, gdyby Hawat mnie nie ostrzegł. Cóż, niech chłopak wierzy, że przejrzałem spisek bez niczyjej pomocy. Tak też poniekąd było. To ja ocaliłem Hawata ze zgliszczy Arrakis. A ten chłopak powinien mieć więcej respektu dla mojej waleczności.

Feyd-Rautha w milczeniu bił się z myślami. Czy on jest szczery? Czy rzeczywiście zamierza abdykować? Czemu nie? Ja go kiedyś niewątpliwie zastąpię, jeżeli będę działać ostrożnie. Nie będzie żył wiecznie. Może i głupio było starać się przyśpieszyć kolej rzeczy.

— Mówisz o układzie — powiedział Feyd-Rautha. — Jaką mamy rękojmię, że zostanie dotrzymany?

— Jak możemy sobie zaufać, hę? — zapytał baron. — Cóż, Feyd,

jeśli chodzi o ciebie, zasadzam Thufira Hawata, by cię pilnował. Ufam mentackim zdolnościom Hawata w tej materii. Rozumiesz mnie? Jeśli zaś chodzi o mnie, będziesz musiał uwierzyć mi na słowo. Ale ja nie będę żył wiecznie, nieprawdaż, Feyd? I chyba już powinieneś zacząć podejrzewać, że znam sprawy, które i ty powinieneś poznać.

— Ja ci daję rękojmię, a co ty dajesz mnie? — zapytał Feyd-Rautha.

— Ja ci pozwolę żyć dalej — powiedział baron.

Kolejny raz Feyd-Rautha studiował swego stryja. Napuszcza na mnie Hawata! Co by powiedział, gdybym mu wyjawił, że to Hawat zaplanował numer z gladiatorem, który kosztował barona jego mistrza niewolników? Pewnie by powiedział,że kłamię chcąc zdyskredytować Hawata. Nie, poczciwy Thufir jest mentatem i przewidział tę sytuację.

— No, co powiesz? — zapytał baron.

— Co mogę powiedzieć? Zgadzam się oczywiście.

Feyd-Rautha pomyślał: Hawat! Wygrywa jednego przeciw drugiemu… czy o to chodzi? Czy przeszedł do obozu mego stryja, bo nie skonsultowałem z nim zamachu przy pomocy tego młodego niewolnika?

— Nic nie powiedziałeś na to, że stawiam nad tobą Hawata — rzekł baron.

Rozdęte nozdrza Feyda-Rauthy zdradzały jego rozdrażnienie. Imię Hawata przez tak wiele lat było w rodzinie Harkonnenów sygnałem niebezpieczeństwa… a teraz nabrało nowego znaczenia, wciąż niebezpiecznego.

— Hawat to niebezpieczna zabawka — powiedział Feyd-Rautha.

— Zabawka! Nie bądź idiotą. Wiem, co mam w osobie Hawata i jak nad tym panować. Hawat podlega głębokim emocjom, Feyd. Człowieka bez emocji, oto kogo trzeba się bać. Lecz głębokie emocje… ach, widzisz, te można nagiąć do swoich potrzeb.

— Nie rozumiem cię, stryju.

— Tak, to widać.

Feyd przełknął obrazę zaledwie mrugnąwszy.

— I nie rozumiesz Hawata — dodał baron.

Ani ty! — pomyślał Feyd-Rautha.

— Kogo Hawat wini za swoje obecne położenie? — zapytał baron. — Mnie? Z pewnością. Ale był on narzędziem Atrydów i latami ze mną wygrywał, dopóki nie wmieszało się Imperium. Tak on to widzi. Jego nienawiść do mnie jest teraz zdawkowa. Wierzy, że może ze mną wygrać w każdej chwili. Wierząc w to jest przegrany. Ponieważ ja skierowuję jego uwagę tam, gdzie chcę — przeciwko Imperium.

Napięcie rodzącego się zrozumienia pobruździło czoło Feyda-Rauthy, ściągnęło mu usta.

— Przeciwko Imperatorowi?

Niech mój drogi bratanek posmakuje tego — myślał baron. — Niech sobie wymówi: Imperator Feyd-Rautha Harkonnen! Niech zapyta sam siebie, ile to warte. Z pewnością musi być warte życia jednego starego stryja, który może sprawić, że ten sen stanie się jawą.

Feyd-Rautha powoli zwilżył językiem wargi. Czy to, co mówi stary głupiec, może być prawdą? Jest w tym coś więcej, niż się na pozór wydaje.

— A co ma do tego Hawat? — zapytał Feyd-Rautha.

— On myśli, że nas wykorzystuje do zemsty na Imperatorze.

— A kiedy to zostaniu osiągnięte?

— On nie wybiega myślą poza swoją zemstę. Hawat jest człowiekiem, który musi służyć innym, sam nawet tego o sobie nic wiedząc.

— Wiele się od Hawata nauczyłem — przyznał Feyd-Rautha czując prawdę tych słów w każdej zgłosce. — Ale im więcej się uczę, tym bardziej czuję, że powinniśmy go zlikwidować, i to szybko.

— Niemiła ci jest świadomość, że będzie miał na ciebie oko?

— Hawat ma oko na każdego.

— I może posadzić cię na tronie. Hawat jest subtelny. Jest niebezpieczny, przebiegły. Ale ja mu jeszcze nie odstawię antidotum. Miecz jest także niebezpieczny, Feyd. Ale ma pochwę. Jest w Hawacie trucizna. Kiedy wycofamy antidotum, okryje go pochwa śmierci.

— To poniekąd przypomina arenę — powiedział Feyd. — W fintach finty w fintach. Siedzisz okiem, w którą stronę pochyla się gladiator, w którą stronę patrzy, jak trzyma nóż.

Pokiwał głową sam do siebie, widząc, że słowa te spodobały się stryjowi, ale myśląc: tak! Arenę! A brzeszczotem jest myśl!

— Widzisz teraz, jak ci jestem potrzebny — rzekł baron. — Ja się jeszcze przydaję, Feyd.

Jak miecz, którym się włada, dopóki się tak nie stępi, że się do niczego nie przyda — pomyślał Feyd-Rautha.

— Tak, stryju — powiedział.

— A teraz — rzekł baron — udamy się do kwater niewolników, my dwaj. I ja będę patrzył, jak ty swoimi własnymi rękami zabijasz wszystkie kobiety w skrzydle rozpusty.

— Stryju!

— Będą jeszcze inne kobiety, Feyd, Ale powiedziałem, że ze mną nie popełnia się błędów bezkarnie.

Feudowi — Raucie ściemniała twarz.

— Stryju, ty…

— Przyjmiesz swoją karę i zapamiętasz tę naukę — rzekł baron.

Feyd-Rautha spojrzał w rozpromienione oczy stryja. I muszę zapamiętać tę noc — myślał. — A pamiętając ją, muszę pamiętać o innych nocach.

— Nie odmówisz — powiedział baron.

Co byś zrobił, gdybym odmówił, staruchu? — pomyślał sobie Feyd-Rautha. Ale wiedział, że może się znaleźć jakaś inna kara, może brutalniejsza, bardziej wyrafinowana.

— Znam cię, Feyd — powiedział baron. — Nie odmówisz.

W porządku — myślał Feyd-Rautha. — Teraz jesteś mi potrzebny. Rozumiem to. Dobiliśmy targu. Lecz nie zawsze będziesz mi potrzebny. I… pewnego dnia…

> *Głęboko w ludzkiej podświadomości tkwi przemożna potrzeba logicznego, mającego sens wszechświata. Ale rzeczywisty wszechświat jest zawsze o krok poza logiką.*
>
> *ze „Złotych myśli Muad'Diba" zebranych przez księżniczkę Irulan*

Siadywałem naprzeciwko wielu panujących głów z wysokich rodów, lecz nigdy nie widziałem niebezpieczniejszej i bardziej spasionej świni od tej — powiedział sobie Thufir Hawat.

— Możesz mówić ze mną bez ogródek, Hawat — zadudnił baron.

Odchylił się do tyłu w krześle dryfowym, świdrując Hawata oczami ukrytymi w fałdach tłuszczu. Stary mentat spuścił wzrok na stół pomiędzy sobą a baronem Vladimirem Harkonnenem, odnotowując bogactwo słojów drewna. Nawet one były czynnikiem, który należało uwzględnić szacując barona, jak i czerwone ściany tej prywatnej salki konferencyjnej oraz nikły słodki zapach ziół wiszący w powietrzu i maskujący jeszcze intensywniejsze piżmo.

— Nie kazałeś mi wysłać tego ostrzeżenia do Rabbana dla swego widzimisię — powiedział baron.

Starcza, stwardniała jak rzemień twarz Hawata pozostała bez wyrazu, nie zdradzając przepełniającego go wstrętu.

— Podejrzewam wiele rzeczy, mój panie — rzekł.

— Tak. No więc chcę wiedzieć, co ma Arrakis do twoich podejrzeń dotyczących Salusa Secundus. Nie wystarczy, że mi powtarzasz, że Imperator jest poruszony pewnym związkiem między Arrakis a jego tajemniczą więzienną planetą. No więc pośpieszyłem się z wysłaniem Rabbanowi ostrzeżenia jedynie dlatego, że kurier musiał odlecieć tym galeonem. Powiedziałeś, że nie wolno zwlekać. Zgoda. Ale teraz słucham wyjaśnień.

Za dużo paple — myślał Hawat. — To nie Leto, który umiał mi powiedzieć wiele uniesieniem brwi lub gestem dłoni. Ani stary książę,

który potrafił wyrazić całe zdanie przez zaakcentowaniepojedynczego słowa. To jest prostak! Zabicie go będzie przysługą dla rodzaju ludzkiego.

— Nie odejdziesz stąd, dopóki nie otrzymam pełnego i szczegółowego wyjaśnienia — stwierdził baron.

— Zbyt lekko mówisz o Salusa Secundus — powiedział Hawat.

— Jest karną kolonią — rzekł baron. — Na Salusa Secundus zsyła się najgorsze szumowiny z całej galaktyki. Czego nam więcej potrzeba do wiadomości?

— Że warunki na planecie więziennej są uciążliwsze niż gdziekolwiek indziej — odparł Hawat. — Słyszałeś, że współczynnik umieralności wśród nowo przybyłych więźniów przekracza sześćdziesiąt procent. Słyszałeś, że Imperator stosuje tam wszelkie formy ucisku. Słyszałeś to wszystko i nie zadajesz pytań?

— Imperator nie pozwala wysokim rodom na inspekcje swego więzienia — warknął baron. — Ale też i nie zagląda do moich lochów.

— I zainteresowanie Salusa Secundus jest… ach… — Hawat położył kościsty palec na ustach — niemile widziane.

— No więc, nie szczyci się pewnymi rzeczami, które musi tam robić!

Najmniejszy z nikłych uśmiechów przemknął po ciemnych wargach Hawata. Oczy mu rozbłysły w świetle jarzeniówki, kiedy je wlepił w barona.

— I nigdy nie zastanawiałeś się, skąd Imperator bierze swoich sardaukarów?

Baron zasznurował tłuste wargi. Nadało to jego twarzy wyraz nadąsanego dziecka, a w głosie brzmiała nuta rozdrażnienia, gdy się odezwał:

— No, jak to… on rekrutuje… to znaczy, są te kontyngenty wojsk i on werbuje z…

— Terefere! — parsknął Hawat. — Opowieści, które słyszymy o wyczynach sardaukarów, to nie są plotki, nieprawdaż? Są to relacje z pierwszej ręki skromnej liczby tych, którzy przeżyli starcie z sardaukarami, hę?

— Sardaukarzy są bez wątpienia wspaniałymi wojownikami — powiedział baron. — Ale uważam, że moje legiony…

— W porównaniu z nimi to harcerze! — warknął Hawat. — Uważasz, że nie wiem, dlaczego Imperator obrócił się przeciwko rodowi Atrydów?

— To nie jest temat do spekulacji dla ciebie — ostrzegł go baron.

Czyż to możliwe, by nawet on nie wiedział, co pchnęło do tego Imperatora? — zadawał sobie pytanie Hawat.

— Każdy temat jest dobry dla mnie do spekulacji, jeśli to służy temu, do czego mnie zatrudniono — powiedział Hawat. — Jestem

mentatem. Nie ukrywa się ani informacyjnych, ani obliczeniowych danych przed mentatem.

Przez długą chwilę baron nie spuszczał z niego oczu.

— Powiedz, co musisz powiedzieć, mentacie — rzekł na koniec.

— Padyszach Imperator obrócił się przeciwko rodowi Atrydów, ponieważ mistrzowie wojny księcia, Gurney Halleck i Duncan Idaho, wyszkolili bojową formację — małą bojową formację — o włos tylko ustępującą sardaukarom. Niektórzy z nich byli nawet lepsi. A książę miał szansę powiększyć swoją armię, uczynić ją pod każdym względem tak silną jak imperatorska.

Baron ważył to odkrycie.

— Co ma do tego Arrakis?

— Stanowi źródło rekrutów zaprawionych w najsurowszej szkole życia.

Baron pokręcił głową.

— Nie myślisz chyba o Fremenach?

— Myślę o Fremenach.

— Ha! Więc po co ostrzegać Rabbana? Po sardaukarskim pogromie i ucisku Rabbana nie mogło pozostać więcej jak garstka Fremenów.

Hawat wpatrywał się w niego bez słowa.

— Nie więcej niż garstka! — powtórzył baron. — Rabban zabił ich sześć tysięcy jedynie zeszłego roku.

Nadal Hawat wpatrywał się w barona.

— A rok przedtem było dziewięć tysięcy — powiedział baron. — A do swego odwrotu sardaukarzy musieli załatwić przynajmniej dwadzieścia tysięcy.

— Jakie są straty wojsk Rabbana w ciągu ostatnich dwóch lat? — zapytał Hawat.

Baron potarł policzki.

— No cóż, werbował raczej ostro, to prawda. Jego agenci czynią dość ekstrawaganckie obietnice i…

— Powiedzmy trzydzieści tysięcy w zaokrągleniu? — zapytał Hawat.

— To chyba trochę za dużo — rzekł baron.

— Wręcz przeciwnie — powiedział Hawat. — Umiem czytać między wierszami raporty Rabbana tak samo jak ty. A ty z pewnością musiałeś zrozumieć moje meldunki od naszych agentów.

— Arrakis to sroga planeta — powiedział baron. — Ofiary samumów mogą…

— Obaj znamy wskaźnik zgonów w wyniku huraganów — przerwał Hawat.

— No, a co jeśli stracił trzydzieści tysięcy? — zapytał baron i krew napłynęła mu do twarzy.

— Według twego własnego rachunku — odrzekł Hawat — Rabban zabił piętnaście tysięcy w ciągu dwóch lat sam tracąc dwa razy tyle. Mówisz, że sardaukarzy załatwili dalsze dwadzieścia tysięcy, a może i trochę więcej. Ja zaś widziałem manifesty przewozowe ich powrotu z Arrakis. Jeśli zabili dwadzieścia tysięcy, to stracili prawie pięciu za jednego. Dlaczego nie chcesz przyjąć tych liczb do wiadomości, baronie, i zrozumieć, co one znaczą?

Baron przemówił ozięble, cedząc miarowo słowa:

— To twój fach mentacie. Co one znaczą?

— Podałem ci za Duncanem Idaho liczebność wizytowanej przez niego siczy — rzekł Hawat. — Wszystko się zgadza. Jeśli mają tylko dwieście pięćdziesiąt takich siczowych wspólnot, ich populacja liczy około pięciu milionów. Mój optymalny szacunek to przynajmniej dwa razy tyle wspólnot. Na takiej planecie ludność rozprasza się.

— Dziesięć milionów?

Policzki barona zatrzęsły się ze zdumienia.

— Co najmniej.

Baron zacisnął pulchne wargi. Oczami jak paciorki wpatrywał się nieustępliwie w Hawata. Czy to prawidłowa kalkulacja mentacka? — zastanawiał się. — Jak to może być, żeby nikt nie podejrzewał?

— Nawet nie zachwialiśmy mocniej ich wskaźnikiem przyrostu naturalnego — powiedział Hawat. — Wytrzebiliśmy jedynie garstkę mniej udanych osobników, pozostawiając silnych, by jeszcze bardziej urośli w siłę — zupełnie jak na Salusa Secundus.

— Salusa Secundus! — warknął baron. — Co to ma wspólnego z planetą więzienną Imperatora?

— Człowiek, który przeżyje Salusa Secundus, jest twardszy od większości ludzi — wyjaśnił Hawat. — Kiedy dodać do tego najlepsze z najlepszych szkolenie wojskowe…

— Bzdura! Wedle twego wywodu ja mógłbym werbować spośród Fremenów po tym, jak byli ciemiężeni przez mego bratanka.

— A ty nie ciemiężysz swoich oddziałów? — zauważył łagodnym głosem Hawat.

— No… ja… ale…

— Ciemiężenie jest rzeczą względną — powiedział Hawat. — Czyż twoim żołnierzom nie powodzi się znacznie lepiej niż innym wokoło? Czyż oni nie widzą niemiłej alternatywy wobec bycia żołnierzem barona?

Baron zamilkł, oczy mu się rozbiegły. Takie możliwości… czyżby Rabban bezwiednie dał rodowi Harkonnenów broń ostateczną? Po chwili rzekł:

— Jak można zapewnić sobie wierność takich rekrutów?

— Brałbym ich małymi grupkami, nie większymi niż w sile plutonu — rzekł Hawat. — Wydostałbym ich z ciężkiej sytuacji i

wyizolował ze szkoleniową kadrą ludzi, którzy by zrozumieli ich przeszłość, najlepiej takich, którzy sami byli kiedyś w równie ciężkiej sytuacji. Po czym natchnąłbym ich mistyczną wiarą, że ich planeta jest w rzeczywistości tajnym poligonem, wydającym na świat takie wyższe istoty jak oni. I przez cały czas pokazywałbym im, na co te wyższe istoty zasługują: bogate życie, piękne kobiety, eleganckie domy… czego dusza zapragnie.

Baron zaczął kiwać głową.

— Tak jak sardaukarzy żyją u siebie.

— Z czasem rekruci uwierzą, że istnienie takiego miejsca jak Salusa Secundus jest usprawiedliwione, ponieważ wydało ich — elitę. Najzwyklejszy żołnierz w sardaukarach wiedzie życie pod wieloma względami równie luksusowe jak członkowie wysokiego rodu.

— Coś takiego! — szepnął baron.

— Udzielają ci się moje podejrzenia — rzekł Hawat.

— Skąd się coś takiego wzięło? — zapytał baron.

— A właśnie, skąd pochodzi ród Corrino? Czy na Salusa Secundus byli ludzie, zanim Imperator wysłał tam pierwszy kontyngent swoich więźniów? Nawet książę Leto, kuzyn po kądzieli, niczego pewnego nie wiedział. Nie zachęca się do stawiania takich pytań.

Oczy barona zrobiły się szkliste od zamyślenia.

— Tak, pilnie strzeżone tajemnice. Użyliby wszelkich środków…

— W dodatku co tu jest do ukrywania? — zapytał Hawat. — Że Padyszach Imperator ma planetę więzienną? To wie każdy. Że ma on…

— Hrabia Fenring! — wyrwało się baronowi.

Hawat zamilkł przyglądając się baronowi z zaintrygowaną miną.

— Co hrabia Fenring?

— Na urodzinach mojego bratanka parę lat temu… — powiedział baron. — Ten imperialny goguś, hrabia Fenring, przybył w charakterze oficjalnego obserwatora oraz dla… hm, sfinalizowania porozumienia handlowego między mną a Imperatorem.

— I co?

— Ja… hm… zdaje się, że w trakcie kolejnej rozmowy powiedziałem coś o zrobieniu z Arrakis planety więziennej. Fenring…

— Dokładnie co powiedziałeś? — zapytał Hawat.

— Dokładnie? To było tak dawno i…

— Mój panie baronie, jeżeli pragniesz zrobić najlepszy użytek z moich usług, musisz udzielić mi wyczerpujących informacji. Nie nagrano tej rozmowy?

Baronowi twarz pociemniała z gniewu.

— Jesteś równie nieznośny jak Piter! Nie podobają mi się te…

— Nie ma już przy tobie Pitera, mój panie — powiedział Hawat. — A tak na marginesie, cóż takiego przytrafiło się Piterowi?

— Zbyt się spoufalił, zbyt wiele wymagał ode mnie — rzekł baron.

— Zapewniałeś mnie, że nigdy nie marnujesz pożytecznych ludzi — odparł Hawat. — Czy chcesz mnie zmarnować przez groźby i wykręty? Rozmawialiśmy o tym, co powiedziałeś hrabiemu Fenringowi.

Z wolna rysy twarzy barona wygładziły się. W odpowiednim czasie — myślał — będę pamiętał, jak mnie traktował. Tak. Będę pamiętał.

— Chwileczkę — powiedział i cofnął się wspomnieniem do spotkania w swej wielkiej sali. Przed oczami stanął mu obraz ich pobytu w stożku ciszy, wspomagając pamięć. — Powiedziałem coś takiego — rzekł baron: — „Imperator rozumie, że interesy są zawsze związane z pewnym przelewem krwi". To była aluzja do strat w naszej sile roboczej. Następnie powiedziałem coś o ewentualnym innym rozwiązaniu problemu Arrakis i dodałem, że planeta więzienna Imperatora natchnęła mnie do pójścia w jego ślady.

— Wiedźmia krew! — warknął Hawat. — Co na to Fenring?

— Wtedy zaczął mnie właśnie wypytywać o ciebie.

Hawat odchylił się na oparcie przymykając oczy w zadumie.

— Więc to dlatego zaczęli przyglądać się Arrakis — rzekł. — Cóż, co się stało, to się nie odstanie. — Otworzył oczy. — Arrakis musi już się roić od ich szpiegów. Dwa lata!

— Ale przecież moja niewinna wzmianka o…

— Nic nie jest niewinne w oczach Imperatora! Jakich instrukcji udzieliłeś Rabbanowi?

— Żeby po prostu nauczył Arrakis moresu przed nami.

Hawat pokręcił głowa.

— Teraz masz, baronie, dwa wyjścia. Możesz wybić tubylców, wytępić ich co do ostatniego, albo…

— Zmarnować całą siłę roboczą?

— Wolałbyś sprowadzić tutaj Imperatora i te wysokie rody, które może jeszcze przeciągnąć na swoją stronę, żeby dokonali skrobanki, żeby wyskrobali Giedi Prime jak pustą tykwę?

Baron przewiercił spojrzeniem swego mentata.

— Nie ośmieliłby się!

— Nie?

Baronowi zadrżały wargi.

— Jaka widzisz alternatywę?

— Porzuć swojego drogiego bratanka Rabbana.

— Po… — baron urwał, wytrzeszczył oczy na Hawata.

— Nie wysyłaj mu więcej ani jednego żołnierza, żadnej pomocy, obojętne w jakiej postaci. Na wszystkie jego listy odpowiadaj niezmiennie, że słyszałeś, w jaki okropny sposób poczyna sobie na

Arrakis, i że jak tylko będziesz mógł, podejmiesz środki zaradcze. Ja zorganizuję przechwycenie niektórych z twoich pism przez szpiegów imperialnych.

— A co z przyprawą, dochodami, wszystkimi…

— Żądaj należnych baronii zysków, bacząc jak to robisz. Wymagaj od Rabbana stałych sum. Możemy…

Baron obrócił ręce dłońmi do góry.

— Lecz skąd pewność, że mój lisi bratanek nie…

— Są jeszcze nasi szpiedzy na Arrakis. Powiedz Rabbanowi, że albo się wywiąże z kontyngentów przyprawy, jakie nań nałożyłeś, albo się go zastąpi.

— Znam swojego bratanka — powiedział baron. — To go tylko sprowokuje do zwiększenia ucisku ludności.

— Oczywiście, że go sprowokuje! — warknął Hawat. — Ty nie chcesz teraz położyć temu kresu! Ty chcesz mieć jedynie czyste ręce. Niech to Rabban ci stworzy tę swoją Salusa Secundus. Nawet nie trzeba mu posyłać żadnych więźniów. Ma wystarczającą do tego populację. Skoro Rabban wyciska pot ze swych ludzi, by wywiązać się z twoich kontyngentów przyprawy, to Imperator nie ma powodu podejrzewać żadnego innego motywu. To jest wystarczający powód, by odłożyć tę planetę na półkę. Ty zaś baronie, słowem ni gestem nie zdradzisz, że istnieje ku temu jakaś inna przyczyna.

Baron nie potrafił ukryć szelmowskiego tonu podziwu w swoim głosie.

— Ach, Hawat, chytrus z ciebie. No, a jak wprowadzimy się na Arrakis i wykorzystamy to, co przygotuje Rabban?

— To najprostsze pod słońcem, baronie. Jeżeli co roku ustalisz nieco wyższy kontyngent od poprzedniego, sytuacja niebawem dojrzeje. Produkcja spadnie. Możesz usunąć Rabbana i samemu zająć się… porządkowaniem bałaganu.

— To trzyma się kupy — rzekł baron. — Tylko że ja sam mogę się poczuć tym wszystkim zmęczony. Przygotowuję kogoś innego do objęcia Arrakis w moim imieniu.

Hawat obserwował tłustą, krągłą twarz naprzeciwko siebie. Stary szpieg — żołnierz niespiesznie pokiwał głową.

— Feyd-Rautha — powiedział. — Więc to się kryje za obecnym uciskiem. Ty sam jesteś bardzo chytry, baronie. Może uda nam się połączyć te dwa plany. Tak. Twój Feyd-Rautha może udać się na Arrakis jako zbawca. Może pozyskać masy. Tak.

Baron uśmiechnął się. Pod maską uśmiechu zaś zadawał sobie pytanie: No, a jak to współgra z osobistymi knowaniami Hawata?

Hawat zaś widząc, że został odprawiony, wstał i opuścił pokój o czerwonych ścianach. Idąc nie potrafił opędzić się od dręczących niewiadomych, jakie wyskakiwały w każdej kalkulacji dotyczącej

Arrakis. Ten nowy przywódca religijny, o którym napomknął Gurney Halleck ze swej kryjówki wśród przemytników, ów Muad'Dib. Może nie powinienem doradzać baronowi, by dał tej religii krzewić się gdzie popadnie, nawet pośród ludności panwi i graben — powiedział do siebie. — Ale wiadomo przecież, że ucisk powoduje rozkwit religii. I pomyślał o meldunkach Hallecka na temat taktyki bojowej Fremenów. Taktyka trąciła samym Halleckiem… Idaho… i nawet Hawatem. Czyżby Idaho przeżył? — zapytywał się w duchu. Lecz to było próżne pytanie. Nie zapytał jeszcze siebie, czy to możliwe, by Paul ocalał. Wiedział, że baron jest przekonany, iż wszyscy Atrydzi zginęli. Jego bronią była wiedźma Bene Gesserit, jak sam przyznał. A to mogło jedynie oznaczać koniec dla wszystkich, nawet dla rodzonego syna tej kobiety. Jakąż jadowitą nienawiść musiała żywić do Atrydów — myślał. — Podobną nienawiść, jaką ja żywię do tego barona. Czy mój cios będzie równie ostateczny i całkowity?

We wszystkich rzeczach przewija się motyw będący częścią naszego wszechświata. Jest w nim symetria, elegancja i wdzięk — owe przymioty, które zawsze odnajdujemy w tym, co wychwytują prawdziwi artyści. Możemy go napotkać w przemijaniu pór roku, w tym, jak piasek ściele się po grani, w pękach gałązek krzewu Corvlilea mexicana albo w żyłkach jego liści. Próbujemy kopiować te motywy w życiu swoim i społeczeństwa, poszukując rytmów, tańców i kształtów, które niosą ukojenie. Można jednak zauważyć niebezpieczeństwo w znalezieniu doskonałości ostatecznej. Jest oczywiste, że plan ostateczny zawiera swoja własną stałość. W takiej doskonałości wszelkie rzeczy zmierzają ku śmierci.

z „Myśli zebranych Muad'Diba" w opracowaniu księżniczki Irulan

Muad'Dib pamiętał, że zjadł posiłek nasycony esencją przyprawową. Uczepił się tego wspomnienia, ponieważ stanowiło punkt oparcia i mógł sobie powiedzieć z tej korzystniejszej pozycji, że jego bezpośrednie doznania muszą być snem. Jestem teatrem

procesów — rzekł sobie. — Jestem ofiarą niedoskonałej wizji, świadomości rasy i jej straszliwego przeznaczenia. Jednak nie potrafił wyzbyć się lęku, że jakoś prześcignął samego siebie i zabłądził w czasie tak dalece, że przeszłość, przyszłość i teraźniejszość poplątały się nie do poznania. Było to coś w rodzaju zmęczenia wzrokowego, wywołanego, o czym wiedział, ustawiczną koniecznością trzymania w pamięci wizji przyszłości na zasadzie wspomnienia, które jako takie należało z natury rzeczy do przeszłości.

Chani przygotowała mi ten posiłek — powiedział sobie. Jednakże Chani przebywała hen na południu — w zimnej krainie gorącego słońca — ukryta w jednej z nowych siczowych fortec, bezpieczna z ich synem Leto II. A może to ma się dopiero zdarzyć? Nie, uspokoił ponownie sam siebie, przecież Alia-ta-Dziwna, jego siostra, udała się tam z jego matką i z Chani w dwudziestodudnikową podróż na południe, jadąc w palankinie Matki Wielebnej zamocowanym na grzbiecie dzikiego stworzyciela. Odsunął od siebie w popłochu myśl o ujeżdżaniu gigantycznych czerwi, zadając sobie pytanie: A może Alia ma się dopiero urodzić?

Byłem na razzia — przypomniał sobie Paul. — Dokonaliśmy rajdu odbierając wodę naszych zmarłych w Arrakin. I znalazłem szczątki swego ojca w stosie pogrzebowym. Umieściliśmy czaszkę ojca jako relikwię we fremeńskim kopcu skalnym górującym nad przełęczą Harga. A może to ma się dopiero zdarzyć?

Moje rany są prawdziwe — powiedział do siebie Paul. — Moje blizny są prawdziwe. Świątynia czaszki mego ojca jest prawdziwa. Dalej w tym stanie nibysnu Paulowi przypomniało się, że Harah, żona Dżamisa, zakłóciła raz jego samotność mówiąc mu, że w korytarzu siczy odbyła się walka. Była to sicz tymczasowa, przed wysłaniem kobiet i dzieci daleko na południe. Harah stanęła tam w wejściu do wewnętrznej komnaty, łańcuszek z nanizanymi pierścieniami talionów wody ściągał z tyłu czarne skrzydła jej włosów. Rozsunąwszy kotary komnaty powiedziała mu, że Chani właśnie kogoś zabiła.

To się zdarzyło — powiedział do siebie Paul. — To było naprawdę, nie zrodziło się ze swego czasu i nie może ulec zmianom. Paul pamiętał, że wybiegł i natknął się na Chani stojącą pod żółtymi kulami korytarza, w jaskrawobłękitnym sari z odrzuconym kapturem, z rumieńcami od wysiłku na elfiej twarzy. Chowała właśnie do pochwy krysnóż. Ciasno zbita gromadka z pośpiechem unosiła jakieś brzemię w głąb korytarza. Paul pamiętał, jak powiedział w duchu: „Zawsze się pozna, kiedy niosą ciało”. Taliony wody Chani, noszone w siczy jawnie na sznurku wokół szyi, zadzwoniły, kiedy się do niego odwróciła.

— O co chodzi, Chani? — zapytał wtedy.

— Wyprawiłam na tamten świat tego, kto przyszedł wyzwać cię

na pojedynek, Usul.

— Ty go zabiłaś?

— Tak. Ale chyba powinnam go była zostawić Harah.

(I Paul ujrzał w pamięci, jak twarze otaczających ich ludzi okazują uznanie tym słowom. Śmiała się nawet Harah.)

— Ale on przyszedł mnie wyzwać.

— Ty sam nauczyłeś mnie magicznego sposobu, Usul.

— Oczywiście! Ale nie powinnaś…

— Urodziłam się w pustyni, Usul, umiem trzymać krysnóż.

Pohamował gniew, starając się przemówić jej do rozsądku.

— To wszystko może być prawda, Chani, ale…

— Nie jestem już, Usul, dzieckiem, które w świetle ręcznej kuli wyłapywało skorpiony w siczy. Nie dla mnie już gry i zabawy.

Paul wybałuszył na nią oczy, zaskoczony dziwnym okrucieństwem ukrytym pod jej niedbałą pozą.

— On nie był tego wart, Usul — powiedziała Chani. — Tacy jak on nie są warci, bym przerywała twoje medytacje.

Przesunęła się bliżej, spoglądając nań z ukosa i ściszając głos tak, żeby tylko on słyszał.

— I, ukochany, kiedy się rozniesie, że rzucający ci rękawicę może natknąć się na mnie i zginąć niesławną śmiercią z ręki kobiety Muad'Diba, ubędzie ochotników.

Tak — powtórzył Paul — to się na pewno zdarzyło. To była prawdo-przeszłość. I rzeczywiście liczba chętnych wypróbowania świeżego ostrza Muad'Diba drastycznie spadła.

Gdzieś w świecie nie-ze-snu coś jakby się poruszyło, odezwał się nocny ptak. Ja śnię — uspokoił się Paul. — To ten posiłek z przyprawą. Ciągle jednak opadało go uczucie opuszczenia. Zastanawiał się, czy to możliwe, by jego dusza prześliznęła się jakoś do świata, w którym według wierzeń Fremenów miała ona swoje prawdziwe istnienie — do alam al-mithal, świata podobieństw, owego metafizycznego królestwa pozbawionego wszelkich fizycznych ograniczeń. I myśl o takim miejscu przepełniła go trwogą, ponieważ usuniecie wszelkich ograniczeń oznaczało usunięcie wszystkich punktów odniesienia. W mitycznym krajobrazie nie mógł się zorientować i oświadczyć: „Ja jestem ja, ponieważ jestem tutaj". Matka powiedziała mu kiedyś: „Ludzie są podzieleni — część ludzi — w tym, co myślą o tobie".

Muszę zbudzić się ze snu — rzekł do siebie Paul. Jako że to się zdarzyło, te słowa jego matki, lady Jessiki, będącej obecnie Matką Wielebną Fremenów, te słowa przebyły rzeczywistość. Jessikę napawał lękiem religijny stosunek Fremenów do niego, o tym Paul wiedział. Nie podobał jej się fakt, że ludzie zarówno z siczy, jak i z graben mówili o Muad'Dibie „On". I rozpatrywała się wśród plemion,

rozsyłając swych sajjadińskich szpiegów, zbierając odpowiedzi, dumając nad nimi. Przytoczyła mu aforyzm Bene Gesserit: „Kiedy religia i polityka jadą na tym samym wozie, ci co powożą, wierzą, że nic nie może im stanąć na drodze. Zaczynają pędzić na łeb na szyję, coraz szybciej i szybciej. Odsuwają od siebie wszelką myśl o przeszkodach i nie pamiętają, że pędzącemu na oślep człowiekowi ukazuje się przepaść, kiedy już jest za późno". Paul przypomniał sobie, jak siedział w kwaterze matki, w wewnętrznej komnacie odgrodzonej ciemnymi kotarami utkanymi w motywy z mitologii fremeńskiej. Siedział tam i słuchał, i obserwował tak, jak ona zawsze obserwuje — nawet kiedy ma spuszczone oczy. Jej owalnej twarzy przybyło nowych zmarszczek w kącikach ust, lecz włosy nadal przypominały wypolerowany brąz. Szeroko rozstawione oczy okryły się jednakże nalotem przepojonego przyprawą błękitu.

— Fremeni mają prostą, praktyczną religię — powiedział.

— Nic nie jest proste w religii.

Ale Paul widząc zachmurzoną przyszłość ciągle wiszącą nad nimi poczuł, jak targa nim gniew. Jedyne, co zdołał powiedzieć, to:

— Religia jednoczy nasze siły. To nasz mistycyzm.

— Ty świadomie kultywujesz tę atmosferę, tę brawurę — zarzuciła mu. — Ani na chwilę nie zaprzestajesz indoktrynacji.

— Tego mnie sama nauczyłaś — odparł.

Ona zaś była tego dnia skora do kłótni i swarów. Był to dzień ceremonii obrzezania maleńkiego Leto. Paul rozumiał pewne powody jej rozdrażnienia. Matka nigdy nie pogodziła się z jego związkiem — tym„dziecinnym małżeństwem" — z Chani. A Chani dała Atrydom syna i Jessika zorientowała się, że dziecka nie potrafi odrzucić razem z matką. Wreszcie Jessika drgnęła pod jego spojrzeniem.

— Uważasz mnie za wyrodną matkę — powiedziała.

— Skądże znowu.

— Widzę, w jaki sposób mi się przyglądasz, kiedy jestem z twoją siostrą. Niczego nie rozumiesz, jeśli chodzi o twoją siostrę.

— Wiem, dlaczego Alia jest inna — powiedział. — Była nienarodzoną częścią ciebie, kiedy przemieniłaś Wodę Życia. Ona…

— Ty nie masz o tym żadnego pojęcia!

I Paul, raptem nie będąc w stanie wyrazić swej wiedzy wyrwanej z jej czasu, powiedział tylko:

— Nie uważam cię za wyrodną matkę.

Zauważyła jego strapienie.

— Jest pewna sprawa, synu — odezwała się.

— Tak?

— Ja bardzo kocham twoją Chani. Akceptuję ją.

To było realne — powiedział sobie Paul. — To nie była niedoskonała wizja, którą miały zmienić konwulsje rodzącego się

czasu. To upewnienie się dało mu świeży punkt zaczepienia w jego świecie. Okruchy trwałej rzeczywistości zaczęły przenikać przez stan uśpienia i zapadać mu w świadomość. Nagle zdał sobie sprawę, że znajduje się w hieregu, obozie pustynnym. Chani ustawiła ich filtrnamiot na miałkim jak pył piasku dla jego miękkości. To mogło oznaczać tylko, że Chani jest w pobliżu. Chani, dusza jego, Chani, jego Sihaja, słodka jak wiosna pustyni. Chani hen z palmariów głębokiego południa. Pamiętał teraz, jak mu śpiewała pustynną śpiewankę na dobranoc.

Duszo ma,
Niechaj noc ta zastąpi ci raj,
Klnę się na Shai — huluda,
Że pójdziesz tam,
Służąc miłości mej.

I zaśpiewała wspólną piosenkę marszową pary kochanków wśród piasku w rytmie, który przypominał szuranie stóp brnących przez wydmy.

Opisz swe oczy,
A ja opiszę serce twe.
Opisz swe stopy,
A ja opiszę dłonie twe.
Opisz swe wieczory,
A ja ci opiszę ranki twe.
Opisz swe pragnienia,
A ja ci powiem, czego chcesz.

Słyszał czyjeś brzdąkanie w struny balisety w sąsiednim namiocie. I pomyślał wtedy o Gurneyu Hallecku. Przynaglony dźwiękiem znajomego instrumentu Paul myślał o Gurneyu, którego twarz widział wśród przemytniczej bandy, lecz który jego nie zobaczył — nie mógł go zobaczyć, ani dowiedzieć się o nim, żeby mimowolnie nie naprowadzić Harkonnenów na ślad syna zabitego przez nich księcia. Ale styl nocnego grajka, sposób, w jaki palce trącały struny balisety, przywiodły Paulowi na pamięć rzeczywistego muzyka. Grał Chatt Skoczek, kapitan fedajkinów, dowódca komandosów śmierci strzegących Muad'Diba.

Jesteśmy w pustyni — uprzytomnił sobie Paul. — Jesteśmy w centralnym ergu poza zasięgiem harkonneńskich patroli. Jestem tutaj, aby przejść piasek, aby zwabić stworzyciela, aby dosiąść go własnym sprytem, aby stać się pełnym Fremenem. Czuł teraz na brzuchu

pistolet maula, czuł krysnóż. Czuł otaczającą go ciszę. Była to szczególna cisza przedświtu, kiedy nocne ptaki odeszły, zaś dzienne stworzenia jeszcze nie zasygnalizowały swej czujności wobec słońca, ich wroga. „Musisz przejechać piasek w świetle dnia, żeby Shai-hulud zobaczył i poznał, że nie ma w tobie strachu" — powiedział Stilgar. — „Przestawimy sobie zatem czas i pójdziemy spać tej nocy".

Paul usiadł po cichutku, czując na ciele przestronność poluzowanego filtrfraka i zaciemniony filtrnamiot nad sobą. Poruszał się bezszelestnie, a jednak Chani go usłyszała. Odezwała się z mroków namiotu, sama jak jeden z jego cieni.

— Jeszcze nie pełny świt, ukochany.

— Sihaja — powiedział na wpół ze śmiechem.

— Nazywasz mnie wiosną pustyni — rzekła — lecz w dniu dzisiejszym jestem jak oścień na ciebie. Jam jest Sajjadina na straży rytuałów.

Zajął się dopinaniem swego filtrfraka.

— Kiedyś zacytowałaś mi słowa z Kitab al-Ibar — rzekł. — Powiedziałaś: „Kobieta jest twoim polem: zatem idź i uprawiaj je".

— Jestem matką twojego pierworodnego — zgodziła się.

Widział ją w szarówce, jak każdym ruchem powtarza jego ruchy, zabezpieczając filtrfrak na otwartą pustynię.

— Powinieneś wykorzystać wszystkie chwile na odpoczynek.

Poznał, że to jej miłość do niego przemawia i złajał ją łagodnie.

— Sajjadina strażniczka nie udziela przestróg ani ostrzeżeń kandydatowi.

Przysunęła się do niego blisko, dłonią musnęła jego policzek.

— Dziś jestem i strażniczką, i kobietą.

— Zostaw tę powinność komuś innemu.

— Czekanie jest nie najlepsze w każdym przypadku — powiedziała. — Wolałabym znajdować się u twego boku.

Ucałował jej dłoń, nim zamocował maskę filtrfraka na twarzy, po czym odwrócił się i zerwał grodź namiotu. Wlatujące do nich powietrze niosło chłodną nie-całkiem-suchość, która o świcie osiądzie rosą śladową. Doleciała z nim woń masy preprzyprawowej, wykrytej przez nich nie opodal na północny wschód, co powiedziało im, że w pobliżu będzie stworzyciel. Paul przeczołgał się przez otwarty zwieracz i stanąwszy na piasku przeciągnął się, budząc mięśnie do życia. Nikła, zielonkawoperłowa luminescencja wytrawiła horyzont na wschodzie. Małe sztuczne wydmy otaczające go w mroku to były namioty jego oddziału. Z lewej strony dostrzegł ruch warty i wiedział, że go też dostrzegli. Oni znali niebezpieczeństwo, któremu stawiał dziś czoło. Każdy Fremen przez to przechodził. Dawali mu teraz te ostatnie parę chwil samotności, żeby mógł się przygotować.

To musi stać się dzisiaj — powiedział sobie. Myślał o potędze,

jaką przeciwstawił pogromowi — o starcach posyłających do niego swych synów na nauki w magicznej szkole walki, starcach z rady słuchających teraz jego zdania i postępujących według jego wskazań, o ludziach, którzy powracając składali mu wyrazy najwyższego fremeńskiego uznania: „Twój plan nie zawiódł, Muad'Dibie". Jednak najskromniejszy i najmarniejszy z fremeńskich wojowników potrafił robić coś, czego on nigdy nie dokonał. I Paul wiedział, że jego przywództwo cierpi z powodu tej znanej powszechnie różnicy pomiędzy nimi. On nie dosiadł stworzyciela. Owszem, jeździł z innymi na treningowe przejażdżki i rajdy, ale nie odbył swojej własnej podróży. Dopóki tego nie zrobi, jego świat pozostanie ograniczony możliwościami innych, na co nie może sobie pozwolić żaden prawdziwy Fremen. Dopóki tego nie zrobi samodzielnie, odmówione mu będą nawet rozległe krainy południa, ziemie w zasięgu dwudziestu dudników od ergu, chyba że zażyczy sobie palankinu i pojedzie niczym Matka Wielebna czy któryś z chorych lub rannych.

Powróciło do niego wspomnienie zmagań ze świadomością swego wewnętrznego „ja" tej nocy. Dostrzegł tu osobliwą analogię: jeśli ujarzmi stworzyciela, umocni swoją władzę; jeśli ujarzmi oko swej jaźni, tym samym nią zawładnie. Lecz poza jednym i drugim leżał zaciągnięty chmurami obszar Wielkiego Niepokoju, gdzie cały wszechświat wydawał się gmatwać. Dręczyła Paula niezgodność w sposobie pojmowania przez niego wszechświata, dokładność i niedokładność, jego dwie strony medalu. Widział tu „in situ". Jednak po narodzeniu, po dostaniu się pod presję rzeczywistości, teraźniejszość żyła swoim własnym życiem i rosła ze swoimi własnymi subtelnymi odmiennościami. Pozostawało straszne przeznaczenie. Pozostawała świadomość gatunku. A ponad wszystkim majaczyła dżihad, krwawa i szalejąca.

Chani przyszła do niego przed namiot: objąwszy się za łokcie spoglądała nań do góry z ukosa, jak to robiła, kiedy badała jego nastrój.

— Opowiedz mi jeszcze raz o wodach twojej rodzinnej planety, Usul — poprosiła.

Zrozumiał, że stara się go rozerwać, uwolnić od napięć jego umysł przed śmiertelną próbą. Pojaśniało i spostrzegł, że niektórzy z jego fedajkinów zwijają już namioty.

— Wolałbym, żebyś ty mi opowiedziała o siczy i naszym synu — rzeki. — Czy Leto wodzi już za nos moją matkę?

— Alię też wodzi — powiedziała. — I rośnie jak na drożdżach. Będzie z niego wielki mężczyzna.

— Jak tam jest na południu? — zapytał.

— Sam zobaczysz, jak ujeździsz stworzyciela.

— Ale najpierw chciałbym to zobaczyć twoimi oczami.

— Okropnie pusto.

Poprawił jej na czole wystającą spod filtrfrakowego kołpaka chustę nezhoni.

— Dlaczego nie opowiesz o siczy?

— Przecież opowiadam. Sicz bez naszych mężczyzn jest pustym miejscem. Jest miejscem pracy. Pracujemy w warsztatach i donicarniach. Trzeba produkować broń, sadzić tyczki dla prognoz pogody, zbierać przyprawę na łapówki. Trzeba obsadzić wydmy, aby obrosły i zakotwiczyły się. Trzeba wytwarzać tkaniny i dywany, ładować ogniwa paliwowe. Trzeba szkolić dzieci, żeby siła plemienia nigdy nie zginęła.

— Zatem w siczy nie ma nic miłego? — spytał.

— Dzieci są miłe. Przestrzegamy rytuałów. Mamy dosyć żywności. Czasami któraś z nas ma okazję udać się na północ, by się przespać ze swoim mężczyzną. Życie musi iść naprzód.

— A moja siostra Alia… czy ludzie już ją zaakceptowali?

Chani obróciła się ku niemu w narastającym brzasku. Świdrowała go oczami.

— Porozmawiajmy o tej sprawie innym razem, ukochany.

— Porozmawiajmy teraz.

— Powinieneś oszczędzać całą swą energię na próbę — powiedziała.

Słysząc w jej głosie rezerwę zorientował się, że poruszył drażliwy temat.

— Nieznane przynosi troski — powiedział.

Po chwili kiwnęła głową i powiedziała:

— Ciągle zachodzi… nieporozumienie z powodu dziwności Alii. Kobiety się boją, ponieważ dziecko niewiele większe od noworodka prawi… o rzeczach, które powinien znać tylko dorosły. One nie rozumieją tej… przemiany w łonie, która sprawiła, że Alia jest… inna.

— Kłopoty? — zapytał.

Miewałem wizje kłopotów z Alią — pomyślał.

Chani spojrzała w kierunku coraz wyraźniejszej linii wschodzącego słońca.

— Część kobiet wystąpiła ze wspólnym apelem do Matki Wielebnej. Zażądały od niej, żeby egzorcyzmami wypędziła demona ze swej córki. Powołały się na Pismo Święte: „Nie pozwólmy czarownicy żyć wśród nas”.

— I co im powiedziała moja matka?

— Wyrecytowała prawo i kobiety odeszły jak niepyszne. Powiedziała: „Skoro Alia sprawia kłopoty, to jest to wina władzy, która nie przewidziała i nie ustrzegła się tych kłopotów”. I starała się wyjaśnić, co przemiana zrobiła w jej łonie z Alią. Ale kobiety były rozzłoszczone, że je speszyła. Odeszły sarkając.

Będą kłopoty z powodu Alii — pomyślał. Podmuch krystalicznego piasku musnął odkryte części jego twarzy, przynosząc woń masy preprzyprawowej.

— El Sajal, deszcz piasku zwiastujący poranek — rzekł.

Zapatrzył się w dal, w szare światło pustynnego krajobrazu, na bezlitosny pejzaż, piasek będący formą, która wchłonęła sama siebie. Sucha błyskawica rozjaśniła zygzakiem ciemny zakątek na południu — znak, że samum nagromadził tam swój ładunek elektrostatyczny. Grzmot przewalił się z hukiem o wiele później.

— Głos, który stroi ziemię — powiedziała Chani.

Coraz więcej jego ludzi wyłaniało się z namiotów. Z obrzeży obozu schodziły warty. Wszystko wokół niego toczyło się płynnym, odwiecznym trybem, nie wymagającym żadnych rozkazów. „Jak najmniej rozkazów" — powiedział jego ojciec… kiedyś… dawno temu. „Skoro raz coś rozkażesz, zawsze musisz wydawać rozkaz, by to zrobiono". Fremeni znali tę zasadę instynktownie. Wodmistrz oddziału zaintonował poranny zaśpiew, dodając w nim tym razem wezwanie do rytuału inicjacji jeźdźca piasku.

— Świat jest ścierwem — niosło się jego zawodzenie ponad wydmami. — Któż zawróci anioła śmierci? Stać się musi wola Shai-huluda.

Paul słuchał i rozpoznawał te same słowa, które zaczynały psalm śmierci jego fedajkinów, słowa, które odmawiali komandosi śmierci rzucając się w wir walki. Czy od dzisiaj przybędzie tutaj skalne sanktuarium, znaczące odejście kolejnej duszy? — zapytywał siebie Paul. — Czy Fremeni będą tu przystawać w przyszłości, by każdy dołożył od siebie kamień i pomyślał o poległym tutaj Muad'Dibie. Wiedział, że istnieje dziś taka alternatywa, taki fakt na nitkach przyszłości rozchodzących się promieniście z tego miejsca w czasoprzestrzeni. Prześladowała go ta niedoskonałość wizji. Im bardziej opierał się swemu strasznemu przeznaczeniu i przeciwstawiał nadejściu dżihad, tym większy zamęt wkradał się w jego jasnowidzenie. Cała jego przyszłość zaczynała przypominać walącą się w otchłań rzekę — ogniwo gwałtowności — poza którą były jedynie mgła i chmury.

— Nadchodzi Stilgar — powiedziała Chani. — Muszę już stanąć na uboczu, ukochany. Teraz muszę być Sajjadiną i baczyć na rytuał, żeby odnotowano to wiernie w kronikach. — Podniosła na niego oczy i na chwilę opadła z niej powściągliwość, ale szybko się opanowała. — Kiedy będzie po wszystkim, własnymi rękami przygotuję ci śniadanie — powiedziała.

Odeszła. Stilgar zbliżał się ku niemu przez piasek, poruszając maleńkie kałuże pyłu. Ciemne nisze jego oczu spoczywały na Paulu nieruchomym, dumnym wejrzeniem. Czarna broda wyzierająca

sponad maski filtfraka i zryte bruzdami policzki mogły ożywieniem konkurować z rzeźbą w skale. Niósł sztandar Paula — zielono — czarny sztandar z tuleją na wodę w drzewcu — który stał się już legendą tej krainy. Paul pomyślał z odcieniem dumy: nie mogę zrobić najprostszej rzeczy, żeby nie przeszła ona do legendy Oni sobie zanotują, jak się rozstałem z Chani, jak powitam Stilgara — każdy mój dzisiejszy krok. Żywy czy martwy — zostanę legendą. Nie mogę zginąć. Wtedy będzie tylko legenda i nic prócz niej, by powstrzymać dżihad.

Stilgar zatknął drzewce w piasek przy Paulu, opuścił ręce. Spojrzenie błękitnych w błękicie oczu pozostało harde i natarczywe. A Paul pomyślał o swoich własnych oczach, które już zachodziły tą samą przyprawową barwą.

— Odmawiają nam Hadżdż — powiedział Stilgar z rytualnym namaszczeniem.

Paul odpowiedział, jak nauczyła go Chani.

— Któż może odmówić Fremenowi prawa, by szedł lub jechał, dokąd zechce?

— Jam jest Naib — rzekł Stilgar — ten, którego nigdy nie wezmą żywcem. Jam jest ramię trójnoga śmierci, który zabije naszych wrogów.

W powietrzu zawisła cisza. Paul zerknął na resztę Fremenów rozproszonych za Stilgarem po piasku, na to, jak zastygli bez ruchu w tym momencie prywatnej modlitwy. I zadumał się nad tymi Fremenami, nad ludźmi, których życie składa się z zabijania — nad całym ludem, który żyje gniewem i rozpaczą od początku swoich dni i nigdy się nie zastanawia, co mogłoby zastąpić jedno i drugie — z wyjątkiem marzenia, jakim natchnął ich Liet — Kynes przed swoją śmiercią.

— Gdzież jest Pan, który przeprowadzi nas przez królestwo pustyni i otchłań? — zapytał Stilgar.

— On zawsze jest z nami — zaintonowali Fremeni.

Stilgar wyprostował się i podszedł bliżej do Paula ściszając głos.

— Nie zapomnij, co ci mówiłem. Zrób to prosto i zwyczajnie, bez fantazjowania. Nasi ludzie ujeżdżają stworzyciela w wieku dwunastu lat. O sześć lat przekraczasz ten wiek i nie urodziłeś się do tego życia. Na nikim nie musisz zrobić wrażenia swoją odwagą. My wiemy, że jesteś odważny. Jedyne, co masz zrobić, to wezwać i ujeździć stworzyciela.

— Nie zapomnę — powiedział Paul.

— Oby tak było. Nie chciałbym, byś przyniósł wstyd moim naukom.

Stilgar wyciągnął spod burnusa plastikową laskę około metrowej długości. Była z jednego końca zaostrzona, na drugim miała

sprężynową kołatkę.

— Sam sporządziłem ten dudnik. To dobry egzemplarz. Weź go.

Paul poczuł ciepłą gładź plastiku, kiedy wziął dudnik do rąk.

— Sziszakli ma twoje haki — powiedział Stilgar. — Wręczy ci je, jak dojdziesz do tamtej wydmy, o tam — wskazał na prawo. — Wezwij dużego stworzyciela, Usul. Wskaż nam drogę.

Paul zwrócił uwagę na ton głosu Stilgara, na poły ceremonialny, na poły przesycony przyjacielską troską. W tym momencie odnieśli wrażenie, że słońce wypryskuje nad horyzont. Niebo zasnuło się posrebrzonym szarobłękitem, który ostrzegał, że dzień będzie wyjątkowo upalny i suchy, nawet jak dla Arrakis.

— Nadszedł czas płonącego dnia — rzekł Stilgar i głos jego był już całkiem uroczysty. — Idź, Usul, i dosiądź stworzyciela, jedź piaskiem jak przywódca ludzi.

Paul zasalutował swej fladze — zauważył, jak zielono — czarna chorągiew zwisa bezwładnie, kiedy zamarł wiatr przedświtu. Ruszył w stronę wskazanej przez Stilgara wydmy, burobrązowego stoku o grzbiecie w kształcie „S". Prawie cały oddział uchodził już w przeciwnym kierunku, wspinając się na drugą z wydm osłaniających obóz. Na drodze Paula została samotna, owinięta w burnus postać: Sziszakli, dowódca brygady fedajkinów, któremu tylko skośne oczy widać było między kołpakiem filtrfraka a maską. Kiedy Paul się zbliżył, Sziszakli podał mu dwa cienkie, pejczopodobne pręty. Miały około półtora metra długości i były zakończone plastykowymi hakami: drugi koniec był szorstki — dla pewniejszego chwytu. Paul ujął oba w lewą dłoń, jak wymagał rytuał.

— To są moje własne haki — powiedział Sziszakli ochrypłym głosem. — Nigdy nie zawiodły.

Paul skinął głową zachowując wymagane milczenie i wyminął go posuwając się stokiem wydmy w górę. Na szczycie obejrzał się i zobaczył, jak oddział rozsypuje się niczym pierzchające owady, jak łopocą burnusy. Stał teraz samotny na piaszczystej grani, mając przed sobą tylko horyzont, płaski i nieruchomy. Dobra była ta wybrana przez Stilgara wydma; wyższa od sąsiednich, stanowiła dogodniejszy punkt obserwacyjny. Schyliwszy się Paul osadził dudnik głęboko w dowietrznym stoku wydmy, gdzie zbity piasek zapewniał maksymalną transmisję werbla. Po czym zawahał się, roztrząsając po raz ostatni nauki, ważąc determinanty życia i śmierci, w obliczu których się znalazł. Kiedy wyciągnie zawleczkę, dudnik rozpocznie swoje wezwania. Pośród piasków usłyszy je gigantyczny czerw — stworzyciel i przybędzie na zew. Paul wiedział, że za pomocą pejczopodobnych hakolasek może dosiąść wyniosłego, krągłego grzbietu stworzyciela. Dopóki hak uchyla przednią krawędź pierścieniowatego segmentu czerwia, otwierając szorstkiemu piaskowi

dostęp do wrażliwego wnętrza, dopóty stworzenie nie pogrąży się w piasek. Przeciwnie — przetoczy swoje gigantyczne cielsko unikając kontaktu z powierzchnią pustyni.

Jestem jeźdźcem piasku — powiedział sobie Paul. Spojrzał w dół na haki w swej lewej dłoni i pomyślał, że wystarczy mu tylko przesunąć je w dół wzdłuż krzywizny ogromnego boku stworzyciela, by zmusić go do obrotu i skrętu, i skierować go tam, gdzie zechce. Widział, jak to robiono. Pomagano mu wspinać się po boku czerwia na krótką przejażdżkę podczas szkolenia. Na schwytanym czerwiu można było jechać, dopóki wyczerpany nie znieruchomiał na powierzchni pustyni i nie trzeba było wzywać nowego stworzyciela. Paul wiedział, że po przejściu tej próby będzie się nadawał do podjęcia dwudziestodudnikowej wyprawy na południowe rubieże, aby odpocząć i dojść do siebie — na południe, tam gdzie w nowych palmariach i siczach podziemnych ukryto przed pogromem kobiety i dzieci.

Podnosząc głowę i spoglądając na południe upomniał samego siebie, że stworzyciel wezwany na chybił-trafił z ergu stanowił niewiadomą, a ten, kto go wezwie, jest również niewiadomą w tej próbie. „Musisz ocenić nadchodzącego stworzyciela" — wyjaśniał Stilgar. „Musisz stać dostatecznie blisko, by się na niego wspiąć, gdy cię będzie mijał, i dostatecznie daleko, by cię nie zagarnął".

Pod wpływem nagłej decyzji Paul zwolnił zawleczkę dudnika. Kołatka zaczęła się obracać, przez piasek popłynęło miarowe łup… łup… łup… Wyprostował się, badając horyzont, pamiętając słowa Stilgara: „Starannie określ tor zbliżania się. Pamiętaj, że czerw rzadko dokonuje niewidocznego podejścia do dudnika. Mimo to nasłuchuj. Często można go usłyszeć, zanim się ukaże". Przyszły mu też na myśl słowa przestrogi Chani wyszeptane w nocy, kiedy zmógł ją strach o niego: „Gdy zajmiesz pozycję na kursie stworzyciela, musisz pozostawać w absolutnym bezruchu. Musisz myśleć jak łacha piasku. Skryj się pod płaszczem i stań się w samej swej istocie małą wydmą". Powoli przeszukiwał horyzont nasłuchując, wypatrując znaków, jakich go nauczono.

Nadeszło z południowego wschodu, odległy syk piaskoszeptu. Niebawem Paul zobaczył hen daleko zarysy tropu stworzenia na tle jasności świtu i uprzytomnił sobie, że nigdy przedtem nie widział tak dużego stworzyciela, nigdy nawet nie słyszał o istnieniu tak wielkiego. Wydawał się dłuższy niż na pół mili, a przypływ fali piaskowej u jego wznoszącego się łba wyglądał jak zbliżanie się góry. Nic takiego nie widziałem ani w swych wizjach, ani w życiu — przestrzegł sam siebie Paul. Szybko przeciął drogę tego stworzyciela, by zająć pozycję, całkowicie pochłonięty naglącymi wymogami tej chwili.

„Trzymacie w ręku mennice i pałace — niech tłuszcza bierze resztę". Tak radzi Padyszach Imperator. I mówi: „Jeżeli chcecie zysków, musicie rządzić". Prawdziwe są to słowa, ale ja pytam: Kto jest tą tłuszczą i kto to są ci rządzeni?

Tajne posłanie Muad'Diba do Landsraadu z „Przebudzenia Arrakis" księżniczki Irulan

Myśl sama przyszła Jessice do głowy: Paul będzie już lada chwila przechodził próbę jeźdźca piasku. Oni starają się ukryć ten fakt przede mną, ale to jasne jak słońce. I Chani odjechała z jakąś tajemniczą misją.

Jessika siedziała w komnacie sypialnej, korzystając z chwili przerwy między nocnymi lekcjami. Komnata była przytulna, choć nie tak obszerna jak tamta, której używała w siczy Tabr, zanim uciekli przed pogromem. Tak samo znajdowały się w niej puszyste dywany na podłodze, miękkie poduszki, niski stolik kawowy na podorędziu, łagodnie żółte kule świętojańskie pod sufitem. Była przesiąknięta charakterystyczną, cierpką, intensywną wonią fremeńskiej siczy, którą Jessika zaczęła utożsamiać z poczuciem bezpieczeństwa. Zdawała sobie jednak sprawę, że nigdy nie przezwycięży wrażenia obcości miejsca, w którym przebywała. To właśnie ten zgrzyt miały zatuszować dywany i draperie. Do sypialni przeniknęło prawie nieuchwytne dzwoneczkowo-bębenkowo-rozklaskane granie. Jessika wiedziała, że to uroczystość porodu, pewnie Subiai. Jej czas się zbliżał. Wiedziała też, że niezadługo zobaczy niemowlę, błękitnookiego cherubinka, którego przyniosą do Matki Wielebnej po błogosławieństwo. Wiedziała również, że jej córka Alia będzie brała udział w obchodach i że złoży jej sprawozdanie. To jeszcze nie pora conocnej modlitwy rozstania. Nie rozpoczną obchodzić urodzin blisko pory obrzędów opłakiwania pojmanych w niewolę podczas najazdów na Poritrin, Bela Tegeuse, Rossaka i Harmonthepa. Jessika westchnęła. Wiedziała też, że stara się nie dopuszczać do siebie myśli o synu i niebezpieczeństwach, jakim stawiał czoło — o wilczych dołach z zatrutymi hakami, o harkonneńskich rajdach (chociaż tych było coraz mniej, od kiedy Fremeni pobierali haracz w pojazdach latających i napastnikach za pomocą nowych broni, w które zaopatrzył ich Paul) i o naturalnych pułapkach pustyni — stworzycielach i pragnieniu, i czeluściach pyłu.

Pomyślała, że warto by poprosić o kawę, i z tą myślą zjawiła się owa zawsze obecna świadomość paradoksu w stylu życia Fremenów:

jak dobrze im się żyło w tych jaskiniach siczy w porównaniu z pyonami z graben; atoli podczas hadżr w otwartej pustyni o ileż sroższe znosili katusze od wszystkiego, co cierpieli poddani harkonneńscy.

Między kotarami obok niej wsunęła się ciemna dłoń i wycofała się pozostawiając na stoliku filiżankę. Z filiżanki unosił się aromat kawy przyprawowej. Poczęstunek z uroczystości narodzin — pomyślała Jessika. Wzięła filiżankę i popijając małymi łykami uśmiechała się do siebie. W jakiej innej społeczności naszego wszechświata mogłaby osoba z moją pozycją przyjąć z nieznanej ręki kubek napoju i wychylić go bez obawy? Potrafię teraz przemienić każdą truciznę, zanim by mi zaszkodziła, oczywiście, ale ofiarodawca o tym nie wie. Dopiła kawę do końca czując przypływ energii i ożywienie od zawartości filiżanki — gorącej i smakowitej. Zastanawiała się, jaka inna społeczność miałaby taki naturalny szacunek dla jej intymności i wygody, że ofiarodawca wtargnąłby zaledwie na tyle, żeby złożyć dar, bez narzucania jej swego towarzystwa. Szacunek i miłość przysłały ten dar, z lekką zaledwie domieszką lęku.

I jeszcze inny aspekt tego wydarzenia znalazł drogę do jej świadomości: zaledwie pomyślała o kawie i kawa się zjawiła. Wiedziała, że w tym nie było nic z telepatii. To było tak — jedność siczowej wspólnoty, zadośćuczynienie za wyrafinowaną truciznę w diecie przyprawowej, którą dzielili. Wielkie rzesze ludzi nie mogą liczyć, że kiedykolwiek spłynie na nie objawienie, jakie ona zawdzięcza nasieniu przyprawy, nie są do tego wyszkolone ani przygotowane. Ich umysły odrzucają to, czego nie mogą zrozumieć lub ogarnąć. Mimo to czują i reagują czasami jak jeden organizm. I nigdy nie przyszła im do głowy myśl o zbiegu okoliczności.

Czy Paul zdał swój egzamin na piasku? — zadała sobie pytanie Jessika. — Jest zdolny, lecz noga może się powinąć i najzdolniejszemu.

I to czekanie. Ta zmora — pomyślała. — Można czekać do pewnego czasu. Po czym ogarnia człowieka zmora wyczekiwania. Ich życie było wypełnione wszelkiego rodzaju wyczekiwaniem. Jesteśmy tu z górą dwa lata — myślała — i przynajmniej drugie tyle upłynie, nim zaświta nam iskierka nadziei, by pokusić o wyrwanie Arrakis z łap harkonneńskiego namiestnika Mudira Nahii, Bestii Rabbana.

— Matko Wielebna?

Głos zza kotary wejściowej należał do Harah, drugiej kobiety w rodzinie Muad'Diba.

— Wejdź, Harah.

Kotary rozchyliły się i Harah jak gdyby wpłynęła do środka. Miała na sobie siczowe sandały; czerwono-żółte sari odkrywało jej ręce prawie do ramion. Czarne włosy rozdzielone pośrodku i sczesane do

tyłu były jak skrzydła owada, przylizane i lśniące. Ostre, drapieżne rysy twarzy chmurzył głęboki mars na czole. Za Harah wynurzyła się dwuletnia dziewczynka Alia.

Kiedy Jessika patrzyła na swoją córkę, uderzyło ją, nie po raz pierwszy zresztą, podobieństwo Alii do Paula w tym wieku — ta sama powaga w pytającym spojrzeniu rozwartych oczu, ciemne włosy, stanowcze usta. Lecz były również i subtelne różnice — i to one właśnie budziły niepokój u większości dorosłych. To dziecko — ledwie od ziemi odrosło — zachowywało się nad wiek spokojnie i świadomie. Dorośli przeżywali szok łapiąc ją na zaśmiewaniu się z dwuznacznych żarcików między przedstawicielami odmiennych płci. To znów sami siebie łapali na tym,że wsłuchują się w jej na poły sepleniący głosik, niezbyt jeszcze wyraźny z powodu nie wykształconego podniebienia miękkiego, i znienacka odkrywają w jej słowach szelmowskie uwagi, które mogły wywodzić się jedynie z przeżyć, jakich żaden dwulatek nie doświadcza.

Harah opadła na poduszkę wzdychając poirytowana i kosym okiem spoglądając na dziecko.

— Alia — przywołała Jessika córkę.

Mała podeszła do matki, siadła przy niej i chwyciła Jessikę za rękę. Cielesny kontakt przywrócił im tamtą wspólną świadomość, jaką dzieliły jeszcze przed narodzeniem Alii. Nie chodziło tu o dzielenie myśli, jakkolwiek zdarzały się i takie chwile, jeśli się dotknęły, gdy Jessika przemieniała truciznę przyprawową do ceremonii. To było coś więcej — bezpośredniaświadomość drugiej iskry życia, coś ostrego i dojmującego, nerwo-współczulność czyniąca je uczuciową jednością. Przestrzegając etykiety należnej członkowi rodziny jej syna, Jessika powiedziała:

— *Sabakh ul kuhar*, Harah. Jak się miewasz tej nocy?

Z tą samą tradycyjną etykietą Harah odparła:

— *Subakh un nar*. Dobrze się miewam.

Słowa były prawie bez wyrazu. Znowu westchnęła. Jessika wyczuła w Alii rozbawienie.

— Ghanima mego brata jest na mnie zła — powiedziała Alia swoim na wpół sepleniącym głosem.

Jessika zwróciła uwagę na określenie użyte przez Alię w odniesieniu do Harah — ghanima. W subtelnościach języka fremeńskiego słowo to oznaczało „coś zdobytego w boju", z dodatkowym podtekstem — że to coś nie jest już używane zgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem. Jakaś ozdoba, ostrze włóczni użyte jako ciężarek do zasłony.

Harah spojrzała na małą spode łba.

— Nie próbuj mnie obrażać, dziecino. Znam swoje miejsce.

— Co przeskrobałaś tym razem, Alia? — zapytała Jessika.

Odpowiedziała jej Harah.

— Dzisiaj nie tylko nie chciała się bawić z innymi dziećmi, ale zakradła się do…

— Schowałam się za kotarą i oglądałam narodziny dziecka Subiai — powiedziała Alia. — Ma chłopaka. Darł się i darł. Cóż za płuca! Kiedy się już dosyć nawydzierał…

— Wyszła i dotknęła go — powiedziała Harah — i on przestał się drzeć. Każdy wie, że fremeńskie niemowlę musi się wypłakać do końca, jeśli się rodzi w siczy, ponieważ już nigdy potem nie może zapłakać, bo zdradziłoby nas podczas hadżr.

— Wypłakał się dosyć — powiedziała Alia. — Ja tylko chciałam wyczuć jego iskierkę, jego życie. To wszystko. A kiedy mnie wyczuł, nie chciało mu się już więcej płakać.

— Co wywołało jeszcze gorsze gadanie wśród ludzi — rzekła Harah.

— Czy chłopiec Subiai jest zdrowy? — zapytała Jessika.

Widziała, że Harah coś leży na sercu, i zastanawiała się, co to takiego.

— Zdrowy, że tylko życzyć każdej matce — powiedziała Harah. — One wiedzą, że Alia nie zrobiła mu krzywdy. One nie mają nic specjalnego przeciwko temu, że ona go dotknęła. Natychmiast się uspokoił i był zadowolony. Chodziło o…

— Chodzi o dziwność mej córki, czy tak? — spytała Jessika. — O jej zwyczaj mówienia o sprawach ponad wiek i o rzeczach, których żadne dziecko w jej wieku nie może znać, o rzeczach z przeszłości.

— Skąd ona może wiedzieć, jak wyglądało dziecko na Bela Tegeuse? — wyrzuciła z siebie Harah.

— Właśnie jak on — powiedziała Alia. — Chłopak Subiai wygląda kubek w kubek jak syn Mithy urodzony przed rozstaniem.

— Alia! — powiedziała Jessika. — Ostrzegałam cię.

— Ale, matko, ja to widziałam, i to była prawda, i…

Jessika potrząsnęła głową widząc na twarzy Harah oznaki podenerwowania. Co ja urodziłam? — zapytała sama siebie. — Córkę, która w chwili narodzin i widziała wszystko, co ja wiem… i więcej: wszystko, co przed nią zostało odkryte z głębi korytarzy przeszłości przez istniejące w mej jaźni Matki Wielebne.

— Nie chodzi tylko o to, co ona mówi — powiedziała Harah. — Chodzi też o to, co robi: o to, jak ona siada i wpatruje się w skałę poruszając tylko jednym mięśniem koło nosa albo mięśniem grzbietu palca, albo…

— To są ćwiczenia Bene Gesserit — rzekła Jessika. — Wiesz o tym, Harah. Chcesz odmówić mojej córce jej dziedzictwa?

— Matko Wielebna, wiesz, że te rzeczy nie maja dla mnie znaczenia — odparła Harah. — Chodzi o ludzi i o to, że szemrzą.

Przeczuwam w tym groźbę. Mówią, że twoja córka jest demonem, że inne dzieci nie chcą się z nią bawić, że ona jest…

— Ona ma tak niewiele wspólnego z innymi dziećmi — powiedziała Jessika. — Nie jest demonem. To tylko…

— Oczywiście, że nie jest!

Jessika poczuła się zaskoczona gwałtownością wybuchu Harah, spuściła oczy na Alię. Dziecko sprawiało wrażenie zatopionego w myślach, promieniowało atmosferą… wyczekiwania. Jessika powróciła spojrzeniem do Harah.

— Szanuję fakt, że jesteś członkiem rodziny mego syna — powiedziała. (Alia drgnęła pod jej dłonią.) — Możesz ze mną mówić otwarcie o wszystkim, co cię gnębi.

— Niedługo już będę członkiem rodziny twojego syna — powiedziała Harah. — Czekałam tak długo dla dobra moich synów, dla specjalnego szkolenia, jakie oni otrzymują jako dzieci Usula. Tyle tylko mogłam im dać, ponieważ wiadomo, że nie dzielę łoża z twoim synem.

Ponownie Alia poruszyła się przy niej na poły uśpiona, ciepła.

— Byłaby z ciebie wszelako dobra towarzyszka dla mego syna — powiedziała Jessika. I dodała już na własny użytek, jako że takie refleksje nigdy jej nie opuszczały: towarzyszka… nie żona. Po czym jej myśl poszybowała prosto do celu, do bolesnego kłucia wywołanego powszechnym gadaniem w siczy, że przyjaźń jej syna z Chani przerodziła się w trwały związek, w małżeństwo. Kocham Chani — przemknęło przez myśl Jessice, ale sama sobie przypomniała, że miłość może ustąpić przed racją stanu. Królewskie małżeństwa miewają inne podstawy niż miłość.

— Myślisz, że ja nie wiem, co planujesz dla swego syna? — spytała Harah.

— Co masz na myśli?

— Planujesz zjednoczenie plemion pod jego przewodem — powiedziała Harah.

— Czy to źle?

— Widzę w tym groźbę dla niego… i Alia jest jej częścią.

Alia przytuliła się mocniej do matki, oczy miała teraz otwarte i wlepione w Harah.

— Obserwuję was obie, jak jesteście razem — powiedziała Harah — w jaki sposób się dotykacie. Zaś Alia to jak moja własna krew, ponieważ jest siostrą tego, kogo mam za brata. Obserwuję ją i strzegę od czasu, kiedy była tycim niemowlęciem, od czasu razzia, kiedy uciekłyśmy tutaj. Zauważyłam w niej wiele rzeczy.

Jessika kiwnęła głową, wyczuwane niepokój narastający w Alii u jej boku.

— Wiesz, co mam na myśli — rzekła Harah. — To, że rozumiała

od razu, co do niej mówimy. Czy kiedykolwiek było dziecko, które znało reżim wody w tak młodym wieku? Którego pierwsze słowa do piastunki brzmiałyby: „Kocham cię, Harah”? — Harah spojrzała na Alię. — A myślisz, że dlaczego znoszę jej zniewagi? Wiem, że nie ma w nich złośliwości.

Alia podniosła oczy na matkę.

— Tak, posiadam zdolność logicznego rozumowania, Matko Wielebna — powiedziała Harah. — Mogłabym być Sajjadiną. Widzę to, co widzę.

— Harah… — Jessika wzruszyła ramionami. — Nie wiem, co powiedzieć.

I sama się sobie dziwiła, ponieważ była to prawda co do joty. Alia wyprężyła się i rozprostowała ramiona. Jessika poczuła, że atmosfera wyczekiwania się skończyła, ta mieszanina determinacji i smutku.

— Popełniliśmy błąd — powiedziała Alia. — Teraz nie obejdziemy się bez Harah.

— To przez rytuał nasienia — rzekła Harah — w którym ty, Matko Wielebna, przemieniłaś Wodę Życia, kiedy Alia była jeszcze nienarodzona w tobie.

— Nie obejdziemy się bez Harah? — Jessika postawiła sobie w duchu znak zapytania.

— Któż inny może przemówić do ludzi i sprawić, że zaczną mnie rozumieć? — rzekła Alia.

— Co chcesz, by zrobiła? — spytała Jessika.

— Ona już wie, co robić.

— Powiem im prawdę — odezwała się Harah. Wydała się nagle stara i posępna z grymasem na oliwkowej twarzy o ostrych rysach czarownicy. — Powiem im, że Alia tylko udaje małą dziewczynkę, że ona nigdy nie była małą dziewczynką.

Alia potrząsnęła głową. Łzy płynęły jej po policzkach. Fala rozpaczy córki ogarnęła Jessikę, jakby to były jej własne uczucia.

— Ja wiem, że jestem dziwolągiem — wyszeptała Alia.

Ta dorosła konkluzja, która wyszła z ust dziecka, sprawiała wrażenie gorzkiego potwierdzenia.

— Nie jesteś dziwolągiem! — prychnęła Harah. — Kto się ośmieli nazwać cię dziwolągiem?

Jessikę ponownie zdumiała zapalczywość w opiekuńczym tonie Harah. Zrozumiała wtedy, że Alia nie myliła się w ocenie, że istotnie nie obejdą się bez Harah. Plemię zrozumie Harah, zarówno jej słowa, jak i uczucia, bo nie ulegało wątpliwości, że kocha ona Alię niczym rodzone dziecko.

— Kto to powiedział? — powtórzyła Harah.

— Nikt.

Alia otarła z łez twarz rogiem aby Jessiki. Wygładziła pomiętą i

zmoczoną w tym miejscu szatę.

— Więc i ty nie waż się tego mówić — nakazała Harah.

— Dobrze, Harah.

— Teraz — rzekła Harah — możesz mi opowiedzieć, jak to było, żebym ja mogła opowiedzieć innym. Powiedz mi, na czym polega to, co ci się przytrafiło.

Alia przełknęła, spoglądając w górę na matkę. Jessika skinęła głową.

— Pewnego razu ocknęłam się — powiedziała Alia. — Jakbym się przebudziła ze snu, tylko że nie mogłam sobie przypomnieć, żebym zasypiała. Byłam w ciepłym, ciemnym miejscu. I przestraszyłam się.

Słuchając dziecinnego seplenienia córki, Jessika wróciła pamięcią do tamtego dnia w wielkiej grocie.

— Kiedy się przestraszyłam — mówiła Alia — próbowałam uciec, ale nie było dokąd. Wtem zobaczyłam iskierkę… chociaż, właściwie to jej nie widziałam. Po prostu iskierka była tam przy mnie i odbierałam uczucia iskierki… która koiła mnie, dodawała mi otuchy, mówiąc mi w ten sposób, że wszystko będzie dobrze. To była moja matka.

Hanah potarła oczy i uśmiechnęła się do Alii pokrzepiająco. Jednakże oczy Fremenki miały błędny wyraz, było w nich napięcie, jakby i one usiłowały chłonąć słowa Alii. Pewnie dlatego Jessika pomyślała: co my naprawdę wiemy o tym, jak ktoś taki rozumuje… przy jej wyjątkowych doświadczeniach, wyszkoleniu i rodowodzie?

— Właśnie kiedy poczułam się bezpieczna i uspokojona — podjęła Alia — znalazła się przy nas inna iskierka… i wszystko potoczyło się w mgnieniu oka. Ta inna iskierka to była stara Matka Wielebna. Ona… wymieniała się życiem z moją matką… wszystkim… a ja tam byłam z nimi i widziałam to do końca… wszystko. I nastał koniec, i ja byłam nimi i wszystkimi innymi, i sobą… tylko odnalezienie siebie samej zajęło mi dużo czasu. Tyle tam ich było.

— To okrutne — powiedziała Jessika. — W żadnej żywej istocie nie powinno się w taki sposób rozbudzać świadomości. Cud w tym, że zdołałaś wytrzymać wszystko, co się z tobą działo.

— Nic więcej nie mogłam zrobić! — powiedziała Alia. — Nie umiałam odrzucić ani ukryć swej świadomości… ani jej wyłączyć… to wszystko po prostu się działo… wszystko…

— Nie wiedzieliśmy — wyszeptała Harah. — Kiedy dawaliśmy twej matce Wodę do przemiany, nie wiedzieliśmy, że w niej istniejesz.

— Nie smuć się tym, Harah — odparła Alia. — Nie powinnam się litować nad sobą. W końcu jest to jakiś powód do szczęścia: jestem Matką Wielebną. Plemię ma dwie Mat…

Urwała, przechyliła głowę nasłuchując. Harah odgięła się na piętach w tył, bardziej na poduszkę, wpatrzyła się w Alię, a następnie przeniosła spojrzenie w górę na twarz Jessiki.

— Niczego nie podejrzewaliście? — zapytała Jessika.

— Ciiii — powiedziała Alia.

Stłumione, rytmiczne zawodzenie przemknęło nagle przez zasłony odgradzające je od korytarzy siczy. Narastało, przynosząc już wyraźne słowa:

— *Ya! Ya! Yawm! Ya! Ya! Yawm! Nu zein, wallah! Ya! Ya! Yawm! Mu zein. Wallah!*

Piewcy przechodzili obok wejścia i w wewnętrznych komnatach zahuczało od ich głosów. Dźwięki pomału oddalały się. Kiedy przycichły dostatecznie, Jessika rozpoczęła rytuał, intonując ze smutkiem:

— Był Ramadan i kwiecień na Bela Tegeuse.

— Moja rodzina siedziała na dziedzińcu nad basenem — powiedziała Harah — w powietrzu przesyconym wilgocią pyłu wodnego, który wzlatywał od bijącej fontanny. W zasięgu ręki rosło drzewo pełne portugli, krągłych i soczystych w kolorze. Stał kosz pełen misz i baklawy i garnce libanu — przysmaki wszelkiego rodzaju. W naszych ogrodach i naszych stadach panował spokój… spokój był w całej krainie.

— Życie pełne było szczęścia, dopóki nie przybyli najeźdźcy — dodała Alia.

— Krew stygła w żyłach od krzyków przyjaciół — rzekła Jessika. I poczuła napór wspomnień z tych wszystkich innych przeszłości, jakie stały się jej udziałem.

— La, la, la, płakały kobiety — przyłączyła się Harah.

— Najeźdźcy wtargnęli przez musztamal i rzucili się na nas, ich noże ociekały czerwienią krwi naszych mężczyzn — powiedziała Jessika.

Cisza zawładnęła nimi trzema i była we wszystkich komnatach siczy, cisza, w której wspominanie ożywiało ból. Po chwili Harah wypowiedziała rytualne zakończenie ceremonii, nadając słowom szorstkość, jakiej Jessika dotychczas w nich nie słyszała.

— Nigdy nie wybaczymy i nigdy nie zapomnimy.

W pełnym zadumy milczeniu, jakie po tym zapadło, usłyszały pomruki ludzi i szelest wielu szat. Jessika wyczuła, że ktoś stoi za zasłonami jej komnaty.

— Matko Wielebna?

Był to kobiecy głos, który Jessika rozpoznała: głos Tharthar, jednej z żon Stilgara.

— O co chodzi, Tharthar?

— Mamy kłopot, Matko Wielebna.

Jessika poczuła skurcz serca z nagłego strachu o Paula.

— Paul… — wyrwało jej się.

Tharthar rozsunęła kotary i wkroczyła do komnaty. Nim kotary

opadły, Jessice mignęła ciżba ludzi w przedsionku. Podniosła wzrok na Tharthar, drobną, ciemną kobietę w czarnej szacie z czerwonym ornamentem, na kompletny błękit jej oczu utkwionych w niej nieruchomo, na rozdęte nozdrza jej drobnego nosa, ukazujące blizny od wtyków.

— O co chodzi? — zapytała Jessika.

— Są wieści z piasku — powiedziała Tharthar. — Usul spotyka się ze stworzycielem w swej próbie… dzisiaj. Młodzi mężczyźni mówią, że on nie może zawieść, że z zapadnięciem nocy będzie jeźdźcem piasku. Młodzi ludzie zbierają się na razzia. Zrobią wypad na północ i spotkają się z Usulem. Mówią, że podniosą wtedy krzyk. Mówią, że zmuszą go do wyzwania Stilgara i objęcia przywództwa nad plemionami.

Zbierać wodę, obsiewać wydmy, przemieniać planetę powoli, lecz stale — to już za mało — myślała Jessika. — Niewielkie wypady, bezpieczne wypady — to już dłużej nie wystarcza teraz, gdy Paul i ja ich wyszkoliliśmy. Oni czują swą siłę. Chcą ruszyć w bój.

Tharthar przestąpiła z nogi na nogę; odchrząknęła.

Wiemy, że to rozwaga nakazuje nam wyczekiwać — myślała Jessika — lecz z tego rodzi się nasze rozgoryczenie. Wiemy również, jaką szkodę może nam wyrządzić przeciągane w nieskończoność wyczekiwanie. Jeśli zwłoka się przedłuży, utracimy poczucie celu.

— Młodzi ludzie powiadają, że jeśli Usul nie rzuci wyzwania Stligarowi, to pewnie się boi — powiedziała Tharthar. Spuściła oczy.

— Więc to takie buty — szepnęła Jessika i pomyślała: No cóż, wiedziałam, że do tego dojdzie. Stilgar też.

Tharthar odchrząknęła ponownie.

— Nawet mój brat Szoab tak mówi — powiedziała. — Oni nie zostawią Usulowi wyboru.

W końcu stało się — pomyślała Jessika. — I Paul sam będzie musiał sobie z tym poradzić. Matka Wielebna nie ośmieli się mieszać do spraw sukcesji.

Alia uwolniła rękę z dłoni matki.

— Pójdę z Tharthar — powiedziała — i wysłucham młodych ludzi. Może znajdzie się jakiś sposób.

Jessika patrzyła Tharthar w oczy, ale mówiła do Alii:

— Idź więc. I zawiadom mnie, jak tylko będziesz mogła.

— Nie chcemy, aby do tego doszło, Matko Wielebna — rzekła Tharthar.

— Nie chcemy — przytaknęła Jessika. — Plemieniu potrzebna jest cała jego siła. — Zerknęła na Harah. — Nie poszłabyś z nimi?

Harah odpowiedziała na nie wypowiedzianą część pytania:

— Tharthar nie pozwoli, aby cokolwiek złego spotkało Alię. Wie, że wkrótce obie będziemy żonami, ona i ja, tego samego mężczyzny.

Rozmawiałyśmy, ja i Tharthar. — Harah podniosła na nią wzrok. — Jesteśmy umówione.

Tharthar wyciągnęła rękę do Alii.

— Musimy się pośpieszyć. Młodzi ludzie zbierają się do wyjścia.

Przecisnęły się przez kotary; drobna kobieta trzymała dłoń dziecka w swej dłoni, ale zdawało się, że dziecko ją prowadzi.

— Jeżeli Paul Muad'Dib zabije Stilgara, nie przyniesie to plemieniu pomyślności — rzekła Harah. — Do tej pory zawsze taka była droga do sukcesji, ale czasy się zmieniły.

— Czasy się zmieniły — powtórzyła Jessika.

— Nie sądzisz chyba, że powątpiewam w wynik tej walki — rzekła Harah. — Usul nie może nie zwyciężyć.

— To miałam na myśli — powiedziała Jessika.

— I wyobrażasz sobie, że osobiste uczucia zabarwiają moje sądy — zauważyła Harah, Potrząsnęła głową, a taliony wody rozdzwoniły się na jej szyi.

— Jakże się mylisz. Może ci się też wydaje, że ja żałuję, że to nie mnie Usul wybrał, że jestem zazdrosna o Chani?

— Każdy wybiera, jak umie — rzekła Jessika.

— Ja współczuję Chani — powiedziała Harah.

Jessika zesztywniała.

— Co to znaczy?

— Wiem, co myślisz o Chani — rzekła Harah. — Uważasz, że nie nadaje się ona na żonę dla twojego syna.

Jessika usadowiła się głębiej w poduszkach, rozluźniła się.

— Być może.

— Niewykluczone, że masz rację — zgodziła się Harah. — jeśli tak, to możesz znaleźć niespodziewanego sojusznika w samej Chani. Ona pragnie tylko tego, co dla niego jest najlepsze.

Jessika z trudem przełknęła, nagle ścisnęło ją za gardło.

— Chani jest mi bardzo droga — powiedziała. — Ona nie…

— Dywany masz tutaj strasznie brudne — przerwała jej Harah. Omiotła spojrzeniem podłogę unikając oczu Jessiki. — Tyle ludzi tu łazi bez przerwy. Powinnaś naprawdę dawać je częściej do czyszczenia.

Nie da się uniknąć sprzężenia zwrotnego polityki z ortodoksyjną religią. Walka o władzę przesyca szkolenie, wychowanie i kształcenie ortodoksyjnej społeczności.W wyniku owej presji przywódcy takiej społeczności nieuchronnie muszą stanąć przed tym ostatecznym, wewnętrznym dylematem:

czy poddać się całkowicie oportunizmowi za cenę utrzymania się przy władzy, czy ryzykować poświęceniem siebie w imię ortodoksyjnej etyki.

z „Muad'Dib: Zagadnienia religii" pióra księżniczki Irulan

Paul czekał na piasku poza torem podejścia gigantycznego stworzyciela. Nie mogę czaić się jak przemytnik — w niecierpliwości i podenerwowaniu — upomniał sam siebie. — Muszę być skrawkiem pustyni. — Stwór był już zaledwie o minuty drogi, wypełniając ranek ciernym wizgiem swej wędrówki. Olbrzymie kły w okrągłej jaskini jego paszczy otwierały się niczym wielki kwiat. Bijąca z niej woń przyprawy zawisła w powietrzu. Filtrfrak na ciele Paula leżał jak ulał i tylko mgliście zdawał on sobie sprawę z wtyków nosowych, z maski oddechowej. Nauki Stilgara, żmudne godziny spędzone na piasku, przesłoniły wszystko inne.

— W jakim promieniu od stworzyciela musisz stanąć na piasku ziarnistym? — zapytał Stilgar.

A on odpowiedział prawidłowo:

— Pół metra na każdy metr średnicy stworzyciela.

— Dlaczego?

— By uniknąć wiru wywołanego jego przejściem, a przy tym zdążyć na czas podbiec i dosiąść go.

— Jeździłeś na maleństwach hodowanych na nasienie i Wodę Życia — powiedział Stilgar. — Lecz ten, którego wezwiesz w trakcie swej próby, to będzie dziki stworzyciel, praszczur pustyni. Musisz mieć dla niego należyty respekt.

Głuchy werbel dudnika zlał się już z sykiem nadciągającego czerwia. Paul odetchnął głęboko, nawet przez filtry czując zapach mineralnej goryczy piasku. Dziki stworzyciel, praszczur pustyni, prawie nad nim zawisł. Wzniesione segmenty przednie gnały falę piasku, która miała sięgnąć jego kolan. Chodź tu bliżej, o cudowny potworze — myślał. — Bliżej. Słyszysz, jak cię przyzywam. Chodź bliżej. Bliżej.

Fala uniosła mu stopy. Owiał go pył powierzchniowy. Paul złapał równowagę, świat zasłoniła mu przesuwająca się w chmurze piasku obła skarpa, segmentowa ściana urwiska z ostro rysującymi się liniami pierścieni. Paul wzniósł haki, złożył się jak do strzału, wychylił się do przodu. Poczuł, jak chwyciły i szarpnęły. Skoczył w górę opierając stopy na owej ścianie, wychylony na zewnątrz, trzymając się wczepionych haków. To był moment prawdziwej próby: jeżeli prawidłowo założył haki na przednią krawędź pierścienia, otwierając

ten segment, czerw nie przetoczy się po piasku i go nie zmiażdży.

Czerw zwolnił. Prześliznął się po dudniku, uciszając go. Powoli zaczął się obracać w górę, w górę — wznosząc te drażniące haki, jak tylko mógł najwyżej, najdalej od piasku zagrażającego delikatnej wykładzinie pierścienia. Paul stwierdził, że wyprostowany jedzie wierzchem na czerwiu. Czuł radosne upojenie, niczym cesarz lustrujący swoją planetę. Stłumił gwałtowny impuls, by sobie pohasać, zawrócić czerwia, popisać się swoją władzą nad tym stworzeniem. Nagle pojął, dlaczego Stilgar przestrzegał go kiedyś opowiadając o młodych śmiałkach, którzy igrali sobie z tymi potworami, wykonując im na grzbietach stójki, wyjmując oba haki i zakładając je z powrotem, zanim czerw zdążył ich zrzucić.

Pozostawiając jeden hak na miejscu Paul wyjął drugi i umieścił go niżej w boku. Sprawdziwszy, że ten drugi hak siedzi pewnie, opuścił z kolei pierwszy, przesuwając się w ten sposób w dół po boku czerwia. Stworzyciel obracał się, a obracając się zakręcał, obchodząc pole miałkiego piasku, gdzie czekali inni. Paul zobaczył, jak się wdrapują, korzystając z własnych haków podczas wspinaczki, lecz unikają wrażliwych krawędzi pierścieni, dopóki nie znajdą się na grzbiecie. Usadowili się w trzech rzędach za nim, trzymając się swoich haków.

Stilgar przesunął się pomiędzy szeregami, sprawdził ułożenie haków Paula i podniósł oczy na jego rozradowaną twarz.

— Udało ci się, co? — rzekł podnosząc głos ponad zgrzytanie piasku. — Tak uważasz? Udało ci się? — Wyprostował się. — A ja ci mówię, że to była fuszerka. Nasze dwunastolatki radzą sobie lepiej. Tam, gdzie czekałeś, był w lewo od ciebie grający piasek. Nie mógłbyś się tam wycofać, gdyby czerw skręcił w tamtą stronę.

Uśmiech ulotnił się z twarzy Paula.

— Widziałem ten grający piasek.

— Więc dlaczego nie dałeś znaku jednemu z nas, by zajął stanowisko asekuracyjne? Coś takiego mogłeś zrobić nawet podczas próby.

Paul przełknął, wystawił twarz na pęd powietrza.

— Uważasz, że to niełądnie z mojej strony mówić to teraz — powiedział Stilgar. — To mój obowiązek. Ja oceniam twoją przydatność dla oddziału. Gdybyś wdepnął w ten grający piasek, stworzyciel skręciłby na ciebie.

Pomimo zalewającej go fali gniewu Paul wiedział, że Stilgar mówi prawdę. Musiała upłynąć dłuższa chwila, nim Paul mobilizując wszystkie nauki matki, odzyskał jaki taki spokój.

— Przepraszam — powiedział. — To się więcej nie powtórzy.

— W niewygodnej pozycji zawsze bierz sobie zastępcę, kogoś, kto weźmie stworzyciela, jeżeli ty nie będziesz mógł — rzekł Stilgar. — Nie zapominaj, że działamy wspólnie. W ten sposób jesteśmy

niezawodni. Działamy wspólnie, co?

Klepnął Paula ramię.

— Działamy wspólnie — przytaknął Paul.

— To teraz — powiedział Stilgar i głos jego stał się szorstki — pokaż mi, że umiesz sobie radzić ze stworzycielem. Na którym boku jesteśmy?

Paul spojrzał w dół na łuskowatą powierzchnię pierścienia pod nogami, odnotowując rodzaj i wielkość łusek, i to jak powiększają się, im dalej w prawo, a zmniejszają na lewo. Wiedział, że każdy czerw porusza się w charakterystyczny sposób — najczęściej tą samą stroną do góry. W miarę jego dorastania ta właściwa góra utrwalała się niemal na dobre. Łuski dolne powiększały się, grubiały, robiły się gładsze. U dużego czerwia łuski grzbietowe można było odróżnić po samej wielkości.

Przemieszczając haki Paul przesunął się w lewo. Skinął na skrzydłowych w tyle, by otworzyli segmenty wzdłuż boku i trzymali czerwia na stałym kursie, kiedy się obracał, a następnie wyznaczył z szeregu dwóch sterników na pozycje w przedzie.

— Ach, haiiiii… joh! — wydał tradycyjny okrzyk. Sternik z lewej strony rozwarł pierścień. Stworzyciel skręcił majestatycznym łukiem chroniąc otwarty segment. Wykonał pełny nawrót i kiedy ponownie skierował się na południe, Paul zawołał: — Geyrat!

Sternik zwolnił swój hak. Stworzyciel wyrównał na prosty kurs.

Stilgar odezwał się:

— Bardzo dobrze, Paulu Muad'Dibie. Przy dużej praktyce jeszcze będzie z ciebie jeździec piasku.

Paul zmarszczył brwi. Czyż nie byłem pierwszy na górze? — pomyślał. Za jego plecami rozległy się śmiechy. Oddział zaczął skandować jego imię, wiwatując pod niebiosa.

— Muad'Dib! Muad'Dib! Muad'Dib! Muad'Dib!

Daleko w tyle na grzbiecie czerwia Paul usłyszał walenie poganiaczy uderzających w segmenty ogona. Czerw zaczął nabierać prędkości. Burnusy załopotały od pędu. Skwierczenie piasku pod czerwiem spotężniało. Paul obejrzał się za siebie, na oddział, wyszukał wśród innych twarzy Chani. Na nią patrzył, kiedy mówił do Stilgara.

— A zatem jestem jeźdźcem piasku, Stil?

— *Hal yawm*! Dziś jesteś jeźdźcem piasku.

— Przeto mogę wybrać cel naszej podróży?

— Taki jest zwyczaj.

— I jestem Fremenem, który dnia dzisiejszego przyszedł na świat tutaj w ergu Habbanja. Do dziś nie miałem życia. Do dziś byłem dzieckiem.

— Niezupełnie dzieckiem — powiedział Stilgar.

Zamocował brzeg kaptura, który łopotał na wietrze.

— Ale mój świat był zatkany korkiem i ten korek został usunięty.

— Nie ma korka.

— Chciałbym udać się na południe, dwadzieścia dudników na południe. Chciałbym zobaczyć ten tworzony przez nas kraj, ten kraj, który oglądałem jedynie oczami innych.

I chciałbym zobaczyć swojego syna i rodzinę — myślał. — Potrzebuję teraz czasu na rozważenie przyszłości, która jest przeszłością w moim umyśle. Nadciąga chaos i jeżeli nie będzie mnie tam, gdzie mógłbym to coś rozwikłać, to ono wymknie mi się spod kontroli.

Stilgar zmierzył go taksującym, przeciągłym spojrzeniem. Paul nie spuszczał oczu z Chani. Widział, jak zainteresowanie ożywia jej rysy, zauważył też, że jego słowa rozbudziły podniecenie w oddziale.

— Ludzie palą się do rajdu pod tobą na harkonneńskie niecki — powiedział Stilgar. — Niecki znajdują się w odległości zaledwie jednego dudnika.

— Wodziłem fedajkinów na rajdy — rzekł Paul. — Powiodę ich na rajd jeszcze nieraz, dopóki choć jeden Harkonnen oddycha arrakańskim powietrzem.

Kiedy tak jechali, Stilgar przypatrywał mu się z uwagą i Paul zdał sobie sprawę, że on spogląda na ten moment poprzez wspomnienie tego, jak doszedł do władania siczą Tabr i do obecnego przewodzenia Radzie Przywódców pośmierci Lieta — Kynęsa. Doniesiono mu o wzburzeniu wśród młodych Fremenów — pomyślał.

— Czy życzysz sobie zebrania przywódców? — zapytał Stilgar.

Młodym ludziom z oddziału zapłonęły oczy. Kołysali się jadąc i obserwowali. Paul dostrzegł błysk niepokoju w oczach Chani, w jej spojrzeniu wędrującym od Stilgara, który był jej wujem, do Paula Muad'Diba, który był jej mężem.

— Nie zgadniesz, czego sobie życzę — powiedział Paul. Nie mogę ustąpić — myślał. — Muszę utrzymać władzę nad tymi ludźmi.

— Dzisiaj jesteś mudirem jazdy piaskiem — rzekł Stilgar. — W jego tonie zadźwięczał oficjalny chłód. — Do czego wykorzystasz tę władzę?

Potrzeba nam czasu na wytchnienie, czasu na trzeźwą refleksję — pomyślał Paul.

— Pojedziemy na południe — rzekł.

— Nawet gdy powiem, że zawrócimy na północ, kiedy ten dzień się skończy?

— Pojedziemy na południe — powtórzył Paul.

Wyraz niewzruszonej powagi okrył Stilgara, kiedy mocniej zaciągał na sobie burnus.

— Będzie zebranie — powiedział. — Roześlę wiadomość.

Uważa, że go, wyzwę — myślał Paul. — I wie, że nie da mi rady.

— Obrócił twarz na południe czując wiatr na odsłoniętych policzkach i rozmyślając nad determinantami, które złożyły się na jego decyzję. — Oni nie wiedzą, jak to jest — pomyślał. Lecz sam wiedział, że nie może dać się zawrócić z drogi bez względu na okoliczności. Musi wytrwać na głównym szlaku burzy czasu, którą widział w przyszłości. Nadejdzie moment, w którym można ją będzie rozpędzić, ale tylko jeśli on, Paul, znajdzie się wtedy tam, skąd można będzie przeciąć jej centralny splot. — Nie wyzwę go, jeżeli tylko da się temu zapobiec — myślał. — Jeżeli istnieje inny sposób powstrzymania dżihad…

— Staniemy obozem na wieczorny posiłek i modlitwę w Grocie Ptaków pod Granią Habbanja — powiedział Stilgar.

Przytrzymując się dla równowagi jednym hakiem na huśtającym stworzycielu, wskazał przed siebie na niską kamienną barierę wynurzającą się z pustyni. Paul przypatrywał się ścianie opoki, ogromnymżyłom skalnym przecinającym ją jak fale. Nic nie łagodziło tego surowego horyzontu, żadna zieleń, żaden kwiat. Poza nim ciągnęła się droga ku pustyni południowej, trasa na przynajmniej dziesięć dni i nocy przy najszybszym poganianiu stworzycieli. Dwadzieścia dudników. Droga wiodła hen poza harkonneńskie patrole. Wiedział, jak to będzie. Widział to w snach. Pewnego dnia podróży nastąpi ledwo uchwytna zmiana barwy na odległym horyzoncie, zmiana tak nikła, że mogłoby mu się wydawać, że ją sobie uroił ze swych nadziei — i tam będzie nowa sicz.

— Czy moja decyzja odpowiada Muad'Dibowi? — spytał Stilgar.

W jego głosie zabrzmiała prawie nieuchwytna nuta sarkazmu, lecz fremeńskie uszy wokół nich, wyczulone na każdy ton w głosie ptaka czy w pisku cielago, złowiły sarkazm i czekały w napięciu na reakcję Paula.

— Stilgar słyszał, jak mu przysięgałem na wierność podczas wyświęcania fedajkinów — powiedział Paul. — Moi komandosi śmierci wiedzą, że ręczyłem honorem. Czy Stilgar w to wątpi?

Prawdziwy ból przebijał z głosu Paula. Słysząc go Stilgar spuścił oczy.

— Usulowi, towarzyszowi z mej siczy, temu uwierzę zawsze — rzekł. — Ale tyś jest Paul Muad'Dib, książę atrydzki i Lisan al-Gaib, Głos z Tamtego Świata. Tych dwóch ja nawet nie znam.

Paul odwrócił się ku Grani Habbanja, patrząc, jak wyrasta z pustyni. Stworzyciel pod nimi nie stracił sił ani żwawości. Mógł ich ponieść dwa razy dalej niż jakikolwiek inny spotkany przez Fremenów. Paul był tego pewny. Poza opowiadanymi dzieciom bajkami nie istniało nic, co mogłoby dorównać temu praszczurowi pustyni. Była to nowa legenda, uprzytomnił sobie Paul.

Na jego ramieniu zacisnęła się dłoń. Paul spojrzał na nią, przesunął spojrzenie po ręce aż do twarzy — do ciemnych oczu

Stilgara widocznych między maską filtru a kapturem filtrfraka.

— Ten, kto prowadził sicz Tabr przede mną — powiedział Stilgar — on był moim przyjacielem. Dzieliliśmy niebezpieczeństwa. Zawdzięczał mi życie wiele razy… a ja zawdzięczałem jemu…

— Jestem twoim przyjacielem, Stilgar — powiedział Paul.

— Nikt w to nie wątpi — rzekł Stilgar. — Cofnął dłoń, wzruszył ramionami. — Taki jest zwyczaj.

Paul zrozumiał, że Stilgar za bardzo przesiąkł fremeńskimi zwyczajami, by rozważyć możliwość czegoś innego. Tutaj przywódca wyjmował wodze z martwych dłoni swego poprzednika albo zabijał pośród najsilniejszych, swego plemienia, jeśli poprzednik zginął w pustyni. Stilgar awansował do pozycji naiba zgodnie z tym zwyczajem.

— Powinniśmy zostawić tego stworzyciela na głębokim piasku — powiedział Paul.

— Tak — zgodził się Stilgar. — Stąd możemy pójść do groty.

— Zajechaliśmy nim wystarczająco daleko, by zagrzebał się i nie miał na nic ochoty z dzień lub dwa.

— Ty jesteś mudirem jazdy piaskiem — powiedział Stilgar. — Rzeknij, kiedy mamy…

Urwał, wpatrując się w niebo na wschodzie. Paul obrócił się gwałtownie. Od przyprawowego błękitnego nalotu na oczach niebo wydawało się ciemne, przesycone głębokim lazurem, na którego tle odległe, rytmiczne błyski rysowały się ostrym kontrastem. Ornitopter!

— Jeden mały ornitopter — powiedział Stilgar.

— Może wywiadowczy — rzekł Paul. — Myślisz, że nas zobaczyli?

— Z takiej odległości jesteśmy po prostu czerwiem na powierzchni. — Skinął lewą ręką. — Zsiadać. Rozsypać się po piasku.

Ludzie zaczęli zjeżdżać wolno po boku czerwia, odpadać, stapiać się pod okryciem burnusów z piaskiem. Paul zapamiętał, gdzie zeskoczyła Chani. Niebawem pozostał sam ze Stilgarem.

— Pierwszy na górze, ostatni na dole — rzekł Paul.

Stilgar kiwnął głową, osunął się na hakach i zeskoczył na piasek. Paul odczekał, aż stworzyciel znalazł się w bezpiecznej odległości, po czym uwolnił haki. Z czerwiem, nie wyczerpanym do ostatka, był to ryzykowny moment. Uwolniony od ościeni i haków wielki czerw przystąpił do zagrzebywania się w piasku. Paul pobiegł na palcach do tyłu po jego szerokim grzbiecie, dokładnie wyliczył moment i zeskoczył. Wylądował nie przerywając biegu — wbił się w odwietrzny stok wydmy, tak jak go uczono — i ukrył się pod kaskadą piasku i swoim burnusem. Teraz wyczekiwanie…

Obróciwszy się ostrożnie uchylił rąbka burnusa na szczelinę nieba. Wyobraził sobie, jak pozostali wzdłuż szlaku robią to samo. Usłyszał łopot skrzydeł ornitoptera, zanim go zobaczył. Z szumem

głowic odrzutowych przeleciał nad jego spłachetkiem pustyni, zakręcając szerokim łukiem do grani. Nie oznakowany ornitopter, zauważył Paul. Ornitopter zniknął mu z oczu poza Granią Habbanja.

Nad pustynią rozległ się krzyk ptaka. Potem drugi. Paul strząsnął z siebie piasek i wspiął się na wierzchołek wydmy. Sylwetki innych tworzyły rząd oddalający się od urwiska. Rozpoznał wśród nich Chani i Stilgara. Stilgar wskazał w stronę grani. Zebrawszy się ruszyli piaskomarszem, ślizgając się po powierzchni w łamanym rytmie, który nie zaniepokoiłby żadnego stworzyciela. Stilgar zrównał krok z Paulem na ubitym przez wiatr grzbiecie wydmy.

— To był statek przemytników — powiedział.

— Na to wygląda — odparł Paul. — Ale za daleko w głębi pustyni jak na przemytników.

— Oni też mają swoje kłopoty z patrolami — zauważył Stilgar.

— Skoro dotarli tak daleko, mogą iść dalej — rzucił Paul.

— Prawda.

— Nie byłoby dobrze, gdyby zobaczyli to, co mogą zobaczyć, jeśli się zapuszczą zbyt głęboko na południe. Przemytnicy sprzedają również informacje.

— Poszukiwali przyprawy, nie sądzisz? — zapytał Stilgar.

— Gdzieś tutaj będzie na nich czekało skrzydło i gąsienik — powiedział Paul. — Mamy przyprawę. Zanęćmy łachę piasku i zapolujemy sobie trochę na przemytników. Powinni wiedzieć, że to jest nasza kraina, a naszym ludziom się przyda poćwiczyć z nowymi rodzajami broni.

— Teraz przemawia Usul — rzekł Stilgar. — Usul myśli po fremeńsku.

Lecz Usul musi się ugiąć przed decyzjami, które odpowiadają strasznemu przeznaczeniu — pomyślał Paul. A burza się zbierała.

Kiedy religia połączy w jedno prawo i obowiązek, nigdy nie otworzą ci się oczy, nie uświadomisz sobie w pełni własnej osobowości. Zawsze będziesz istotą odrobinę niższą od człowieka.

z „Muad'Dib: Dziewięćdziesiąt dziewięć cudów wszechświata" — pióra księżniczki Irulan

Przemytnicza przetwórnia przyprawy ze swoim macierzystym statkiem transportowym w otoczeniu brzęczących ornitopterów nadleciała nad kopce wydm jak chmara owadów z królową. W przedzie przed tą chmurą rozciągał się jeden ze skalnych grzbietów, które sterczą z dna pustyni jak miniaturowe imitacje Muru Zaporowego. Suche plaże tego klifu wymiótł do czysta ostatni huragan.

W kopule dowodzenia przetwórni Gurney Halleck nastawił soczewki olejowe lornety i wychylony do przodu badał krajobraz. Za granią zobaczył ciemną łachę, która mogła być wykwitem przyprawy, dał sygnał ornitopterowi, z lotu wiszącego wysyłając go na zwiad. Ornitopter kiwnięciem skrzydeł potwierdził odbiór sygnału. Oderwał się od stada i schodząc ślizgiem nad pociemniały piasek okrążył tę plamę, z wykrywaczami zwieszonymi tuż nad powierzchnią. Prawie natychmiast złożył skrzydła i wykonał korkociąg sygnalizując w ten sposób oczekującej przetwórni, że znaleźli przyprawę.

Gurney schował lornetę do futerału, pewny, że reszta widziała sygnał. Podobał mu się ten zakątek. Grań dawała jakąś osłonę i zabezpieczenie. Mało prawdopodobne miejsce na zasadzkę, tak daleko w pustyni… tym niemniej… Gurney dał znak jednej z załóg, by zawisła nad granią i przeczesała ją, rozesłał odwody na stanowiska w kolistej formacji nad całym tym terenem, niezbyt wysoko, żeby ich nie dostrzegły z daleka harkonneńskie wykrywacze. Aczkolwiek wątpił w obecność harkonneńskich patroli tak głęboko na południu. Był to ciągle kraj Fremenów.

Gurney sprawdził broń, klnąc los, który sprawił, że tarcze były tu bezużyteczne. Wszystkiego, co mogło zwabić czerwia, należało unikać za wszelką cenę. Pocierając bliznę od krwawinu na brodzie, studiował teren, dochodząc do wniosku, że najbezpieczniej będzie przeprowadzić naziemny oddział granią. Pieszy zwiad był zawsze najpewniejszy. Ostrożność nigdy nie zawadzi, kiedy Fremeni są z Harkonnenami na noże. Bo Fremenami się niepokoił. Nie mieli nic przeciwko temu, by przehandlować tyle przyprawy, na ile cię tylko

stać, lecz na ścieżce wojennej zamieniali się w diabły, jeśli ktoś postawił stopę tam, gdzie zabronili wstępu. I byli tak szatańsko przebiegli ostatnio. Irytowało to Gurneya, ta przebiegłość i sprawność bojowa tubylców. Wykazywali kunszt wojenny przewyższający wszystko, z czym się kiedykolwiek zetknął, a szkolony był przez najlepszych wojowników we wszechświecie, zaś ostrogi zdobywał w bojach, z których tylko garstka najlepszych wyszła cało. Ponownie Gurney zbadał teren zastanawiając się, dlaczego czuje się nieswojo. Może to z powodu tego czerwia, którego widzieli… ale on był po drugiej stronie grani.

Do kopuły dowodzenia zajrzała głowa, która należała do kapitana przetwórni — jednookiego, doświadczonego pirata z gęstą brodą, błękitną źrenicą i mlecznobiałymi od spożywania przyprawy zębami.

— Wygląda na bogaty zagon, sir — powiedział kapitan przetwórni. — Zwijać żagle?

— Zejdź do podnóża urwiska — polecił Gurney. — Daj mi wyładować się z moimi ludźmi. Możesz stamtąd dojechać do przyprawy na gąsienicach. My obejrzymy sobie tę skałę.

— Tak jest.

— W razie czego — powiedział Gurney — ratuj przetwórnię. My zabierzemy się w ornitopterach.

Kapitan przetwórni zasalutował.

— Tak jest, sir.

Zniknął w luku. Gurney jeszcze raz obiegł spojrzeniem horyzont. Musi się liczyć z ewentualnością, że są tu Fremeni, on zaś wkracza na ich terytorium. Fremeni nie dawali mu spokoju przez swą brutalność i nieobliczalność. Wiele spraw w tym interesie nie dawało mu spokoju, chociaż zyski przynosił ogromne. Fakt, że nie mógł wysłać szperaczy wysoko na niebo, również nie dawał mu spokoju. Konieczność zachowania ciszy radiowej jeszcze ten niepokój zwiększała.

Gąsienik przetwórni zawrócił, zaczął opadać. Łagodnym ślizgiem zszedł na suchą plażę u stóp grani. Bieżniki dotknęły piasku. Gurney odkrył kopułę kabiny, odpiął pasy bezpieczeństwa. W momencie znieruchomienia przetwórni był na zewnątrz; zatrzasnął za sobą kopułę i wyszedł na osłony bieżników, z których rozhuśtawszy się opadł na piasek za siatką zabezpieczającą. Jego pięcioosobowa straż przyboczna znalazła się na ziemi razem z nim, wyłoniwszy się z luku dziobowego. Inni zwolnili skrzydło transportowe przetwórni. Odłączyło się i odleciało wchodząc na koło parkingowe nisko nad nimi. Ogromny gąsienik przetwórni natychmiast odtoczył się wykręcając od grani w kierunku ciemnego zagonu przyprawy widocznego opodal na piasku. W pobliżu opadł ornitopter, wyhamowując poślizgiem. Za nim następny i jeszcze jeden. Wyrzuciły z siebie pluton Gurneya i wzbiwszy się zawisły w powietrzu.

Gurney przeciągnął się próbując mięśni pod filtrfrakiem. Odrzucił z twarzy maskę filtru, tracąc wilgoć w imię wyższej konieczności — zwiększenia zasięgu głosu na wypadek, gdyby przyszło mu wydawać komendy. Ruszył w górę pomiędzy skały badając teren — kamyki i żwir pod nogami, woń przyprawy w powietrzu. Dobra lokalizacja na bazę awaryjną — pomyślał. Byłoby dobrze schować tu trochę materiałów. Obejrzał się i patrzył, jak jego ludzie podążają za nim rozsypując się w tyralierę. Dobrzy ludzie, nawet ci nowi, których nie miał kiedy wypróbować. Dobrzy. Nie trzeba powtarzać im za każdym razem, co mają robić. Żaden nawet nie zamigotał tarczą. Ani jednego tchórza w tym gronie obnoszącego się z tarczą po pustyni, gdzie czerw wyczuwając jej pole przybyłby i obrabował ich ze znalezionej przyprawy. Ze swej niewielkiej wysokości spośród skał Gurney widział zagon przyprawy w odległości około pół kilometra i gąsienik docierający właśnie do jego bliższej krawędzi. Zerknął w górę na eskadrę osłony obserwując pułap, czy nie za wysoki. Kiwnąwszy głową odwrócił się, by podjąć wspinaczkę na grań. W tym momencie grań wybuchła. Dwanaście huczących trajektorii ognia rzygnęło w niebo ku zawieszonym w powietrzu ornitopterom i skrzydłu transportowemu. Od gąsienika dobiegł wizg metalu i skały dokoła Gurneya zapełniły się wojownikami w kapturach. Gurney miał jedynie czas pomyśleć: Na rogi Wielkiej Macierzy! Rakiety! Ośmielili się użyć rakiet! Po czym znalazł się twarzą w twarz z zakapturzoną, nisko pochyloną postacią trzymającą krysnóż w gotowości. Dwóch innych ludzi stało wyczekująco na skałach ponad nią, z lewej i z prawej strony. Gurney widział jedynie oczy wojownika przed sobą, między kapturem a zasłoną burnusa barwy piasku, lecz pochylenie i gotowość ostrzegły go, że ma do czynienia z wyszkolonym do walki człowiekiem. Były to błękitne w błękicie oczy Fremena z głębi pustyni.

Gurney wykonał ręką ruch do własnego noża, nie spuszczając oczu z klingi przeciwnika. Skoro ośmielili się użyć rakiet, będą mieli i inną broń miotającą. W tej sytuacji niezbędna jest najwyższa ostrożność. Z samych odgłosów poznawał, że strącono przynajmniej część jego osłony powietrznej. Dobiegały też z tyłu pomruki i zgiełk walki wręcz. Oczy wojownika stojącego przed Gurneyem powędrowały za ruchem ręki w stronę noża, po czym cofnęły się i utkwiły spojrzenie w jego oczach.

— Zostaw ten nóż w pochwie, Gurneyu Hallecku — powiedział mężczyzna.

Gurney zawahał się. Ten głos pomimo maski filtrfraka brzmiał dziwnie znajomo.

— Znasz moje imię? — zagadnął.

— Na mnie niepotrzebny ci nóż, Gurney — rzekł mężczyzna. Wyprostował się wsuwając swój krysnóż z powrotem do pochwy pod

burnusem.

— Każ swoim ludziom przerwać beznadziejny opór.

Mężczyzna zrzucił kaptur, odsunął maskę. To, co Gurney zobaczył, wprawiło go w osłupienie. W pierwszej chwili wydawało mu się, że spogląda na widmo księcia Leto Atrydy. Prawda docierała do niego powoli.

— Paul — szepnął. I już głośniej: — Czyżby to Paul?

— Nie wierzysz własnym oczom? — zapytał Paul.

— Mówili, że nie żyjesz — wychrypiał Gurney. Zrobił pół kroku do przodu.

— Każ poddać się swoim ludziom — zakomenderował Paul.

Skinął w stronę niższych rejonów grani. Gurney obrócił się, z trudem odrywając wzrok od Paula. Zobaczył parę zaledwie grup walczących. Wydawało się, że zakapturzeni ludzie pustyni są wszędzie dokoła. Gąsienik tkwił nieruchomo, na jego dachu stali Fremeni. W górze nie było żadnego statku.

— Przerwać walkę — ryknął Gurney. Zaczerpnął głęboko powietrza, zwinął dłonie w trąbkę. — Mówi Gurney Halleck! Przerwać walkę!

Z wolna, nieufnie, walczące postacie rozdzieliły się. Zwróciły się ku niemu pytające spojrzenia.

— To są przyjaciele — zawołał Gurney.

— Ładni mi przyjaciele! — odkrzyknął ktoś. — Wymordowali połowę naszych.

— To nieporozumienie — powiedział Gurney. — Nie pogarszajcie sytuacji.

Obrócił się z powrotem do Paula, wlepiając wzrok w błękitno błękitne fremeńskie oczy młodzieńca. Uśmiech przemknął po wargach Paula, lecz w wyrazie jego twarzy była zaciętość przypominająca Gurneyowi starego księcia, dziadka Paula. Wtem Gurney dostrzegł w Paulu twardość stali nie spotykaną nigdy dotąd u Atrydy — skóra przypominająca rzemień, patrzące z ukosa oczy i wyrachowanie w spojrzeniu, które jak gdyby ważyło wszystko w polu widzenia.

— Mówili, że nie żyjesz — powtórzył.

— Wydawało się to najlepszą obroną; pozwolić im tak myśleć — powiedział Paul.

Gurney zdał sobie sprawę, że oto całe zadośćuczynienie, jakiego może oczekiwać za pozostawienie go własnemu losowi, pozostawienie go w przekonaniu, że jego mały książę… jego przyjaciel… nie żyje. Zastanowił się wtedy, czy w ogóle przetrwało w nim coś z chłopca, którego znał i szkolił w umiejętnościach wojowników. Paul zrobił krok w stronę Gurneya, poczuł, że pieką go oczy.

— Gurney…

To stało się jakby samo — obejmowali się i klepali nawzajem po

plecach, odnajdując w tym kontakcie bezpośrednim siebie nawzajem.

— Ty mały szczeniaku! Ty mały szczeniaku! — w kółko powtarzał Gurney.

A Paul:

— Gurney, chłopie! Gurney, chłopie!

Po chwili rozłączyli się, popatrując po sobie. Gurney odetchnął głęboko.

— Więc to za twoją sprawą Fremeni tak się wycwanili w taktyce walki. Powinienem był się domyślić. Bez przerwy robią rzeczy, jakbym to ja sam je zaplanował. Gdybym tylko wiedział. — Pokręcił głową. — Gdybyś tylko dał mi znak, chłopaku. Nic by mnie nie powstrzymało. Przyleciałbym jak na skrzydłach… — Wyraz oczu Paula powstrzymał go… twarde, wymowne spojrzenie. Gurney westchnął. — Jasne, i znaleźliby się tacy, co by się zastanowili, dlaczego Gurney Halleck poleciał jak na skrzydłach, a niektórzy zadaliby sobie więcej trudu niż tylko postawienie pytania. Zabraliby się do szukania odpowiedzi.

Paul kiwnął głową, zerkając na czekających wokoło Fremenów, na zaciekawione i taksujące twarze fedajkinów. Wrócił spojrzeniem od komandosów śmierci do Gurneya. Fakt, że odnalazł swojego dawnego mistrza miecza, wprawił go w euforię. Widział w tym dobry omen, znak, że znajduje się na kursie przyszłości, gdzie wszystko układa się dobrze. Z Gurneyem u boku… Sięgnął spojrzeniem poza fedajkinów na grani i przyjrzał się przemytniczej załodze przybyłej z Halleckiem.

— Po której stronie stoją twoi ludzie, Gurney? — zapytał.

— Wszyscy są przemytnikami — powiedział Gurney. — Oni stoją po stronie zysku.

— Niewielki zysk w naszym interesie — rzekł Paul dostrzegając nieznaczny sygnał nadany mu przez Gurneya palcami prawej dłoni; był to ich stary kod migowy z dawnych czasów. W załodze przemytników byli ludzie, których należało się obawiać i którym nie należało dowierzać. Paul skubnął wargę pokazując, że zrozumiał, podniósł oczy na ludzi czuwających na skałach ponad nimi. Dojrzał tam Stilgara. Wspomnienie nie rozwiązanego problemu ze Stilgarem ochłodziło nieco upojenie Paula.

— Stilgar — powiedział — to jest Gurney Halleck, o którym ci nieraz opowiadałem. Wielki wojski mego ojca, jeden z mistrzów miecza, którzy mnie szkolili, stary przyjaciel. Można mu ufać w każdej sprawie.

— Widzę — rzekł Stilgar. — Jesteś jego księciem.

Paul spoglądał w ciemne oblicze nad sobą głowiąc się nad powodami, które skłoniły Stilgara, by powiedzieć właśnie to: „jego księciem”. W głosie Stilgara była dziwna nieuchwytna intonacja, jakby pragnął raczej powiedzieć coś innego. To zaś nie pasowało do Stilgara, będącego przywódcą Fremenów, człowiekiem mówiącym to, co myśli.

Moim księciem! — pomyślał Gurney. Spojrzał nowym okiem na Paula. — Tak, wraz ze śmiercią Leto tytuł przechodził na Paula.

Schemat wojny fremeńskiej na Arrakis zaczął nabierać nowego kształtu w głowie Hallecka. Mój książę! Miejsce, które było w nim martwe, zaczęło powracać do życia. Jedynie część jego świadomości skupiła się na wydanym przez Paula zarządzeniu, by rozbroić załogi przemytników do czasu ich przesłuchania. Świadomość Gurneya powróciła do władzy, kiedy usłyszał protesty wśród swoich ludzi. Potrząsnął głową, obrócił się jak fryga.

— Czy wy, ludzie, pogłuchliście? — warknął. — To jest prawowity książę na Arrakis. Róbcie, co każe.

Przemytnicy poddali się sarkając. Paul przysunął się do Gurneya, ściszył głos.

— Że ty wpadniesz w tę pułapkę, tego bym się nie spodziewał, Gurney.

— Otrzymałem zasłużoną nauczkę — odparł Gurney. — Założę się, iż tenże zagon przyprawowy to nic innego, jak warstwa grubości ziarnka piasku, przynęta, żeby nas zwabić.

— Wygrałbyś taki zakład — powiedział Paul. Spojrzał w dół na rozbrajanych ludzi.

— Jest jeszcze któryś z ludzi mojego ojca wśród twej załogi?

— Nikt. Porozchodziliśmy się. Kilku jest między wolnymi kupcami. Większość wydała swe przychody na wyjazd stąd.

— Lecz ty zostałeś.

— Ja zostałem.

— Ponieważ jest tu Rabban — rzekł Paul.

— Sądziłem, że nie pozostało mi nic prócz zemsty — powiedział Gurney.

Ze szczytu grani dobiegł dziwacznie urwany krzyk. Podniósłszy oczy Gurney ujrzał powiewającego chustą Fremena.

— Stworzyciel przybywa — rzekł Paul.

Wiodąc za sobą Gurneya wyszedł na skalny przylądek i spojrzał w dal na południowy zachód. Kopiec czerwia widniał niezbyt daleko, zwieńczony pyłem trop, który przecinał wydmy kierując się prosto na grań.

— Spory — zauważył Paul.

Od gąsienika przetwórni pod nimi wzbiło się klekotanie. Gąsienik wykręcił na swych bieżnikach jak ogromny owad i poturlał się ku skałom.

— Szkoda, że nie udało nam się ocalić zgarniarki — powiedział Paul.

Gurney zerknął na niego, obejrzał się na połacie dymu i rumowiska w głębi pustyni, gdzie zgarniarki i ornitoptery spadły strącone fremeńskimi rakietami. Poczuł nagły ból i żal za poległymi

tam ludźmi — jego ludźmi — i powiedział:

— Twój ojciec bardziej by się przejął ludźmi, których nie udało się ocalić.

Paul przeszył go twardym spojrzeniem, spuścił oczy. Po chwili odezwał się:

— To byli twoi przyjaciele, Gurney. Ja rozumiem. Dla nas jednak byli intruzami, którzy mogli zobaczyć to, czego nie powinni. Musisz to zrozumieć.

— Rozumiem to wystarczająco dobrze — powiedział Gurney. — I chętnie teraz zobaczę to, czego nie powinienem.

Paul podniósł wzrok i ujrzał dawny, dobrze znany wilczy uśmiech na twarzy Hallecka, marszczący mu krwawinową bliznę na brodzie. Gurney wskazał ruchem głowy pustynię pod nimi. Fremeni uwijali się po całym terenie. Uderzyło go, że żaden z nich nie wyglądał na zaniepokojonego nadciąganiem czerwia. Z otwartych wydm poza oszukaną plamą przyprawy dobiegło dudnienie — głuchy werbel odbierany jakby za pośrednictwem stóp. Gurney zobaczył Fremenów rozsypujących się po piasku na szlaku czerwia. Czerw nadchodził prując powierzchnię niby jakaś olbrzymia ryba — jego pierścienie wiły się i falowały. Wkrótce ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego na wzniesieniu Gurney ujrzał, jak dosiadają czerwia — śmiały skok pierwszego hakarza, potem obrót stworzenia i wreszcie cała grupa ludzi wdrapała się na górę po łuskowatej, połyskliwej krzywiźnie boku czerwia.

— Oto jedna z rzeczy, jakich nie powinieneś oglądać — rzekł Paul.

— Krążyły opowieści i plotki — powiedział Gurney. — Ale to jest coś, w co nie da się uwierzyć bez zobaczenia. — Potrząsnął głową. — Stworzenie, którego boją się wszyscy ludzie na Arrakis, wy traktujecie jak wierzchowca.

— Słyszałeś, jak mój ojciec mówił o potędze pustyni — rzekł Paul. — Oto i ona. Powierzchnia tej planety jest nasza. Żaden samum ni stworzenie, ani nawet najgorsze warunki nas nie powstrzymają.

Nas — pomyślał Gurney. — To znaczy Fremenów. On mówi o sobie jako o jednym z nich. Ponownie popatrzył na przyprawowy błękit w oczach Paula. Jego własne oczy, o czym wiedział, przybrały lekki odcień tego koloru, jednak przemytnicy mieli dostęp do artykułów spożywczych spoza planety i odcień oczu był u nich związany z subtelnym podziałem kastowym. Mówili o „maźnięciu przyprawowym pędzlem” — mając na myśli, że człowiek się zbytnio zasymilował. I zawsze towarzyszyła temu nuta nieufności.

— Był czas, kiedy nie dosiadaliśmy stworzyciela w świetle dnia na tych szerokościach — powiedział Paul. — Lecz Rabbanowi pozostała zbyt mała osłona powietrzna, żeby mógł ją marnować na

poszukiwanie paru kropek na piasku. — Popatrzył na Gurneya. — Twój statek powietrzny w tym miejscu był dla nas szokiem.

Dla nas… dla nas… — Gurney potrząsnął głową, by odegnać te myśli.

— Byliśmy mniejszym szokiem dla was, niż wy dla nas — powiedział.

— Co mówi się po nieckach i osadach o Rabbanie? — zapytał Paul.

— Mówi się, że ufortyfikowali osady w graben do takiego stopnia, że nic im nie zrobicie. Mówi się, że wystarczy im tylko siedzieć za szańcami i czekać, aż wyniszczycie się w daremnym ataku.

— Jednym słowem — rzekł Paul — są unieruchomieni.

— Podczas gdy ty możesz poruszać się, gdzie zechcesz — dokończył Gurney.

— Tej taktyki nauczyłem się od ciebie — rzekł Paul. — Oni stracili inicjatywę, co znaczy, że przegrali wojnę.

Gurney uśmiechnął się przeciągle, porozumiewawczo.

— Nasz wróg jest dokładnie tam, gdzie chcę, aby był — rzekł Paul. Zerknął na Gurneya. — No to jak, Gurney, zaciągasz się do mnie na finisz kampanii?

— Zaciągasz? — Gurney wlepił w niego oczy. — Mój panie, ja nigdy nie porzuciłem służby u ciebie. To ty mnie porzuciłeś… przekonanego, że nie żyjesz. A ja, pozostawiony własnemu losowi, przeprowadziłem rachunek sumienia, jak umiałem, i czekałem na chwilę, kiedy mógłbym sprzedać swoje życie za tyle, ile jest ono warte — za śmierć Rabbana.

Paul umilkł w zakłopotaniu. Jakaś kobieta pięła się do nich po skałach, jej oczy, widoczne pomiędzy kapturem filtrfraka a maską twarzy, przerzucały się z Paula na jego towarzysza i z powrotem. Zatrzymała się przed Paulem. Gurney zauważył poczucie własności w jej postawie, w tym, jak stała blisko Paula.

— Chani — powiedział Paul — to jest Gurney Halleck. Słyszałaś o nim ode mnie.

Spojrzała na Hallecka i ponownie na Paula.

— Słyszałam.

— Dokąd pojechali ludzie na stworzycielu? — zapytał Paul.

— Tylko zawrócili go, by dać nam czas na uratowanie sprzętu.

— No to… — Paul urwał, węsząc w powietrzu.

— Wiatr idzie — powiedziała Chani.

Ze szczytu grani rozległ się głos:

— Hej tam! Wiatr!

Teraz Gurney zauważył ożywiony ruch wśród Fremenów, pośpiech w ich bieganinie. Coś, czego nie sprawił czerw, dokonała obawa przed wiatrem. Gąsienik wgramolił się na suchą plażę u ich

stóp i w skałach otworzyło się dla niego przejście… po czym skały zamknęły się za nim tak precyzyjnie, że tunel zniknął mu z oczu.

— Dużo macie takich kryjówek? — zapytał Gurney.

— Dużo razy dużo — odparł Paul. Spojrzał na Chani. — Znajdź Korbę. Powiedz mu o ostrzeżeniu Gurneya, że wśród tej przemytniczej załogi są ludzie, którym nie należy ufać.

Chani rzuciła okiem na Gurneya, na Paula, skinęła głową i pomknęła na dół skacząc po kamieniach ze zręcznością gazeli.

— To twoja kobieta — powiedział Gurney.

— Matka mojego pierworodnego — rzekł Paul. — Atrydzi mają następnego Leto.

Gurney skwitował to jedynie rozszerzeniem oczu. Paul obserwował krzątaninę wokół nich krytycznym okiem. Barwa curry zdominowała już południowy nieboskłon i nadchodziły kapryśne porywy i podmuchy wiatru, siekąc ich pyłem po głowach.

— Zapnij filtrfrak — powiedział Paul. I zamocował swoją maskę oraz kaptur wokół twarzy. Gurney wykonał polecenie, błogosławiąc filtry. Paul zapytał stłumionym przez filtr głosem:

— Którym ze swej załogi nie dowierzasz, Gurney?

— Jest trochę nowych rekrutów. Pozaświatowców… — Umilkł dziwiąc się sobie nagle. Pozaświatowców. Z jaką łatwością przyszło mu to słowo.

— Tak? — powiedział Paul.

— Nie przypominają zwykłej zbieraniny niebieskich ptaków, jaka nam się dostaje — rzekł Gurney. — Są twardsi.

— Harkonneńscy szpiedzy? — spytał Paul.

— Myślę, mój panie, że oni nie meldują się nikomu z Harkonnenów. Podejrzewam, że są to ludzie w służbie imperialnej. Jest na nich nieuchwytne piętno Salusa Secundus.

Paul przeszył go ostrym spojrzeniem.

— Sardaukarzy?

Gurney wzruszył ramionami.

— Być może, ale to jest doskonale zakamuflowane.

Paul pokiwał głową myśląc, jak łatwo Gurney z powrotem wpadł w koleiny członka świty atrydzkiej… chociaż z subtelnymi zahamowaniami… różnicami. Jego też zmieniła Arrakis.

Dwaj zakapturzeni Fremeni wyłonili się ze skalnej szczeliny pod nimi i zaczęli wspinać się na górę. Jeden z nich dźwigał duży tobół na ramieniu.

— Gdzie są teraz moi ludzie? — zapytał Gurney.

— Pod skałami, w bezpiecznym miejscu — powiedział Paul. — Mamy tu jaskinię, Grotę Ptaków. Po burzy zadecydujemy, co z nimi zrobić.

Z góry zawołał jakiś głos:

— MuadDib!

Paul odwrócił się na wołanie, zobaczył fremeńskiego wartownika wzywającego ich gestem na dół do jaskini. Dał znak, że słyszy. Gurney przyglądał mu się z nowym wyrazem twarzy.

— Ty jesteś Muad'Dibem? — zapytał. — Ty jesteś tym błędnym ognikiem pustyni?

— To moje fremeńskie imię — powiedział Paul.

Gurney odwrócił się od niego, przybity ogarniającym go złym przeczuciem. Połowa jego własnej załogi leżała martwa na piasku, reszta była w niewoli. Nie obchodzili go nowi rekruci, ci podejrzani, lecz wśród pozostałych byli dobrzy ludzie, przyjaciele, ludzie, za których czuł się odpowiedzialny. „Po burzy zadecydujemy, co z nimi zrobić". Tak powiedział Paul, tak Muad'Dib powiedział. I Gurney wspomniał historie opowiadane o Muad'Dibie, o Lisanie al-Gaibie: że zdarł skórę z harkonneńskiego oficera na obicie bębna, że był otoczony komandosami śmierci, fedajkinami, którzy rzucili się w bój ze swym psalmem śmierci na ustach. I to był Paul.

Dwaj Fremeni, którzy wdrapywali się na skały, wskoczyli lekko na skalną półkę przed Paulem. Pierwszy, o ciemnej twarzy, powiedział:

— Wszystko zabezpieczone, Muad'Dibie. Lepiej chodźmy już na dół.

— Tak jest.

Gurney odnotował ton głosu tego mężczyzny — ni to komendy, ni to prośby. To był człowiek zwany Stilgarem, inna postać z nowych fremeńskich legend. Paul spojrzał na tobół taszczony przez drugiego mężczyznę.

— Korba, co jest w tobole?

Odpowiedział Stilgar:

— To z gąsienika. Były na tym inicjały tego tutaj twojego przyjaciela, a w środku baliseta. Wiele razy słyszałem, jak mówiłeś o nadzwyczajnej biegłości Gurneya Hallecka w grze na balisecie.

Gurney bacznie przypatrywał się mówiącemu — zauważył brzeg czarnej brody nad maską filtrfraka, jastrzębie spojrzenie, ostro rzeźbiony nos.

— Masz kompana, który myśli, mój panie — powiedział Gurney. — Dziękuję ci, Stilgarze.

Stilgar skinął na swego towarzysza, by przekazał tobołek Gurneyowi.

— Podziękuj swojemu panu księciu. Jego rękojmia daje ci wstęp tutaj.

Gurney wziął tobół, zaintrygowany twardymi nutami w tej rozmowie. W postawie tego człowieka było coś wyzywającego i Gurney zachodził w głowę, czy to przypadkiem nie uczucie zazdrości.

Oto pojawił się ktoś zwany Gurneyem Halleckiem, kto zna Paula jeszcze sprzed czasów Arrakis, człowiek, którego udziałem jest zażyłość zamknięta na zawsze przed Stilgarem.

— Chciałbym, żebyście wy dwaj zostali przyjaciółmi — powiedział Paul.

— Stilgar Fremen to głośne imię — rzekł Gurney. — Zresztą każdego zabójcę Harkonnenów czułbym się zaszczycony zaliczyć do swoich przyjaciół.

— Czy uściśniesz dłoń mojego przyjaciela Gurneya Hallecka, Stilgarze? — zapytał Paul.

Stilgar z wolna wyciągnął ręce, zamknął w uścisku stwardniałą od miecza prawicę Gurneya.

— Mało jest takich, co nie słyszeli imienia Gurneya Hallecka — powiedział i zwolnił uścisk. Obrócił się do Paula:

— Wali na nas samum.

— Rozkaz — rzekł Paul.

Stilgar zawrócił prowadząc ich w dół przez skały krętą, pełną pętli ścieżką do cienistej szczeliny, która kończyła się niskim wylotem jaskini. Ludzie pośpiesznie zamocowali za nimi gródź. Kule świętojańskie ukazały rozległą nakrytą kopułą przestrzeń, wycięty w bocznej ścianie występ, a za nim otwór korytarza. Paul wskoczył na występ i powiódł depczącego mu po piętach Gurneya w głąb korytarza. Pozostali skierowali się do drugiego tunelu naprzeciwko wejścia. Paul minął przedsionek i wkroczył do komnaty z draperiami koloru ciemnoczerwonego wina na ścianach.

— Mamy tutaj chwilę dla siebie — powiedział. — Inni uszanują moje…

W przedsionku zabrzęczał alarmowy czynel; po nim rozległy się krzyki i szczęk broni. Paul zakręcił się na pięcie i wypadł przez przedsionek z powrotem na próg atrium górujący nad zewnętrzną salą. Gurney znalazł się tuż za nim z dobytą bronią. W dole na podłodze groty wirował kłąb walczących postaci. Paul stał przez moment taksując scenę i oddzielając fremeńskie burnusy i burki od strojów przeciwników. Zmysły, wyszkolone przez matkę w wykrywaniu najniklejszych wskazówek, uchwyciły znamienny fakt: Fremeni walczyli z ludźmi noszącymi szaty przemytników, lecz ci przemytnicy przywarowali po trzech, zbijając się pod naporem w trójkąty. Ten zwyczaj walki wręcz był legitymacją sardaukarów imperialnych. Jakiś fedajkin z tłumu dostrzegł Paula i jego bojowy okrzyk przetoczył się echem po sali:

— Muad'Dib! Muad'Dib! Muad'Dib!

Inne oko również wyłowiło Paula. Śmignął ku niemu czarny nóż. Paul uchylił się, usłyszał za sobą brzęk stali o kamień, zobaczył, jak Gurney podnosi nóż. Trójkątne grupki wypierano teraz w głąb. Gurney

podsunął nóż Paulowi pod oczy, wskazując włos spirali żółtej imperialnej barwy, złotą lwią grzywę, wielopłaszczyznowe oczy na gałce rękojeści. Sardaukarzy bez żadnych wątpliwości.

Paul wysunął się na skraj półki. Pozostało jedynie trzech sardaukarów. Zakrwawione szmaciane wzgórki sardaukarów i Fremenów zalegały salę zawiłym deseniem.

— Stać! — krzyknął Paul. — Książę Paul Atryda nakazuje wam przerwać walkę!

Walczący zachwiali się, zawahali.

— Sardaukarzy! — zawołał Paul do ocalałej trójki. — Z czyjego rozkazu podnosicie rękę na panującego księcia? — I dodał prędko, gdy jego ludzie zaczęli zaciskać pierścień wokół sardaukarów: — Stać, mówię!

Jeden z osaczonej trójki wyprostował się.

— Kto mówi, że jesteśmy sardaukarami? — zapytał.

Paul wziął od Gurneya nóż i podniósł go wysoko.

— To mówi.

— A kto mówi, że ty jesteś panującym księciem? — zapytał ten sam mężczyzna.

Paul wskazał ręką fedajkinów.

— Ci ludzie mówią, że jestem panującym księciem. Wasz własny Imperator nadał Arrakis rodowi Atrydów. A ród Atrydów to ja.

Sardaukar milczał, wiercąc się nerwowo. Paul przypatrywał się mężczyźnie — wysoki, o płaskiej twarzy, z bladą szramą przez pół policzka. Jego postawa zdradzała złość i zakłopotanie, lecz była w nim nadal owa duma, bez której sardaukar wydaje się nagi, i z którą nagi wydaje się kompletnie ubrany. Paul rzucił okiem na jednego z poruczników swoich fedajkinów.

— Korba, jak do tego doszło, że mają broń?

— Zachowali noże poukrywane w przemyślnych kieszeniach filtrfraków — powiedział porucznik.

Paul zlustrował zabitych i rannych po drugiej stronie sali i znów spojrzał na porucznika. Niepotrzebne były słowa.

Porucznik spuścił oczy.

— Gdzie jest Chani? — zapytał i czekając na odpowiedź wstrzymał oddech.

— Ulotnił się z nią Stilgar — Korba skinął głową w stronę drugiego korytarza, spojrzał na zabitych i rannych. — Ponoszę odpowiedzialność za ten błąd, Muad'Dibie.

— Ilu było tych sardaukarów, Gurney? — spytał Paul.

— Dziesięciu.

Paul zeskoczył zwinnie na podłogę, pomaszerował na przełaj przez salę zatrzymując się w zasięgu ręki rzecznika sardaukarów. Fedajkinów ogarnęła atmosfera napięcia. Nie podobało im się to jego

wystawianie się na niebezpieczeństwo. Do tego właśnie ślubowali nie dopuścić, ponieważ Fremeni pragnęli zachować mądrość Muad'Diba. Nie odwracając się Paul zapytał swego porucznika.

— Jakie mamy straty w ludziach?

— Czterech rannych, dwóch zabitych, Muad'Dibie.

Paul spostrzegł ruch za sardaukarem. W wylocie drugiego korytarza stanęła Chani ze Stilgarem. Z powrotem skupił uwagę na sardaukarze, przyglądając się pozaświatowym białkom oczu rzecznika.

— Twoje imię? — zapytał Paul.

Mężczyzna sprężył się, rzucił okiem na lewo i na prawo.

— Nie próbuj tego — powiedział Paul. — Dla mnie jest jasne, że kazano wam odszukać i zabić Muad'Diba. Ręczę, że to wyście zasugerowali poszukiwania przyprawy w głębokiej pustyni.

Sapnięcie Gurneya za jego plecami wywołało nikły uśmiech na wargach Paula.

Krew napłynęła sardaukarowi do twarzy.

— To, co widzisz przed sobą, to coś więcej niż Muad'Dib — powiedział Paul. — Siedmiu was nie żyje za dwóch naszych. Trzech za jednego. Niezgorzej, jak na walkę z sardaukarami, co?

Mężczyzna wspiął się na palce i opadł, gdy fedajkini zacisnęli krąg.

— Pytałem o twoje imię — rzekł Paul i przywołał na pomoc subtelności Głosu:

— Mów, jak się nazywasz!

— Kapitan Aramszam, z sardaukarów imperialnych! — wyrzucił z siebie mężczyzna.

Szczęka mu opadła. Skonfundowany wytrzeszczył oczy na Paula. Prysła jego poza, polegająca na ignorowaniu tej jaskini jako nory barbarzyńców.

— Cóż, kapitanie Aramszam, Harkonnenowie drogo by zapłacili, żeby się dowiedzieć tego, co ty wiesz. A Imperator — czegóż by nie dał za wiadomość, że Atrydzi nadal żyją pomimo jego zdrady.

Kapitan rozejrzał się na boki, na dwóch ludzi, którzy mu pozostali. Paul niemalże widział, jak ten człowiek waży myśli. Sardaukar nie poddaje się, lecz Imperator musi się dowiedzieć o tej groźbie. Wciąż wykorzystując Głos, Paul powiedział:

— Poddaj się, kapitanie.

Bez żadnego ostrzeżenia mężczyzna z lewej strony kapitana skoczył na Paula, nadziewając się piersią na błysk noża swego własnego dowódcy. Atakujący zwalił się na podłogę jak kłoda, z nożem w piersi. Kapitan zwrócił się do swego jedynego już towarzysza.

— Ja decyduję, co się najlepiej opłaca Jego Królewskiej Mości — powiedział. — Zrozumiano?

Drugiemu sardaukarowi opadły ramiona.

— Rzuć broń — powiedział kapitan.

Sardaukar usłuchał. Kapitan zwrócił się znów do Paula.

— Zabiłem dla ciebie przyjaciela — rzekł. — Nie zapomnijmy o tym.

— Jesteś moim jeńcem — powiedział Paul. — Poddałeś się mnie. Czy żyjesz, czy nie, jest to bez znaczenia.

Skinął na swoją gwardię, by zabrano obu sardaukarów, i przywołał gestem porucznika. Wkroczyła straż i pognała sardaukarów. Paul nachylił się do swego porucznika.

— Muad'Dibie — powiedział przywołany — zawiodłem cię w…

— To ja zawiodłem, Korba — przerwał Paul. — Powinienem cię ostrzec, czego szukać. W przyszłości obszukując sardaukarów pamiętaj o tym. Pamiętaj również, że każdy ma kilka sztucznych paznokci u nogi, które w połączeniu z innymi przedmiotami ukrytymi na ciele tworzą sprawny nadajnik. I niejeden sztuczny ząb. We włosach noszą zwoje szigastruny — tak cienkiej, że ledwo ją można wykryć, a jednak wystarczająco mocnej do zgarotowania człowieka i obcięcia mu głowy przy okazji tej czynności. Mając do czynienia z sardaukarami, musisz ich wziąć pod lupę i prześwietlić zarówno promieniami nieprzenikliwymi, jak i twardymi — i wystrzyc im każdą kępkę włosów na ciele. A kiedy skończysz, bądź pewien, że nie odkryłeś wszystkiego.

Podniósł oczy na Gurneya, który podszedł blisko przysłuchując się.

— Zatem najlepiej zrobimy zabijając ich — powiedział porucznik.

Paul pokręcił głową, nadal spoglądając na Gurneya.

— Nie. Chcę, żeby uciekli.

Gurney wybałuszył na niego oczy.

— Sire… — szepnął.

— Tak?

— Twój człowiek ma rację. Każ zabić owych jeńców natychmiast. Zniszcz po nich wszelkie ślady. Zhańbiłeś sardaukarów imperialnych! Kiedy to dotrze do Imperatora, to nie spocznie on, dopóki nie upiecze cię żywcem na wolnym ogniu.

— Imperator nie ma szans na zdobycie takiej władzy nade mną — powiedział Paul. Mówił chłodno, cedząc słowa. Coś się w nim dokonało, kiedy stał twarzą w twarz z sardaukarem. W jego świadomości zsumował się wynik ogólny decyzji.

— Gurney — spytał — dużo Gildian kręci się przy Rabbanie?

Gurney wyprostował się, zwęziły mu się oczy.

— Twoje pytanie nie ma żadnego…

— Dużo? — uciął Paul.

— Arrakis roi się od agentów Gildii. Kupują przyprawę, jakby to

była najcenniejsza rzecz we wszechświecie. A dlaczego innego zapuściliśmy się tak daleko w głąb…

— To jest najcenniejsza rzecz we wszechświecie — powiedział Paul. — Dla nich. — Spojrzał w stronę Stilgara i Chani, zbliżających się właśnie przez salę. — I my mamy to w ręku, Gurney.

— Harkonnenowie mają to w ręku — zaprotestował Gurney.

— Ci, co mogą coś zniszczyć, mają to w ręku — powiedział Paul.

Machnięciem dłoni uciszył dalsze uwagi Gurneya i skinął głową Stilgarowi, który stanął przed Paulem razem z Chani. Paul wziął w lewą rękę sardaukarski nóż i podał go Stilgarowi.

— Żyjesz dla dobra plemienia — powiedział. — Czy przelałbyś tym nożem moją krew?

— Dla dobra plemienia — warknął Stilgar.

— Zatem użyj tego noża — rzekł Paul.

— Rzucasz mi wyzwanie? — zapytał Stilgar.

— Jeśli to zrobię — odparł Paul — stanę bez broni i dam ci się zabić.

Stilgar ze świstem wciągnął powietrze.

— Usul! — odezwała się Chani, po czym zerknęła na Gurneya i znów na Paula.

Podczas gdy Stilgar ciągle rozważał jego słowa, Paul powiedział:

— Tyś jest Stilgar, wojownik. Kiedy sardaukarzy wszczęli tutaj bój, nie było cię na pierwszej linii. Twoją pierwszą myślą było ratować Chani.

— Jest moją bratanicą — powiedział Stilgar. — Gdyby istniał choć cień wątpliwości, czy twoi fedajkini załatwią tę hołotę…

— Dlaczego najpierw pomyślałeś o Chani? — zapytał Paul.

— Nie pomyślałem!

— Czyżby?

— Myślałem o tobie — wyznał Stilgar.

— Czy uważasz, że mógłbyś podnieść na mnie rękę? — zapytał Paul.

— Taki jest zwyczaj — zamruczał Stilgar.

— Zwyczaj każe zabijać pozaświatowych przybłędów napotkanych w pustyni i brać ich wodę jako dar od Shai-huluda — powiedział Paul. — A jednak pewnej nocy ty zachowałeś przy życiu takich dwoje, moją matkę i mnie.

Stilgar milczał, drżąc i pożerając go oczami, zaś Paul dodał:

— Zwyczaje się zmieniają, Stil. Ty sam je zmieniłeś.

Stilgar spuścił wzrok na żółte godło noża, który trzymał w ręku.

— Kiedy będę księciem w Arrakis, z Chani u boku, myślisz, że będę miał czas zajmować się każdym drobiazgiem zarządzania siczą Tabr? — zapytał Paul. — Czy ty sam zajmujesz się wewnętrznymi sprawami każdej rodziny?

Stilgar nie odrywał oczu od noża.

— Myślisz, że pragnę odciąć sobie prawe ramię? — zapytał Paul. — Powoli Stilgar podniósł na niego oczy. — Ciebie! — rzekł Paul. — Myślisz, że mógłbym pozbawić siebie czy plemię twej mądrości i siły?

Stilgar powiedział cicho:

— Młodego człowieka z mego plemienia, którego imię jest mi znane, tego młodego człowieka mógłbym zabić na ubitej ziemi, z woli Shai-huluda. Lisana al-Gaiba nie jestem w stanie skrzywdzić. Wiedziałeś o tym wręczając mi ten nóż.

— Wiedziałem — przyznał Paul.

Stilgar otworzył dłoń. Nóż brzęknął o kamień podłogi.

— Zwyczaje się zmieniają — powiedział.

— Chani — rzekł Paul — udaj się do mojej matki i przyślij ją tutaj, żeby posłużyła radą w…

— Ale mówiłeś, że pojedziemy na południe! — zaprotestowała.

— Nie miałem racji — odrzekł. — Harkonnenowie są gdzie indziej. Wojna jest gdzie indziej.

Westchnęła głęboko, godząc się z tym jak kobieta pustynna poddaje się wszystkiemu, co nieuniknione pomiędzy kowadłem życia a młotem śmierci.

— Przekażesz mojej matce wiadomość przeznaczoną tylko dla jej uszu — rzekł Paul. — Powiesz jej, że Stilgar uznaje mnie za swojego księcia na Arrakis, ale musimy znaleźć sposób zmuszenia młodych ludzi, by zgodzili się na to bez pojedynku.

Chani spojrzała na Stilgara.

— Rób, jak on mówi — warknął Stilgar. — Oboje wiemy, że dałby mi radę… a ja nie dałbym rady podnieść na niego ręki… dla dobra plemienia.

— Przywiozę twoją matkę — powiedziała Chani.

— Przyślij ją — rzekł Paul. — Instynkt nie omylił Stilgara. Jestem silniejszy, kiedy ty jesteś bezpieczna. Zostaniesz w siczy.

Otworzyła usta, by zaoponować, ale zrezygnowała.

— Sihaja — rzekł Paul, używając imienia, jakim nazywał ją, kiedy byli we dwoje. Obrócił się w prawo na pięcie, napotykając płonące oczy Gurneya.

— Twoja matka — powiedział Gurney.

— Idaho wyratował nas w noc napaści — rzekł Paul, zaabsorbowany rozłąką z Chani. — W tej chwili musimy…

— Co z Duncanem Idaho, mój panie? — zapytał Gurney.

— Zginął, zyskując dla nas chwilę czasu na ucieczkę.

Czarownica żyje! — myślał Gurney. — Ta, której poprzysiągłem zemstę, żyje! I widać jak na dłoni, że książę Paul nie wie, co za stwór go zrodził. Siostra diabła! Wydała Harkonnenom jego rodzonego ojca!

Paul wyminął go i wskoczył na występ. Obejrzał się spostrzegając,

że usunięto rannych i zabitych, i pomyślał z goryczą, że oto jest następny rozdział legendy o Paulu Muad'Dibie. Nawet nie dobyłem noża, a mówić będą o tym dniu, że dwudziestu sardaukarów padło tu z mojej ręki.

Gurney podążał za Stilgarem nie wyczuwając nawet gruntu, po którym stąpał. Jaskinię wraz z jej żółtym blaskiem kuł świętojańskich wyparła z jego świadomości wściekłość. Czarownica żyje, podczas gdy z tych, których zdradziła, pozostały kości w opuszczonych grobach. Muszę znaleźć sposób, żeby Paul poznał prawdę, zanim ją zabiję.

> *Jakże często jest tak, że wybuch rozgniewanego człowieka stanowi zaprzeczenie tego, co mówi mu jego wewnętrzne ja.*
>
> *ze „Złotych myśli Muad'Diba" zebranych przez księżniczkę Irulan*

Z tłumu w podziemnej sali zgromadzeń emanowało podniecenie sfory, podobne temu, jakie Jessika wyczuwała w dniu, kiedy Paul zabił Dżamisa. Słychać było nerwowy szmer głosów. Maleńkie koterie wzbierały jak guzy w ścisku burnusów. Wetknąwszy tuleję pocztową pod szatę Jessika wyszła z prywatnej kwatery Paula na skalny występ. Czuła się wypoczęta po długiej podróży z dalekiego południa, lecz wciąż rozgoryczona, że Paul jeszcze im nie pozwala korzystać ze zdobycznych ornitopterów.

— Nie panujemy całkowicie w powietrzu — powiedział. — I nie wolno nam uzależnić się od paliwa pozaświatowego. Musimy gromadzić i przechowywać zarówno paliwo, jak i statki na dzień maksymalnego wysiłku.

Paul stał w gronie młodszych mężczyzn w pobliżu występu. Blade światło kul świętojańskich nadawało scenerii posmak nierealności. Przypominała żywy obraz, wzbogacony o dodatkowy wymiar — zapachów ludzkiego mrowiska, szeptów, odgłosów szurania nóg.

Spoglądała na syna, zastanawiając się, dlaczego nie zademonstrował jeszcze swej niespodzianki — Gurneya Hallecka. Myśl o Gurneyu zakłóciła jej spokój wspomnieniami niefrasobliwej przeszłości, dni miłości i szczęścia przy ojcu Paula.

Stilgar czekał ze swoją własną niewielką grupą w drugim końcu występu. Od jego nieruchomej postawy biło niewzruszone dostojeństwo. Nie możemy utracić tego człowieka — pomyślała Jessika. — Plan Paula musi się powieść. Wszystko inne będzie najstraszliwszą tragedią. — Przeszła wzdłuż występu mijając Stilgara i

nie patrząc w jego stronę zeszła na dół w tłum. Ustępowano jej z drogi, kiedy przedzierała się do Paula. A za nią postępowała cisza. Znała sens tego milczenia — nie wypowiedziane pytania ludzi, lęk przed Matką Wielebną. Młodzi mężczyźni odstąpili od Paula, gdy podeszła do niego i Jessika poczuła chwilową trwogę przed nowym respektem, jakim go darzyli. „Wszyscy ludzie niżej od ciebie postawieni są chciwi twojej pozycji" — głosił aksjomat Bene Gesserit. Ale nie znajdowała żadnej chciwości w tych twarzach. I przypomniało jej się inne powiedzenie Bene Gesserit: „Prorocy mają zwyczaj umierania gwałtowną śmiercią".

Paul spojrzał na nią.

— Już czas — powiedziała i wręczyła mu tuleję pocztową.

Jeden z towarzyszy Paula, śmielszy od reszty, spoglądając ponad głowami innych na Stilgara, rzekł:

— Teraz go wyzwiesz, Muad'Dibie? Już czas najwyższy. Pomyślą, że tchórzysz, jeżeli nie…

— Kto się ośmiela nazywać mnie tchórzem? — zapytał Paul. Jego dłoń śmignęła do rękojeści krysnoża. Wśród ludzi zaległa martwa cisza, rozchodząc się w tłum. — Mamy coś do zrobienia — powiedział Paul, podczas gdy ów mężczyzna cofał się przed nim. Paul odszedł, przepychając się przez ciżbę w kierunku występu, wskoczył lekko na półkę i zwrócił się twarzą do ludzi.

— Zrób to! — wrzasnął ktoś.

W ślad za tym okrzykiem rozległy się pomruki i szepty. Paul zwlekał, aż zapadnie cisza. Zapadała z wolna, pośród szurań i pokasływań z różnych stron. Kiedy w jaskini zrobiło się cicho, Paul uniósł głowę i przemówił głosem docierającym do najdalszych zakamarków.

— Macie już powyżej uszu czekania — powiedział.

Ponownie wstrzymał się, gdy wygasała wrzawa odpowiedzi. Rzeczywiście mają już czekania powyżej uszu — pomyślał. Zważył w dłoni tuleję pocztową, w umyśle ważąc jej zawartość. Matka mu ją pokazała, wyjaśniając, jak została odebrana harkonneńskiemu kurierowi. Treść była jasna: Rabbana porzucono na Arrakis zdanego na własne siły. Posiłki ani ratunek nie przybędą na jego wezwania! Paul podniósł na nowo głos:

— Uważacie, że już czas, abym wyzwał Stilgara i zmienił zwierzchnictwo oddziałom! — Nim zdążyli odpowiedzieć, cisnął w nich gniewnymi słowami: — Uważacie, że Lisan al-Gaib jest takim głupcem?

Panowało głuche milczenie. Stroi się w religijne piórka — pomyślała Jessika. — Nie ma innego wyjścia!

— Taki jest zwyczaj! — zawołał ktoś.

— Zwyczaje się zmieniają — rzekł oschle Paul, sondując ukryte

nastroje.

Z końca sali doleciał gniewny głos:

— My decydujemy, co się zmienia!

Z wielu stron podniosły się w tłumie okrzyki poparcia.

— Jak sobie życzycie — rzekł Paul.

I Jessika pochwyciła subtelną intonację, kiedy skorzystał z możliwości Głosu, których go nauczyła.

— Wy decydujecie — zgodził się. — Ale najpierw wysłuchacie, co mam do powiedzenia.

Stilgar przesunął się na skraj występu, a jego brodata twarz nie objawiała żadnych emocji.

— To również jest zwyczaj — powiedział. — Głos każdego Fremena może zabrzmieć na Zgromadzeniu. Paul Muad'Dib jest Fremenem.

— Dobro plemienia, ono jest najwyższym dobrem, tak? — zapytał Paul.

Z tym samym beznamiętnym dostojeństwem w głosie Stilgar rzekł:

— Tym kierują się nasze kroki.

— Dobrze — powiedział Paul. — Kto zatem rządzi tym oddziałem naszego plemienia? I kto rządzi wszystkimi plemionami i oddziałami za pośrednictwem instruktorów walki, których nauczyliśmy magicznego sposobu?

Czekał spoglądając ponad głowami ciżby. Nie było żadnej odpowiedzi. Po chwili rzekł:

— Czy Stilgar rządzi tym wszystkim? On sam mówi, że nie. Czy ja rządzę? Nawet Stilgar od czasu do czasu wykonuje moje rozkazy i mędrcy, najmądrzejsi z mądrych, wysłuchują mnie i poważają w Radzie.

W tłumie panowało wymijające milczenie.

— A zatem — powiedział Paul — czy rządzi moja matka? — Wskazał na stojącą w dole pomiędzy nimi Jessikę w czarnych obrzędowych szatach. — Stilgar i wszyscy inni przywódcy oddziałów zasięgają jej rady prawie w każdej ważniejszej decyzji. Wiecie o tym. Ale czy Matka Wielebna chodzi piaskiem albo wiedzie razzia przeciwko Harkonnenom?

Paul widział zmarszczone w namyśle czoła tych, których miał w zasięgu wzroku, lecz ciągle słychać było gniewne szemrania. Niebezpiecznie to robić w ten sposób — pomyślała Jessika, jednak nie zapomniała o tulei pocztowej i jej znaczeniu. I przejrzała intencję Paula: sięgnij do samego dna ich niepewności, usuń ją, a reszta przyjdzie sama.

— Żaden człowiek nie uznaje przywództwa bez wyzwania pojedynku, tak?

— Taki jest zwyczaj! — krzyknął ktoś.

— Jaki mamy cel? — zapytał Paul. — Obalić Rabbana, harkonneńską bestię, i przerobić naszą planetę na świat, w którym będziemy mogli zakładać rodziny w szczęściu i wśród obfitości wody, czy taki jest nasz cel?

— Trudne zadania wymagają trudnych dróg — ktoś zawołał.

— Czy łamiesz swój nóż przed walką? — zapytał Paul. — Stwierdzam jako fakt, a nie przechwałkę ani wyzwanie, że nie ma tutaj człowieka, ze Stilgarem włącznie, który dałby mi radę w pojedynku. Przyznaje to sam Stilgar. On wie o tym, tak jak wszyscy.

Znowu odpowiedziały mu gniewne pomruki z tłumu.

— Wielu z was było ze mną na macie treningowej — podjął Paul. — Ci wiedzą, że to nie jest czcza przechwałka. Mówię o tym, bo to jest fakt znany wszystkim, i byłbym głupi nie dostrzegając tego samemu. Wcześniej od was rozpocząłem szkolenie w tych arkanach u nauczycieli twardszych niż ktokolwiek, z kim mieliście do czynienia. Jak myślicie, niby dlaczego pokonałem Dżamisa w wieku, w którym wasi chłopcy staczają jeszcze walki pozorowane?

Włada Głosem bez zarzutu — myślała Jessika — ale to za mało na tych ludzi. Oni posiadają doskonałą izolację od sterowania wokalnego. Musi ich wziąć również logiką.

— A zatem — rzekł Paul — dochodzimy do tego. — Uniósł tuleję pocztową, wyjął z niej skrawek taśmy. — Odebrano ją kurierowi Harkonnenów. Jej autentyczność nie podlega dyskusji. Adresatem jej Rabban. Zawiadamiają go o tym, że jego prośba o nowe oddziały została odrzucona, że jego zbiory przyprawy są dużo poniżej kontyngentu, że musi wycisnąć z Arrakis więcej przyprawy przy pomocy ludzi, których posiada.

Stilgar przysunął się do Paula.

— Ilu z was wie, co to znaczy? — zapytał Paul. — Stilgar chwycił to w lot.

— Oni są odcięci! — krzyknął ktoś.

Paul wepchnął tuleję z wiadomością za szarfę. Zdjął z szyi sznur pleciony z szigastruny i ściągnąwszy z niego pierścień podniósł go wysoko.

— To jest książęcy sygnet mojego ojca — powiedział. — Ślubowałem nie założyć go więcej dopóty, dopóki nie będę gotów poprowadzić swoich oddziałów przez całą Arrakis i wziąć ją jako swoje prawowite lenno.

Włożył pierścień na palec, zacisnął pięść. Grobowa cisza ogarnęła jaskinię.

— Kto tu rządzi? — zapytał Paul. Wzniósł pięść. — Ja tu rządzę! Ja rządzę na każdym centymetrze kwadratowym Arrakis! To moje książęce lenno, bez względu na to, co mówi Imperator! Nadał je

mojemu ojcu i przechodzi ono z mojego ojca na mnie!

Paul wspiął się na palce i z powrotem opadł na pięty. Studiował tłum, wczuwając się w jego nastrój. Prawie — pomyślał.

— Są tutaj ludzie, którzy zajmą ważne stanowiska na Arrakis, kiedy zażądam należnych mi praw imperialnych — ciągnął Paul. — Jednym z tych ludzi jest Stilgar. Nie dlatego, że chciałbym go przekupić! Ani z wdzięczności, chociaż należę do tych licznych, którzy zawdzięczają mu życie. Nie! Ale dlatego, że on jest mądry i silny. Dlatego, że kierując tym oddziałem kieruje się własnym rozumem, a nie wyłącznie zasadami. Uważacie mnie za głupca? Myślicie, że odetnę sobie prawe ramię zostawiając je zakrwawione na podłodze tej jaskini po to tylko, żeby wam dostarczyć widowiska? — Paul powiódł twardym spojrzeniem po ciżbie. — Kto z obecnych tu twierdzi, że ja nie jestem prawowitym panem Arrakis? Czy muszę dowodzić tego pozostawiając wszystkie fremeńskie plemiona w całym ergu bez przywódcy?

Stilgar poruszył się obok Paula, spoglądając na niego pytająco.

— Czy mam uszczuplać naszą siłę, gdy jej najbardziej potrzebujemy? — zapytał Paul. — Jestem waszym władcą i powiadam wam, że już czas nam skończyć z zabijaniem własnych najlepszych ludzi i zabrać się za zabijanie naszych prawdziwych wrogów, Harkonnenów!

Jednym płynnym ruchem Stilgar wyrwał swój krysnóż i wzniósł go ponad głowy tłumu.

— Niech żyje książę Paul Muad'Dib! — zawołał.

Ogłuszający ryk wypełnił jaskinię, odbijając się wielokrotnym echem. Wiwatowali skandując:

— *Ja hja chouhada!* Muad'Dib! Muad'Dib! Muad'Dib! *Ja hja chouhada!*

Jessika przetłumaczyła sobie: „Niech żyją wojownicy Muad'Diba!" Scena, którą ona do spółki z Paulem i Stilgarem wykoncypowali, rozegrała się zgodnie z planem. Tumult powoli ucichł. Gdy powróciła cisza, Paul obrócił się do Stilgara.

— Uklęknij, Stilgarze — powiedział.

Stilgar przyklęknął na skalnej półce.

— Podaj mi swój krysnóż — rzekł Paul.

Stilgar usłuchał. Tak tego nie planowali — pomyślała Jessika.

— Powtarzaj za mną, Stilgarze — rozkazał Paul i przywołał słowa inwestytury tak, jak słyszał je stosowane przez własnego ojca. — Ja, Stilgar, przyjmuję ten nóż z rąk mojego księcia.

— Ja, Stilgar, przyjmuję ten nóż z rąk mojego księcia — powiedział Stilgar i wziął mleczne ostrze od Paula.

— Gdzie mój książę rozkaże, tam zatopię to ostrze — powiedział Paul.

Stilgar powtarzał słowa powoli i z namaszczeniem. Wspominając, od kogo wziął się ten rytuał, Jessika zamrugała, by powstrzymać łzy, potrząsnęła głową. Wiem, co wywołuje te łzy — pomyślała. — Nie powinnam dać się wzruszyć.

— Poświęcam to ostrze życiu mego księcia, a śmierci jego wrogów, dopóki w naszych żyłach płynie krew — rzekł Paul.

Stilgar powtórzył za nim.

— Ucałuj ostrze — polecił Paul.

Stilgar wykonał rozkaz, po czym fremeńskim zwyczajem ucałował Paula w rękę posługującą się nożem. Na skinienie Paula wstał i schował ostrze do pochwy. Szept nabożnej czci niby westchnienie obiegł tłum i Jessika usłyszała słowa:

— Wyrocznia Bene Gesserit wskaże drogę, a Matka Wielebna ją zobaczy. — I z dalszej odległości: — Ona ją wskazuje poprzez swego syna!

— Stilgar przewodzi plemieniu — rzekł Paul. — Żeby mi się nikt nie pomylił. Ja rozkazuję jego głosem. Co on zarządzi, to tak, jakbym ja zarządził.

Mądrze — pomyślała Jessika. — Plemienny przywódca za nic nie może stracić twarzy wśród tych, którzy mają go słuchać.

Paul ściszył głos:

— Stilgar, chcę, by dzisiejszej nocy wyszli piechurzy piasku i by rozesłano cielago z wezwaniem na zgromadzenie Rady. Po ich wyprawieniu weź Chatta, Korbę, Otheyma oraz jeszcze dwóch poruczników według swego uznania. Sprowadź ich do mojej kwatery na naradę wojenną. Musimy mieć zwycięstwo na pokaz przed Radą Przywódców, kiedy się zjadą.

Skinął na matkę, aby mu towarzyszyła, pierwszy zszedł z występu i ruszył przez ciżbę w stronę głównego korytarza i kwater, które dla niego przygotowano. Ręce wyciągnęły się do niego, gdy przeciskał się przez tłum. Dolatywały go okrzyki.

— Mój nóż pójdzie tam, gdzie każe Stilgar, Paulu Muad'Dibie! Ruszajmy w bój jak najprędzej, Paulu Muad'Dibie. Zrośmy naszą planetę krwią harkonneńską!

Wrażliwa na emocje tłumu Jessika wyczuwała, że ci ludzie palą się do walki. Nie mogli być bardziej gotowi. Bierzemy ich u szczytu zapału — pomyślała.

W wewnętrznej komnacie Paul dał znak matce, by usiadła.

— Zaczekaj tu — rzucił i dał nurka między kotary w boczny korytarz.

Cisza zapadła w komnacie po wyjściu Paula, tak niezmącona cisza, że nawet szmer pomp wiatrakowych obiegu powietrza w siczy nie docierał do miejsca, gdzie siedziała Jessika. Zaraz tu sprowadzi Gurneya — pomyślała. I zastanowiła się nad dziwnym zlepkiem

przepełniających ją emocji. Gurney i jego muzyka towarzyszyli nieodłącznie jakże wielu miłym chwilom na Kaladanie, zanim nastąpiła przeprowadzka na Arrakis. Miała uczucie, że Kaladan przytrafił się jakby zupełnie innej osobie. Od tego czasu minęło prawie trzy lata i ona stała się inną osobą. Nieuniknione spotkanie z Halleckiem zmuszało ją do przewartościowania tych zmian.

Na niskim stoliku z prawej strony spoczywał odziedziczony przez Paula po Dżamisie kawowy serwis ze żłobkowanego stopu srebra i jasmium. Zapatrzyła się nań dumając, ile też rąk dotykało tego metalu. Chani używała go dopiero od miesiąca, usługując Paulowi. Co może zrobić dla księcia ta jego koczowniczka prócz podania mu kawy? — zadała sobie pytanie Jessika. — Nie przysparza mu żadnej potęgi,żadnej rodziny. Paul ma tylko jedną istotną szansę — spowinowacić się z silnym wysokim rodem, może nawet z rodziną imperialną. Są tam ostatecznie księżniczki na wydaniu — każda z nich po szkole Bene Gesserit.

Jessika wyobraziła sobie ucieczkę od niewygód Arrakis do życia u władzy i w bezpieczeństwie, jakiego zaznałaby w roli matki królewskiego małżonka. Rzuciła okiem na grube draperie kryjące skałę tej podziemnej celi i wspomniała, jak tutaj dotarła — jadąc w gromadzie czerwi, palankinów i platform bagażowych, wyładowanych pod niebo niezbędnymi do zbliżającej się kampanii rzeczami. Dopóki Chani żyje, Paul nie będzie zważał na swój obowiązek — pomyślała. — Ona dała mu syna i to wystarczy. Opanowało ją gwałtowne pragnienie zobaczenia wnuka, dziecka, w którego podobiźnie było tak wiele rysów dziadka, tak przypominających Leto. Jessika przyłożyła dłonie do policzków, rozpoczynając oddychanie rytualne, które uspokaja emocje i rozjaśnia umysł, następnie zgięła się w pasie wykonując skłon do przodu w religijnym ćwiczeniu sposobiącym ciało do wymogów ducha. Wiedziała, że wybranie przez Paula Groty Ptaków na ośrodek dowodzenia nie podlegało dyskusji. Miejsce było idealne. Zaś w kierunku na północ od niej leżały Wrota Wiatru wychodzące na warowną osadę w obwałowanej urwiskami niecce. To siedlisko inżynierów i rzemieślników było kluczową osadą w całym sektorze obronnym Harkonnenów, jego głównym zapleczem produkcyjnym.

Po drugiej stronie zasłon komnaty rozległo się kaszlnięcie. Jessika wyprostowała się, zrobiła głęboki wdech, zwolniony wydech.

— Proszę — powiedziała.

Zasłony frunęły na boki i do komnaty wpadł Gurney Halleck. Ledwie zdążyła dojrzeć w przelocie jego twarz z dziwnym grymasem, a już znalazł się za jej plecami — muskularne ramię zacisnęło się jej pod brodą i podniosło ją na nogi.

— Gurney, szaleńcze, co ty wyprawiasz — zapytała.

Wtem poczuła dotknięcie końca noża na plecach. Od sztychu tej klingi szła zimna świadomość. Pojęła w jednej chwili, że Gurney zamierza ją zabić. Dlaczego? Żaden powód nie przychodził jej do głowy; Gurney nie był z tych, co zdradzają. Lecz nie miała wątpliwości co do jego intencji. Zrozumiawszy to jej umysł popadł w chaos. Gurney nie należał również do tych, których daje się łatwo pokonać. To był zabójca przygotowany na Głos, na każdy fortel w walce, na każdą pułapkę śmierci i gwałtu. Narzędzie, które sama pomogła udoskonalić finezyjnymi wskazówkami i sugestiami.

— Myślałaś, że udało ci się umknąć, co, wiedźmo? — warknął.

Zanim zdołała rozgryźć to pytanie czy znaleźć jakąś odpowiedź, rozsunęły się kotary i wszedł Paul.

— Masz go, mat… — Urwał chłonąc dramatyzm sceny.

— Pozostań tam, gdzie jesteś, mój panie — powiedział Gurney.

— Co…

Paul potrząsnął głową. Jessika otworzyła usta, poczuła, że ramię zaciska się na jej gardle.

— Ty będziesz mówić jedynie wtedy, gdy ci pozwolę, wiedźmo — rzekł Gurney. — Chcę, aby twój syn usłyszał od ciebie tylko jedno, a na pierwszy sygnał kontrataku wsadzę ci odruchowo w serce ten nóż. Twój głos pozostanie monotonny. Nie napniesz ani nie poruszysz pewnych mięśni. Zachowasz najwyższą ostrożność, by zyskać dla siebie parę sekund życia więcej. A zapewniam cię,że to jest wszystko, co ci zostało.

Paul zrobił krok w przód.

— Gurney, chłopie, co ty…

— Stój dokładnie tam, gdzie stoisz! — rzucił Gurney. — Jeszcze krok, a ona zginie.

Dłoń Paula obsunęła się na rękojeść noża. Mówił ze śmiertelnym spokojem:

— Lepiej się z tego wytłumacz, Gurney.

— Ślubowałem, że zabiję zdrajcę twojego ojca — powiedział Gurney. — Myślisz, że potrafię zapomnieć człowieka, który wyratował mnie z niewolniczych harkonneńskich lochów, obdarzył mnie wolnością, życiem i honorem… obdarzył swą przyjaźnią, czymś, co ceniłem nade wszystko. Mam jego zdrajcę na końcu noża. Nikt mnie nie powstrzyma przed…

— Straszliwie się mylisz, Gurney — powiedział Paul.

A Jessika pomyślała: więc o to chodzi! Cóż za farsa!

— Ja się mylę? — zapytał Gurney. — Posłuchajmy, co ta kobieta sama nam powie. I niech ona pamięta, że ja nie darmo przekupywałem, szpiclowałem i kantowałem, by potwierdzić ten zarzut. Zabawiłem się nawet w dostawcę semuty dla kapitana harkonneńskiej gwardii, żeby zdobyć brakujące ogniwa.

Jessika poczuła, że ramię na jej gardle zwalnia nieco uścisk, lecz Paul ją uprzedził, mówiąc:

— Zdrajcą był Yeuh. Mówię ci to ten jeden jedyny raz, Gurney. Dowody są absolutne, nie można ich zakwestionować. To był Yueh. Nie obchodzi mnie, jak doszedłeś do swego domniemania — bo inaczej tego nie można nazwać — ale jeśli skrzywdzisz moją matkę… — Paul wyjął krysnóż z pochwy i trzymał go przed sobą — zapłacisz mi swoją krwią.

— Yueh był uwarunkowanym medykiem, zdatnym dla królewskiego rodu — warknął Gurney. — On nie mógł zdradzić.

— Znam sposób usunięcia tego uwarunkowania — rzekł Paul.

— Dowód — nalegał Gurney.

— Dowodu tutaj nie ma. Jest w siczy Tabr, daleko na południu, ale skoro…

— To jest podstęp… — warknął Gurney i jego ramię zacisnęło się na gardle Jessiki.

— Nie podstęp, Gurney — powiedział Paul z nutą takiego smutku w głosie, że Jessice serce mało nie pękło.

— Widziałem wiadomość przechwyconą od harkonneńskiego agenta — powiedział Gurney. — Pismo wskazywało wprost na…

— Ja również ją widziałem — rzekł Paul. — Ojciec mi ją pokazał tej nocy, kiedy wyjaśnił, dlaczego to musi być harkonneński podstęp zmierzający do wzbudzenia w nim podejrzeń wobec ukochanej kobiety.

— Ach tak! — powiedział Gurney. — Ty nie…

— Cicho bądź — uciął Paul, a w martwej monotonii jego słów więcej było rozkazu, niż kiedykolwiek Jessika słyszała w ludzkim głosie. On ma Wielką Moc — pomyślała. Ramię Gurneya na jej szyi drżało. Sztych noża przy plecach chwiał się niepewnie.

— Jest coś, czego nie zrobiłeś; nie podsłuchałeś, jak moja matka łka w nocy za swym utraconym księciem. Nie podpatrzyłeś, jak jej oczy miotają ogień, kiedy mówi o zabijaniu Harkonnenów.

Więc jednak nasłuchiwał — pomyślała. Łzy przesłoniły jej oczy.

— I jeszcze czegoś nie zrobiłeś — nie zapamiętałeś lekcji otrzymanej w niewolniczym lochu Harkonnenów. Mówisz o dumie z przyjaźni z moim ojcem! Czy nie poznałeś różnicy między Harkonnenami, a Atrydami na tyle, żeby zwęszyć harkonneński podstęp po smrodzie, jaki po sobie zostawił? Czy nie nauczyłeś się, że Atrydzi za wierność płacą miłością, podczas gdy harkonneńską monetą jest nienawiść? Nie potrafiłeś rozpoznać prawdziwego oblicza tej zdrady?

— Ale Yueh? — mruknął Gurney.

— Posiadany przez nas dowód to własnoręczny list Yuego, w którym przyznaje się nam do zdrady — powiedział Paul. —

Przysięgam ci to na miłość, jaką do ciebie żywię, na miłość, jaką będę żywił nadal, nawet kiedy zostawię cię martwego na tej podłodze.

Słuchając swego syna Jessika zdumiała się jego świadomością, przenikliwą intuicją jego umysłu.

— Ojciec mój miał instynkt do przyjaciół — rzekł Paul. — Obdarzał miłością z umiarem, lecz nigdy się nie mylił. Jego słabość polegała na tym, że nie rozumiał nienawiści. Myślał, że nikt z tych, co nienawidzą Harkonnenów, nie może go zdradzić. — Spojrzał na matkę. — Ona o tym wie. Przekazałem jej słowa mego ojca, że nigdy jej nie podejrzewał.

Jessika poczuła, że traci panowanie nad sobą, zagryzła dolną wargę. Widząc oficjalną sztywność w Paulu zdała sobie sprawę, ile go te słowa kosztują. Chciała do niego podbiec, przytulić jego głowę do piersi, jak nigdy nie robiła. Lecz drżenie ramienia na jej gardle ustało, sztych noża wciskał się pewnie i zdecydowanie w jej plecy.

— Jeden z najstraszliwszych momentów w życiu chłopca — powiedział Paul — to ten, w którym odkrywa on, że ojciec i matka są istotami ludzkimi, złączonymi miłością, której on nigdy w pełni nie zasmakuje. Jest to poczucie straty, otwarcia oczu na fakt, że świat dzieli się na „tam" i „tutaj", i że jesteśmy w nim samotni. Moment ten zawiera swoją własną prawdę, przed którą nie można umknąć. Ja słyszałem, jak ojciec mówił o matce. Ona nie jest zdrajcą, Gurney.

Jessika odzyskała głos.

— Puść mnie, Gurney — powiedziała.

Nie było w tych słowach żadnej szczególnej komendy, żadnej sztuczki obliczonej na wygranie jego słabości, a mimo to Gurneyowi opadły ręce. Jessika podeszła do Paula i stanęła przed nim nie dotykając go.

— Paul — powiedziała — istnieją w tym wszechświecie i inne otwarcia oczu. Nagle zobaczyłam, jak cię wykorzystywałam, jak tobą kręciłam i manipulowałam ustawiając cię na wybranej przeze mnie drodze… na drodze, którą musiałam wybrać — o ile to może być jakieś usprawiedliwienie — z powodu mojego własnego szkolenia. — Przełknęła dławiącą grudę w gardle, spoglądając synowi w oczy. — Paul… chcę, abyś coś dla mnie zrobił: wybierz drogę szczęścia. Z tą twoją kobietą pustynną… ożeń się z nią, jeśli tego pragniesz. Zrób to wbrew… wszystkim i wszystkiemu. Ale wybierz własną drogę. Ja…

Urwała — powstrzymana cichym mamrotaniem za plecami.

Gurney!

Zobaczyła oczy Paula utkwione gdzieś ponad nią i odwróciła się, Gurney stał w miejscu, ale nóż schował do pochwy, i ściągnąwszy z piersi burnus odsłonił śliską szarość przydziałowego filtrfraka, z rodzaju tych, jakie przemytnicy nabywali po siczowych kryjówkach.

— Pchnij nożem tę moją pierś — wymamrotał Gurney. — Zabij

mnie, mówię, i niech to się skończy. Zbrukałem swoje imię. Zdradziłem swojego księcia! Najlepszego…

— Uspokój się! — powiedział Paul. Gurney przeszył go wzrokiem. — Zapnij ten płaszcz i przestań robić z siebie durnia — dodał. — Wystarczy nam błazeństw jak na jeden dzień.

— Zabij mnie, mówię! — wybuchnął Gurney.

— Chyba nie sądzisz, że jestem taki głupi? — powiedział Paul. — Za jakiego idiotę mnie bierzesz? Czy muszę przez to przechodzić z każdym potrzebnym mi człowiekiem?

Gurney popatrzył na Jessikę i przemówił niepocieszonym, błagalnym, tak niepodobnym do niego tonem:

— Ty zatem, moja pani, proszę… ty mnie zabij.

Jessika podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach.

— Gurney, dlaczego upierasz się, że Atrydzi muszą zabijać tych, których kochają?

— Delikatnie wyjęła mu burnus z palców i zapięła na piersi. Zacinając się Gurney powiedział:

— Ale… ja…

— Myślałeś, że robisz coś dla Leto — rzekła — i za to chylę przed tobą czoło.

— Pani — rzekł Gurney.

Spuścił brodę na piersi, naciskając mocno powieki, by zatrzymać łzy.

— Uważajmy to za nieporozumienie między starymi przyjaciółmi — powiedziała Jessika i Paul uchwycił pojednawczą, kojącą nutę w jej głosie. — Było, minęło i możemy się cieszyć, że nie będzie już więcej tego rodzaju nieporozumień między nami.

Gurney otworzył lśniące od wilgoci oczy, spoglądając na nią z góry.

— Ten Gurney Halleck, jakiego znałam, był to mężczyzna i do noża, i do balisety — powiedziała Jessika. — Najbardziej zachwycał mnie ten od balisety. Czy ów Gurney Halleck nie pamięta, jak nieraz z upodobaniem słuchałam godzinami, kiedy dla mnie grał? Czy nadal masz balisetę, Gurney?

— Mam nową — powiedział Gurney. — Sprowadzoną z Chusuk, cudowny instrument. Brzmi jak prawdziwy Varota, chociaż nie jest sygnowana. Ja sam myślę, że zrobił ją jakiś uczeń Varoty, który… — Zamilkł. — Cóż ja ci mogę powiedzieć, moja pani? Paplamy tutaj, a…

— Nie paplamy, Gurney — powiedział Paul. Zbliżył się stając obok matki, oko w oko z Gurneyem. — To nie paplanina, to coś, co przynosi szczęście przyjaciołom. Uznałbym to za łaskę, gdybyś zagrał coś dla niej teraz. Narada wojenna może trochę poczekać. I tak nie wyruszymy do boju przed jutrem.

— Ja… ja pójdę po balisetę — powiedział Gurney. — Jest w

korytarzu.

Przemaszerował obok nich i znikł za kotarami. Paul położył dłoń na ramieniu matki i stwierdził, że cała drży.

— Już po wszystkim, matko — powiedział.

Nie odwracając głowy spojrzała na niego kątem oka.

— Po wszystkim?

— Oczywiście, Gurney jest…

— Gurney? Och… oczywiście.

Spuściła oczy. Zasłony zaszeleściły i powrócił Gurney z balisetą. Unikając ich spojrzeń zabrał się do strojenia. Draperie na ścianach tłumiły echa, nadając instrumentowi ciche, intymne brzmienie. Paul powiódł matkę ku poduszkom i posadził ją opartą plecami o gruby kobierzec na ścianie. Niespodziewanie uderzyło go, że tak staro wygląda, dostrzegł zaczątki zmarszczek na wysuszonej przez pustynię cerze, zwiotczenie skóry w kącikach zasnutych błękitem oczu. Jest zmęczona — pomyślał. — Musimy znaleźć jakiś sposób, by ująć jej ciężarów. — Gurney wydobył akord. Paul spojrzał na niego.

— Muszę… załatwić pilne sprawy. Zaczekaj tu na mnie.

Gurney kiwnął głową. Jego myśl wydawała się bujać hen daleko, jakby w tym momencie przebywał pod otwartymi niebiosami Kaladanu, z barankami na horyzoncie zwiastującymi deszcz. Paul z trudem zdobył się na odejście, wymykając się między ciężkimi kotarami w boczny korytarz. Usłyszał za sobą, jak Gurney zaczyna grać, i przystanął na chwilę na zewnątrz komnaty, słuchając przytłumionej pieśni.

Winnice, gaje,
rajskie dziewoje,
i szklanica przede mną się kiwa.
Dlaczego o bojach baję
i górach startych na pył?
Dlaczego czuję łzy?

Nastaje niebo
i wszystko daje,
wystarczy wyciągnąć dłonie.
Czemu zasadzki się boję
i jadu w trawionym szkle?
Czemu czuję swe dni!

Miłość wabi
w nagie ramiona
na chwile upojnej rozkoszy.
Dlaczego wspominam blizny

i smak przelanej krwi?
I czemu straszą mnie sny?

Zawinięty w burnus kurier fedajkiński wyłonił się spoza zakrętu w głębi korytarza. Mężczyzna miał odrzucony na plecy kaptur, zapięcia filtrfraka wisiały mu luźno wokół szyi dowodząc, że przybywa prosto z otwartej pustyni. Paul powstrzymał go ruchem ręki, opuścił zasłony u wyjścia z komnaty i ruszył w jego stronę. Mężczyzna pokłonił się składając ręce przed sobą w taki sposób, jakby witał Matkę Wielebną lub Sajjadinę, strażniczkę rytuału.

— Muad'Dibie, przywódcy schodzą się na radę — powiedział.

— Tak szybko?

— To są ci, po których Stilgar wysłał wcześniej, kiedy sądzono, że… — wzruszył ramionami.

— Rozumiem.

Paul obejrzał się w stronę, skąd dobiegał cichy dźwięk balisety, myśląc o ulubionej przez matkę starej pieśni dziwnie rozdartej przez wesołość melodii i smutek słów.

— Wkrótce przybędzie z innymi Stilgar. Zaprowadź ich do mojej matki.

— Zaczekam tutaj, Muad'Dibie — rzekł kurier.

— Tak… tak, zaczekaj tu.

Paul przecisnął się obok kuriera podążając w głąb jaskini, ku miejscu istniejącemu w sercu każdej takiej groty, w pobliżu jej zbiornika wodnego. W tym miejscu będzie mały Shai-hulud, stworzenie nie dłuższe niż dziewięć metrów, utrzymywane w stanie karłowatości i więzione wśród rowów pełnych wody. Stworzyciel po wyłonieniu się ze swej przejściowej formy maleńkiego stworzyciela unika trucizny, jaką jest woda. A topienie stworzyciela było największym fremeńskim sekretem, gdyż tak otrzymywano substancję ich komunii — Wodę Życia, truciznę, którą tylko Matka Wielebna potrafiła przemienić.

Tę decyzję podjął Paul pod wpływem napięcia wywołanego niebezpieczeństwem, w jakim znalazła się matka. Żadna z kiedykolwiek widzianych przezeń linii przyszłości nie zawierała tego momentu zagrożenia ze strony Gurneya Hallecka. Przyszłość — szaro-chmuro-przyszłość, wraz z owym wrażeniem, że cały wszechświat zmierza do punktu wrzenia — unosiła się wokół niego jak widmowy świat. Muszę to zobaczyć — myślał. Jego organizm z wolna przystosował się do przyprawy, dzięki czemu prorocze wizje były coraz to rzadsze… coraz to mętniejsze. Rozwiązanie wydawało mu się oczywiste. Utopię stworzyciela. Teraz przekonamy się, czy jestem Kwisatz Haderach, ten, który potrafi przeżyć próbę, jaką przeżywają

Matki Wielebne.

I stało się w roku trzecim Wojny Pustynnej, że Paul Muad'Dib leżał pod draperiami kiswa środkowej komory w Grocie Ptaków. I leżał, jako leży nieżywy, zatonąwszy w objawieniu WodyŻycia, swoim jestestwem wyniesiony przez życiodajną truciznę poza granice czasu. I tak stało się ciałem słowo, że Lisan al-Gaib może być martwy i żywy zarazem.

z „Legend zebranych" w opracowaniu księżniczki Irulan.

Chani wydostała się na górę z basenu Habbanja w mroku przedświtu, nasłuchując furkotliwego „frrr" ornitoptera, który przywiózł ją z południa i odlatywał w przestworza ku jakiejś kryjówce. Wokół niej rozsypała się po skałach wypatrująca niebezpieczeństw eskorta, trzymając się na dystans, aby zapewnić kobiecie Muad'Diba to, o co poprosiła — chwilę samotnej przechadzki.

Dlaczego mnie wezwał? — głowiła się. — Powiedział mi przedtem, że muszę zostać na południu z maleńkim Leto i Alią. Podkasała burnus i przez zagradzający jej drogę kamień skoczyła lekko na stromą ścieżkę, którą jedynie pustynne szkolenie pozwalało dojrzeć w ciemności. Pląsała na wyślizgujących się spod stóp kamykach, nieświadoma swojej zwinności. Od wspinaczki robiło się raźniej na duszy, uśmierzała ona obawy lęgnące się w dziewczynie pod wpływem milczącego usunięcia się eskorty i faktu, że wysłano po nią cenny ornitopter. Serce skakało jej w piersi na myśl o bliskim połączeniu się z Paulem Muad'Dibem, jej Usulem. Jego imię mogło sobie rozbrzmiewać jako bojowy okrzyk w całym kraju: „Muad'Dib! Muad'Dib! Muad'Dib!", lecz ona znała innego mężczyznę, o innym imieniu — ojca jej syna, czułego kochanka.

Spośród skał ponad nią wychynęła olbrzymia postać, nagląc do pośpiechu. Przyśpieszyła kroku. Poranne ptaki nawoływały się wzlatując już w niebo. Mglista poświata narosła na wschodnim horyzoncie. Postać na górze nie należała do jej eskorty. Otheym? — zastanowiła się, dostrzegając coś znajomego w ruchach i postawie. Wdrapawszy się do niego rozpoznała w brzasku szeroką, płaską twarz porucznika fedajkinów, z otwartym kapturem i luźno zamocowanym filtrem ust, jak to czasami robiono wybierając się w pustynię tylko na chwilę.

— Szybciej — syknął i powiódł ją w dół sekretną szczeliną do

ukrytej groty. — Wkrótce zrobi się widno — szepnął przytrzymując jej uchyloną grodź. — Harkonnenowie desperacko patrolują tę część regionu. Nie możemy teraz ryzykować, że nas odkryją.

Wynurzyli się w wąskim tunelu bocznego wejścia do Groty Ptaków. Zapłonęły kule świętojańskie. Otheym przecisnął się przed nią.

— Chodź za mną — powiedział. — No, pośpiesz się.

Przemknęli przez korytarz, następną grodź, znów korytarz i kotary do dawnej alkowy Sajjadiny z czasów, kiedy była tu jaskinia dziennego wypoczynku. Obecnie na podłodze leżały dywany i poduszki. Haftowane makaty z wizerunkiem czerwonego jastrzębia kryły skalne ściany. Niski, polowy stół po jednej stronie zasłany był papierami, od których biła woń ich przyprawowego surowca. Matka Wielebna siedziała samotna na wprost wejścia. Podniosła oczy z zapatrzonym w głąb siebie spojrzeniem, pod którym dygotali nowicjusze. Otheym złożył dłonie.

— Przyprowadziłem Chani — powiedział i ukłoniwszy się wyszedł. Jessika zaś pomyślała: Jak powiedzieć Chani?

— Jak się miewa mój wnuk? — zapytała.

A więc najpierw zwyczajowe powitanie — pomyślała Chani i jej obawy powróciły. — Gdzie jest Muad'Dib? Dlaczego nie ma go tutaj na moje powitanie?

— Zdrów i wesół, matko — powiedziała. — Zostawiłam jego i Alię pod opieką Harah.

Matko — pomyślała Jessika. — Tak, ona ma prawo tak mnie nazywać przy oficjalnym powitaniu. Dała mi wnuka.

— Słyszałam, że sicz Coanua przysłała w darze tkaninę — rzekła.

— Tkanina jest śliczna — powiedziała Chani.

— Czy Alia przesyła jakąś wiadomość?

— Żadnej. Ale sicz żyje teraz spokojniej, kiedy ludzie zaczęli akceptować cud jej odmienności.

Po co ona tak to rozwleka — głowiła się Chani. — Było coś tak naglącego, że wysłali po mnie ornitopter. A teraz wleczemy się przez konwenanse.

— Trzeba będzie z części tej nowej tkaniny zrobić ubranko dla małego Leto — powiedziała Jessika.

— Cokolwiek sobie życzysz, matko — odparła Chani. Spuściła oczy. — Są jakieś wieści z pola walki?

Jej twarz pozostała bez wyrazu, żeby nie zdradzić się przed Jessika, że pyta o Paula Muad'Diba.

— Kolejne zwycięstwa — powiedziała Jessika. — Rabban podjął ostrożne próby nawiązania rokowań w sprawie zawieszenia broni. Jego emisariuszy odesłano bez ich wody. Rabban nawet złagodził ciężary ludności w niektórych osadach basenu. Ale spóźnił się. Ludzie

wiedzą, że robi to ze strachu przed nami.

— Zatem wszystko idzie tak, jak powiedział Muad'Dib — rzekła Chani. Spojrzała na Jessikę starając się zachować swoje obawy dla siebie. Wymówiłam jego imię, a ona nie zareagowała. Na tym wygładzonym kamieniu, który zwie swoją twarzą, nie zobaczysz żadnych emocji, ale… ta twarz jest zbyt zastygła. Dlaczego jest aż tak skamieniała? Co się stało mojemu Usulowi?

— Szkoda, że nie jesteśmy na południu — powiedziała Jessika. — Oazy wyglądały tak pięknie, kiedy wyjeżdżaliśmy. Nie tęsknisz do dnia, kiedy być może cała ziemia tak rozkwitnie?

— Ziemia jest piękna, to prawda — przytaknęła Chani. — Ale wiele na niej bólu.

— Ból to cena zwycięstwa — rzekła Jessika.

Czy ona przygotowuje mnie na ból? — zadała sobie w duchu pytanie Chani.

— Tak wiele kobiet jest bez mężczyzn — powiedziała. — Zazdroszczono mi, gdy się rozniosło, że zostałam wezwana na północ.

— Ja cię wezwałam — powiedziała Jessika.

Chani czuła, jak łomocze jej serce. Chciała zatkać sobie uszy dłońmi, obawiając się tego, co mogą usłyszeć. Mimo to jej głos był opanowany.

— Wiadomość podpisał Muad'Dib.

— Ja ją tak podpisałam w obecności jego poruczników — powiedziała Jessika. — Ten wybieg był konieczny. — Dzielna ona jest, ta kobieta mojego Paula — pomyślała. — Przestrzega konwenansów nawet wtedy, gdy strach omal jej nie poraża. Tak. Ona może być osobą, jakiej nam teraz trzeba.

Jedynie ledwo uchwytna nuta rezygnacji przeniknęła do tonu Chani, gdy rzekła:

— Teraz możesz powiedzieć to coś, co musi być powiedziane.

— Jesteś tu potrzebna, by pomóc mi ocucić Paula — powiedziała Jessika.

No! — myślała. — Powiedziałam to dokładnie tak, jak należało. Ocucić. Chani wie, że Paul żyje, i wie, że istnieje zagrożenie, wszystko w jednym słowie.

Wystarczył moment, by Chani się uspokoiła.

— Co takiego mogę zrobić? — zapytała.

Miała ochotę skoczyć na Jessikę, potrząsnąć nią i zawołać; „Prowadź mnie do niego!" Ale czekała w milczeniu na odpowiedź.

— Podejrzewam — powiedziała Jessika — że Harkonnenom udało się podesłać nam agenta, który zatruł Paula. To jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy. Najprzedziwniejsza trucizna. Zbadałam jego krew najbardziej wyszukanymi metodami i nic nie wykryłam.

Chani rzuciła się na kolana.

— Trucizna! Czy on cierpi? Mogłabym…

— Jest nieprzytomny — powiedziała Jessika. — Procesy życiowe są w nim tak słabe, że można je stwierdzić jedynie za pomocą najbardziej drobiazgowych analiz. Drżę na myśl, co by się stało, gdybym to nie ja go znalazła. Dla niedoświadczonego oka wygląda na zmarłego.

— Masz inne powody poza kurtuazją, by mnie wezwać — opowiedziała Chani. — Znam cię, Matko Wielebna. Co takiego według ciebie mogę zrobić, czego ty nie możesz?

Jest dzielna, śliczna i… ach, jakże bystra — pomyślała Jessika. — Byłaby z niej wspaniała Bene Gesserit.

— Chani — rzekła Jessika — może trudno ci będzie uwierzyć, ale ja właściwie nie wiem, dlaczego po ciebie posłałam. To był instynkt… pierwotna intuicja. Myśl przyszła nieproszona: Poślij po Chani.

Po raz pierwszy Chani dostrzegła smutek w twarzy Jessiki, nagi ból, który łagodził jej skierowane w głąb siebie spojrzenie.

— Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy — powiedziała Jessika. — Owo „wszystko”… przekracza tak dalece to, co się zwykle uważa za wszystko, że trudno by ci było to sobie wyobrazić. A mimo to… przegrałam.

— Ten dawny towarzysz, Halleck — spytała Chani — czy możliwe, by okazał się zdrajcą?

— Nie Gurney — powiedziała Jessika.

Te dwa słowa starczyły za całą dyskusję i Chani wyobraziła sobie dociekliwość, sprawdziany… wspomnienia dawnych pomyłek, które złożyły się na to lakoniczne zaprzeczenie. Chani zakolebała się do tyłu wstając z kolan, poderwała się na nogi, obciągnęła burnus barwy pustyni.

— Zaprowadź mnie do niego — powiedziała.

Jessika podniosła się i zniknęła za kotarami na lewej ścianie. Podążająca za nią Chani znalazła się w byłym składzie, którego skalne ściany ukryto teraz pod grubymi draperiami. Paul leżał na posłaniu polowym pod przeciwległą ścianą. Samotna kula świętojańska oświetlała mu twarz z góry. Czarna szata okrywała go po pierś, wyciągnięte po bokach ręce były gołe. Cały wydawał się goły pod ową szatą. Widziała jego woskową, sztywną skórę. I ani śladu jakiegokolwiek ruchu. Chani opanowała chęć, by rzucić się ku niemu, nakryć go swoim ciałem. Przyłapała się natomiast na tym, że myśli jej biegną do syna — Leto. I zrozumiała w owej chwili, że Jessice przyszło kiedyś przeżyć moment podobny — śmierć zajrzała w oczy ukochanemu, każąc jej myśleć o sposobach ocalenia nieletniego syna. Zrozumienie tego faktu ustanowiło niespodziewaną więź ze starszą kobietą, aż Chani wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Jessiki. Uścisk,

którym Jessika jej odpowiedziała, był aż bolesny.

— On żyje — powiedziała Jessika. — Zapewniam cię, że on żyje. Lecz nić jego życia jest tak cienka, że niełatwo ją odnaleźć. Już teraz niektórzy przywódcy szemrzą, że przemawia przeze mnie matka, a nie Matka Wielebna, że mój syn jest martwy, a ja nie chcę oddać jego wody plemieniu.

— Jak długo on przebywa w tym stanie? — spytała Chani. Uwolniła swoją dłoń z dłoni Jessiki i posunęła się dalej w głąb komory.

— Trzy tygodnie — powiedziała Jessika. — Prawie tydzień straciłam próbując go wskrzesić. Były spotkania, spory… dochodzenia. Po czym wysyłam po ciebie. Fedajkini słuchają moich rozkazów, inaczej nie byłabym w stanie opóźnić… — Zwilżyła językiem wargi patrząc, jak Chani zbliża się do Paula. Stała teraz nad nim, spoglądając z góry na delikatny, młodzieńczy zarost okalający mu twarz, wiodąc oczami wzdłuż wysokiego czoła, wydatnego nosa, zaciśniętych powiek — rysów jakże spokojnych w tym sztywnym uśpieniu.

— Jak on przyjmuje pożywienie? — spytała.

— Potrzeby jego ciała są tak znikome, że jeszcze nie potrzebuje jedzenia — powiedziała Jessika.

— Ilu wie o tym, co się stało?

— Tylko jego najbliżsi adiutanci, paru przywódców, fedajkini, no i oczywiście ktoś, kto podał mu truciznę.

— Nie ma poszlak co do osoby truciciela?

— Ale nie z powodu zaniedbań w dochodzeniu — powiedziała Jessika.

— Co mówią fedajkini? — zapytała Chani.

— Oni wierzą, że Paul znajduje się w świętym transie, że zbiera swoje święte moce do ostatecznego boju. Podtrzymywałam ich w tej wierze.

Chani osunęła się na kolana przy posłaniu, pochyliła nisko nad twarzą Paula. Wyczuła raptowną zmianę w powietrzu wokół jego twarzy… ale to była po prostu przyprawa, woń wszechobecnej przyprawy przenikającej wszystko w życiu Fremena. A jednak…

— Wy nie jesteście urodzeni do przyprawy jak my — powiedziała. — Rozpatrzyłaś ewentualność, że jego organizm zbuntował się przeciwko zbyt wielkiej ilości przyprawy w pożywieniu?

— Wszystkie odczyny alergiczne są negatywne — powiedziała Jessika.

Przymknęła oczy tyleż samo dla uniknięcia widoku tej sceny, ile dlatego, że nagle uświadomiła sobie swoje zmęczenie. Jak długo nie spałam? — zapytała samą siebie. — Zbyt długo.

— Kiedy przemieniasz Wodę Życia — powiedziała Chani —

dokonujesz tego w sobie przy pomocy wewnętrznej świadomości. Czy wykorzystałaś tę świadomość do zbadania jego krwi?

— Normalna krew fremeńska — powiedziała Jessika. — Całkowicie przystosowana do tutejszego życia i diety.

Chani przysiadła na piętach i studiując twarz Paula topiła obawy w namyśle. Była to sztuczka, jakiej nauczyła się obserwując Matki Wielebne. Czas można wprząc w służbę umysłu. Wtedy koncentrujesz się całkowicie. Po chwili zapytała:

— Czy tu jest stworzyciel?

— Jest ich kilka — rzekła Jessika z odcieniem znużenia. — Ostatnio nam ich nie brakuje. Każde zwycięstwo wymaga błogosławieństwa. Każda ceremonia przed wypadem…

— Ale Paul Muad'Dib trzymał się z dala od tych ceremonii — stwierdziła Chani.

Jessika pokiwała głową pamiętając ambiwalentny stosunek syna do narkotyku przyprawowego i świadomości rzeczy przyszłych, jaką on rozbudzał.

— Skąd o tym wiesz? — zapytała.

— O tym się mówi.

— Za dużo się mówi — powiedziała z goryczą Jessika.

— Przynieś mi surową wodę stworzyciela — rzekła Chani.

Jessika zesztywniała słysząc jej rozkazujący ton, ale na widok intensywnej koncentracji młodszej kobiety rzekła:

— W tej chwili.

Zginęła za kotarami, by wyprawić wodmistrza. Chani siedziała nie spuszczając oczu z Paula. Jeśli on spróbował to zrobić… — myślała. — A to jest coś, czego mógłby spróbować…

Jessika przyklękła obok Chani trzymając zwykły obozowy dzbanek. Agresywny zapach trucizny podrażnił nozdrza Chani. Zanurzyła palec w cieczy, podsunęła ją Paulowi pod sam nos. Skóra na grzbiecie nosa zmarszczyła mu się lekko. Nozdrza rozdęły się powoli. Jessice wyrwało się westchnienie. Chani przytknęła mu wilgotny palec do górnej wargi. Paul odetchnął głęboko, jakby ze szlochem.

— Co to jest? — zapytała Jessika.

— Bądź cicho — powiedziała Chani. — Musisz przemienić odrobinę świętej wody. Szybko!

O nic nie pytając, ponieważ rozpoznała świadomy ton w głosie Chani, Jessika podniosła dzbanek do ust i pociągnęła niewielki łyk.

Oczy Paula rozwarły się szeroko. Spojrzał w górę na Chani.

— Ona nie musi przemieniać wody — powiedział.

Głos miał słaby, ale pewny. Z łykiem płynu na języku Jessika poczuła, jak jej ciało mobilizuje się, przeistaczając truciznę niemal automatycznie. Podobnie jak przy ceremonii udzieliło jej się duchowe uniesienie i wyczuła bijący od Paula żar życia, promieniowanie

odbierane przez jej zmysły. W tym momencie zrozumiała.

— Piłeś świętą wodę! — wyrwało jej się.

— Jedną małą kroplę — rzekł Paul. — Taką maleńką… jedną jedyną kropelkę.

— Jak mogłeś zrobić takie głupstwo? — zapytała.

— Jest twoim synem — powiedziała Chani.

Jessika utkwiła w niej piorunujące spojrzenie. Rzadki u Paula uśmiech, ciepły i pełen zrozumienia, przemknął mu po ustach.

— Posłuchaj mojej ukochanej — powiedział. — Posłuchaj jej, matko. Ona rozumie.

— Coś co inni mogą robić, on zrobić musi — rzekła Chani.

— Kiedy miałem tę kropelkę w ustach, kiedy poczułem jej smak i woń, kiedy pojąłem, co ona ze mną robi, wtedy zrozumiałem, że mogę zrobić to, co ty — powiedział. — Wasze cenzorki Bene Gesserit gadają o Kwisatz Haderach, lecz w najśmielszych domysłach nie potrafią odgadnąć tych wielu miejsc, w których byłem. W parę minut… — Urwał i spojrzał z zaintrygowaną miną na Chani. — Chani? A ty skąd się tu wzięłaś? Miałaś być… Dlaczego tu jesteś?

Próbował unieść się na łokciach. Chani powstrzymała go delikatnie.

— Proszę cię, Usul — powiedziała.

— Czuję się bardzo osłabiony — rzekł. Omiótł spojrzeniem całe pomieszczenie. — Jak długo tu jestem?

— Przebywałeś tutaj trzy tygodnie w tak głębokiej śpiączce, że wydawało się, iż uleciała iskierka życia — odparła Jessika.

— Ależ to było… ja ją dopiero co przełknąłem… przed chwilą i…

— Dla ciebie chwila, dla mnie trzy tygodnie trwogi — powiedziała Jessika.

— To była wprawdzie jedna kropla, ale ja ją przeistoczyłem — powiedział Paul. — Przemieniłem Wodę Życia.

I zanim Chani i Jessika zdążyły go powstrzymać, zanurzył dłoń w postawionym przez nie obok na podłodze dzbanku i przyłożył ociekającą do ust, łykając płyn.

— Paul! — wrzasnęła Jessika.

Złapał ją za rękę, zwracając ku niej twarz z uśmiechem trupiej czaszki i śląc przez nią falę swej świadomości. Kontakt nie był tak łagodny jak w przypadku Alii i starej Matki Wielebnej, nie tak wzajemny, nie tak wszechogarniający jak wtedy w jaskini, ale był to kontakt: współczucie obu jaźni. Wstrząśnięta i osłabiona, ze strachu przed nim cofnęła się w głąb swej świadomości.

— Mówicie o miejscu, które jest przed wami zamknięte. To miejsce, któremu Matka Wielebna nie potrafi stawić czoła, pokaż mi to miejsce — powiedział Paul.

Pokręciła głową przerażona samą myślą o tym.

— Pokaż mi je! — nakazał.

— Nie!

Jednakże nie mogła mu umknąć. Ogłuszona jego straszliwą mocą zamknęła oczy i zogniskowała się do wnętrza siebie, w kierunku-który-jest-ciemnością. Świadomość Paula popłynęła wokół niej i przez nią, i w ciemność. Zamajaczyło jej mgliście owo miejsce, zanim jej umysł zamknął się przed tą grozą. Całe jej jestestwo nie wiedząc dlaczego zadygotało na widok, jaki ukazał się jej oczom — region, gdzie wiatr wieje i jarzą się iskry, gdzie pierścienie światła rozszerzają się i kurczą, gdzie szeregi napęczniałych białych kształtów płyną ponad i pod, i wokół świateł, niesione ciemnością i wichrem znikąd.

Po chwili otworzyła oczy, zobaczyła, że Paul jej się przygląda. Nadal trzymał ją za rękę, lecz straszliwy kontakt zanikł. Opanowała drżenie. Paul uwolnił jej rękę. Zatoczyła się do tyłu, jakby zabrano jej kule, upadłaby, gdyby Chani nie skoczyła jej podtrzymać.

— Matko Wielebna! — powiedziała Chani. — Co ci jest?

— Jestem zmęczona — wyszeptała Jessika. — Jakże… zmęczona.

— Tutaj — powiedziała Chani. — Usiądź tutaj.

Usadziła Jessikę na poduszce pod ścianą. W silnych, młodych ramionach dobrze było Jessice. Przylgnęła do Chani.

— On naprawdę widział Wodę Życia? — spytała Chani. Uwolniła się z objęć Jessiki.

— Widział — szepnęła Jessika.

W głowie jej ciągle jeszcze wirowało i kręciło się pod wpływem tego kontaktu. Czuła się, jakby po tygodniach spędzonych na wzburzonym morzu zeszła na stały ląd. Wyczuwała w sobie starą Matkę Wielebną… i wszystkie pozostałe, rozbudzone i zapytujące: „Co to było? Co się stało? Gdzie jest to miejsce?” Przez to wszystko przewijała się myśl, że jej syn jest Kwisatz Haderach, ten, który może być w wielu miejscach naraz. Że jest ucieleśnieniem snu Bene Gesserit. I to ucieleśnienie nie dawało jej spokoju.

— Co się stało? — zapytała Chani.

Jessika pokręciła głową. Paul rzekł:

— W każdym z nas jest pradawna moc, która daje, i pradawna moc, która bierze. Mężczyźnie nie przysparza większej trudności spotkanie z miejscem w jego jaźni, gdzie przebywa moc biorąca, lecz jest dlań prawie niemożliwe zajrzeć w głąb mocy dającej i pozostać dalej mężczyzną. U kobiety sytuacja jest odwrotna.

Jessika podniosła oczy i zauważyła, że Chani patrzy na nią słuchając Paula.

— Rozumiesz mnie, matko? — zapytał Paul.

Zdołała jedynie kiwnąć głową.

— Te siły w nas są tak odwieczne — rzekł Paul — że tkwią w każdej komórce naszego ciała. Jesteśmy Ukształtowani przez te moce.

Można sobie powiedzieć: „Tak, rozumiem, jak taka siła może wyglądać”. Ale kiedy zajrzysz w głąb siebie i staniesz przed surową, obnażoną mocą swego własnego życia, widzisz własne niebezpieczeństwo. Widzisz, że ona może nas pokonać. Największym niebezpieczeństwem dla dawcy jest moc, która bierze. Największe niebezpieczeństwo dla biorcy to moc, która daje. Równie łatwo można ulec dawaniu, jak braniu.

— A ty, mój synu — zapytała Jessika — jesteś tym, który daje, czy tym, który bierze?

— Ja jestem w punkcie zawieszenia — powiedział. — Nie mogę dać nie biorąc i nie mogę wziąć nie…

Zamilkł wpatrując się w ścianę po prawej stronie. Chani poczuła powiew na policzku i odwróciwszy się zobaczyła zsuwające się kotary.

— To był Otheym — powiedział Paul. — Przysłuchiwał się.

Chłonącej jego słowa Chani udzieliło się nieco z jasnowidzenia, jakie nawiedzało Paula, i ujrzała coś-co-ma-dopiero-być, jakby to się już wydarzyło. Otheym opowie o tym, co widział i słyszał. Inni rozniosą opowieść, aż cały kraj stanie od niej w ogniu. Paul Muad’Dib nie jest jak inni mężczyźni, będą mówić. Nie może już być żadnych wątpliwości. On jest mężczyzną, a jednak dosięga spojrzeniem Wody Życia, tak jak Matka Wielebna. On jest rzeczywiście Lisanem al-Gaibem.

— Widziałeś przyszłość, Paul — odezwała się Jessika. — Opowiesz, co widziałeś?

— Nie przyszłość — powiedział. — Widziałem „teraz”.

Usiadł z trudem, machnięciem ręki odsuwając Chani, kiedy przybliżyła się, aby mu pomóc.

— Przestrzeń nad Arrakis pełna jest statków Gildii.

Jessika zadrżała od tej pewności w jego głosie.

— Padyszach Imperator jest tam we własnej osobie — rzekł Paul. Spojrzał na skalny sufit celi. — Ze swą ulubioną prawdomówczynią i pięcioma legionami sardaukarów. Jest ten stary baron Vladimir Harkonnen z Thufirem Hawatem u boku i siedmioma statkami, które wyładował wojskiem po ostatniego rekruta, jakiego mógł powołać pod broń. Rajdery wszystkich wysokich rodów są nad nimi… i czekają.

Chani potrząsnęła głową nie mogąc oderwać oczu od Paula. Jego obcość, bezbarwny ton głosu, spojrzenie, które przeszywało ją na wylot, napełniały ją grozą. Jessika spróbowała przełknąć, ale miała sucho w gardle.

— Na co oni czekają? — zapytała.

Paul spojrzał na nią.

— Na zezwolenie Gildii na lądowanie. Gildia pozostawi na piasku każde wojsko, jakie wyląduje bez zezwolenia.

— Gildia nas osłania? — spytała Jessika.

— Osłania nas! Gildia sama doprowadziła do tego rozpowiadając historie o tym, co my tutaj robimy, i obniżając opłaty za przewóz wojsk do takiego poziomu, że najbiedniejsze nawet rody są teraz tam w górze i czekają tylko, by nas ograbić.

Ze zdziwieniem Jessika zauważyła, że nie ma rozgoryczenia w jego tonie. Nie mogła wątpić w jego słowa — miały tę samą intensywność, jaką dostrzegła w nim owej nocy, gdy odsłonił ścieżkę przyszłości, która zawiodła ich między Fremenów. Paul odetchnął głęboko.

— Matko, musisz przemienić nam pewną ilość wody. Potrzebujemy katalizatora. Chani, wyślij oddział zwiadowczy… niech znajdą masę preprzyprawową. Jeżeli umieścimy pewną ilość Wody Życia na masie preprzyprawowej — czy wiecie, co się stanie?

Jessika ważąc te słowa, nagle przejrzała jego zamiary.

— Paul! — krzyknęła.

— Woda Śmierci — powiedział. — Byłaby to reakcja łańcuchowa. — Wskazał na podłogę. — Szerząca śmierć wśród maleńkich stworzycieli, zabijająca nosiciela cyklu życia, który obejmuje przyprawę i stworzycieli. Arrakis bez przyprawy i stworzycieli dopiero będzie pustynią.

Chani zatkała usta dłonią: płynące z ust Paula bluźnierstwa wstrząsnęły nią do tego stopnia, że zaniemówiła.

— Ten, kto może coś zniszczyć, ma nad tym czymś faktyczną władzę — powiedział Paul. — My możemy zniszczyć przyprawę.

— Co wstrzymuje dłoń Gildii? — wyszeptała Jessika.

— Oni mnie szukają — rzekł Paul. — Pomyśl tylko! Najlepsi nawigatorzy Gildii, ludzie, którzy widzą przed sobą czas i znajdują najbezpieczniejszy kurs dla najszybszych galeonów, oni wszyscy jak jeden mąż szukają mnie… i nie są w stanie znaleźć. Jakże oni drżą! Wiedzą, że mam ich sekret o tutaj! — Paul pokazał zagłębienie dłoni. — Bez przyprawy oni są ślepi!

Chani odzyskała głos.

— Mówiłeś, że widzisz „teraz”!

Paul opadł na postanie; badał rozpostartą teraźniejszość, po jej wysunięte w przyszłość i przeszłość granice zmagając się z zatrzymaniem wizji, gdyż objawienie wywołane przyprawą zaczynało zanikać.

— Idźcie wykonać, co przykazałem — rzekł. — Przyszłość staje się dla mnie równie pogmatwana, jak dla Gildii. Linie wizji zbiegają się. Wszystko schodzi się tutaj, gdzie jest przyprawa… gdzie nie ośmielili się interweniować wcześniej… bo interwencja oznaczała utratę tego, bez czego nie mogą się obejść. Lecz teraz mają nóż na gardle. Wszystkie drogi prowadzą w ciemność.

I zaświtał taki dzień, w którym Arrakis stanęła piastą wszechświata, a koło szykowało się do obrotu.

z „Przebudzenia Arrakis" pióra księżniczki Irulan

— Popatrzcie tylko na to! — szepnął Stilgar. Paul leżał przy nim w skalnej szczelinie wysoko na krawędzi Muru Zaporowego, z okiem przyklejonym do kolektora fremeńskiego teleskopu. Soczewki olejowe były zogniskowane na gwiezdnej lichtudze, którą świt obnażył w basenie pod nimi. Strzelista wschodnia burta statku lśniła w poziomych promieniach słońca, lecz w zacienionej burcie widniały iluminatory żółte jeszcze od pozostałych z nocy kul świętojańskich. Poza statkiem miasto Arrakin leżało zalane zimnym blaskiem zorzy północnej.

Paul wiedział, że to nie lichtuga wprawiła Stilgara w osłupienie, lecz konstrukcja, której była centralnym elementem. Wysoki pojedynczy barak z metalu rozłożył się u stóp lichtugi kołem o promieniu tysiąca metrów — namiot złożony, ze szczelnie zachodzących na siebie arkuszy blachy, przejściowe koszary dla pięciu legionów sardaukarów i Jego Imperialnej Mości Padyszacha Imperatora Szaddama IV. Gurney Halleck odezwał się z miejsca, w którym przycupnął z lewej strony Paula:

— Naliczyłem w tym dziewięć poziomów. Musi tam być niemało sardaukarów.

— Pięć legionów — odparł Paul.

— Robi się jasno — syknął Stilgar. — Nie podoba nam się, że się tak wystawiasz na widok, Muad'Dibie. Wracajmy już w skały.

— Nic mi tutaj nie grozi — rzekł Paul.

— Ten statek ma na pokładzie broń palną — zauważył Gurney.

— Oni są przekonani, że chronią nas tarcze — powiedział Paul. — Nie będą marnować strzału do nie zidentyfikowanej trójki, nawet jeśli nas zobaczą.

Paul obrócił teleskop na przeciwległą ścianę basenu, przypatrując ospowate urwiska, obwały znaczące groby jakże wielu żołnierzy jego ojca. Uznał, że to słuszne, by cienie owych ludzi przypatrywały się z góry w tym momencie, gdy harkonneńskie forty i miasteczka wzdłuż i wszerz osłoniętej krainy znajdowały się w rękach Fremenów lub zostały odcięte od zaplecza i pozostawione na uschnięcie jak odrąbane od pnia gałęzie. Wrogowi pozostał tylko ten basen i tylko to miasto.

— Mogą spróbować wycieczki ornitopterem — rzekł Stilgar. — Jeżeli nas zobaczą.

— Niech próbują — odparł Paul. — Dzisiaj mamy ornitoptery do

spalenia… i wiemy, że nadciąga burza.

Zwrócił teraz teleskop ku przeciwległemu skrajowi lądowiska Arrakin, na rząd harkonneńskich fregat i flagę kompanii KHOAM leniwie łopocącą o drzewce na płycie pod nimi. I pomyślał o tym, w jak desperackim położeniu musiała się znaleźć Gildia, skoro wyraziła zgodę na lądowanie tych dwóch armii, podczas gdy całą resztę zatrzymano w odwodzie. Gildia przypominała człowieka, który sprawdza palcem nogi temperaturę piasku, zanim rozbije namiot.

— Czy stąd zobaczymy coś nowego? — zapytał Gurney. — Powinniśmy schodzić w ukrycie. Nie ma wątpliwości, że nadciąga samum.

Paul wrócił teleskopem do gigantycznego baraku.

— Sprowadzili nawet swoje kobiety — powiedział. — I dworaków, i służbę. Aaach, mój drogi Imperatorze, jakżeś pewny siebie.

— Jacyś ludzie wspinają się tajnym przejściem — zauważył Stilgar. — To mogą wracać Otheym i Korba.

— W porządku, Stil — powiedział Paul. — Wracamy.

Po raz ostatni objechał jeszcze teleskopem wokoło przyglądając się wysokim, metalowym statkom na równinie, lśniącym koszarom z metalu, wymarłemu miastu, fregatom harkonneńskich najemników. Po czym wycofał się za skalną skarpę. Jego miejsce przy teleskopie zajął fedajkiński czatownik.

Paul wyłonił się w płytkim kraterze na szczycie Muru Zaporowego. Około trzydziestu metrów średnicy i trzech głębokości miało to naturalne zagłębienie w skale, które Fremeni zakryli półprzeźroczystą powłoką maskującą. Otwór w ścianie po prawej stronie obstawiony był sprzętem telekomunikacyjnym. Rozwinąwszy szyk gwardia fedajkinów czekała w tym zagłębieniu na rozkaz Muad'Diba do ataku. Z otworu przy urządzeniach łączności wynurzyło się dwóch ludzi, meldując coś wartownikom. Paul zerknął na Stilgara, skinął głową w stronę tej dwójki.

— Przyjmij ich meldunki, Stil.

Stilgar odszedł na rozkaz. Paul przykucnął opierając się plecami o skałę, przeciągnął się i wstał. Zobaczył, jak Stilgar odprawia tamtych dwóch ludzi z powrotem w głąb ciemnego otworu w skale i pomyślał o długiej drodze na dno basenu owym wąskim wykonanym ludzkimi rękami tunelem. Podszedł do niego Stilgar.

— Cóż to za wiadomość tak ważna, że nie mogli wysłać z nią cielago? — zapytał Paul.

— Oszczędzają swoje ptaki na bitwę — odparł Stilgar. Zerknął na aparaturę telekomunikacyjną i z powrotem na Paula. — Nawet przy wąskiej wiązce niedobrze jest korzystać z tych urządzeń, Muad'Dibie. Mogą cię znaleźć biorąc namiar na emisję.

— Wkrótce będą zbyt zajęci, aby mnie szukać — rzekł Paul. — Co ci ludzie donieśli?

— Nasze sardaukarskie pieścidełka zostały wypuszczone na dole u wylotu Starej Szczerby i znajdują się w drodze do swego pana. Wyrzutnie rakiet i pozostała broń palna są na stanowiskach. Meldowali tylko dla porządku.

Paul rozejrzał się po płytkim zagłębieniu i w sączącym się przez maskującą powłokę świetle studiował swoich ludzi. Odbierał upływ czasu niczym pełzanie owada po nagiej skale.

— Nasi sardaukarzy muszą trochę pomaszerować, zanim transporter dostrzeże ich sygnały — powiedział Paul. — Czy macie ich na oku?

— Mamy ich na oku — odparł Stilgar.

Gurney Halleck stojący u boku Paula odchrząknął.

— Czy nie będzie lepiej, jak schowamy się w bezpieczne miejsce?

— Nie ma takiego miejsca — rzekł Paul. — Czy prognoza pogody jest nadal sprzyjająca?

— Nadciąga pramatka burza — powiedział Stilgar. — Nie czujesz jej, Muad'Dibie?

— Rzeczywiście w powietrzu czuje się zmianę — zgodził się Paul. — Ale ja lubię się opierać na tyczeniu piasku.

— Samum będzie tu za godzinę — rzekł Stilgar. Kiwnął głową ku szczelinie wychodzącej na barak Imperatora i harkonneńskie fregaty. — Tam również o nim wiedzą. Ani jednego ornitoptera na niebie. Wszystkie powciągane i uwiązane. Dostali prognozę pogody od swych przyjaciół w kosmosie.

— Żadnych nowych wypadów rozpoznawczych? — zapytał Paul.

— Ani jednego od wylądowania ubiegłej nocy — odparł Stilgar. — Oni wiedzą, że tu jesteśmy. Myślę, że teraz czekają, by wybrać dogodny dla siebie moment.

— My wybieramy moment — powiedział Paul.

— Gurney spojrzał w górę i warknął:

— Jeśli tamci nam pozwolą.

— Ta flota pozostanie w kosmosie — rzekł Paul.

Gurney pokręcił głową.

— Nie mają wyboru — powiedział Paul. — My możemy zniszczyć przyprawę. Gildia nie odważy się pójść na takie ryzyko.

— Zrozpaczeni ludzie są najniebezpieczniejsi — odparł Gurney.

— A czy my nie jesteśmy zrozpaczeni? — zapytał Stilgar.

Gurney spojrzał na niego spode łba.

— Nie żyłeś marzeniem Fremenów — przestrzegł Paul. — Stil myśli o całej wodzie, jaką wydaliśmy na łapówki, o latach, o które przedłużyliśmy czekanie, aż Arrakis rozkwitnie. On nie…

— Grrr — warknął Gurney.

— Dlaczego on jest taki smutny? — zapytał Stilgar.

— On zawsze jest smutny przed bitwą — odparł Paul. — To jedyny objaw dobrego humoru, na jaki sobie Gurney pozwala.

Wilczy uśmiech powoli rozlał się na twarzy Gurneya, biel zębów rozbłysła ponad nabródkiem jego filtrfraka.

— Zasmuca mnie bardzo myśl o tych wszystkich nieszczęsnych harkonneńskich duszach, które wyprawimy na tamten świat bez święceń — powiedział.

Stilgar parsknął śmiechem.

— On gada niczym fedajkin.

— Gurney urodził się komandosem śmierci — rzekł Paul.

Tak, pomyślał, niech się zajmą gadaniem o głupstwach, nim spróbujemy swoich sił z tą armią w dolinie. Spojrzał na szczelinę w ścianie skalnej i zerknął ponownie na Gurneya widząc, że wojownik — trubadur znowu popadł w ponurą zadumę.

— Troska podkopuje siły — mruknął Paul. — Powiedziałeś mi to kiedyś, Gurney.

— Mój książę — odparł Gurney — moją główną troską jest broń jądrowa. Jeśli jej użyjesz do wywalenia dziury w Murze Zaporowym…

— Tamci na górze nie użyją broni jądrowej przeciwko nam — powiedział Paul. — Nie odważą się… i to wciąż z tego samego powodu: nie mogą ryzykować, że zniszczymy przyprawę.

— Lecz zakaz…

— Zakaz! — warknął Paul. — To strach, a nie zakaz powstrzymuje rody przed wzajemnym obrzucaniem się atomówkami. Język Wielkiej Konwencji jest dostatecznie jasny: użycie broni jądrowej przeciwko ludziom spowoduje wymazanie planety z mapy wszechświata. My rozwalimy Mur Zaporowy, nie ludzi.

— To zbyt grubymi nićmi szyty argument — rzekł Gurney.

— Ci od dzielenia włosa na czworo tam w górze ucieszą się z każdego argumentu — odparł Paul. — Nie mówmy już o tym.

Odwrócił się, życząc sobie rzeczywiście takiej pewności. Po chwili rzekł:

— Co z ludźmi z miasta? Są już na pozycjach?

— Tak — mruknął Stilgar.

Paul rzucił na niego okiem.

— A ciebie co gryzie?

— Zawsze powątpiewałem, czy człowiekowi miasta można do końca zaufać — powiedział Stilgar.

— Ja sam byłem kiedyś człowiekiem miasta — zauważył Paul.

Stilgar najeżył się. Twarz mu nabiegła krwią.

— Muad'Dib wie, że nie miałem na myśli…

— Wiem, co miałeś na myśli. Stil. Ale próbą człowieka nie jest to, co myślisz, że on zrobi, tylko to, co on robi w rzeczywistości. Ci

miastowi ludzie mają w żyłach fremeńską krew. Tyle tylko, że jeszcze się nie nauczyli zrzucania pęt. My ich nauczymy.

Stilgar kiwnął głową.

— Życiowe nawyki, Muad'Dibie — stwierdził ponuro. — Na Równinie Żałobnej nauczyliśmy się pogardy dla ludzi osiadłych.

Paul obejrzał się na Gurneya i spostrzegł, że ten bacznie przypatruje się Stilgarowi.

— Powiedz nam, Gurney, dlaczego sardaukarzy wypędzili z domów mieszkańców tego miasta tam w dole?

— Stary numer, mój książę. Zamierzali zwalić nam na kark uchodźców.

— Tyle czasu upłynęło od upadku partyzantki, że potężni zapomnieli, jak z nią wojować — rzekł Paul. — Sardaukarzy ułatwili nam zadanie. Nałapali trochę mieszczek, zabawili się z nimi, a głowami protestujących mężczyzn udekorowali swoje sztandary bojowe. I rozniecili gorączkę nienawiści wśród ludzi, którzy w innej sytuacji patrzyliby na nadchodzącą bitwę wyłącznie jak na wielką niedogodność… i możliwość zamiany jednego garnituru panów na drugi. Sardaukarzy dla nas werbują, Stilgar.

— Ci miejscy ludzie faktycznie wydają się pełni zapału — przyznał Stilgar.

— Ich nienawiść jest świeża i czysta — powiedział Paul. — Właśnie wykorzystujemy ich jako oddziały szturmowe.

— Straszne będą wśród nich jatki — rzekł Gurney. Stilgar kiwnął głową.

— Powiedziano im, jak nierówne są siły — odparł Paul. — Wiedzą, że każdy zabity przez nich sardaukar to o jednego mniej dla nas. Widzicie, moi panowie, oni mają coś, za co warto umrzeć. Odkryli, że są ludźmi. Oni się budzą.

Dobiegł ich stłumiony okrzyk obserwatora przy teleskopie. Paul zbliżył się do skalnej szczeliny.

— Co się tam dzieje?

— Ogromne zamieszanie, Muad'Dibie — syknął czatownik. — W tym monstrualnym namiocie z metalu. Od Wieńcomuru Zachodniego przybył pojazd naziemny i zrobiło się zamieszanie, jakby jastrząb wpadł w stado skalnych kuropatw.

— Przybyli więzieni przez nas sardaukarzy — powiedział Paul.

— Mają teraz osłonę wokół całego lądowiska — meldował czatownik. — Widzę tańczące powietrze nawet na skraju składowisk, gdzie magazynowali przyprawę.

— Już wiedzą, kim jest ten, przeciw komu walczą — rzekł Paul. — Niech zadrżą harkonneńskie bestie, niech się gryzą, że Atryda nadal żyje! — Zwrócił się do fedajkina przy teleskopie:

— Obserwuj drzewce flagowe na dziobie statku Imperatora. Jeżeli

wciągną tam moją flagę…

— Nie zrobią tego — odezwał się Gurney.

Paul spostrzegł zaintrygowaną minę na twarzy Stilgara.

— Jeśli Imperator uzna moje, roszczenia — wyjaśnił — da znak przywracając Arrakis flagę atrydzką. Wtedy zastosujemy drugi wariant planu, ruszając tylko przeciwko Harkonnenom. Sardaukarzy nie będą się wtrącać i pozwolą nam załatwić sprawę między sobą.

— Ja nie mam doświadczenia w tych pozaświatowych historiach — rzekł Stilgar. — Słyszałem o nich, ale nie wydaje się prawdopodobne, żeby…

— Nie potrzeba mieć doświadczenia, żeby wiedzieć, co oni zrobią — powiedział Gurney.

— Na wysoki statek wciągają nową flagę — powiadomił czatownik. — Flaga jest żółta… z czarnym i czerwonym kołem pośrodku.

— Śliska sprawa — rzekł Paul. — To flaga kompanii KHOAM.

— Takie same są flagi na pozostałych statkach — powiedział fedajkin.

— Nie rozumiem — rzekł Stilgar.

— To rzeczywiście śliska sprawa — odezwał się Gurney. — Gdyby wciągnął na maszt sztandar Atrydów, musiałby dotrzymać tego, co zasygnalizował. Za dużo oczu dokoła. Mógłby dać znak harkonneńską flagą na swoim drzewcu, byłaby to jednoznaczna deklaracja. Ale nie, on wciąga szmatę KHOAM. Pokazuje tamtym ludziom na górze… — Gurney wskazał na niebo — gdzie jest zysk. Mówi, że go nie obchodzi, czy będzie tu Atryda, czy ktoś inny.

— Za ile samum uderzy w Mur Zaporowy? — zapytał Paul.

Stilgar odszedł naradzić się z jednym z fedajkinów w kraterze. Niebawem był z powrotem.

— Lada chwila, Muad'Dibie. Wcześniej, niż się spodziewamy. To jest pra-pra-pramatka burza… może nawet większa, niż pragnąłeś.

— To moja burza — odparł Paul i ujrzał nieme osłupienie na twarzach słuchających go fedajkinów. — Choćby wstrząsnęła całym światem, nie będzie większa, niż pragnąłem. Czy uderzy dokładnie w Mur Zaporowy?

— Wystarczająco blisko, żeby nie sprawiło to żadnej różnicy — rzekł Stilgar.

Z tunelu wiodącego na dno basenu wyszedł łącznik.

— Patrole sardaukarów i Harkonnenów wycofują się, Muad'Dibie — zameldował.

— Spodziewają się, że samum nawieje za dużo piasku, by była dobra widoczność — powiedział Stilgar. — Uważają, że my będziemy tak samo załatwieni.

— Każ naszym kanonierom nastawić celowniki dużo wcześniej,

przed spadkiem widoczności — rzekł Paul. — Muszą odstrzelić dziobnicę wszystkim tym statkom, jak tylko samum zniszczy tarcze. — Podszedł do ściany krateru i odciągnąwszy fałdę powłoki maskującej spojrzał w górę. Na tle mrocznego nieba widać było niesione wiatrem buńczuki wirującego piasku. Paul z powrotem naciągnął powłokę. — Zacznij wysyłać na dół naszych ludzi, Stil — polecił.

— Nie poszedłbyś z nami? — zapytał Stilgar.

— Zostanę chwilkę przy fedajkinach — odparł Paul.

Stilgar znacząco wzruszył ramionami do Gurneya, odszedł do otworu w skalnej ścianie i zniknął w ciemności.

— W twoich rękach, Gurney, zostawiam przycisk do rozwalenia Muru Zaporowego — powiedział Paul. — Zrobisz to?

— Zrobię.

Paul przywołał skinieniem porucznika fedajkinów:

— Otheym, zacznij wycofywać czujki z rejonu wybuchu. Muszą wyjść stamtąd, zanim uderzy samum.

Fedajkin skłonił się i poszedł w ślady Stilgara. Gurney wyjrzał przez skalną szczelinę.

— Nie spuszczaj oka z południowej ściany — powiedział do człowieka przy teleskopie. — Będzie pozbawiona wszelkiej ochrony, dopóki jej nie wysadzimy.

— Wyślij cielago z sygnałem czasu — rozkazał Paul.

— Jakieś naziemne pojazdy suną na południową ścianę — zameldował człowiek przy teleskopie. — Niektóre prowadzą rozpoznanie ogniem broni palnej. Nasi ludzie korzystają z tarcz osobistych, jak rozkazałeś. Pojazdy zatrzymały się.

W nagłej ciszy Paul usłyszał pląsające nad głową demony wiatru — czoło burzy. Piach zaczął się osypywać do ich misy przez szczeliny w osłonie. Podmuch wiatru schwycił powłokę i zerwał. Paul skinieniem odesłał swego fedajkina w ukrycie i podszedł do obsługi aparatury telekomunikacyjnej przy wylocie tunelu. Gurney trzymał się jego boku. Paul pochylił się nad sygnalistami. Jeden z nich powiedział:

— Pra-pra-pra-pramatka samum, Muad'Dibie.

Paul podniósł spojrzenie na ciemniejące niebo.

— Gurney, wycofaj obserwatorów południowej ściany.

Musiał powtórzyć swój rozkaz, by przekrzyczeć narastający zgiełk samumu. Gurney oddalił się, by wykonać rozkaz. Paul dopiął filtr twarzy, zaciągnął kaptur filtrfraka. Powrócił Gurney. Paul dotknął jego ramienia, wskazał na zapalarkę ustawioną u wylotu tunelu za sygnalistami. Gurney wszedł do tunelu, zatrzymał się u wylotu z jedną ręką na przycisku, nie spuszczając oczu z Paula.

— Nie odbieramy żadnych wiadomości — powiedział sygnalista przy Paulu. — Duże zakłócenia atmosferyczne.

Paul kiwnął głową, nie odrywając spojrzenia od tarczy czasomierza naprzeciwko sygnalisty. Niebawem Paul spojrzał na Gurneya, podniósł rękę i wrócił spojrzeniem do tarczy. Wskaźnik czasu pełzł po swoim kole.

— Już! — krzyknął Paul i opuścił rękę.

Gurney wdusił przycisk zapalarki. Wydawało się, że cała sekunda minęła, zanim poczuli, jak grunt faluje i dygoce pod nimi. Do ryku samumu dołączył się dudniący dźwięk. Przy Paulu zjawił się fedajkiński czatownik z teleskopem pod pachą.

— Mur Zaporowy przerwany, Muad'Dibie! — krzyknął. — Samum runął na nich, a nasi kanonierzy już strzelają.

Paul pomyślał o burzy sunącej przez basen, o ładunku elektrostatycznym w ścianie piasku, który zniszczył co do jednej zapory tarczowe w obozie wroga.

— Samum! — krzyknął ktoś. — Musiały zejść w ukrycie, Muad'Dibie!

Paul ocknął się, czując, jak igiełki piasku żądlą jego odsłonięte policzki. Klamka zapadła — pomyślał. Położył rękę na ramionach sygnalisty.

— Zostaw sprzęt! Wystarczy ten w tunelu.

Poczuł, że go odciągają, że fedajkini stłoczyli się wokół niego dla osłony. Wcisnęli się w wylot tunelu, gdzie ogarnęła ich względna cisza, i minąwszy zakręt znaleźli się w małej komorze z kulami świętojańskimi pod sufitem i drugim wylotem prowadzącego dalej tunelu. Inny sygnalista pochylał się tu nad swoją aparaturą.

— Duże zakłócenia atmosferyczne — powiedział.

Kurzawa otoczyła ich szybującym w powietrzu piaskiem.

— Zagrodzić tunel! — krzyknął Paul.

Nagłe znieruchomienie powietrza wokół nich świadczyło o wykonaniu polecenia.

— Czy zejście na dno basenu nadal jest dostępne? — zapytał Paul.

Jakiś fedajkin poszedł sprawdzić, wrócił i powiedział:

— Eksplozja spowodowała obsunięcie niewielkiej skały, lecz inżynierowie twierdzą, że przejście jest nadal wolne. Uprzątają je wiązkami laserowymi.

— Każ im to robić rękami! — burknął Paul. — Tam jest pełno aktywnych tarcz!

— Oni uważają, Muad'Dibie — odparł fedajkin, ale oddalił się posłusznie.

Sygnaliści z zewnątrz przecisnęli się między nimi dźwigając swój sprzęt.

— Kazałeś tym ludziom zostawić ich aparaturę, Muad'Dibie — obruszył się jeden z fedajkinów.

— Ludzie są teraz ważniejsi od sprzętu — rzekł Paul. — Będziemy

mieli więcej sprzętu niż rąk albo żaden sprzęt nie będzie nam potrzebny.

Podszedł do niego Gurney Halleck.

— Słyszałem, jak mówili, że droga na dół jest wolna. Tutaj jesteśmy za blisko powierzchni, mój panie, gdyby Harkonnenowie spróbowali odwetu.

— Oni nie są zdolni do odwetu — odparł Paul. — Właśnie w tej chwili odkrywają, że nie mają osłon i że nie są w stanie oderwać się od Arrakis.

— Niemniej jednak nowe stanowisko dowodzenia jest w całości gotowe, mój panie — powiedział Gurney.

— Jeszcze mnie nie potrzebują na stanowisku dowodzenia — rzekł Paul. — Plan będzie się realizował beze mnie. Musimy czekać na…

— Odbieram wiadomość, Muad'Dibie — odezwał się sygnalista znad aparatury. Potrząsnął głową, przycisnął do ucha słuchawkę. — Duże zakłócenia atmosferyczne!

Zaczął gryzmolić na bloku przed sobą, potrząsając głową, wyczekując, pisząc… wyczekując. Paul podszedł z boku do sygnalisty. Fedajkin cofnął się ustępując mu miejsca. Paul spojrzał z góry na to, co ten człowiek napisał, i przeczytał: „Najazd na sicz Tabr… w niewoli… Alia, (nieczytelne) rodziny, (nieczytelne) nie żyją… oni (nieczytelne) syna Muad'Diba…"

Sygnalista znów potrząsnął głową. Paul podniósł oczy napotykając utkwione w sobie spojrzenie Gurneya.

— Depesza jest przekręcona — rzekł Gurney. — Zakłócenia atmosferyczne. Nie wiadomo, czy…

— Mój syn nie żyje — powiedział Paul i mówiąc to wiedział, że tak jest naprawdę. — Mój syn nie żyje… zaś Alię wzięto do niewoli… jako zakładniczkę.

Czuł się jak pusta, pozbawiona uczuć skorupa. Wszystko, czego dotknął, niosło śmierć i ból. I wyglądało to na zarazę, która może się roznieść po całym wszechświecie. Czuł w sobie mądrość starca, nagromadzenie doświadczeń z niezliczonych żywotów, które mogły zaistnieć. Wydawało mu się, że coś chichoce w jego wnętrzu i zaciera ręce. I pomyślał: Jak niewiele świat wie o naturze prawdziwego okrucieństwa!

> *I stanął przed nimi Muad'Dib mówiąc: Mimo iż uważamy zakładników za umarłych, ona jednak żyje. Ponieważ jej nasienie jest moim nasieniem, a jej głos jest moim głosem. I wzrok jej sięga najdalszych ster prawdopodobieństwa.*

Tak jest, na padół niepoznawalnego ona spogląda dzięki mnie.

z „Przebudzenia Arrakis" pióra księżniczki Irulan

Baron Vladimir Harkonnen stał ze spuszczonymi oczami w imperialnej sali audiencyjnej, owalnej selamlik wewnątrz kwater Padyszacha Imperatora. Baron rzucał ukradkowe spojrzenia na metalowe ściany sali i na zebranych — noukkerów, paziów, gwardzistów, oddział sardaukarów pałacowych stojących pod ścianami w szeregu, w postawie na spocznij, pod zakrwawionymi i postrzępionymi zdobycznymi sztandarami, które stanowiły jedyną ozdobę tej sali.

Z prawej strony rozległy się głosy, dochodzące echem z wysokiego korytarza:

— Przejście! Przejście dla Osoby Królewskiej!

Padyszach Imperator Szaddam IV wyszedł z korytarza na salę audiencyjną razem ze swoim orszakiem. Przystanął w oczekiwaniu na wniesienie jego tronu, nie zwracając uwagi na barona, najwyraźniej nie zwracając uwagi na nikogo. Baron przekonał się, że nie stać go na zignorowanie osoby królewskiej i przyglądał się bacznie Imperatorowi wypatrując znaku, najmniejszej wskazówki, jaki jest cel tej audiencji. Imperator oczekiwał z podniesioną głową — szczupła, elegancka sylwetka w szarym mundurze sardaukarów ze srebrnym i złotym szamerunkiem. Wąska twarz i zimne spojrzenie przypominały baronowi dawno zmarłego księcia Leto. Miał taki sam wygląd drapieżnego ptaka. Tylko włosy Imperatora nie były czarne, lecz rude i prawie w całości zakryte hebanowym hełmem bursega z imperialnym złotym pióropuszem na szczycie.

Paziowie wnieśli tron. Było to masywne krzesło wyciosane z jednej bryły kwarcu hagalskiego niczym z zielonobłękitnej przejrzystości przeszytej żyłami złotego ognia. Kiedy ustawili je na podium, Imperator zasiadł, sadowiąc się wygodnie. Stara kobieta w czarnej abie z kapturem opuszczonym na czoło odłączyła się od jego świty i zajęła miejsce za tronem, kładąc kościstą dłoń na kwarcowym oparciu. Jej twarz wyzierała z kaptura jak maszkaron o zapadniętych oczach i policzkach, z nosem zbyt długim, skórą w plamach i z wychodzącymi na wierzch żyłami. Baron powstrzymał na jej widok drżenie. Obecność Matki Wielebnej Gaius Helen Mohiam, prawdomówczyni Imperatora, zdradzała doniosłość tej audiencji. Odwróciwszy od niej wzrok baron przepatrywał uważnie świtę w poszukiwaniu dalszych wskazówek. Byli tam dwaj agenci Gildii, jeden wysoki i gruby, drugi niski i gruby, obaj o szarych, dobrotliwych

oczach. Wśród dworaków stała też księżniczka Irulan, kobieta, która zgłębiła, jak mówiono, najgłębsze sekrety Bene Gesserit, gdyż miała zostać Matką Wielebną. Wysoka blondynka o twarzy pięknej jak obraz, z zielonymi oczami spoglądającymi i przez, i poza niego.

— Mój drogi baronie — raczył go łaskawie zauważyć Imperator.

Barytonowy głos odznaczał się wyrafinowaną modulacją. Potrafił odprawić barona powitaniem. Baron skłonił się nisko i zbliżył na przepisową odległość dziesięciu kroków od podwyższenia.

— Przybywam na twe wezwanie, Wasza Wysokość.

— Wezwanie! — parsknęła chichotem stara wiedźma.

— Spokój, Matko Wielebna — skarcił ją Imperator, ale uśmiechnął się na widok zmieszania barona.

— Najpierw mi powiesz, dokąd to wyprawiłeś swojego pupila, Thufira Hawata.

Baron strzelił okiem na prawo i lewo, klnąc w duchu, że przyszedł tu bez swojej straży przybocznej, mimo że niewiele by wskórała przeciwko sardaukarom. Zawsze jednak…

— No więc? — rzekł Imperator.

— Nie ma go już od pięciu dni, Najjaśniejszy Panie. — Baron rzucił spojrzenie na agentów Gildii i szybko przeniósł je na Imperatora. — Miał wylądować w bazie przemytników i podjąć próbę infiltracji obozu tego fremeńskiego fanatyka Muad'Diba.

— Nie do wiary! — rzekł Imperator.

Szponiasta dłoń wiedźmy lekko dotknęła jego ramienia. Stara nachyliła się i poszeptała mu do ucha. Imperator kiwnął głową.

— Pięć dni, baronie. Powiedz mi, dlaczego nie martwisz się jego nieobecnością?

— Ależ ja się martwię, Najjaśniejszy Panie.

Imperator nie spuszczał z niego oczu, wyczekując. Matka Wielebna wydała z siebie gdakliwy chichot.

— Chodzi mi o to, Najjaśniejszy Panie — powiedział baron — że Hawat tak czy owak umrze w ciągu paru najbliższych godzin.

I wyłożył sprawę utajonej trucizny i potrzeby antidotum.

— Spryciarz z ciebie, baronie — rzekł Imperator. — A gdzież są twoi bratankowie, Rabban i młody Feyd-Rautha?

— Nadchodzi samum, Najjaśniejszy Panie. Wysłałem ich w obchód naszego przedpola, żeby Fremeni nie zaskoczyli nas pod osłoną piasku.

— Przedpola — powtórzył Imperator. To słowo jakby wypadło mu przy wydęciu ust. — Samum niewiele zdziała w basenie, a fremeńska czerń nie zaatakuje, kiedy ja tu jestem z pięcioma legionami surdaukarów.

— Oczywiście że nie, Najjaśniejszy Panie — rzekł baron — lecz nie można nikogo winić za nadmiar ostrożności.

— Aaaach, wina — powiedział Imperator. — Zatem mam przemilczać, ile czasu zabrała mi ta arrakańska bzdura? I że zyski kompanii KHOAM wyciekają tą szczurzą dziurą? I że musiałem zawiesić funkcjonowanie dworu i sprawy państwowe — odwołać nawet — z powodu tej idiotycznej afery?

Baron spuścił oczy, wystraszony imperatorskim gniewem. Delikatność pozycji, w jakiej się znajdował, sam jeden, zdany na łaskę Konwencji i dictum familia wielkich rodów działała mu na nerwy. Czy on ma zamiar mnie zabić? — zadawał sobie pytanie. Nie mógłby! Nie na oczach reszty wysokich rodów, które czekają tam w górze ostrząc sobie zęby na pierwszy lepszy pretekst do wykorzystania tego zamętu na Arrakis.

— Czy wziąłeś zakładników? — zapytał Imperator.

— To na nic, Najjaśniejszy Panie — odparł baron. — Ci wściekli Fremeni urządzają każdemu jeńcowi ceremonię pogrzebową i zachowują się tak, jakby taki zakładnik już nie żył.

— Czyżby? — rzekł Imperator.

Baron milczał, zezując w prawo i w lewo na metalowe ściany selamlik, myśląc o otaczającym go monstrualnym namiocie z metalu. Przedstawiał on tak nieprzebrane bogactwo, że nawet baron poczuł się wstrząśnięty. Ciągnie za sobą paziów i bezużytecznych dworaków, swoje kobiety i ich świtę — fryzjerów, modystki, wszystkich… całą otoczkę pasożytów dworu. Wszystko to tutaj… płaszczy się, intryguje za plecami, „cierpi niewygody" przy Imperatorze… by patrzeć, jak on kładzie kres tej aferze, by układać panegiryki o walkach, a rannych kreować na bohaterów.

— Może nie szukałeś odpowiednich zakładników — rzekł Imperator.

On coś ukrywa — pomyślał baron. Strach gniótł go w dołku kamieniem, aż mu się niedobrze zrobiło na myśl o jedzeniu. A jednak to uczucie przypominało głód i kilka razy prostował się w swoich dryfach, o włos od wydania polecenia, by przyniesiono mu posiłek. Ale tutaj nie było nikogo, kto by odpowiedział na jego wezwania.

— Czy masz jakieś pojęcie, co to za jeden ten Muad'Dib? — spytał Imperator.

— Na pewno jakiś umma — odparł baron. — Jakiś fremeński fanatyk, awanturnik religijny. Tacy regularnie wyskakują na obrzeżach cywilizacji. Wasza Imperatorska Mość o tym wie.

Imperator obejrzał się na swoją prawdomówczynię, ponownie zwrócił się do barona i spojrzał na niego spode łba.

— I nic więcej nie wiesz o tym Muad'Dibie?

— To szaleniec — stwierdził baron. — Ale wszyscy Fremeni są trochę stuknięci.

— Stuknięci?

— Jego ludzie rzucają się w bój wyjąc jego imię. Ich kobiety ciskają w nas własnymi dziećmi, po czym nadziewają się na nasze noże, by swoim mężom utorować drogę do ataku. Oni nie mają… nie mają… żadnej godności.

— Aż tak źle — zamruczał Imperator, a jego drwiący ton nie umknął uwagi barona. — Powiedź mi, mój drogi baronie, czy przeprowadziłeś rekonesans polarnych obszarów na południu Arrakis?

Baron zagapił się na niego, zbity z tropu zmianą tematu.

— Ale… no więc… wiesz przecież, Najjaśniejszy Panie, że cały ten region nie nadaje się do zamieszkania, jest otwarty dla wiatru i czerwia. W tamtych szerokościach nie ma nawet przyprawy.

— Nie miałeś doniesień od przyprawowych galarów o pojawiających się tam połaciach zieleni?

— Zawsze były takie doniesienia. Niektóre zbadano… dawno temu. Znaleziono parę roślin. Stracono wiele ornitopterów. Zbyt kosztowna zabawa, Najjaśniejszy Panie. To jest miejsce, w którym ludzie nie przeżyją długo.

— No tak — powiedział Imperator.

Pstryknął palcami i za jego tronem po lewej stronic otworzyły się drzwi. Dwóch sardaukarów wprowadziło przez nie dziewczynkę w wieku około czterech lat, sądząc z wyglądu. Ubrana była w czarną abę z odrzuconym na plecy kapturem, odsłaniającym luźno wiszące u szyi łącza filtrfraka. Z krągłej buzi spoglądały oczy barwy fremeńskiego błękitu. Nie wyglądała ani trochę na wystraszoną, a jej spojrzenie miało w sobie coś, od czego baron poczuł się nieswojo z zupełnie niezrozumiałej przyczyny. Nawet prawdomówczyni Bene Gesserit wzdrygnęła się, kiedy ją dziecko mijało i uczyniła w jej kierunku znak na odpędzenie uroków. Stara czarownica była najwyraźniej wstrząśnięta obecnością dziecka. Imperator odchrząknął przed zabraniem głosu, lecz dziecko przemówiło pierwsze cienkim, lekko sepleniącym głosikiem, wyraźnym mimo nie wyrobionego podniebienia.

— A oto i on — powiedziała. Podeszła do skraju podwyższenia. — Nie sprawia imponującego wrażenia, nieprawdaż? Jakiś wystraszony, stary grubas, zbyt słaby, by udźwignąć swoje własne ciało bez pomocy dryfów.

Było to tak kompletnie nieoczekiwane stwierdzenie z ust dziecka, że baron wybałuszył na nią oczy w osłupieniu, zapominając języka w gębie pomimo wściekłości. Czy to karlica? — zapytywał sam siebie.

— Mój drogi baronie — rzekł Imperator — przedstawiam ci siostrę Muad'Diba.

— Sios… — Baron podniósł spojrzenie na Imperatora. — Nie rozumiem.

— Ja czasami również przesadzam z nadmiarem ostrożności —

powiedział Imperator. — Doniesiono mi, że twoje nie zamieszkane obszary na południu wykazują ślady działalności ludzkiej.

— Ależ to niemożliwe! — zaprotestował baron. — Czerwie… tam jest czysty piasek aż po…

— Wygląda na to, że ci ludzie są w stanie unikać czerwi — odparł Imperator.

Dziecko przysiadło obok tronu na skraju podwyższenia, spuściło nogi i zaczęło nimi majtać. Jakaż pewność siebie biła z jej miny i sposobu lustrowania otoczenia. Baron utkwił wzrok w rozbujanych stopach, śledząc falowanie czarnej szaty, mignięcia sandałów ukazujących się spod tkaniny.

— Na nieszczęście — powiedział Imperator — wysłałem tylko pięć lekkich transporterów z grupą zaczepną do wzięcia jeńców na przesłuchanie. Uszliśmy cudem z jednym transporterem i trzema jeńcami. Zważ, baronie, moi sardaukarzy zostali prawie wybici przez oddział złożony głównie z kobiet, dzieci i starców. To dziecko prowadziło jedną z grup szturmowych.

— Sam widzisz, Najjaśniejszy Panie! — zawołał baron. — Sam widzisz, co to za jedni!

— Ja sama oddałam się do niewoli — odezwała się dziewczynka. — Nie chciałam stanąć przed bratem z wieścią, że zabito mu syna.

— Uciekła ledwie garstka naszych ludzi — rzekł Imperator. — Uciekła! Czy słyszysz?

— Ich też byśmy dostali — powiedziała dziewczynka — gdyby nie płomienie.

— Moi sardaukarzy użyli dysz korekcyjnych jako miotaczy ognia — wyjaśnił Imperator. — Rozpaczliwe posunięcie i tylko dzięki niemu umknęli z trojgiem swoich jeńców. Zauważ, mój drogi baronie: sardaukarzy musieli uciekać w popłochu przed kobietami, starcami i dziećmi!

— Musimy zaatakować całą potęgą — zachrypiał baron. — Musimy wybić wszystkich do ostatniego, najmniejszego…

— Milcz! — ryknął Imperator. Wychylił się do przodu na swoim tronie. — Nie obrażaj mojej inteligencji ani chwili dłużej. Sterczysz tu z durną miną niewiniątka i…

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się stara prawdomówczyni. Uciszył ją machnięciem ręki.

— Twierdzisz, że nic nie wiesz o wykrytej przez nas działalności ani o zdolnościach bojowych tych nadludzi! — Imperator uniósł się do połowy ze swego tronu. — Za kogo mnie masz, baronie?

Baron cofnął się o dwa kroki. To Rabban — pomyślał. — On mi to zrobił. Rabban mi…

— I ta udawana waśń z księciem Leto — mruknął Imperator zapadając z powrotem w swój tron. — Ślicznieś to ustawił.

— Najjaśniejszy Panie — sumitował się baron. — O czym ty…

— Milcz!

Stara Bene Gesserit położyła dłoń na ramieniu Imperatora i pochyliła się nisko szepcząc mu coś do ucha. Dziewczynka siedząca na podium przestała machać nogami.

— Postrasz go jeszcze trochę, Szaddam. Nie powinnam się z tego cieszyć, ale nie umiem odmówić sobie tej przyjemności.

— Cicho bądź, dzieciaku — rzekł Imperator. Wychylił się w przód, położył rękę na jej głowie i utkwił wzrok w baronie.

— Czyż to możliwe, baronie? Czyżbyś był aż tak naiwny, jak sugeruje to moja prawdomówczyni? Czy nie poznajesz tego dziecka, córki swego pobratymca, księcia Leto?

— Mój ojciec nigdy nie był jego pobratymcem — powiedziała dziewczynka. — Mój ojciec nie żyje, a ten stary harkonneński potwór nie widział mnie nigdy przedtem.

Z barona pozostało tylko ogłupiałe spojrzenie. Kiedy odzyskał mowę, zdołał jedynie wychrypieć:

— Kto to?

— Jestem Alia, córka księcia Leto i lady Jessiki, siostra księcia Paula Muad'Diba — odparła dziewczynka. Odepchnęła się od podium i skoczyła na podłogę sali audiencyjnej. — Mój brat ślubował, że zatknie twoją głowę na szczycie swego bojowego sztandaru i myślę, że to zrobi.

— Cicho bądź, dziecko — Imperator opadł na oparcie tronu, brodę wsparł na dłoni i spoglądał badawczo na barona.

— Ja nie przyjmuję rozkazów od Imperatora — rzekła Alia. Odwróciła się podnosząc oczy na wiekową Matkę Wielebną. — Ona wie.

Imperator zerknął na swą prawdomówczynię.

— Co to znaczy?

— To dziecko jest złym duchem! — powiedziała starucha. — Jej matka zasługuje na karę większą od tych, jakie zna historia. Śmierć! Zawsze będzie nie dość rychła dla tego „dziecka" jak i tej, która je zrodziła! — Starucha wyciągnęła palec ku Alii. — Wynoś się z mego umysłu!

— T-P? — wyszeptał Imperator. Obrócił się gwałtownie do Alii. — Na Wielką Macierz!

— Nie rozumiesz, Najjaśniejszy Panie — rzekła stara. — To nie telepatia. Ona jest w mojej jaźni. Ona jest jak moje poprzedniczki, które oddały mi swoje wspomnienia. Ona tkwi w mej pamięci! To niemożliwe, żeby tam była, a jednak jest!

— Jakie poprzedniczki? — zapytał Imperator. — Co to za nonsens?

Stara kobieta wyprostowała się i opuściła wyciągniętą rękę.

— Powiedziałam zbyt wiele, co nie zmienia faktu, że to „dziecko” nie będące dzieckiem musi zostać zabite. Od dawna przestrzegano nas przed czymś takim właśnie i mówiono, jak zapobiegać takiemu narodzeniu, a zdradziła nas nasza własna siostra.

— Pleciesz, stara babo — powiedziała Alia. — Nie wiesz, jak było, a mielesz językiem jak chory na umyśle.

Alia zamknęła oczy, zaczerpnęła głęboko powietrza i wstrzymała oddech. Stara Matka Wielebna zatoczyła się z jękiem. Alia otworzyła oczy.

— Tak to się stało — rzekła. — Kosmiczny ślepy traf… a wy miałyście w nim swój udział.

Matka Wielebna wyciągnęła obie ręce odpychając od siebie powietrze w stronę Alii.

— Co się tutaj dzieje? — zapytał Imperator. — Dziecko, ty naprawdę potrafisz ulokować swoje myśli w cudzej głowie?

— To zupełnie nie tak — odparła Alia. — Nie potrafię myśleć jak ty, chyba żebym się jak ty zrodziła.

— Zabijcie ją! — wymamrotała starucha czepiając się oparcia tronu, by nie upaść. — Zabijcie ją! — Zapadnięte, starcze oczy ziały nienawiścią do Alii.

— Cisza — nakazał Imperator i przyjrzał się Alii z uwagą. — Czy możesz, dziecino, porozumieć się ze swoim bratem?

— Brat mój wie, że tu jestem — odparła Alia.

— Potrafisz mu powiedzieć, że ma się poddać za cenę twojego życia?

Alia uśmiechnęła się do niego z rozbrajającą szczerością.

— Nie zrobię tego — powiedziała.

Baron przywlókł się do Alii i stanął u jej boku.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł błagalnie — ja nic nie wiedziałem o…

— Jeszcze raz mi przerwiesz, baronie — powiedział Imperator — a stracisz zdolność przerywania… na wieki. — Nie odwracał wytężonej uwagi od Alii, przypatrując jej się bacznie spod zmrużonych powiek. — Nie zrobisz, hę? A czy umiesz wyczytać w moich myślach, co zrobię, jeżeli mnie nie posłuchasz?

— Już powiedziałam, że nie potrafię czytać w myślach — odparła — lecz nie potrzeba telepatii, by przejrzeć twe zamiary.

Imperator nachmurzył się.

— Twoja sprawa, dziecino, jest beznadziejna. Wystarczy tylko, bym skrzyknął swoje wojska, a z tej planety nie zostanie ani…

— To nie jest takie proste — rzekła Alia. Spojrzała na dwóch Gildian. — Zapytaj ich.

— Nie jest mądrze sprzeciwiać się moim życzeniom — powiedział Imperator. — Nie powinnaś mi odmawiać najdrobniejszej rzeczy.

— Mój brat już przybywa — rzekła Alia. — Nawet Imperator drży przed Muad'Dibem, ponieważ przy nim jest moc prawości i niebo do niego się uśmiecha.

Imperator zerwał się na nogi.

— Ta zabawa zaszła za daleko. Zetrę twego brata razem z tą planetą na…

Sala zadudniła i zatrzęsła się wokół nich. Za tronem posypała się kaskada piasku ze spojenia namiotu ze statkiem Imperatora. Raptowne pulsowanie skóry powiedziało im, że włączono tarczę szerokopolową.

— Mówiłam ci — rzekła Alia. — Mój brat przybywa.

Imperator stał przed tronem z przyciśniętą do prawego ucha dłonią, pod którą serwosłuchawka świergotała meldunek o sytuacji. Baron cofnął się o dwa kroki za plecy Alii. Sardaukarzy przeskakiwali na stanowiska pod drzwiami.

— Wycofamy się w kosmos i przegrupujemy — powiedział Imperator. — Baronie, winienem ci przeprosiny. Owi szaleńcy rzeczywiście atakują w samumie. Pokażemy im zatem imperatorski gniew. — Wskazał Alię. — Ją dajcie samumowi.

Na jego słowa Alia pierzchła do tyłu w udanym przerażeniu.

— Niech samum bierze, co ma wziąć! — zawołała. I padła w ramiona baronowi.

— Złapałem ją, Najjaśniejszy Panie — krzyknął baron. — Czy mam ją zabić od razuuuuuuuuuuuuuu! — Cisnął Alię na podłogę, łapiąc się kurczowo za lewą rękę.

— Przepraszam, dziadku — powiedziała Alia. — Nadziałeś się na atrydzki gom dżabbar.

Podniosła się na nogi i wypuściła z palców ciemną igłę. Baron zwalił się na plecy. Oczy wyszły mu z orbit, kiedy je wytrzeszczał na czerwone zadrapanie w zagłębieniu lewej dłoni.

— Ty… ty…

Przetoczył się na bok w swoich dryfach — bryła rozlewającego się ciała zawieszona kilka centymetrów nad posadzką, z obwisłą głową i rozdziawionymi ustami.

— Ci ludzie są obłąkani — warknął Imperator. — Szybko! Na statek. Oczyścimy tę planetę z wszelkiego…

Coś zaiskrzyło się po jego lewej stronie. Pocisk kulistego pioruna odbił się od ściany i z trzaskiem osiadł na posadzce. Woń spalonej izolacji rozeszła się po selamlik.

— Tarcza! — krzyknął jakiś oficer sardaukarów. — Opadła zewnętrzna tarcza! Oni…

Jego słowa zatonęły w metalicznym łoskocie, zatrzęsła się i rozkołysała ściana statku za plecami Imperatora.

— Odstrzelili nam dziobnicę statku! — rozległ się krzyk.

Pył kłębił się po sali. Pod jego osłoną Alia dała susa do bramy

wyjściowej. Imperator odwrócił się gwałtownie pokazując swoim ludziom na drzwi awaryjne, które uchyliły się za tronem w burcie statku. Machnięciem ręki zatrzymał oficera sardaukarów pędzącego skokami przez obłok pyłu.

— Tutaj stawimy czoło! — oznajmił.

Drugie uderzenie wstrząsnęło hangarem. Podwójne wrota rozwarły się z hukiem w przeciwległym końcu sali, wpuszczając kurzawę piasku i zgiełk krzyków. Przez chwilę widać było na tle światła maleńką, czarno odzianą sylwetkę Alii, jak wybiega na zewnątrz, znajduje nóż i zgodnie ze swym fremeńskim wyszkoleniem dobija rannego sardaukara i Harkonnena.

W zielonkawożółtym tumanie pałacowi sardaukarzy runęli do wyłomu z bronią w pogotowiu, formując tam półkole dla osłony odwrotu Imperatora.

— Ratuj się, sire! — krzyknął oficer sardaukarów. — Do statku!

Lecz Imperator stał samotnie na swym podwyższeniu, z ręką wyciągniętą w stronę drzwi. Czterdziestometrowy segment został wyrwany z baraku i drzwi selamlik wychodziły teraz na szybujący piasek. Nad światem wisiała nisko przy ziemi chmura pyłu niesionego z pastelowych dali. Elektrostatyczne błyskawice z trzaskiem leciały z chmury i widać było w tumanie snopy iskier buchających z tarcz, które przepalały się w zwarciu z ładunkiem samumu. Równina roiła się od sylwetek walczących sardaukarów i ludzi w burnusach — skaczących, wirujących, jakby spadali z błyskawicami samumu. Wszystko to stanowiło zaledwie oprawę dla celu, który wskazywała wyciągnięta ręka Imperatora. Z otchłani piaskowych oparów wysunęła się w ordynku chmara połyskliwych kształtów — ogromne, wyniosłe łuki z kryształowymi szprychami zamieniały się w rozdziawione paszcze czerwi pustyni, które szły zbitą ławą niosąc oddziały Fremenów do ataku. W trójkątnej formacji przecinały z sykiem pole bitwy; tylko burnusy łopotały Fremenom na wietrze. Mknęli na przełaj prosto na koszary Imperatora, podczas gdy sardaukarska gwardia stanęła w osłupieniu po raz pierwszy w swej historii oglądając szturm, który nie mieścił się w głowie. Lecz zeskakujące z grzbietów czerwi sylwetki były ludźmi, a ostrza połyskujące w owym złowrogim żółtym świetle były czymś, czemu sardaukarzy nauczeni byli stawiać czoło. Poszli w bój. I walczono pierś w pierś na równinie pod Arrakin, zaś doborowa sardaukarska straż przyboczna wcisnęła Imperatora do statku ryglując za nim drzwi i gotując się na śmierć pod tymi drzwiami jako część jego tarczy.

Oszołomiony względną ciszą wewnątrz statku Imperator spojrzał w szeroko rozwarte oczy swojej świty, na zaróżowione z wysiłku policzki najstarszej córki, na starą prawdomówczynię stojącą jak czarny cień z twarzą w obramowaniu kaptura, odnajdując wreszcie

twarze, których szukał — dwóch Gildian. Odziani byli w szarą barwę Gildii, bez jakichkolwiek ozdób, i ta szarość wydawała się licować ze spokojem, jaki zachowali wbrew wzburzonym emocjom dokoła. Wyższy z tej pary przyciskał wszelako dłoń do lewego oka. Kiedy Imperator mu się przyglądał, ktoś potrącił ramię Gildianina i dłoń przesunęła się ukazując oko. Mężczyzna zgubił jedno z maskujących szkieł kontaktowych i oko jego wyjrzało zupełnym błękitem, tak ciemnym, że aż prawie czarnym. Niższy z pary przepchnął się o krok bliżej Imperatora.

— My nie umiemy przewidzieć, jak to się potoczy.

A jego wyższy towarzysz, z dłonią znów przy oku, dodał ozięble:

— Ale ten Muad'Dib też nie umie przewidzieć.

Słowa wyrwały Imperatora z oszołomienia. Z widocznym wysiłkiem powstrzymał się od głośnej drwiny, ponieważ nie trzeba było aż nawigatora Gildii i jego jednotorowej koncentracji myśli na głównej szansie, by przewidzieć najbliższą przyszłość na otaczającej burty statku równinie. Czyżby ci dwaj byli tak uzależnieni od swego talentu, że utracili władzę w swych źrenicach i w rozumie? — zdumiał się.

— Matko Wielebna — powiedział — musimy obmyślić jakiś plan.

Ściągnęła z twarzy kaptur i spojrzała mu bez zmrużenia w oczy. Spojrzenie, które wymienili między sobą, było pełne zrozumienia. Jedna im pozostała broń i oboje ją znali: zdrada.

— Wezwij hrabiego Fenringa z jego kwatery — rzekła Matka Wielebna.

Padyszach Imperator kiwnął głową i dał znak jednemu ze swoich adiutantów, by wykonał to polecenie.

> *Był wojownikiem i apostołem, dżinem i świętym, lisem i niewiniątkiem, rycerski, okrutny, był mniej niż bogiem, więcej niż człowiekiem. Motywów Muad'Diba nie da się zmierzyć zwykłą miarą. W momencie swego triumfu ujrzał zgotowaną mu śmierć, a jednak zaakceptował tę zdradę. Czy można powiedzieć, że zrobił to z poczucia sprawiedliwości? Czyjej zatem sprawiedliwości? Nie zapominajcie, że teraz mówimy o Muad'Dibie, który nakazał sprawić bojowe werble ze skóry swoich wrogów, o Muad'Dibie, który konwencje swej książęcej przeszłości odrzucił jednym machnięciem ręki,*

stwierdzając jedynie: „Jestem Kwisatz Haderach. To wystarczający powód”.

z „Przebudzenia Arrakis” pióra księżniczki Irulan

Siedzibą, do której zwycięskiego wieczoru eskortowano Muad’Diba, był arrakiński pałac gubernatora, starożytna rezydencja zajęta przez Atrydów po przybyciu na Diunę. Budynek uchował się tak, jak go Rabban odrestaurował, właściwie nie tknięty w walkach, chociaż splądrowany przez ludzi z miasta. Niektóre meble w głównym hallu leżały wywrócone bądź połamane.

Paul wszedł głównym wejściem, Gurney Halleck i Stilgar o krok za nim. Ich eskorta rozsypała się wachlarzem po Wielkiej Sali, przywracając porządek i sprzątając salę dla Muad’Diba. Jedna z drużyn zajęła się sprawdzeniem, czy nie zostawiono tu żadnych pułapek.

— Pamiętam pierwszy dzień, kiedy przybyliśmy tu z twoim ojcem — powiedział Gurney. Rozejrzał się dokoła po belkach i wysokich okiennych szczelinach. — Wtedy nie podobało mi się to miejsce, a teraz jeszcze mniej mi się podoba. Któraś z naszych jaskiń była pewniejsza.

— Powiedziane, jak na prawdziwego Fremena przystało — rzekł Stilgar, zauważając chłodny uśmiech, jaki słowa jego wywołały na wargach Muad’Diba. — Nie zmienisz zdania, Muad’Dibie?

— Ta rezydencja jest symbolem — odparł Paul. — Mieszkał w niej Rabban. Zajmując tę siedzibę przypieczętuję swoje zwycięstwo w sposób zrozumiały dla wszystkich. Roześlij ludzi po budynku. Niczego nie dotykać. Upewnić się tylko, że Harkonnenowie nie pozostawili tu żadnych ludzi ani swoich zabawek.

— Jak każesz — powiedział Stilgar przesyconym niechęcią tonem, ale oddalił się posłusznie.

Do sali wpadli ludzie z łączności i zaczęli się rozkładać ze swoją aparaturą przy masywnym kominku. Gwardia fremeńska rozstawiła się dokoła sali wzmacniając ocalałych fedajkinów. Szemrali między sobą, krzyżowały się nieufne spojrzenia. Zbyt długo to miejsce było siedzibą wroga, aby przeszli do porządku nad swoją tu obecnością.

— Gurney, niech eskorta przyprowadzi moją matkę i Chani — powiedział Paul. — Czy Chani już wie o naszym synu?

— Wysłano wiadomość, mój panie.

— Czy wyprowadzają już stworzycieli z basenu?

— Tak, mój panie. Samum prawie ucichł.

— Jakie są rozmiary szkód wyrządzonych przez samum? — zapytał Paul.

— Tak jak szedł, przez lądowisko i składy przyprawy na równinie, poczynił rozległe szkody — odparł Gurney. — Samum i walki po równo.

— Mniemam, że pieniądze przywrócą wszystko — rzekł Paul.

— Z wyjątkiem poległych, mój panie — odparł Gurney z wymówką w głosie, jakby chciał powiedzieć: „Od kiedyż to Atryda martwi się o rzeczy, gdy w grę wchodzą ludzie?”

Lecz Paul potrafił skupić uwagę jedynie na oglądanych jasnowidzącym okiem szczelinach w ścianie czasu, która nadal zagradzała mu drogę. Z każdej szczeliny buchała dżihad szalejąca po korytarzach przyszłości. Z westchnieniem ruszył na drugą stronę sali, gdzie dojrzał krzesło pod ścianą. To krzesło stało kiedyś w jadalni i może siedział na nim nawet jego własny ojciec. Jednakże w tej chwili było wyłącznie przedmiotem pozwalającym ulżyć zmęczeniu i ukryć je przed ludźmi. Siadł obciągając burnus na nogach, poluzował kołnierz filtrfraka.

— Imperator zaszył się na dobre pod szczątkami swego statku — odezwał się Gurney.

— Trzymajcie go tam na razie — powiedział Paul. — Znaleźli już Harkonnenów?

— Ciągle sprawdzają poległych.

— Jaka odpowiedź ze statków w górze? — wskazał brodą ku sufitowi.

— Jeszcze milczą, mój panie.

Paul westchnął i opadł na oparcie krzesła. Po chwili powiedział:

— Sprowadź mi pojmanego sardaukara. Musimy przesłać wiadomość naszemu Imperatorowi. Czas omówić warunki.

— Tak jest mój panie.

Gurney oddalając się przekazał dłonią sygnał jednemu z fedajkinów, który zajął miejsce osobistej ochrony Paula.

— Gurney — wyszeptał Paul. — Jako że znów jesteśmy razem, muszę jeszcze usłyszeć od ciebie odpowiednią cytatę z okazji dzisiejszych wydarzeń.

Obejrzał się i zobaczył, że Gurney przełyka ślinę, że nagle zaciska posępnie szczęki.

— Jak sobie życzysz, mój panie — powiedział Gurney. Odchrząknął i przemówił chrapliwie:

— „I zwycięstwo dnia tego stało się żałobą wszystkim ludziom, jako że dnia tego doszła ich wieść o tym, jak król płakał po stracie syna”.

Paul zamknął oczy wyrzucając rozpacz ze swoich myśli, odkładając ją na później tak, jak kiedyś odłożył opłakiwanie ojca. Oddał teraz swoje myśli nagromadzonym tego dnia odkryciom — splątanym drogom przyszłości i potajemnej wizycie Alii w jego jaźni.

Ze wszystkich zastosowań czaso-widzenia to było najdziwniejsze. „Rzuciłam wyzwanie przyszłości, by złożyć moje słowa tam, gdzie tylko ty je usłyszysz” — powiedziała wtedy Alia. — „Nawet ty tego nie potrafisz, mój bracie. To dla mnie interesująca zabawa. I… och, racja… zabiłam naszego dziadka, starego, obłąkanego barona. Bardzo mało cierpiał”.

Cisza. W swoim wyczuciu czasu widział, jak się wycofała.

— Muad’Dibie.

Paul otworzył oczy i ujrzał nad sobą czarnobrode oblicze Stilgara z nie wygasłym ogniem bitwy w ciemnych oczach.

— Znaleźliście ciało starego barona — rzekł Paul.

Oniemienie ogarnęło całą cielesną istotę Stilgara.

— Skąd możesz wiedzieć? — wyszeptał. — Dopiero co natknęliśmy się na zwłoki w tym ogromnym stosie metalu wzniesionym przez Imperatora.

Paul zignorował pytanie dostrzegając Gurneya wracającego w asyście dwóch Fremenów, którzy przytrzymywali wziętego do niewoli sardaukara.

— Oto jeden z nich, mój panie — powiedział Gurney. Gestem nakazał strażnikom zatrzymać jeńca pięć kroków przed Paulem.

Szkliste oczy sardaukara wyrażały szok. Paul dostrzegł siną pręgę biegnącą od grzbietu jego nosa do kącika ust. Należał do kasty sardaukarów o jasnych włosach i ostrych rysach, które to cechy wydawały się iść u nich w parze z szarżą, chociaż na jego poszarpanym mundurze nie było żadnych insygniów prócz złotych guzików z imperialnym herbem i wystrzępionych lampasów na spodniach.

— Myślę, że ten typ jest oficerem, mój panie — powiedział Gurney.

Paul kiwnął głową.

— Jestem książę Paul Atryda. Czy to dla ciebie jasne, człowieku?

Sardaukar wpatrywał się w niego bez drgnienia.

— Gadaj — powiedział Paul — bo zginie twój Imperator.

Mężczyzna zamrugał, przełknął ślinę.

— Kto ja jestem? — zapytał Paul.

— Ty jesteś książę Paul Atryda — powiedział zduszonym głosem mężczyzna.

Zanadto uległy wydał się Paulowi, lecz z drugiej strony sardaukarzy nie zostali przygotowani na takie jak dzisiejsze wydarzenia. Znali tylko smak zwycięstwa, co mogło stanowić — uświadomił sobie Paul — słabość samą w sobie. Odłożył tę myśl na później, by ją uwzględnić we własnym programie szkoleniowym.

— Chcę, abyś przekazał ode mnie wiadomość Imperatorowi — rzekł Paul. I ubrał swoją wypowiedź w słowa starożytnej formuły: —

Ja, książę wysokiego rodu, krewniak imperialny, daję zgodnie z konwencją moje słowo jako rękojmię. Jeśli Imperator i jego ludzie złożą broń i przybędą tu do mnie, ręczę za ich życie swoim własnym. — Uniósł lewą dłoń, aby sardaukar widział książęcy sygnet. — Przysięgam na to.

Mężczyzna zwilżył językiem wargi, zerkając na Gurneya.

— Tak — rzekł Paul. — Któż jak nie Atryda mógłby cieszyć się hołdem Gurneya Hallecka?

— Zaniosę wiadomość — powiedział sardaukar.

— Zaprowadź go na nasze wysunięte stanowisko dowodzenia i wypraw — nakazał Paul.

— Tak jest, mój panie — Gurney skinął na eskortę i powiódł ich za sobą.

Paul odwrócił się do Stilgara.

— Przybyła Chani i twoja matka — powiedział Stilgar. — Chani prosiła, by ją na trochę zostawić samą z jej rozpaczą. Matka Wielebna spędzą chwile w magicznym pokoju, nie wiem po co.

— Moja matka cierpi z tęsknoty za planetą, której może nigdy nie zobaczy — powiedział Paul. — Na której woda pada z niebios, a rośliny wschodzą tak bujnie, że nie można między nimi przejść.

— Woda z niebios — szepnął Stilgar.

W tym momencie Paul ujrzał, jakiej Stilgar uległ przemianie — z fremeńskiego naiba w istotę oddaną Lisanowi al-Gaibowi, w zwierciadło czci i pokory. To było pomniejszenie człowieka i Paul wyczuwał w tym widmowy wicher dżihad. Zobaczyłem, jak przyjaciel staje się wyznawcą — pomyślał. W przystępie osamotnienia rozejrzał się po sali, dostrzegając, jak akuratna i paradna zrobiła się gwardia w jego obecności. Wychwycił subtelną, chełpliwą rywalizację między nimi, nadzieję każdego, że Muad'Dib go zauważy. Muad'Dib, od którego wszelka łaska spływa — pomyślał i była to najbardziej gorzka myśl w jego życiu. Oni przeczuwają, że muszę sięgnąć po tron — przyszło mu do głowy. Ale nie wiedzą, że robię to, aby zapobiec dżihad.

Stilgar odchrząknął.

— Rabban też zginął — powiedział.

Paul kiwnął głową. Straże z prawa złamały szyki, by zrobić przejście Jessice, i stanęły na baczność. Odziana w czarną abę szła krokiem, który przywodził na myśl kroczenie po piasku, lecz Paul zauważył, że ten pałac przywrócił jej coś z tego, czym kiedyś w nim była — z konkubiny panującego księcia. W jej postawie były ślady dawnej pewności siebie.

Jessika stanęła przed Paulem i spojrzała nań z góry. Dostrzegła jego zmęczenie i to, że stara się je ukryć, ale nie znajdowała dla niego współczucia: Czuła się tak, jakby wyprano ją z wszelkich uczuć do

własnego syna.

Wkraczając do Wielkiej Sali zastanawiała się, dlaczego ta sala nie chce wejść gładko na swoje miejsce w jej wspomnieniach. Pozostała obca, jak gdyby Jessika nigdy tędy nie chadzała, jakby nigdy nie przechodziła tędy ze swym ukochanym Leto, nigdy tu nie stała przed pijanym Duncanem Idaho — nigdy, nigdy, nigdy… Powinien istnieć termin stanowiący przeciwieństwo adab, władczej pamięci — pomyślała. Powinno istnieć słowo oznaczające wspomnienia, które wypierają się samych siebie.

— Gdzie Alia? — zapytała.

— Na dworze, robi to, co każde dobre fremeńskie dziecko powinno robić w takich chwilach — odparł Paul. — Dobija rannych wrogów i oznacza ich ciała dla drużyn wodmistrzów.

— Paul!

— Musisz zrozumieć, że ona to robi z miłosierdzia — rzekł. — Czy to nie dziwne, jak my opacznie rozumiemy ukrytą jedność miłosierdzia i okrucieństwa?

Jessika wpatrywała się w syna, wstrząśnięta jego głęboką przemianą. Czy śmierć dziecka tak na niego podziałała? — zastanowiła się.

— Ludzie opowiadają o tobie dziwne historie, Paul — rzekła. — Mówią, że posiadasz wszystkie legendarne moce, że nic się przed tobą nie ukryje, że widzisz to, czego inni nie widzą.

— Bene Gesserit pyta o legendy?

— Czymkolwiek jesteś, ja przyłożyłam do tego ręki — przyznała — ale nie oczekuj ode mnie, że…

— A czy chciałabyś żyć miliardem miliardów żywotów? — spytał Paul. — Masz tu kanwę swoich legend! Pomyśl o tych wszystkich przeżyciach, o mądrości, jaka jest w nich zawarta. Lecz mądrość powściąga miłość, nieprawdaż? I nadaje nowy kształt nienawiści. Jak można poznać, co jest bezlitosne, jeżeli się nie zgruntuje głębin zarówno okrucieństwa, jak i miłosierdzia? Powinnaś się mnie lękać, matko. Jestem Kwisatz Haderach.

Jessika nie mogła przełknąć. Po chwili odezwała się:

— Kiedyś zaprzeczyłeś, jakobyś był Kwisatz Haderach.

Paul pokręcił głową.

— Niczemu już nie mogę zaprzeczać. — Spojrzał w górę w jej oczy. — Właśnie nadchodzi Imperator ze swymi ludźmi. Zapowiedzą ich lada chwila. Stań u mego boku. Chcę im się dobrze przyjrzeć. Moja przyszła narzeczona będzie wśród nich.

— Paul! — skarciła go Jessika. — Nie rób błędu, jaki popełnił twój ojciec!

— Ona jest księżniczką — odparł Paul. — Jest moim kluczem do tronu i nigdy nie będzie niczym więcej. Błąd? Sądzisz, że skoro jestem

taki, jakim mnie uczyniłaś, to nie potrafię żywić uczucia zemsty?

— Nawet na niewinnych? — Mówiąc to myślała: jemu nie wolno błądzić, tak jak ja błądziłam.

— Nie ma już niewinnych — rzekł Paul.

— Powiedz to Chani — Jessika wskazała przejście na tyły rezydencji. Chani weszła nim do Wielkiej Sali, krocząc między fremeńskimi gwardzistami, jakby ich nie widziała. Kaptur i kołpak filtrtraka odrzuciła na plecy, maskę miała ściągniętą na bok. Stąpając z kruchą niepewnością przeszła przez salę i zatrzymała się obok Jessiki. Paul dostrzegł ślady łez na jej policzkach. Ona daje wodę umarłym. Poczuł przeszywające ukłucia rozpaczy, ale było to tak, jakby jej doznawał tylko poprzez obecność Chani.

— On nie żyje, ukochany — powiedziała Chani. — Nasz syn nie żyje.

Paul dźwignął się na nogi, panując nad sobą siłą woli. Wyciągnął rękę i dotknął policzka Chani, czując wilgoć jej łez.

— Nic go nie zastąpi — powiedział — ale będą inni synowie. To ci przyrzeka Usul. — Łagodnie odsunął ją na bok i skinął na Stilgara.

— Muad'Dibie — odezwał się Stilgar.

— Nadchodzą ze statku. Imperator ze swymi ludźmi — powiedział Paul. — Ja tu zostanę. Jeńców zbierz na otwartej przestrzeni pośrodku sali. Będziemy ich trzymać w odległości dziesięciu metrów ode mnie, chyba że wydam inne polecenie.

— Jak każesz, Muad'Dibie.

Kiedy Stilgar oddalał się, by wykonać rozkaz, Paul pochwycił pełne nabożnej trwogi szepty gwardzistów:

— Widzicie? On wiedział! Nikt mu nie mówił, a on wiedział!

Słychać już było nadciąganie orszaku Imperatora, jego sardaukarzy nucili jedną ze swych marszowych pieśni dla dodania sobie animuszu. Rozległ się szmer głosów pod drzwiami, Gurney Halleck minął straż, poszedł naradzić się ze Stilgarem, po czym zbliżył się do Paula patrząc nań z dziwnym wyrazem w oczach. Czy Gurneya też stracę? — myślał Paul. — W taki sposób, jak straciłem Stilgara — pozbywając się przyjaciela w zamian za niewolnika?

— Nie mają broni miotającej — powiedział Gurney. — Sam tego dopilnowałem. — Rozejrzał się po sali oglądając przygotowania Paula. — Jest z nimi Feyd-Rautha Harkonnen. Mam go wyłuskać?

— Zostaw go.

— Są również jacyś ludzie Gildii, którzy domagają się szczególnych przywilejów, grożąc Arrakis embargiem. Przyrzekłem im, że ci przekażę tę wiadomość.

— Niech sobie grożą.

— Paul! — syknęła za jego plecami Jessika. — On mówi o Gildii!

— Wkrótce im przytrę rogów — odparł Paul.

I wówczas pomyślał o Gildii, o sile, która tak długo się specjalizowała, aż zamieniła się w pasożyta, niezdolnego do egzystencji niezależnej od istnienia swego żywiciela. Nigdy nie odważyli się chwycić za broń… i teraz nie było ich na to stać. Mogli zdobyć Arrakis, kiedy zdali sobie sprawę z pomyłki, jaką było ograniczenie się do melanżowego narkotyku widma świadomości dla nawigatorów. Mogli to zrobić, mogli przeżyć swój dzień chwały i zginąć. Zamiast tego wegetowali z dnia na dzień, żywiąc się nadzieją, że przemierzane przez nich oceany zrodzą nowego gospodarza, gdy dotychczasowy umrze. Nawigatorzy Gildii, obdarzeni darem wąskiego jasnowidzenia, podjęli fatalną decyzję: zawsze obierają pewny, bezpieczny kurs, wiodący coraz dalej w głąb stagnacji. Niechaj dobrze się przypatrzą swemu nowemu gospodarzowi — pomyślał Paul.

— Jest też jakaś Matka Wielebna Bene Gesserit, która powołuje się na przyjaźń z twoją matką — powiedział Gurney.

— Moja matka nie ma żadnych przyjaciółek Bene Gesserit.

Gurney znowu rozejrzał się po Wielkiej Sali, następnie pochylił się nisko Paulowi do ucha.

— Thufir Hawat tam jest, mój panie. Nie miałem okazji widzieć się z nim w cztery oczy, ale on za pomocą naszych starych znaków migowych powiadomił mnie, że współpracuje z Harkonnenami, myślał, że ty nie żyjesz.

— Zostawiłeś Thufira z tymi…

— On sam chciał… i sądziłem, że tak będzie najlepiej. Jeśli… coś tu nie gra, tam gdzie jest, mamy go na oku. Jeśli wszystko w porządku, to mamy ucho w obozie przeciwnika.

Paulowi przemknęły w tym momencie przez głowę wieszcze wizje prawdopodobieństw tej chwili, wśród nich jedna czasolinia z Thufirem trzymającym zatrutą igłę, której na rozkaz Imperatora miał użyć przeciwko„temu parweniuszowskiemu księciu”.

Straże rozstąpiły się w drzwiach formując krótki szpaler lanc. Rozległ się szeleszczący poszum odzieży i zgrzyt piasku nawianego do rezydencji. Padyszach Imperator Szaddam IV wkroczył do sali na czele swojego orszaku. Stracił gdzieś hełm bursega i rude włosy sterczały mu w nieładzie. Lewy rękaw jego munduru rozpruł się wzdłuż wewnętrznego szwu. Był bez pasa i broni, lecz aura własnej osobowości towarzyszyła mu niczym bąbel pola tarczy, okalając jego sylwetkę pustą przestrzenią. Fremeńska lanca zagrodziła mu drogę i zatrzymała go tam, gdzie rozkazał Paul. Pozostali zbili się za nim w mozaikę barw, szurania stóp i zagapionych twarzy.

Omiatając spojrzeniem tę gromadę Paul dostrzegał pozacierane ślady łez u kobiet, widział dworaków, którzy przybyli zasiąść na głównej trybunie widowiska pod nazwą zwycięstwo, a teraz stali w milczeniu z gardłami zdławionymi klęską. Zauważył ptasio bystre

źrenice Matki Wielebnej Gaius Helen Mohiam płonące pod czarnym kapturem, u jej boku zaś przyczajoną wrogość Feyda-Rauthy Harkonnena. Tę twarz czas mi objawił — pomyślał Paul. Na skutek poruszenia spojrzał następnie dalej za Feyda-Rauthę i ujrzał tam wąską, łasiczą twarz, z którą nigdy nie zetknął się do tej pory — ani w czasie, ani poza nim. Była to twarz, którą czuł, że powinien znać, i uczucie to zawierało w sobie sygnał trwogi. Dlaczego miałbym się bać tego człowieka? — zdumiał się. Nachylił się do matki.

— Tamten mężczyzna na lewo od Matki Wielebnej — szepnął — ten, któremu źle patrzy z oczu, kto to jest?

Spojrzawszy we wskazaną stronę Jessika rozpoznała twarz z kartoteki swego księcia.

— Hrabia Fenring. Ten, co był tutaj bezpośrednio przed nami. Genetyczny eunuch… i zabójca.

Imperatorski chłopiec na posyłki — pomyślał Paul. I owa myśl wstrząsnęła posadami jego świadomości, ponieważ oglądał Imperatora w nieprzebranych kombinacjach rozrzuconych po prawdopodobnych przyszłościach, lecz ani razu hrabia Fenring nie pojawił się w tych proroczych wizjach. Paulowi przyszło nagle na myśl, że widział swoje własne zwłoki na niezliczonych niciach pajęczyny czasu, jednak nigdy nie zobaczył momentu swej śmierci.

Czy migawkowy widok tego człowieka nie był mi dany, ponieważ to on właśnie mnie zabije? — pomyślał Paul. To podejrzenie przeszyło go złym przeczuciem. Oderwał spojrzenie od Fenringa przyglądając się z kolei niedobitkom sardaukarskich żołnierzy i oficerów, twarzom pełnym goryczy i desperacji. Niektóre z nich przykuły na chwilę uwagę Paula: oficerowie sardaukarów lustrowali stan przygotowań w tej sali, jeszcze teraz spiskując i głowiąc się nad sposobem obrócenia klęski w zwycięstwo. Na koniec uwaga Paula spoczęła na wysokiej blondynce o zielonych oczach, której twarz arystokratycznej piękności, klasycznie wyniosła, nie skażona łzami, pozostała do końca niepokonana. Poznał ją nie pytając nikogo — księżniczka tronu, wykształcona Bene Gesserit, której twarz pokazywała mu wizja czasu w wielu sytuacjach: Irulan. Oto mój klucz — pomyślał.

Wtem dostrzegł zamieszanie w ciżbie ludzi, z której wyłoniła się twarz i postać — Thufir Hawat, jego pomarszczone, starcze rysy, ciemno zabarwione wargi, przygarbione ramiona uginające się pod brzemieniem lat.

— Tam stoi Thufir Hawat — powiedział Paul. — On jest wolny.

— Panie — rzekł Gurney.

— On jest wolny — powtórzył Paul.

Gurney skinął głową. Hawat wystąpił utykając. Załzawione oczy spozierały badawczo na Paula, taksując, czegoś szukając. Paul zrobił krok do przodu, dotarto do niego pełne napięcia, wyczekujące

poruszenie Imperatora i jego ludzi. Spojrzenie Hawata utkwiło za Paulem.

— Lady Jessiko, dopiero dzisiaj dowiedziałem się, jak niesłusznie cię posądziłem w myślach. Nie musisz mi wybaczać — powiedział stary człowiek.

Paul czekał, lecz jego matka zachowała milczenie.

— Thufir, stary druhu — rzekł Paul — jak widzisz nie stoję plecami do żadnych drzwi.

— Wszechświat jest pełen drzwi — odparł Hawat.

— Czy jestem godnym synem swego ojca? — zapytał Paul.

— Bardziej przypominasz dziadka — zachrypiał Hawat. — Masz jego postawę i jego spojrzenie.

— A jednak jestem godnym synem swego ojca — powiedział Paul. — Bo oto powiadam ci, Thufir, że w nagrodę za lata służby dla mej rodziny możesz mnie teraz prosić, o co tylko zechcesz. Absolutnie o wszystko. Czy chcesz teraz mojego życia, Thufir? Jest twoje.

Z rękami opuszczonymi Paul zrobił drugi krok do przodu, widząc, jak w oczach Hawata pojawia się wyraz zrozumienia. On ma świadomość, że wiem o zdradzie — pomyślał Paul. Zniżając głos do półszeptu, aby dochodził jedynie do uszu Hawata powiedział:

— Mówię poważnie, Thufir. Jeśli masz uderzyć, zrób to teraz.

— Ja jedynie pragnąłem jeszcze jeden raz stanąć przed tobą, mój książę — rzekł Hawat.

Po raz pierwszy Paul zdał sobie sprawę, ile wysiłku wkłada stary człowiek w utrzymanie się na nogach. Paul wyciągnął ręce i objął Hawata za ramiona, czując drżenie mięśni pod swym dłońmi.

— Czy to boli, stary druhu? — zapytał.

— To boli, mój książę — zgodził się Hawat — ale moja radość jest większa. — Na wpół odwrócił się i wyciągnął w stronę Imperatora lewą rękę dłonią do góry, pokazując maleńką igłę w zagłębieniu między palcami. — Widzisz, Królewska Mość? — zawołał. — Widzisz igłę swojego zdrajcy? Czy myślałeś, że ja, który poświęciłem swe życie służbie Atrydom, teraz im mniej oddam?

Paul zachwiał się, kiedy stary człowiek zwiotczał mu w ramionach, wyczuł śmierć, jej ostateczny bezwład. Delikatnie złożył Hawata na posadzce, wyprostował się i dał znak straży, by zabrano ciało. Sala zamarła w ciszy, gdy spełniano jego polecenie. Twarz Imperatora zastygła w wyczekiwaniu jak pośmiertna maska. Oczy, które nigdy nie przyznały się do trwogi, zdradziły ją wreszcie.

— Wasza Miłość — rzekł Paul i zauważył zaskoczenie wysokiej księżniczki tronu, która drgnęła nastawiając ucha. Słowa zostały wypowiedziane z atonalną modulacją Bene Gesserit, wyrażając brzmieniem wszystkie odcienie pogardy i szyderstwa, jakie Paul zdołał w nich zawrzeć. Rzeczywiście wyszkolona Bene Gesserit — pomyślał.

Imperator odchrząknął.

— Być może mojemu szacownemu krewniakowi wydaje się, że ma już wszystko w garści. Nie ma nic bardziej mylnego. Pogwałcił Konwencję, użył broni jądrowej przeciwko…

— Użyłem broni jądrowej przeciwko naturalnej barierze pustyni — rzekł Paul. — Stała na mojej drodze, a chciałem jak najszybciej dotrzeć do ciebie, Wasza Miłość, i poprosić cię o wyjaśnienie niektórych twoich dziwnych posunięć.

— Zmasowana armada wysokich rodów okupuje w tej chwili przestworza nad Arrakis — powiedział Imperator. — Wystarczy jedno moje słowo i…

— Ach, racja — odparł Paul. — Prawie o nich zapomniałem. — Przejrzał świtę Imperatora, aż dostrzegł twarze dwóch Gildian i spytał Gurneya na stronie: — Czy to są agenci Gildii, Gurney, tam, takie dwa grubasy odziane na szaro?

— Tak, mój panie.

— Wy dwaj — Paul wskazał palcem. — Wyłaźcie stamtąd natychmiast i zawiadomcie tę flotę, że ma wracać do domu. Jak to zrobicie, zwrócicie się do mnie o pozwolenie zanim…

— Gildia nie słucha twoich rozkazów! — warknął wyższy z dwóch. On i jego towarzysz przecisnęli się do bariery lanc, która uniosła się na skinienie Paula. Mężczyźni wystąpili i wyższy mierząc ręką w Paula powiedział:

— Ani się obejrzysz, jak nałożone zostanie embargo za twoje…

— Jeśli usłyszę jeszcze jakieś bzdury od któregokolwiek z was — oznajmił Paul — wydam rozkaz zniszczenia całej produkcji przyprawy Arrakis… na zawsze.

— Czyś ty oszalał? — Wysoki Gildianin cofnął się o pół kroku.

— Zatem przyznajesz, że jestem w stanie to zrobić? — zapytał Paul.

Wydawało się, że Gildianin przez chwilę wpatruje się w przestrzeń, nim odparł:

— Tak, mógłbyś, ale nie wolno ci tego zrobić.

— Aaach — powiedział Paul i ze zrozumieniem pokiwał głową. — Nawigatorzy Gildii, obaj, co?

— Tak!

Niższy z dwójki odezwał się:

— Oślepiłbyś również siebie i skazał nas wszystkich na powolną śmierć. Czy ty masz w ogóle pojęcie, co oznacza pozbawienie przyprawowego likworu człowieka już uzależnionego?

— Oko, które spogląda w przyszłość czuwając nad bezpiecznym kursem, zamknie się na zawsze — powiedział Paul. — Gildia będzie sparaliżowana. Ludzkość zamieni się w małe, odizolowane mrowiska na swych odizolowanych planetach. Wiecie co, ja mógłbym to zrobić z

czystej złośliwości albo z nudów.

— Pomówmy o tym na osobności — zaproponował wyższy Gildianin. — Jestem przekonany, że dojdziemy do jakiegoś kompromisu, to znaczy…

— Przekażcie wiadomość swoi ludziom nad Arrakis — powiedział Paul. — Mam już dosyć tej dyskusji. Jeżeli flota, która jest nad nami, wkrótce nie odleci, nie będziemy mieli o czym gadać. — Wskazał głową swoją grupę łączności pod ścianą. — Możecie skorzystać z naszej aparatury.

— Najpierw musimy to omówić — upierał się wysoki Gildianin. — My nie możemy ot tak sobie…

— Rób, co mówię! — warknął Paul. — Możliwość zniszczenia czegoś oznacza absolutną nad tym władzę. Przyznaliście, że mam tę możliwość. Nie jesteśmy tu ani żeby dyskutować, ani dla negocjacji czy układów. Wykonacie moje rozkazy albo poniesiecie natychmiastowe konsekwencje!

— On mówi poważnie — powiedział niższy Gildianin.

Paul zobaczył, jak ogarnia ich przerażenie. Obaj z wolna powędrowali do fremeńskich urządzeń telekomunikacyjnych.

— Posłuchają się ciebie? — zapytał Gurney.

— Oni mają dar zawężonego widzenia czasu — odparł Paul. — Potrafią sięgnąć spojrzeniem w przyszłość do ślepej ściany oznaczającej konsekwencje nieposłuszeństwa. Każdy nawigator Gildii na każdym statku nad nami wybiega okiem w przyszłość ku tej samej ścianie. Posłuchają.

Paul odwrócił się i spojrzał na Imperatora.

— Kiedy pozwalali ci zasiąść na tronie twego ojca, zrobili to tylko pod warunkiem, że utrzymasz dopływ przyprawy. Zawiodłeś ich, Wasza Królewska Mość. Czy wiesz, jakie są tego konsekwencje?

— Nikt mi nie pozwalał…

— Przestań udawać głupiego — warknął Paul. — Gildia przypomina nadrzeczną osadę. Potrzebuje wody, lecz potrafi jedynie czerpać na swoje potrzeby. Nie może tamą przegrodzić rzeki i panować nad nią, ponieważ zwróci uwagę na to, ile czerpie, co prowadzi do ostatecznej ruiny. Dopływ przyprawy jest ową rzeką, ja zaś postawiłem tamę. Ale taką tamę, której nie da się zniszczyć bez zniszczenia rzeki.

Imperator przejechał ręką po rudej czuprynie, zerknął na plecy dwóch Gildian.

— Nawet twoja prawdomówczyni Bene Gesserit drży teraz — powiedział Paul. — Istnieją inne trucizny, które Matki Wielebne mogą stosować do swych sztuczek, ale jak raz użyły przyprawowego serum, wszystkie inne przestały działać.

Stara kobieta obciągnęła na sobie czarne, niezgrabne szaty i

przepchnęła się na przód stając przy barierze lanc.

— Matko Wielebna Gaius Helen Mohiam — rzekł Paul — dużo czasu minęło od Kaladanu, nieprawdaż?

Jej spojrzenie minęło go i spoczęło na matce.

— No cóż, Jessiko, widzę, że twój syn jest rzeczywiście tym jedynym. Za to można ci wybaczyć nawet złego ducha twej córki.

Paul powściągnął przeszywającą go zimną wściekłość.

— Nigdy nie miałaś prawa ani powodu wybaczać czegokolwiek mojej matce! — powiedział.

Stara sczepiła się z nim spojrzeniem.

— Spróbuj na mnie swoich sztuczek, stara wiedźmo — rzekł Paul. — Gdzie się podział twój gom dżabbar? Spróbuj sięgnąć wzrokiem w to miejsce, gdzie nie odważysz się spojrzeć! Tam mnie znajdziesz i tam ci zajrzę w ślepia!

Stara kobieta spuściła oczy.

— Nie masz nic do powiedzenia? — zapytał Paul.

— Przyjęłam cię w poczet istot ludzkich — zamruczała. — Nie pokalaj tego.

Paul podniósł głos:

— Popatrzcie na nią, towarzysze! To jest Matka Wielebna Bene Gesserit, cierpliwa w wymagającej cierpliwości sprawie. Potrafiła ze swymi siostrami czekać przez dziewięćdziesiąt pokoleń, aż właściwe połączenie genów i środowiska wyda tego jednego jedynego osobnika niezbędnego do ich knowań. Popatrzcie na nią! Ona już wie, że dziewięćdziesiąt pokoleń zrodziło tego osobnika. Oto… ja… stoję… tu… ale… nigdy… nie będę… posłuszny… jej… rozkazom!

— Jessika! — krzyknęła stara kobieta. — Ucisz go!

— Sama go ucisz — odparła Jessika.

Paul utkwił w starej kobiecie pełne nienawiści spojrzenie.

— Za twój udział w tym wszystkim najchętniej kazałbym cię udusić — powiedział. — Nie mogłabyś temu zapobiec! — dodał widząc, że rzuciło nią z wściekłości. — Ale uważam, że większą poniesiesz karę dożywając swoich lat i nie będąc w stanie położyć na mnie ręki ani nagiąć mnie choćby w najdrobniejszej sprawie do swoich intryg.

— Jessika, cóżeś ty uczyniła? — spytała starucha.

— Jedno ci tylko przyznam — ciągnął Paul. — Wyście dostrzegły część tego, co niezbędne naszej rasie, ale jakże kiepsko to dostrzegłyście. Chcecie kierować hodowlą ludzi i krzyżować paru wybrańców według swojego nadrzędnego planu! Jakże niewiele rozumiecie z tego, co…

— Nie wolno ci mówić o tych sprawach! — syknęła stara.

— Milcz! — ryknął Paul.

Wydawało się, że to słowo wirując w powietrzu pomiędzy nimi

tężeje z woli Paula w kamień. Stara zatoczyła się do tyłu w ramiona tych, co za nią stali, z twarzą zbielałą pod wpływem szoku wywołanego siłą, z jaką Paul zawładnął jej duszą.

— Jessika — wyszeptała. — Jessika.

— Ja pamiętam twój gom dżabbar — rzekł Paul. — Ty zapamiętaj mój. Mogę cię zabić jednym słowem!

Rozstawieni wokół sali Fremeni popatrzyli po sobie porozumiewawczo. Czyż legenda nie głosiła: „A słowa jego będą nieść wieczną śmierć tym, którzy obrócą się przeciwko sprawiedliwości?" Paul przeniósł spojrzenie na wysoką księżniczkę tronu stojącą u boku Imperatora ojca. Nie odrywając od niej skupionej uwagi, powiedział:

— Wasza Królewska Mość, obaj znamy sposób wyjścia z trudności.

Imperator zerknął najpierw na córkę, potem na Paula.

— Ośmielasz się? Ty! Włóczęga bez rodziny, takie nic z…

— Już stwierdziłeś, kim jestem — wtrącił Paul. — Królewskim krewniakiem, jak sam powiedziałeś. Skończmy z tym nonsensem.

— Jestem twoim władcą — powiedział Imperator.

Paul rzucił okiem na Gildian stojących teraz przy aparaturze telekomunikacyjnej i zwróconych twarzami w jego stronę. Jeden z nich skinął głową.

— Mógłbym przeprowadzić to siłą — rzekł Paul.

— Nie ośmielisz się! — syknął Imperator.

Paul tylko mu się przypatrywał. Księżniczka tronu położyła dłoń na ramieniu ojca.

— Ojcze — Jej głos był miękki jak jedwab, kojący.

— Nie próbuj na mnie swoich sztuczek — powiedział Imperator. Spojrzał na nią. — Nie musisz tego robić, córko. Mamy inne możliwości, aby…

— Ale tu oto jest mężczyzna, który nadaje się na twego syna — odparła.

Stara Matka Wielebna odzyskawszy już panowanie nad sobą przecisnęła się do Imperatora, nachyliła do jego ucha i zaczęła coś szeptać.

— Wstawia się za tobą — powiedziała Jessika.

Paul nie spuszczał oczu ze złotowłosej księżniczki.

— To jest Irulan, najstarsza, prawda? — spytał matkę półgłosem.

— Tak.

Chani zbliżyła się do Paula z drugiej strony.

— Czy życzysz sobie, abym odeszła, Muad'Dibie?

Popatrzył na nią.

— Odeszła? Ty już nigdy ode mnie nie odejdziesz.

— Nas nic nie wiąże — powiedziała Chani.

— Ze mną mów tylko prawdę, Sihaja. — Kiedy otwierała usta do

odpowiedzi, zamknął je kładąc jej palec na wargach. — To, co nas wiąże, nie da się rozwiązać — rzekł. — Przypatruj się teraz temu wszystkiemu dokładnie, ponieważ chciałbym później zobaczyć tę salę poprzez twą mądrość.

Imperator i jego prawdomówczyni toczyli ożywiony spór ściszonymi głosami. Paul zwrócił się do matki:

— Ona mu przypomina, że osadzenie Bene Gesserit na tronie stanowi część ich umowy i że Irulan jest tą, którą do tego przysposobili.

— Czyżby taki był ich plan? — spytała Jessika.

— Czy to nie oczywiste? — odpowiedział pytaniem.

— Trudno tego nie zauważyć! — odburknęła Jessika. — Moje pytanie miało ci przypomnieć tylko, że nie powinieneś pouczać mnie w tych sprawach, w których sama cię szkoliłam.

Paul rzucił na nią okiem i pochwycił chłodny uśmieszek na jej ustach. Gurney Halleck nachylił się pomiędzy nim a matką.

— Przypominam ci, mój panie, że w tej bandzie jest Harkonnen — ruchem głowy wskazał w lewo, gdzie przyparty do bariery lanc stał ciemnowłosy Feyd-Rautha. — Tamten zezowaty z lewej strony. Takiej złej gęby jeszcze nie widziałem. Obiecałeś mi kiedyś, że…

— Dzięki ci, Gurney — powiedział Paul.

— To jest na-baron… teraz już baron, kiedy stary nie żyje — mówił Gurney. — Wystarczy na to, co noszę w…

— Dasz mu radę, Gurney?

— Mój pan żartuje!

— Nie sądzisz, matko, że ta kłótnia między Imperatorem a jego wiedźmą ciągnie się już zbyt długo? — powiedział Paul.

Kiwnęła głową.

— Zaiste.

Podnosząc głos Paul zawołał do Imperatora:

— Wasza Królewska Mość, czy jest wśród was jakiś Harkonnen?

W sposobie, w jaki Imperator odwrócił się i popatrzył na Paula, objawił królewską wzgardę.

— Wydawało mi się, że mój dwór jest pod ochroną twojego książęcego słowa — rzekł.

— Pytam tylko dla informacji — rzekł Paul. — Chciałbym się dowiedzieć, czy Harkonnen oficjalnie należy do twojej świty, czy też Harkonnen ze zwykłego tchórzostwa kryje się za prawnymi kruczkami.

Imperator pokrył uśmiechem chłodną kalkulację.

— Każdy przyjęty do imperialnego otoczenia jest członkiem mojej świty.

— Masz słowo księcia — odparł Paul — ale Muad'Dib to co innego. On może nie zgodzić się z twoją definicją świty. Mój przyjaciel

Gurney Halleck życzy sobie zabić Harkonnena. Jeżeli on…

— Kanly! — zawołał Feyd-Rautha. Naparł na zagradzającą mu drogę lancę. — Twój ojciec wypowiedział tę wendetę, Atrydo. Nazywasz mnie tchórzem, a sam chowasz się między swoimi kobietami i proponujesz wystawienie przeciwko mnie swego sługusa!

Stara prawdomówczyni szepnęła coś Imperatorowi do ucha, lecz on odtrącił ją na bok.

— Więc tu chodzi o kanly? W kanly obowiązują ścisłe przepisy — rzekł.

— Paul, połóż temu kres — odezwała się Jessika.

— Mój panie — powiedział Gurney — przyrzekłeś mi dzień rozprawy z Harkonnenami.

— Miałeś swój dzień rozprawy z nimi — odparł Paul i uświadomił sobie, że jego emocje ulegają błazeńskiej brawurze. Zsunął kaptur i płaszcz z ramion, wręczył matce wraz z pasem i krysnożem i zaczął odpinać filtrfrak. Wyczuwał, jak wszechświat koncentruje się na tej chwili.

— To nie jest konieczne — powiedziała Jessika. — Są łatwiejsze sposoby, Paul.

Wystąpił z filtrfraka i wyjął krysnóż z trzymanej przez nią pochwy.

— Wiem — odparł. — Trucizna, skrytobójca, wszystkie te dobre stare sposoby.

— Przyrzekłeś mi Harkonnena! — zasyczał Gurney i Paul ujrzał wściekłość w jego twarzy, na której blizna od krwawinu zarysowała się wyraźniej, ciemna i sfałdowana. — Jesteś mi to winien, mój panie!

— Czyżbyś wycierpiał od nich więcej niż ja? — zapytał Paul.

— Moja siostra — zgrzytnął Gurney. — Moje lata w niewolniczych sztolniach…

— Mój ojciec — powiedział Paul. — Moi najlepsi przyjaciele i towarzysze, Thufir Hawat i Duncan Idaho, moje lata w roli uciekiniera bez pozycji społecznej ni wsparcia… i jeszcze jedno: teraz już chodzi o kanly, a równie dobrze jak ja znasz reguły, którym musimy się podporządkować.

Halleckowi opadły ramiona.

— Panie mój, jeśli ta świnia… toż to zwyczajne bydlę, które należy odrzucić kopniakiem, po czym wywalić but, bo został splugawiony. Jeśli nie można inaczej, wyznacz mnie na kata lub daj mi to załatwić, ale nie ofiarowuj się sam…

— Muad'Dib nie musi tego robić — powiedziała Chani.

Spojrzał na nią i zobaczył w jej oczach lęk o siebie.

— Ale książę Paul musi — rzekł.

— To jest harkonneńskie bydlę! — zazgrzytał Gurney.

Paul zawahał się: był o włos od ujawnienia swojej własnej

harkonneńskiej krwi, lecz powstrzymało go ostre spojrzenie matki i powiedział jedynie:

— Jednak ta istota ma ludzką postać, Gurney, i należy jej się dobrodziejstwo wątpliwości.

— Jeśli on tylko spróbuje…

— Proszę, zejdź mi z drogi — powiedział Paul.

Zważył w dłoni krysnóż, łagodnie odpychając Gurneya na bok.

— Gurney! — rzekła Jessika. Dotknęła jego ramienia. — On jest w tym nastroju taki jak jego dziadek. Nie rozpraszaj go. To jedyna rzecz, jaką możemy w tej chwili dla niego zrobić. — I pomyślała: Wielka Macierzy! Cóż za ironia.

Imperator przyglądał się badawczo Feydowi-Raucie, mierząc wzrokiem szerokie bary i potężne mięśnie. Przeniósł spojrzenie na Paula — młokos jak pejcz, nie tak wysuszony jak arrakańscy tubylcy, ale można mu było policzyć żebra, a na zapadniętych bokach prześledzić fałdy i wiązania mięśni pod skórą.

Jessika nachyliła się do Paula, modulując swój głos tylko dla jego ucha.

— Jeszcze jedno, synu. Czasami Bene Gesserit urabia niebezpiecznego osobnika starymi metodami rozkoszy i bólu wszczepiając w najgłębszą tajnię jego duszy jakieś słowo. Najczęściej stosowane słowo brzmi „Urosznor". Jeżeli ten typ został urobiony, co wydaje się pewne, wystarczy mu wyszeptać to słowo do ucha, a jego mięśnie zwiotczeją i…

— Nie chcę żadnej nadzwyczajnej przewagi akurat nad nim — powiedział Paul. — Usuń mi się z drogi.

— Dlaczego on to robi? — zapytał Gurney. — Czy zamierza dać się zabić, żeby zostać świętym męczennikiem? Te różne fremeńskie bajdy religijne, czy to one odbierają mu zdrowy rozsądek?

Jessika ukryła twarz w dłoniach zdając sobie sprawę, że właściwie nie pojmuje, dlaczego Paul idzie tą drogą. Wyczuwała na tej sali śmierć i wiedziała, że odmieniony Paul jest zdolny do czegoś takiego, co Gurney sugerował. Wszystkie jej moce ześrodkowały się na konieczności ochrony syna, lecz nie mogła nic zrobić.

— Czy to owe religijne bajdy? — upierał się Gurney.

— Cicho bądź — wyszeptała Jessika. — I módl się.

Na twarzy Imperatora zagościł niespodziewany uśmiech.

— Skoro Feyd-Rautha Harkonnen… z mojej świty… tak sobie życzy — powiedział — zwalniam go z wszelkiej powinności i daję mu w tej sprawie wolną rękę. — Imperator machnął dłonią w stronę fedajkińskiej gwardii Paula. — Któryś z twej hałastry ma mój pas i krótkie ostrze. Jeśli Feyd-Rautha nie ma nic przeciwko temu, może stanąć do walki z tobą z moją klingą w dłoni.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział Feyd-Rautha i na

jego twarzy Paul dostrzegł wyraz upojenia.

Jest zbyt pewny siebie — pomyślał Paul. — Tę naturalną przewagę mogę zaakceptować.

— Dajcie nóż Imperatora — rozkazał Paul i przyglądał się wykonaniu swego polecenia. — Połóżcie tam na podłodze — wskazał stopą miejsce. — Odsuńcie imperialną hałastrę podścianę i niech Harkonnen stanie na wolnej przestrzeni.

Furkot burnusów, szuranie stóp, ciche komendy i protesty towarzyszyły spełnieniu rozkazu Paula. Gildianie pozostali w pobliżu stanowiska łączności. Wyraźnie niezdecydowani, obrzucali Paula chmurnymi spojrzeniami. Przywykli widzieć przyszłość — pomyślał Paul. W tym miejscu i w tej chwili są ślepi… tak jak i ja zresztą. I sprawdził czaso-wichry wyczuwając kipiel, zawieruchę przyczyn i skutków zogniskowanych teraz w tym czaso-miejscu. Podomykały się już nawet nikłe szczeliny. Wiedział, że tu oto była nienarodzona dżihad. Tu oto była świadomość rasy, którą kiedyś poznał jako swoje straszliwe przeznaczenie. Tu oto było uzasadnienie dla Kwisatz Haderach czy Lisana al-Gaiba, czy nawet dla chromych knowań Bene Gesserit. Rasa ludzka przeczuwała swoje własne odrętwienie, czuła, że się dusi, i że potrzeba jej już tylko zamętu, w którym zmieszają się geny i który przeżyją silne, nowe krzyżówki. Cała ludzkość żyła w tym momencie jako jeden nieświadomy organizm, ogarnięty czymś w rodzaju seksualnej gorączki, zdolnej przełamać wszelkie bariery. I Paul zrozumiał, jak daremne były jego wszystkie wysiłki dokonania w tym jakiejkolwiek najmniejszej zmiany. Myślał, że zatrzyma dżihad na drogach swej jaźni, lecz dżihad nadejdzie. Jego legiony ruszą z Arrakis, nawet gdyby go zabrakło. Im potrzebna była jedynie legenda, którą on już został. Pokazał im drogę, dał im władzę nawet nad Gildią, która nie może egzystować bez przyprawy. Ogarnęło go poczucie klęski i poprzez nie zobaczył, że Feyd-Rautha wyśliznął się z poszarpanego munduru i rozebrał do zapaśniczego pasa wzmocnionego kolczugą.

To jest kulminacja — myślał Paul. — Stąd roztoczy się przyszłość, chmury rozdzielą się ponad czymś na kształt chwały. I jeśli tu zginę, powiedzą, że złożyłem siebie w ofierze, aby mój duch ich poprowadził. A jeśli będę żył, powiedzą, że nic nie oprze się Muad'Dibowi.

— Czy Atryda gotów? — zawołał Feyd-Rautha słowami starożytnego rytuału kanly.

Paul zdecydował się odpowiedzieć zwyczajem fremeńskim:

— Niech twój nóż pęknie i pryśnie!

Wskazał Feydowi-Raucie leżące na podłodze ostrze Imperatora, by zbliżył się i je podjął. Feyd-Rautha z oczami utkwionymi w Paulu podniósł nóż i chwilę ważył go wyczuwając, jak leży w dłoni. Płonął

wewnętrznym podnieceniem. To była walka, o jakiej śnił — męski pojedynek, zręczność przeciw zręczności, nie osłonięta żadnymi tarczami. Widział otwierającą się przed nim drogę do władzy, bo przecież Imperator jak nic wynagrodzi zabójcę tego nieznośnego księcia. Nagrodą może być nawet ta jego harda córunia i miejsce na tronie. Zaś ów książę prostak, ten awanturnik z krańców świata, w żaden sposób nie może stanowić godnego przeciwnika dla Harkonnena, który na tysiącach aren poznał wszystkie możliwe sztuczki i podstępy. I w żaden sposób nie mógł się ten prostak dowiedzieć, że nie tylko nóż jest orężem, któremu ma tu stawić czoło. Przekonajmy się, czy jesteś odporny na truciznę! — pomyślał Feyd-Rautha. Zasalutował Paulowi imperatorską klingą i powiedział:

— Spotkaj swą śmierć, głupcze.

— Mamy walczyć, bracie? — zapytał Paul. I ruszył do przodu kocim krokiem, nie spuszczając oczu z czekającego nań ostrza, nisko pochylony i z mlecznobiałym krysnożem sterczącym jak przedłużenie ramienia. Krążyli wokół siebie, czasem tylko bose stopy zaszurały na posadzce, podczas gdy oczy czujnie wypatrywały najmniejszej sposobności.

— Jak pięknie tańcujesz — powiedział Feyd-Rautha.

Jest gadułą — myślał Paul. Następna słabość. Cisza źle na niego działa.

— Czy byłeś u spowiedzi? — zapytał Feyd-Rautha.

Paul nadal obchodził go w milczeniu. A stara Matka Wielebna poczuła drżenie patrząc na ten pojedynek z ciżby imperatorskiej świty. Młody Atryda nazwał Harkonnena bratem. To mogło znaczyć tylko jedno, że wiedział o ich wspólnych przodkach — rzecz sama przez się zrozumiała, skoro był Kwisatz Haderach. Lecz jego słowa zmusiły ją do skoncentrowania się na jedynej sprawie, która miała dla niej w tym wszystkim jakieś znaczenie. Tutaj mógł się zawalić hodowlany plan Bene Gesserit. Coś z tego, co widział Paul, dostrzegała i ona: to, że Feyd-Rautha może zabić, ale nie może odnieść zwycięstwa. Inna jednakowoż myśl prawie ją załamała. W walce na śmierć i życie stanęły naprzeciw siebie dwa końcowe produkty tego długiego i kosztownego programu i obu mogła zagarnąć śmierć. Jeśli padną tu obaj, pozostanie tylko córka — bękart Feyda-Rauthy, jeszcze dziecko, czynnik nieznany i nieuchwytny, oraz Alia, zły duch.

— Może wy tutaj macie same pogańskie obrządki — odezwał się Feyd-Rautha. — Czy chciałbyś, aby prawdomówczyni Imperatora przygotowała twoją duszę do drogi?

Paul uśmiechnął się okrążając go w prawo, czujny, wyzbyty czarnych myśli, które ustąpiły przed wymogami tej chwili. Feyd-Rautha skoczył, jego prawa ręka wykonała fintę, lecz błyskawicznie przerzucony nóż znajdował się w lewej dłoni. Paul uchylił się z

łatwością, w pchnięciu Feyda-Rauthy zauważając charakterystyczne dla tarczowego nawyku zwolnienie. Jednakże widywał silniejsze tarczo-nawyki i wyczuwał, że Feyd-Rautha potykał się już z przeciwnikami bez tarczy.

— Czy Atryda ucieka, czy staje do walki? — zapytał Feyd-Rautha.

Paul podjął swoje milczące okrążenie. Przypomniały mu się słowa Idaho, słowa nauki z bardzo odległej szermierczej planszy na Kaladanie: „Wykorzystaj pierwsze momenty na obserwację. Możesz przez to stracić wiele okazji do szybkiego zwycięstwa, lecz chwile obserwacji są gwarancją sukcesu. Nie śpiesz się i bądź pewny swego".

— Być może sądzisz, że te pląsy przedłużają ci życie o parę chwil — powiedział Feyd-Rautha. — Niech ci będzie.

Przerwał krążenie, wyprostował się. Paul widział dosyć jak na wstępną ocenę. Feyd-Rautha obracał się w lewo wystawiając prawe biodro, jakby kolczugowy pas zapaśniczy potrafił osłonić cały jego bok. Tak postępował człowiek szkolony z tarczą i nożem w każdej ręce. Albo… Tu Paul zawahał się… pas był czymś więcej, niż się wydawało. Harkonnen sprawiał wrażenie zbytnio pewnego siebie w walce z człowiekiem, który tego dnia powiódł swoje oddziały do zwycięstwa przeciwko legionom sardaukarów. Feyd-Rautha dostrzegł to wahanie.

— Po co przedłużać nieuniknione? Tylko opóźniasz wyegzekwowanie moich praw do tej kuli piasku.

Jeśli to żądło — myślał Paul — to jakieś wyjątkowo przemyślne. Na pasie nie widać żadnych śladów manipulacji.

— Dlaczego milczysz? — spytał Feyd-Rautha.

Paul na nowo ruszył w swój rekonesans, chłodnym uśmiechem kwitując ton zaniepokojenia w głosie Feyda-Rauthy — znak, że wzmaga się presja ciszy.

— Śmiejesz się, co? — zapytał Feyd-Rautha. I skoczył w połowie zdania.

Spodziewając się lekkiego zwolnienia Paul ledwo zdążył uniknąć spadającego ostrza, poczuł, jak sztych przejeżdża mu po lewym ramieniu. Uśmierzył ostry ból w miejscu draśnięcia i nagle rozjaśniło mu się w głowie, że wcześniejsze wahanie było podstępem — hiperfintą. Miał trudniejszego przeciwnika, niż się spodziewał. Czekały go pułapki wewnątrz pułapek w pułapkach.

— Twój własny Thufir Hawat nauczył mnie pewnych rzeczy — powiedział Feyd-Rautha. — On pierwszy naznaczył mnie krwią. Wielka szkoda, że stary dureń nie dożył tego widoku.

I Paul wspomniał, co powiedział kiedyś Idaho: „Spodziewaj się tylko tego, co się dzieje w walce. W ten sposób nigdy cię nic nie zaskoczy".

Na nowo zaczęli krążyć wokół siebie, pochyleni, czujni. Paul

dostrzegał u swego przeciwnika nawrót tryumfalnego uniesienia i zastanawiał się nad tym. Czyżby to draśnięcie znaczyło aż tak wiele dla tego człowieka? Chyba, że w ostrzu była trucizna! Ale jakim cudem? Ta broń przeszła przez ręce jego własnych ludzi, którzy sprawdzili ją przed walką. Zbyt dobrze byli wyszkoleni, aby rzecz tak oczywista jak to uszła ich uwagi.

— Tamta kobieta, ta, z którą gadałeś — rzekł Feyd-Rautha. — Owo maleństwo. Czy to twoja faworyta? Może maskotka? Czy mam ją darzyć swoimi szczególnymi względami?

Paul nie odzywał się sondując przy pomocy swych wewnętrznych zmysłów krew z rany, analizując ją, odkrywając ślady środka nasennego z imperatorskiej klingi. Przestawił swój metabolizm tak, by zlikwidować zagrożenie i zmienić cząsteczki środka nasennego, ale przenikał go dreszcz niepewności. Mieli w klindze gotowy środek nasenny. Środek nasenny. Nic, na co by zareagował wykrywacz trucizny, lecz na tyle mocny, by zwolnić działanie mięśni, do których dojdzie. Jego wrogowie mieli swoje własne plany w planach, własną paletę podstępów.

Feyd-Rautha ponownie skoczył i uderzył. Z zastygłym na twarzy uśmiechem Paul odpowiedział ospale, jakby spowolniony narkotykiem, i w ostatniej chwili wykonując unik wziął jego ramię w locie na sztych krysnoża. Feyd-Rautha uchylił się w bok, umknął i zwiększył dystans, przerzucając swój nóż do drugiej ręki z takim opanowaniem, że jedynie lekko zbielała broda zdradzała pieczenie kwasu w zadanej przez Paula ranie. Niechaj i on ma swój moment niepewności — myślał Paul. — Niech podejrzewa truciznę.

— Zdrada! — wrzasnął Feyd-Rautha. — On mnie zatruł! Czuję truciznę w ramieniu!

Paul odrzucił maskę milczenia.

— Zaledwie odrobina kwasu w rewanżu za środek nasenny na klindze Imperatora.

Feyd-Rautha odpowiedział Paulowi równie chłodnym uśmiechem i wzniósł lewą dłoń z nożem w szyderczym pozdrowieniu. Za ostrzem płonęły furią jego oczy. Paul przełożył krysnóż do lewej dłoni tak jak jego przeciwnik. Znowu krążyli badając się nawzajem. Feyd-Rautha zaczął zmniejszać odległość między nimi, podkradając się z nożem uniesionym wysoko; w jego przymrużonych oczach i zaciśniętych szczękach widać było wściekłość. Wykonał fintę z wyminięciem w prawo i obejście dołem, i zwarli się ze sobą, trzymając się za ręce z nożami, mocując się. Paul, baczny na prawe biodro Feyda-Rauthy, gdzie podejrzewał zatrute żądło, wymusił obrót w prawo. O mało nie przeoczył końca igły wyskakującej spod krawędzi pasa. Przemieszczenie się i ustąpienie Feyda-Rauthy ostrzegło go. Maleńka igła chybiła ciało Paula o włos. Na lewym biodrze! Pułapka wewnątrz

pułapki w pułapce — przypomniał sobie Paul. Wykorzystując szkolenie Bene Gesserit mięśni zwiotczał, by wykorzystać odruch Feyda-Rauthy, ale konieczność uniknięcia drobnej igły sterczącej z biodra przeciwnika zachwiała nim na tyle, że źle postawił nogę i znalazł się na podłodze pod Feydem-Rauthą.

— Widzisz to na moim biodrze? — wyszeptał Feyd-Rautha. — To twoja śmierć, głupcze. — I zaczął się przekręcać dopychając zatrutą igłę coraz bliżej Paula. — To ci sparaliżuje mięśnie, a mój nóż z tobą skończy. Nie będzie żadnego śladu, by to wykryć!

Zmagając się Paul słyszał w swym umyśle bezgłośne krzyki swoich przodków obecnych w komórkach jego ciała, którzy domagali się, by użył owego tajemnego słowa, by obezwładnił Feyda-Rauthę, by ocalił siebie.

— Nie powiem tego! — wydyszał Paul.

Feyd-Rautha wytrzeszczył na niego oczy, zawahawszy się nie dłużej niż przez moment zaskoczenia. Wystarczyło to, by Paul znalazł brak stabilności w równowadze mięśni jednej z nóg przeciwnika i pozycja ich uległa odwróceniu. Feyd-Rautha leżał teraz częściowo pod nim z prawym biodrem sterczącym do góry, niezdolny do obrócenia się z powodu owej maleńkiej igły, której czubek utknął w posadzce. Paul oswobodził lewą rękę, tym łatwiej, że była śliska od krwi z ramienia, i pchnął silnie nożem Feyda-Rauthę pod brodę, jeden raz. Sztych wszedł do końca w mózg. Feyd-Rautha szarpnął się i legł bezwładny, nadal z lekka na boku, tak jak zahaczył igłą o podłogę. Paul odepchnął się i dźwignął na nogi, oddychając głęboko, by odzyskać spokój. Stanął nad zwłokami z nożem w dłoni i z rozmyślną opieszałością spojrzał przez salę na Imperatora.

— Wasza Królewska Mość — powiedział — twoje siły stopniały o jeszcze jednego. Czy przystępujemy teraz do ciuciubabki wybiegów i wykrętów? Czy do omówienia tego, co i tak nastąpi? Mówię o moimślubie z twoją córką i otwartej przed Atrydą drodze do tronu.

Imperator odwrócił się patrząc na hrabiego Fenringa. Hrabia nie spuścił wzroku — szare oczy starły się z zielonymi. Przesłanie było czytelne; znali się tak długo, że potrafili się porozumieć spojrzeniem. Zabij mi tego pariasa — mówił Imperator. — Ten Atrydą jest młody i sprawny, to prawda, ale jest także zmęczony długim wysiłkiem, a dla ciebie to i tak żaden przeciwnik. Wyzwij go teraz… wiesz, jak się to robi. Zabij go.

Z wolna Fenring poruszył głową, obracając nią pomalutku, centymetr po centymetrze, aż znalazł się twarzą w twarz z Paulem.

— Załatw go! — syknął Imperator.

Hrabia skupił się na Paulu, spoglądając oczami, które jego lady Margot wyszkoliła w metodzie Bene Gesserit, świadom tajemnicy i majestatu ukrytego w tym atrydzkim gołowąsie. Mógłbym go zabić —

myślał Fenring i wiedział, że mógłby naprawdę. Coś w tajnikach jego własnej podświadomości wstrzymało wtedy hrabiego i na krótko, niedostatecznie, mignął mu obraz przewagi, jaką posiadał nad Paulem: rodzaj czapki — niewidki kryjącej go przed młodzieńcem, zagadkowość osoby i motywów, których nie mogło przeniknąć żadne oko.

Trochę się tego domyślając po pewnego rodzaju zamęcie w ogniwie przyczyn i skutków, Paul wreszcie zrozumiał, dlaczego nigdy nie widział Fenringa w sieciach przyszłości: Fenring był jednym z niewypałów — omal-że-Kwisatz-Haderach, dotknięty jakąś skazą w łańcuchu genetycznym — eunuchem, którego talenty skoncentrowały się w ukradkowości i wewnętrznej izolacji. Paula ogarnęła fala głębokiej litości dla hrabiego, świadomość braterstwa, którego zaznawał po raz pierwszy. Odbierając te jego uczucia Fenring rzekł:

— Wasza Królewska Mość, muszę odmówić.

Szaddama IV poniosła wściekłość. Zrobił dwa błyskawiczne kroki między swoją świtą i wymierzył hrabiemu siarczysty policzek. Ciemny rumieniec rozlał się po twarzy Fenringa. Spojrzał Imperatorowi prosto w oczy i rozmyślnie beznamiętnym tonem powiedział:

— Byliśmy przyjaciółmi, Wasza Królewska Mość. To, co teraz robię, zawdzięczasz tej przyjaźni. Zapomnę, że mnie uderzyłeś.

Paul odchrząknął.

— Mówiliśmy o tronie, Wasza Królewska Mość — odezwał się.

Imperator odwrócił się gwałtownie, mierząc go nienawistnym spojrzeniem.

— Ja zasiadam na tronie! — warknął.

— Postawimy ci jakiś tron na Salusa Secundus — powiedział Paul.

— Złożyłem broń i przybyłem tu na podstawie danego przez ciebie słowa! — zawołał Imperator. — Ośmielasz się grozić mi…

— Twoja osoba jest bezpieczna w mojej obecności — odparł Paul. — Atryda dał słowo. Jednakże Muad'Dib skazuje cię na twoją więzienną planetę. Lecz nie lękaj się, Wasza Królewska Mość. Złagodzę surowość tego miejsca wykorzystując wszelkie dostępne mi środki. Stanie się ono planetą — ogrodem, pełnym miłych rzeczy.

Kiedy ukryty sens słów Paula dotarł do jego świadomości. Imperator rzucił mu przez salę spojrzenie bazyliszka.

— Teraz widzimy twoje prawdziwe motywy — powiedział szyderczo.

— Istotnie — odparł Paul.

— A co z Arrakis? — spytał Imperator. — Druga planeta — ogród pełen miłych rzeczy?

— Fremeni mają słowo Muad'Diba — rzekł Paul. — Będzie tu woda płynąca pod gołym niebem i będą zielone oazy pełne wszelkiego

dobra. Lecz musimy także myśleć o przyprawie. Przeto zawsze będzie na Arrakis pustynia… i srogie wichry, i ciężkie niedole hartujące ludzi. My, Fremeni, mawiamy: „Bóg stworzył Arrakis, by ćwiczyć wiernych”. Nie można sprzeciwiać się woli Boga.

Tym razem stara prawdomówczyni. Matka Wielebna Gaius Helen Mohiam, miała swój własny obraz ukrytego znaczenia słów Paula. Dostrzegła dżihad i powiedziała:

— Nie możesz poszczuć tych ludzi na wszechświat!

— Przypomnij sobie łagodne metody sardaukarów! — uciął Paul.

— Nie możesz — wyszeptała.

— Tyś jest prawdomówczynią — rzekł Paul. — Zrewiduj swoje słowa. — Rzucił okiem na księżniczkę tronu i z powrotem na Imperatora. — Im prędzej, tym lepiej, Wasza Królewska Mość.

Imperator obrócił ponure spojrzenie na córkę. Dotknęła jego ramienia.

— Do tego mnie wyszkolono, ojcze — powiedziała kojąco.

Zaczerpnął głęboko tchu.

— Nie możesz odwlekać tej sprawy — szepnęła stara prawdomówczyni.

Imperator wyprostował się; stał sztywny, jakby musiał pamiętać o godności w postawie.

— Kto będzie pertraktował w twoim imieniu, krewniaku? — zapytał.

Paul odwrócił się, zobaczył matkę z opuszczonymi powiekami, stojącą wraz z Chani w drużynie fedajkińskiej straży przybocznej. Podszedł do nich, zatrzymał się i popatrzył z góry na Chani.

— Rozumiem przyczynę — wyszeptała Chani. — Skoro tak być musi… Usul.

Słysząc ukryte łzy w jej głosie Paul pogłaskał ją po policzku.

— Moja Sihaja nie musi się obawiać, przenigdy — szepnął. Opuścił rękę i zwrócił się do matki. — Ty będziesz pertraktować w moim imieniu, matko, z Chani u boku. Ona posiada mądrość i bystre oczy. I jak ktoś słusznie powiedział, nikt nie targuje się zajadlej od Fremena. Ona będzie patrzeć oczami swojej miłości do mnie i z myślą o swoich synach, którzy przyjdą na świat, o ich przyszłych potrzebach. Słuchaj jej.

Jessika wyczuła w synu surowe wyrachowanie i opanowała drżenie.

— Jakie dajesz instrukcje? — spytała.

— Cały imperatorski portfel akcji kompanii KHOAM jako wiano — rzekł.

— Cały? — prawie zaniemówiła z wrażenia.

— On ma zostać goły. Będę chciał godności hrabiego i kierownictwa KHOAM dla Gurneya Hallecka oraz nadania mu w lenno

Kaladanu. Będą tytuły i towarzysząca im władza dla każdego z pozostałych przy życiu ludzi Atrydów, nie wyłączając najprostszego żołnierza.

— Co z Fremenami? — zapytała Jessika.

— Fremeni są moi — odparł Paul. — To, co otrzymają, powinno pochodzić od Muad'Diba. Zacznie się wszystko od Stilgara jako gubernatora Arrakis, ale na to jest czas.

— A dla mnie?

— Czy jest coś, czego pragniesz?

— Może Kaladan — odparła patrząc na Gurneya. — Sama nie wiem. Stałam się za bardzo Fremenką… i Matką Wielebną. Potrzeba mi czasu i spokoju do namysłu.

— Tego ci nie zabraknie — rzekł Paul — i niczego innego, co Gurney lub ja możemy ci dać.

Jessika skinęła głową, czując nagle, że jest stara i zmęczona. Spojrzała na Chani.

— A dla królewskiej konkubiny?

— Żadnego tytułu dla mnie — wyszeptała Chani. — Nic, błagam cię.

Paul spojrzał z góry w jej oczy, znienacka przypominając ją sobie, jak stała kiedyś z maleńkim Leto w ramionach, ich dzieckiem, które zginęło w tej zawierusze.

— Przysięgam ci w tej chwili — wyszeptał — że nie będziesz potrzebowała żadnego tytułu. Ta kobieta, którą tam widzisz, będzie moją żoną, ty zaś tylko konkubiną, ponieważ to jest sprawa polityki i musimy ten moment przekuć w pokój, przyciągnąć wysokie rody Landsraadu. Musimy przestrzegać form. Ta księżniczka jednak nie dostanie ode mnie nic prócz nazwiska. Ani dziecka ode mnie, ani pieszczoty, ani czułości spojrzenia, ani momentu pożądania.

— Teraz tak mówisz — odparła Chani. Popatrzyła ponad ludźmi na wysoka księżniczkę.

— Czy tak słabo znasz mego syna? — szepnęła Jessika. — Przyjrzyj się tej stojącej opodal księżniczce, jakże wyniosłej i pewnej siebie. Mówią o niej, że ma ambicje literackie. Miejmy nadzieję,że znajdzie w nich pocieszenie, bo niewiele jej poza nimi zostanie. — Jessice wyrwał się gorzki śmiech. — Pomyśl nad tym, Chani: ta księżniczka będzie miała nazwisko, a jednak będzie pędzić żywot marniejszy od konkubiny — nigdy nie zaznawszy chwili czułości ze strony mężczyzny, któremu ślubowała. Podczas gdy nas, Chani, nas, które nosimy miano konkubin — nas historia nazwie żonami.

DODATKI

DODATEK I: *Ekologia Diuny*

Poza punktem krytycznym swoboda w przestrzeni zamkniętej maleje wraz ze wzrostem masy. Dotyczy to w takim samym stopniu ludzi w zamkniętej przestrzeni ekosystemu planety, co i cząsteczek gazu w zalakowanej flaszce. Problem człowieka polega nie na tym, ile ludzi może wyżyć w danym systemie, lecz jakiego rodzaju bytowanie jest możliwe dla tych, którzy żyją.

Pardot Kynes, pierwszy planetolog Arrakis

Arrakis wywiera zazwyczaj to samo wrażenie na wszystkich przybyszach: przytłaczającego w swym bezkresie pustkowia. Obcy uważa z reguły,że nie ma tu mowy o żadnym życiu, że nic nie urośnie pod gołym niebem, że jest to prawdziwa ziemia jałowa, która nigdy nie była i nie będzie płodna.

Dla Pardota Kynesa planeta była jedynie manifestacją energii, machiną napędzaną przez słońce. Należało ją tylko przekształcić i dopasować do potrzeb człowieka. Jego myśl pobiegła od razu ku wędrownej ludzkiej społeczności, ku Fremenom. Cóż za wyzwanie! Cóż za wspaniały mógłby z nich być instrument! Fremeni: ekologiczna i geologiczna siła o niemalże nieograniczonym potencjale.

Bezpośrednim i prostym pod wieloma względami człowiekiem był ten Pardot Kynes. Trzeba ominąć harkonneńskie restrykcje? Doskonale. Zatem żenimy się z Fremenką. Kiedy da nam syna Fremena, zaczniemy od niego, od Lieta — Kynesa i innych dzieci, zaczniemy uczyć je ekologicznego abecadła i stworzymy nowy język symboli, które uzbroją umysł do manipulowania całym środowiskiem naturalnym, klimatem, porami roku, by na koniec przedrzeć się przez wszelkie koncepcje walki w olśniewającą świadomość ładu.

— Na zdrowej dla człowieka planecie istnieje widziane oczyma duszy piękno ruchu i równowagi — powiedział Kynes. — W tym pięknie widać działanie dynamicznej stabilizacji nieodzownej dla wszelkiegożycia. Jej cel jest prosty: utrzymywanie i tworzenie skoordynowanych prawidłowości o coraz to większym zróżnicowaniu. Życie zwiększa zdolność do podtrzymywania życia w zamkniętym systemie. Życie — wszelkieżycie — służy życiu. Im większe

zróżnicowanie, tym więcej życie daje życiu niezbędnych składników pokarmowych. Ożywia cały krajobraz przepełniony zależnościami w zależnościach.

Tyle Pardot Kynes prowadzący lekcję przed klasą w siczy. Jednakże zanim do wykładów doszło, musiał on przekonać Fremenów. Aby zrozumieć, jak tego dokonał, trzeba uzmysłowić sobie najpierw niezmierną prostolinijność i naturalność, z jaką podchodził do każdego problemu. Nie był naiwny, on tylko nie zbaczał ze swej drogi.

Pewnego upalnego popołudnia w trakcie objazdu arrakańskich pustkowi w jednoosobowym pojeździe naziemnym napatoczył się na żałośnie pospolitą scenkę. Sześciu harkonneńskich zbirów, uzbrojonych po zęby i w tarczach, osaczyło w otwartym terenie poza Murem Zaporowym trzech fremeńskich młodzików w pobliżu osady zwanej Wichrowory. Ta zacięta walka wydawała się Kynesowi bardziej na niby niż prawdziwa, dopóki nie zwrócił uwagi na fakt, że Harkonnenowie usiłowali tych Fremenów zabić. W tym czasie jeden z młodzików padł z przeciętą tętnicą, legło również dwóch zbirów, ale nadal czterech uzbrojonych mężczyzn stawało przeciwko dwóm wyrostkom.

Kynes nie był odważny, odznaczał się tylko ową prostolinijnością i przezornością. Harkonnenowie zabijali Fremenów. Niszczyli narzędzie, którym on zamierzał przekształcić planetę. Włączył swoją tarczę i z marszu zabił dwóch Harkonnenów, zanim do nich dotarło, że ktoś się pojawił. Uchylił się przed ciosem miecza jednego z napastników, podciął mu gardło czystym *entrisseur* i zostawiając jedynego pozostałego zbira dwu fremeńskim młodzieńcom całą uwagę poświęcił ratowaniu leżącego chłopaka. I rzeczywiście go uratował… podczas gdy szóstego Harkonnena wyprawiano na tamtenświat. I masz, babo, przyprawowy placek. Fremeni nie wiedzieli, co począć z Kynesem. Wiedzieli, rzecz jasna, kim był. Nie było przybysza na Arrakis, którego pełne dossier nie dotarłoby do fremeńskich fortec. Znali go był urzędnikiem Imperium. Ale zabijał Harkonnenów. Dorośli wzruszyliby pewnie ramionami i, z odrobiną żalu, wyprawili jego cień w ślad za cieniami sześciu leżących na ziemi ludzi. Ale to były niedoświadczone, fremeńskie wyrostki, dla nich liczyło się tylko to, że temu imperialnemu urzędnikowi zawdzięczali życie.

Kynes wylądował dwa dni później w siczy nad Wrotami Wiatru. Dla niego nie było sprawy. Mówił Fremenom o wodzie, o wydmach umacnianych trawą, o palmiarniach pełnych palm daktylowych, o płynących wśród pustyni qanatach. Mówił i mówił. Wokół niego szalała burzliwa debata, której Kynes w ogóle nie zauważał. Co zrobić z tym szaleńcem? Poznał położenie jednej z większych siczy. Co zrobić? Co znaczą te słowa, to bredzenie o raju na Arrakis? To tylko gadanie. Za dużo wie. Ale zabijał Harkonnenów! A brzemię wody? Od

kiedy to jesteśmy coś winni Imperium? On zabił Harkonnenów! Każdy może zabijać Harkonnenów. Sam to robię. A co z tym gadaniem o rozkwicie Arrakis? To bardzo proste: gdzie jest na to woda? On mówi, że tutaj! I trzech z nas uratował. Uratował trzech durniów, którzy stali na drodze harkonneńskiej pięści. I widział krysnoże! Nieunikniona decyzja była znana na wiele godzin przed jej przegłosowaniem. Tau siczy jest bezwzględne dla swoich członków, uświadamia im nawet najbrutalniejszą konieczność. Wyprawiono do tej roboty doświadczonego wojownika z poświęconym krysnożem. Za nim postępowali dwaj wodmistrze, by przyjąć wodę ciała. Brutalna konieczność. Prawdopodobnie Kynes nawet nie zwrócił uwagi na swego niedoszłego kata. Przemawiał do otaczającej go gromady, która przezornie trzymała się na odległość. Mówiąc, przechadzał się, zataczał niewielkie koło, gestykulował. Otwarta woda, opowiadał. Spacery pod gołym niebem bez filtrfraków. Woda czerpana z sadzawki! Portugle!

Nożownik stanął mu na drodze.

— Usuń się — rzekł Kynes, dalej snując opowieść o tajemnych oddzielaczach wiatru.

Wyminął mężczyznę. Plecy Kynesa były wystawione na rytualny cios.

Teraz trudno dociec, co zaszło w duszy niedoszłego zabójcy. Czy w końcu usłuchał Kynesa i uwierzył? Kto wie? Ale to, co zrobił, zostało zanotowane. Uliet miał na imię. Starszy Liet, Uliet zrobił trzy kroki i z premedytacją nadział się na swój własny nóż, „usuwając się" w ten sposób. Samobójstwo? Niektórzy powiadają, że to Shai-hulud go natchnął. I jak tu nie wierzyć wróżbom! Od tej chwili wystarczyło, że Kynes wskazał i powiedział: „Tam". I szły, jak jeden mąż, fremeńskie plemiona. Ginęli mężczyźni, ginęły kobiety, ginęły dzieci. Ale szli.

Kynes powrócił do swoich zwykłych zajęć kierownika Biologicznych Stacji Doświadczalnych. Ale teraz wśród personelu stacji zaczęli pojawiać się Fremeni. Popatrzyli po sobie: przenikali „system", a tej możliwości nigdy nie brali pod uwagę. Narzędzia ze stacji zaczęły trafiać do siczowych siedlisk — zwłaszcza lance laserowe, których używano do drążenia podziemnych basenów łownych i tajemnych oddzielaczy wiatru. Do basenów zaczęła napływać woda. Dla Fremenów stało się jasne, że Kynes nie był zupełnym szaleńcem, jedynie szalonym na tyle, by zostać świętym. To jeden z umma, bractwa proroków. Cień Ulieta awansował pomiędzy sadus, do grona niebiańskich świętych. Kynes — bezpośredni, całkowicie oddany swej pasji — zdawał sobie sprawę, że wysoki stopień centralizacji badań gwarantuje brak jakichkolwiek nowych odkryć. Podjął eksperymenty w małych zespołach z regularną wymianą danych o zjawisku przyspieszenia Tansleya, pozwalając

każdemu zespołowi iść własną drogą. Trzeba było nagromadzić miliony drobnych informacji. Żeby nadać wymiar ich trudnościom, organizował jedynie pojedyncze, wyrywkowe testy.

Pobrano próbki rdzeniowe na całym blechu. Opracowano mapy długoterminowych zmian pogody, zwanych klimatem. Przekonał się, że w rozległym pasie zamkniętym równoleżnikami siedemdziesiątego stopnia szerokości północnej i południowej od tysięcy lat temperatury nie przekraczały zakresu 254 — 332 stopni, i że pas ten miał długie pory roku, kiedy to temperatura wahała się od 284 do 302 stopni w skali bezwzględnej: temperaturowa „bonanza" dla naziemnych form życia… jak tylko zostanie rozwiązany problem wody.

— Kiedy go rozwiążemy? — zapytali Fremeni. — Kiedy ujrzymy ten raj na Arrakis?

Tonem, jakim nauczyciel odpowiada dziecku na pytanie, ile jest dwa razy dwa, Kynes udzielił im odpowiedzi: od trzystu do pięciuset lat. Pośledniejszy lud jęknąłby ze zgrozy. Ale Fremenów nauczyli cierpliwości ludzie z biczami. Było to nieco dłużej, niż oczekiwali, ale każdy z nich potrafił sobie uzmysłowić, że błogosławiony dzień nadciąga. Zacisnęli szarfy na brzuchach i wrócili do pracy. Rozczarowanie w jakiś sposób uczyniło realniejszą perspektywę raju.

Na Arrakis rzecz szła nie o wodę, ale o wilgoć. Zwierząt domowych prawie nie znano, a hodowlane były rzadkie. Niektórzy przemytnicy posługiwali się oswojonymi osłami pustynnymi, kulonami, jednak koszty wody były ogromne nawet po wyposażeniu zwierząt w zmodyfikowane filtrfraki. Kynes myślał o instalowaniu tężni redukcyjnych do pozyskiwania wody z tlenu i wodoru uwięzionych w skale, ale energochłonność zysku była o wiele za wysoka. Czapy polarne (pomijając złudne poczucie wodnego zabezpieczenia, jakie dawały pyonom) zawierały zbyt małą ilość wody dla jego przedsięwzięcia… a poza tym już podejrzewał, gdzie musi być woda. Ten charakterystyczny wzrost wilgotności na średnich wysokościach i w pewnych wiatrach. No i zasadnicza poszlaka w postaci składu powietrza: 23 procent tlenu, 75,4 procent azotu i 0,23 procent dwutlenku węgla; śladowe ilości innych gazów stanowiły resztę.

A w północnej strefie podbiegunowej na wysokościach powyżej 2500 metrów rosła rzadka roślina kłączowa. Z bulwiastego korzenia około dwumetrowej długości otrzymywało się pół litra wody Były też lądowe rośliny pustynne, z których odporniejsze wyraźnie odżywały po przesadzeniu w dołki wyłożone osadnikami rosy. A potem Kynes ujrzał panew solną. W drodze z jednej stacji do drugiej samum zniósł z kursu jego ornitopter hen w głąb blechu. Po przejściu samumu ukazała się właśnie owa panew — gigantyczna, owalna depresja mająca ze trzysta kilometrów w dłuższej osi — jaśniejąca, biała niespodzianka w

sercu pustyni. Kynes wylądował, spróbował językiem wymiecionej przez samum gładzi.

Teraz nie miał już wątpliwości. Była otwarta woda na Arrakis… kiedyś. Zabrał się za ponowne sprawdzanie dowodów, jakie stanowiły suche studnie, w których pojawiły się strumyczki wody, by zginąć bezpowrotnie. Kynes zapędził swoich świeżo wyszkolonych limnologów do roboty; ich główną wskazówkę stanowiły skórzaste strzępki tkanki znajdowane po wybuchu w masie przyprawowej. Przypisywano je fikcyjnej „piaskowej troci" z fremeńskich przypowieści ludowych. W miarę napływania materiału dowodowego wyłaniał się obraz stworzenia stanowiącego źródło owych skórzastych strzępków — piaskowpływaka, który blokował obfite gniazda wody w porowatej warstwie poniżej izotermy 280 stopni termodynamicznych. Ten „złodziej wody" ginął milionami w każdym wybuchu przyprawowym. Marł przy pięciostopniowej zmianie temperatury. Nieliczne pozostałe przy życiu osobniki zapadały w półsen cystohibernacji, by po sześciu latach wyłonić się w postaci małego (około trzymetrowej długości) czerwia pustyni. Z tych jedynie kilka uniknęło swoich większych braci i preprzyprawowych gniazd wodnych i wkroczyło w wiek dojrzały jako gigantyczne shai-huludy (woda jest dla shai-huluda trucizną, jak o tym wiedzieli od dawna Fremeni, którzy topili rzadkie „skarłowaciałe czerwie" Ergu Mniejszego, by otrzymać narkotyk rozszerzonej świadomości zwany przez nich Wodą Życia. „Skarłowaciały czerw" jest prymitywną postacią shai-huluda, która osiąga zaledwie około dziewięciu metrów długości).

Koło zależności się zamknęło; maleńki stworzyciel i masa przyprawowa, maleńki stworzyciel i shai-hulud; shai-hulud rozsiewający przyprawę, na której żerują mikroskopijne stworzeniazwane planktonem piaskowym; plankton piaskowy jako pokarm shai-huluda — rośnie i zagrzebuje się w piasku, dając początek maleńkim stworzycielom. Kynes i jego ludzie przestali teraz zwracać uwagę na te zależności w ogromnej skali i skupili się na mikroekologii. A więc najpierw klimat; powierzchnia piasku często osiągała temperatury od 344 do 350 stopni (termodynamicznych), na głębokości stopy potrafiło być o 55 stopni chłodniej; na wysokości stopy ponad powierzchnią o 25 stopni chłodniej. Obecność liści albo czarnych zasłon mogła wywołać oziębienie o dalsze 18 stopni. Następnie składniki odżywcze; piasek Arrakis jest w głównej mierze efektem procesu trawiennego czerwia; pył (zaiste wszechobecny tu problem) stanowi produkt stałego pełzania powierzchni, „saltacyjnego" ruchu piasku. Odwietrzne stoki wydm pokrywają piaski gruboziarniste. Nawietrzne zbocza mają twardą, gładko ubitą powierzchnię. Stare wydmy są żółte (oksydacja), młode mają barwę

skały macierzystej — zazwyczaj szarą. Odwietrzne zbocza starych wydm posłużyły za tereny pierwszych plantacji.

Fremeni za pierwszy cel postawili sobie cykl rozwojowy sucholubnej trawy o mechatych, czepliwych rzęskach, która miała oplatać i utrwalić wydmy pozbawiając wiatry ich wielkiego oręża — ruchomych drobin. Strefy adaptacyjne założono hen, na głębokim południu, z dala od harkonneńskich oczu. Zmutowane, sucholubne trawy sadzono najpierw na odwietrznym osuwającym się zboczu wybranych wydm, które zagradzały drogę dominującym wiatrom zachodnim. Po utrwaleniu zbocza odwietrznego stok nawietrzny wznosił się coraz wyżej i by dotrzymać mu kroku, posuwano się z trawą. W ten sposób powstały olbrzymie sify (długie wydmy o wijącej się linii grzbietu), wysokie na ponad tysiąc pięćset metrów. Kiedy owe wydmy zaporowe osiągnęły dostateczną wysokość, obsadzono stoki nawietrzne odporniejszymi trawami szablolistnymi. Każdą z tych struktur utrwalano — „zakotwiczano" — na podstawie o boku sześciokrotnie dłuższym od jej wysokości. Teraz przyszła kolej na głębsze sadzenie — na efemerydy (komosy czerwiowe, komosy białe i szarłat na początek), następnie janowiec zwyczajny, łubin niski, płożący eukaliptus (odmiana przystosowana do północnych regionów Kaladanu), karłowaty tamaryszek, sosna nadmorska — po nich zaś prawdziwe rośliny pustynne: kandelila, wysoki kaktus saguaro i bisnaga, kaktus baryłkowaty. Tam, gdzie się przyjęły, wprowadzano szałwię wielbłądzią, trawę cebulkową, ostnicę gobi, dziką lucernę, ośli ogórek, piaskową werbenę, nocną świecę, krzew Mojżesza, nerkowiec, Corvillea mexicana.

Po czym zabrano się za nieodzowny świat zwierząt — stworzenia ryjące, by otworzyły i napowietrzyły glebę: lisek, mysz kangurza, zając pustynny, żółw piaskowy… oraz drapieżcy do trzymania ich w szachu: jastrząb pustynny, sówka karłowata, orzeł i sowa pustynna, wreszcie owady do wypełniania wszystkich zakamarków, niedostępnych dla tamtych: skorpion, wij, pająk podkopnik, ważka i… nietoperz pustynny, by miał nad nimi pieczę.

Aż nadszedł przełomowy sprawdzian: palmy daktylowe, bawełna, melony, kawa, zioła lecznicze — z górą dwieście odmian roślin jadalnych wyselekcjonowanych w celu przebadania i adaptacji.

— Analfabeta ekologiczny — mówił Kynes — nie rozumie w ekosystemie właśnie tego, że jest to system. System! Taki system zachowuje pewną płynną stabilność, którą można zniszczyć jednym drobnym błędnym posunięciem. System odznacza się ładem, swobodnym przepływem od punktu do punktu. Jeśli coś zastopuje ten przepływ, ład się wali. Ignoranci mogliby zauważyć taki krach, jak już byłoby za późno. Dlatego właśnie najważniejszą rolą ekologii jest rozumienie konsekwencji.

Czy oni osiągnęli system? Kynes i jego ludzie patrzyli i czekali. Fremeni już wiedzieli, co Kynes rozumiał przez swoją prognozę: do pięciuset lat. Z palmariów nadszedł meldunek: na granicy zasiewów i pustyni plankton ginie w kontakcie z nowymi formami życia. Przyczyna: konflikt białkowy. W tych miejscach zbiera się trująca woda i arrakańskie życie omijają z daleka. Wokół sadzonek powstaje jałowa strefa, której unika nawet shai-hulud.

Kynes we własnej osobie wybrał się do palmariów, na dwudziestodudnikową wyprawę (w palankinie, niczym ranny wojownik, albo Matka Wielebna, jako że nigdy nie został jeźdźcem piasku).

Zbadał martwą glebę (a śmierdziała pod niebo) i wrócił z nagrodą, podarunkiem od Arrakis. Dodatek siarki i związanego azotu przeistoczył jałową strefę w żyzne pole dla naziemnych organizmów żywych. Można się było posuwać z sadzeniem wedle woli!

— Czy to zmienia harmonogram? — pytali Fremeni.

Kynes ponownie zakopał się w swoich planetarnych formułach. Kalkulacje dotyczące oddzielaczy wiatru właściwie nie budziły już wtedy obaw. Szafował czasem wiedząc, że nie może wtłoczyć problemów ekologicznych w precyzyjne ramy. Pewną część szaty roślinnej należało przeznaczyć do utrzymania wydm w miejscu, część na pożywienie (zarówno dla ludzi, jak i zwierząt); reszta miała więzić wilgoć w systemach korzeniowych i zasilać w wodę najbliższe wysuszone otoczenie. Nanieśli na mapę przemieszczające się punkty zimna, tym razem otwartego blechu. Trzeba je było uwzględnić w formułach. Nawet shai-hulud miał swoje miejsce w wykresach. Jego zguba to byłby kres przyprawowej fortuny. A „fabryka trawienna" w brzuchu czerwia z jej ogromnym stężeniem aldehydów i kwasów stanowiła gigantyczne źródło tlenu. Średni czerw (około dwustumetrowej długości) zasilał atmosferę w taką ilość tlenu, co fotosynteza dziesięciu kilometrów kwadratowych roślin zielonych.

Musiał uwzględnić Gildię. Przyprawowa łapówka dla Gildii za ochronę nieba Arrakis przed satelitami meteorologicznymi i innymi szpiegami już wtedy osiągnęła poważne rozmiary.

Fremenów też nie wolno było pominąć. Zwłaszcza ich oddzielaczy wiatru i nielegalnej struktury własności ziemskiej opartej na kredycie wodnym, Fremenów z ich nową wiedzą ekologiczną i marzeniem o doprowadzeniu rozległych obszarów Arrakis przez fazę prerii aż do stanu zalesienia.

Z diagramów wyłoniła się liczba. Kynes ją podał — trzy procent. Jeśli uda im się wykorzystać trzy procent szaty zielonej Arrakis do tworzenia związków węgla, będą mieli swój samoczynny system.

— Ale kiedy? — upierali się Fremeni.

— Ach, o to chodzi. Za jakieś trzysta pięćdziesiąt lat.

A więc to prawda, co ten umma powiedział na początku — że nie doczeka tego nikt z żyjących teraz ludzi, ani z ich wnuków aż do ósmego pokolenia, ale to przyjdzie. Praca szła nieprzerwanie: wznosili wydmy, sadzili, kopali, szkolili dzieci. Wówczas to Kynes — Umma zginął podczas zawału jaskini w Basenie Plastikowym! Jego syn Liet — Kynes miał wtedy dziewiętnaście lat i był już na wskroś fremeńskim jeźdźcem piasku, który zabił ponad setkę Harkonnenów. Imperialna nominacja, o jaką stary Kynes już zdążył wystąpić w imieniu swego syna, przyznana została naturalną koleją rzeczy. Sztywna struktura klasowa faufreluches miała w tym swój konsekwentny cel. Syn szkolił się, by pójść w ślady ojca.

W tym czasie droga była już przetarta. Fremeni ekolodzy znali kierunek. Liet — Kynes miał za zadanie tylko doglądać, poganiać i szpiegować Harkonnenów… aż do dnia, w którym na jego planetę zstąpił Bohater.

DODATEK II: *Religia Diuny*

Przed nadejściem Muad'Diba Fremeni z Arrakis wyznawali religię, której korzenie każdy badacz odnajdzie w Maometh Saari. Wielu uczonych prześledziło rozległe zapożyczenia z innych religii. Najbardziej typowym przykładem jest „Hymn do wody", bezpośrednio skopiowany z „Protestancko — katolickiego przewodnika po liturgii", modlitwa o deszczowe chmury, jakich nigdy Arrakis nie widziała. Są jednak i głębsze analogie między Kitab al-Ibar Fremenów i naukami Biblii, Ilm i Fiqh. Wszelkie porównania głównych wierzeń religijnych Imperium do czasu Muad'Diba należy zacząć od głównych sił, które owe wierzenia ukształtowały:

1. Wyznawcy Czternastu Mędrców, których księgą była Biblia protestancko — katolicka, i których poglądy wyrażone zostały w „Komentarzach" oraz innych pismach opublikowanych przez Kongres Ekumeniczny Federacji (K.E.F).

2. Bene Gesserit, które prywatnie zaprzeczały, jakoby były zakonem religijnym, ale które działały za prawie nieprzeniknioną zasłoną rytualnego mistycyzmu, i których szkolenie, symbolika, organizacja i metody kształtowania psychiki miały charakter niemal całkowicie religijny.

3. Wyznająca agnostycyzm klasa panująca (łącznie z Gildią), dla której religia stanowiła rodzaj teatru kukiełkowego służącego ku rozrywce mas i utrzymywaniu ich w posłuszeństwie i która z zasady wierzyła, że wszystkie zjawiska, nawet religijne, dadzą się wyjaśnić w sposób mechaniczny.

4. Tak zwane Stare Nauki — wraz z tymi, które przetrwały wśród Pielgrzymów Zensunni z pierwszego, drugiego i trzeciego ruchu islamskiego; nowochrześcijaństwo z Chusuk, warianty buddislamu odmian panujących na Lankiveil i Sikun, wspólne księgi Mahayana Lankawatara, Zen Hekiganshu z III Delty Pawia, Tawrah, i Zabur Talmudyczny, który przetrwał na Salusa Secundus, szeroko rozpowszechniony Rytuał Magiczny, Muadh Quran, ze swoją czystą Ilm i Fiqh, zachowanymi wśród uprawiających ryż pundi kaladańskich farmerów, wreszcie rozsiane jak wszechświat długi i szeroki wysepki Hindu w maleńkich odosobnionych gniazdach pyonów i na koniec Dżihad Kamerdyńska.

Istnieje jeszcze piąta siła, która ukształtowała wierzenia religijne, ale ma ona tak wszechobecny i wszechpotężny wpływ, że zasługuje na osobne potraktowanie. To oczywiście podróż kosmiczna i we wszelkich dysputach o religii zasługuje, by pisano ją tak oto:

PODRÓŻ KOSMICZNA!

Migracje rodzaju ludzkiego przez otchłań przestrzeni kosmicznej wycisnęły unikalne piętno na religii w okresie stu dziesięciu stuleci poprzedzających Dżihad Kamerdyńską. Przede wszystkim wczesne podróże kosmiczne, jakkolwiek szeroko rozpowszechnione — były nieregularne, powolne i ryzykowne i aż do monopolu Gildii odbywały się na tysiące przypadkowych sposobów. Pierwsze doświadczenia kosmiczne, źle przekazywane i w znacznym stopniu zniekształcone, stały się szaloną pobudką do spekulacji mistycznych. Nagle kosmos nadał nowy wydźwięk i sens ideom stworzenia. Ta odmienność widoczna jest nawet w szczytowych dokonaniach religijnych owego okresu. Zewnętrzna ciemność tchnęła anarchię w poczucie wiary we wszelkiej religii. Jak gdyby Jowisz we wszystkich swoich mnogich postaciach wycofał się w macierzystą ciemność ustępując pola żeńskiej immanencji o zagadkowej twarzy wielu strachów. Starożytne formuły splatały się i wiązały razem, w miarę jak dopasowywano je do potrzeb nowych podbojów i nowych symboli heraldycznych. Był to czas zmagań pomiędzy zwierzo-demonami z jednej strony a starymi modlitwami i zaklęciami z drugiej.

Jasne rozstrzygnięcie nie nastąpiło nigdy.

W tym okresie oznajmiono, że ponowne zinterpretowanie Księgi Rodzaju pozwala Bogu rzec: „Rośnijcie i rozmnażajcie się i zapełniajcie wszechświat, i podbijcie go, i panujcie nad wszelkiego rodzaju dziwnymi zwierzętami i żywymi stworzeniami na niezliczonych ziemiach i pod nimi".

Nastał czas czarownic obdarzonych prawdziwymi mocami. Niech miarą tego będzie fakt, że nigdy nie popisywały się chwytaniem płonących żagwi. Z kolei przyszła Dżihad Kamerdyńska i dwa pokolenia chaosu. Bóg logiki mechanicznej został obalony przez masy i wysunięto nową ideę: „Nic nie zastąpi człowieka". Te dwa pokolenia gwałtu były mózgowym letargiem dla całego rodzaju ludzkiego. Ludzie popatrzyli na swoich bogów i na swoje rytuały i ujrzeli, że jedno i drugie przepełnia owa najstraszliwsza ze wszystkich nierówności: strach większy od ducha. Przywódcy religijni, których wyznawcy przelali krew miliardów, zaczęli nieśmiało spotykać się dla wymiany poglądów. Krok ten popierała Gildia Planetarna umacniająca właśnie swój monopol w dziedzinie podróży międzygwiezdnych oraz Bene Gesserit, które ściągały do siebie czarownice. Z tych pierwszych spotkań ekumenicznych narodziły się dwa znaczące wydarzenia:

1. Świadomość, że wszystkie religie mają jedno przynajmniej wspólne przykazanie: „Nie będziesz kaleczył ducha".

2. Kongres Ekumeniczny Federacji. K. E. F. zebrał się na

neutralnej wyspie Starej Ziemi, kolebce macierzystych religii. Spotkano się „we wspólnej wierze w istnienie Istoty Boskiej we wszechświecie". Reprezentowane były wszystkie wyznania liczące ponad milion wyznawców i z zadziwiającą szybkością uzgodniono wspólny komunikat: „Jesteśmy tu po to, aby wytrącić podstawową broń z rąk religii wojujących. Ta broń to pretensje do posiadania jedynego objawienia".

Radość wynikła z tego „dowodu głębokiej zgody" okazała się jednak przedwczesna. Przez ponad standardowy rok ten komunikat był jedynym oświadczeniem wydanym przez K. E. F. Ludzie z goryczą mówili o zwłoce. Trubadurzy układali dowcipne, złośliwe pieśni o stu dwudziestu i jednym „starych kutasach", jak zaczęto nazywać delegatów K. E. F. (Przezwisko wzięło się od sprośnego kawału, w którym wykorzystując skrót K.E.F. nazwano delegatów, kutasami w esy-floresy). Jedna z pieśni, „Święte opalanie", przechodzi okresowe nawroty popularności i znana jest nawet dzisiaj:

Jak cierpią kutasy!
Te stare kutasy
w kwiatowych lei!
W świętym opalaniu.
W wiecznym próżnowaniu,
Do końca naszych dni.
Czas ci na plażę iść
Ojcze Nasz Sandwicz!

Sporadycznie przeciekały z obrad K. E. F. różne pogłoski. Mówiło się mianowicie, że porównują tam teksty i owe teksty nieopatrznie wymieniano. Takie pogłoski nieuchronnie wywoływały rozruchy antyekumeniczne i, oczywiście, inspirowały nowe dowcipy. Dwa lata minęły… trzy lata. Po zgonie dziewięciu spośród pierwotnej liczby delegatów i wybraniu na ich miejsce nowych komisarze zarządzili przerwę na dopełnienie formalności ich przyjęcia i oświadczyli, że trudzą się nad opracowaniem wspólnej księgi, plewiąc „wszelkie objawy patologu" czasu przeszłego religii. „Budujemy instrument Miłości, który zagra na wszystkie sposoby" — oznajmili. Wielu się dziwi, że to oświadczenie wznieciło szczególnie gwałtowny wybuch walk przeciwko ekumenizmowi. Dwudziestu delegatów odwołały ich własne kongregacje. Jeden popełnił samobójstwo kradnąc kosmiczną fregatę i nurkując nią w Słońce. Historycy oceniają, że w zamieszkach straciło życie osiemdziesiąt milionów osób. Czyli około sześciu tysięcy na każdą planetę ówczesnej Ligi Landsraadu. Biorąc pod uwagę niespokojne czasy, ten szacunek chyba nie jest przesadzony, jakkolwiek trudno w tej sytuacji w ogóle mówić o jakiejś dokładności.

Łączność między planetami przeżywała jeden ze swych najniższych upadków. Trubadurzy, rzecz jasna, mieli swój wielki dzień. Popularna komedia muzyczna tego okresu przedstawiała jednego z delegatów K. E. F., jak siedzi sobie pod drzewcem palmowym na białym piasku plaży i śpiewa:

> Dla Boga, kobiet, ku chwale miłości
> Igram bez obaw i trosk.
> Trubadurze! Trubadurze, czekamy na pieśń!
> Dla Boga, kobiet, ku chwale miłości!

Rozruchy i komedie to zaledwie symptomy, ale mówiące wiele o swoich czasach. Zdradzają stan psychiczny, głębokie rozterki… i tęsknotę do czegoś lepszego oraz lęk, że nic z tego wszystkiego nie wyniknie.

Główną tamę na drodze anarchii stanowiły Gildia — będąca jeszcze wówczas w stanie embrionalnym — Bene Gesserit i Landsraad, który pomimo najdotkliwszych przeszkód kontynuował swoją dwa tysiące lat liczącą historię spotkań. Rola Gildii wydaje się jasna: zapewniała ona darmowy transport we wszystkich sprawach Landsraadu i K. E. F. Nie tak oczywista jest rola Bene Gesserit. Nie da się ukryć, że to w owym czasie umocniło ono swoją władzę nad czarownicami, przeprowadziło badania nad wyrafinowanymi narkotykami, rozwinęło szkolenie prana — bindu i powołało do życia Missionara Protectiva, czarne ramię zabobonu. Ale jest to również okres, który był świadkiem skomponowania „Litanii na strach" i przygotowania Księgi Azhara, bibliograficznego cudu, który przechowuje wielkie tajemnice najdawniejszych wierzeń. Można chyba tylko powtórzyć za Ingsleyem: „To były czasy wielkiego paradoksu".

K. E. F trudził się już wtedy od prawie siedmiu lat. I w miarę zbliżania się tej siódmej rocznicy sposobili wszechświat człowieczy do ważkiej proklamacji. Na siedmiolecie bowiem objawili Biblię protestancko — katolicką. „Oto dzieło podniosłe i znaczące" — powiedzieli. — „Oto droga, którą ludzkość dojdzie do uświadomienia sobie siebie samej jako doskonałego dzieła Boga". Ludzi z K. E. F. porównywano z natchnionymi przez Boga archeologami w dziedzinie idei, opromienionymi blaskiem nowego odkrycia. Mówiło się, że wydobyli na jaw „żywotność wielkich ideałów przywalonych pokładami stuleci", że „nadali ostrości imperatywom moralnym wynikającym z religijnego rozbudzenia sumień".

Wraz z Biblią P.K. K. E. F. zaprezentował Przewodnik po liturgii, dzieło pod wieloma względami godniejsze uwagi nie tylko ze względu na jego lapidarność (niecała połowa objętości Biblii P. K.), lecz

również z powodu szczerej wymowy, łączącej litość nad człowiekiem z przekonaniem o jego boskości.

Początek to oczywisty apel do władców — agnostyków.

„Ludzie nie znajdując żadnych odpowiedzi na sunnah (dziesięć tysięcy pytań religijnych z Szari-a) uciekają się obecnie do własnego rozumu. Wszyscy pragną, by ich oświecić. Religia to nic innego, jak najdawniejszy i najszlachetniejszy zryw ludzi do zrozumienia sensu wszechświata bożego. Naukowcy poszukują porządku rzeczy. Zadaniem religii jest wskazanie człowiekowi jego miejsca w tym porządku". W zakończeniu ton Komentarzy jest jednak surowy, jakby autorzy przewidywali swój los. „Wiele z tego, co zwano religią, wyraża podświadomie wrogi stosunek do życia. Prawdziwa religia winna nauczać, że życie jest pełne miłych Bogu radości, że wiedza bez działania jest pusta. Ludzie muszą zrozumieć, że nauczanie religii przez wbijanie zasad do głowy jest przeważnie mistyfikacją. Prawdziwą naukę nietrudno poznać. Rozpoznajemy ją nieomylnie po uczuciu, jakie budzi w duszy — że oto jest coś, o czym wiedzieliśmy zawsze".

Odczuwało się niezwykły spokój, kiedy wirowały prasy i tłocznie szigastrunowe i Biblia P.K. rozchodziła się po planetach. Niektórzy widzieli w tym znak boży, zapowiedź jedności. Jednak sami delegaci K. E. F. obnażyli po powrocie do rodzimych kongregacji złudność tego spokoju. Osiemnastu z nich zlinczowano w przeciągu dwóch miesięcy. Pięćdziesięciu trzech pokajało się przed upływem roku. Biblia P. K. została potępiona jako wytwór „arogancji rozumu". Mówiono, że jej stronice są pełne „zwodniczej fascynacji logiką". Zaczęły pojawiać się rewizje, dostarczające pożywki powszechnej bigoterii. Rewizje te opierały się na akceptowanych symbolach (krzyż, półksiężyc, Pierzasty Wąż, dwunastu świętych, szczupły Budda i tym podobne) i niebawem stało się jasne, że starożytne zabobony i wierzenia nie zostały wchłonięte przez nowy ekumenizm. Określenie przez Hallowaya siedmioletniego trudu K. E. F. jako „determinizm ery galaktycznej" podchwyciły skwapliwie całe miliardy tłumacząc inicjały D. E. G. jako Duże Ekumeniczne Gówno.

Przewodniczący K. E. F., Toure Bomoko, Ulema Zensunnitów i jeden z czternastki delegatów, która się nigdy nie pokajała („Czternastu Mędrców" z popularnej historii) w końcu niby przyznał, że K. E. F. zbłądził.

„Nie powinniśmy się brać za tworzenie nowych symboli" — oświadczył. — „Trzeba było wiedzieć, że nie mieliśmy zasiewać wątpliwości co do przyjętej wiary, że nie oczekiwano od nas rozbudzania ciekawości wokół Boga. Co dzień zagląda nam w oczy straszliwa niestałość wszystkiego, co ludzkie, a jednak dopuszczamy do tego, by nasze religie stawały się coraz bardziej skostniałe i

sformalizowane, coraz bardziej konformistyczne i tyrańskie. Jakiż to cień kładzie się na gościńcu przykazania bożego? To ostrzeżenie, że instytucje ostają się, że ostają się symbole, nawet wtedy, gdy utraciły swój sens, że nie istnieje żadna summa całej dostępnej wiedzy".

Gorzka obosieczność tego wyznania nie umknęła krytykom Bomoko i musiał on niebawem uciekać na wygnanie, zaś życie jego zawisło od ślubowanej przez Gildię tajemnicy. Jak wieść niesie, zmarł na Tupile, otoczony szacunkiem i miłością, a jego ostatnie słowa brzmiały: „Religia musi pozostać wyjściem dla ludzi, którzy mówią o sobie: »Nie jestem tym, kim pragnę być«. Nie może wsiąknąć w tłum zadowolonych z siebie".

Przyjemnie pomyśleć, że Bomoko miał świadomość proroctwa swoich słów. „Instytucje ostają się". Dziewięćdziesiąt pokoleń później Biblia P. K. i Komentarze rozeszły się po świecie. Kiedy Paul Muad'Dib stał z prawą dłonią na skalnym sanktuarium, w którym spoczywała czaszka jego ojca (prawą dłonią błogosławionego, nie lewą przeklętego), cytował słowo w słowo ze „Spuścizny Bomoko":

„Wy, którzy nas pobiliście, mówicie sobie, że Babilon padł, a jego pomniki legły w gruzach. A ja wam powiadam, że człowiek jest stale przed sądem, każdy na swojej własnej ławie oskarżonych. Każdy człowiek to mała wojna".

Fremeni mówili o Muad'Dibie, że jest on jak Abu Zide, którego fregata rzuciła wyzwanie Gildii, i pewnego dnia pożeglowała tam i z powrotem. Użyte w ten sposób, „tam" tłumaczy się bezpośrednio z fremeńskiej mitologi jako kraina ducha ruh, alam al-mithal, gdzie wszelkie ograniczenia zostały usunięte.

Analogia z Kwisatz Haderach nasuwa się sama. Kwisatz Haderach, którego Zakon Żeński szukał poprzez swój program hodowlany, przekłada się na „skrócenie drogi", albo „ten, który może być w dwóch miejscach jednocześnie". Lecz można udowodnić, że obydwie interpretacje wyrastają bezpośrednio z Komentarzy: „Kiedy prawo i religia to jedno, jaźń twoja zawiera wszechświat".

O sobie Muad'Dib powiedział: „Jestem siecią w morzu czasu, dowolnie trałuję przyszłość i przeszłość. Jestem ruchomą membraną, przed którą nie umknie żadna ewentualność".

Te wszystkie myśli wyrażają to samo i słychać w nich echo 22 Kalimy z Biblii P. K., gdzie jest napisane: „Myśl wypowiedziana to fakt realny obdarzony realną siłą". Dopiero kiedy zagłębimy się w komentarze własne Muad'Diba podane przez jego kapłanów, qizara tafwidów, wtedy widać jego prawdziwy dług wobec K. E. F. i Fremenów — Zensunnitów.

Muad'Dib: Prawo i obowiązek to jedno; niech i tak

będzie. Ale pamiętajcie o płynących stąd ograniczeniach — w ten sposób nigdy nie jesteście w pełni świadomi siebie. W ten sposób trwacie pogrążeni w tau wspólnoty. W ten sposób jesteście zawsze mniej niż jednostką.

Biblia P. K.: sformułowanie identyczne („61 objawień").

Muad'Dib: Religia często współtworzy mit postępu, który chroni nas przed upiorami niepewnej przyszłości.

Komentarze K.E.F.: sformułowanie identyczne (Księga Azhara przypisuje to stwierdzenie pisarzowi religijnemu z pierwszego stulecia Neshou, poprzez parafrazy).

Muad'Dib: Jeżeli dziecko, osoba nie uczona, osobnik ciemny albo szalony sprawia kłopot, winę za to ponosi władza, która tego nie przewidziała i temu nie zapobiegała.

Biblia P.K.: Każdy grzech można przynajmniej w części przypisać naturalnej złej skłonności, która stanowi okoliczność łagodzącą w oczach Boga. (Księga Azhara wywodzi to ze starodawnej semickiej Tory).

Muad'Dib: Wyciągnij dłoń i spożywaj dary boże, a kiedy się nasycisz, chwal Pana.

Biblia P.K.: parafraza o indentycznym znaczeniu (Księga Azhara odnajduje ją w lekko zmienionej formie w pierwszym Islamie.)

Muad'Dib: Miłosierdzie jest początkiem okrucieństwa.

Fremeńska Kitab al-Ibar: Brzemię miłosiernego Boga jest rzeczą straszną. Czyż Bóg nie dał nam palącego słońca (Al-Lat)? Czyż Bóg nie dał nam Matek Wilgoci (Matek Wielebnych)? Czyż Bóg nie dał nam szejtana (iblisa, szatana)? Czy nie od szejtana pochodzi zmora pośpiechu? (Stąd bierze się fremeńskie porzekadło: „Szybkość pochodzi

od szejtana”. Zauważmy: na każde sto kalorii ciepła wytworzonego przez wysiłek fizyczny (szybkość) ciało wydziela około sześciu uncji potu. W języku Fremenów pot nazywa się bakka, czyli łzy, a przy nieco odmiennej wymowie tłumaczy się jako„esencję życia, którą szejtan wyciska z twej duszy”).

Pojawienie się Muad’Diba nazywa Koneywell „religijnie na czasie”, ale czas nie ma tu żadnego znaczenia. Jak sam Muad’Dib oznajmił: „Tu jestem, więc…” Jednak aby zrozumieć religijny wpływ Muad’Diba, ogromnie ważne jest, aby nie tracić z oczu jednego faktu: Fremeni to ludzie pustyni, od pokoleń przywykli do wrogości przyrody. Nietrudno o mistycyzm, kiedy każda sekunda twego życia jest zwycięstwem nad jawną wrogością.

„Tam jesteś, więc…”.

Z taką tradycją akceptuje się cierpienie, podświadomie być może jako karę, ale się akceptuje. Warto też zauważyć, że obrządek fremeński prawie całkowicie uwalnia od poczucia winy. Niekoniecznie dlatego, że ich prawo i religia to jedno, co czyni nieposłuszeństwo grzechem. Bliższe prawdy będzie raczej stwierdzenie, że Fremeni łatwo się rozgrzeszają, ponieważ ich codzienna egzystencja wymaga brutalnych sądów (często decydujących o śmierci), które w łagodniejszej krainie obarczyłyby ludzi poczuciem winy nie do zniesienia.

Prawdopodobnie w tym należy upatrywać jednej z przyczyn przesadnej zabobonności Fremenów (nie mówiąc o posługach Missionaria Protectiva). Co z tego, że w gwiździe piasku widzi się omen? Co z tego, że widząc najpierw pierwszy księżyc musimy uczynić znak pięści?

Ciało człowieka jest jego własnością, a jego woda należy do plemienia, zaś tajemnica życia to nie problem do rozwiązania, lecz rzeczywistość do przeżycia. Znaki pomagają ci o tym pamiętać. A ponieważ jesteś tutaj, ponieważ masz tę religię, zwycięstwo nie może ci się w końcu wymknąć. Tak jak przez wieki nauczały Bene Gesserit, zanim się zderzyły z Fremenami: „Kiedy religia i polityka jadą na tym samym wozie, kiedy tym wozem powozi żywy święty (baraka), nic nie może stanąć na ich drodze”.

DODATEK III: *Raport o motywach i celach Bene Gesserit*

W tym miejscu następuje wyjątek z Summa sporządzonej natychmiast po Aferze Arrakańskiej na polecenie lady Jessiki i przez jej własnych agentów. Obiektywność tego raportu podnosi jego wartość daleko ponad przeciętną.

Jako że Bene Gesserit w ciągu stuleci działały za parawanem półmistycznej szkoły, realizując swój program selektywnego doboru ludzi, jesteśmy skłonni przypisywać im chyba większe znaczenie, niż na to zasługują. Analiza ich „rewizji faktu" na temat Afery Arrakańskiej dowodzi, że szkoła zupełnie nie zdawała sobie sprawy ze swojej własnej roli.

Można by argumentować, że Bene Gesserit były w stanie zbadać tylko te fakty, które do nich docierały, gdyż nie miały bezpośredniego dostępu do proroka Muad'Diba. Jednak szkoła przezwyciężała większe przeszkody, zaś jej błąd sięga tu znacznie głębiej.

W swoim programie Bene Gesserit przyjęły za cel wyhodowanie osobnika, którego nazwały Kwisatz Haderach, co znaczy „ten, który może być w wielu miejscach naraz". Mówiąc jaśniej, chodziło im o istotę ludzką obdarzoną mocami duchowymi, które by jej pozwalały rozumieć i wykorzystywać wymiary wyższego rzędu. Chciały wyhodować supermentata, żywy komputer o pewnych zdolnościach przewidywania przyszłości, jakie spotykano u nawigatorów Gildii.

A teraz zważmy skrupulatnie te fakty:

Muad'Dib, urodzony jako Paul Atryda, był synem księcia Leto, człowieka, którego rodowód obserwowano bacznie przez ponad tysiąc lat. Matka proroka, lady Jessika, była rodzoną córką barona Vladimira Harkonnena i nosicielką cech genetycznych, których bezcenna wartość dla programu hodowlanego znana była od prawie dwóch tysięcy lat. Wychowana i wyszkolona przez Bene Gesserit, winna być powolnym narzędziem programu!

Lady Jessice polecono wydać na świat atrydzką córkę. Planowano skrzyżować tę córkę z Feydem-Rauthą Harkonnenem, bratankiem barona Vladimira, zakładając z dużym prawdopodobieństwem, że spłodzą Kwisatz Haderach. Tymczasem z przyczyn, które, jak wyznała, nigdy nie były dla niej zupełnie jasne, konkubina lady Jessika zbuntowała się przeciwko rozkazom i urodziła syna. Już samo to powinno zaalarmować Bene Gesserit, że przypadkowa zmienna wkradła się do ich programu. Ale były też inne daleko bardziej ważkie poszlaki, które zostały zignorowane:

1. Jako chłopiec Paul Atryda objawiał zdolność przepowiadania

przyszłości. Wiedziano, że miewa prorocze widzenia, które były trafne, przenikliwe i nie dawały się wyjaśnić w obrębie czterech wymiarów.

2. Matka Wielebna Gaius Helen Mohiam, Cenzorka Przełożona Bene Gesserit, która piętnastoletniego Paula poddała próbie człowieczeństwa, przyznaje, że w czasie owej próby pokonał on ból większy niż jakakolwiek inna istota ludzka w historii. Jednak nie zamieszcza o tym ani słowa w swoim raporcie!

3. Kiedy ród Atrydów sprowadził się na planetę Arrakis, miejscowa społeczność fremeńska okrzyknęła Paula prorokiem, „głosem spoza świata". Bene Gesserit zdawały sobie doskonale sprawę, że surowość przyrody takiej planety jak Arrakis, będącej jedną wielką pustynią, zupełny brak naturalnych zbiorników wodnych, podniesienie najelementarniejszych potrzeb do rangi spraw życia i śmierci, daje w rezultacie wysoki odsetek osobników podatnych na wpływy psychiczne. Jednak taka reakcja Fremenów oraz duża zawartość przyprawy jako rzucający się w oczy element arrakańskiej diety zostały fałszywie zinterpretowane przez obserwatorki Bene Gesserit.

4. Kiedy Harkonnenowie i żołnierze — fanatycy Padyszacha Imperatora ponownie zajęli Arrakis zabijając ojca Paula i większość atrydzkich żołnierzy, Paul wraz z matką zniknęli. Ale prawie natychmiast pojawiły się pogłoski o nowym przywódcy religijnym wśród Fremenów, człowieku zwanym Muad'Dibem, którego ponownie okrzyknięto „głosem z innego świata". Doniesienia wyraźnie stwierdzały, że towarzyszy mu nowa Matka Wielebna z obrządku Sajjadina, „która to kobieta go zrodziła". W dostępnych Bene Gesserit archiwach było wyraźnie napisane, że fremeńskie legendy o proroku zawierają te oto słowa: „Narodzi się on z czarownicy Bene Gesserit".

(Można by dowodzić, że Bene Gesserit o całe stulecie wcześniej wysłały swoją Missionaria Protectiva, by zaszczepiła na Arrakis coś na kształt tej legendy jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby któraś z członkiń szkoły znalazła się tam w opałach i potrzebowała schronienia i że tę legendę o głosie z tamtego świata słusznie zlekceważono, ponieważ przypominała standardowy fortel Bene Gesserit. Lecz byłoby to słuszne tylko przy założeniu, iż Bene Gesserit postąpiły prawidłowo lekceważąc inne poszlaki dotyczące Paula Muad'Diba.)

5. Kiedy wezbrała Afera Arrakańska, do Bene Gesserit zakołatała Gildia Planetarna. Gildia dała do zrozumienia, że jej nawigatorzy, którzy zażywali narkotyczną przyprawę z Arrakis, by osiągnął pewien próg jasnowidzenia, koniecznego do pilotowania statków kosmicznych w przestrzeni, byli „zaniepokojeni przyszłością" czy też widzieli „chmury na horyzoncie". Mogło to oznaczać jedynie, że widzieli oni splot przyczynowo — skutkowy, punkt zborny niezliczonych

delikatnych decyzji, poza którym dla jasnowidzącego oka droga była niewidoczna. Stanowiło to wyraźną wskazówkę, że jakieś działanie ingeruje w wymiary wyższego rzędu!

(Kilka Bene Gesserit od dawna miało świadomość, że Gildia nie może ingerować bezpośrednio u jedynego źródła przyprawy, ponieważ jej nawigatorzy na swój własny, kulawy sposób radzili już sobie z wymiarami wyższego rzędu, przynajmniej na tyle, by się zorientować, że najmniejsze ich potknięcie na Arrakis może spowodować katastrofę. Znany był im fakt, że nawigatorzy Gildii nie potrafili przewidziećżadnego sposobu opanowania zasobów przyprawy bez stworzenia takiego właśnie splotu. Wniosek, że ktoś obdarzony mocami wyższego rzędu przejmuje właśnie władzę nad źródłem przyprawy, nasuwał się więc sam, a jednak Bene Gesserit przegapiły ten moment całkowicie.)

Powyższe fakty prowadzą do nieuchronnej konkluzji, że nieudolne poczynania Bene Gesserit w tej sprawie stanowiły rezultat jeszcze wyższego planu, którego były zupełnie nieświadome!

DODATEK IV: *Almanak en-Aszraf (Wybrane ustępy z wysokich rodów)*

SZADDAM IV (10134–10202)

Padyszach Imperator, osiemdziesiąty pierwszy władca z dynastii Corrino zasiadający na Tronie Złotego Lwa; panował od 10156 (w tym roku zginął jego ojciec, Elrood IX, otruty chaumurky) do roku 10196, w którym ustanowiono regencję na rzecz jego najstarszej córki Irulan. Jego panowanie wsławiło się głównie Rewoltą Arrakańską, której przyczyn wielu historyków upatruje w nadmiernym upodobaniu Szaddama IV do uroczystości dworskich i przepychu. W pierwszych szesnastu latach jego panowania szeregi bursegów podwoiły się, zaś fundusze na szkolenie sardaukarów kurczyły się z roku na rok przez ostatnie trzydzieści lat przed Rewoltą. Miał pięć córek (Irulan, Chalice, Wensicia, Josifa i Rugi) i żadnych legalnych synów. Cztery córki towarzyszyły mu na wygnaniu. Jego żona Anirul, Bene Gesserit z Tajnej Elity, zmarła w 10176.

LETO ATRYDA (10140–10191)

Kuzyn po kądzieli Corrino, często zwany Czerwonym Księciem. Ród Atrydów władał Kaladanem jako siridar-lennem przez dwadzieścia pokoleń, dopóki nie zmuszono go do przeniesienia się na Arrakis. Znany jest przede wszystkim jako ojciec księcia Paula Muad'Diba, Regenta Ummy. Szczątki księcia Leto spoczywają w Świątyni Czaszki na Arrakis. Jego śmierć przypisuje się zdradzie doktora z Akademii Suk i siridarowi baronowi Vladimirowi Harkonnenowi jako bezpośredniemu sprawcy.

LADY JESSIKA (Jej Wys. Atryda) (10154–10256)

Rodzona córka (informator Bene Gesserit) siridara barona Vladimira Harkonnena. Matka księcia Paula Muad'Diba. Ukończyła Akademię B.G. na Wallach IX.

LADY ALIA ATRYDA (10191–)

Prawowita córka księcia Leto Atrydy i jego oficjalnej konkubiny lady Jessiki. Lady Alia urodziła się na Arrakis około ośmiu miesięcy po śmierci księcia Leto. Przed narodzeniem zetknęła się z narkotykiem widma świadomości, co powszechnie uchodzi za przyczynę nazwania jej przez Bene Gesserit przeklętą. W historii powszechnej znana jest jako św. Alia lub św. Alia-od-Noża (szczegóły patrz: „Św. Alia,łowczyni miliarda światów" pióra Pandera Oulsona).

VLADIMIR HARKONNEN (10110–10193)

Zwykle wymieniany jako baron Harkonnen, jego formalny tytuł brzmi siridar (gubernator planetarny) baron. Vladimir Harkonnen jest w prostej linii potomkiem baszara Abulurda Harkonnena, po bitwie o Corrin skazanego za tchórzostwo na wygnanie. Powrót rodu Harkonnenów do potęgi na ogół przypisuje się ich zręcznym spekulacjom na giełdzie skór wielorybich i późniejszemu zastrzykowi melanżowej fortuny z Arrakis. Siridar baron zginął na Arrakis podczas Rewolty. Tytuł na krótko przypadł na-baronowi, Feydowi-Raucie Harkonnenowi.

HRABIA HASIMIR FENRING (10133–10225)

Po kądzieli spokrewniony z rodem Corrino; był towarzyszem dzieciństwa Szaddama IV. (Często dyskredytowana „Piracka historia Corrino" podaje zastanawiającą wersję, że to Fenring podsunął chaumurky Elroodowi IX). Wszystkie źródła są zgodne co do tego, że Fenring był najbliższym, jeśli nie jedynym, przyjacielem Szaddama IV. Imperialne funkcje pełnione przez hrabiego Fenringa to: pełnomocnik Imperium na Arrakis w czasie panowania tam Harkonnenów oraz siridar-in-absentia Kaladanu. Przyłączył się do Szaddama IV w jego odosobnieniu na Salusa Secundus.

HRABIA GLOSSOU RABBAN (10132–10193)

Glossou Rabban, hrabia na Lankiveil, był starszym bratankiem Vladimira Harkonnena. Glossou Rabban i Feyd-Rautha Rabban (który przybrał nazwisko Harkonnen po tym, jak go wybrano na dwór siridara barona) byli prawowitymi synami Abulurda, młodszego brata siridara barona. Abulurd wyrzekł się nazwiska Harkonnen i wszystkich praw do tytułu w zamian za gubernatorstwo podokręgu Rabban-Lankiveil. Rabban jest nazwiskiem linii żeńskiej.

Terminologia Imperium

Studiując historię Imperium, Arrakis i całą kulturę, która wydałą Muad'Diba, napotykamy wiele niespotykanych terminów. Pomoc w rozumieniu to cel chwalebny, stąd te poniżej podane definicje i wyjaśnienia.

A

ABA: luźna szata noszona przez Fremenki, zazwyczaj czarna.

ACH: zwrot w lewo, komenda sternika czerwia.

ADAB: władcza pamięć, która ogarnia człowieka sama z siebie.

AJAT: znaki życia (patrz: Burhan).

AKARSO: roślina pochodząca z Sikun (70 planeta Alfy Wężownika) o charakterystycznych, niemal prostokątnych liściach. Ich zielone i białe pasy oznaczają trwały dwustan równoległych aktywnych i uśpionych regionów chlorofilowych.

ALAM AL-MITHAL: mistyczna kraina podobieństwa, w której nie ma żadnych fizycznych ograniczeń.

AL-LAT: pierwotne słońce rodzaju ludzkiego; potocznie: słońce każdej planety.

AMPOLIROS: legendarny „latający Holender" kosmosu.

AMTAL albo PRAWO AMTAL: zwyczajowe prawo na prymitywnych planetach, na mocy którego poddaje się coś próbie dla ustalenia ograniczeń bądź mankamentów. Powszechnie: próba niszcząca.

AQL: próba rozumu. Pierwotnie „siedem pytań mistycznych" zaczynających się od: „Kto to jest ten, który myśli?"

ARRAKIN: pierwsza osada na Arrakis; przez długi czas siedziba rządu planetarnego.

ARRAKIS: planeta zwana jako Diuna, trzecia planeta Canopusa.

ASSASSINA PORADNIK: sporządzona w trzecim wieku kompilacja dotycząca trucizn używanych zwykle w Wojnie Assassinów. Rozszerzona później o włączone do niej śmiercionośne narzędzia na mocy Pokoju Gildyjskiego i Wielkiej Konwencji.

AULIJA: w religii Pielgrzymów Zensunni żeńska istota po lewicy Boga, służebnica Boga.

AUMAS: trucizna podana w jedzeniu (dokładnie: trucizna w suchym pożywieniu). W niektórych dialektach: chaumas.

AWARYJNE DRZWI albo AWARYJNY SZLABAN (potocznie: awa-drzwi lub awa-szlaban): dowolna pentarcza ustawiona w celu

przepuszczenia określonej osoby, żeby jej umożliwić ucieczkę przed ewentualnym pościgiem (patrz: PENTARCZA).

B

BAKKA: we fremeńskiej legendzie płaczek opłakujący cały rodzaj ludzki.

BAKLAWA: treściwe ciasto sporządzone z syropem daktylowym.

BALISETA: dziewięciostrunowy szarpany instrument muzyczny pochodzący w prostej linii od cytry, nastrojony w tonacji Chusuk. Ulubiony instrument trubadurów imperialnych.

BARAKA: cudotwórca, święty już za życia.

BARWOLWER: pistolet pyłowy na ładunki elektrostatyczne, skonstruowany na Arrakis i służący do stawiania barwnych znaków na dużej powierzchni piasku.

BASEN PYŁOPŁYWÓW: rozległa depresja na powierzchni Arrakis wypełniona nagromadzonym w ciągu stuleci pyłem, który podlega pływom.

BASZAR: (często pułkownik baszar): oficer sardaukarów o jeden stopień wyższy szarżą od pułkownika w zunifikowanej hierarchii Imperium. Stopień stworzony dla wojskowego komendanta podregionu planetarnego. Tytuł baszara korpusu jest zastrzeżony wyłącznie do użytku wojskowego.

BEDWINE: patrz: ICHWAN BEDWINE.

BELA TEGEUSE: piąta planeta Kuentsing; trzecie miejsce postoju w przymusowej migracji Zensunnitów (Fremenów).

BENE GESSERIT: starożytna szkoła kształcenia ducha i ciała założona przede wszystkim dla dziewcząt po tym, jak Dżihad Kamerdyńska zniszczyła tak zwane „myślące machiny" i roboty.

B.G.: żargonowe określenie Bene Gesserit.

BHOTANI DŻIB: patrz: CHAKOBSA.

BIBLIA PROTESTANCKO — KATOLICKA: „Księga Ksiąg", pismo święte opracowane przez Kongres Ekumeniczny Federacji. Zawiera elementy najstarszych religii, łącznie z Maometh Saari, chrześcijańską Mahayaną, katolicyzmem zensunnickim i przekazami buddoislamskimi. Za jej najwyższe przykazanie uważa się: „Nie będziesz kaleczył ducha".

BI-LA KAIFA: Amen. (Dosłownie: „Niczego już nie trzeba wyjaśniać").

BINDU: odnoszący się do systemu nerwowego człowieka, szczególnie do treningu nerwowego. Często określane jak bindunerwatura. (Patrz: PRANA).

BINDU LETARG: specyficzna forma katalepsji samowzbudzonej.

BLECH: płaska, otwarta pustynia.

BURHAN: dowody życia (zazwyczaj: ajat i burhan życia. Patrz: AJAT).

BURKA: izolowana opończa noszona przez Fremenów na pustyni.

BURSEG: dowódca naczelny sardaukarów.

BRZEMIĘ WODY: u Fremenów: dług na śmierć i zycie.

C

CEDUŁA DOROBKU: rejestr główny Bene Gesserit, jej program ludzkiej hodowli, zmierzającego do wydania Kwisatz Haderach.

CENZORKA PRZEŁOŻONA: Matka Wielebna Bene Gesserit będąca jednocześnie dyrektorką regionalnej szkoły B.G. (Potocznie: Bene Gesserit Jasnowidząca).

CHAKOBSA: tak zwany „język magnetyczny", częściowo wywodzący się z pradawnego bhotani (Bhotan-dżib, gdzie „dżib" oznacza dialekt). Mieszanka starożytnych narzeczy zmodyfikowanych w celu utajnienia, której podstawę stanowi język łowiecki Bhotani, najemnych morderców z okresu pierwszych Wojen Assassinów.

CHANDŻAR: obosieczny krótki miecz (lub długi nóż) z lekko zakrzywionym ostrzem długości około dwudziestu centymetrów.

CHAUMAS: w pewnych dialektach aumas: trucizna w suchym pokarmie, w odróżnieniu od trucizny podawanej w jakiś inny sposób.

CHAUMURKY: w niektórych dialektach musky lub murky; trucizna podawana w napoju.

CHEOPS: szachy piramidalne — szachy dziewieciopiętrowe. Gra z podwójnym celem umieszczenia własnej królowej na szczycie i zaszachowania króla przeciwnika.

CHEREM: braterstwo nienawiści (zazwyczaj chodzi o zemstę).

CHUSUK: czwarta planeta Tety Szalisz, tak zwana „Planeta Muzyczna", słynna z jakości instrumentów muzycznych (patrz: VAROTA).

CIELAGO: dowolny przedstawiciel gatunku *Chiroptera* przystosowany do przenoszenia wiadomości dystransowych.

CORIOLISA, KURZAWA: każdy poważniejszy samum na Arrakis, gdzie wiejące na otwartych równinach wiatry są wzmagane przez ruch obrotowy planety, aż osiągają prędkość do 700 kilometrów na godzinę.

CORRIN, BITWA O: bitwa kosmiczna, od której przybrał nazwisko ród imperialny Corrino. Bitwa stoczona w pobliżu Sigmy Smoka w roku 88 P.G., ustaliła panowanie rodu władającego Salusa Secundus.

CZELUŚĆ PYŁOWA: każda głęboka szczelina lub depresja na pustyni Arrakis wypełniona pyłem, na oko nie różniąca się od powierzchni otoczenia; śmiertelna pułapka, w której człowiek bądź zwierzę zapada się i znajduje śmierć przez uduszenie (patrz: BASEN PYŁOPŁYWÓW).

CZERW PUSTYNI: patrz: SHAI-HULUD.

D

DAR AL-HIKMAN: szkoła religijnego tłumaczenia lub interpretacji.

DERACH: zwrot w prawo; komenda sterownika czerwia.

DICTUM FAMILIA: reguła Wielkiej Konwencji, która zakazuje uśmiercania królewskiej osoby lub członka wysokiego rodu przy pomocy podstępu niezgodnego z przepisami. Reguła podkreśla podstawy prawne i ogranicza narzędzia mordu.

DIUNIDZI: idiomatyczne określenie piachmanów, poszukiwaczy przyprawy i podobnych im ludzi pustyni Arrakis, Piachmani, Melanżerzy.

DOZOROWIEC SZPERACZY: lekki ornitopter ekipy poszukiwaczy przyprawy, wyznaczony na punkt dowodzenia obserwatorów i ochrony.

DRUGI KSIĘŻYC: mniejszy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na sylwetkę myszy kangurzej w rzeźbie powierzchni.

DRYF: wtórna kolektorowa faza generatora pola Holzmana. Znosi ciążenie w pewnych granicach, określonych proporcjami masy i zużycia energii.

DUDNIK: krótki palik z mechanizmem sprężynowym i kołatką na końcu. Zastosowanie: po wbiciu w piasek i wprawieniu w „dudnienie" przywołuje shai-huluda (patrz: HAKI STWORZYCIELA).

DYSTRANS: urządzenie do wykonywania odbitek neuronowych w systemie nerwowym gatunku Chiroptera lub ptaków. Naturalny głos stworzenia zawiera wtedy zapis wiadomości, którą z tej fali nośnej można wyodrębnić za pomocą drugiego dystransu.

DŻIHAD: krucjata religijna, krucjata fanatyczna.

DŻIHAD KAMERDYŃSKA: (patrz: WIELKA REWOLTA) — krucjata przeciwko komputerom, maszynom myślącym i świadomym robotom rozpoczęta w 201 P.G. i zakończona w 108 P.G. Jej główne przykazanie zachowało się w Biblii P.K. jako „Nie będziesz czynił machin na podobieństwo rozumu ludzkiego".

DŻUBBA, PŁASZCZ: płaszcz uniwersalny (można go nastawić tak,

by odbijał lub przepuszczał promieniujące ciepło, zrobić z niego hamak lub namiot), na Arrakis powszechnie noszony na filtrfrak.

E

EGO-OBRAZ: podobizna wykonana za pomocą projektora szigastrunowego, zdolnego do oddania subtelnych poruszeń, które jakoby oddają istotę ego.

EKAZ: czwarta planeta Bety Alfa Centauri, zwana rajem rzeźbiarzy, ponieważ jest ojczyzną mgielnicy, porostu dającego się kształtować siłą samej myśli ludzkiej.

ELAKKA: narkotyk otrzymywany w procesie spalania krwisto uziarnionego drewna elakka z Ekaz. Jego działanie polega na prawie całkowitym wygaszeniu instynktu samozachowawczego. Skóra osobnika poddanego działaniu narkotyku wykazuje charakterystyczny kolor marchwi. Powszechnie stosowany do przygotowywania niewolników gladiatorów na arenę.

EL-SAJAL: „deszcz piasku". Opad pyłu, wzniesionego na średnią wysokość (około 200 metrów) przez kurzawę Coriolisa. El-sajele często sprowadzają wilgoć na powierzchnię ziemi.

ERG: rozległy obszar wydm, morze piasku.

F

FAI: danina wodna, główna forma płatności podatku na Arrakis.

FEUFRELUCHES: sztywna reguła podziału klasowego egzekwowania przez Imperium. „Miejsce dla każdego człowieka i każdy człowiek za swoim miejscu".

FEDAJKINI: fremeńscy komandosi smierci; hisorycznie: grupa ludzi, którzy się zebrali i przysięgli poświęcić życie w imię sprawiedliwości.

FILTRFRAK: osłaniający ciało ubiór wynaleziony na Arrakis. Jego mikrowarstwowa tkanina pełni rolę pochłaniacza ciepła i filtru wydzielin ciała. Odzyskana wilgoć można czerpać za pośrednictwem rurki z kieszeni łownych.

FILTRNAMIOT: małe szczelne pomieszczenie z tkaniny mikrowarstwowej, przeznaczone do odzysku — w postaci wody pitnej — wilgoci wydalanej z oddechem przebywających w nim ludzi.

FILTRWTYK: filtr nosowy używany wraz z filtrfrakiem do chwytania wydychanej wilgoci.

FIQH: poznanie, zasada religijna; jedno z na poły legendarnych źródeł religii Pielgrzymów Zensunni.

FREGATA: największy statek kosmiczny, jaki może lądować na powierzchni planety i startować z niej w całości.

FREMENI: wolne plemiona Arrakis, mieszkańcy pustyni, niedobitki Pielgrzymów Zensunni. (Według Małej Encyklopedii Imperium: „Piraci Piasku").

FREMSAK: sakwa z wyposażeniem umożliwiającym przeżycie w pustyni, wyrobiana przez Fremenów.

G

GALACH: oficjalny język Fremenów. Hybryda anglo — słowiańska, z silnymi naleciałościami leksykalnymi przyswojonymi od zróżnicowanych kultur w trakcie wieloetapowych migracji człowieka.

GALEON: największy transportowiec w systemie przewozowym Gildii Planetarnej.

GAMONT: trzecia planeta Niushe, słynie ze swej hedonistycznej kultury i egzotycznych praktyk seksualnych.

GĄSIENIK PIASKOWY: potoczna nazwa maszyny zdolnej do poruszania się po powierzchni Arrakis, przeznaczonej do poszukiwania i zbioru melanżu.

GEJR: monadnok.

GEJRAT: na wprost; komenda sternika czerwia.

GHAFLA: nieumiejętność skupienia się w obecności natrętnej muchy. Stąd: osoba chwiejna, której nie należy ufać.

GHANIMA: coś zdobytego w bitwie lub w pojedynku. Powszechnie: bezużyteczna pamiątka z walki, budząca jedynie wspomnienia.

GIEDI PRIME: 36 planeta bety Wężownika, ojczyzna Harkonnenów. Planeta średniej przydatności do życia i słabej aktywności procesu fotosyntezy.

GILDIA: Gildia Planetarna, jedno z trzech ramion politycznego trójnoga, na którym wspiera się Wielka Konwencja. Od czasów Dżihad Kamerdyńskiej jest Gildia drugą (patrz: Bene Gesserit) szkołą kształcenia ducha i ciała. Powstanie monopolu Gildii w dziedzinie podróży, transportu i bankowości międzynarodowej przyjęto zza datę początkową kalendarza Imperium.

GINAZ, RÓD: byli sojusznicy księcia Leto Atrydy. Zostali pobici w wojnie assassinów z Grumman.

GIUDICHAR: święta prawda (powszechnie spotykane w wyrażeniu giudichar mantene; prawda pierwotna i podstawowa).

GŁOS: wszechstronne wyszkolenie przez Bene Gesserit, które pozwala adeptowi panować nad innymi jedynie za pomocą odcieni barwy głosu.

GŁUSZAK: broń miotająca na powolne pociski; wyrzuca bolec z trucizną lub narkotykiem w grocie. Skuteczność jest ograniczona nastawieniem tarczy i ruchem względnym celu i pocisku.

GOM DŻABBAR: wróg ostateczny; owa szczególna zatruta igła z ładunkiem metacyjanku, której cenzorki Bene Gesserit używają do poddawania świadomości ludzkiej próbie śmierci.

GRABEN: długo rów tektoniczny powstały w wyniku osiadania gruntu wywołanego ruchami głębiej położonych warstw krustalnych.

GRAJĄCY PIASEK: piasek o tak ogromnej spoistości, że każde gwałtowniejsze uderzenie w powierzchnię rozlega się donośnie jak głos bębna.

GROT-GOŃCZAK: ostra drzazga metalowa, która szybuje w dryfie i za pomocą ukrytej w pobliżu konsoli sterowana jest jak pocisk; pospolita broń skrytobójcza.

GRÓDŹ: przenośne plastikowe zamknięcie hermetyczne stosowane dla zabezpieczenia wilgoci we fremeńskich jaskiniowych obozowiskach dziennych.

GRUMMAN: druga planeta Niushe, znana przede wszystkim z wendety władającego nią rodu (Moritani) i rodu Ginaz.

H

HAGAL: „Planeta Klejnot” (II Teta Shaowei), eksploatowana za panowania Szaddama I.

HAIIIII-HO!: komenda do ruszania; okrzyk sterownika czerwia.

HADŻDŻ: święta podróż, pielgrzymka.

HADŻR: podróż przez pustynię, migracja.

HADŻRA: podróż w poszukiwaniu czegoś.

HAKARZ: Fremen uzbrojony w haki stworzyciela, polujący na czerwia pustyni.

HAKI STWORZYCIELA: haki stosowane przez Fremenów do chwytania, dosiadania i ujeżdżania arrakańskiego czerwia pustyni.

HAL JAWM: „No! Wreszcie!”, okrzyk fremeński.

HARMONTHEP: tak zdaniem Ingsleya nazywał się szósty przystanek w międzyplanetarnej migracji Zensunnitów. Przypuszcza się, że był to już nie istniejący satelita Delty Pawia.

HIEREG: przejściowy obóz fremeński w otwartej pustyni.

HOLZMAN: patrz: ZJAWISKO HOLZMANA.

I

IBAD, SPOJRZENIE IBADA: charakterystyczny skutek bogatej w melanż diety, od której białka i źrenice oczu nabierają barwy ciemnego błękitu.

IBN QIRTAIBA: „Tak nazywają święte słowa…" Uroczysty wstęp do fremeńskich zaklęć religijnych (zaczerpniętych z panoplia propheticus).

ICHWAN BEDWINE: braterstwo wszystkich Fremenów na Arrakis.

IDŻAZ: przepowiednia niepodważalna z samej swej natury; przepowiednia nieodwracalna.

IKHUT-EIGH!: okrzyk sprzedawcy wody na Arrakis (etymologia niejasna). Patrz: SUU-SUU-SUUK!

ILM: teologia, nauka o tradycjach religijnych, jedno z półlegendarnych źródeł wiary Pielgrzymów Zensunni.

ISTISLAH: prawo wspólnego dobra; zwykle zapowiedź brutalnej konieczności.

IX: patrz: RICHESE.

J

JEŹDZIEC PIASKU: fremeńskie określenie kogoś, kto potrafi pojmać i dosiąść czerwia pustyni.

JĘZYK WALKI: każdy specyficzny język, używany do nieskrępowanego porozumiewania się głosem podczas bitwy.

K

KAID: stopień oficerski sardaukarów nadawany urzędnikowi wojskowemu, którego obowiązki sprowadzają się w większości do kontaktów z cywilami; gubernator wojskowy całego okręgu planetarnego, wyższy rangą od baszara, lecz nie dorównujący bursegowi.

KALADAN: trzecia planeta Delty pawia, rodzinna planeta Paula Muad'Diba.

KANLY: oficjalna waśń lub wendeta zgodna z zasadami Wielkiej Konwencji, prowadzona według najściślejszych reguł (patrz: SĘDZIA ZMIANY). Pierwotnie zasady miały chronić postronnych świadków.

KARAMA: cud; działanie inspirowane przez siły nadprzyrodzone.

KHALA: tradycyjne zaklęcie mające na celu uspokojenie

rozeźlonych duchów miejsca, które wymieniono z nazwy.

KHOAM: akronim utworzony z nazwy Konsorcjum Honette Ober Advancer Mercantiles — wszechświatowej korporacji eksploatacyjnej kierowanej przez Imperatora i wysokie rody z Gildią i Bene Gesserit jako cichymi wspólnikami.

KISWA: dowolna postać lub symbol z mitologii fremeńskiej.

KITAB AL-IBAR: kompilacja modlitewnika i vademecum przeżycia w pustyni, opracowana przez Fremenów na Arrakis.

KRIMSKELL: „nić kleszcząca", pleciona z włókna pnączy hufuf z Ekaz. Pętla związana na krimskellu zaciska się coraz ciaśniej wskutek prób rozerwania sznura — aż do z góry ustalonych granic. (Szczegółowe informacje patrz: „Dusicielskie pnącza Ekaz" Holijanca Vohnbrooka).

KRWAWIN: roślina pnąca, której ojczyzną jest Giedi Prime; jej pędów często używano jako biczów w obozach niewolników. Ofiarom pozostawia tatuaż koloru buraka, który powoduje nieustający przez wiele lat ból.

KRYSNÓŻ: święty nóż Fremenów z Arrakis. Wyrabiany z zębów czerwia pustyni w dwóch wersjach: „stałej" i „niestałej". Nóż niestały wymaga kontaktu z polem elektrycznym ciała ludzkiego, aby nie ulec rozpadowi. Noże stałe przeznaczone są do składowani. I jedne, i drugie mają około dwudziestu centymetrów długości.

KSIĘGOFILM: wszelka odbitka szigastrunowa o mnemotechnicznym zapisie, stosowana w nauczaniu.

KULA ŚWIĘTOJAŃSKA: zawieszone w dryfie urządzenia oświetleniowe z samozasilaniem (zazwyczaj z baterii organicznych).

KULON: dziki osioł ze stepów zaaklimatyzowanych na Arrakis.

KULL WAHAD: „Jestem poruszony do głębi!". Szczery okrzyk wyrażający zaskoczenie, używany powszechnie w Imperium. Dokładne znaczenie zależy od kontekstu. Mówi się, że Muad'Dib widząc kiedyś, jak pisklę jastrzębia pustynnego wykluwa się z jajka, wyszeptał: „Kull wahad!".

KWISATZ HADERACH: „Skrócenie drogi". Taka nazwę Bene Gesserit nadały niewiadomej, dla której poszukiwały rozwiązania genetycznego: Bene Gesserit płci meskiej, którego witalne siły psychiczne łączyłyby przestrzeń i czas.

L

LA, LA, LA: fremeński okrzyk rozpaczy. („La" tłumaczy się jako odmowa ostateczna — „nic", od którego nie ma odwołania).

LANCA LASEROWA: wersja rusznicy laserowej bliskiego zasięgu,

stosowana przeważnie jako narzędzie tnące i skalpel chirurgiczny.

LEGION IMPERIALNY: dziesięć brygad (około 30 000 ludzi).

LIBAN: liban fremeński to woda z przyprawą i dodatkiem mąki z jukki. Pierwotnie napój z kwaśnego mleka.

LINA KRIMSKELLOWA: patrz: KRIMSKELL.

LIASAN AL-GAIB: „Głos z innego świata". W mesjańskich legendach Fremenów prorok spoza planety. Czasami tłumaczone na „Dawca wody". (Patrz: MAHDI).

LITERJON: jednolitrowy pojemnik do przenoszenia wody na Arrakis, sporządzony z bezodpryskowego plastiku o dużej masie właściwej, ma idealne zamknięcie.

Ł

ŁAMACZE: wojenne okręty kosmiczne składające się z wielu mniejszych statków sczepionych razem, przeznaczone do ataku i przełamania pozycji wroga.

M

MAGICZNY: idiomatycznie: to, co się wiąże z mistycyzmem lub czarami.

MAHDI: we fremeńskiej legendzie mesjanistycznej „Ten, który powiedzie nas do raju".

MALEŃKI STWORZYCIEL: pół roślina, pół zwierzę, żyjący w głębi piasku zarodek czerwia arrakańskiego. Ekskrementy maleńkiego stworzyciela tworzą masę preprzyprawową.

MANTENE: mądrość podstawowa, argument wspierający, pierwsza asada (patrz: GIUDICHAR).

MAULA: niewolnik.

MAULA, PISTOLET: pistolet sprężynowy na zatrute bolce; zasięg około czterdziestu metrów.

MWLANŻ: „Przyprawa nad przyprawami", której jedynym źródłem jest Arrakis. Przyprawa znana głównie ze swych właściwości życiodajnych, przyjmowana w ilościach powyżej dwóch gramów dziennie na siedemdziesiąt kilogramów wagi ciała jest łagodnie warunkująca. (Patrz: IBAD, Woda Życia i masa preprzyprawowa). Muad'Dib uważał przyprawę za klucz swych proroczych zdolności. Podobnie nawigatorzy Gildii. Cena przyprawy na rynku imperialnym dochodziła do 620 000 solaris za dekagram.

MELANŻER: Diunida będący wykwalifikowanym operatorem samojezdnej maszyny na piaskach Arrakis.

MENTAT: klasa obywateli Imperium szkolonych w umiejętnościach myslenia logicznego na nadludzkim poziomie. „Ludzkie komputery".

METASZKŁO: szkło otrzymane w wyniku nasycenia kwarcu jasmonowego gazem o wysokiej temperaturze. Znane z niesłychanej wytrzymałości na rozciąganie (około 450 000 kilogramów na centymetr kwadratowy przy grubości dwóch centymetrów), dział też jako filtr selektywny promieniowania.

METODA B.G.: stosowanie drobiazgowej obserwacji.

MIHNA: okres poddawania próbie chłopców fremeńskich, którzy pragną być pasowani na mężczyznę.

MINIMIK, FILM: szigastruna o średnicy jednego mikrona, często stosowana do przekazywania informacji wywiadu i kontrwywiadu.

MISR: historyczna nazwa Zensunnitów (Fremenów) na określenie samych siebie; „ludzie".

MISSIONARIA PROTECTIVA: ramie zakonu Bene Gesserit odpowiedzialne za rozsiewanie zaraźliwych zabobonów na prymitywnych planetach w celu szerzenia tam wpływów Bene Gesserit. (Patrz: PANOPLIA PROPHETICUS).

MISZ-MISZ: morele.

MONITOR: dziesięcioczłonowy wojenny okręt kosmiczny wyposażony w broń ciężką i osłony tarczowe. Jego konstrukcja umożliwia mu lądowanie w całości na planecie i rozdzielenie się członów składowych na czas ponownego startu.

MROCZNE SPRAWY: idiom oznaczający zaraźliwe przesądy wpajane przez Missionaria Protectiva podatnym cywilizacjom.

MUAD'DIB: mysz kangurza aklimatyzowana na Arrakis; we fremeńskiej mitologii ziemi i ducha stworzenie związane z rysunkiem widocznym na drugim księżycu planety. Stworzenie otoczone uwielbieniem przez Fremenów dla swoich niezwykłych zdolności przystosowawczych do życia w otwartej pustyni.

MUDIR NAHJA: tak Fremeni ochrzcili Bestię Rabbana (hrabiego Lankiveil), bratanka Harkonnena, który był przez wiele lat siridarem gubernatorem na Arrakis. Przydomek zazwyczaj tłumaczy się jako „Król Demon".

MUR ZAPOROWY: górzyste wypiętrzenie terenu w północnych rejonach Arrakis, które osłania niewielki obszar tej planety przed kurzawami Coriolisa.

MUSZTAMAL: niewielki ogród przydomowy lub ogródek na dziedzińcu.

MUSKY: trucizna w napoju (patrz: chaumurky).

MU ZEIN WALLAH: „Mu zein" dosłownie znaczy „nic dobrego", a

„wallah” stanowi końcówkę zwrotną wykrzyknika. W tym tradycyjnym wstępie do fremeńskiego przekleństwa stosowanego do wroga „wallah” przesuwa wzmocnienie akcentu z powrotem na słowa „mu zein”, co daje znaczenie: „Nic dobrego, nigdy nic dobrego, nic dobrego na zawsze”.

N

NA: przedrostek oznaczający „mianowany” lub „następny w kolejności”. A zatem na-baron to prawowity dziedzic tytułów.

NAIB: ten, kto ślubował nie dać się nigdy wziąć żywcem; tradycyjna przysięga fremeńskiego przywódcy.

NEZHONI, CHUSTA: chusta noszona na czole jako podkładka pod kaptur filtrfraka przez zamężne lub „skojarzone” Fremenki po urodzeniu syna.

NIECKA: mieszkalny, nizinny obszar na Arrakis, okolony wzniesieniem terenu, które osłania nieckę przed samumami.

NIECKOGRAF: mapa terenu Arrakis, na którą naniesiono najpewniejsze marszruty parakompasowe pomiędzy miejscami schronienia. (Patrz: PARAKOMPAS).

NIEZBĘDNIK: zestaw narzędzi i części zamiennych do filtrfraka.

NOUKERZY: oficerowie imperialnej straży przybocznej, spokrewnionej z Imperatorem. Tradycyjny tytuł synów konkubin królewskich.

O

ODDZIELACZ WIATRU: urządzenie założone na szlaku dominujących wiatrów; skrapla wilgoć z powietrza zasysanego do komory, przeważnie na zasadzie gwałtownego i znacznego spadku temperatury w oddzielaczu.

ODŁÓWKI: przewody fizjologiczne łączące układ wydalania ciała ludzkiego z systemem filtrfracyjnym filtrfraka.

OGIEŃ, SŁUP OGNIA: zwykła pirorakieta do sygnalizowania na otwartej pustyni.

OPALIT: jeden z rzadkich rodzajów opala z planety Hagal.

ORNITOPTERY: wszelkie statki powietrzne zdolne do długotrwałego lotu za pomocą uderzeń skrzydłami na wzór ptaków.

OUT-FREJN: w języku galach „najbliższy obcy”, to znaczy: spoza najbliższego otoczenia, spoza wybrańców.

P

PANEW: nisko położony teren lub depresja na Arrakis powstała w wyniku osiadania warstw podłoża. (Na planetach zasobnych w wodę panew oznacza rejon ongiś zajmowany przez wodę. Uważa się, że Arrakis posiada przynajmniej jeden taki obszar, jakkolwiek sprawa jest dyskusyjna).

PANOPLIA PROPHETICUS: pod tym terminem kryją się zaraźliwe przesądy wykorzystywane przez Bene Gesserit do eksploatacji regionów prymitywnych. (Patrz: Missionaria Protectiva).

PAPILARNY, ZAMEK: wszelkiego rodzaju zamki czy grodzie otwierające się pod dotykiem dłoni, do której zostały dostrojone.

PARAKOMPAS: dowolny kompas określający kierunek według miejscowej anomalii magnetycznej; używany tam, gdzie istnieją odpowiednie mapy i gdzie ogólne pole magnetyczne jest niestabilne lub podlega silnym zakłóceniom przez gwałtowne burze magnetyczne.

PCHLI SZTYCH: wszelkie wąskie, krótkie ostrze (często zatrute) trzymane w lewej ręce podczas walki z użyciem tarcz.

PENTARCZA: pięciowarstwowe pole generatora tarczy dla niewielkich powierzchni, takich jak światło bram czy korytarzy (duże wzmocnione tarcze stają się coraz mniej stabilne z każdą następną warstwą) i praktycznie nie do przejścia dla każdego, kto nie ma symulatora kodu tarczy. (Patrz: drzwi awaryjne).

P.G.: „przed Gildią” — w kalendarzu Imperium, opartym na dacie powstania monopolu Gildii Planetarnej.

PIACHMISTRZ: nadzorca eksploatacji przyprawy.

PIACHOCHRAPY: odpowietrzniki tłoczące powietrze do przysypanego piaskiem filtrnamiotu.

PIACHOPŁYWY: wyrażenie idiomatyczne oznaczające pyłopływy; wznoszenie się i opadanie powierzchni niektórych wypełnionych pyłem basenów Arrakis, spowodowane działaniem sił przyciągania słońca i satelitów. (Patrz: basen pyłopływów).

PIECHUR PIASKU: każdy Fremen, który opanował sztukę życia w otwartej pustyni.

PIERWSZY KSIĘŻYC: większy satelita Arrakis, wyróżniający się charakterystycznym wizerunkiem ludzkiej pięści na swej powierzchni.

PIROŚWIADOMOŚĆ: tak zwana świadomość ognia; ów poziom zahamowań świadomości, na który działa uwarunkowanie imperialne. (Patrz: UWARUNKOWANIE IMPERIALNE).

PLASTAL: stal stabilizowana włóknami stravidium, które wrastają w jej strukturę krystaliczną.

PLENICENTA: egzotyczny zielony kwiat z Ekaz znany z miłej woni.

PODCIOTKI: krewni, dalsi niż rodzeństwo stryjeczne i cioteczne.

PORITRIN: trzecia planeta Epsilona Alanque przez wielu Pielgrzymów Zensunni uważana za ojczystą planetę, aczkolwiek cechy ich języka, jak i mitologii, wskazują na o wiele starsze korzenie.

POTRUGLE: pomarańcze.

PÓŁBRACIA: synowie konkubin w jednej rodzinie, oficjalnie mający wspólnego ojca.

PRANA (prana — muskulatora): mięśnie ciała, z których każdy jest traktowany osobno i jako osobna jednostka trenowany do maksimum. (Patrz: bindu).

PRAWDOMÓWCZYNI: Matka Wielebna posiadająca sztukę zapadania w trans prawdy i odróżniania prawdy od fałszu.

PRAWO AMTAL: (patrz: AMTAL).

PREPRZYPRAWOWA, MASA: stadium grzybowatego burzliwego wzrostu, spowodowanego dostaniem się do wody ekskrementów małych stworzycieli. Arrakańska przyprawa w tym stadium „wybucha" w charakterystyczny sposób, mieszając wtedy substancje z głębi ziemi z substancją z jej powierzchni. Ta masa, poddana działaniu słońca i wiatru, staje się melanżem. (Patrz też: MELANŻ I WODA ŻYCIA).

PROTOKÓŁ: półurzędowy raport formułujący domniemanie zbrodni przeciw Imperium. Prawnie: czynność pośrednia między słownym pomówieniem a formalnym oskarżeniem o zbrodnię.

PRÓBA — MASHAD: wszelka próba, w której stawką jest honor (określony jako postawa natchniona).

PRZETWÓRNIA PRZYPRAWOWA: patrz: gąsienik piaskowy.

PRZYPRAWA: patrz: melanż.

PUNDI, RYŻ: zmutowany ryż o bogatych w naturalny cukier ziarnach osiągających do czterech centymetrów długości; główny produkt eksportowy Kaladanu.

PYONI: przypisani do planety chłopi i robotnicy, jedna z podstawowych klas w ramach faufreluches. Ustawowo: stróże planety.

Q

QANAT: otwarty kanał nawadniający na pustyni, w którym można regulować przepływ wody.

QIRTAIBA: patrz: Ibn Quirtaiba.

QUIZARA TAFWIDZI: fremeńscy kapłani (po Muad'Dibie).

R

RACHAG: środek pobudzający typu kofeiny otrzymywany z żółtych jagód akarso. (Patrz: AKARSO).

RAMADAN: starodawny okres obchodów religijnych odznaczający się postami i modłami; tradycyjnie dziewiąty miesiąc kalendarza słoneczno — księżycowego. Fremeni ustalają porę obrzędu według dziewiątego zenitu w obiegu pierwszego księżyca.

RAZZIA: na poły piracki rajd partyzancki.

REŻIM WODY: surowe szkolenie, mające na celu przystosowanie mieszkańców Arrakis do egzystencji.

RICHESE: czwarta planeta Alfy Erydanu, zaliczana, obok IX, do niedościgłych cywilizacji technicznych. Słynie z miniaturyzacji. (Szczegółowe wiadomości o tym, jak Richese i Ix uniknęły poważniejszych skutków Dżihad Kamerdyńskiej, patrz „Ostatnia Dżihad" Sumera i Kautmana).

RODY NISKIE: przywiązana do planety klasa przedsiębiorców (w galach: „richece").

RODY WYSOKIE: feudałowie posiadający lenna planetarne, przedsiębiorcy międzyplanetarni (patrz poniżej: RÓD).

ROSY KOLEKTORY: albo ROZY OSADNIKI: nie mylić z żeńcami rosy. Kolektory bądź osadniki są to urządzenia w kształcie jajka wysokości około czterech centymetrów. Wykonane z chromoplastiku, który pod wpływem światła bieleje, odbijając promienie słoneczne, zaś w ciemności robi się z powrotem przezroczysty. Kolektory oziębiają swoją powierzchnię, na której osadza się rosa. Fremeni używają ich do wykładania wklęsłychścian dołków wokół sadzonek, gdzie zapewniają one niewielkie, lecz niezawodne źródła wody.

RÓD: idiomatyczne określenie klanu panującego na planecie lub w systemie planetarnym.

RUH — DUCH: według wierzeń Fremenów ta część osobowości, która jest zawsze zakorzeniona (i zdolna do wyczuwania) w świecie metafizycznym (patrz: „ALAM AL-MITHAL).

RUSZNICA LASEROWA: miotacz laserowy wytwarzający falę ciągłą. Jako broń ma ograniczone zastosowanie w cywilizacji używającej powszechnie tarcz pola generatorowego, gdyż zetknięcie się wiązki laserowej z tarczą powoduje straszliwy wybuch (technicznie: fuzję subatomową).

S

SADUS: sędzia. Ten fremeński tytuł odnosi się do boskich

sędziów, odpowiadających świętym.

SAJJADINA: akolitka we fremeńskiej hierarchii religijnej.

SALUSA SECUNDUS: trzecia planeta Gammy Waiping; po przeprowadzce dworu królewskiego na Kaitain ogłoszona imperialną planetą więzienną.

SAPHO: makroenergetyczny wycąg z kłączy rośliny o tej samej nazwie, z planety Ekaz. Powszechnie zażywany przez mentatów, którzy utrzymują, że potęguje on sprawność umysłu. Od zażywania sapho dostaje się czerwonych plam w jamie ustnej i na wargach.

SARDAUKARZY: żołnierze — fanatycy Padyszacha Imperatora. Ludzie ci wywodzili się z tak surowego środowiska naturalnego, że sześć spośród trzynastu osób nie dożywało w nim jedenastego roku życia. Szkolenie wojskowe sardaukarów wyrabiało w nich bezwzględność i prawie samobójczą pogardę dla własnego bezpieczeństwa. Od dzieciństwa wdrażano ich do posługiwania się okrucieństwem jako orężem naturalnym, co porażało trwogą przeciwnika. W szczytnym okresie ich wpływu na sprawy wszechświata o biegłości sardaukarów w fechtunku powiadano, że równa się dziesiątemu stopniu Ginaz, zaś ich przebiegłość i zręczność w starciu wręcz uchodziła za zbliżona do kunsztu adeptki Bene Gesserit. Każdy sardaukar mógł stawać w pojedynkę przeciwko dziesięciu zwyczajnym żołnierzom zaciężnym Lansraadu. Już przed Szaddamem IV ich siłę podkopało zadufanie, a dająca hart duch mistyka ich religii została przeżarta cynizmem.

SARFA: akt odwracania się od Boga.

SELAMLIK: imperialna sala audiencyjna.

SEMUTA: drugi narkotyczny związek pochodny otrzymywany (przez ekstrakcję krystalizacyjną) z popiołów drewna elakka. Efekt (opisywany jako nieustająca bezgraniczna ekstaza) wywołują pewne atonalne wibracje, określane mianem muzyki semuty.

SERWOK: mechanizm zegarowy do spełniania prostych zadań; jeden z niewielu mechanizmów „automatycznych” dozwolonych po Dżihad Kamerdyńskiej.

SĘDZIA ZMIANY: wyznaczony przez Wysoką Radę Landsraadu i Imperatora urzędnik powołany do czuwania nad zmianą lenna, negocjacjami w kanly lub oficjalną walką w Wojnie Assassinów. Arbitralną władzę sędziego można zakwestionować jedynie przed Wysoką Radą w obecności Imperatora.

SHAI-HULUD: arrakański czerw pustyni, „praszczur pustyni”, „praojciec wieczności”, „pradziad pustyni”. Jest rzeczą znamienną, że ta nazwa, wymieniana pewnym określonym tonem lub napisana wielką literą, odnosi się do bogini ziemi z fremeńskiego panteonu wierzeń. Czerwie pustyni wyrastają do kolosalnych rozmiarów (w głębokiej pustyni widywano osobniki dłuższe niż czterysta metrów) i

dożywają sędziwego wieku, o ile się nawzajem nie pozabijają lub nie potopią w wodzie, która jest dla nich trucizną. Większość piasku na Arrakis przypisuje się działaniu czerwia pustyni. (Patrz: MALEŃKI STWORZYCIEL).

SICZ: u Fremenów: „miejsce zbiórki w przypadku zagrożenia". Fremeni tak długo żyli w zagrożeniu, że wskutek ciągłego użycia termin przyjął się na oznaczenie wszelkiej jaskiniowej siedziby ich plemiennych społeczności.

SIHAJA: u Fremenów wiosna pustynna; z religijnym podtekstami kryjącymi pojęcie czasu obfitości i „nadchodzącego raju".

SIRAT: ustęp w Biblii P. K. opisujący życie ludzkie jako drogę przez wąski most Sirat „z rajem z prawa, piekłem z lewa i Aniołem Śmierci z tyłu".

SOCZEWKI OLEJOWE: olej hufufowy zamknięty w obudowie obiektywu i utrzymywany w napięciu statycznym przez pole siłowe, stanowiący część układu manipulowania światłem. Każdy element składowy soczewki daje się skokowo regulować co jeden mikron, dzięki czemu soczewki olejowe uchodzą za szczytowe osiągnięcie techniki precyzyjnego manipulowania światłem widzialnym.

SOLARI: oficjalna jednostka monetarna Imperium; jej siłę nabywczą ustala się co czterysta lat w negocjacjach między Gildią, Landsraadem oraz Imperatorem.

SOLIDO: trójwymiarowy obraz z projektora stereo wykorzystującego 360-stopniowe sygnały odniesienia zarejestrowane na rolce szigastrunowej.

SONDAGI: tulipan sporofilowy z Tupali.

STWORZYCIEL: patrz: shai-hulud.

SUBAKH UL KUHAR: „Dobrze się miewasz?"; fremeńskie powitanie.

SUBAKH UN NAR: „Dobrze, a Ty?"; tradycyjna odpowiedź.

SUPLIKACJE I RESPONS: rytuał zaklęć, część panoplia propheticus z arsenału Missionaria Protectiva.

SUU-SUU-SUUK!: wołanie arrakańskiego sprzedawcy wody. Suuk znaczy targowisko. (Patrz: IKHUT-EIGH!)

SZACHE-NAME: na poły legendarna Pierwsza Księga Pielgrzymów Zensunni.

SZADOUT: „czerpiąca ze studni", fremeński tytuł honorowy.

SZALANDY: ogólna nazwa wszelkich kontenerów towarowych o nieregularnym kształcie, wyposażonych w osłony ablacyjne i dryfowy system amortyzacyjny. Stosowane do zrzucania materiałów z kosmosu na powierzchnię planety.

SZARI-A: ta część panoplia propheticus, która reprezentuje zaboonny rytuał. (Patrz: MISSIONARIA PROTECTIVA).

SZEJTAN: szatan.

SZIGASTRUNA: metalowe wąsy płożącej się liany (Narvi narviium) rosnącej jedynie na Salusa Secundus i trzecie planecie Delty Kaising. Słyną z najwyższej wytrzymałości na rozciąganie.

STOŻEK CISZY: pole dyfraktora, które ogranicza doniosłość głosu czy jakiegokolwiek innego wibratora przez tłumienie drgań drganiami lustrzanymi przesuniętymi w fazie o 180 stopni.

STRUG RUSZTOWY: elektrostatyczny oddzielacz różnicowy używany do usuwania piasku z melanżowej masy przyprawy; urządzenie używane w drugim etapie rafinacji przyprawy.

SZKOLENIE: w odniesieniu do Bene Gesserit ten skądinąd pospolity termin nabiera specjalnego znaczenia, związanego ze szczególnym uwarunkowaniem nerwów i mięśni (patrz: BINDU oraz PRANA), na jakie tylko pozwala granica ich naturalnej wytrzymałości.

SZLAG: zwierzę łowne pochodzące z Tupile, dziś prawie całkowicie wytępione dla cienkiej, mocnej skóry.

T

TAHADDI AL-BURHAN: ostateczna próba, od której nie ma odwołania, zwykle dlatego, że kończy się śmiercią lub zniszczeniem.

TAHADDI, WYZWANIE: fremeńskie wyzwanie do pojedynku na śmierć i życie, na ogół dla rozstrzygnięcia sprawy wielkiej wagi.

TALIONY WODY: metalowe pierścienie różnej wielkości o ściśle określonym nominale wody, na którą można je wymienić w kantorach femeńskiech. Taliony wody maja doniosłe znaczenie (daleko wykraczające poza ideę pieniądza) przy okazji urodzin, śmierci i w ceremoniale zalotów.

TAQWA: dosłownie: „cena wolności”. Coś niesłychanie cennego. To, czego bóstwo żąda od śmiertelnika (i lęk wywołany tym żądaniem).

TARCZA OBRONNA: pole ochronne wytwarzane przez generator Holtzmana. Pole powstaje w fazie pierwszej zjawiska dryfowo — anulacyjnego. Tarcza przepuszcza jedynie obiekty poruszające się z niewielka prędkością (w zależności od nastawienia tarczy prędkość ich waha się od sześciu do dziewięciu centymetrów na sekundę) i uziemić ja może jedynie pole elektryczne wielkości hrabstwa. (Patrz: RUSZNICA LASEROWA).

TAU: we fremeńskiej terminologii „komunia” społeczności siczy oparta na diecie przyprawowej, a przede wszystkim na orgii jedności tau, wywołanej piciem Wody Życia.

TLEILAX: samotna planeta Thalima, znana jako dziki ośrodek szkolenia mentatów; źródło mentatów „wypaczonych”.

T — P: potoczna nazwa telepatii.

TRANSPORTOWIEC: statek Gildii zaprojektowany specjalnie do transportu wojska pomiędzy planetami.

TRANS PRAWDY: półhipnotyczny trans wywołany jednym z kilku narkotyków „widma świadomości", dzięki któremu drobne przejawy świadomego kłamstwa stają się widoczne dla obserwatora. (Uwaga: narkotyki„widma świadomości" często zabijają ludzi, z wyjątkiem osobników uodpornionych, umiejących dokonać zmiany konfiguracji trucizny we własnym organizmie).

TRUCIZNA ŚLADOWA: wynalazek przypisywany mentatowi Piterowi de Vries, polegający na przesyceniu ciała trucizną z jednoczesnym regularnym podawaniem antidotum. Wycofanie antidotum w dowolnej chwili powoduje śmierć.

TRÓJNÓG ŚMIERCI: pierwotnie trójnóg, na którym kaci pustynni wieszali swe ofiary. Zwyczajowo: trzej członkowie cheremu, którzy poprzysięgli wspólną zemstę.

TUPILE: tak zwana „planeta azyl" (prawdopodobnie kilka planet), miejsce schronienia dla podbitych narodów Imperium. Położenie jej (ich) znane jest jedynie Gildii i trzymane w tajemnicy na mocy Pokoju Gildyjskiego.

TYCZENIE PIASKU: sztuka rozmieszczania tyczek z plastiku i włókien na obszarach pustynnych Arrakis i odczytywania, ze wzorów wytrawionych na tyczkach przez samumy, wskazówek co do prognozy pogody.

U

ULEMA: zensunnicki doktor teologii.

UMMA: jeden z bractwa proroków. (W Imperium pogardliwa nazwa oznaczająca każdego szaleńca ze skłonnościami do obłąkanych przepowiedni).

UROSZNOR: jedno z paru pozbawionych znaczenia słów — dźwięków, które Bene Gesserit wszczepiają w psychikę wybranych ofiar w celu sprawowania nad nimi kontroli. Dźwięk tego słowa poraża uczulonego osobnika chwilowym paraliżem.

USUL: u Fremenów: „podstawa filaru".

UWARUNKOWANIE IMPERIALNE: dokonanie Akademii Medycznych Suk — najgłębszy odruch warunkowy przeciwko odebraniu życia istocie ludzkiej. Adepci zostają naznaczeni wytatuowanym na czole rombem i mają prawo do noszenia długich włosów, które spinają srebrnym pierścieniem Suk.

V

VAROTA: sławny twórca baliset, rodem z Chusuk.

VERITA: jeden z zabijających wolę narkotyków z Ekaz. Czyni osobnika niezdolnym do kłamstwa.

W

WALI: fremeński nastolatek nie poddany jeszcze próbie.

WALLACH IX: dziewiąta planeta Laoudżin, siedziba szkoły macierzystej Gene Besserit.

WIELEBNA MATKA: pierwotna cenzorka Bene Gesserit, ta, która przekształciła „truciznę objawienia" w swoim ciele, wznosząc się na wyższy szczebel świadomości. Tytuł przyjęty przez Fremenów na określenie ich kapłanek — przywódczyń, które osiągnęły podobne „objawienie". (Patrz również: BENE GESSERIT I WODA ŻYCIA).

WIELKA KONWENCJA: powszechny pokój wymuszony równowagą sił utrzymywaną przez Gildię, wysokie rody oraz Imperium. Jej główne postanowienie zabrania uzycia broni atomowej przeciwko człowiekowi. Każdy punkt Wielkiej Konwencji zaczyna się od słów: „Należy przestrzegać konwencji…".

WIELKA MACIERZ: rogata bogini, żeński pierwiastek kosmosu (potocznie: Matka Przestrzeń), niewieście oblicze męsko — żeńsko — nijakiej trójcy przyjętej za Najwyższą Istotę przez wiele religii w obrębie Imperium.

WIELKA REWOLTA: potoczny termin oznaczający Dżihad Kamerdyńską (Patrz: DŻIHAD KAMERDYŃSKA).

WIEŃCOMUR: drugi wyższy stopień urwisk wieńczących Mur Zaporowy Arrakis (Patrz: MUR ZAPOROWY).

WŁÓKNO KRIMSKELLOWE: patrz: KRIMSKELL.

WODA ŻYCIA: trucizna „objawiająca" (patrz: MATKA WIELEBNA). Konkretnie płynna wydzielina czerwia pustyni (patrz: SHAI-HULUD), jaka wypływa w momencie jego śmierci przez utonięcie, a następnie przemieniona w ciele Matki Wielebnej staje się narkotykiem zażywanym podczas siczowej orgii tau. Narkotyk „Widma świadomości".

WODOMISTRZ: Fremen wyświęcony i obarczony religijnymi obowiązkami dotyczącymi posług wokół wody i Wody Życia.

WODOWÓD: każdy przewód wewnątrz filtrfraka lub filtrnamiotu doprowadzający odzyskaną wodę do kieszeni łownej lub też z kieszeni łownej do użytkownika.

WOJNA ASSASSINÓW: ograniczona forma działań wojennych

dozwolonych na mocy Wielkiej Konwencji i Pokoju Gildyjskiego. Chodzi o to, by jak najmniej ucierpiały osoby postronne. Obowiązujące reguły nakazują formalną deklarację zamiarów oraz ograniczają dopuszczalne rodzaje broni.

WOLNI KUPCY: potocznie: przemytnicy.

WYKRYWACZ TRUCIZNY: analizator widma promieniowania przeznaczony do wykrywania substancji trujących.

WYSOKA RADA: specjalne ciało w Landsraadzie upoważnione do działania jako najwyższy trybunał w sporach między rodami.

Y

YA HYA CHOUHADA: „Niech żyją wojownicy!" Okrzyk bojowy fedajkinów. Ya (teraz) w tym zawołaniu jest wzmocnione formą hya (teraz rozciągnięte na wieki). Chouhada (wojownicy) zawiera znaczenie dodatkowe „walczący przeciwko niesprawiedliwości". Słowo to precyzuje, że wojownicy nie walczą o coś, lecz przeciwko czemuś — jakiejś jednej i określonej rzecz.

YALI: fremeńska prywatna kwatera w siczy.

YA! YA! YAWM!: fremeński zaśpiew stosowany w niezwykle podniosłym momencie rytuału. Ya zawiera pierwiastek znaczeniowy „teraz posłuchajcie!". Forma yawm to wezwanie do skoncentrowania uwagi. Zaśpiew zwykle tłumaczy się jako: „nie urońcie ani słowa".

Z

ZENSUNNICI: wyznawcy sekty, która zerwała z naukami Maometha (zwanego „trzecim Mahometem") około 1381 P.G. Religia zensunnicka znana jest przede wszystkim ze swego nacisku na mistycyzm i nawrotu do zwyczajów ojców. Większość badaczy wymienia Alego Bena Ohashi jako przywódcę pierwotnej schizmy, ale istnieją pewne dowody na to, że Ohashi mógł być jedynie rzecznikiem swej drugiej żony, Nisai.

ZGARNIARKA: latające skrzydło (potocznie: skrzydło), powietrzny koń pociągowy Arrakis, używany do transportu olbrzymich urządzeń do wydobywania, poszukiwań i rafinacji przyprawy.

ZGROMADZENIE: nie mylić ze Zgromadzeniem Rady. Jest to formalne zebranie fremeńskich przywódców zwołane w celu obejrzenia walki decydującej o przywództwie nad plemionami (Zgromadzenie Rady jest zebraniem zwołanym w celu podjęcia decyzji

dotyczących wszystkich plemion).

ZJAWISKO HOLTZMANA: zjawisko negatonowego odpychania przez generator tarczy.

Ż

ŻNIWIARKA albo KOMBAJN ŻNIWNY: wielka (często 120 na 40 metrów) maszyna do wydobywania przyprawy, powszechnie stosowana na bogatych, nie zanieczyszczonych terenach wybuchów melanżu. Często z powodu przypominającej robaka sylwetki i niezależnych gąsienic zwana gąsienikiem.